

Diaboliczny thriller z niepowtarzalnym klimatem

Intensywna.
Pochłaniająca.
DOSKONAŁA.

NOCNY FILM

MARISHA PESSL

O książce

W mokrą październikową noc dziewczyna długo patrzy w dół pustego szybu windy towarowej, aż wreszcie skacze.

Dla policji to oczywiste samobójstwo, dla Scotta McGratha, byłego dziennikarza śledczego, to temat, który pomoże mu wrócić na szczyt.

Dziewczyna była córką bohatera ostatniego reportażu Scotta, Stanisława Cordovy, reżysera horrorów. Człowieka, który zrobiłby wszystko, byle tylko zatrzymać swoje trupy w szafie. Na przykład zniszczyłby karierę obiecującego dziennikarza śledczego, gdyby ten zaczął węszyć wokół jego tajemnic.

Scott wie, że nikt, kto miał związek z Cordową, nie może zrobić niczego „tak po prostu”. Nawet umrzeć. Dlatego rozpoczyna śledztwo, w którym każde odkrycie pociąga za sobą więcej pytań... A Scott uważa, że odpowiedzi znajdzie w ukrytej wśród lasów w górach Adirondack posiadłości reżysera.

NOCNY FILM

M A R I S H A P E S S L

**Z angielskiego przełożył
RAFAŁ LISOWSKI**



Wydanie elektroniczne

W serii ukazały się

TANA FRENCH

Ściana sekretów. Wiem, kto go zabił
Zdażyć przed zmrokiem
Lustrzane odbicie
Bez śladu
Kolonia

ALEX MARWOOD

Dziewczyny, które zabiły Chloe
Zabójca z sąsiedztwa
Najmroczniejszy sekret

B.A. PARIS

Za zamkniętymi drzwiami

MARISHA PESSL

Nocny film

Wkrótce

TANA FRENCH

Ostatni intruz

Tytuł oryginału:
NIGHT FILM

Copyright © Wonderline Productions LLC 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Rafał Lisowski 2016

Redakcja: Beata Kaczmarczyk
Zdjęcie na okładce: Pexels
Projekt graficzny okładki: Katarzyna Mészka
Skład i przygotowanie do druku: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

ISBN 978-83-6578-175-8

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em

NOCNY FILM



Pamięci mojej babki,
RUTH HUNT READINGER
(1910–2011)

Śmiertelny strach jest w naszym życiu równie ważny jak miłość. Dociera do sedna naszego jestestwa i pokazuje nas takimi, jakimi jesteśmy. Czy zrobisz krok wstecz i zasłonisz oczy? Czy może starczy ci siły, żeby stanąć nad przepaścią i spojrzeć przed siebie? Czy chcesz wiedzieć, co tam jest, czy też żyć w mrocznej iluzji, w której ten skomercjalizowany świat pragnie nas zamknąć jak ślepe gąsienice w wiecznym kokonie? Czy zwiniesz się w kłębek, zamkniesz oczy i umrzesz? Czy może potrafisz wywalczyć sobie wolność i odfrunąć?

— **STANISLAS CORDOVA**
„Rolling Stone”, 29 grudnia 1977 r.

PROLOG

Nowy Jork, godzina 2.32

Każdy ma swoją historię o Cordovie, czy mu się to podoba, czy nie.

Może twoja sąsiadka znalazła któryś z jego filmów w starym pudle na strychu, a potem już nigdy nie chciała wejść sama do ciemnego pomieszczenia. A może twój chłopak chwalił się, że trafił w internecie na nielegalną kopię *W nocy wszystkie ptaki są czarne*, a potem, gdy już ją obejrzał, nie chciał o tym mówić, zupełnie jakby chodziło o przerażające doświadczenie, z którego ledwo uszedł z życiem.

Bez względu na to, co myślicie o Cordovie, czy macie obsesję na punkcie jego twórczości, czy też jest wam obojętna – nie można na niego nie reagować. Jest rozpadliną, czarną dziurą, nieokreślonym zagrożeniem, niepowstrzymanym wybuchem tego, co nieznanego, w naszym nadmiernie odsłoniętym świecie. Kryje się pod ziemią, czai niewidoczny w mrocznych kątach. Jest w rzece pod mostem kolejowym, tam gdzie wszystkie zaginione dowody i odpowiedzi, które nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Jest mitem, potworem, śmiertelnikiem.

A jednak nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że kiedy najbardziej go potrzebujesz, Cordova rusza wprost ku tobie niczym tajemniczy gość na przyjęciu, którego zauważasz na drugim końcu zatłoczonej sali. W mgnieniu oka pojawia się tuż przy tobie, obok misy z ponczem, i przygląda ci się, kiedy się odwracasz, a potem od niechcienia pyta o godzinę.

Moja historia o Cordovie zaczęła się po raz drugi pewnej deszczowej nocy w październiku, gdy byłem tylko kolejnym facetem, który dreptał w kółko i bardzo szybko zmierzał donikąd.

Biegałem wokół Zbiornika Jacqueline Kennedy Onassis w Central Parku po drugiej nad ranem – to ryzykowny nawyk, którego nabrałem w ciągu minionego roku, gdy byłem zbyt zdenerwowany, żeby zasnąć, nękany bezwładem, dla którego nie znajdowałem wyjaśnienia oprócz niejasnego poczucia, że najlepsze lata życia mam za sobą, a wrażenie niekończących się możliwości, tak silne za młodu, teraz już prysło.

Panował chłód, a ja byłem cały mokry. Żwirową ścieżkę pokrywały kałuże, czarne wody jeziora spowijała mgła. Lepiła się do przybrzeżnych trzciny i zacierała krańce parku, jakby wykonano go z papieru, a potem oderwano krawędzie. Zamiast wielkich budynków przy Piątej Alei widziałem tylko kilka złotych światełek, które płonęły w mroku i odbijały się na skraju wody niczym zmatowiałe monety wrzucone przez kogoś do stawu. Ilekroć przebiegałem obok latarni, mój cień wyprzedzał mnie pędem, szybko bladł, a potem się odrywał – jak gdyby nie miał odwagi zostać.

Właśnie mijalem Południową Stróżówkę i zaczynałem szóste okrążenie, gdy obejrzawszy się przez ramię, zauważyłem kogoś za plecami.

Pod latarnią stała kobieta. Jej twarz kryła się w cieniu, a czerwony płaszcz odbijał padające z tyłu światło, czyniąc ją jaskrawym czerwonym skrawkiem w mrokach nocy.

Samotna młoda kobieta tutaj, o tej porze? Czy ona zwariowała?

Zawróciłem, nieco poirytowany naiwnością dziewczyny – czy może lekkomyślnością, która ją tu sprowadziła. Kobiety z Manhattanu, choć wspaniałe, czasem zapominają, że nie są nieśmiertelne. Potrafią jak konfetti rzucić się w piątkową noc pełną zabaw, zupełnie nie myśląc o tym, w jakiej szczelinie wylądują w sobotę.

Ścieżka się wyprostowała, biegła na północ, deszcz smagał mnie po twarzy, a zwieszane nisko gałęzie tworzyły prymitywny tunel. Minąłem rzędy ławek oraz łukowaty mostek. Błoto ochlapywało mi łydki.

Kobieta – kimkolwiek była – najwyraźniej zniknęła.

A potem – błysk czerwieni w oddali. Zgasł, gdy tylko go zobaczyłem, a po kilku sekundach dostrzegłem przed sobą szczupłą, ciemną sylwetkę idącą wzdłuż żelaznej balustrady. Kobieta miała wysokie czarne buty, ciemne włosy sięgały jej do połowy pleców. Przyspieszyłem kroku. Postanowiłem wyprzedzić ją dokładnie na wysokości latarni, żeby lepiej jej się przyjrzeć i upewnić się, że wszystko z nią w porządku.

Kiedy się jednak zbliżałem, coś mówiło mi, że nie.

Ten odgłos jej kroków, zbyt ciężki jak na kogoś tak drobnego, ten sztywny chód, jakby na mnie czekała. Nagle pomyślałem, że gdy będę ją mijał, odwróci się i zobaczę twarz nie tak młodą, jak przypuszczałem, ale starą. Wyniszczoną twarz starej kobiety z zapadniętymi oczami oraz ustami niczym ślad po siekierze w pniu drzewa.

Byłem już tylko kilka metrów za nią.

Wyciągnie rękę, złapie mnie za ramię, a jej chwyt będzie silny jak chwyt mężczyzny, będzie lodowaty...

Przebiegłem obok niej, ale miała spuszczoną głowę, jej twarz przesłaniały włosy. Kiedy się znowu odwróciłem, wyszła już z plamy światła i była teraz zaledwie anonimowym kształtem wyciętym z mroku, obrysowanym czerwonym konturem.

Ruszyłem przed siebie na skróty. Ścieżka wiła się wśród gęstych krzewów, gałęzie chłostały mi ramiona. Gdy będę ją mijał po raz drugi, pomyślałem, zatrzymam się i coś jej powiem – powiem, żeby wracała do domu.

Zrobiłem kolejne okrążenie, lecz po kobiecie nie było ani śladu. Zerknąłem na skarpe opadającą ku ścieżkom do jazdy konnej.

Nic.

Po kilku minutach dotarłem do Północnej Stróżówki – kamiennego budynku skąpanego w mroku, gdzie nie sięgało światło lamp. Widziałem tylko wąskie schodki wiodące do zardzewiałych podwójnych drzwi, zamkniętych i spiętych

łańcuchem. Obok znajdowała się tabliczka: WŁASNOŚĆ MIASTA NOWY JORK. WSTĘP WZBRONIONY.

Kiedy się zbliżyłem i podniosłem wzrok, zrozumiałem z przerażeniem, że ona tam jest. Stała na podeście i patrzyła na mnie z góry. Czy może patrzyła przeze mnie na wylot?

Zanim w pełni zarejestrowałem jej obecność, biegłem już dalej. Jednakże wciąż miałem przed oczami to, co zobaczyłem w owym ułamku sekundy, zupełnie jakby ktoś zrobił zdjęcie z fleszem: splątane włosy, krwistoczerwony płaszcz, który w mroku przybrał odcień zgniłego brązu, twarz tak całkowicie pogrążona w cieniu, jakby wcale jej tam nie było.

Naprawdę powinienem był sobie darować czwartą szklanę szkockiej.

Jeszcze nie tak dawno, żeby mną wstrząsnąć, potrzeba było nieco więcej. „Scott McGrath, dziennikarz, który poszedłby do piekła, byle tylko zdobyć wypowiedź Lucyfera” – tak napisał kiedyś o mnie pewien bloger. Uznałem to za komplement. Więźniowie tatuujący sobie twarze pastą do butów i własnymi szczykami, uzbrojeni smarkacze z Vigário Geral nawaleni *pedra*, szychy z Medellin, które co roku spędzają wakacje w kiciu na wyspie Rikers – to wszystko w ogóle mnie nie ruszało. Było po prostu częścią krajobrazu.

A teraz wytrąciła mnie z równowagi kobieta w ciemności.

Musiała być pijana. Albo łyknęła za dużo xanaxu. Albo to chory zakład nastolatków – podpuściła ją wredna koleżanka z Upper East Side. Chyba że to wszystko było zaplanowane i gdzieś tu czekał jej chłopak ulicznik, żeby mnie napaść.

Jeśli właśnie o to chodziło, to się rozczarują. Nie miałem przy sobie nic wartościowego z wyjątkiem kluczy, sprężynowca oraz karty miejskiej, na której było z osiem dolców.

No dobrze, może rzeczywiście przechodziłem kryzys, kiepski okres – jak zwał, tak zwał. Może nie miałem okazji się bronić od... cóż, właściwie od końca lat dziewięćdziesiątych. Ale człowiek nigdy nie zapomina, jak się walczy o życie. I nigdy nie jest za późno na to, żeby sobie przypomnieć, chyba że już nie żyjesz.

Noc stała się nienaturalnie cicha, spokojna. Ta mgła – rozlała się znad wody między drzewa, opanowała ścieżkę niczym choroba, zupełnie jakby wisały tu w powietrzu jakieś opary, opary czegoś szkodliwego.

Jeszcze minuta i znowu zbliżałem się do Północnej Stróżówki. Przebiegłem obok, spodziewając się, że zobaczę ją na podeście.

Był pusty. Po kobiecie ani śladu.

Jednakże im dłużej biegłem – ścieżką, która rozwijała się przede mną niczym tunel do nowego, mrocznego wymiaru – tym bardziej to spotkanie wydawało mi się niedokończone, jak piosenka przerwana w wyczekiwany momencie, jak terkoczący projektor filmowy, który zatrzymuje się na kilka sekund przed kluczową sceną pościgu, a ekran robi się biały. Nie mogłem pozbyć się dojmującego wrażenia, że kobieta wciąż tutaj jest, gdzieś się ukrywa i obserwuje mnie.

Przysiągłbym, że poczułem zapach perfum zmieszany z wilgotną wonią błota i deszczu. Przez zmrużone powieki wpatrywałem się w cienie zalegające na wzgórzu i oczekiwałem, że lada chwila mignie w nich czerwień jej płaszcza. Może kobieta siedziała na ławce albo stała na mostku. Czy przyszła tutaj, by zrobić sobie krzywdę? Co, jeśli wdrapała się na balustradę, czekała, patrzyła na mnie z twarzą wyzutą z nadziei, a w końcu zrobiła krok naprzód i spadła na drogę daleko w dole, niczym worek kamieni?

Może nie zorientowałem się, że wypilem też piątą szklanekę szkockiej. Albo to przekłete miasto wreszcie zaszło mi za skórę. Ruszyłem w dół po schodach w kierunku East Drive, wybiegłem na Piątą Aleję, a potem skręciłem we Wschodnią Czterdziątą Szóstą. Deszcz zmieniał się w ulewę. Pokonałem trzy przecznice, mijałem restauracje z zaciągniętymi roletami oraz jasno oświetlone przedsionki, z których znudzeni portierzy wyglądali na ulicę.

Przy wejściu do metra na Lexington Avenue usłyszałem dudnienie nadjeżdżającego pociągu. Prędko zbiegłem i przeciągnąłem kartę miejską przez czytnik w bramce. Na

peronie czekało kilka osób – paru nastolatków, starsza pani z torebką z Bloomingdale’s.

Pociąg zajechał na stację i zatrzymał się ze zgrzytem. Wsiadłem do pustego wagonu.

– Linia ekspresowa numer cztery, kierunek Brooklyn. Następna stacja: Pięćdziesiąta Dziewiąta Ulica.

Otrzęsawszy się z deszczu, patrzyłem na puste ławki i pomazany graffiti plakat reklamujący jakiś film science fiction. Ktoś oślepił biegnącego mężczyznę, zamazując mu oczy czarnym markerem.

Drzwi się zatrzasnęły. Jęknęły hamulce, pociąg zaczął odjeżdżać.

I wtedy nagle na schodach w najdalszym kącie stacji zobaczyłem lśniące czarne buty oraz czerwień, czerwony płaszcz. Kiedy kobieta schodziła coraz niżej, a przemoczone czarne włosy rozplływały jej się po ramionach jak atrament, zrozumiałem, że to ona, ta nieznajoma znad jeziora, ten duch – czymkolwiek, u diabła, była. Zanim jednak zdążyłem pojąć tę niemożliwość, zanim mój mózg zdążył zawołać: „Ona do mnie idzie!”, pociąg wpadł do tunelu, okna poczerniały i patrzyłem już tylko na siebie samego.

NOCNY FILM



24-letnia Ashley Cordova znaleziona martwa



24-letnia Ashley Cordova znaleziona martwa

Fotografia: K&M Recording

Opublikowano: 14 października 2011, Charles Dunbar

Miejski lekarz sądowy zidentyfikował ciało znalezione we czwartek w opuszczonym magazynie w Chinatown. To Ashley Cordova, córka nagrodzonego Oscarem amerykańskiego reżysera Stanisława Cordovy. Miała 24 lata.

Przyczyny śmierci na razie nie ustalono, ale, jak powiedział rzecznik biura miejskiego lekarza sądowego Hector J. Marcos, policja sprawdza doniesienie, że pani Cordova, która ponoć borykała się z depresją, popełniła samobójstwo, skacząc do szybu nie działającej windy.

Pani Cordova była pianistką, uważaną w dzieciństwie za olbrzymi talent. W wieku 12 lat zadebiutowała w Carnegie Hall, gdzie wystąpiła z *Koncertem fortepianowym G-dur* Ravela w towarzystwie Moskiewskiej Orkiestry Filharmonicznej. Wycofała się z występów w wieku 14 lat, odmawiając recitali, tras koncertowych i występów publicznych.

Wychowała się w rozległej prywatnej posiadłości ojca w górach Adirondack, zwanej Szczytem, która posłużyła jako sceneria wielu filmów pana Cordovy, w tym *Zgniatacza kciuków*, thrilleru psychologicznego z 1979 roku. Pani Cordova w 2009 roku ukończyła Amherst College. W przeciwieństwie do swego brata przyrodniego Theo Cordovy, który często występował w filmach ojca, pojawiła się tylko w jednym.

Zagrała najmłodsze z siedmiorga dzieci Stevensów w *Oddychać z królami* (1996), adaptacji powieści Augusta Haulera.

Nie udało nam się zdobyć komentarza rodziny Cordovów.

Córka Cordovy znaleziona martwa



Ashley Cordovę, 24-letnią córkę kultowego władcy cieni Stanisława Cordovy, znaleziono martwą w centrum Nowego Jorku. Podejrzewa się samobójstwo. To kolejny mroczny rozdział w życiu człowieka, który zarazem genialnie ukształtował i odrzucił własną legendę. Nasuwa się też oczywiste pytanie: czy to tylko smutny zbieg okoliczności, czy też na dynastii Cordovów ciąży klątwa? Będziemy śledzić rozwój tej historii. [The New York Times]

WIĘCEJ: FILMY, STANISŁAW CORDOVA, ASHLEY CORDOVA, KULT

809 Komentarzy

[DODAJ KOMENTARZ](#)

[NAJNOWSZE](#) [NAJSTARSZE](#) [WYBRANE](#) [NAJWIĘCEJ ODPOWIEDZI](#) Drzewko



ANONIM

Bardzo smutne.

Piątek, 14 października 2011, 23:23



chcekawy

R.I.P. Ashley C.

Piątek, 14 października 2011, 23:26



Cathie

Ten facet to socjopata. Tacy ludzie nie powinni robić filmów.

Piątek, 14 października 2011, 23:31



Bill to wysoki skrzat

DOKŁADNIE Cathie!! Nie daj Boże ktoś nakręci coś mrocznego, pokręconego i tak niepokojącego, że zwątpisz w swój skomercjalizowany światopogląd sponsorowany przez korporacje.

Piątek, 14 października 2011, 23:33



Fan Cordovy

„Co dzisiaj dowiedzione, kiedyś było wyobrazone” – William Blake

Piątek, 14 października 2011, 23:41



AWOL

Nic dziwnego. Tylko wariat mógłby nakręcić coś tak pojebanego jak Izolat 3.

Piątek, 14 października 2011, 23:43



Jess

Gdzie to widziałeś?

Piątek, 14 października 2011, 23:43



AWOL

freedom tunnel 4 rano

Piątek, 14 października 2011, 23:48



TIME Zdjęcia

KULTURA

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



1 z 18



Stanislas Cordova, Nowy Jork, grudzień 1977. To ostatnie znane zdjęcie legendarnego filmowca.

24-letnia Ashley Cordova, córka reżysera filmowego Stanislasa Cordovy, została wczoraj znaleziona martwa w opuszczonym magazynie na Dolnym Manhattanie.

We współczesnym świecie Twittera, serwisów plotkarskich i ekshibicjonizmu pozbawionego zahamowań Stanislas Cordova stanowi wyjątek. Od czasu artykułu w „Rolling Stone” w 1977 roku odmawia wywiadów i nie pojawia się publicznie. Ci, którzy z nim pracowali, zachowują absolutne milczenie. Filmografia Cordovy, obejmująca piętnaście tytułów – skręcających trzewia podróży przez światy pełne zła – zyskała już miano kultowej. Uważa się, że to najbardziej przerażające obrazy w dziejach kina. Równie zagadkowy jak jego filmy jest sam twórca, którego życie i kariera zawodowa są przedmiotem licznych kontrowersji.

TIME w kilku fotografiach przygląda się Cordovie, zagadkowej postaci, która nawet jeśli milczy i nie rzuca się w oczy, i tak wywołuje burzę.

Like 38

Tweet 90

+1 3

Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



2 z 18



Początki

Cordova był jedynakiem wychowanym przez samotną matkę w południowym Bronksie. Niewiele więcej wiadomo o jego dzieciństwie. Kiedy odkrywanie osobistych fotografii skrytego reżysera stało się kultowym zajęciem jego fanów, emerytowana nauczycielka w klasach początkowych szkoły podstawowej nr 12 stwierdziła, że Cordova znajduje się na powyższym zdjęciu (*z tyłu po lewej*). Z archiwów szkoły wynika, że w 1948 roku do jej klasy zaczął chodzić chłopiec o nazwisku Stan Cordova. Dostawał złe stopnie za „ponure zachowanie”.

Like 27

Tweet 48

+1 9

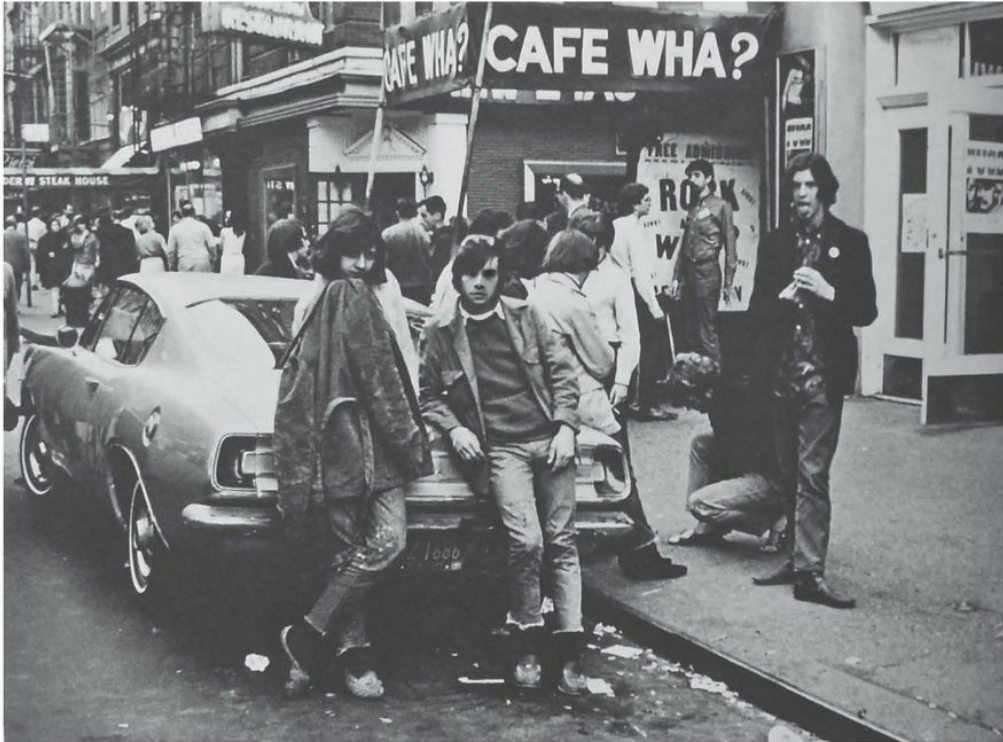
Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



3 z 18



Szef

Jessica Ramirez, była kelnerka z Cafe Wha?, twierdzi, że spotykała się z Cordovą od 1960 do 1962 roku. Według niej reżyser nie ukończył szkoły średniej i został drobnym kryminalistą. Po kradzieży ford thunderbirda zarabiał na życie jako szofer prostytutek w szemranym nocnym światku Nowego Jorku lat sześćdziesiątych, a jednocześnie pisał scenariusz swego mroźnego krew w żyłach debiutu, *Postaci skapanych w świetle* (1964). „Miał oczy kosmity – powiedziała Ramirez. – Oczy, które patrzyły na ciebie z odległości wielu lat świetlnych i wywracały cię na drugą stronę”. To jedyne ich wspólne zdjęcie, które zostało jej z tamtych czasów: Ramirez (z lewej) i Cordova (w środku).

Like 12

Tweet 87

+1 10

Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



4 z 18



Mroczny geniusz

Warner Bros. opublikowało ten fotos przedstawiający Cordovę na planie jego drugiej produkcji pt. *Dziedzictwo* (1966). W filmie, niepokojącej historii 10-letniego chłopca, który postanawia zabić miejscowego szeryfa, pojawiają się tematy stale powracające w późniejszej twórczości Cordovy: inny, przerażający świat kryjący się pod tym, co piękne i normalne, rozczłonkowana natura ludzkiej tożsamości z niewypowiedzianymi obawami, skrywaną agresją i niemoralnymi pragnieniami seksualnymi, a także sam „nocny film” jako zniewalające, wyczerpujące emocjonalnie doświadczenie. Kiedy Cordova przestał pojawiać się publicznie, niektórzy zaczęli powątpiewać, czy rzeczywiście jest mężczyzną z tego zdjęcia.

Like 67

Tweet 12

+1 30

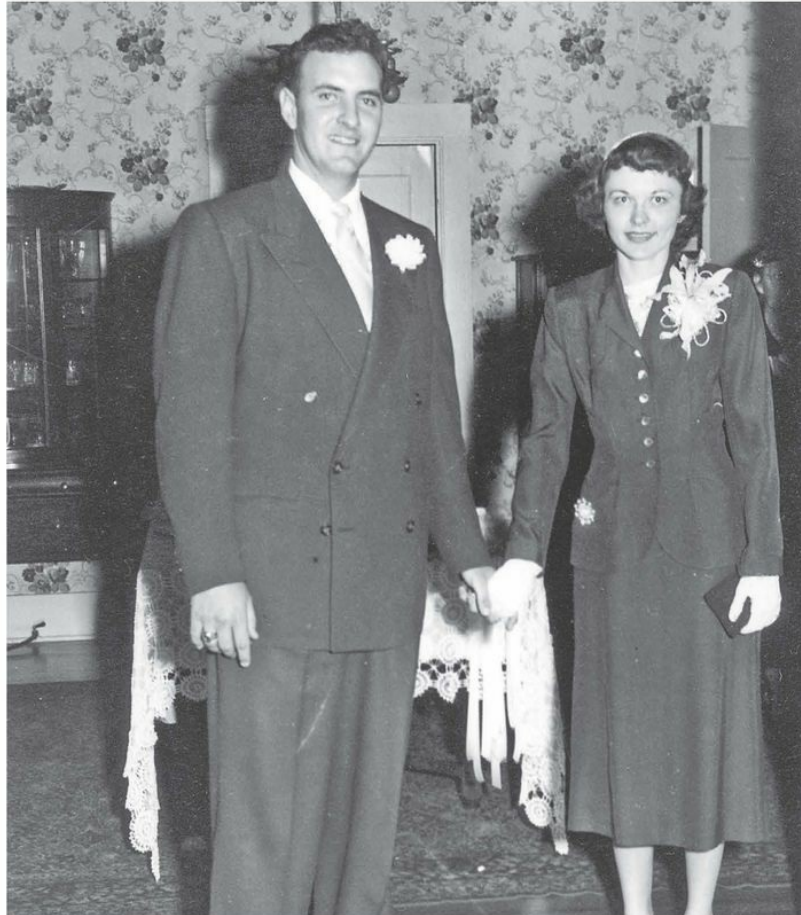
Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



5 z 18



Prawa ręka

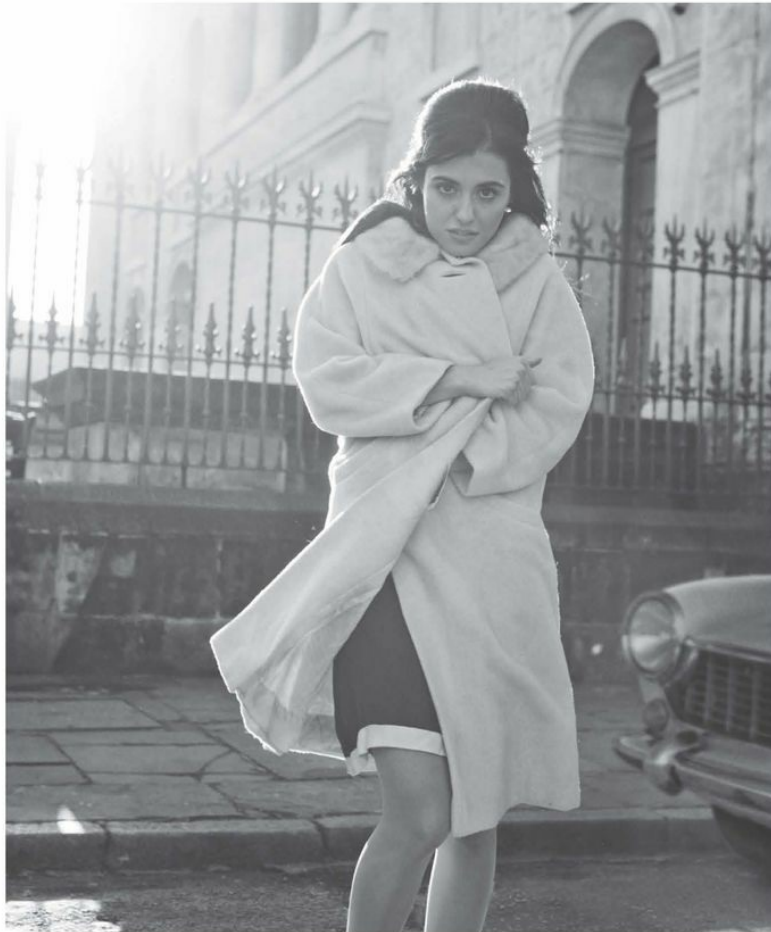
Począwszy od drugiego filmu Cordovy, jego najbliższym współpracownikiem stała się Inez Gallo. Gallo była ponoć meksykańską gospodynią domową (*powyżej na zdjęciu ślubnym*), kiedy w sierpniu 1965 roku poznała Cordovę w wagonie metra linii Q jadącym na Brooklyn. Kilka dni później porzuciła rodzinę i przez kolejne trzydzieści lat występowała jako „Asystentka pana Cordovy” na listach płac jego piętnastu filmów. Publicznie pojawiła się tylko raz, podczas przyznania nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej w 1980 roku, kiedy ubrana w glany w imieniu Cordovy odebrała Oscara w kategorii „najlepsza reżyseria” za *Zgniatacz kciuków* (1979). Jej przemowa, składająca się z jednego zdania, była apelem o to, żeby ludzie „wyrwali się ze swych zamkniętych pokoi, prawdziwych lub wymyślonych”. Ten występ dał początek pogłoskom, że to Gallo jest prawdziwym geniuszem stojącym za twórczością Cordovy. Film z ceremonii ma ponad trzy miliony wyświetleń na YouTube.

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



6 z 18



Dziedziczka

W czerwcu 1975 roku Cordova ożenił się z Genevrą Castagnello, włoską modelką i dziedziczką bankierskiej fortuny. Rok później kupili rozległą posiadłość w górach Adirondack znaną jako Szczyt. Dawniej był to letni dom Rockefellerów. Wkrótce po narodzinach syna Theodore'a Genevrę znaleziono martwą. Przypadkowo utonęła w jeziorze na terenie posiadłości. Uważa się, że jej śmierć była przyczyną pogłębiającej się izolacji Cordovy od świata, jak również tego, że fundamentem jego twórczości stało się zło.

Like 34

Tweet 61

+1 32

Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



7 z 18



Szczyt

Od 1976 roku Cordova mieszka i realizuje wszystkie swoje filmy na terenie 120-hektarowej posiadłości w stanie Nowy Jork, na dzikim odludziu w okolicach jeziora Lows. Ze względu na odizolowanie od świata – najbliższe miasteczko to liczące 829 mieszkańców Crowthorpe Falls – a także dobrze udokumentowany fakt, że całą posesję okala sześciometrowe ogrodzenie pod napięciem, na temat życia Cordovy w tej posiadłości krąży wiele plotek i spekulacji.

Like 71

Tweet 25

+1 2

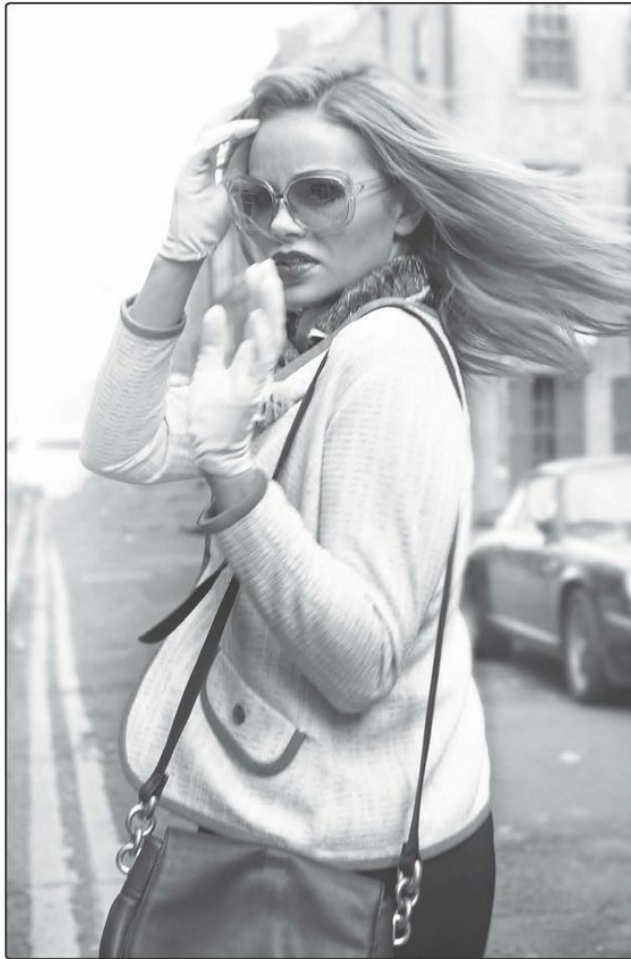
Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



8 z 18



Muza

Aktorka i legendarna piękność Marlowe Hughes została drugą żoną Cordovy, kiedy kręcił film *Owoc miłości* (1985), ale związek unieważniono zaledwie trzy miesiące później. Hughes odmówiła publicznych wypowiedzi na temat reżysera oraz ich małżeństwa, natomiast jej wstrząsająca kreacja żony polityka, która poluje na szantażystę grożącemu ujawnieniem, że w przeszłości była dziecięcą prostytutką, spotkała się z entuzjastycznymi recenzjami, najlepszymi w karierze aktorki. Sam film, opatrzony najwyższą kategorią wiekową, był ostatnią produkcją Cordovy, która doczekała się szerokiej dystrybucji kinowej.

Like 1

Tweet 48

+1 54

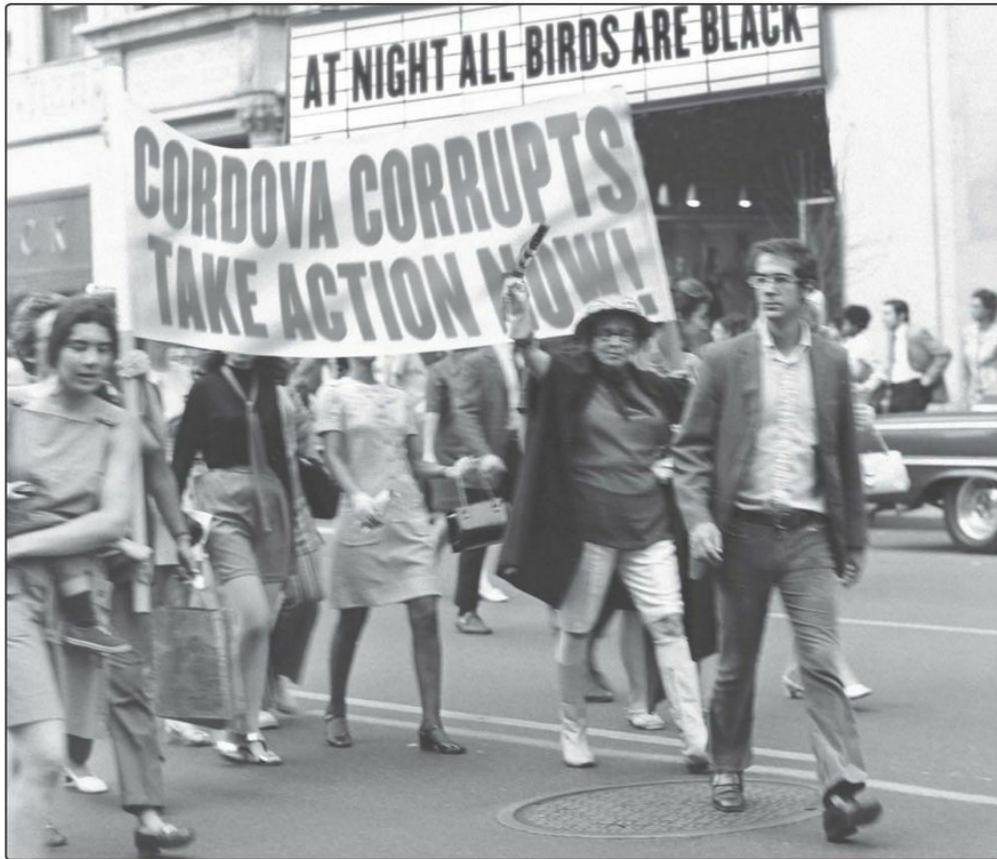
Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



9 z 18



Fiasko czy sprytny chwyt marketingowy?

Dziesiąty film Cordovy, *W nocy wszystkie ptaki są czarne* (1987) – opowiadający o nastolatce, która ucieka się do drastycznych środków, żeby odnaleźć zaginionego ojca – został potępiony przez MPAA (Amerykańskie Stowarzyszenie Filmowe) i wywołał protesty oburzonych grup strzegących chrześcijańskiej moralności (powyżej). Kiedy podczas pokazu testowego pewna młoda kobieta przeżyła załamanie nerwowe, Warner Bros. odmówiło dystrybucji filmu. Po kilku miesiącach zaczęły krążyć pogłoski o nielegalnych pokazach urządzanych w rozległej sieci tuneli pod Paryżem, Miastem Świąteł.

Like 65

Tweet 18

+1 32

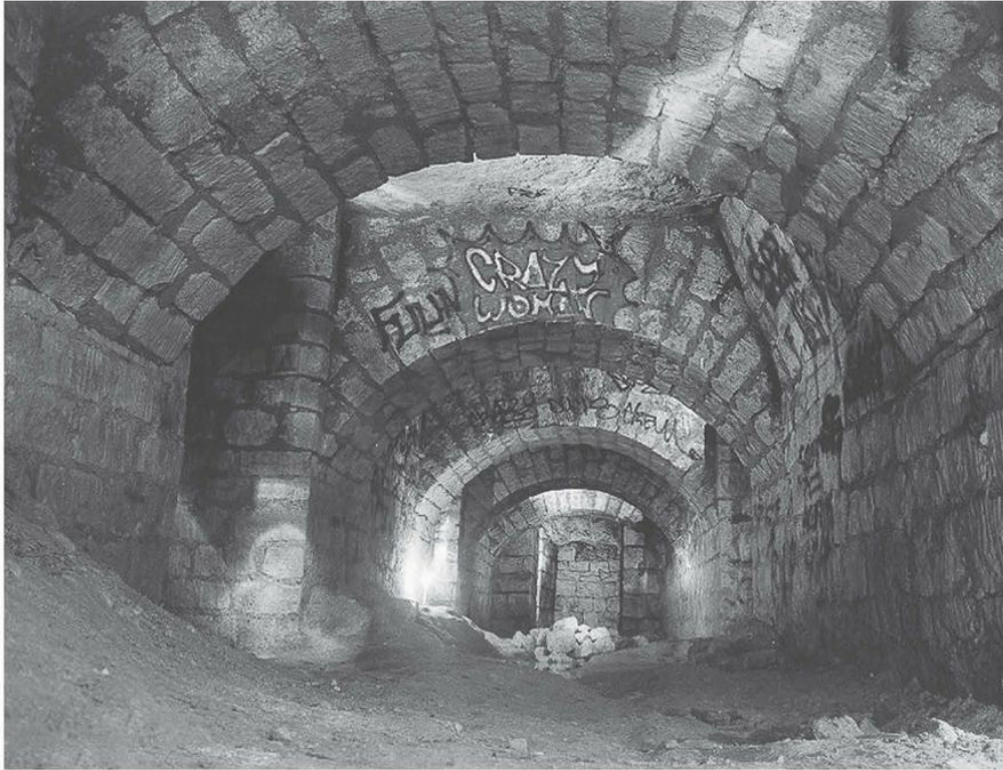
Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



10 z 18



Miejskie podbrzusze

Tajne pokazy filmów Cordovy – znane jako „zakazane seanse” – zapoczątkowano w paryskich katakumbach, labiryncie podziemnych korytarzy powstałych w XII wieku. Ściany, co doskonale pasuje, zbudowane są tam z ludzkich kości. Wkrótce podziemne seanse odbywały się już w całej Europie, Ameryce i Japonii. To właśnie wtedy Cordova zaczął być postrzegany jako wywrotowy mag mrocznego, przerażającego świata, wyzwolonego z komercyjnego jarzma głównego nurtu społeczeństwa.

Like 21

Tweet 14

+1 3

Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



Symbol suwerenności

W niesławnym wywiadzie dla „Rolling Stone” z 1977 roku – swym ostatnim publicznym wystąpieniu – Cordova przyznał, że ulubionym kadrem z jego filmów jest zbliżenie na oko zabójcy w *Postaciach skąpanych w świetle*. Zagadkowo opisał ten obraz jako „suwerenny, zabójczy, perfekcyjny”. Przyznał również, że jest to jego oko. Jeśli dokładnie się przyjrzeć, w tęczówce widać odbicie krzyczącej kobiety. Kiedy Cordova zniknął ze sceny publicznej, jego fani – nazywający siebie cordovitami – wykorzystali te słowa jako slogan, a stylizowana wersja kadru z okiem stała się symbolem potajemnych seansów jego filmów.

A button with the Facebook 'f' logo, the text "Like", and a small box containing the number "25".

A button with the Twitter bird logo, the text "Tweet", and a small box containing the number "39".

A button with the Google+ logo, the text "+1", and a small box containing the number "81".

A button with the LinkedIn 'in' logo and the text "Share".



Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



12 z 18



Ostatni zjazd do Cordovy

1 października 1989 roku o godzinie 2.14 nad ranem na stacji metra w Berlinie młoda kobieta przygląda się tajemniczym wskazówkom informującym o pokazie *La Douleur* (1989).

Like < 90

Tweet < 76

+1 < 51

Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



13 z 18



Preludium do piekła

Osoby uczestniczące w zakazanych seansach rzadko o nich opowiadają. Niektórzy twierdzą, że pokazy – odbywające się w budynkach przeznaczonych do rozbiórki oraz zamkniętych tunelach pod miastem – są tak straszne, że widzowie nieraz mdleją z przerażenia. Inni twierdzą, że przegradzają się one w trwające całymi dniami orgie. Powyżej: anonimowy artysta uliczny tańczy w oczekiwaniu na pokaz *Tu na mnie czekaj* (1993), pierwszego stuprocentowego horroru Cordovy o serii niewyjaśnionych morderstw, które wstrząsają prowincjonalnym miasteczkiem w Karolinie Południowej. Ten artysta uliczny twierdził później, że obejrzenie tego filmu było jak „pozostawienie w tyle swego dawnego ja, przejście przez piekło i ponowne narodzenie”.

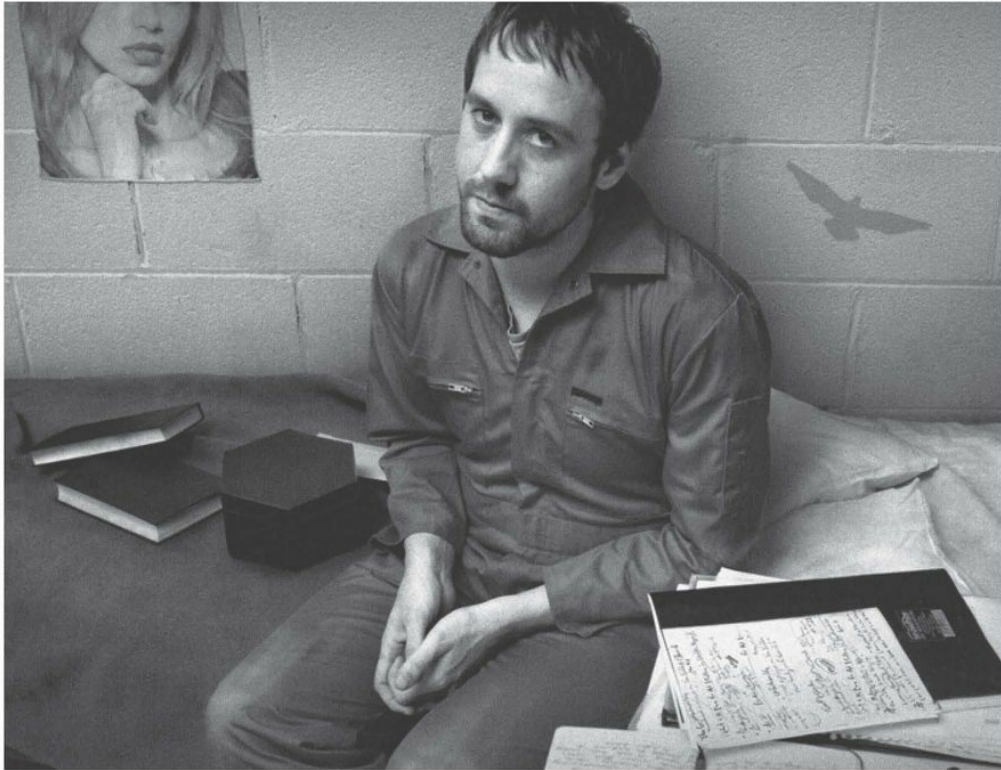


Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



14 z 18



Naśladowca

W lutym 2000 roku w opuszczonej pielni w Kalamazoo w stanie Michigan znaleziono okaleczone zwłoki 8-letniej Amy Andrews. Władze ustaliły, że rany przypominały te odniesione przez małą Alice Reinhart, jedną z ofiar w filmie *Tu na mnie czekaj* (1993). Kiedy zatrzymano podejrzanego, 22-letniego Hugh Thistletona, w jego mieszkaniu znaleziono płyty DVD z pirackimi kopiami czarnych taśm Cordovy – jego pięciu ostatnich filmów. Rodzina Andrewsów utworzyła organizację Światło Amy, stawiającą sobie za cel wykupienie i zniszczenie wszystkich nielegalnych egzemplarzy dzieł Cordovy sprzedawanych anonimowo w internecie.

Like 54

Tweet 12

+1 8

Share



Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



15 z 18



Zniesławienie

12 maja 2006 roku w programie *Nightline* na antenie ABC wielokrotnie nagradzany dziennikarz śledczy Scott McGrath oznajmił, że jego kolejnym tematem będzie Cordova. Stwierdził, że Cordova to „drapieżca – tego samego formatu co [Charles] Manson, Jim Jones, pułkownik Kurtz”, nawiązując do barbarzyńskiego mordercy z *Czasu Apokalipsy*. McGrath wspomniał również, że „ktoś musi usunąć [Cordovę] definitywnie”. Dwa dni po emisji programu prawnicy reprezentujący Cordovę (powyżej) złożyli przeciwko McGrathowi pozew o milion dolarów za zniesławienie. Choć zawarto ugodę pozasądową, to „źródło informacji” dziennikarza – były szofer Cordovy – okazało się później całkowicie fikcyjne, co spowodowało zwolnienie McGratha z redakcji magazynu „Insider”.

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



16 z 18



Piękne dziecko

Swoją trzecią żonę, francuską kostiumografkę Astrid Goncourt, reżyser poślubił przypuszczalnie w 1986 roku. Ich córka Ashley jako ośmiolatka wystąpiła w ostatnim znanym filmie Cordovy, *Oddychać z królami* (1996). Później, posługując się nazwiskiem Ashley DeRouin, zasłynęła jako genialna młoda pianistka. Zadebiutowała w Carnegie Hall w wieku 12 lat. 13 października 2011 roku znaleziono ją martwą w opuszczonym magazynie w Chinatown. Miała 24 lata.

Like 50

Tweet 49

+1 7

Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



17 z 18



Oczekiwanie

Cordova nie wystąpił publicznie od 1977 roku. W 2003 roku pojawiły się informacje, że reżyser pracuje nad nowym filmem pod roboczym tytułem *Matylda* – choć brakowało jakichkolwiek dowodów potwierdzających rozpoczęcie produkcji. Cordovici przyjęli za swój symbol czerwonego ptaka, który pojawia się przelotnie we wszystkich piętnastu filmach twórcy: symbol surowego piękna, ludzkiego zrywu do wolności oraz szansy na transcendencję w obliczu niewyobraźnego okropieństwa.

Like 78

Tweet 21

+1 12

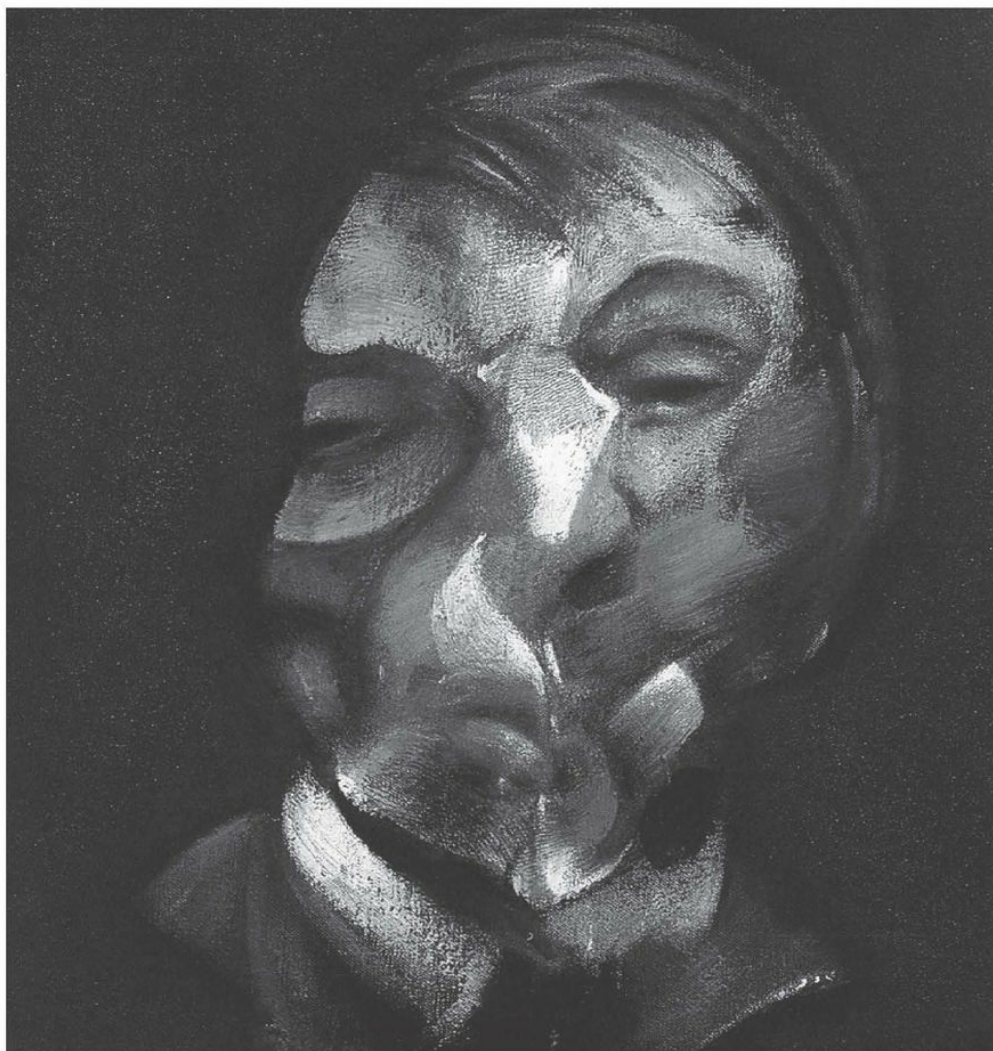
Share

Ostatnia enigma

14.10.2011 | Dodaj komentarz



18 z 18



Ostatni szept

Pogłoski na temat reżysera są w internecie analizowane i rozbierane na czynniki pierwsze na ukrytej stronie fanowskiej znanej jako Blackboards. Choć stale przewijają się pogłoski o tym, że Cordova padł ofiarą szaleństwa, szpecącej choroby albo nawet nie żyje, to 2 czerwca 2008 roku pojawiła się skromna wskazówka sugerująca, gdzie może przebywać. Anonimowy pracownik domu aukcyjnego Christie's w Londynie przedstawił prasie rachunek z aukcji sztuki współczesnej. Dokument ten stwierdzał, że *Autoportret* Francisca Bacona (1971) za nieujawnioną sumę ośmiocyfrową kupił niejaki „S. Cordova”.

1

Duży żyrandol zalewał tłum złotym blaskiem, a ja przyglądałem się uczestnikom imprezy w lustrze z brązu, które wisiało nad kominkiem. Z zaskoczeniem dostrzegłem kogoś, kogo ledwo poznałem: siebie samego. W niebieskiej koszuli i sportowej marynarce, z trzecim albo czwartym – traciłem rachubę – drinkiem w dłoni, opierałem się o ścianę, jakbym pilnował, żeby się nie zawałiła. Wyglądałem nie jak na koktajlu, ale na lotnisku, jak gdybym czekał, aż moje życie wystartuje.

Odlot przesunięto na czas nieokreślony.

Ilekroć lądowałem na tych wieczorkach dobroczynnych, zgubionych pamiątkach po moim życiu żonatego mężczyzny, zachodziłem w głowę, po co wciąż na nie przychodzę.

Może lubiłem stawać naprzeciw plutonu egzekucyjnego.

– Scott McGrath! Jak miło cię widzieć!

Chciałbym móc powiedzieć to samo, pomyślałem.

– Pracujesz ostatnio nad czymś ciekawym?

Nad mięśniami brzucha.

– Dalej wykładasz dziennikarstwo w New School?

Zasugerowano mi urlop naukowy. Innymi słowy: cięcia kadrowe.

– Nie wiedziałem, że jeszcze jesteś w Nowym Jorku.

Na ten tekst nigdy nie umiałem odpowiedzieć. Czy ci ludzie myślą, że zesłano mnie na Wyspę Świętej Heleny jak Napoleona po bitwie pod Waterloo?

Trafiłem na to przyjęcie dzięki Birdie, przyjaciółce mojej byłej żony, Cynthii. Bawiło mnie, a także mi schlebiało, że jeszcze tak długo po tym, jak żona rozwiodła się ze mną i odpłynęła na bardziej modre wody, gęsta ławica jej koleżanek wciąż wirowała wokół mnie, jakbym był intrygującym wrakiem, i szukała szczątków, które można by wyłowić i zabrać do domu. Birdie była blondynką po czterdziestce i przez ostatnie dwie godziny nie odstępowała mnie ani na krok. Raz po raz ścisnęła moje ramię – sygnał, że jej mąż, jakiś facet od funduszy hedgingowych, wyjechał z miasta, a trojgu dzieciom urządziła Guantanamo

z opiekunką. Dopiero gdy pani domu wezwała Birdie, żeby pokazać jej odnowioną kuchnię, wreszcie zostawiła mnie samego.

– Nigdzie się nie ruszaj – rzuciła na odchodnym.

A właśnie, że się ruszyłem. Ten wrak chciał pozostać zatopiony. Opróżniłem szklanę szkockiej i akurat miałem wrócić do baru, kiedy w kieszeni zawibrowała mi komórka.

Wymknąłem się na podest schodów na pierwszym piętrze. To SMS od mojego byłego prawnika, Stu Laughtona. Nie odzywał się od co najmniej pół roku.

Znaleźli ciało córki Cordovy. Zadzwoń.

Zamknąłem wiadomość i wpisałem w Google'a nazwisko Cordova. Zacząłem przewijać wyniki.

To była prawda. A w paru artykułach pojawiało się moje nazwisko.

„Skompromitowany dziennikarz Scott McGrath...”

Gdy tylko ta wiadomość rozejdzie się wśród gości przyjęcia, znajdę się na celowniku, zarzucą mnie pytaniami.

Natychmiast wytrzeźwiałem. Przecisnąłem się między ludźmi i zszedłem po krętych marmurowych schodach. Nikt się do mnie nie odezwał, kiedy zabrałem płaszcz, minąłem brązowe popiersie pani domu (rzeźbiarz wykazał się bezwstydną inwencją twórczą, upodabniając ją do Elizabeth Taylor), przekroczyłem próg drzwi frontowych, a potem po stopniach kamienicy wyszedłem na Wschodnią Dziewięćdziesiątą Czwartą Ulicę. Udałem się w stronę Piątej Alei, wdychając wilgoć październikowej nocy. Zatrzymałem taksówkę i wsadłem do środka.

– Róg Zachodniej Czterdziestej i Perry.

Gdy ruszyliśmy, opuściłem szybę. Poczułem ucisk w żołądku, kiedy dotarło do mnie, co się stało: znaleźli ciało córki Cordovy. Co ja wtedy palnąłem w telewizji?

„Cordova to drapieżca – tego samego formatu co Manson, Jim Jones, pułkownik Kurtz. Mój informator pracował dla tej rodziny przez wiele lat. Ktoś musi usunąć tego faceta definitywnie”.

Ten natchniony kąsek kosztował mnie karierę i reputację – a do tego ćwierć miliona dolarów – co nie zmieniało faktu, że powiedziałem prawdę. Chociaż po wzmiance o Charlesie Mansonie pewnie należało się zamknąć.

Rozbawiło mnie to, że czuję się jak zbieg – choć może powinienem raczej porównać się do ekstremisty figurującego na liście poszukiwanych przez FBI. Musiałem jednak przyznać, że było coś elektryzującego w ponownym widoku tego nazwiska: Cordova; w świadomości, że może, kto wie, znowu powinienem uciekać, jeśli mi życie miłe.

2

Dwadzieścia minut później wszedłem do swojego mieszkania przy Perry Street 30.

– Przecież mówiłam, że muszę stąd wyjść przed dziewiątą – oznajmił głos za moimi plecami, kiedy zamykałem drzwi. – Jest po pierwszej. Co to ma być, do cholery?

Nazywała się Jeannie, zupełnie jak bohaterka serialu *Marzę o Jeannie*, tyle że o niej nie marzyłyby żaden facet przy zdrowych zmysłach. Moja była żona, w ramach trwającej osiemnaście lat promocji „dwa w cenie jednego”, postawiła wymóg, żebym na dwa weekendy w miesiącu, kiedy zabierałem do siebie moją pięcioletnią córkę Samanthę, przygarniał również jej opiekunkę. Dziewczyna miała dwadzieścia cztery lata, studiowała pedagogikę na Uniwersytecie Columbia i kiedy córka trafiała pod moją ryzykowną pieczę, wyraźnie delektowała się swoją silną pozycją przydzielonego Sam ochroniarza, prywatnej eskorty i żołnierza Blackwater w jednej osobie. W tym układzie ja byłem niestabilnym państwem Trzeciego Świata ze skorumpowanym rządem, katastrofalną infrastrukturą, zamieszkami rebeliantów i upadającą gospodarką.

– Przepraszam – powiedziałem, rzucając marynarkę na krzesło. – Straciłem poczucie czasu. Gdzie Sam?

– Śpi.

– Znalazłaś jej piżamę w chmurki?

– Nie. Już od czterech godzin powinnam się uczyć z kolegami.

– Zapłacę ci podwójnie, żebyś miała na korepetycje.

Wyjąłem portfel i wręczyłem Jeannie jakieś pięćset dolarów, które skwapliwie schowała do plecaka. Potem ostrożnie ją obszedłem i ruszyłem korytarzem.

– Aha, Cynthia pyta, czy w przyszłym tygodniu zamieni się pan z nią na weekendy.

Przystanąłem przed zamkniętymi drzwiami na końcu holu i odwróciłem się do niej.

– Dlaczego?

– Wyjeżdżają z Bruce'em do Santa Barbara.

– Nie.

- Nie?
- Mam już plany. Będziemy się trzymać stałego rozkładu.
- Ale oni już wszystko załatwili.
- To mogą odwołać.

Jeannie otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz zaraz je zamknęła. Słusznie wyczuła, że mieszanie się między dwie osoby, które kiedyś były bratnimi duszami, ale już nimi nie są, można porównać do zapuszczania się w plemienne rejony Pakistanu.

- Zadzwoni do pana w tej sprawie – powiedziała cicho.
- Dobranoc, Jeannie.

Dziewczyna westchnęła z powątpiewaniem, a potem sama trafiła do wyjścia. Udałem się do gabinetu, włączyłem lampkę na biurku i trąciłem za sobą drzwi.

Santa Barbara? Takiego wała.

3

Mój gabinet mieścił się w małym, zaniedbanym pokoju o zielonych ścianach, pełnym szafek z dokumentami, fotografii, czasopism i stosów książek.

Na biurku stała ramka ze zdjęciem Samantha w dniu narodzin – jej buzia wydawała się bardzo stara i przypominała elfa. Na ścianie wisiał plakat z eleganckim, lecz zmęczonym Alainem Delonem w filmie *Samuraj*. Dostałem go od mojego dawnego redaktora z „Insidera”. Twierdził, że przypominał mu głównego bohatera – samotnego francuskiego zabójcę egzystencjalistę – i nie był to komplement. Po przeciwnej stronie pokoju stała pamiątka z czasów bractwa studenckiego Fi Psi na Uniwersytecie Michigan: zapadnięta brązowa kanapa ze skóry (na której zarówno straciłem dziewictwo, jak i przygotowałem wszystkie najlepsze teksty). Powyżej wisiały oprawione w ramki okładki moich książek: *Naród MasterCard*, *Polowanie na kapitana Haka: piractwo na otwartych morzach*, *Czarna breja: brudne sekrety przemysłu naftowego*, *Kokainowy karnawał*. Były już wyblakłe, a projekty obwolut mocno kojarzyły się z końcem lat dziewięćdziesiątych. Towarzyszyły im kopie moich najsłynniejszych artykułów z „Esquire’a”, „Time’a” i „Insidera”: *W poszukiwaniu Eldorado*, *Piekło czarnego śniegu*, *Przeżyć w syberyjskim więzieniu*. Dwa olbrzymie okna naprzeciwko drzwi wychodziły na Perry Street i na w pół obumarłą topolę, ale było teraz za ciemno, żeby ją zobaczyć.

Podszedłem do regału w rogu pokoju. Obok wisiała moja fotografia z Manaus, na której obejmowałem ramieniem rzecznego handlarza *hecatao*. Byłem na niej irytująco szczęśliwy i opalony. Zerknąłem na tę pamiątkę dawnego życia i nalałem sobie szkockiej.

Trzy skrzynki Macallan Cask Strength kupiłem w 2007 roku podczas trzytygodniowej wycieczki samochodowej po Szkocji. Odbyłem ją za światłą namową mojego psychoterapeuty, doktora Weavera, po tym jak Cynthia poinformowała, że wraz z moją dziewięćmiesięczną córeczką zostawia mnie dla Bruce’a – inwestora wysokiego ryzyka, z którym miała romans.

Minęło wtedy zaledwie kilka miesięcy, odkąd Cordova przyłożył mi pozwem za zniesławienie. Można się było spodziewać, że z litości Cynthia będzie dawkować złe wieści: najpierw powie, że za dużo podróżuję, potem, że mnie zdradza, potem, że zakochała się na zabój, a dopiero na samym końcu – że oboje postanowili rozwieść się ze swoimi małżonkami, żeby być razem. Ale nie, wszystko nastąpiło jednego dnia, jakby w spokojne nadmorskie miasteczko, które już wcześniej dotknęła klęska głodu, teraz uderzyły lawina błotna, tsunami i meteoryt, a na koniec jeszcze mała inwazja kosmitów.

Choć może to i lepiej: na dość wczesnym etapie tego łańcucha kolejne katastrofy nie miały już czego niszczyć.

Celem mojej wycieczki do Szkocji był nowy początek, spuszczenie zasłony na przeszłość. Miałem odnaleźć swoje korzenie, a co za tym idzie – siebie samego, odwiedzając miejsce, w którym przyszły na świat i dojrzewały cztery pokolenia McGrathów: maleńką miejscowość Fogwatt w szkockim hrabstwie Moray. Już z samej nazwy powinienem był się domyślić, że nie czeka mnie miasteczko z bajki. Pomysł doktora Weavera poskutkował mniej więcej takim odkryciem, jakby się okazało, że moi przodkowie pochodzą z oddziału psychiatrycznego dla niebezpiecznych pacjentów. Fogwatt składało się z kilku krzywych białych domków przyklepionych do szarego pagórka niczym ostatnie zęby w dziąsłach starca. Ulicami maszerowały kobiety z zawziętymi minami osób, które przetrwały zarazę. Każdy bar w mieście obsiadali milczący, tłuści mężczyźni o czerwonych fizjonomiach. Gdy wylądowałem w łóżku z atrakcyjną barmanką Maisie, już myślałem, że sprawy mają się ku lepszemu, ale przyszło mi do głowy, że to może być moja daleka kuzynka. Kiedy człowiek myśli, że sięgnął dna, okazuje się, że stoi na kolejnej zapadni.

Obaliłem szkocką – od razu poczułem w sobie więcej życia – a potem nałamałem sobie kolejną i podszedłem do szafy za biurkiem.

Nie zaglądałem tam od co najmniej roku.

Drzwi szafy się zacięły, więc musiałem otworzyć je siłą, odtrącając nogą stare trampki oraz projekty domku plażowego w Amagansett, który kiedyś chciałem kupić Cynthii, żeby w ostatniej chwili „wszystko poukładać”. Plaster małżeński za milion dolarów to nie może być mądry pomysł. Wyszarpnąłem przedmiot, który blokował drzwi: ramkę ze wspólnym zdjęciem moim i Cynthii, zrobionym, kiedy jeździliśmy po Brazylii na ducati w poszukiwaniu nielegalnych kopalń złota. Byliśmy tacy zakochani. Nikt by nie uwierzył, że kiedyś może być inaczej. Boże, ależ ona była piękna. Cisnąłem zdjęcie na bok, odepchnąłem stosy „National Geographic” i znalazłem to, czego szukałem: kartonowe pudło.

Wyciągnąłem je, zaniósłem na biurko, a potem usiałem w fotelu i wbiłem w nie wzrok.

Taśma, którą zakleiliśmy pudełko, w niektórych miejscach się odlepiła.

Cordova.

Decyzja sprzed pięciu lat, żeby wybrać tego człowieka na temat kolejnego artykułu, była przypadkowa. Właśnie wróciłem z wyczerpującego sześciotygodniowego pobytu we Freetown, slumsie w Sierra Leone. Około trzeciej rano, zmęczony po długim locie i całkowicie rozbudzony, natknąłem się w sieci na artykuł o Świetle Amy, organizacji non profit, która przeczesywała internet w poszukiwaniu „czarnych taśm” Cordovy, wykupywała je i niszczyła. Założyła ją matka dziewczynki brutalnie zamordowanej przez imitatora reżysera. Hugh Thistleton, tak jak w filmie *Tu na mnie czekaj*, porwał jej córkę Amy z rogu ulicy, gdzie czekała, aż brat wyjdzie ze sklepu spożywczego. Zawiózł ją do opuszczonej papierni i przepuścił przez maszynę.

„Celem organizacji jest powstrzymanie Cordovy przed zakażaniem umysłów młodych ludzi” – informowano na stronie. Ta misja wydała mi się znacząca ze względu na swą niewykonalność. Spróbować oczyścić internet z Cordovy to zupełnie tak, jakby chcieć oczyścić Amazonkę z insektów. Nie zgadzałem się zresztą z takim postawieniem sprawy. Jako

dziennikarz uważałem wolność słowa za fundament – zasadę tak głęboko zakorzenioną w amerykańskości, że ustąpienie choćby o cal doprowadziłoby ten kraj do zguby. Byłem zagorzałym przeciwnikiem cenzury – Cordova odpowiadał za makabryczną śmierć Amy Andrews w nie większym stopniu niż producenci wołowiny za to, że Amerykanie umierają na atak serca. Chociaż niektórzy dla własnego spokoju bardzo chcą wierzyć, że zło tego świata ma jednoznaczną przyczynę, prawda nigdy nie jest taka prosta.

Aż do owej nocy nie poświęcałem Cordovie szczególnej uwagi. Ot, podobały mi się (i przyprawiały mnie o dreszcze) niektóre z jego wczesnych filmów. Ale roztrząsanie motywów tego reżysera pustelnika nie było moim zawodowym celem, nie mieściło się w mojej specjalności. Zajmowałem się tematami wielkiej wagi, kwestiami życia i śmierci. Kiedy potrzebowałem nowego tematu, serce kazało szukać spraw najbardziej beznadziejnych z beznadziejnych.

Nie wiedzieć czemu tamtej nocy moje serce przywiązało się właśnie do tej.

Może dlatego, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej urodziła się Sam, więc stając nagle przed perspektywą ojcostwa, byłem bardziej podatny na ideę ochrony tej pięknej, czystej karty – ochrony każdego dziecka – przed destrukcyjnymi koszmarami, które uosabiał Cordova. Bez względu na przyczynę, im dłużej przeglądałem setki blogów, stron fanowskich i anonimowych forów, czytałem wpisy dzieci często nawet dziewięcio- czy dziesięcioletnich, tym silniejsze było moje poczucie, że z Cordovą rzeczywiście coś jest nie tak.

Z perspektywy czasu to doświadczenie przypomniało mi o pewnym reporterze alkoholiku z RPA, którego spotkałem w 2003 roku w hotelu Hilton w Nairobi, gdy pracowałem tam nad artykułem o handlu kością słoniową. Właśnie wybierał się do odizolowanej wioski na południowym zachodzie kraju, niedaleko granicy z Tanzanią, gdzie wymierało plemię Taita, uznane za *walaani* – to znaczy przeklęte – ponieważ żadne nowo narodzone

dziecko nie żyło dłużej niż jedenaście dni. Poznaliśmy się w hotelowym barze. Najpierw wspólnie uzalaliśmy się nad sobą, ponieważ obaj przeżyliśmy ostatnio napad i kradzież samochodu (co potwierdzało popularną nazwę tego miasta: Nairabunek). Potem mężczyzna przyznał, że myśli o tym, żeby nazajutrz rano zrezygnować z podróży autobusem i całkowicie porzucić ten temat ze względu na los trzech poprzednich reporterów, którzy wcześniej wybrali się do owej wioski. Jeden najwyraźniej zwariował i teraz snuł się po ulicach, wygadując bzdury. Drugi rzucił pracę, a tydzień później powiesił się w pokoju hotelowym w Mombasie. Trzeci zapadł się pod ziemię, porzucając rodzinę oraz posadę we włoskim dzienniku „Corriere della Sera”.

– On jest zatruty – wymamrotał dziennikarz. – Ten temat. Niektóre takie są. – Zaśmiałem się pod nosem, ponieważ uznałem, że taka skłonność do dramatyzowania to skutek uboczny działania chivas regal, którą złopaliśmy przez całą noc. On jednak mówił dalej: – To *lintwurm*. – Zmrużył podkrążone oczy, szukając na mojej twarzy zrozumienia. – Tasiemiec, który połknął własny ogon. Bez sensu za nim gonić, bo on nie ma końca. Wreszcie oplecie się człowiekowi wokół serca i wycisnie całą krew. – Uniósł zaciśniętą pięść. – *Dit suig jou droog*. Są takie tematy, od których trzeba uciekać, póki jeszcze ma się nogi.

Nigdy się nie dowiedziałem, czy dotarł do tamtej wioski.

„Znaleźli ciało córki Cordovy”. Ta myśl sprowadziła mnie znów do teraźniejszości, więc otworzyłem stare pudło, wyciągnąłem plik papierów i zacząłem je przeglądać.

Najpierw: spisana na maszynie lista wszystkich aktorów, którzy pracowali z Cordovą. Potem lista miejsc, gdzie kręcono jego pierwszy film, *Postaci skąpane w świetle*. Recenzja *Zniekształcenia* autorstwa Pauline Kael, zatytułowana *Rozplątać niewinność*. Fotos z ostatnim ujęciem *Owocu miłości*, w którym Marlowe Hughes leży w łóżku. Moje przepisane na maszynie notatki z Crowthorpe Falls. Moje zdjęcie ogrodzenia wokół Szczytu, posiadłości Cordovy. Program kursu na temat Cordovy, który Wolfgang Beckman prowadził kilka lat temu na filmówce

Uniwersytetu Columbia, ale po kilkorgu zajęć musiał go odwołać z powodu oburzenia rodziców. (Przewrotnie zatytułował kurs: „Wybrane zagadnienia z Cordovy: Mrocznie żywy i absolutnie przerażający”). DVD z filmem dokumentalnym o Cordovie pod tytułem *Stróż ciemności* nakręconym przez telewizję PBS w 2003 roku. I wreszcie zapis anonimowej rozmowy telefonicznej.

John. Tajemniczy rozmówca, który mnie pogrążył.

Wyciągnąłem ze stosu trzy kartki.

Ilekcroć je przeglądałem, zapisane zaledwie kilka minut po odłożeniu słuchawki, bezskutecznie usiłowałem znaleźć ten moment rozmowy, kiedy straciłem głowę. Co dokładnie skłoniło mnie, żeby zlekceważyć dwadzieścia lat doświadczenia i po niespełna dobie skompromitować się w telewizji?

Zapis rozmowy telefonicznej - anonimowy rozmówca, „John”

S. McGrath, 11 maja 2006, godz. 23.06-23.11

SM: Halo.
Rozmówca: Czy to Scott McGrath, ten dziennikarz?
SM: Tak. Kto mówi?

Brak natychmiastowej odpowiedzi. To głos starszego mężczyzny, [sześćdziesiąt kilka, siedemdziesiąt lat.]

Rozmówca: Podobno zajmuje się pan Cordova.
SM: Skąd pan to wie?
Rozmówca: Wieści się rozchodzą.
SM: Pan jest jego znajomym?

Brak odpowiedzi. Wydaje się zdenerwowany.

Rozmówca: Nie chcę, żeby ta rozmowa była nagrywana.
SM: Nie jest. Jak się pan nazywa?
Rozmówca: John.

Falszywe imię. Korci mnie, żeby włączyć magnetofon - to niezbędny środek ostrożności - ale podpięcie przejściówki TP-7 powoduje pstryknięcie. Nie chcę go spłoszyć.

SM: Co pana łączy z Cordova?
Rozmówca: Wozikiem go →
SM: Był pan jego szoferem?
Rozmówca: Można tak powiedzieć.
SM: Gdzie?
Rozmówca: Na północy stanu.

Na północy stanu Nowy Jork. „John” dziwnie oddycha - ma wątpliwości, czy ze mną rozmawiać.

SM: Jest pan tam jeszcze?
Rozmówca: Przepraszam. Nie wiem, co myśleć o tej rozmowie.
SM: Proszę się nie spieszyć. Jak zaczął pan u niego pracować?
Rozmówca: Nie podobają mi się te wszystkie pytania.
SM: To pan do mnie zadzwonił. Czy byłoby panu łatwiej, gdybyśmy się spotkali?
Rozmówca: Nie.

Trzydziestosekundowa cisza.

Rozmówca: Zwykle wozikiem do miasta tę kobietę, Meksykankę, która dla niego pracuje. Ale jednej nocy sam do mnie zadzwonił i zapytał, czy go zawiozę.
SM: Mieszka pan blisko jego posiadłości w Crowthorpe Falls?
Rozmówca: Nie powiem. ?

Zaczynam robić notatki.

Rozmówca: Chciał, żebym go odebrał w środku nocy. O trzeciej. Kazał powoli podjechać pod rezydencję ze zgaszonymi światłami. Miałem wrażenie, że nie chciał obudzić nikogo w domu. Kiedy przyjechałem, czekał na schodkach.

SM: Był sam?

Rozmówca: Tak. Wsiadł do samochodu. Z tyłu.

Cisza.

SM: Dokąd pan go zawiózł?

Rozmówca: Do szkoły podstawowej.

SM: Szkoły podstawowej.

Rozmówca: Tak.

SM: Której?

Rozmówca: Żadnych konkretnych.

SM: W porządku. Słucham.

Rozmówca: Kazał się zawieźć na parking, zgasić silnik i czekać. Przeszedł przez trawnik i wszedł na plac zabaw. Na początku był bardzo spokojny. A potem zaczął chodzić między huśtawkami. Popchnął jedną pustą, żeby bujała się w powietrzu. Później podszedł do takiej poziomej i też ją przechylił, że zaczęła się kołysać. A potem wszedł do piaskownicy i usiadł.

SM: Usiadł w piaskownicy.

Rozmówca: Nie widziałem, co robił. Ale to nie było w porządku, rozumie pan?

SM: Co robił?

Rozmówca: Najpierw się bałem, że coś seksualnego. Ale wyglądało, że kopał.

SM: Kopał?

Rozmówca: Tak to wyglądało. Kiedy wrócił do samochodu, chował coś pod płaszczem.

SM: Co?

Rozmówca: Nie widziałem. Po prostu zawiozłem go do domu.

SM: Czy coś mówił?

Rozmówca: Nie. Ale parę tygodni później znowu do mnie zadzwonił i poprosił o to samo.

SM: Żeby zawiózł go pan do szkoły podstawowej?

Rozmówca: Ale do innej. Tym razem poszedł na boisko. Wszedł na trybuny i czegoś szukał. Kiedy wrócił, znowu miał coś pod płaszczem. Zawiozłem go do domu, a jak wysiadał, zobaczyłem, co to było.

SM: Co?

Długa cisza



Rozmówca: Dziecięcy strój gimnastyczny. Mała żółta koszulka. Niebieskie spodnie. Zrobiło mi się niedobrze. Zapytałem, po co mu to. Tylko na mnie popatrzył zza tych swoich okularów. Wsiadł w samochód. Następnego dnia odezwała się do mnie ta Meksykanka. Moje usługi nie były już potrzebne. Ale wiem na pewno, że zatrudnił kogoś innego, żeby woził go nocą. Młodego faceta. Płacił mu za to kupę kasy. Całymi latami.

SM: Dlaczego?

Rozmówca: On coś robi dzieciom.

SM: Co?

Cisza.

SM: Co takiego? Robi im krzywdę?

Brak odpowiedzi.

SM: Kto jeszcze o tym wie?

Brak odpowiedzi. Tracę go.

SM: Czy może mi pan powiedzieć coś jeszcze? John?

Nie odpowiada.

SM: Nie ma się czego bać.

Roziaczą się.

4

On coś robi dzieciom.

Nawet teraz miałem w uszach przerażony głos tego starszego człowieka.

Niewiele pamiętam z mojego wywiadu w *Nightline* – oprócz tego, że głównie ja gadałem. Przyszedłem do studia, żeby rozmawiać o reformie więziennictwa. Ku uciesze prowadzącego kompletnie zboczyłem z tematu i zacząłem mówić o Cordovie. Nieświadom tego, jaki robi się syf, po zakończeniu programu byłem z siebie bardzo zadowolony. Takie uczucie towarzyszy człowiekowi tylko wtedy, gdy wreszcie powie głośno całą prawdę.

A potem rozdzwonił się telefon: najpierw od mojego agenta, który pytał, co brałem, a potem od prawnika, do którego właśnie odezwały się grube ryby z ABC.

– Właśnie podżegałeś do zabójstwa Stanisłasa Cordovy.

– Co? Nie...

– Dostałem faksem treść programu. Czytam, że przerwałeś Martinowi Bashirovi i oznajmiłeś, że Cordovę należy „usunąć definitywnie”.

– To była ironia.

– Scott, w telewizji ironia nie istnieje.

Nie muszę mówić, że „John” już nigdy się nie odezwał. Wyparował.

Prawnicy Cordovy twierdzili, że nie tylko naraziłem na niebezpieczeństwo życie ich klienta oraz jego rodziny, ale także sfabrykowałem anonimową rozmowę telefoniczną – poszedłem do automatu położonego przecnicę od mojego domu i zadzwoniłem sam do siebie, żeby spreparować ślad fikcyjnego źródła.

Wyśmiałem to niedorzeczne oskarżenie – a potem musiałem wszystko odszczekać, kiedy zrozumiałem, że nie potrafię udowodnić, że było inaczej. Nawet mój adwokat nie zdeklarował jednoznacznie, czy mi wierzy. Zasugerował, że John był prawdziwy, ale wystraszyło go moje „awanturnicze zachowanie”.

Nie miałem wyboru, musiałem zawrzeć ugodę. Przyznałem się nie do „świadomej złej woli”, ale do „lekkomyślnego nieposzanowania prawdy”. Zapłaciłem Cordovie dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów odszkodowania, czyli większość tego, co zaoszczędziłem z honorariów za książki i artykuły w trakcie kariery zbudowanej na nieposzlakowanej reputacji zawodowej, którą właśnie zszargałem. Zwolnili mnie z „Insidera”, skasowali mój felieton w „Timie”. Wcześniej prowadziłem rozmowy z CNN na temat cotygodniowego programu śledczego. Teraz ten pomysł był śmiechu warty.

„McGrath jest jak ubóstwiana gwiazda sportu, którą przyłapano na dopingu”, powiedział Wolf Blitzer z CNN. „Musimy zakwestionować wszystko, co ten człowiek kiedykolwiek napisał i powiedział”.

– Powinieneś pomyśleć o pracy wykładowcy albo trenera rozwoju osobistego – zasugerował mój agent. – Jako dziennikarz w tym momencie jesteś spalony.

Ów moment trwał długo. Etykieta „skompromitowany dziennikarz” przyłgnęła do mnie zupełnie jak „były więzień”. Mój przypadek uznano za „symptom opłakanego stanu amerykańskiego dziennikarstwa”. Ktoś wrzucił na YouTube’a muzyczną przeróbkę mojego występu, w której (głosem podrasowanym auto-tune’em) trzydzieści dziewięć razy powtarzam „usunąć definitywnie”.

Porzuciłem to śledztwo. Tamtej nocy, gdy podjąłem decyzję, tkwiłem po uszy w procesie o zniesławienie. Cynthia i Sam już się wyprowadziły, pozostawiając po sobie ciszę tak absolutną, jakby bez mojej zgody poddano mnie operacji. Chociaż ciągle żyłem, miałem niejasne przypuszczenie, że coś na zawsze we mnie zgasło. To było coś poza moim zasięgiem, wykręcił mi się jakiś ważny nerw, jakiś narząd włożono mi odwrotnie. Do Cordovy – zgrabnie ukrytego za adwokatami – czułem tylko gniew, tym bardziej wycieńczający, że tak naprawdę wycelowany we mnie samego, w moją arogancję i głupotę.

Wiedziałem, że moja klęska to nie przypadek. Cordova wykazał się przezornością i inteligencją, których nie przewidziałem, i zręcznie mnie wymanewrował. Padłem na deski, przerwano walkę, ogłoszono zwycięzcę – zanim jeszcze na dobre stanąłem w ringu.

Załatwiono mnie po mistrzowsku. John był przynętą. Cordova odkrył, że chcę się nim zająć, więc zastawił pułapkę w postaci anonimowego rozmówcy. Wiedział, zupełnie jakby podpowiadał mu to nadludzki dar jasnowidzenia, że ta przerażająca sugestia – „on coś robi dzieciom” – trafi w moją czułą strunę. Potem mógł się już wygodnie rozsiąść i patrzeć, jak sam sobie kopię grób.

Ale skoro Cordova tak się przejął moim dochodzeniem, że zadał sobie dużo trudu, żeby się mnie pozbyć, to co tak naprawdę ukrywał – coś jeszcze bardziej wybuchowego?

Postanowiłem zostawić ten temat, zapomnieć o nim, skupić się na odzyskaniu pozorów normalnego życia.

A jednak do tego wróciłem. Dopilem szkocką, sięgnąłem po kolejny plik dokumentów i już po kilku minutach znalazłem to, czego szukałem.

Cienką szarą kopertę z nabazgranym imieniem „Ashley”.

Otworzyłem ją i wyjąłem zawartość: kartkę papieru oraz płytę kompaktową.



Ashley Cordova '09 ćwiczy w Arms Music Center.

GRAZ KLASĄ (ciąg dalszy)

zamierza wrócić do Danii po ukończeniu jednoczesnych studiów na dwóch kierunkach: biochemii i informatyki.

Ashley Cordova '09 to kolejna utalentowana studentka pierwszego roku. Pochodzi z północy stanu Nowy Jork. Tak się akurat składa, że jej ojciec to legendarny filmowiec Stanislas – mówi o nim bardzo niewiele, tłumacząc: „Jako rodzina bardzo cenimy prywatność” – ale sama też ma na koncie ogromne osiągnięcia.

Jako jedenastolatka, posługując się pseudonimem artystycznym Ashley DeRouin – to nazwisko z rodziny jej matki, Francuzki – zajęła pierwsze miejsce w Konkursie im. Piotra Czajkowskiego w Moskwie. Zagrała tam Trio fortepianowe a-moll tego kompozytora i pokonała o sześć lat starszych, szkolonych w Juilliard muzyków.

Odbyła międzynarodowe tournée, w tym między innymi dała koncert w Carnegie Hall. W wieku czternastu lat nagrała swój pierwszy i jedyny album solowy, *Ashley DeRouin gra*

Gaspard de la Nuit Maurice'a Ravela, czyli Diabeł nocą. Zdobyła uznanie krytyków twórczą i emocjonalną interpretacją tej kompozycji – jednego z najbardziej wymagających solowych utworów fortepianowych, jakie kiedykolwiek napisano.

Chociaż nie występuje już zawodowo, gra na fortepianie wciąż jest dla niej przyjemnością, której oddaje się każdego dnia. „Cudownie jest zagubić się w utworze muzycznym. Na chwilę zapomnieć, jak się nazywasz”.

Gaspard nadal należy do jej ulubionych kompozycji nie tylko z powodu trudności technicznej – figuracje, kadencje, gwałtowne pasaże chromatyczne, które pianista wykonuje jedną ręką – ale także ze względu na inspirację Ravela: trzy wiersze Bertranda opowiadające o rusałce kuszącej śmiertelnika, żeby zamieszkał z nią pod wodą, o wisielcu na szubienicy i o diable, który tańczy nocą, wprowadzając zamęt w życie ludzi.

„Cudownie jest zagubić się w utworze muzycznym. Na chwilę zapomnieć, jak się nazywasz”.

„Możliwość grania tych utworów to istny dar – opowiada Ashley. – Ravel był bardzo skromny. Nigdy nie nazywał siebie kompozytorem. Mówił tylko, że próbuje tworzyć muzykę, a utwór jest gotowy wtedy, gdy on nie jest już w stanie próbować dalej. Grając jego sonaty, przenosisz się w świat wielkiego okrucieństwa, w którym jednak jest także pragnienie miłości, smutek i strach... z nie przed śmiercią, lecz przed zmarnowanym życiem. Wszystko to jest w jego muzyce”.

Mimo wirtuozerskich zdolności muzycznych Ashley podczas nauki w Amherst chce się zająć czymś więcej niż tylko fortepianem. Rozważa specjalizację z antropologii lub historii. A po studiach? „Może zamieszkać za granicą. Będę podróżować. Znajdę miejsce, w którym kończy się ziemia. Dla mnie istnieje życie poza muzyką”.

Słowa godne córki prawdziwego mistrza.

Lucy Polk '09 to kolejna kobieta, która nie traci czasu i dąży do tego, na czym jej zależy. Zaczęła sprzedawać lemoniadę jako czterolatka, a już w wieku dwunastu lat miała własną markę lemoniady u (ciąg dalszy na str. 44)

5

Przed laty, skoncentrowany na Cordovie, praktycznie nie zwróciłem uwagi na ten artykuł o nadzwyczajnie uzdolnionej studentce. Nawet nie przesłuchałem płyty.



Zerwałem folię, włożyłem krążek do odtwarzacza i nacisnąłem PLAY.

Długa cisza, a potem: fortepian.

Pierwsze dźwięki były wysokie, stanowcze, tak szybkie i tak zdecydowane, aż trudno sobie wyobrazić, że grająca je osoba ma zaledwie czternaście lat. Nuty zafalowały, na moment stały się łagodniejsze, wkrótce jednak wezbrały, eksplodowały wściekle niczym trzask karabinu maszynowego.

Słuchałem, minuty mijały i nagle z korytarza dobiegły mnie ciche odgłosy kroków stawianych na deskach podłogi.

To Sam. Ostatnio miała nawyk wstawania w środku nocy. Obróciła się gałka w drzwiach i na progu pojawiła się moja zaspana córeczka w różowej koszuli nocnej.

– Cześć, kochanie.

Potarła oczy i poczłapała w moją stronę. Odziedziczyła urodę Cynthii, włącznie z oszałamiającymi blond kędziorami jak u aniołów w Kaplicy Sykstyńskiej.

– Co tu robisz? – zapytała niskim, poważnym głosem.

– Badania.

Oparła łokcie na biurku, a stopą jakoś dziwnie kiwała do tyłu. Przechodziła teraz etap, kiedy bez przerwy się kręciła, splatała ramiona, wyginała się, zupełnie jakby cały czas grała w Twistera. Mrużąc oczy, zerknęła na artykuł z „Amherst”.

– Kto to? – zapytała.

– Ashley.

– Kto to jest Ashley?

– Ktoś, kto ma kłopoty.

Sam spojrzała na mnie zaniepokojona.

– Zrobiła coś złego?

– Nie takie kłopoty, kochanie. Takie związane z tajemnicą.

– Jaką?

– Tego jeszcze nie wiem.

Tak to między nami wyglądało. Ona rzucała pytania w powietrze, a ja usiłowałem na nie odpowiadać. Ze względu na rozpisany przez Cynthię restrykcyjny harmonogram widzeń oraz na aktywne życie Sam, pełne baletu i zabaw u koleżanek, rzadko spędzałem z nią czas. Ostatnio ponad trzy tygodnie temu: poszliśmy do zoo na Bronksie. Nie ulegało wtedy wątpliwości, że każdemu goryłowi nizinnemu z lasów Konga – włącznie z dwustukilogramowym samcem – ufała bardziej niż mnie. Miała swoje powody.

– Chodź. – Wstałem. – Wracamy do łóżka.

Wyciągnąłem rękę, ale ona tylko się skrzywiła z wyraźnym powątpiewaniem. Chyba wiedziała już to, co ja odkrywałem przez czterdzieści trzy lata: że chociaż dorośli są duzi, to o wszystkim, nawet o sobie, wiedzą mało. Wszystko wydało się,

kiedy miała mniej więcej trzy lata. Niczym niewinny skazaniec, który znalazł się po prostu w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie, Sam pogodziła się ze świadomością, że musi odbyć swój wyrok (dzieciństwo) z niekompetentnymi strażnikami (Cynthią i mną), dopóki warunkowo nie wyjdzie na wolność.

– Może pójdziemy na górę i poszukamy twojej piżamy w chmurki? – zaproponowałem.

Ochoczo pokiwała głową. Pozwoliła poprowadzić się korytarzem, a potem po schodach na górę, gdzie usiadła na łóżku i czekała cierpliwie, aż przekopię się przez jej szafę. Ta piżama w chmurki – uszyta z niebieskiej flaneli, pokryta cumulusami – to jedyne, co mi się udało. Kupiłem ją w modnym sklepie dziecięcym w SoHo, a Sam tak bardzo ją pokochała, że czasem płakała, gdy nie mogła włożyć jej do snu – tak bardzo, że Cynthia i spółka musieli kupić drugą, a nawet trzecią taką samą – co uznałem za drobny, acz znaczący osobisty triumf.

Przeszukałem każdy zakamarek szafy i wreszcie znalazłem piżamę na półce z tyłu. Wyciągnąłem ją dramatycznym gestem – Sam lubiła, kiedy odstawiałem Rudolpha Valentino z niemych filmów. Pomogłem jej się przebrać, a potem przytuliłem ją na dobranoc.

– Mocniej – nakazała.

Przytuliłem mocniej.

– Zostawić ci światło? – zapytałem.

Pokręciła głową. Była jedynym dzieckiem na świecie, które nie boi się ciemności.

– Dobranoc, skarbie.

– Dobranoc, Scott.

Zawsze mówiła do mnie „Scott”, nigdy „tato”. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, jak to się zaczęło. Początki pozostawały równie niezgłębione jak tajemnica jajka i kury.

– Kocham cię bardziej niż... właściwie to jak bardzo? – zapytałem.

– Niż słońce plus księżyc.

Zamknęła oczy i natychmiast zasnęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Wróciłem na dół. Płyta wciąż grała, muzyka była zmienna i szalona. Usiadłem przy biurku i jeszcze raz przeczytałem artykuł z „Amherst”.

„Na chwilę zapomnieć, jak się nazywasz” – powiedziała Ashley.

Musiała mieć na myśli nazwisko Cordova.

„On coś robi dzieciom”. Co zrobił własnej córce? Jak to się stało, że w wieku dwudziestu czterech lat skończyła martwa i wyglądało to na samobójstwo?

Czułem, że wszystko zaczyna się od nowa: ten mroczny prąd niosący mnie ku Cordovie. Mniejsza o wściekłość, która wciąż się we mnie tliła – to moja szansa na odkupienie. Jeżeli zajmę się nim raz jeszcze i udowodnię, że jest drapieżcą – w co wierzyłem w głębi serca – może odzyskam wszystko, co straciłem. Pewnie nie Cynthię, na to nie mogłem liczyć, ale karierę, reputację, życie.

Tym razem, inaczej niż pięć lat temu, miałem poszlakę: Ashley.

Było coś brutalnego w świadomości, że tej nieznannej osoby, tej dzikiej czarodziejki nut, nie ma już na świecie. Przepadła, została uciszona – kolejna martwa gałąź powykręcane drzewa Cordovy.

Może to ona jest wrażliwym korytarzem ojca.

Ten sposób skrytego ataku opisał Sun Zi w *Sztuce wojennej*. Twój przeciwnik spodziewał się ataku frontalnego. Przygotował się i odparł go, powodując ogromne straty i poważny ubytek zasobów, a ostatecznie twoją porażkę. Tymczasem nieraz istnieje inne wejście, wrażliwy korytarz. Przeciwnik nie spodziewa się ciebie z tamtej strony, ponieważ droga jest kręta i zdradliwa, a często w ogóle nie wie o jej istnieniu. Gdyby jednak twoja armia zdołała się tamtędy przedostać, trafiłbyś nie tylko za linię wroga, ale wprost do jego serca.

„Tasiemiec, który połknął własny ogon – ostrzegaj mnie tamten stary dziennikarz. – Bez sensu za nim gonić... Wreszcie

oplecie się człowiekowi wokół serca i wycisnie całą krew”.

Nie, nigdy nie dowiedziałem się, co go spotkało – znałem jednak odpowiedź. Nic to, że zrzędził, bo i tak nazajutrz o świcie zwłókł się z łóżka, spakował rzeczy i pojechał autobusem wprost do tej cholernej wioski.

Nie potrafiłby zostawić tematu.

Ja też nie potrafiłem.

6

Nieco ponad tydzień później o trzeciej nad ranem wsiadłem do autobusu M102 jadącego w kierunku Harlemu – numer boczny 5378, zgodnie z instrukcją Sharon Falcone – i zająłem ustronne miejsce z tyłu.

Jeśli gdziekolwiek w tym mieście ignorowano szemrane rozmowy i podejrzone spojrzenia, to właśnie w takim autobusie o trzeciej nad ranem. Nieliczni pasażerowie zwykle albo byli wykończeni, albo naćpani, albo sami zamieszani w jakieś mętne sprawy – miało się więc pewność, że zależy im na anonimowości dokładnie tak jak tobie. Nie miałem pojęcia, jak Sharon mogłaby to załatwić, ale mógłbym przysiąc, że za kółkiem siedzi ten sam kierowca co ostatnio, dziewięć lat temu.

Detektyw Sharon Falcone poznałem w 1989 roku, kiedy byłem żółtodziobem z „New York Posta”, a ona – początkującą policjantką asystującą przy sprawie biegaczy z Central Parku. Nawet teraz, ponad dwadzieścia lat później, wciąż wiedziałem o niej bardzo niewiele, ale te skrawki informacji robiły swoje, zupełnie jak szczypta przyprawy cajuńskiej w potrawie. Miała czterdzieści sześć lat i mieszkała sama w Queens z owczarkiem niemieckim, który wabił się Harley. Od dziesięciu lat pracowała w Wydziale Zabójstw Manhattan-Północ, wyspecjalizowanej jednostce, która pomagała posterunkom na północ od Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy w śledztwach w sprawie morderstw. Sharon służyła zmarłym ofiarom ze staroświeckim oddaniem i bezinteresownością.

Autobus skręcił we Wschodnią Sto Szesnąstą. Mijał opuszczone osiedla, puste parkingi, zdewastowane kościoły – tablica głosiła: RATUNEK I ZBAWIENIE – mężczyźni snujących się przy narożnikach domów.

Coś musi być nie tak, pomyślałem. Ostatnio Sharon w tym momencie była już w autobusie. Sprawdziłem telefon, ale nie miałem nieodebranych połączeń ani SMS-ów. Rozmowa, którą odbyliśmy dzień wcześniej, nie była zbyt obiecująca, a Sharon w zasadzie nie zobowiązała się mi pomoc.

– Jutro w nocy. To samo miejsce, ta sama godzina – powiedziała krótko, po czym się rozłączyła.

Autobus właśnie skręcał w Malcolm X Boulevard, a ja zaczynałem już przypuszczać, że wystawiła mnie do wiatru, kiedy nagle gwałtownie zatrzymaliśmy się przed walącą się kamienicą. Przy krawężniku stała samotna postać. Otworzyły się drzwi i już po kilku sekundach detektyw Sharon Falcone prędko zmierzała w moją stronę – jakby od początku dokładnie wiedziała, gdzie siedzę.

Wciąż wyglądała dokładnie tak samo jak dawniej: metr sześćdziesiąt wzrostu, ponure spojrzenie, cienkie wargi pozbawione choćby śladu uśmiechu, a nad nimi mały, okrągły nos zadarty do góry jak strużyna. Wcale nie była brzydka. Ale za to dziwna. Nadawałaby się na zakonnice spoglądającą z piętnastowiecznego flamandzkiego obrazu, który wisi w Metropolitan Museum. Tylko że artysta nie całkiem opanował ludzkie proporcje, więc obdarzył ją wydłużoną szyją, nierównymi ramionami i zbyt małymi dłońmi.

Wsunęła się na siedzenie obok mnie i upuściła na ziemię czarną torbę. Mierzyła wzrokiem pozostałych pasażerów.

– Ze wszystkich M102 we wszystkich miastach na całym świecie ty musiałaś wejść do mojego – powiedziałem.

Nawet się nie uśmiechnęła.

– Mam niedużo czasu.

Rozpięła torbę, wyjęła z niej sporą białą kopertę i mi ją podała. Wysunąłem gruby plik kartek. Pierwsza strona była kserokopią okładki teczeki.

Sprawa nr 21-24-7232.

– Jak idzie śledztwo? – spytałem, wsuwając zawartość z powrotem do koperty.

– Zajmuje się nim piąty posterunek. Dostają sto telefonów dziennie. Anonimowe informacje, wszystko o kant dupy potłuc. W zeszłym tygodniu ktoś widział Ashley w McDonalddie w Chicago. Trzy dni wcześniej: w nocnym klubie w Miami. Do zabójstwa zdążyły się już przyznać dwie osoby.

– A to było zabójstwo?

Sharon pokręciła głową.

– Nie. Skoczyła.

– Jesteś pewna?

Przytaknęła.

– Nie było śladów walki. Paznokcie czyste. Zdjęła buty i skarpetki, położyła je równo nad krawędzią. Takie metodyczne przygotowania są charakterystyczne przy samobójstwie. Nie było autopsji. Nie wiem, czy w ogóle będzie.

– Dlaczego?

– Adwokat rodziny się czepia. Kwestie religijne. Dla żydów profanowanie zwłok to świętokradztwo. – Sharon zmarszczyła czoło. – Zauważyłam, że w teczce brakuje kilku fotografii. Zdjęć przodu i tyłu tułowia. Domyślam się, że trzymają je gdzieś indziej, żeby jakaś łajza nie wpuściła ich do internetu.

– Przyczyna zgonu?

– Standard u skoczków. Obfity krwotok. Złamany kark, rany serca, połamane żebra, pęknięcie czaszki. Zanim ktoś ją znalazł, leżała tam kilka dni. W zeszłym miesiącu przyjęli ją do luksusowego prywatnego szpitala na obrzeżach stanu. Dziesięć dni przed jej skokiem zgłoszono zaginięcie.

Zaskoczony spojrzałem na Sharon.

– Jak to? Uciekła?

Kiwnęła głową.

– Pielęgniarka potwierdziła, że o dwudziestej trzeciej Ashley przebywała w swoim pokoju i miała zgaszone światło. Nazajutrz o ósmej rano już jej nie było. Jakimś cudem zarejestrowała ją tylko jedna kamera. To szaleństwo, bo cały szpital jest nimi obwieszony jak Pentagon. Na nagraniu nie widać twarzy, tylko postać w białej piżamie biegnącą przez trawnik. Był z nią mężczyzna.

– Kto to taki?

– Nie wiedzą.

– Dlaczego Ashley trafiła do szpitala? Problemy z narkotykami?

– Chyba nie mają pojęcia, co właściwie było z nią nie tak. W kopercie znajdziesz parę stron z jej wywiadu medycznego.

– Kiedy szpital zgłosił zaginięcie?

– Trzydziestego września. Wszystko jest w raporcie.

– A kiedy skoczyła?

– Dziesiątego października. O jedenastej, może dwunastej w nocy.

– Gdzie się podziewała przez te dziesięć czy jedenaście dni?

– Tego nie wie nikt.

– Jakież transakcje na karcie kredytowej?

Sharon pokręciła głową.

– Komórki też nie włączyła. Musiała wiedzieć, że nie powinna tego robić. Chyba nie chciała, żeby ktoś ją znalazł. Przez te dziesięć dni widziano ją tylko raz. Kiedy znaleźli ciało, miała na sobie wyłącznie dżinsy i T-shirt, a w kieszeni plastikowy numerok z symbolem drzewa na odwrocie. Okazało się, że pochodzi z restauracji Four Seasons. Tej knajpki przy Park Avenue, kojarzysz?

Przytaknąłem. Była to jedna z najdroższych restauracji w mieście, choć przypominała raczej rezerwat rzadkich zwierząt. Za astronomiczną kwotę kupowało się bilet wstępu (ciasteczka krabowe kosztowały czterdzieści pięć dolarów), żeby obserwować – ale nigdy ich nie niepokoić – najpotężniejsze i najbardziej uprzywilejowane okazy populacji Nowego Jorku. Można było patrzeć, jak jedzą i walczą między sobą, wykazując przy tym wszystkie rozpoznawalne cechy swojego gatunku: zawzięte miny, przerzedzone włosy, stalowoszare garnitury.

– Zidentyfikowała ją dziewczyna z szatni – powiedziała Sharon. – Ashley przyszła do restauracji około dziesiątej, ale po paru minutach wyszła, i to bez płaszcza, a potem już nie wróciła. Kilka godzin później skoczyła.

– Musiała się tam z kimś spotkać.

– Tego nie wiedzą.

– Ale ktoś to sprawdzi.

– Nie. Tu nie ma żadnej zbrodni. – Spojrzała na mnie ostro. – Żeby dostać się do szybu windy, dziewczyna musiała wejść do opuszczonego budynku, znanego jako squat o nazwie Wiszące Ogrody. Potem, na dachu, przecisnęła się przez świetlik szerokości trzydziestu centymetrów. Mało kto by się tam zmieścił, a co dopiero trzymając jakąś osobę wbrew jej woli. Przeczesano to miejsce w poszukiwaniu śladów. Nic nie wskazuje na to, żeby był tam ktoś poza nią. – Sharon wciąż mi się przyglądała, choć może lepiej użyć tu słów „badała mnie”, ponieważ spojrzenie jej brązowych oczu powoli przesunęło się po mojej twarzy, zapewne według tego samego metodycznego schematu, jaki stosowała, organizując szeroko zakrojone poszukiwania. – To jest ten moment, w którym muszę zapytać, po co ci te informacje – powiedziała.

– Pewne niedokończone sprawy. Nic, czym mogłabyś się martwić.

Zmrużyła oczy.

– Wiesz, co powiedział Konfucjusz?

– Przypomnij mi.

– Zanim wkroczysz na drogę zemsty, wykop dwa groby.

– Starożytne chińskie mądrości zawsze wydawały mi się przereklamowane – odparłem.

Wyjąłem kopertę i podałem ją Sharon. W środku były trzy tysiące dolarów gotówką. Wsadziła ją do torby i zapięła suwak.

– Jak tam twój owczarek? – zapytałem.

– Nie żyje od trzech miesięcy.

– Przykro mi.

Odgarnęła z czoła postrzępioną grzywkę. Baczenie przypatrywała się starszemu panu, który właśnie wsiadł do autobusu.

– Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy – odparła. – To wszystko?

Skinąłem głową. Sharon zarzuciła pasek torby na ramię i już miała się podnieść, kiedy coś mi się przypomniało, więc złapałem ją za nadgarstek.

– A list pożegnalny? – zapytałem.

- Nie znaleziono.
- Kto zidentyfikował Ashley w kostnicy?
- Adwokat. Rodzina nie odezwała się ani słowem. Podobno są za granicą. Podróżują.

Powiedziała to z żalem, lecz bez zaskoczenia, a potem wstała i przeszła na przód autobusu. Kierowca natychmiast się zatrzymał. Już po kilku sekundach Sharon podążała chodnikiem, lecz nie tyle szła, ile brnęła: zgarbiona, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Autobus czknął i ruszył dalej, wyjechał z powrotem na drogę, a ona stała się tylko ciemną sylwetką, która mijała zamknięte sklepy i zakratowane okna, aż wreszcie szybko skręciła za róg – i zniknęła.

**TYLKO DLA UPRAWNIENEGO
PERSONELU MEDYCZNEGO**

BH
Briarwood Hall

FORMULARZ PRZYJĘCIA PACJENTA

Nazwisko pacjenta	Ashley Brett Cordova	Data urodzenia	12.30.86
Adres	Droga lokalna 112 nr 1014		
Miasto	Crowthorpe Falls	Stan	Nowy Jork
Kod	12847		
Lek. pierwszego kontaktu	Twierdzi, że nie ma lek. rodzinnego.	Telefon lekarza	brak
Lekarz w Briarwood	dr Annika Angley		
Data wywiadu	5.09.11	Daty sesji	31.08, 1.09, 2.09, 3.09

Opis zaobserwowanych dolegliwości/problemów

Pacjentkę cechuje porywczy nastrój i nie reaguje na pytania. Bywa agresywna, zdaje się mieć myśli paranoidalne - zwłaszcza w odniesieniu do obcych. U pacjentki pozostawionej samej i/lub w ciemności odnotowano wybuchy gniewu (po raz pierwszy 31.08). Pacjentka nie wykazuje zainteresowania kontaktem z innymi ludźmi i brakuje jej motywacji w czynnościach dnia codziennego. Zachowanie pacjentki uległo natomiast zmianie, gdy podczas czasu wolnego pozwolono jej grać na fortepianie. Grała wtedy bez przerwy przez dwie godziny - wykluczyć skłonności maniackalne.

Zaleca się dalszą obserwację oraz 3 godziny terapii dziennie - zarówno grupowej, jak i indywidualnej.

Opis zaobserwowanych dolegliwości/problemów

Historia chorób umysłowych w rodzinie

Pacjentka twierdzi, że nigdy nie była leczona.

Zdaniem pacjentki brak.

Historia biograficzna (w tym nadużycie substancji odurzających lub innych), więzi osobiste, praca

W dzieciństwie utalentowana pianistka. Obecna praca i sytuacja osobista nieznane.

Obecnie przyjmowane leki

Istotne choroby/badania/alergie

Brak

Brak

Badanie stanu umysłowego (Proszę podać istotne szczegóły)

Wygląd	Nieuczczona, blada, sugeruje anemię	Nastój	Gniewny, paranoiczny, agresywny
Myślenie	Jasne	Afekt	Spłycony
Percepcja	Dobra	Sen	W normie, ale tylko przy zapalonym świetle
Anhedonia	Nie	Apetyt	Słaby
Uwaga/koncentracja	Dobra	Motywacja/energia	Słaba
Pamięć	Dobra	Osąd/spostreżenie	Być może paranoiczne
Orientacja	Dobra	Mowa	Wyraźna

Ocena ryzyka (przy odpowiedzi Tak na pytania o plan, zamiar lub zagrożenie dla innych, skontaktować się z zespołem KODU SREBRNEGO, CST, pod numerem 92111 3911)

Myśli samobójcze	Tak <input checked="" type="checkbox"/> Nie <input type="checkbox"/>	Tendencje samobójcze	Tak <input checked="" type="checkbox"/> Nie <input type="checkbox"/>
Obecny plan	Tak <input type="checkbox"/> Nie <input checked="" type="checkbox"/>	Zagrożenie dla innych	Tak <input checked="" type="checkbox"/> Nie <input type="checkbox"/>

Wstępna diagnoza ICD-10

Pacjent nadaje się do:

F1 Zaburzenia związane z nadużyciem alkoholu i narkotyków	<input type="checkbox"/>	Grupy zaburzeń depresyjnych	<input checked="" type="checkbox"/>
F2 Zaburzenia psychotyczne	<input checked="" type="checkbox"/>	Grupy zab. lękowych (panika i unikanie)	<input type="checkbox"/>
	<input type="checkbox"/>	Grupy współwyst. innych zaburzeń	<input type="checkbox"/>
	<input type="checkbox"/>	Terapii indywidualnej	<input checked="" type="checkbox"/>
	<input type="checkbox"/>		



**WSTĘPNY RAPORT
ZAJŚCIA/PRZESTĘPSTWA**

RAPORT ZAJŚCIA/PRZESTĘPSTWA - STRONA 1 z 6

PODSUMOWANIE OFICERA ŚLEDZCZEGO

Godzina i data raportu	GODZINA 14:02	DATA 14.10.11
------------------------	-------------------------	-------------------------

SPRAWA NR 21-24-7232	OFICER ŚLEDZCY KIERUJĄCY SPRAWĄ Detektyw Mike Wu NYPD, 5. posterunek	RODZAJ PRZESTĘPSTWA/ZAJŚCIA śledztwo w sprawie zgonu
--------------------------------	---	--

POWIĄZANA SPRAWA/ ZAJŚCIE	Zgłoszenie zaginięcia, NY 12-388 komenda policji Shandaken, hrabstwo Ulster
OBCENI NA MIEJSCU ZAJŚCIA	sierż. Frank Bryant, post. Joseph Anderson, Phil LaRock - fotograf z Biura Głównego Lekarza Sądowego, dr Sanja Inratis - lekarz sądowy, Richard Davis - kryminolog, dr Lisa Bennett - młodszy lekarz sądowy
MIEJSCE ZAJŚCIA	Mott Street 9

NAZWISKO ZMARŁEGO _____

ŚWIADKOWIE

NAZWISKO	RASA	PLEĆ
Brak znanych świadków.		

ZAJŚCIE**WSTĘPNA INFORMACJA Z MIEJSCA ZAJŚCIA**

13 października 2011 roku ok. godz. 15.22 przedsiębiorca budowlany Anthony Pellman przybył na Mott Street 9 w celu dokonania inspekcji budynku. Remont kapitalny budynku został wstrzymany na 7 dni ze względu na spory związane z umową, dlatego Pellman przyjechał, żeby sprawdzić miejsce przed wznowieniem prac zaplanowanym na 14 października. Po wejściu do obiektu poczuł silny odór, a po poszukiwaniach odnalazł osobę zmarłą, przypuszczalnie kobietę, w nieużywanym szybie windy towarowej. Zadzwoił pod numer alarmowy i powiadomił służby.

Pierwszy funkcjonariusz na miejscu zdarzenia, posterunkowy Joseph Anderson, ustalił, że zmarła jest ubrana, szczupłej budowy, ma ciemne włosy, leży na boku w kierunku z południowego wschodu na północny zachód. Stwierdził poważne rany krwawiące. Poważne uszkodzenie czaszki z lewej strony. Możliwe przemieszczenie lewej szczęki i ramienia. Plamy krwi pod głową i szyją wskazują na obfity krwotok. Kałuża krwi jest sucha, w kolorze czerwono-brązowym, pow. ok. 56 na 45 cm. Wydaje się, że zmarła spadła z dużej wysokości i wykrwawiła się na miejscu, gdzie ją znaleziono. Ciało wykazuje sińce z lewej strony okolicy twarzy. Wydaje się, że zgon nastąpił co najmniej 48 godzin przed znalezieniem zwłok. Wczesne oznaki rozkładu na twarzy. Dłonie otwarte, brak widocznych ran obronnych.

Zmarła ubrana w ciemnoniebieskie dżinsy i czarny T-shirt z wizerunkiem anioła na przodzie. Stopy białe, widoczny tatuaż na wierzchu prawej stopy. Biżuterii brak. Nie znaleziono broni.

Na najwyższym piętrze budynku przy Mott Street 9, siedem kondygnacji powyżej miejsca znalezienia ciała, natrafiono na parę czarnych wysokich butów i parę czarnych skarpetek, przypuszczalnie należących do zmarłej. Brak widocznych śladów walki. Ze względu na brak schodów lub windy zachodzi przypuszczenie, że zmarła dostała się do szybu po wejściu do budynku przez świetlik z dachu domu przy Worth Street 203, tak zwanych Wiszących Ogrodów - znanego squatu i meliny narkomanów.

PO 228 c.v1

ODERWAĆ**RAPORT O OSOBIE ZAGINIONEJ/
NIEZIDENTYFIKOWANEJ**

PO 336-151 (Rev. 2-94)-ht

TYP SPRAWY
 ZAGINIĘCIE
 BRAK IDENTYFIKACJIJEDNOSTKA
ZGŁASZAJĄCA
ShandakenZAŚWIADCZENIE Z TYŁU WYPEŁNIĆ
PO ODERWANIUGodzina
i data
raportuGODZINA
22.04DATA
30.09.11SPRAWA NR
12-388
OFICER DYŻURNY
HELMSTELEFON
845-555-9022NAZWISKO
CORDOVA
IMIĘ
ASHLEY
INNE
BRETTWIEK
24
Godzina
i data
zaginięcia
GODZINA
8:12 A.M.
DATA
30.09.11

PŁEĆ	RASA	WZROST	WAGA	KOLOR OCZU	KOLOR/DŁUGOŚĆ WŁOSÓW	GRUPA KRWI
Ż	BIAŁA	175	53	SZARY	CIEM. BRĄZ, DŁUGIE	NIEZNANA

OSTATNIO WIDZIANO
29.09.11, GODZ. 23.10, POKÓJ MH-314,
SZPITAL BRIARWOODPRAWDOPODOBNY
PUNKT DOCELOWY
NIEZNANY

UDZIAŁ POJAZDU

 TAK
 NIE JEŚLI TAK: NIE WIADOMOUB. SP.
NR 238 28-2219PR. AZ.
NR 270 294 791

NR REJESTRACYJNY

MARKA/KOLOR

ROK

KLASA ODCISKÓW PALCÓW (jeśli znana)

ZNAKI SZCZEGÓLNE/BLIZNY/TATUAŻE Kolorowy tatuaż na prawej stopie i łydce: istota przypominająca konia/kozę, widoczna tylko głowa i nogi przednie. Części tylnej brak. Blizna po oparzeniu na wierzchu lewej dłoni.

WIDOCZNE ZABIEGI DENTYSTYCZNE Brak

OKULARY / SZKŁA KONTAKTOWE

 TAK
 NIE JEŚLI TAK:

RODZAJ OPRAWKI

MOC

OPIS UBIORU Zaginioną po raz ostatni widziano w białej bawełnianej piżamie.

OBWÓD W PASIE 51 cm ROZMIAR BUTA 39 OPIS BIŻUTERII Brak

PODEJRZANE OKOLICZNOŚCI/DZIAŁANIA PRZESTĘPCZE Nieznane

DODATKOWE OKOLICZNOŚCI/INFORMACJE Zaginioną zarejestrowała kamera monitoringu, kiedy opuszczała teren kliniki w towarzystwie niezidentyfikowanego mężczyzny rasy białej.

PO WYPEŁNIENIU PROSZĘ ZWRÓCIĆ DO: KOMENDA POLICJI SHANDAKEN – HRABSTWO ULSTER 64 NOWY JORK 42 SHANDAKEN, NY 12480
DO WIADOMOŚCI: WYDZIAŁ SPECJALNY – WYDZIAŁ OSÓB ZAGINIONYCH

7

– Kto tam?

Głos kobiety – stłumiony, z rosyjskim akcentem – zaskrzeczał w domofonie.

– Scott McGrath – powtórzyłem i nachyliłem się do malutkiej czarnej kamery umieszczonej nad guzikami. – Jestem znajomym Wolfganga. Spodziewa się mnie.

To było kłamstwo. Tego ranka, po przeczytaniu całych policyjnych akt Ashley Cordovy, spędziłem ostatnie trzy godziny na poszukiwaniach Wolfganga Beckmana – filmoznawcy, wykładowcy, fanatycznego cordovity, autora sześciu książek o kinie, w tym popularnego tomu na temat horrorów pod tytułem *Amerykańska maska*.

Szukałem Beckmana w jego gabinecie w Dodge Hall na Uniwersytecie Columbia, dostałem jego grafik zajęć i dowiedziałem się, że w tym semestrze prowadzi tylko jeden kurs: „Motyw horroru w kinematografii amerykańskiej”. We wtorki o dziewiętnastej. Dzwoniłem do gabinetu i na komórkę, ale włączała się poczta głosowa, a zważywszy na nasze ostatnie spotkanie ponad rok temu – kiedy nie tylko życzył mi, żebym zgnął w piekle, ale ośmielony wódką dwukrotnie się na mnie zamachnął – wiedziałem, że prędzej oddzwoniłby do papieża. (Beckman pałał szczerą nienawiścią do dwóch rzeczy: siedzenia w jednym z trzech pierwszych rzędów w kinie oraz Kościoła katolickiego). Moją ostatnią deską ratunku było pojawienie się tutaj, przed zaniedbanym budynkiem na rogu Riverside Drive i Zachodniej Trzydziestej Ósmej, gdzie w przeszłości spędziłem niejedną wieczór na jego wykładach w kreciej norze, którą nazywał mieszkaniem. Otaczała go wtedy zgraja kotów oraz tłum studentów, który spijał słowa z jego ust jak kocięta śmietankę z miski.

Ku mojemu zaskoczeniu rozległo się jakieś zgrzytnięcie, a potem długi brzęczyk oznaczający otwarcie wejścia.

Kiedy zapukałem do drzwi oznaczonych zmatowiałym numerem 506, otworzyła mi drobniutka czarnowłosa kobieta. Miała krótką fryzurę, która tkwiła na jej głowie jak skuwka na

długopisie. To najnowsza gosposia. Odkąd przed laty jego ukochana żona Véra zmarła na raka, Beckman, absolutnie niezdolny o siebie zadbać, zatrudniał mnóstwo filigranowych Rosjanek, które robiły to za niego.

Wszystkie były niskie, surowe, w średnim wieku, miały niebieskie oczy, spękane dłonie, włosy ufarbowane na kolor sztucznych cukierków oraz bolszewicką osobowość typu „Nawet o tym nie myśl”. Dwa lata wcześniej pracowała tu Mila, nosiła marmurkowe dzinsy oraz bluzki wyszywane strasem i bez przerwy opowiadała o synu, który został na Białorusi. (A gdy nie mówiła o Siergieju, większość jej słów można było podsumować za pomocą jednego: *niet*).

Ta nowa miała nos jak dziób jastrzębia. Miała na sobie różowe rękawice do zmywania naczyń oraz długi fartuch z czarnej gumy podobny do tych, jakie noszą spawacze w fabrykach. Najwyraźniej włożyła go po to, żeby wyczyścić mopem kuchnię Beckmana.

– Spodziewa sje pana? – Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. – Jest u djentisty.

– Prosił, żebym wszedł i na niego zaczekał.

Sceptycznie zmrużyła oczy, ale wpuściła mnie do środka.

– Hjerbaty sje pan napije? – zapytała.

– Poproszę.

Jeszcze raz spojrzała na mnie z dezaprobatą, a potem zniknęła w kuchni, ja zaś ruszyłem korytarzem do salonu.

Nic się tu nie zmieniło. Wciąż było mroczno i posępnie, wciąż cuchnęło brudnymi skarpetkami, wilgotną zgnilizną oraz kotem. Wyblakła tapeta w lilijki, sufit wybrzuszony jak spód kanapy – u Beckmana zawsze miało się uporczywe wrażenie, że za chwilę spod desek podłogowych zacznie się sączyć woda. Nigdy w życiu nie widziałem drugiego mieszkania, które byłoby tak gruntownie wyszorowane (gosposia Beckmana stale chodziła uzbrojona w mop, wiadro, lysol w sprayu, ściereczki dezynfekujące), a jednocześnie wciąż przypominało mokradła w samym sercu Everglades.

Wolnym krokiem podszedłem do kominka, na którego gzymsie stały rządkiem fotografie oprawione w ramki. One również się nie zmieniły. Było tu kolorowe zdjęcie promieniejącej szczęściem Véry w dniu ślubu. Obok – fotografia z autografem Marlowe Hughes, legendarnej piękności i drugiej żony Cordovy, gwiazdy *Owocu miłości*. Dalej stało zdjęcie syna Beckmana, Marvina, z ceremonii ukończenia studiów prawniczych. Młody człowiek wyglądał szokująco zwyczajnie. W kolejnych ramkach: kadr ze *Zgniatacza kciuków* Cordovy ze sceną, w której Emily Jackson ogląda tajemniczą walizkę męża, oraz fotografia Beckmana, na której niczym radosny Budda siedzi na schodach Biblioteki Lowa na Uniwersytecie Columbia otoczony wianuszkiem pięćdziesięciorga urzeczonych studentów.

Na prawo od kominka wisiał pogięty, pomarszczony plakat z cordovickim okiem. Był tam, odkąd znałem Beckmana. Zerwał go ze ściany na stacji metra Pigalle po zakazanym seansie *W nocy wszystkie ptaki są czarne*, który odbył się w paryskich katakumbach w 1987 roku. Było to jedno z pierwszych wydarzeń tego typu. Nad dolną krawędzią znajdowały się odręcznie dopisane współrzędne miejsca spotkania: „Suwerenny Zabójczy Perfekcyjny N 48° 48 21.8594” E 2° 18 33.3888” 1111870300”.

Jakiś metr ode mnie, w rogu pokoju, stało drewniane biurko, a na nim stary komputer Apple Beckmana. Buczał, czyli był włączony.

– Pańska hjerbata.

Gospościa zmaterializowała się za moimi plecami. Przesunęła tacę po blacie niskiego stolika, potem, cały czas patrząc na mnie gniewnie, pchnęła na bok czarną chińską szkatułkę z drewna oraz kilka stosów gazet, a wreszcie poczłapała z powrotem do kuchni.

Poczekalem, aż wróci do sprzątania, po czym stuknąłem w klawiaturę. Wcale nie byłem z siebie dumny, że myszkuję w komputerze niewinnego człowieka, ale trudne czasy wymagają desperackich kroków.

Włączyłem Firefoxa, a potem otworzyłem historię przeglądania.

Chirurgia stomatologiczna komplikacje – Szukaj w Google
Wrywanie zębów co może pójść nie tak – Szukaj w Google
Potencjalne efekty uboczne nowokaina – Szukaj w Google
„New Republic” online

„New York Post”

Russian Soulmates.ru – Rosyjskie Towarzyski Życia

Rozmówki rosyjskie

Ashley Cordova – Szukaj w Google

24-letnia Ashley Cordova znaleziona martwa – nytimes.com

Następną pozycją było po prostu: blackboards.onion.

Kliknąłem w link. Strona chwilę się ładowała. Odwiedzającego witał widok lasu skąpanego we mgle, w którym rozpoznałem pierwszy kadr *Tu na mnie czekaj* Cordovy. Adres był bardzo długi, ale w łańcuchu symboli i znaków przestankowych ukryte były trzy słowa kluczowe: suwerenny zabójczy perfekcyjny.

To Blackboards, strona fanów Cordovy w Ukrytej Sieci. Dostęp był ściśle strzeżony, otrzymywali go tylko uprawnieni cordovici. Strona miała tajny adres w Torze, czyli anonimowym internecie – dlatego nigdy nie pojawiała się w Google’u i nie można jej było otworzyć w zwykłych przeglądarkach. Przed laty, gdy się poznaliśmy, próbowałem przekupić Beckmana, żeby udostępnił mi ten adres, ale na próżno. Powiedział, że to „ostatni ukryty zakątek”, czarna dziura, gdzie fani mogą nie tylko omawiać wszystko, co związane z Cordovą, ale także opisywać swoje mroczne żądze i marzenia, nie narażając się na ocenę.

Usłyszałem brzęk kluczy i głośno otwierane drzwi. O podłogę uderzył mop. *Madame* Tołstoj na pewno właśnie powiadamiała Beckmana, że ma gościa.

Wyjąłem komórkę, błyskawicznie sfotografowałam adres, a potem zamknąłem przeglądarkę i wróciłem przed kominek, bo na drewnianej podłodze już dudniły szybkie kroki.

– Skurwysynu! – huknął głos za moimi plecami. W drzwiach pojawił się Beckman. Miał na sobie trencz mocno ściśnięty paskiem, przez co wyglądał jak kartofel zawinięty w papier pakowy. – Wynocha!

– Poczekaj...

– Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, chyba wyraźnie dałem ci do zrozumienia, że dla mnie jesteś martwy. Olga! Dzwon na policję i powiedz, że mamy w domu groźnego intruza.

– Chciałbym wszystko naprawić.

– Nie da się naprawić przyjaźni, która została rozdarta na strzępy.

– Nie bądź śmieszny.

Spiorunował mnie wzrokiem.

– Zdrada nie jest śmieszna. Przez zdradę upadają imperia.

Rozpiął płaszcz, przerzucił go przez oparcie krzesła – dramatyczny gest kojarzący się z hiszpańskim toreadorem odrzucającym płachtę – a potem ruszył w moją stronę. Na szczęście nie zwrócił uwagi na włączony monitor komputera oświetlający róg pokoju.

Chociaż Beckman gotował się z wściekłości, fizycznie absolutnie nie wydawał się groźny. Miał na sobie szare spodnie z za krótkimi nogawkami oraz okrągłe okulary w złotych oprawkach. Zza szkieł mrugały małe, życzliwe oczy koszatniczki. Czoło przecinała nadgorliwa linia włosów. Była tak niecierpliwa, że zaczynała się już pięć centymetrów ponad brwiami. Beckman miał bardzo spuchnięty prawy policzek, zupełnie jakby napchał sobie waty do ust.

– Chcę porozmawiać z tobą o Ashley – powiedziałem.

Na dźwięk tego imienia wzdrygnął się jak porażony prądem. Mruknął coś pod nosem, a potem przemieścił się w stronę fotela, na którym usiadł, cicho zapiąc. Zdjął buty i oparł stopy – odziane w jasnożółte skarpetki w romby – na skórzanym podnóżku.

– Ash Cordova – powtórzył i potarł obwisłą, potraktowaną nowokainą stronę twarzy. Odwrócił się, po czym warknął przez ramię: – Olga! – Gospoia pojawiła się w drzwiach z telefonem

przy uchu. Najwyraźniej dzwoniła na policję. – Na litość boską, Olga, co ty... odłóż ten telefon. Mój Boże, przecież to mój serdeczny przyjaciel McGrath. Nie przyniosłabyś mu czegoś oprócz herbaty? Herbata go nie ruszy. – Spojrzał na mnie. – Nadal ostro pijesz w ciągu dnia?

– Oczywiście.

– Cieszę się, że zachowałeś najlepszą cechę swojej osobowości. Olga, przynieś no dobrą wódkę.

Gospościa zniknęła, a ja spocząłem na kanapie. Beckman nadal nie zauważył świecącego monitora, bo jego uwagę odwróciły trzy koty, które nagle zmaterializowały się, wyszedłszy ze swoich kryjówek. W całym mieszkaniu było ich osiem: niektóre bardzo egzotyczne, jakiejś wschodniej rasy, o niebieskich oczach, czarnych pyskach, sierści gęstej jak włochaty dywan. Miały irytującą osobowość Greta Garbo i raczyły pojawiać się publicznie tylko w obecności Beckmana.

Schylił się, żeby pogłaskać tego, który właśnie otarł się o podnózek.

– Który to? – spytałem, udając zainteresowanie, ponieważ zainteresowanie kotami Beckmana miało bezpośrednie przełożenie na jego dobry nastój.

– McGrath, przecież widziałeś go już tyle razy. To Jednooki Pontiac. Nie mylić z Podglądaczem albo Borysem Synem Włamywacza. – Uniósł brew. – Wiesz, mam nowego kotka. Znalazłem kolejny znak rozpoznawczy. Trochę wstyd, że dotąd go nie zauważyłem.

– Dziewięć kotów?! Za coś takiego można trafić do więzienia.

Beckman poprawił okulary na nosie.

– Nazwę go Murad, jak te papierosy.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– To nieistniejąca już marka z Turcji, popularna w drugiej i trzeciej dekadzie dwudziestego wieku. „Murad” to po arabsku „pragnienie”. W filmach Cordovy nie pojawiają się żadne inne papierosy. Nie znajdziesz ani jednego marlboro, camela ani virginia slim. To nie koniec. Jeżeli w filmie Cordovy kamera

skupia się na muradzie, to znaczy, że kolejna osoba pojawiająca się na ekranie została katastrofalnie naznaczona. Innymi słowy bogowie namalowali jej wielki krzyżyk między łopatkami i przykleili niewidzialną tabliczkę z napisem „Przejebane”. Od tej pory jej życie nieodwracalnie się zmieni.

Murad. Każdy z kotów Beckmana nosił imię związane z jakimś szczegółem filmów Cordovy, znakiem rozpoznawczym albo dyskretnym podpisem reżysera: począwszy od trwających ułamki sekund epizodycznych ról (podobnych do występów Hitchcocka w jego własnych filmach) aż po małe rekwizyty symbolizujące nadciągające zniszczenie (analogiczne do pomarańczy w cyklu *Ojciec chrzestny*, które zwiastowały śmierć). Większość wcale nie była oczywista, a wręcz przeciwnie – bardzo hermetyczna, tak jak Jednooki Pontiac czy Borys Syn Włamywacza.

Przysunąłem się do stolika i sączyłem herbatę. Jeszcze raz ukradkowo zerknąłem na komputer, który ciągle się świecił. Beckman podwinął rękawy, zmarszczył czoło i chyba zamierzał podążyć za moim wzrokiem.

– Co słyszałeś o Ashley? – zapytałem.

Spochmurniał.

– Tragedia. – Odetchnął głęboko i rozsiadł się w fotelu. – Pamiętasz, Véra i ja przed laty widzieliśmy jej występ. W Weill Recital Hall. Oszałamiające doświadczenie. Koncert miał się zacząć o ósmej. Wszyscy czekali. Minęła ósma, ósma dziesięć, ósma dwadzieścia. Na scenę wyszedł brodaty facet i ogłosił nerwowo: „Koncert rozpocznie się wkrótce. Proszę o cierpliwość”. Minuty mijały. Ósma trzydzieści, czterdzieści. Czy ona kiedyś w ogóle wyjdzie na scenę? Ludzie zaczęli się złościć. „Zapłaciliśmy za bilety!”. Ja oczywiście rozglądałem się po widowni, żeby sprawdzić, czy pojawił się jej ojciec: samotna postać gdzieś z tyłu, siwowłosa, w wojskowym stroju, z wszystkowiedzącą miną, jak zwykle w okrągłych czarnych okularach, które zmieniały jego oczy w martwe czarne monety. – Beckman, z szeroko rozwartymi powiekami, naprawdę odwrócił

się ku pustym drzwiom, jakby spodziewał się zobaczyć tam Cordovę. Potem westchnął i znów spojrzął na mnie. – Nie pojawił się. Nagle zza kulis wychodzi dziecko w czarnych rajstopach i jasnoczerwonej sukience z tafty. Myśleliśmy, że ogłosi: „Koncert został odwołany”. Ale ona prędko idzie do Steinwaya i siada, w ogóle nie zwracając na nas uwagi. Przesuwa dłońmi po klawiszach w tę i z powrotem jak mistrz kuchni, który otrzepuje deskę do krojenia. Potem, nie czekając, aż widzowie przestaną rozmawiać, zaczyna grać. To było *Jeux d'eau* Ravela.

Tymczasem do stolika podeszła Olga. Nalała schłodzoną wódkę z czarnej butelki z koślawym rosyjskim napisem. Stuknęliśmy się z Beckmanem kieliszkami i wypiliśmy. Nie wiem, czy w życiu piłem lepszą wódkę: była rześka, lekka, sphywała do gardła, jakby tańczyła.

– Te nuty nie były zagrane – mówił dalej Beckman. – One wylewały się z greckiej amfory. Ludzie przeżywali kolejno wszystkie emocje, od oburzenia przez szok aż po oczarowanie. Nikt z nas nie potrafił uwierzyć, że w taki sposób gra zwykłe dziecko. Zapuszczała się w najmroczniejszą głębię... sama.

– Policja twierdzi, że to samobójstwo – stwierdziłem.

Beckman miał zamyśloną minę.

– Możliwe. W jej grze było coś takiego... znajomość mroku w jego najbardziej skrajnej postaci. – Zmarszczył brwi. – Ale to dość częste, prawda? W życiu osobistym genialnych ludzi często napotykamy spustoszenie jak po wybuchu bomby atomowej. Wykoślawione małżeństwa. Żony pozostawione na pewną śmierć. Dzieci dorastające jako zdeformowani jeńcy wojenni. Wszyscy chodzą z ziejącymi dziurami zamiast serca i nie wiedzą, gdzie jest ich miejsce, po której stronie walczą. Wielkie bogactwo, takie jak to, w które wżenił się Cordova, potęguje tylko rozmiar i zasięg zniszczeń. Może właśnie tego doświadczała Ash.

– Ash?

– Tak na nią mówiono w świecie muzyki. Ash DeRouin. Ash, jak „popiół”. Popiół z ruin. Miała trzynaście lat, ale grała jak ktoś, kto sześć razy przeżył całe życie. Sześcioro narodzin. Sześć

śmierci. Oraz cały smutek, miłość i tęsknota pochwycone i utracone przez ten czas. – Beckman zmarszczył czoło, jego gęste brwi drgnęły i zbliżyły się do siebie. – Taki talent, tyle uczucia, a do tego z całą pewnością była najpiękniejszym dzieckiem, jakie w życiu widziałem. Gdy wychodziliśmy z sali koncertowej, Véra, stwierdziła, ocierając łzy, że Ashley nie może być człowiekiem. I mówiła to bez cienia przesady.

– Czy wiesz coś o jej dzieciństwie? – zapytałem, nalewając następną kolejkę wódki. – Jaka wtedy była? Na pewno pamiętasz ten mój anonimowy telefon.

Łypnął na mnie podejrzliwie.

– Mówisz o tym twoim tajemniczym rozmówcy, „Johnie”? – Kiwnąłem głową. – Wiesz, że nigdy w niego nie wierzyłem. Padłeś ofiarą dowcipu. Ktoś sobie z ciebie zadzwilił. Na co byłyby Cordovie dziecięce ubrania? Choć to prawda, że w taki sposób nie mogłaby grać dziewczynka otoczona stokrotkami i kucykami, córeczka kochających rodziców o imionach Joanie i Phil. Nad tą rodziną faktycznie wisi jakaś mroczna chmura, tyle muszę przyznać. Ale co przykrywa? Jak bardzo jest gęsta? Czy to tylko smog, huragan piątej kategorii, czy też czarna dziura, z której nigdy nie uciekł promień światła? Tego nie wiem.

– Czy słyszałeś, żeby Ashley miała problemy ze zdrowiem psychicznym? Pod koniec sierpnia trafiła do kliniki Briarwood na prowincji stanu.

Beckman wydawał się zaskoczony.

– Nie.

– Uciekła stamtąd w towarzystwie niezidentyfikowanego mężczyzny, a dziesięć dni później straciła życie w tym magazynie. Nie natknąłeś się na jakieś plotki na Blackboardsach?

– Dobry Boże, McGrath, na Blackboardsach?! – Zachichotał, a potem wychylił wódkę i stuknął kieliszkiem o blat. – Nie zaglądałem tam od lat. Za stary już jestem na takie szopki.

Dokładnie takich fałszywych zaprzeczeń spodziewałem się po Beckmanie. Zadawanie mu pytań zawsze przypominało taniec deszczu wokół ogniska. Wymagało delikatności oraz paru

butelek tej jego wódki, mocniejszej od opium i ani chybi pochodzącej z jakiejś syberyjskiej wanny.

– Jak myślisz, gdzie teraz jest Cordova? – zapytałem.

Uniósł brew.

– Nie mów, że znowu wsiadłeś w tę swoją motorówkę i zasuwasz samotnie w górę Amazonki. Tym razem to chęć zemsty, bo zmarnowałeś sobie przez niego karierę, czy może dręczy cię ciekawość?

– Po trochu jedno i drugie. Chcę prawdy.

– Ach tak, prawdy. – Spojrzenie Beckmana padło na czarną skrzyneczkę leżącą na stoliku. Miał zamiar coś powiedzieć, ale zamiast tego obrócił się i popatrzył wprost na swój komputer. Ekran wciąż się świecił, a któryś z parszywych kotów, Jednooki Pontiac czy jak mu tam, do cholery, ocierał się o nogi biurka.

Beckman wyprostował się zaniepokojony.

– Olga! – ryknął. – Przynieś talerz tych hiszpańskich sardynek, dobrze? Borys ma niski poziom cukru. – Potem z powrotem odwrócił się do mnie. Jego powieki mrugały gwałtownie zza soczewek okularów. – Wiesz, słyszałem ostatnio o czymś, co ci się może przydać. Peg Martin.

– Peg Martin?

– Miała rólkę w pierwszych dwudziestu minutach *Izolatu 3*. Grała jedną ze sprzątaczek w kancelarii prawnej na Manhattanie. Taką niezdarną dziewczynę z ręką w gipsie. Kręcone rude włosy. Płaski nos. Znika na klatce schodowej i już nie wraca. W połowie lat dziewięćdziesiątych opowiadała o Cordovie w wywiadzie dla magazynu „Sneak”. – Pamiętałem ten artykuł. Odkopałem go podczas poszukiwań pięć lat temu. – Jedna z moich studentek ma teriera. Chodzi z nim na kurs tresury w parku Washington Square w niedzielę o szóstej wieczorem. Mówiła mi, że pod koniec godzinnych zajęć na wybieg przychodzi ruda babka z sędziwym czarnym labradorem. Siada obok niej na ławce i razem patrzą, jak inni szarpią się ze swoimi psami, bawią się i śmieją. – Beckman usiadł na skraju fotela i zaczął odgrywać Peg Martin. – Nie rozmawia... z nikim. Nie patrzy... na nikogo. Pies

też nie. No więc moja studentka mówi, że ta kobieta to właśnie Peg Martin.

– No i?

– No i wybierz się tam. Pogadaj z nią. Może coś wie o rodzinie Cordovy. Przez piętnaście lat ćpała, więc może nie dba o milczenie tak bardzo jak pozostali. – Zmarszczył czoło. – Poza tym przejrzałbym ten wywiad z „Rolling Stone” z siedemdziesiątego siódmego. Ostatni wywiad Cordovy, zanim zapadł się pod ziemię. Podobno jest w nim coś istotnego. Szukałem, ale nic nie znalazłem. Może tobie się uda.

– A Cordova? Gdzie on jest?

Beckman opróżnił kieliszek.

– Pewnie się ukrywa. Wyobrażam sobie, że serce mu krwawi. Zabawna myśl, jeśli wziąć pod uwagę te wszystkie koszmary z jego filmów. Ale zawsze podejrzewałem, że cały ten mrok służy ukazaniu światła. Cordova widział cierpienie umysłowe innych ludzi i liczył na to, że jego filmy pozwolą im przed nim uciec. Jego bohaterowie są zniszczeni, pokonani. Przechodzą przez piekło i wychodzą z niego jako osmalone gołębicę. W dzisiejszych czasach ludzie niczego się nie uczą, są słabi, małostkowi, traktują dar życia z taką apatią, jakby to wszystko było tylko reklamówką Pepsi. Dlatego wcale nie dziwię się Cordovie, że zszedł do podziemia. McGrath, czy ty widziałeś, jak ostatnio wygląda świat? To okrucieństwo, ten brak więzi? Każdy artysta musi zadawać sobie pytanie, po co to wszystko. Żyjemy coraz dłużej, samotnie wchodzimy w relacje społeczne z naszymi monitorami, a nasze uczucia są coraz płytsze. Wkrótce będą jak brodzik, potem jak naparstek z wodą, a potem jak mikrokropelka. Podobno za dwadzieścia lat złączymy się z procesorami, które powstrzymają starzenie, i staniemy się nieśmiertelni. Komu się uśmiecha spędzenie całej wieczności jako maszyna? Nic dziwnego, że Cordova się ukrywa. – Nagle zamilkł. Oklapnięty siedział w fotelu.

Monitor nareszcie zgasł. Zerknąłem na zegarek. Było już po szóstej. Musiałem ruszać.

– Dzięki za wódkę – powiedziałem. – Chciałbym również oficjalnie przeprosić.

Beckman nie odpowiedział, pochłonięty jakąś ponurą myślą. Po chwili jego spojrzenie znowu padło na czarną chińską skrzynkę na stoliku. Wyciągnął rękę i sprawdził wieczko palcem wskazującym – ale oczywiście nie chciało się otworzyć.

– Aż dziw, że nie próbowałeś go uchylić pod moją nieobecność – mruknął.

– Pewne skrupuły jednak mam.

Beckman uniósł pytająco brwi.

Postanowiłem spełnić jego zachciankę i sięgnąłem po pudełko. Miało podstawę sześciokąta i było dość ciężkie. Gdy nim potrząsałem, natychmiast rozpoznałem niesławny suchy stukot. Nie wiedziałem, co to było – nikt tego nie wiedział z wyjątkiem niezidentyfikowanej osoby, która umieściła te rzeczy w środku.

Beckman kupił tę zamkniętą skrzynkę na czarnym rynku od handlarza pamiątkami. Podobno to rekwizyt skradziony z planu *Tu na mnie czekaj* Cordovy. W filmie ten przedmiot należał do seryjnego mordercy Boyda Reinharta. Chociaż widzowie nigdy nie poznali zawartości skrzynki, rzekomo jest w niej coś, co kazało mu zabijać, co mentalnie złamało go w dzieciństwie. Jednak ze względu na problem z dokumentacją według handlarza istniała możliwość, że skrzynka wcale nie pochodzi z planu filmowego, ale skradziono ją z magazynu FBI, gdzie była przechowywana jako dowód rzeczowy w sprawie Hugh Thistletona, zabójcy naśladowującego Boyda Reinharta – począwszy od sposobu dokonywania morderstw aż po ekstrawagancki ubiór.

Beckman uwielbiał pokazywać pudełko swoim gościom i pozwalał, żeby podawali je sobie z rąk do rąk. „Oto ona – mówił z nabożną czcią. – Ta skrzynka symbolizuje tajemniczą granicę między rzeczywistością a fantazją. Czy należy do Reinharta? Czy do Thistletona? Czy może do was? Bo przecież każdy z nas ma taką skrzynkę, taką mroczną komorę, w której chowamy to, co

przebiło nam serce. Jest tam przyczyna wszystkiego, co robimy, wszystkich naszych dążeń, wszystkich ran, jakie zadajemy swemu otoczeniu. A gdyby ją otworzyć, czy coś byśmy uwolnili? Nie. Bo tym niezdobytym więzieniem o niemożliwym zamku jest nasz własny umysł”.

Kiedy byłem tu po raz ostatni i kiedy Beckman zniknął w kuchni po kolejną flaszkę wódki, ja – nieźle narąbany i zachęcony przez którąś z atrakcyjnych studentek – wpadłem na genialny pomysł podważenia zamka scyzorykiem, żeby raz na zawsze sprawdzić, co tam jest.

Zamek z matowego mosiądzu ani drgnął.

Beckman przyłapał mnie na gorącym uczynku. Wyrzucił mnie z mieszkania, wykrzykując: „Zdrajca!” i „Filister!”. Jego ostatnie słowa, zanim zatrzasnął mi drzwi przed nosem, brzmiały: „Nawet nie widziałeś, gdzie się ją otwiera”.

Olga wniosła dwa talerze ze stosami sardynek – wystarczyłoby ich do wykarmienia wszystkich wydr w SeaWorld. Postawiła naczynia na wyblakłym dywanie. Koty zaczęły wachać jedzenie.

– Twój problem, McGrath – rzekł Beckman, nalewając resztę zawartości butelki do naszych kieliszków – polega na tym, że w ogóle nie szanujesz mroku. Tego, co ciemne i niewyjaśnione. Niedające się zdefiniować. Wy, dziennikarze, rozjeżdżacie tajemnice buldożerami, zupełnie nie mając świadomości, co tak bezwzględnie rozgrzebujecie. Nie wiecie, że wykopujecie coś potężnego. – Wbił we mnie swe ciemne oczy. – Coś, co nie chce pozwolić się znaleźć. I nie pozwoli. – Mówił o Cordovie. – Tak czy inaczej – dodał cicho – upiorny cień człowieka to nie to samo, co sam człowiek.

Kiwnąłem głową i uniosłem kieliszek.

– Za mrok.

Stuknęliśmy się szkłem i wypiliśmy. Wstałem, skłoniłem się nisko Beckmanowi – miał słabość do bycia traktowanym jak król – i przeszedłem obok niego. Nie odezwał się ani słowem, bezradnie osunięty w fotelu, przysypany lawiną własnych myśli.

Kiedy jechałem windą na parter, nie tylko miałem wyrzuty sumienia, że tak bezczelnie grzebałem w jego komputerze, ale również żałowałem, że rozmowa przybrała taki kierunek. Wódka sprawiła, że byłem nieco zbyt otwarty. Teraz Beckman nie mógł już mieć wątpliwości, że wróciłem na trop, że znów wziąłem Cordovę na cel. Nie miałem pojęcia, co zrobi z tą wiedzą.

Sprawdziłem zdjęcie monitora i nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Co prawda obraz był trochę nieostry, ale potrafiłem rozszyfrować poszczególne znaki skomplikowanego adresu internetowego. To najcenniejsza informacja, jaką wyciągnąłem od Beckmana przez wszystkie lata znajomości.

Zamknąłem fotografię i zrobiłem szybką notkę w kalendarzu.
„Peg Martin. Park Washington Square. Niedziela o 18”.

8

Dziewczyna w szatni Four Seasons jadła garściami kolorowe żelki. Czytała cienką książkę w żółtej okładce.

Z policyjnych akt sprawy Ashley wiedziałem, że nazywa się Nora Halliday i ma dziewiętnaście lat.

Ilekcio wchodziła grupa gości – turyści ze Środkowego Zachodu, kolesie z finansjery, wiekowe małżeństwo, które poruszało się w takim tempie, jakby uprawiało tai-chi – dziewczyna szybko ściągała okulary w czarnych oprawkach, chowała książkę i przyjmowała ubrania z radosnym „Dobry wieczór!” na ustach. Gdy tylko oddalali się na górę, znowu wkładała okulary, wyciągała książkę i wracała do lektury, zgarbiona nad ladą szatni.

Siedziałem obok schodów i obserwowałem ją z przeciwległej strony korytarza. Postanowiłem, że najlepiej tu poczekać, ponieważ po paru kolejkach paliwa raketowego, które Beckman nazywał wódką, byłem nieco bardziej wcięty, niż sądziłem. W pewnym momencie dziewczyna z zaciekawieniem zerknęła w moją stronę. Na pewno uznała, że na kogoś czekam, więc uśmiechnęła się i czytała dalej.

Według raportu policyjnego pracowała tu dopiero kilka tygodni. Miała mniej więcej metr siedemdziesiąt wzrostu, była chuda jak znak zapytania, a blade blond włosy upięła we francuski kok. Okalające twarz loki przypominały pędy lucerny. Nosila firmowy strój pracowników restauracji: brązową spódnicę i za dużą brązową bluzkę – widoczne pod materiałem poduszki układały się nierówno na jej ramionach.

W końcu wstałem i podszedłem do dziewczyny. Zamknęła książkę, położyła ją na blacie wierzchem do dołu, ale zdążyłem jeszcze dostrzec tytuł.

Hedda Gabler Henryka Ibsena.

Tragiczna sztuka, której bohaterkę powszechnie uważa się za najbardziej neurotyczną postać kobiecą w całej literaturze zachodniej.

Czekało mnie trudne zadanie.

– Dobry wieczór panu – powiedziała pogodnie.

Zdjęła okulary, ukazując duże niebieskie oczy i delikatne rysy, które czterysta lat temu zrobiłyby furorę. Ponieważ jednak żyjemy w epoce samoopalacza i wydętych dzióbków, dziewczyna bez wątpienia była ładna, ale niedzisiejsza – taka trochę Twiggy z przełomu wieków. Na ustach miała jaskraworóżową szminkę, której najwidoczniej nie nałożyła w dobrym świetle ani w pobliżu lustra.

Wydawała się za to sympatyczna. I na tyle swobodna, by nawiązać rozmowę.

Zdjęła jeden ze srebrnych wieszaków i wyciągnęła rękę po moje okrycie.

– Nie oddaję nic do szatni – powiedziałem. – Pani na pewno nazywa się Nora Halliday, prawda?

– Tak.

– Miło mi, Scott McGrath. – Wyjąłem z portfela i podałem jej wizytówkę. – Chciałbym porozmawiać, kiedy będzie to pani odpowiadać.

– O czym? – spytała, przyglądając się jej.

– O Ashley Cordovie. O ile mi wiadomo, to pani widziała ją jako ostatnia?

Dziewczyna znowu spojrzała na mnie.

– Pan jest z policji?

– Nie. Jestem dziennikarzem śledczym.

– A co pan śledzi?

– Zajmowałem się próbami tuszowania skandali i międzynarodowymi kartelami narkotykowymi. Mam już trochę informacji o Ashley. Ciekawi mnie pani punkt widzenia. Czy odzywała się do pani?

Dziewczyna przygryzła wargę, położyła moją wizytówkę na blacie i ostrożnie wysypała sobie na rękę trochę kolorowych żelków z torby mieszczącej chyba ze cztery kilo. Włożyła całą garść do ust, a potem żuła z zaciśniętymi wargami.

– Wszystko, co mi pani powie, może mieć charakter poufny – dodałem.

Zakryła usta dłonią.

– Czy pan pił alkohol? – zapytała.

– Nie.

Chyba nie spodobała jej się moja odpowiedź. Przełknęła żelki.

– Czy będzie pan dziś u nas jadł?

– Nie.

– Czy zamierza się pan spotkać z kimś w barze?

– Raczej nie.

– W takim razie muszę pana prosić o opuszczenie lokalu.

Wpatrywałem się w nią. Z całą pewnością nie pochodziła z Nowego Jorku. Miała niemal wypisane na czole: „Świeżo upieczona absolwentka Uniwersytetu Stanowego Ohio z dyplomem z aktorstwa”. Coś mi mówiło, że grała którąś z Pink Ladies w jakiejś koszmarnej inscenizacji *Grease*, a kiedy ktoś pytał, czym się zajmuje, mówiła: „Jestem aktorką” tym samym matowym głosem, jakim ludzie na spotkaniach AA oznajmiają: „Jestem alkoholikiem”. Takie dziewczyny przyjeżdżały tu masowo z nadzieją, że ktoś je odkryje, że spotkają swojego Mr. Biga, ale nader często lądowały w barach na Murray Hill w czarnych sukienkach z Banana Republic i z plastrami chroniącymi pęcherze na piętach. Szybko odzierano je z marzeń o Manhattanie. Żeby dłużej żyć w tym mieście, potrzeba żyłki masochisty, moralnej elastyczności, skóry twardej jak u aligatora oraz wytrzymałości, której pozazdrościłby diabełek z pudełka – a te niby pewne siebie panienki tuż po dwudziestce nie miały o tym wszystkim zielonego pojęcia. Za pięć lat dziewczyna ucieknie do rodziców, chłopaka o imieniu Wayne i pracy nauczycielki w swojej dawnej szkole średniej.

– Jeśli nadal będzie się pan tu kręcił, wezwę kierownika. Carl z przyjemnością odpowie na wszystkie pytania i uwagi.

Głęboko odetchnąłem.

– Panno Halliday – powiedziałem, robiąc niewielki krok w jej stronę. Dostrzegłem, w którym miejscu różowa szminka zsunęła jej się z górnej wargi. – Znalaziono zwłoki młodej kobiety. Pani jako ostatnia widziała ją przy życiu. Rodzina Cordovów o tym wie. Wie o tym wiele osób. Policja nie ukrywa pani nazwiska.

Ludzie zastanawiają się, co takiego pani zrobiła albo co do niej powiedziała, że kilka godzin później ta kobieta już nie żyła. Nie wyciągam pochopnych wniosków. Chcę tylko poznać pani punkt widzenia.

Chwilę mi się przyglądała, a potem sięgnęła po słuchawkę telefonu, który wisiał za jej plecami, i wystukała trzycyfrowy numer.

– Mówi Nora. Możesz tu zejść? Przyszedł jakiś pan. Ma – ostentacyjnie zmierzyła mnie wzrokiem – pięćdziesiąt parę lat.

Nie takiej reakcji się spodziewałem. Prędko opuściłem budynek. Zatrzymałem się na ulicy pod markizą i spojrzałem za siebie. Mała panna Streep włożyła okulary, oparła się na blacie i wciąż mnie obserwowwała.

Z góry pospiesznie zszedł jakiś mężczyzna w niebieskim garniturze – to pewnie Carl pędził na ratunek – więc odwróciłem się i ruszyłem z powrotem w stronę Park Avenue.

Kiepsko poszło. Wyszedłem z wprawy.

Spojrzałem na zegarek. Minęła ósma, było zimno, na nocnym niebie smugi chmur bieleły i rozplywały się jak oddech na szkle.

Może byłem trochę nie w formie, ale nie zamierzałem wracać do domu.

Jeszcze nie.

9

Kwadrans później siedziałem w taksówce sunącej przez Chinatown. Mijała odrapane kamienice, restauracje, brudne szyldy reklamujące MASAŻ PLECÓW I STÓP i APTEKĘ POPULARNĄ. Na markizach napisy po angielsku mieszały się z chińskimi znakami. Mężczyźni w ciemnych kurtkach przemykali przed witrynami sklepów rozświetlonymi neonami w morderczych kolorach – syropowego szkarłatu, absyntowej zieleni, żółtaczkowej żółci – które zlewały się na nierównych uliczkach. Okolica wydawała się kwitnąca, lecz pusta, zupełnie jakby właśnie zarządzono kwarantannę.

Minęliśmy ceglany kościół – KOŚCIÓŁ PRZEMIENIENIA PAŃSKIEGO, jak przeczytałem na tablicy.

– To tutaj – powiedziałem do kierowcy.

Zapłaciłem mu, wysiadłem, a potem podniosłem wzrok, żeby spojrzeć na budynek, zaniedbaną sześciopiętrową ruinę. Oblaziła z niego biała farba, do ścian przywarły rusztowania, a wszystkie okna zabite były deskami. To właśnie w tym magazynie znaleziono Ashley Cordovę. Przed wejściem piętrzyły się kwiaty i odręcznie wykonane kartki.

Leżały tam bukiety róż, goździków i lili, stały świeczki i obrazki z Matką Boską. „Ashley, spoczywaj w pokoju”. „Niech Cię Bóg błogosławi”. „TWOJA MUZYKA NIGDY NIE ZGINIE”. „Jesteś teraz w lepszym miejscu”. Zawsze zaskakiwało mnie, że ludzie tak zawzięcie oplakują piękną nieznajomą – zwłaszcza ze sławnej rodziny. Przelewali na nią własne żale i smutki, pozbywali się ich, przez kilka dni czuli się lekko i szczęśliwie, pocieszeni myślą: przynajmniej nie trafiło na mnie.

Delikatnie odsunąłem na bok trochę kwiatów, żeby dojść do stalowych drzwi, zamkniętych na dwie kłódki i oznaczonych tablicami UWAGA oraz NIEBEZPIECZEŃSTWO. Policyjna taśma była nietknięta.

Za mną przejechał rdzawoczerwony sedan z zepsutym tłumikiem. Za kierownicą kuliała się ciemna sylwetka. Zrobiłem krok do tyłu, kryjąc się w cieniu rusztowania, i poczekałem, aż

auto dojedzie do końca Mott Street. Skręciło w lewo, a na ulicy znów nastąpiła cisza.

Mimo to miałem nieodparte wrażenie, że jest tu ktoś jeszcze – albo że był bardzo niedawno.

Zapiąłem suwak kurtki, a następnie, rozejrzawszy się po ulicy – całkiem pustej z wyjątkiem jakiegoś młodego Azjaty, który właśnie wszedł do sklepu o nazwie Chinatown Fair – ruszyłem do końca Mott Street, gdzie krzyżowała się z Worth. Skręciłem ostro w prawo, minąłem czerwoną markizę z napisem STOMATOLOGIA KOSMETYCZNA, a potem wgięte druciane ogrodzenie otaczające pustą, ciemną działkę. Kiedy dotarłem do następnego budynku, nędznej kamienicy, a potem do kolejnej pod adresem Worth Street 197, wiedziałem, że jestem już za daleko.

Cofnąwszy się, zauważyłem, że w ogrodzeniu obok gabinetu stomatologicznego wycięto dziurę. Podszedłem tam i przykucnąłem. W tym miejscu przywiązano niewielką czarną szmatkę – najwyraźniej sygnalizującą jakieś wejście. Widziałem wąską gruntową ścieżkę, która wiała się w głąb posesji. Wiodła do opuszczonego budynku.

To na pewno tutaj. Wiszące Ogrody – powiedziała Falcone. Według opisu zajścia w aktach Ashley był to „znany squat i melina narkomanów”. Policja uznała, że to stąd, z domu przy Worth Street 203, Ashley weszła do magazynu przy Mott Street 9, a potem wspięła się po schodach aż na dach i dostała się przez świetlik do sąsiedniego budynku. Chociaż funkcjonariusze nie znaleźli w okolicy żadnych świadków ani rzeczy osobistych Ashley, nic to nie znaczyło. Śledczy słyną z lenistwa, gdy już na początku dochodzenia stwierdzają, że przyczyną śmierci było samobójstwo – i często nie zauważają kluczowych szczegółów wskazujących na coś zupełnie innego.

Właśnie dlatego tu przyjechałem.

Przecisnąłem się przez otwór. Uderzył mnie w nozdrza powalający smród śmieci, a niewidoczne zwierzęta pierzchały, kiedy szedłem ścieżką. Pewnie to tylko maskotki Nowego Jorku:

szczury wielkości kotów. Kiedy mój wzrok przywykł już do ciemności, zobaczyłem sypiącą się ceglana elewację budynku oraz drzwi po lewej stronie. Ruszyłem ku nim, potykając się o plastikowe butelki i jakiś stary rower. Otworzyłem je.

Za progiem był duży magazyn. Skądś sączyło się słabe światło padające na ściany pokryte nieczytelnym graffiti. Cuchnęło tu, a wszędzie wały się gazety i puszki, kubły masy szpachlowej i izolacja, bawełniane bluzy i pudła, garnki i patelnie. Widać, że dawniej mieszkali tu squattersi – ale teraz miejsce wyglądało na opuszczone, pewnie ze względu na aktywność policji. Wszedłem do środka i pozwoliłem, żeby ciężkie drzwi zamknęły się za mną z piskiem.

Teraz, gdy zabójcza wódka Beckmana wyparowała mi z organizmu, zrozumiałem, jak nierozsądnie postąpiłem, przyjeżdżając tu bez choćby sprężynowca, który zawsze zabierałem na jogging w Central Parku. Nie przyszło mi też do głowy, żeby wziąć latarkę. Odetchnąłem głęboko – lekceważąc głosik w moim umyśle, który przypominał: „Czy aby dopiero co nie ustaliliśmy, że nie jesteś w formie?” – a potem skierowałem się w głąb budynku w poszukiwaniu schodów.

Okazały się pordzewiałe. Chwyciłem poręcz, żeby sprawdzić, czy całość da się oderwać od ściany, ale bolce były zaskakująco mocne.

Ruszyłem w górę. Metaliczne echo moich kroków drażniło nerwy. Raz po raz przystawałem, żeby rozejrzeć się wkoło, upewnić się, że jestem sam, i zrobić kilka zdjęć komórką. Przy każdym kroku stary budynek zdawał się warczeć i kasłać, jakby nie zgadzał się na to, że pnę się po jego zardzewiałym kręgosłupie. To wtedy wspinała się Ashley. Jeśli zamierzała popełnić samobójstwo – o czym bynajmniej nie byłem przekonany bez względu na słowa Falcone – to dlaczego przyszła tutaj, do tego opuszczonego miejsca?

Minąłem piąte piętro i po ostatnich, najwęższych schodach wdrapałem na klaustrofobiczne poddasze. Na podłodze leżał poplamiony materac. Tam, gdzie pochyły sufit spotykał się ze

ścianą, znajdowała się kwadratowa kłapa. Pchnąłem ją ramieniem, ustąpiła ze szczękiem i wyszedłem na zewnątrz.

Znalazłem się na dachu. W najdalszym kącie stała pokiereszowana kanapa. Rozciągał się stąd widok na krajobraz Dolnego Manhattanu najeżony drapaczami chmur: na tępe kikuty biednych kamienic czynszowych, zwaliste bryły urzędów miejskich, wieże ciśnień wyrastające z dachów jak pąki czarnego ostu – wszystko to walczyło o skrawek nocnego nieba.

Do budynku przylegał tył domu przy Mott Street 9. Oddzielał je tylko trzydziestocentymetrowy odstęp, ale biegł w dół aż do poziomu ulicy. Stałem na niskim murku okalającym dach, nieopatrznie spojrzałem w dół – gdybym spadł, zginąłbym między dwoma ceglanyimi zębami, które schrupałyby mnie niczym pietruszkę – a potem przeskoczyłem na sąsiednią budowlę.

Obszedłem dokoła potężną wieżę ciśnień i znalazłem świetlik. Była to kwadratowa szklana piramida, ale większości szkła brakowało. Podszedłem tam, przykucnąłem i spojrzałem do środka przez jedną ze stłuczonych szyb.

Trzy i pół metra pode mną znajdowała się ciemna podłoga. Mogłem też zajrzeć do znajdującego się nieco po lewej szybu windy towarowej, który sięgał siedem kondygnacji w dół. Beton na samym dnie był jasno oświetlony. Czułem się tak, jakbym patrzył w głąb gardła, w głąb korytarza między wymiarami. Szyb miał mniej więcej trzydzieści metrów głębokości. Nawet z tak wysoka dostrzegałem rdzawe plamy na samym dole. Krew Ashley.

Podobno weszła przez świetlik, zdjęła buty i skarpetki, a potem zeskoczyła. To musiał być tylko moment, wiatr w uszach, na twarzy protest ciemnych włosów – a potem nic.

Falcone miała rację. Wybite okienka świetlika były tak wąskie, że trudne byłoby zmuszenie Ashley, żeby precyzyjnie się przez metalowe ramy wbrew woli. Trudne, ale nie niemożliwe.

Wyprostowałem się i rozejrzałem po podłożu. Nie było tu żadnych petów, strzępków, jakichkolwiek śmieci. Już miałem

stąd iść, wrócić do Wiszących Ogrodów, gdy daleko w dole, na dnie szybu windy, coś się poruszyło.

Po ziemi przebiegł cień.

Czekałem, zastanawiając się, czy mi się nie przywidziało, i wpatrując się w pustą, oświetloną przestrzeń.

Ale wtedy znów powoli pojawiła się jakaś sylwetka.

Ktoś stał w drzwiach windy i rzucał cień do wnętrza. Trwał tam nieruchomo przez minutę, a potem wszedł do szybu.

Zobaczyłem włosy w kolorze ciemnoblonde oraz szary płaszcz. To na pewno śledczy, który wrócił, żeby raz jeszcze sprawdzić miejsce zdarzenia. Przykucnął, jakby chciał obejrzeć plamy krwi na betonie. Potem, ku mojemu zdziwieniu, usiadł w kącie i oparł łokcie o kolana.

Nie ruszał się przez jakiś czas.

Pochylając się, żeby lepiej widzieć, wytrąciłem z ramy kawałek szkła. Spadł i rozbił się tuż przede mną.

Zaskoczony mężczyzna spojrział w górę, a potem zerwał się i znikł.

Skoczyłem na nogi i pognałem przez dach.

To na pewno nie śledczy. Żaden znany mi śledczy – z wyjątkiem Sharon Falcone – nie poruszał się tak szybko.

10

Pobiegłem za róg do budynku przy Mott Street 9. Spodziewałem się, że drzwi będą otwarte.

Ale policyjna taśma wciąż była na swoim miejscu, podobnie jak kłódki.

W jaki sposób ten człowiek dostał się do środka? I kim był, do cholery? Cordovita? Świrem, którego kręcą miejsca, gdzie ktoś zginął? Sprawdziłem okna – wszystkie wciąż zabite deskami. Pozostawała już tylko jedna możliwość: wąski zaułek przesłonięty górami śmieci. Odepchnąłem je na bok, starając się nie oddychać, i precisnąłem się na drugą stronę. Rzeczywiście, na samym końcu uliczki otwarte okno rzucało światło na przeciwległą ścianę.

Kimkolwiek był intruz, posłużył się łomem leżącym teraz na ziemi. Podważył stare deski i zrobił szczelinę na tyle szeroką, żeby się przez nią precisnąć.

Podszedłem tam i zajrzałem do środka.

Zobaczyłem jasno oświetloną budowę: gołe świetlówki zwisały z niedokończonego sufitu, a przed głównym wejściem piętrzyły się plastikowe beczki i płachty brezentu. Rozległą przestrzeń okalały setki słupków do konstrukcji ścian. W głębi, po prawej stronie, żółta taśma policyjna przesłaniała wejście do windy.

Ani śladu żywej duszy.

– Halo! – zawołałem.

Cisza. Jedyne dźwięki wydawały świetlówki brzęczące jak owady. Chwyciłem łom – tak na wszelki wypadek – i precisnąłem się przez szparę. Spadłem na stertę worków z cementem.

Przestrzeń była rozległa i pusta. Jedyne pod tylną ścianą dostrzegłem stos metalowych belek oraz beczki do mieszania cementu, a także coś, co przykrywała plastikowa płachta.

Podszedłem tam ostrożnie i odciągnąłem ją na bok.

Pod spodem była taczka.

– Jest tu kto?! – zawołałem, rozglądając się wkoło.

Zero odpowiedzi, zero ruchu.

Facet pewnie się wystraszył.

Zbliżyłem się do taśmy policyjnej i już miałem pod nią przejść, gdy nagle jakaś ręka złapała mnie za ramię i poczułem uderzenie w skroń. Odwróciłem się, ale zostałem pchnięty na ziemię i upuściłem łom.

Miałem biało przed oczami, byłem oślepiiony, zdołałem jednak dostrzec mężczyznę, który spoglądał na mnie z góry. Przygniółł butem mój tors.

– Kim ty, kurwa, jesteś?! – wrzasnął.

To był młody głos, niewyraźny z wściekłości. Facet pochylił się nade mną i usiłował ścisnąć mnie za gardło, ale się wyrwałem, odepchnąłem go, chwyciłem łom i rąbnąłem go nim w ramię.

Muhammad Ali raczej nie byłby ze mnie dumny, najważniejsze jednak, że zadziało. Nieznajomy próbował się przytrzymać metalowego słupka, nie złapał go i runął do tyłu.

Zbliżyłem się do niego chwiejnym krokiem. O dziwo, był zbyt nawalony, żeby wstać. Cuchnął gorzałą i papierosami. Okazało się, że to zwykły gnojek – dwadzieścia parę lat, kudłaty, brudne białe trampki Converse'a, sprany zielony T-shirt z napisem „Kiedyś”. Oczy miał przekrwione i zażawione, chyba nie mógł skupić na mnie wzroku.

– Teraz moja kolej – powiedziałem. – A kim, kurwa, ty?

Zamknął oczy i po prostu zemdłał.

W pierwszej chwili miałem ochotę go udusić. Gdy dotknąłem głowy tam, gdzie mnie uderzył, poczułem krew. Nie był gliniarzem, więc to albo przypadkowy włóczęga, albo cordovita. Albo może znał Ashley.

Wyciągnąłem spod niego szary tweedowy płaszcz i przejrzałem kieszenie. Znalazłem paczkę marlboro, w której zostały trzy papierosy, zapalniczkę oraz klucze do mieszkania. Włożyłem je z powrotem na miejsce. W drugiej kieszeni znalazłem iPhone'a z pękniętym ekranem. Okazał się zablokowany kodem, a na tapecie miał zdjęcie półnagiej blondynki.

Wewnętrzna kieszeń płaszcza była pusta. Poczułem jednak coś jeszcze i zrozumiałem, że w naderwanej podszewce umieszczono dodatkowy schowek.

Sięgnąłem do środka i wyjąłem dwie hermetyczne torebki. W obu znajdowały się pigułki, w jednej żółte, a w drugiej zielone, z napisami OC 40 i 80. OxyContin.

A więc to diler – raczej drobny, skoro właśnie przesypiał przeszukanie. Schowałem proszki z powrotem do kieszonki i wstałem.

– Słyszysz mnie, Scarface? – Nie odpowiedział. – Ręce do góry. Nalot FBI! – krzyknąłem.

Nic.

Najłagodniej, jak umiałem – choć w zasadzie nie wiem, po co zadawałem sobie tyle trudu, skoro koleś przekimałby nawet apokalipsę – przetoczyłem go na bok i wyjąłem mu portfel z tylnej kieszeni spodni. Nie miał prawa jazdy ani kart kredytowych, tylko gotówkę – siedemset czterdzieści dolców, głównie w dwudziestkach.

Pieniądze i portfel odłożyłem z powrotem na miejsce, ale iPhone'a schowałem do własnej kieszeni, którą zapiąłem na suwak. Potem obszedłem gościa, żeby zajrzeć do windy.

Nie było tam nic z wyjątkiem ciemnych plam krwi. Kilka strużek wsiąkło w pęknięcia w betonie.

Zrobiłem parę zdjęć, a potem wróciłem do chłopaka, żeby sprawdzić, czy oddycha. Chyba był tylko pijany – a nie pod wpływem innych środków. Obróciłem go jeszcze bardziej na bok, żeby w razie czego nie udusił się własnymi wymiocinami. Następnie poszedłem do okna i wydostałem się na zewnątrz. Przemknąłem przez zaułek i wróciłem na Mott Street.

Uznałem, że nie dowiem się niczego o tym facecie aż do jutra, kiedy odkryje brak telefonu. Ale już gdy jechałem taksówką do domu – a potem jeszcze przez wiele godzin; zdążyłem wziąć prysznic i łyknąć dwie tabletki paracetamolu (po wódce Beckmana tak potwornie bolał mnie łeb, a na dodatek dostałem

cios w skroń, że powinienem był buchnąć pigułkę oxycontin) – jego telefon bombardowały SMS-y.

Gdzie jestes

To Chloe. Kolejną wiadomość przysłała sześć minut później.

Czekam 2 godz gdzie jestes ??

Potem napisała Reinking (od razu ją sobie wyobraziłem: nordycki typ, nogi jak szpikulce do lodu):

Johna nie ma przyjdź

Po dwóch minutach:

Chce cie

Po dwunastu:

Ale jestem na ciebie napalona. Przyszedles juz?

Następnie przysłała jakieś erotyczne zdjęcie, którego nie mogłem otworzyć. Potem napisała:

Halo? Nic??
Pierdol sie

Potem był SMS od Arden:

Wyszędles? Przyjdź do jimmiego

W tym czasie jakaś Jessica dzwoniła obsesyjnie jednaście razy. Pozwoliłem, żeby włączyła się poczta głosowa.

Potem znowu Arden:

Hopper gdzie ty kwa jestes

To musiało być jego imię. Hopper.

Drobny diler w spranym płaszczu, skulony w kącie szybu windy – kimkolwiek był, na pewno mógł mi coś powiedzieć o Ashley.

– Halo? – Odebrałem telefon.

W tle słyszałem brzęk talerzy.

– Cześć. Znalazłeś mój aparat.

– Znalazłem. – Wypiłem łyk kawy.

– Fajnie. Gdzie?

– Na tylnym siedzeniu taksówki. Jestem w West Village.

Przyjdzie pan go odebrać?

Dwadzieścia minut później zadzwonił domofon. Odciągnąłem zasłony w salonie, ponieważ z okna był dobry widok na schodki przed wejściem. I oto on, Hopper: w tym samym płaszczu co zeszłej nocy, w tych samych spranych dżinsach i converse'ach. Palił papierosa i kulił się z zimna.

Kiedy otworzyłem mu drzwi, w ostrym świetle dnia stało się jasne, że nawet mimo tłustych włosów oraz tego, że brązowe oczy ma podkrążone od alkoholu, spotkań z kobietami – kto wie, od czego jeszcze – gość jest przystojny. Nie wiem, jakim cudem wcześniej tego nie zauważyłem. Przecież to rzucało się w oczy jak srebrny silos na polu kukurydzy. Chłopak mierzył prawie metr osiemdziesiąt, był trochę niższy ode mnie, szczupły, miał rzadką, niechlujną brodę i piękne, surowe rysy tajemniczego aktora z lat pięćdziesiątych, jednego z tych, co to płaczą po pijaku, a potem umierają młodo.

– Cześć. – Uśmiechnął się. – Przyszedłem po telefon.

Najwyraźniej w ogóle sobie nie przypominał wydarzeń zeszłej nocy. Patrzył na mnie tak, jakby nigdy w życiu mnie nie widział.

– Jasne.

Ustąpiłem z progu, żeby go wpuścić. Zmierzył mnie wzrokiem i widocznie uznał, że nie rzucę się na niego, bo wsadził ręce w kieszenie płaszcza, po czym wszedł do środka. Zamknąłem drzwi i ruszyłem do salonu. Wskazałem aparat, który leżał na stoliku.

– Dzięki, człowieku.

– Nie ma za co. Co robiłeś w tamtym magazynie? – Był zaskoczony. – W Chinatown. Nazywasz się Hopper, prawda?

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć – ale się powstrzymał. Jego wzrok pomknął ku drzwiom za moimi plecami.

– Jestem dziennikarzem, badam śmierć Ashley. – Wskazałem regał. – Tu jest trochę moich starych tekstów, jeśli chcesz rzucić okiem.

Z niepewną miną podszedł do półki i wyciągnął *Kokainowy karnawał*.

– „Porywający majstersztyk o wartym miliardy dolarów przemyśle narkotykowym oraz o zniszczonym życiu milionów ludzi, których wciągnął w swe tryby” – odczytał. – Brzmi epicko. – W tym stwierdzeniu był sarkazm.

– Robię, co mogę.

– A teraz będziesz pisał o Ashley.

– To zależy od tego, ile znajdę. Co o niej wiesz?

– Nic.

– Co cię z nią łączy?

– Też nic.

– To dlaczego włamałeś się do magazynu, w którym zginęła?

Nie odpowiedział. Odstawił książkę na półkę, a potem przejrzał kilka innych. Znowu wsadził ręce do kieszeni i odwrócił się do mnie.

– Dla jakiej gazety pracujesz? – zapytał.

– Dla żadnej. Wszystko, co mi powiesz, może mieć charakter poufny.

– Coś jak relacja między adwokatem a jego klientem?

– Właśnie.

Uśmiechnął się sceptycznie, lecz potem spoważniał i zaczął mi się przypatrywać. Dobrze znałem to spojrzenie. Bardzo chciał mówić, ale zastanawiał się, czy może mi zaufać.

– Masz trochę czasu? – spytał cicho, pocierając nos.

Wszedłem za Hopperem po schodach obskurnej kamienicy przy Ludlow Street, a potem do jego mieszkania pod numerem 3B. Przerzucił swój szary płaszcz przez oparcie krzesła plażowego, a potem zniknął w sypialni – w której nie było nic oprócz materaca na podłodze – zostawiając mnie przy drzwiach.

Lokal był maleńki. Wisiało w nim odurzające, nieświeże powietrze, zupełnie jak w noclegowni.

Pod ścianą, na zapadniętej zielonej kanapie leżała stara niebieska kołdra. Chyba niedawno ktoś rozwalił się tam na noc – może nawet dosłownie. Talerz na stoliku opanowała epidemia petów. Obok leżały bibułki do papierosów, paczka tytoniu Golden Virginia, otwarte pudełko ciasteczek z czekoladą oraz wymięty egzemplarz miesięcznika „Interview” z jakąś wychudzoną gwiazdeczką na okładce. Wczorajszy zielony T-shirt z napisem „Kiedyś byłem kimś” leżał na ziemi wraz z białą bluzą i paroma innymi ciuchami. (Czarne damskie rajstopy trzymały się rozpaczliwie oparcia drugiego krzesła plażowego, jakby za wszelką cenę nie chciały trafić na tę stertę). Jedną ze ścian najwyraźniej ucałowała jakaś dziewczyna z czarną szminką na ustach. W kącie pokoju stała gitara akustyczna, a obok niej stary plecak turystyczny. Wyblakły czerwony nylon pokrywało odręczne pismo.

Podszedłem, żeby poczytać: „Znalazca proszony o zwrot wraz z całą zawartością pod adres: Hopper C. Cole, Todd Street 90, Mission, Dakota Południowa 57555”.

Hopper Cole z Dakoty Południowej. Wywiało go cholernie daleko od domu.

Powyżej, obok numeru telefonu niejakiej Jade z Los Angeles oraz rysunku egipskiego oka, znajdowały się słowa: *But now I smell the rain, and with it pain, and it's heading my way. Sometimes I grow so tired. But I know I've got one thing I got to do. Ramble on*¹.

Czyli był fanem Led Zeppelin.

Hopper wyłonił się z sypialni z szarą kopertą. Zerknął na mnie nieufnie, a potem mi ją podał.

Przesyłkę zaadresowano następująco: „Hopper Cole, Ludlow Street 165, 3B” – drukowane litery napisano czarnym markerem. Stempel informował, że koperta została wysłana 10 października tego roku z Nowego Jorku. Pamiętałem, że to dzień, w którym dziewczyna z szatni w Four Seasons po raz ostatni widziała Ashley Cordovę żywą. W miejscu adresu zwrotnego brakowało nazwiska. Napisano tylko: „Mott Street 9” – to adres magazynu, w którym znaleziono zwłoki Ashley.

Zaskoczony spojrzałem na Hoppera, ale on nic nie powiedział. Przyglądał mi się tylko z uwagą, jakby to był jakiś test.

Wyjąłem zawartość koperty: starą pluszową małąkę ze zlepionym brązowym futrem, nitkami wystającymi spod oczu, do połowy urwaną mordką z czerwonego filcu oraz wiotką szyją, na której pewnie zaciskała się jakaś dziecięca dłoń. Całą maskotkę pokrywała skorupa rudego błota.

– Co to jest? – zapytałem.

– Nigdy wcześniej jej nie widziałeś?

– Nie. Czyja to zabawka?

– Nie mam pojęcia. – Odszedł, ściągnął z kanapy niebieską kołdrę i usiadł.

– Kto ci to przysłał?

– Ona.

– Ashley.

Kiwnął głową, a potem się zgarbił, wziął paczkę bibulek i wyciągnął jedną z nich.

– Dlaczego? – spytałem.

– Jakiś chory żart.

– Więc jednak się przyjaźniliście.

– Niezupełnie – odparł, a potem sięgnął przez stół po płaszcz. W kieszeniach zaczął szukać swoich marlboro. – Nie byliśmy przyjaciółmi. Raczej znajomymi. Chociaż i to naciągane określenie.

– Gdzie ją poznałeś?

Usiadł z powrotem na kanapie i wystukał papierosa z paczki.

– Na obozie.

– Obozie?

– Aha.

– Jakim obozie?

– Terapia dziką naturą Sześć Srebrnych Jezior w Utah. – Zerknął na mnie, odgarnął włosy z oczu, a potem zaczął sekcję papierosa, odrywając filtr. – Chyba słyszałeś o tej znamienitej placówce.

– Nie.

– No to wiele tracisz. Jeżeli masz dzieci, to gorąco polecam. Zwłaszcza jeśli chcesz, żeby twoja pociecha wyrosła na wielkiego amerykańskiego maniaka.

Nawet nie ukrywałem zaskoczenia.

– Tam poznałeś Ashley?

Skinął głową.

– Kiedy?

– Miałem siedemnaście lat. Ona chyba z szesnaście. Latem dwa tysiące trzeciego. – W takim razie Hopper miał teraz dwadzieścia pięć lat. – To taka krętacka terapia dla młodzieży – mówił dalej, sypiąc tytoń Golden Virginia na bibułkę. – Reklamują się, że pomogą twojemu trudnemu nastolatkowi, każąc mu patrzeć w gwiazdy i śpiewać pieśni przy ognisku. A potem okazuje się, że to banda brodatych świrów, którzy dostają pod opiekę najbardziej porąbaną młodzież, jaką w życiu widziałem: bulimiczki, nimfomanki, samobójców, którzy próbują przerznąć sobie żyły plastikowymi łyżkami ze stołówki. Nie uwierzyłbyś, co tam odchodziło. – Pokręcił głową. – Większości tych dzieciaków rodzice tak bardzo nasrali w głowach, że potrzebowałyby czegoś więcej niż dwunastu tygodni w głuszy. Na przykład reinkarnacji. Żeby mogły umrzeć i powrócić jako konik polny albo, kurwa, chwast. To by było lepsze niż agonია za życia. – Wypowiadał te słowa z wyjątkową złością. Zrozumiałem, że mówi nie o jakichś tam uczestnikach obozu, ale o sobie samym. Obszedłem łukiem białą bluzę na podłodze i usiadłem na

jednym z krzeseł plażowych, tym ze zwisającymi rajstopami. – Kto wie, skąd tam brali tych wychowawców – ciągnął Hopper. Wetknął filtr do skręta i pochylił się, żeby polizać bibułkę. – Chyba z więzienia. Był z nami na tym obozie taki jeden gruby Azjata, Orlando, co nie? Oni go torturowali! To był jakiś nawrócony baptysta, więc w kółko nawijał o Jezusie. Nie dawali mu nic do jedzenia. Przecież on w życiu nie wytrzymał dziesięciu minut bez batona. Nie dawał rady, dostał porażenia słonecznego. A oni i tak mu kazali szukać wewnętrznej siły, prosić Boga o pomoc. Bóg był zajęty. Nie miał dla niego czasu. Wszystko razem wyglądało jak *Władca much* na sterydach. Do dziś mam koszmary.

– Dlaczego tam pojechałeś? – zapytałem.

Rozbawiony rozsiadł się na kanapie. Włożył skręta do ust i przypalił. Zaciągnął się dymem, skrzywił, a potem wypuścił długą strugę dymu.

– Przez mojego wujka – odparł, rozprostowując nogi. – Jeździłem z matką po Ameryce Południowej, bo wkręciła się w jakiś posrany misjonarski kult. W końcu stamtąd spierdoliłem. Wujek mieszka w Nowym Meksyku. Wynajął jakiegoś bandziora, żeby mnie namierzył. Pomieszkiwałem wtedy u kumpla w Atlancie. Wyobraź sobie, pewnego ranka siedzę i zajadam cheeriosy. Nagle pod dom podjeżdża brązowa furgonetka. Gdyby Śmierć miała brykę, to właśnie taką. Żadnych okien, tylko te dwa z tyłu, i normalnie od razu wiesz, że w środku wozili jakiegoś Bogu ducha winnego dzieciaka, a potem, nie wiem, urznęli mu łeb. I zanim się obejrzałem, wylądowałem w tej furze z pielęgniarzem. – Hopper pokręcił głową. – Jak ten koleś miał dyplom pielęgniarza, to ja jestem, kurwa, kongresmen. – Na chwilę zamilkł, by znów zaciągnąć się papierosem. – Zawieźli mnie do Springdale w Parku Narodowym Zion. Trenujesz tam przez dwa tygodnie z innymi pojebami, robisz indiańskie łapacze snów, uczysz się szorować kibel własną śliną. Wiesz, same życiowe umiejętności. A potem cała grupa rusza na dziesięciodniowy marsz przez głuszę. Obozujesz kolejno nad

sześcioma jeziorami. Przy każdym masz być coraz bliżej Boga i odkrycia własnej wartości, tyle że tak naprawdę to jesteś coraz bliżej skończenia jako psychopata przez te wszystkie pojebane rzeczy, jakie tam oglądasz.

– I Ashley była wśród uczestników – powiedziałem. Przytaknął. – Dlaczego tam przyjechała?

– Nie mam pojęcia. To właśnie wielka tajemnica. Pojawiła się dopiero tego dnia, kiedy wyruszyliśmy na wędrowkę. Poprzedniego wieczoru wychowawcy oznajmili, że w ostatniej chwili ktoś do nas dołączy. Wszyscy byliśmy wkurzeni, bo w ten sposób omijała całe szkolenie, przy którym *Full Metal Jacket* to *Ulica Sezamkowa*. – Zamilkł na chwilę, pokręcił głową, zerknął na mnie i lekko się uśmiechnął. – Ale jak ją zobaczyliśmy, to już nam nie przeszkadzało.

– Dlaczego?

Spojrzał na stół.

– Bo niezła była.

Wydawało mi się, że chce dodać coś jeszcze, ale tylko się nachylił i strzepnął popiół z papierosa.

– Kto ją przywiózł? – zapytałem.

Znowu na mnie spojrzał.

– Nie wiem. Po prostu pojawiła się rano przy śniadaniu. Siedziała sama przy stoliku piknikowym w kącie, jadła chleb kukurydziany. Była spakowana, gotowa do drogi, miała czerwoną chustkę we włosach. A my wszyscy byliśmy jeszcze totalnie niezorganizowani. Biegaliśmy jak obłąkane kurczaki, żeby ze wszystkim zdążyć. W końcu ruszyliśmy.

– A ty jej się przedstawiłeś – zgadłem.

Pokręcił głową i postukał papierosem o talerz.

– Nie. Trzymała się na uboczu. Oczywiście każdy wiedział, kim jest jej ojciec i że to ta dziewczynka z *Oddychać z królami*, więc wszyscy ją obkoczyli. Ale ona każdego od siebie odsuwała, mówiła tylko „tak” i „nie”. – Wzruszył ramionami. – Nie żeby się jakoś dąsała. Po prostu nie interesowało jej nawiązywanie znajomości. Wkrótce zaczęły się pretensje, zwłaszcza ze strony

dziewczyn, bo miała fory u wychowawców. Wszyscy inni musieli się codziennie produkować przy ognisku o tym, co narobili, żeby tutaj trafić. Włamania. Próby samobójcze. Prochy. Niektórzy mieli kartotekę dłuższą niż *Wojna i pokój*. Ash nigdy nie odzywała się ani słowem. Pomijali ją bez żadnego wyjaśnienia. Jedyną wskazówką był bandaż elastyczny na jej dłoni. Po paru tygodniach go zdjęła, a pod spodem miała paskudne oparzenie. Nie powiedziała, skąd się wzięło.

Zaskoczyła mnie ta informacja. W zgłoszeniu zaginięcia ślad po tym właśnie oparzeniu wymieniono wraz z tatuażem jako jedyne znaki rozpoznawcze.

– Po dwóch dniach wędrówki zrobiliśmy zakład – mówił dalej Hopper. – Kto pierwszy porozmawia z Ashley przez dłużej niż piętnaście minut, ten dostanie tabletki ecstasy, które taki jeden chłopak z Los Angeles, Joshua, przemycił w skuwkach sznurówek swoich traperów. – Odchylił głowę i wypuścił strużkę dymu w stronę sufitu. – Postanowiłem poczekać, zebrać się w sobie, pozwolić, żeby najpierw inni się sparzyli. I tak właśnie było. Spławiła wszystkich, jednego po drugim.

– Aż porozmawiała z tobą – stwierdziłem.

Łatwo to sobie było wyobrazić: dwoje pięknych nieznajomych odnajduje się w głuszy dorastania, dwie orchidee kwitnące na pustyni.

– Akurat wręcz przeciwnie – odparł. – Mnie też spławiła.

Wbiłem w niego wzrok.

– Żartujesz.

Pokręcił głową.

– Ruszyłem do akcji jakiś tydzień po tym, jak wszyscy się poddali. Ashley zawsze chodziła na samym końcu, więc do niej dołączyłem. Zapytałem, skąd jest. Powiedziała, że z Nowego Jorku. A później to już tylko odpowiadała półsłówkami albo kiwała głową. Wysiadłem.

Zgasił papierosa o blat stolika, a peta wrzucił na stos pozostałych. Potem znów oparł się o kanapę.

– Ashley nie mówiła nic przez dziesięć tygodni?! – zapytałem.

– No, mówiła. Ale ledwo co. Każdy z nas w którymś momencie się łamał, miał piętnaście minut jak w Shawshank i wył do nieba. Wychowawcy, te wścibskie chuje, zmuszali nas do babrania się w gównie z przeszłości. Wszyscy pękaliśmy. Połowa z tego była autentyczna, a połowa tylko po to, żeby się odchrzanili. Każdy w końcu odstawiał rolę godną Oscara, jęczał o swoich rodzicach, o tym, jak pragnie tylko tego, żeby być kochany. Oprócz Ashley. Nigdy nie płakała, nigdy się nie skarżyła. Ani razu.

– Wspominała o rodzinie?

– Nie.

– A o ojcu?

– Ani słowa. Była jak Sfinks. Zresztą właśnie tak na nią mówiliśmy.

– I to wszystko? – spytałem.

Hopper pokręcił głową i odchrząknął.

– Po jakichś trzech tygodniach marszu Orlando, ten grubas, był w opłakanym stanie. Tak się spalił na słońcu, że cały pysk miał w bąblach, na co wychowawcy dawali mu płyn kalaminowy. W kółko zapłakany, z zaschniętym różowym gównem na twarzy, wyglądał jak trędowaty. Dlatego któreś nocy Joshua podsunął mu grocha, wiesz, jako prezent na poprawę nastroju. Orlando musiał go wziąć następnego dnia rano, kiedy ruszaliśmy w drogę, bo o dziewiątej nagle mu odbiło, zaczął wszystkich ścisnąć, opowiadał im, jacy są piękni, źrenice miał rozszerzone, a nogami szurał jak John Travolta na konkursie twista. W którymś momencie nam się zgubił, musieliśmy po niego wrócić. Znaleźliśmy go na jakimś polu, kręcił się w kółko i szczyrzył zęby do nieba. Jastrzębie Pióro, główny wychowawca, dostał szału.

– Jastrzębie Pióro? – powtórzyłem.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Wychowawcy upierali się, żebyśmy zwracali się do siebie indiańskimi imionami plemiennymi, chociaż większość z nas była biała, gruba i mieliśmy w sobie mniej więcej tyle samo z ziemi, co big mac. Jastrzębie Pióro, jeden z tych sztywnych

chrześcijańskich dupków, odciągnął Orlanda na bok i zaczął się dopytywać, jakie brał prochy i skąd je miał. Orlando był taki napruty, że tylko się śmiał i w kółko powtarzał: „To paracetamol, to paracetamol”.

Nie mogłem się nie roześmiać. Hopper też się uśmiechnął, ale rozbawienie prędko go opuściło.

– Wieczorem wszyscy srali w gacie – mówił dalej, odgarnąwszy włosy z oczu. – Nie chcieliśmy sobie wyobrazać, co Jastrzębie Pióro zrobi z Orlandem i z nami wszystkimi, żeby się dowiedzieć, kto przemycił grochy. Tamtej nocy Jastrzębie Pióro oznajmił, że jeżeli nikt się nie zgłosi i nie wyjaśni, skąd się wzięło to ecstasy, to urządzi nam piekło na ziemi. Wszyscy się bali. Nikt nie pisnął, ale wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, zanim ktoś wsypie Joshuę. Aż tu nagle odezwał się niski głos: „To byłem ja”. Wszyscy się odwróciliśmy. Nikt nie mógł w to uwierzyć.

Zamilkł, wciąż był zdumiony, nawet po tylu latach.

– Ashley – powiedziałem, gdy nie kontynuował opowieści.

Spojrzał na mnie z poważną miną.

– Aha. Na początku Jastrzębie Pióro jej nie uwierzył. Przecież była taka uprzywilejowana. A ona wtedy wyciągnęła drugą tabletkę, którą jakimś cudem ukradła z buta Joshuy. Powiedziała, że jest gotowa poddać się każdej karze. Jastrzębie Pióro dostał amoku. Złapał ją, odciągnął od ogniska i zabrał w jakieś miejsce na pustkowiu. Kazał jej tam spać całkiem samej, miała tylko śpiwór. Nie mogła wrócić rano, dopóki sam po nią poszedł.

– I nikt się facetowi nie sprzeciwił? – zapytałem. – Co zrobiła reszta wychowawców?

Wzruszył ramionami.

– Bali się go. Znajdowaliśmy się poza cywilizacją. To było zupełnie tak, jakby przestały obowiązywać wszelkie prawa. – Hopper sięgnął po paczkę marlboro i wystukał kolejnego papierosa. – Potem Ashley za karę musiała rozbić wszystkie namioty i zebrać drewno na opał. Nam nie wolno było jej pomóc. Kiedy się ociągała, Jastrzębie Pióro na nią wrzeszczał. A ona patrzyła na niego z taką miną, jakby miała wszystko gdzieś, jakby

była od niego dużo silniejsza, co tylko bardziej go wkurzało. W końcu odpuścił. Któryś z terapeutów zwrócił mu uwagę, że przegina. Wtedy, po tygodniu nocowania z dala od obozu, pozwolił jej do nas wrócić. – Hopper się uśmiechnął. Miał nieodgadnioną minę. Potem pokręcił głową, przypalił papierosa i wypuścił dym. – Pierwszej nocy po jej powrocie nagle o trzeciej nad ranem budzi nas wrzask Jastrzębiego Pióra. Gość wydziera się, jakby ktoś mu wbił nóż w brzuch. Tłusty gnój wybiega z namiotu w samych gaciach, jęka się jak dziecko, jęczy, że w jego śpiworze jest grzechotnik. Myśleliśmy, że to żart albo że miał zły sen. Ale jedna z wychowawczyń, Cztery Wrony, poszła po ten śpiwór i rozpięła go na naszych oczach. Rzeczywiście wytrząsnęła z niego półtorametrowego grzechotnika. Spadł na ziemię, zaczął się wic przez obóz i zniknął w ciemności. Jastrzębie Pióro o mało się nie poszczał. Biały jak ściana patrzył prosto na Ashley. A ona na niego. Nie odezwał się ani słowem, ale musiał być przekonany, że to ona podrzuciła węża. Wszyscy tak myśleliśmy. – Hopper zamilkł na chwilę, wpatrzony gdzieś w głąb pokoju. – Od tamtej pory zostawił nas w spokoju. A Orlando? – Przełknął ślinę. – Dał radę. Oparzenia się zaleczyły. Przestał płakać. Został, kurde, bohaterem. – Hopper pociągnął nosem, a potem go otarł. – Kiedy w końcu wróciliśmy do bazy, mieliśmy spędzić razem jeszcze jedną noc, trzymać się za ręce i podniecać swoimi osiągnięciami, a tak właściwie to raczej dziękować Bogu, że jeszcze żyjemy. Bo tak to właśnie wyglądało, śmierć cały czas wchodziła w grę. Wiesz, jakby stale czekała gdzieś za następnym kamieniem. A tą osobą, która ją powstrzymała, była Ashley.

Nie widziałem teraz jego twarzy. Wbił wzrok w podłogę, włosy spadły mu na oczy.

– Jakąś godzinę przed kolacją – mówił dalej – wyjrzałem przez okno swojego domku i zobaczyłem, jak wsiada do czarnego SUV-a. Wyjeżdżała przed czasem. Byłem rozczarowany. Liczyłem, że jeszcze zdążę z nią pogadać. Ale było już za późno. Kierowca

zabrał jej rzeczy, wsadził do bagażnika, a potem odjechali. To wtedy widziałem ją po raz ostatni.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie zaczepnie, ale nic już nie powiedział.

– I nie miałeś od niej później żadnych wieści.

Pokręcił głową. Papierosem wskazał kopertę, którą trzymałem w ręce.

– Aż do tej pory.

– Skąd wiesz, że to właśnie od niej?

– To jej charakter pisma. A adres zwrotny to miejsce, gdzie... – Wzruszył ramionami. – Myślałem, że Ashley mi miesza w głowie. Włamałem się tam nocą parę dni temu, sądziłem, że może znajdzie wiadomość albo jakiś znak. Ale nic takiego nie było.

Uniosłem pluszową małpkę.

– Co ona oznacza?

– Już ci mówiłem, że nigdy wcześniej jej nie widziałem. – Zgasił papierosa.

– I nie masz żadnej teorii, dlaczego ją przysłała?

Wbił we mnie wzrok.

– Liczyłem na to, że może ty ją masz. To ty jesteś dziennikarzem.

Zaschnięte czerwone błoto mogło pochodzić z Zachodu, na przykład z Utah, co kazało mi się zastanawiać, czy maskotka nie należała do któregoś z dzieci na obozie – może nawet do samego Hoppera. Ale on wyglądał raczej na gościa, który zamiast przytulanki miał w plecaku zaczytany egzemplarz *W drodze*.

Wgląd w charakter Ashley był przydatny. Dzięki temu na moment znalazła się w centrum uwagi, okazała się srogim aniołem zemsty, postacią w pełni przystającą do swojej gry na fortepianie. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, dlaczego przysłała Hopperowi małpkę w dniu swojej śmierci – o ile to rzeczywiście była ona.

Hopper chyba się zirytował. Siedział na kanapie z założonymi na piersi rękami. Jego biały T-shirt – z napisem „Słynne lody Gifford’s” – okręcił mu się wokół tułowia. Chłopak przypominał

mi pewnego autostopowicza, którego spotkałem w El Paso. Byliśmy jedynymi gośćmi przy ladzie taniej restauracji o bladym świecie. Zaczęliśmy gadać, wymieniać opowieści, a potem się pożegnał i zabrał się w drogę z kierowcą cysterny BP. Dopiero kiedy wstałem, żeby zapłacić rachunek, zorientowałem się, że ukradł mi portfel. Nigdy nie ufaj charyzmatycznym włóczykijom.

– Może coś jest wewnątrz – zasugerowałem.

Obróciłem maskotkę, wyjąłem sprężynowiec i rozciąłem jej plecy. Wyciągnąłem żółte, wyschnięte wypełnienie, pomacałem w środku. Nie było tam nic.

Zorientowałem się, że wibruje mi komórka. Dzwonił ktoś z numeru kierunkowego na Florydzie.

– Halo?

– Czy mogę rozmawiać z panem Scottem McGrathem?

Po drugiej stronie była kobieta. Miała czysty, melodyjny głos.

– Przy telefonie.

– Mówi Nora Halliday. Ta z szatni. Jestem na rogu Czterdziestej Piątej Ulicy i Jedenastej Alei. W Pom Pom Diner. Może pan przyjechać? Musimy porozmawiać.

– Róg Czterdziestej Piątej i Jedenastej. Będę za kwadrans.

– Dobrze. – Rozłączyła się.

Wstałem, kręcąc głową.

– Kto to był? – zapytał Hopper.

– Szatniarka, ostatnia osoba, która widziała Ashley żywą. Wczoraj prawie kazała mnie aresztować. A dzisiaj? Chce rozmawiać. Muszę iść. Chwilowo popilnuję maskotki.

– Nie trzeba. – Zabrał mi ją, zerknął na mnie podejrzliwie, a potem wepchnął zabawkę z powrotem do koperty i zniknął z nią w sypialni.

– Dzięki za spotkanie – rzuciłem przez ramię. – Jeśli się czegoś dowiem, będziemy w kontakcie.

Ale nagle Hopper pojawił się w korytarzu tuż za mną. Właśnie wkładał swój szary płaszcz.

– Dobra – powiedział.

Zamknął drzwi i zaczął schodzić po schodach.

– A ty dokąd?

– Na róg Czterdziestej Piątej i Jedenastej. Muszę się spotkać z szatniarką.

Echo jego kroków niosło się po klatce schodowej, a ja łajałem się w myślach, że wypowiedziałem adres na głos. Pracowałem solo. Zawsze.

A może – ruszyłem w dół – to wcale nie był taki zły pomysł, żeby ten jeden raz połączyć z nim siły. Ludzie łamią sobie głowę mechaniką kwantową i teorią strun, ale jest jeszcze inna, bardziej niepojęta dziedzina świata naturalnego: kobiety. Z moich doświadczeń z tym trudnym tematem – na które złożyły się całe dekady prób i błędów, wyrzucenie do kosza wielu lat kiepskich wyników (Cynthia), a w końcu smutna konstatacja, że nigdy nie będę profesorem w tej dziedzinie, a tylko przeciętnym adiunktem – dawała się zauważyć tylko jedna stała: w obecności facetów takich jak Hopper góry lodowe zmieniały się w kałuże.

– W porządku! – zawołałem. – Ale to ja będę mówił.

Pom Pom okazał się tradycyjnym barem restauracyjnym, wąskim jak wagon pociągu.

Nora Halliday siedziała w głębi sali, pod pokrywającą całą ścianę fotografią Manhattanu. Osunęła się bardzo, bardzo nisko na kanapie, wyciągnęła przed sobą chude nogi. Ale nie siedziała w boksie tak po prostu. Można było odnieść wrażenie, że opłaciła czynsz za pierwszy i ostatni miesiąc plus kaucję, plus niebotyczną prowizję agenta, podpisała akt najmu i się tam wprowadziła.

Obok niej z jednej strony leżały dwie olbrzymie reklamówki z apteki Duane Reade, a z drugiej brązowa papierowa torba z delikatesów Whole Foods oraz duża torebka z szarej skóry, otwarta i oklapła jak wypatroszony rekin. W środku widać było wszystko, co pożarła rano: egzemplarz „Vogue’a”, zielony sweter z wciąż wpiętymi weń drutami, trampek, białe słuchawki Apple’a owinięte nie wokół iPod’a, ale... discmana. Szkoda, że nie gramofonu.

Dziewczyna nie zauważyła, że się zbliżaliśmy, ponieważ miała zamknięte oczy i szeptała sama do siebie – najwidoczniej uczyła się zakreślonego mazakiem fragmentu sztuki, którą trzymała w rękach. Przed nią na stole leżał talerz z niedojedzonym tostem francuskim, który pływał w kałuży syropu niczym barka mieszkalna po Missisipi. Nora otworzyła oczy i spojrzała na mnie, a potem na Hoppera. Natychmiast – pewnie pod wpływem jego urody – usiadła prosto.

– To jest Hopper – powiedziałem. – Mam nadzieję, że może się przyłączyć.

Hopper nic nie powiedział, po prostu usiadł na kanapie naprzeciwko niej.

Dziewczyna była ubrana w dziwny strój: marmurkowe dzinsy, jakby żywcem wyjęte z lat osiemdziesiątych, wełniany sweter tak jadowicie różowy, że aż palił w oczy, oraz czarne wełniane rękawiczki bez palców, a do tego była umalowana wściekle czerwoną szminką. Włosy, inaczej niż wczoraj, miała rozpuszczone, z przedziałkiem pośrodku. Okazały się

zaskakująco długie, sięgały jej aż do łokci, a na końcach zbijały się w strąki.

– Więc jesteś aktorką – rzuciłem, zajmując miejsce obok Hoppera.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– W czym grałaś? – zapytał Hopper.

Na te słowa Nora zerknęła na niego zdeorientowana, a potem z powrotem na mnie. Nawet ja wiedziałem, że trudno o bardziej niegrzeczne pytanie pod adresem aktora.

– W niczym. Na razie. Jestem aktorką dopiero od pięciu tygodni. Czyli odkąd tu przyjechałam.

– Skąd jesteś?

– Z Saint Cloud. Koło Narcoossee.

Mogłem tylko pokiwać głową, bo nie miałem pojęcia, gdzie leży Narcoossee. Brzmiało jak nazwa rezerwatu indiańskiego i kasyna, gdzie można grać w crapsa, słuchając, jak naśladowczyni Crystal Gayle śpiewa *Don't Make My Brown Eyes Blue*. Nora uśmiechnęła się jednak bez cienia wstydu. Zamknęła książkę i dotknęła dłonią okładki, jakby to była Biblia – choć było to *Glengarry Glen Ross* Davida Mameta.

– Przepraszam, że wczoraj byłam taka niemiła – powiedziała.

– Przeprasiny przyjęte – odrzekłem.

Leciutko marszcząc czoło, pedantycznie przesunęła dłońmi po blacie stołu, by strącić na podłogę nieliczne okruchy tostu. Potem się obróciła, rozwarła torbę z delikatesów i zajrzała do środka, zupełnie jakby było tam coś żywego. Sięgnęła oburącz do wnętrza, a po chwili ostrożnie wyciągnęła spore czerwono-czarne zawiniątko. Położyła je na stole i przesunęła w moją stronę.

Rozpoznałem je natychmiast.

To był damski płaszcz. Bar i wszystko, co się w nim znajdowało, na moment się rozplynęło. Istniało tylko to ubranie, tak okrutnie czerwone, jakby chciało, żebym odwrócił wzrok. Przypominało kostium, było ozdobne, może rosyjskie –

czerwona wełna, mankiety z czarnego baranka, przód przystrojony czarną nicią.

Ten płaszcz miała na sobie kobieta, którą napotkałem przed wieloma tygodniami przy Zbiorniku w Central Parku.

Przemoczone ciemne włosy, pojawianie się i znikanie pod światłami latarni, płaszcz płonący niczym raca, ostrzegający mnie przed... czym? Czy ta kobieta po prostu ze mną igrała? To, jak szybko zdołała dogonić mnie w metrze, przeczyło wszelkiej logice. Zdarzenie było tak osobliwe, że kiedy tamtej nocy wróciłem do domu, nie mogłem zasnąć skażony tą dziwnością. Dobre parę razy wstawałem z łóżka, żeby rozsunąć zasłony, i gdzieś w głębi duszy spodziewałem się, że ją tam zobaczę: jej smukłą sylwetkę niczym czerwone nacięcie w chodniku, twarz uniesioną ku mnie, surowe czarne oczy wpatrzone w moje okno. Zaczynałem już wątpić we własną poczytalność i zastanawiałem się, czy to właśnie ten moment: ostatnie podłe kilka lat w końcu sprawiło, że utraciłem kontakt z rzeczywistością, i teraz, kiedy już pękły tamy, kto wie, jakie demony jeszcze napotkam. Po prostu wypełzną mi z głowy i zaludnią świat.

Ale w chodniku nie pojawiła się czerwona wyrwa. Ulica i noc wciąż były nieskalane i ciche.

Zacząłem już zapominać o tym wydarzeniu – aż do teraz.

To była Ashley Cordova.

Oszołomiła mnie ta świadomość, a zaraz po niej przyszło paranoiczne poczucie, że coś jest nie tak, włącznie z tą dziwną szatniarką. Musiała być zamieszana w jakąś podpuchę. Ale dziewczyna tylko uśmiechnęła się do mnie niewinnie. Z kolei Hopper chyba dostrzegł coś w mojej twarzy – absolutny szok – bo przyglądał mi się podejrzliwie.

– Co to? – spytałem, ruchem głowy wskazując ubranie.

– Płaszcz Ashley – powiedziała Nora. – Miała go na sobie, kiedy przyszła do restauracji. – Wzięła sztucę do rąk i przekroiła tost. – Zostawiła go u mnie. Potem, kiedy przyszli policjanci, żeby mnie o nią wypytać, dałam im czarny płaszcz ze skrytki z nieodebranymi rzeczami i powiedziałam, że to on należał do

Ashley. Gdyby zorientowali się, że kłamię, powiedziałabym, że kwitki mi się pomyliły. Ale już nie wrócili.

Hopper przysunął okrycie do siebie, rozwinął je i uniósł za ramiona. Mimo ozdobnego obszycia płaszcz wyglądał na znoszony, zdawał się nawet pachnieć miastem, brudnym wiatrem, potem. Podszewka wykonana była z czarnego jedwabiu. Zauważyłem fioletową metkę wszytą w kołnierz. Widniał na niej czarny napis „Larkin”. Rita Larkin była przez wiele lat kostiumografem Cordovy. Już miałem zwrócić uwagę na ten szczegół, gdy na rękawie zauważyłem długi ciemny włos tworzący wydłużoną literę S.

– Dlaczego okłamałaś policję? – zapytał Norę Hopper.

– Powiem wam, ale pod jednym warunkiem: chcę uczestniczyć w tym śledztwie. – Spojrzała na mnie. – Mówił pan wczoraj, że zajmuje się sprawą Ashley.

– To nic formalnego – powiedziałem i odchrząknąłem. Zdołałem oderwać wzrok od płaszcza i popatrzeć na dziewczynę. – Tak naprawdę zajmuję się jej ojcem. A Hopper towarzyszy mi tylko dzisiaj. Nie jesteśmy współnikami.

– Jasne, że jesteśmy – zaprotestował i rzucił mi kose spojrzenie. – Jak najbardziej. Witaj w zespole. Będiesz, kurde, naszą maskotką. Dlaczego okłamałaś gliniarzy?

Nora patrzyła na Hoppera, zaskoczona jego zapalem. Potem zwróciła wzrok na mnie i czekała, co powiem.

Nie mówiłem nic, bo wciąż układałem sobie w głowie znaczenie tamtego spotkania z Ashley. Odetchnąłem głęboko, usiłując przynajmniej udawać, że rozważam jej prośbę. Tak naprawdę nigdy w życiu nie zatrudniłbym pomagiera – a zwłaszcza takiego, który dopiero co wypełzł z jakiejś dziury na Florydzie.

– To nie jest przygoda życia – mruknąłem. – Ja nie jestem Starsky, a to nie jest Hutch.

– Jeżeli nie wezmę udziału w sprawie od początku aż do samego końca, kiedy dowiemy się, kto lub co sprawiło, że Ashley zmarła przedwcześnie – Nora wypowiadała każde słowo

z przekonaniem, jakby wcześniej z sześćdziesiąt razy ćwiczyła tę kwestię przed lustrem – to nie powiem wam, jaka była ani co zrobiła, i możecie iść do diabła. – Wsunęła płaszcz z powrotem do torby i zaczęła go tam upychać.

Hopper zerknął na mnie wyczekująco.

– Nie ma sensu podchodzić do tego tak kategorycznie – powiedziałem. Zlekceważyła mnie. – No dobrze. Możesz z nami pracować.

– Słowo? – zapytała z uśmiechem.

– Słowo.

Podawała mi rękę, a ja ją uścisnąłem – w myślach pokazując Norze figę.

– To była spokojna noc – zaczęła ochoczo. – Minęła dziesiąta. W holu pusto. Ashley weszła w tym płaszczu, więc oczywiście zwróciłam na nią uwagę. Była piękna. Ale bardzo chuda, oczy miała niemal bezbarwne. Spojrzała wprost na mnie, a ja od razu pomyślałam: „O kurcze, jaka ładna”. Jej twarz wydawała się ostrzejsza niż wszystko dokoła. Kiedy jednak Ashley ruszyła w moją stronę, strach mnie obleciał.

– Dlaczego? – spytałem.

Nora przygryzła wargę.

– Bo kiedy patrzyło się w jej oczy, miało się wrażenie, że ta ludzka część się odłączyła i spogląda przez nie coś innego.

– To znaczy co? – odezwał się Hopper.

– Nie wiem – odparła i spuściła wzrok na swój talerz. – Miałam wrażenie, że Ashley w ogóle nie mruga powiekami. Ani nawet nie oddycha. Ani kiedy zdjęła ten czerwony płaszcz, ani kiedy mi go podała, ani kiedy wzięła ode mnie numerek. Gdy go wieszałam, czułam na sobie jej spojrzenie. Odwróciłam się, myśląc, że wciąż tam stoi, ale ona już zniknęła na schodach. – Sam doświadczyłem tego osobliwego uczucia, gdy nagle pojawiła się w metrze. – Wtedy zaczęli wchodzić inni goście. Kiedy brałam od nich okrycia, zobaczyłam, że Ashley nagle wraca schodami. Wyszła na dwór, w ogóle na mnie nie patrząc. Sądziłam, że wyskoczyła na papierosa. Nie widziałam, jak wracała, więc

pomyślałam, że byłam zajęta, więc to przegapiłam. Ale gdy skończyliśmy pracę, jej czerwony płaszcz wciąż wisiał na swoim miejscu. Jako jedyny. – Prędko wypła łyk wody. – Minęły trzy dni. Gdy zamykałam szatnię, codziennie chowałam ten jej płaszcz do skrytki z nieodebranymi rzeczami, a rano znowu go wieszalam. Byłam przekonana, że po niego wróci. Ale trochę się tego bałam. – Nora na chwilę zamilkła. Odgarnęła włosy za uszy. – Kiedy kończyłam swoją zmianę czwartego dnia, było strasznie zimno, a ja miałam tylko tę granatową wiatrówkę. Więc po zamknięciu szatni, zamiast odłożyć jej płaszcz z powrotem do schowka, ubrałam się w niego i wyszłam tak na dwór. Mogłam wziąć którykolwiek z tych nieodebranych. Ale wzięłam właśnie jej. – Nora patrzyła na własne dłonie. Twarz miała zarumienioną. – Gdy przyszłam do restauracji następnego dnia, byli tam policjanci. Widzieli mnie w płaszczu Ashley. Kiedy mnie przepytawali, byłam przerażona. Co ja zrobiłam? Bałam się, czy nie pomyślą, że jestem w to zamieszana. Dlatego wzięłam ze skrytki płaszcz od Yves Saint Laurenta i powiedziałam, że należał do niej. – Odetchnęła nerwowo. – Byłam pewna, że złapią mnie na kłamstwie, że pokażą płaszcz rodzinie. Ale... – pokręciła głową – nikt nie wrócił z pytaniami. Przynajmniej na razie. – Spojrzała na mnie. – Tylko pan.

– Co jeszcze miała na sobie? – zapytałem.

– Dżinsy, wysokie czarne buty, czarny T-shirt z aniołem.

To samo ubranie, w którym zginęła.

– Rozmawiała z tobą? Mówiła, że z kimś się spotyka?

Nora pokręciła głową.

– Jak zwykle powiedziałam „dobry wieczór” i „czy zje dziś pani u nas kolację?”. W restauracji każą ci nauczyć się na pamięć krótkiego scenariusza, żebyśmy wydawali się gościnni. Ale ona nie odpowiedziała. Odkąd ją spotkałam, jeszcze zanim usłyszałam o jej śmierci, codziennie mam koszmary. Znacie takie koszmary, że budzicie się i echo jeszcze się niesie po pokoju, ale nie macie pojęcia, co właśnie krzyczeliście? – Naprawdę oczekiwała odpowiedzi, więc skinąłem głową. – Właśnie takie

miałam. A moja babcia Eli, mama mojej mamy, mówiła, że Krawędzie zgrywają się z materia z czwartego i piątego wymiaru.

Czułem, że muszę prędko interweniować, zanim usłyszymy więcej mądrości babci Eli.

– No dobrze, przejrzę wszystko i będziemy w kontakcie – powiedziałem z uśmiechem.

– Najpierw musimy się wymienić numerami – odparła Nora.

Przekazali sobie z Hopperem dane kontaktowe. Już się zastanawiałem, jak się stąd katapultować, kiedy Nora zerknęła na zegarek, pisnęła i wytarabaniła się z boksu.

– Choroba, spóźnię się do pracy. – Wzięła rachunek i zaczęła grzebać w torebce. – O nie! – Spojrzała na mnie, obgryzając paznokiec. – Zostawiłam portfel w domu.

– Spokojnie, ja się tym zajmę.

– Serio? Dzięki. Daję słowo, że oddam kasę.

Jeśli to była próbka jej zdolności aktorskich, to nie obsadziliby jej nawet w kiepskiej operze mydlanej. Nora zapięła torebkę, zarzuciła ją na ramię i złapała torbę z delikatesów.

– Ja wezmę płaszcz – zaproponowałem. – Żebyś nie musiała tyle dźwigać.

Zerknęła na mnie nieufnie, ale szybko zmieniła zdanie i podała mi torbę.

– To na razie – powiedziała radośnie, gramoląc się do wyjścia. Reklamówki uderzały ją po łydkach. – I dzięki za śniadanie.

Wyszedłem z boksu. Kiedy obejrzałem rachunek, okazało się, że dziewczyna zaliczyła dwa posiłki: oprócz francuskiego tostu z kawą zjadła jeszcze jajecznicę na bekonie, pół grejpfruta i wypila sok żurawinowy. Zatem nasza chudziutka Judi Dench miała apetyt godny zapaśnika sumo. Pewnie właśnie dlatego postanowiła ze mną porozmawiać, żebym zapłacił za śniadanie.

– I co o niej sądzisz? – zapytał Hopper, który opuścił swoje miejsce zaraz po mnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Młoda i łatwowierna. Pewnie większość zmyśliła.

– Jasne. To dlatego byłeś taki znudzony i mało ci oczy nie wyszły z orbit, kiedy zobaczyłeś ten płaszcz. – Nie odpowiedziałem, tylko wyjąłem z portfela dwie dwudziestki. – Przede wszystkim dziewczyna nie ma gdzie mieszkać – stwierdził.

Patrzył przez okno, za którym po drugiej stronie czteropasmowej jezdni wciąż widać było Norę Halliday i jej liczne torby. Przeglądała się w lustrzanej elewacji jakiegoś budynku, żeby związać włosy w kucyk. Potem podniosła siatki i zniknęła za samochodem dostawczym.

Hopper rzucił mi jeszcze jedno ostre spojrzenie – które świadczyło o tym, że mi nie ufa i niezbyt za mną przepada – a potem przyłożył telefon do ucha.

– Miej oczy szeroko otwarte, Starsky – rzucił i wyszedł z baru.

Poczekalem, aż minie witrynę. Przypuszczałem, że już go więcej nie zobaczę – ani jego, ani Hannah Montany. Kiedy Nowy Jork weźmie ich w obroty, wylądują na aucie.

To właśnie cudowna cecha tego miasta: było z natury makiaweliczne. Człowiek rzadko musiał sobie zawracać głowę dalszym ciągiem, wykańczaniem spraw, podążaniem za przykładem, i to bez żadnych machinacji ze swojej strony. Wystarczył sam impet tutejszego życia. Nowy Jork dzień po dniu uderzał w mieszkańców z mocą wyniszczającego potopu i tylko najmocniejsi – ci z siłą woli godną Spartakusa – potrafili nie tylko utrzymać się na powierzchni, ale jeszcze utrzymać kurs. Dotyczyło to zarówno pracy, jak i życia osobistego. Większość ludzi po zaledwie kilku miesiącach trafiała bardzo daleko od miejsca, w którym chcieli się znaleźć. Zamierzali wypłynąć na otwarty ocean, a lądowali w kolczastych szuwarach albo na trzęsawisku. Inni od razu tonęli (zostawali narkomanami) albo wracali na brzeg (przeprowadzali się do Connecticut).

Ale tych dwoje bardzo mi pomogło.

Wtedy, tyle nocy temu, to była Ashley Cordova. Wydawało mi się, że sam postanowiłem zbadać jej śmierć, a tymczasem, o dziwo, to ona przyszła do mnie pierwsza, wbiła mi się w podświadomość jak drzazga. Musiałem sobie przypomnieć

dokładną datę, ale wydawało mi się, że spotkanie w Central Parku miało miejsce niewiele ponad tydzień przed jej śmiercią. Oznaczało to, że widziałem ją zaledwie kilka dni po ucieczce z kliniki psychiatrycznej Briarwood Hall.

Skąd wiedziała, że tam będę? O tym, że biegam po parku w środku nocy, nie miał pojęcia nikt oprócz Sam. Pewnego wieczoru wiele miesięcy temu, kiedy układałem ją do snu, stwierdziła, że byłem „bardzo daleko”, a ja wtedy odpowiedziałem, że to nieprawda, bo biegam w okolicy, w której mieszka. Przy każdym okrażeniu zaglądam w jej okno i widzę, że słodko śpi. Oczywiście naciągałem fakty. Szykownego mieszkania Cynthii i Bruce’a przy Piątej Alei nie widziałem tak samo, jak nie widziałem wieży Eiffla. Ale Sam spodobała się ta myśl. Uśmiechnęła się, zamknęła oczy i natychmiast zasnęła.

Wobec tego istniało tylko jedno wytłumaczenie: Ashley musiała mnie śledzić. Na pewno wiedziała o moim istnieniu, odkąd jej ojciec wytoczył mi sprawę w sądzie. Można sobie wyobrazić, że odszukała mnie, żeby coś mi powiedzieć, coś o swoim ojcu – natychmiast zabrzmiały mi w głowie słowa Johna: „On coś robi dzieciom” – ale stchórzyła.

Jednakże z tego, co opowiedział mi Hopper, wynikało, że nieśmiałość nie była podstawową cechą jej osobowości. Wręcz przeciwnie.

Najpierw musiałem wrócić na Perry Street, żeby przygotować się do wyjazdu do Briarwood, gdzie chciałem dowiedzieć się czegoś o pobycie Ashley w zakładzie. Poza tym zamierzałem sprawdzić adres Blackboardsów, który wykradłem z komputera Beckmana.

Chwyciłem torbę z delikatesów i wyszedłem z baru. Świeciło słońce, rozlewając ostre światło po samochodach, które pędziły wzdłuż Jedenastej Alei. Nie koło ono jednak mojego niepokoju, który wywoływała prosta i zarazem szokująca świadomość, że ten czerwony płaszcz, ten krwisty szew nocy z Central Parku, znowu mi się objawił.

Był teraz w moich rękach.

Od: Elizabeth J. Poole <ejpoole@briarwoodhospital.org>
Temat: Re: Wizyta
Data: 25 paź 2011 18:24:44 EDT
Do: Dr Leon Dean <leoncdean@gmail.com>

Ukryj

Szanowny Panie Doktorze!

Dziękuję za Pańskie zapytanie.

Bardzo chętnie oprowadzę Pana po naszym nowoczesnym ośrodku, jak również odpowiem na wszystkie Pańskie pytania. Umówiłam Pana na jutro, na godzinę 11.30.

Tymczasem proszę zapoznać się z naszą stroną internetową oraz załączonymi do e-maila publikacjami o Briarwood i naszej bogatej historii.

Proszę o niezwłoczny telefon.

Z głębokim poważaniem

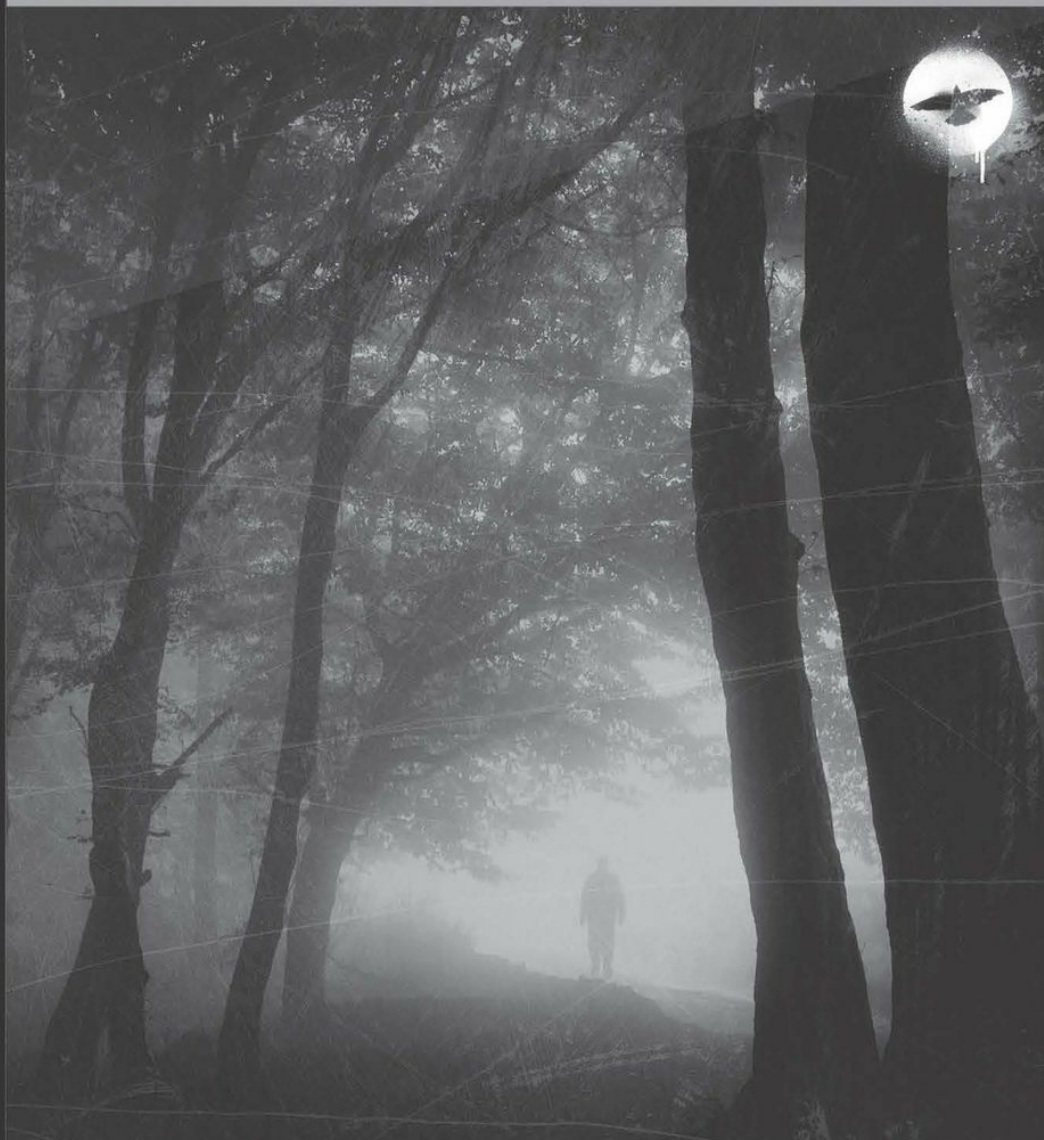
Elizabeth J. Poole
Kierownik ds. przyjęć

Briarwood Hall Hospital

Przywracamy zdrowie psychiczne od 1934 roku

Witaj na Blackboards

http://schodywtunelu8903-5493r89jidfj9w0129e61??)*#((suwerennyzabojczyperfekcyjny.blackboards.onion



WITAJ NA BLACKBOARDS

To główne wrota cordovitów do innego wymiaru, gdzie cofa się czas, drzewa rosną do dołu, światło samo się pochłania, strach to drzwi, a życie jest suwerenne, zabójcze, perfekcyjne.

UWAGA: TA STRONA ZAWIERA DRASTYCZNE OBRAZY ZE ŚWIATA CORDOVY I ŚWIATA REALNEGO. JEŚLI NIE UMIESZ SOBIE Z TYM PORADZIĆ, ZAMKNIJ OCZY

WEJŚCIE >

Witaj na Blackboards



[http://schodywtunelu8903-5493r89jdfj9w0129e61\)??\)*#\(\(\(suwerennyzabojczyperfekcyjny.blackboards.onion/intruz](http://schodywtunelu8903-5493r89jdfj9w0129e61)??)*#(((suwerennyzabojczyperfekcyjny.blackboards.onion/intruz)

PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

KIMKOLWIEK JESTEŚ,
NIE POWINNO CIĘ TU BYĆ.
PRECZ.

PRECZ
PRECZ

WEJŚCIE >

Nazajutrz rano, godzinę przed wyjazdem w trzygodzinną podróż do Briarwood, robiłem sobie właśnie świeżą kawę w kuchni, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi.

Wszedłem do przedpokoju i zajrzałem w wizjer.

Przed moimi drzwiami stała Nora Halliday.

Nie miałem pojęcia, jakim cudem dowiedziała się, gdzie mieszkam, ale potem sobie przypomniałem: przecież mój adres był na tej cholерnej wizytówce, którą dałem jej w Four Seasons. Ktoś musiał ją wpuścić na klatkę. Rozważałem, czy nie udać, że mnie nie ma, ale zapukała raz jeszcze, a ja wiedziałem, że stara drewniana podłoga w moim mieszkaniu skrzypi przy każdym kroku, więc Nora musiała słyszeć, że tu jestem.

Otworzyłem drzwi. Dziewczyna miała na sobie obcisłą kurtkę z czarnej wełny z kołnierzem ze strusich piór, czarne rajstopy, wysokie buty i nylonową mini w zebnę. Wyglądała w niej jak w kostiumie łyżwiarki figurowej z igrzysk w Lillehammer. Tym razem nie przyniosła ze sobą reklamówek, a tylko tę szarą skórzaną torebkę. Długie blond włosy splotła w dwa warkocze i owinęła wokół głowy.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Dzień dobry.

– Co ty tu robisz?

– Jestem gotowa do pracy.

– Jest ósma rano.

Nora oderwała coś zaschniętego z rąbka kurtki.

– No tak, wiesz, pomyślałam sobie, że przyda ci się ktoś, z kim mógłbyś omówić pomysły.

Już miałem jej powiedzieć, żeby wróciła jutro – a potem oczywiście musiałbym się przeprowadzić albo zgłosić do programu ochrony świadków – ale przypomniałem sobie uwagę Hoppera, że dziewczyna nie ma gdzie mieszkać. Rzeczywiście była blada i wyglądała na lekko wycieńczoną.

– Chcesz wejść na kawę?

Rozpromieniła się.

– Jasne!

– Zaraz idę na spotkanie, więc nie możesz zostać zbyt długo.

– Nie ma sprawy.

– W coś ty się właściwie ubrała? – zapytałem, prowadząc ją korytarzem do salonu. – Chyba matka nie pozwala ci nosić takich rzeczy, co?

– Jasne, że tak. Na wszystko mi pozwala. Nie żyje.

Nora rzuciła torebkę na podłogę obok kanapy – musiała tam mieć co najmniej jedną kulę do kręgli.

– No to w takim razie ta babcia, o której mówiłaś. Na pewno nie pozwala ci chodzić w czymś takim po ulicy.

– Eli? – Wymówiła to imię z przytupem: I-LAJ. – Ona też nie żyje.

Coś mi mówiło, że powinienem spasować, póki jeszcze mogę.

– A twój ojciec?

Dziewczyna pochyliła się, aby móc lepiej widzieć obraz nad kominkiem.

– Jest w Starke.

– Starke?

– W Więzieniu Stanowym Florydy. Mają tam Starą Iskierkę.

Stara Iskierka to potoczne określenie krzesła elektrycznego. Czekałem, aż Nora uściśli, że jej ojca bynajmniej nie czeka spotkanie z Iskierką, ona jednak podeszła do regału i zaczęła oglądać książki. Urwany wątek rozmowy zadyndał jak końcówka serpentyny, której Norze nie chciało się podkleić.

– Jaką pijesz kawę? – zapytałem, wycofując się do kuchni.

– Śmietanka, dwie łyżeczki cukru. Ale tylko jeśli to nie problem.

– Oczywiście, że nie.

– Nie masz może czegoś do jedzenia?

Usadziłem dziewczynę w salonie z kawą, dwiema opiekanymi bułeczkami z masłem i marmoladą oraz egzemplarzem mojej książki *Kokainowy karnawał*. Upewniłem się, że nigdzie nie zostawiłem pieniędzy ani innych wartościowych rzeczy, którymi Nora mogłaby nakarmić swą żarłoczną torebkę, a potem

wróciłem do gabinetu, żeby wydrukować wskazówki dojazdu do Briarwood Hall.

Ponownie spróbowałem również zalogować się do Blackboardsów, ale tak jak poprzednio od razu mnie wyrzuciło.

Chyba mój adres IP był zablokowany.

Kiedy wróciłem do salonu, zobaczyłem, że Nora zdążyła się już rozgościć. Zdjęła buty, przykryła nogi wełnianym kocem i wysypała na stolik część zawartości torebki: dwie sztuki teatralne, szminkę i sfatygowanego discmana.

– Kto to jest C.L.M.? – zapytała, gdy przerzuciła kilka stron książki i zatrzymała się na dedykacji.

– Moja była żona.

– To ty masz byłą żonę?

– A kto nie ma?

– Gdzie jest?

– Pewnie właśnie ćwiczy ze swoim trenerem.

– Masz dzieci?

– Córkę.

Głęboko zamyśliła się nad tą odpowiedzią. Uznałem, że to dobry moment, by poruszyć tajemniczy temat jej zakwaterowania.

– Więc gdzie ty właściwie mieszkasz? – zagadnąłem.

– W Hell's Kitchen.

– Gdzie w Hell's Kitchen?

– Róg Dziewiątej i chyba Pięćdziesiątej Drugiej.

– Chyba Pięćdziesiątej Drugiej?

– Dopiero się wprowadziłam, więc jeszcze nie pamiętam.

Wcześniej pomieszkowałam u koleżanki na wysuwanym łóżku. –

Wróciła do lektury.

– Masz współlokatorów?

– Dwoje.

Nie podniosła wzroku.

– Co robią?

– W sensie?

– Są alfonsami, narkomanami, pracują w branży porno?

– No co ty. To znaczy, nie wiem, czym zajmują się w ciągu dnia. Ale wydają się sympatyczni.

– Jak się nazywają?

Nora się zawahała.

– Louisa i Gustav.

Zmyślone imiona, jak nic. Przez ponad dwadzieścia lat życia w Nowym Jorku nigdy nie spotkałem nikogo, kto by miał tak na imię.

Zerknąłem na zegarek. Nie miałem już czasu na niańczenie Nory.

– Mam umówioną wizytę u lekarza – powiedziałem. – Więc musisz iść. Ale pogadamy jutro.

Nora patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Wziąłem od niej talerz i kubek po kawie, zaniósłem je do kuchni i włożyłem do zmywarki.

– Dzięki za kawę! – krzyknęła z salonu.

– Nie ma za co.

Nastąpiła chwila dość podejrzanego ciszy.

Już miałem sprawdzić, o co chodzi, lecz usłyszałem dźwięk rozpinania i zapinania suwaka torebki. Nora pakowała swoje rzeczy – dzięki Bogu. Wiedziałem jednak, że w ten sposób zyskam tylko trochę czasu. Jutro tu wróci. Dziewczyna była jak te maleńkie rybki, które kilometrami nieustępliwie pływają pod brzuchem rekina ludojada. Pomyślałem, że będę musiał zadzwonić do jakiegoś starego znajomego, kogoś ze związków zawodowych albo z bankowości, wywiercić mu dziurę w brzuchu i załatwić Norze jakąś posadę z dwunastogodzinnym dniem pracy w banku w Jersey City.

– Co to jest Shandaken?! – zawołała nagle.

– Słucham? – Wyszedłem z kuchni.

– Masz tu wskazówki dojazdu do Shandaken w stanie Nowy Jork. – Nora stała w przedpokoju. Przeglądała zawartość teczek z wydrukiem drogi do Briarwood i mojej korespondencji z kierowniczką do spraw przyjęć. Położyłem tę teczkę na stoliku

obok torby z płaszczem Ashley. – Oprowadzą cię po ośrodku? – zapytała, patrząc na mnie z zaskoczeniem. – Jakim ośrodku?

Wyrwałem jej teczkę, a potem spojrzałem na zegarek – już od dziesięciu minut powinienem być na autostradzie – podszedłem do szafy i włożyłem na siebie czarną kurtkę.

– Po szpitalu psychiatrycznym.

Wróciłem do przedpokoju i zgasilem światło.

– Dlaczego chcesz zwiedzić szpital psychiatryczny?

– Bo może się tam zapiszę. Porozmawiamy jutro.

Chwyciłem wskazówki oraz kościste ramię Nory, podprowadziłem ją do wyjścia i lekko wypchnąłem na korytarz, a potem wyszedłem za nią i zamknąłem drzwi na klucz.

– Skłamałeś w mejlu – powiedziała. – Napisałeś, że nazywasz się Leon Dean.

– Literówka.

– Jedziesz badać sprawę Ashley.

Ruszyłem korytarzem, a Nora pognąła za mną.

– Nie.

– Ale wzięłeś jej płaszcz. Powinnam jechać z tobą.

– Nie.

– Ale mogę być twoją córką, którą chcesz tam zapisać. Mogę zagrać, wiesz, mroczną i tajemniczą nastolatkę. Jestem dobra z improwizacji.

– Jadę zdobyć informacje, a nie grać w kalambury. – Wyszedłem na jasne słońce poranka i przytrzymałem Norze drzwi. Miała szybki, nierówny krok. Nie wiedziałem, czy to przez skoliozę, czy tę jej torbę wyładowaną ołowiem. – Tam są zabezpieczenia jak w Pentagonie – powiedziałem, zbiegając po schodkach. – Przez lata wypracowałem taką metodę przepytывania ludzi, która wzbudza w nich zaufanie. To dlatego, że pracuję sam. Głębokie Gardło nie zgodziłby się rozmawiać z Woodwardem, gdyby łąziła za nim nastolatka z Florydy.

– Co to jest Głębokie Gardło?

Stałem jak wryty i wbiłem w nią wzrok. Wyglądała na autentycznie zdziwioną. Ruszyłem dalej ulicą.

– Ale przynajmniej widziałaś film, co? *Wszyscy ludzie prezydenta*? Robert Redford, Dustin Hoffman? Wiesz, kto to taki, prawda? A może nie kojarzysz żadnych aktorów starszych niż Justin Timberlake?

– Znam ich.

– Grali Woodwarda i Bernsteina. Legendarnych dziennikarzy, którzy ujawnili aferę Watergate. Zmusili prezydenta Stanów Zjednoczonych, żeby przyznał się do niewłaściwych działań i zrzekł się urzędu. To był jeden z największych aktów patriotyzmu w historii naszego kraju, dokonany przez dwóch dziennikarzy.

– No to ty będziesz Woodwardem, a ja Bernsteinem.

– To nie... Dobra, fakt, tworzyli zespół, ale każdy z nich wnosił coś ważnego.

– Ja też mogę coś wniesić.

– Na przykład co? Swoją dogłębną znajomość Ashley Cordovy?

Gwałtownie się zatrzymała.

– Jadę z tobą i już – oznajmiła zza moich pleców. – Albo zadzwonię do szpitala i powiem, że jesteś oszustem z fałszywym nazwiskiem.

Również się zatrzymałem. Odwróciłem się, żeby przyjrzeć się Norze. Oto znów miałem do czynienia z tą teflonową osobowością, z którą zderzyłem się w Four Seasons. Takie właśnie są kobiety – stale się przeistaczają. Raz są bezradne, potrzebują schronienia i opiekanych bułeczek, a już po chwili naginają cię do swej woli, jakbyś był z cienkiej blachy.

– Szantażujesz mnie?

Kiwnęła głową z zawziętą miną.

Przeszedłem ostatnie kilka metrów do swojego auta, poobijanego srebrnego bmw z 1992 roku zaparkowanego wzdłuż krawężnika.

– Dobrze – mruknąłem przez ramię. – Ale zostaniesz w samochodzie.

Nora pisnęła z radości i podbiegła do drzwi pasażera.

– Cały czas będziesz robić dokładnie to, co powiem. – Otworzyłem bagażnik i wsadziłem tam torbę z delikatesów. – Będziesz milczącym agentem pozbawionym osobowości. Przyjmującym i wykonującym moje rozkazy jak maszyna.

– No jasne.

Wsiadłem do auta, zapiąłem pas i włączyłem silnik.

– Żadnych opinii – burknąłem. – Żadnego trajkotania. Nie interesuje mnie gadka, a już na pewno nie szmatka.

– Dobra, ale jeszcze nie możemy ruszać.

Pochyliła się i włączyła radio.

– Dlaczego nie?

– Jedzie z nami Hopper.

– Nie. Nie jedzie. Kurwa mać, to nie jest szkolna wycieczka.

– Przecież chciał się z nami spotkać. Ty naprawdę nienawidzisz ludzi, co?

Zignorowałem tę uwagę i ostrożnie wyjechałem na jezdnię, ale otrąbiła mnie zasuważąca ulicą taksówka. Musiałem ostro zahamować i grzecznie wycofać się z powrotem do krawężnika. Minął nas sznur samochodów, zatrzymał się na światłach i utknęliśmy w miejscu.

– Przypominasz mi takiego jednego faceta z Terra Hermosa.

– Co to, do cholery, jest Terra Hermosa?

– Osiedle spokojnej starości. Nazywał się Hank Weed. Podczas posiłków zawsze zajmował dobre miejsce przy oknie, a potem stawiał balkonik obok pustego krzesła, żeby nikt nie mógł się dosięść i podziwiać widoku. Tak właśnie umarł.

Nie odpowiedziałem, bo nagle odebrała mi mowę świadomość, że nie mam zielonego pojęcia, czy cokolwiek z tego, co wygaduje ta dziewczyna, jest prawdą. Może rzeczywiście była dobra z improwizacji. Nie mogłem być pewien, że faktycznie ma dziewiętnaście lat albo że nazywa się Nora Halliday. Może była jak sweter, z którego zwisa niewinna nitka. Wystarczy raz pociągnąć i całość się pruje.

– Umiesz prowadzić? – zapytałem.

– Jasne.

– Pokaż prawo jazdy.

– Po co?

– Muszę się upewnić, że nie figurujesz na liście porwanych dzieci. I że nie mówili o tobie w programie o nastoletnich przestępcach.

Uśmiechnęła się pod nosem, pochyliła nad tą swoją monstrualną torebką i wygrzebała z niej zielony nylonowy portfel tak brudny i poplamiony, jakby przez parę lat pływał w Nilu. Przerzuciła kilka fotografii w plastikowych koszulkach – celowo obracając portfel w taki sposób, żebym ich nie widział – aż wreszcie wyjęła i podała mi prawo jazdy.

Na fotografii wyglądała jak piętnastolatka.

„Nora Edge Halliday. Brave Lane 4406, Saint Cloud, Floryda. Oczy: niebieskie. Włosy: blond. Urodzona 28 czerwca 1992”.

Naprawdę miała dziewiętnaście lat.

Oddałem dokument bez słowa. Drugie imię Edge oraz adres przy Brave Lane – nie mówiąc już o dacie, z której wynikało, że dziewczyna praktycznie urodziła się wczoraj – wystarczyły, żebym zaniemówił.

Światło zmieniło się na zielone. Wrzuciłem bieg i wyjechałem na ulicę.

– Jeżeli chcesz czekać na Hoppera, to proszę bardzo, ale ja mam robotę.

– Ale on już tu jest! – pisnęła Nora z podnieceniem.

Rzeczywiście, Hopper w tym swoim szarym płaszczu siedł chodnikiem, powłócząc nogami. Zanim zdążyłem ją powstrzymać, Nora wyciągnęła rękę w stronę kierownicy i parę razy zatrąbiła. Kilka sekund później przez drzwi buchnęło zimne powietrze, dym papierosowy i smród gorzały. Hopper zwałił się na tylne siedzenie.

– Siemano!

Chłopak znowu był narąbany.

Przyspieszyłem, żeby zdążyć na żółtym świetle, i przeciąłem Siódmą Aleję. Hopper mamrotał niezrozumiale. Pół godziny

później poprosił, żebym zatrzymał się na poboczu autostrady, i wymiotował.

Wyglądało na to, że nocą w ogóle nie był w domu. Wciąż miał na sobie wczorajszy biały T-shirt z napisem „Słynne lody Gifford’s”. Poniżej wyblakłe litery szeptały: „Wypróbuj 13 smaków ciasta miodowego!”. Kiedy skończył, najwidoczniej miał ochotę przysiąść na barierce i obserwować auta przemykające niczym kule armatnie centymetry od mojego samochodu, więc Nora wysiadła, żeby pomóc mu wrócić do wozu. Postępowała z nadzwyczajną czułością i troską. Odniosłem wrażenie, że coś takiego robiła już wielokrotnie. Dla kogo? Zmarłej matki? Ojca więźnia, który być może czekał na spotkanie ze Starą Iskierką? Babci Eli?

Dlaczego, u diabła, ta dziewczyna tak się przejmowała Ashley Cordovą – i w ogóle tym wszystkim? No i Hopper – czy naprawdę z powodu przesłanej mu anonimowo pluszowej małpki wolał w środę rano być tu ze mną, a nie w łóżku z Chloe, Reinking albo jakąś inną dziewczyną z miasta, cuchnącą nikotyną i niszowymi kapelami?

Ta dwójka dzieciaków z całą pewnością wiedziała znacznie więcej, niż dawała po sobie poznać. Ale jeśli rzeczywiście coś ukrywali, wkrótce musiałem to odkryć. Sekrety, nawet u zatwardziałych kryminalistów, to tylko bańki powietrza pod szczątkami na dnie oceanu. Czasem potrzeba trzęsienia ziemi, a czasem pletwonurka, który rozgrzebie muł, ale wszystkie mają naturalną skłonność, żeby płynąć wprost na powierzchnię – żeby się wydostać.

Nora doprowadziła Hoppera na tył samochodu. Wymamrotał coś, kiedy zdejmowała mu okulary przeciwsłoneczne, a potem rozciągnął się na kanapie z pijackim westchnieniem, podłożył sobie ramię pod głowę i zasnął. Nora usiadła obok mnie i wróciła do szukania stacji radiowej. Zatrzymała się na jakiejś folkowej piosence – na wyświetlaczu pojawił się tytuł *False Knight on the Road* – rozsiadła się w fotelu i spojrzała przez okno na nierówne pola.

Znużony poranek obmywał niebo, zalewał znaki i szyby aut światłem mętnym jak woda po kąpieli. Pod kołami dudnił rytm autostrady.

Ja też nie miałem ochoty na rozmowę. Za bardzo byłem zaskoczony tym, gdzie się znalazłem: w towarzystwie dwojga zupełnie obcych ludzi. Za sobą mieliśmy garść opowieści, a przed sobą cholera wie co, ale chwilowo życie naszej trójki było jak trzy cieniutkie linie, które biegną obok siebie.

Jechaliśmy w kierunku Briarwood.

– Nie myślimy o naszych gościach w kategoriach „pacjentów” – powiedziała mi Elizabeth Poole, kiedy szliśmy chodnikiem. – Stają się częścią rodziny Briarwood na całe życie. Proszę mi powiedzieć coś więcej o pańskiej córce Lisie. – Obejrzała się wstecz na Norę, chwilowo znaną jako Lisa, która szła dwadzieścia kroków za nami. – Na którym jest roku?

– Była na pierwszym – odrzekłem – ale ją wyrzucili.

Czekała, aż powiem coś więcej, ja jednak tylko się uśmiechnąłem i starałem się wyglądać na zakłopotanego, co bynajmniej nie przyszło mi z trudem.

Elizabeth Poole była niską, pulchną kobietą po pięćdziesiątce, o tak kwaśnej minie, iż z początku sądziłem, że ssie jakąś landrynkę, ale mijały minuty, a wyraz jej twarzy nie ulegał zmianie. Miała na sobie mamuśkowate džinsy z wysokim stanem, a rzadkie brązowe włosy mocno ściągnęła w kucyk.

Nora i ja zostawiliśmy nieprzytomnego Hoppera na tylnej kanapie samochodu, a potem odszukaliśmy gabinet Poole na parterze budynku Dycon, gmachu z czerwonej cegły, w którym mieściła się administracja Briarwood. Nie tyle spoczywał na nieskazitelnie zielonym wzgórzu, ile przygniatał je długimi, graniastymi aneksami i szarymi mackami chodników. Wystarczył mi jeden rzut oka na Poole – a potem na Perełkę, jej śnieżnobiałego maltańczyka z różowymi kokardkami, który, brzęcząc, wyłonił się zza biurka i sunął po gabinecie jak miniaturowa platforma na paradzie w Święto Dziękczynienia – żeby mieć ochotę natychmiast odwołać cały bluff.

Na dodatek sprawę znacznie pogarszały zdolności aktorskie Nory – albo raczej ich zatrwajający brak.

Gdy usiedliśmy w gabinecie, wytłumaczyłem, że moja córka Lisa sprawia problemy dyscyplinarne. Nora skrzywiła się i wbiła wzrok w podłogę. Byłem przekonany, że w stanowczych, znaczących spojrzeniach, które często rzucała mi Poole, wcale nie było współczucia, ale chłodne oskarżenie, jakby wiedziała, że ta moja córka to fikcja. Kiedy już myślałem, że każe nam opuścić teren placówki, Poole – wraz z dyszącą, brzęczącą Perełką –

rozpoczęła wycieczkę. Wyszliśmy za nią z budynku Dycon i ruszyliśmy przez rozległy teren Briarwood.

– Jakie tu są zabezpieczenia? – zapytałem.

Poole zwolniła, żeby ponownie spojrzeć na Norę, która gniewnie wpatrywała się w chodnik (tak mogła patrzeć Sue Ellen na pannę Ellie w dwunastym sezonie *Dallas*).

– Szczegóły omówię z panem na osobności – obwieściła Poole.

– Ale ogólna zasada jest taka, że każdemu zostaje przydzielony poziom obserwacji: od kontroli ogólnej, w ramach której przez całą dobę co pół godziny do pacjenta zagląda ktoś z personelu, aż po kontrolę stałą, oznaczającą, że pacjent stale musi przebywać na wyciągnięcie ręki od wykwalifikowanego opiekuna i tylko podczas posiłków wolno mu korzystać z łyżki. Po przyjęciu do naszej placówki Lisa zostanie przebadana i otrzyma odpowiedni poziom.

– Czy ostatnio zdarzyły się tu jakieś przypadki ucieczki? – dążyłem.

To pytanie ją zaskoczyło.

– Ucieczki?

– Przepraszam, nie chcę, żeby to zabrzmiało tak, jakbym oczekiwał tu drugiego Alcatraz. Chodzi o to, że jeśli tylko Lisa zwietry okazyje, to zwieje.

Poole kiwnęła głową. Jeżeli nawet pomyślała o ucieczce Ashley Cordovy, nie dała tego po sobie poznać.

– Nasz teren ma dziewiętnaście hektarów – powiedziała. – Jest ogrodzony i zabezpieczony monitoringiem. W stróżówce przy bramie przez całą dobę kontroluje się wszystkie wjeżdżające i wyjeżdżające auta. – Uśmiechnęła się blado. – Bezpieczeństwo pacjentów jest dla nas najważniejsze.

A zatem takie było oficjalne stanowisko w sprawie ucieczki Ashley: nigdy nie miała miejsca.

– Zabawne, że kiedy już ludzie się tu zadomowią – ciągnęła kobieta – trudniej namówić ich do wyjazdu niż ich zatrzymać. W Briarwood znajdują azyl. To prawdziwy świat jest okrutny.

– Właśnie widzę. Piękne miejsce.

– Prawda?

Przytaknąłem z uśmiechem. Piękne jak zastrzyk z morfiny.

Z obu stron otaczał nas rozległy, perfekcyjnie zadbane trawnik, gładki, płaski i bezwzględnie zielony. Po prawej stronie w pewnej odległości rósł potężny dąb, pod nim zaś stała pusta czarna ławka. Wypisz, wymaluj obrazek na kartkę z kondolencjami. Teren ośrodka był dziwacznie opustoszały i tylko raz po raz mijały nas uśmiechnięte pielęgniarki w fioletowych spodniach i bluzkach w radosny wzorek – ani chybi mający zdekoncentrować pacjenta, kiedy karmiły go prochami. Nieco dalej łysy mężczyzna maszerował stanowczym krokiem między ceglanyymi budynkami.

Chociaż Poole wyjaśniła, że o tej godzinie wszyscy w klinice – słowo „klinika” najwyraźniej oznaczało tu oddział dla psychicznych – przebywają na terapii behawioralnej, panowała w tym miejscu jakaś upiorna, przytłaczająca atmosfera. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nagle szum wiatru i ćwierkanie ptaków zmącił czyjś rozdzierający wrzask. Albo gdyby otworzyły się jakieś drzwi – w jednym z budynków, które Poole celowo pominęła podczas wycieczki, a gdy o nie zapytałem, odparła, że to „tylko kolejne budynki mieszkalne” – wybiegł z nich pacjent w białej piżamie, rzucił się do ucieczki, został powalony przez pielęgniarkę i zaciągnięty na sesję elektrowstrząsów, a krajobraz odzyskałby drętwą błogość.

– Ilu macie pacjentów? – spytałem, oglądając się na Norę.

Zostawała coraz bardziej w tyle.

– Programami przywracania zdrowia psychicznego i leczenia uzależnień objętych jest łącznie sto dziewiętnaście osób, nie licząc pacjentów dochodzących.

– I z każdą z tych osób indywidualnie pracują psychologowie?

– O, tak. – Poole zatrzymała się i schyliła, żeby strącić brązowy liść, który przyczepił się do sierści Perełki. – Po przybyciu każdemu mieszkańcowi naszego ośrodka zostaje przypisany osobisty zespół medyczny, składający się z lekarza, farmakologa i psychologa.

– Jak często się spotykają?

– To zależy. Nieraz codziennie. Czasem nawet dwa razy w ciągu dnia.

– Gdzie?

– W budynku Straffen. – Wskazała gmach z czerwonej cegły po naszej lewej stronie częściowo zasłonięty przez sosny. – Za chwilę tam pójdziemy. Najpierw obejrzymy budynek Buford. – Skręciliśmy ze ścieżki i ruszyliśmy ku budowli z szarego kamienia. Perełka dreptała tuż pod moimi nogami. – Tutaj nasi goście jedzą posiłki i spotykają się podczas zajęć dodatkowych. – Poole weszła po schodkach i otworzyła przede mną drewniane drzwi. – Trzy razy w tygodniu przyjeżdżają do nas profesorowie z Uniwersytetu Stanu Nowy Jork w Purchase. W auli prowadzą wykłady na przeróżne tematy, od globalnego ocieplenia przez zagrożone gatunki aż po pierwszą wojnę światową. Nasza filozofia leczenia polega między innymi na tym, żeby zapewnić pacjentom kompleksową perspektywę i świadomość historii.

Z uśmiechem pokiwałem głową. Obejrzałem się przez ramię, żeby sprawdzić, co takiego wyrabia Nora. Nie szła już za nami i stała teraz na środku trawnika. Osłaniając oczy dłonią, oglądała coś, co znajdowało się za nią.

– Rozumiem pański problem z córką – powiedziała Poole, podążając za moim wzrokiem. – Dziewczęta w jej wieku przechodzą czasem trudny okres. Jeśli wolno mi spytać, gdzie w tym wszystkim jest pani Dean?

– Nie ma jej.

Poole kiwnęła głową. Nora wyglądała tak, jakby właśnie zastanawiała się, czy nie uciec. Potem jednak zgarbiona ruszyła w naszą stronę, przystanęła przed Poole, żeby rzucić jej spojrzenie godne Doktora Zła, a następnie wskoczyła po stopniach. Poole poprowadziła nas korytarzem, w którym mocno pachniało środkiem odkażającym, do jadalni. Było to duże, nasłonecznione pomieszczenie z okrągłymi drewnianymi stołami i łukowatymi oknami. Kilka pracownic właśnie rozkładało nakrycia.

– Tutaj goście spożywają wszystkie posiłki – poinformowała Poole. – Oczywiście dbamy nie tylko o zdrowie umysłowe, ale i fizyczne, więc w naszym jadłospisie są potrawy niskotłuszczowe, a także wegetariańskie, wegańskie i kosherne. Nasz szef kuchni pracował kiedyś w restauracji z gwiazdką Michelina w Sacramento.

– Kiedy wreszcie poznam ludzi, którzy tu mieszkają, żebym mogła się przekonać, że to nie świry? – zapytała Nora.

Zszokowana Poole zamrużyła oczami, popatrzyła na mnie – odpowiedziałem zmieszanym spojrzeniem – a w końcu ochłonęła i uśmiechnęła się.

– Dzisiaj nie poznasz nikogo – oznajmiła dyplomatycznie. Gestem zaprosiła nas do przejścia w głąb korytarza. Perełka sunęła obok niej, stukając pazurkami o podłogę. – Ale jeśli przyjedziesz do nas na dłużej, przekonasz się, że nasi goście różnią się między sobą tak jak to bywa w każdej społeczności.

Zatrzymała się gwałtownie przy ciemnej wnęcie, a po chwili wahania zapaliła górne światło. Na ścianach wisiały tablice z listami zapisów i fotografiami zajęć w Briarwood.

– Jak państwo widzą – rzekła, wskazując wnękę – ludzie są tu naprawdę szczęśliwi. Wszystkim zapewniamy wystarczająco dużo zajęć, i fizycznych, i umysłowych.

Nora weszła tam z nachmurzoną miną.

– Kiedy robiliście te zdjęcia? – zapytała.

– Przez ostatnie kilka miesięcy – odrzekła Poole.

Dziewczyna popatrzyła na nią sceptycznie, a potem skrzyżowała ręce na brzuchu i zaczęła przyglądać się fotografiom. Najpierw myślałem, że naprawdę jej odbiło i postanowiła naśladować Angelinę z *Przerwanej lekcji muzyki*, ale prędko zrozumiałem, co robi.

Szukała Ashley.

To wcale nie był zły pomysł. Przeszedłem obok Poole, żeby również rzucić okiem. Fotografie przedstawiały pacjentów podczas sztafet i pieszych wycieczek. Niektórzy wydawali się autentycznie szczęśliwi, większość jednak była zbyt chuda

i zmęczona. Ashley chyba powinna rzucać się w oczy. Ciemnowłosa dziewczyna o wyzywającym spojrzeniu stojąca nieco na uboczu. Obejrzałem zdjęcia z jakiegoś recitalu, ale przy fortepianie siedział mężczyzna z dreadami. Wisiało tu również kilka fotografii z letniego grilla na głównym trawniku, pacjenci tłoczyli się przy stołach piknikowych, jedli hamburgery – Ashley nigdzie nie było widać.

Zerknąłem na drzwi i zobaczyłem, że Poole przygląda się nam nieco zaniepokojona. Chyba przypatrywaliśmy się zdjęciom trochę zbyt uważnie.

– Wszyscy są tu tacy szczęśliwi – stwierdziłem.

Odpowiedziała chłodnym spojrzeniem.

– Chodźmy dalej – odparła.

Wyszedłem z wnęki. Czworonożna koronkowa serwetka nazywana psem kręciła się w kółko i tak się na mnie gapiła, jakbym w kieszeni nosił suszoną wołowinę. Nora kartkowała listę zapisów do Klubu Książkowego Briarwood i widziałem, że czyta wszystkie nazwiska.

– Liso – powiedziałem z naciskiem. – Idziemy.

Poole wyprowadziła nas z powrotem na dwór. Ruszyliśmy przez trawnik do Straffen Hall, gdzie poszliśmy od razu na pierwsze piętro – poświęcone muzyce, malarstwu i jodze. Związęłe objaśnienia oraz spięty głos nie pozostawiały wątpliwości, że kierowniczką nie obchodzi ani ja, ani moja naburmuszona córka. Piałem z zachwytem nad całym ośrodkiem, ale ona tylko uśmiechała się lodowato.

Kiedy mijaliśmy pokój medytacji – pełen świec oraz fotografii łąki i nieba – z głośników zabrzmiały dwie ostre, rezonujące nuty dzwonka. Były jak muzyczny odpowiednik walnięcia w palec u nogi.

– Muszę iść do łazienki – oznajmiła marudnie Nora.

– Ależ oczywiście – odrzekła Poole. Zatrzymała się przy automacie z wodą i wskazała znajdujące się w połowie korytarza drzwi z napisem: KOBIECY. – Poczekamy tu na ciebie.

Nora przewróciła oczami i poszła. Ściany były jasne, do połowy białe, a od połowy różowe jak nosek małego kotka, ale całość robiła sterylne wrażenie i powodowała klaustrofobicznym przedział w pociągu. Niezrównoważony Ekspres, kierunek Wariatkowo. Wszyscy wsiadać!

Z sal zaczęli się wylewać pacjenci. Mieli na sobie dzinsy i workowate bawełniane koszule – lecz, jak zauważyłem, żadnych pasków ani sznurówek. Zaskoczyła mnie rozpiętość wiekowa. Z pracowni malarskiej wytoczył się facet ze sterczącymi siwymi włosami – wyglądał na jakieś osiemdziesiąt lat. Większość osób, mijając mnie, unikała kontaktu wzrokowego. Wkoło kręcili się też psychiatrzy i inni jajogłowi, naradzali się, kiwali głowami i sprawiali wrażenie bardzo konstruktywnych. Łatwo ich było rozpoznać, bo wszyscy nosili bluzy z polaru, kurtki i wełniane swetry w ziemistych barwach – pewnie po to, by pacjenci myśleli, że przebywają w górskim kurorcie.

Poole poprawiała Perełkę kokardkę.

– Słyszałem dużo dobrego o doktor Annice Angley – odezwałem się. Kierowniczka wstała z psem na rękach. Annika Angley była psycholożką, która wypełniła formularz przyjęcia pacjenta dołączony do akt policyjnych. – Poleciał mi ją ktoś znajomy – wyjaśniłem. – Podobno bardzo dobrze radzi sobie z młodymi kobietami o skłonnościach depresyjnych. Czy mógłbym z nią porozmawiać?

– Jej gabinet znajduje się na drugim piętrze, w części niedostępnej dla zwiedzających. Zresztą na tym etapie rozmowa o doktor Angley albo jakimkolwiek innym lekarzu byłaby przedwczesna. Jeśli Lisa do nas dołączy, wybierzemy dla niej zespół fachowców odpowiadający jej potrzebom. À propos, pójdę po nią, bo powinniśmy już iść dalej.

Odstawiła Perełkę na podłogę, rzuciła mi uśmiech wyraźnie sugerujący, że bym nie ważył się nawet drgnąć, a potem ruszyła korytarzem. Jej czarne buty ortopedyczne kląskały na linoleum.

Minutę później wyłoniła się z łazienki czerwona jak burak.

– Nie ma jej – oznajmiła. Patrzyłem na nią tępo. – Lisa zniknęła. Widział ją pan?

– Nie.

Poole odwróciła się na pięcie i pomaszerowała przed siebie.

– Musiała wyjść z drugiej strony.

Perełka i ja – oboje równie oszołomieni takim rozwojem wypadków – pognaliśmy za nią. Mijając damską toaletę, nie mogłem sobie jednak odmówić, otworzyłem drzwi i zawołałem:

– Lisa?! Skarbie?

Poole rzuciła mi spojrzenie przez ramię.

– Nie ma jej tam. Naprawdę.

Przecisnęła się między pacjentami, pchnęła drzwi na końcu korytarza i wypadła na klatkę schodową. Trzymałem się tuż za nią. Przystanąła, spojrzała do góry – schody przegradzała metalowa furтка z tabliczką TYLKO DLA PERSONELU – a potem odwróciła się i głośno zbiegła po schodach. Wskoczyliśmy na parter, potrącając jakiegoś mężczyznę niosącego stos folderów. Łapki Perełki ślizgały się na gładkiej drewnianej podłodze, kiedy skręcała za róg. Weszliśmy za Poole przez drzwi gabinetu z napisem PROGRAM LECZENIA UZALEŻNIEŃ OD ALKOHOLU I NARKOTYKÓW.

– Beth, widziałaś, żeby kręciła się tu gdzieś pięćsetczterdziestkaszóstka? Chuda blondynka. Mikrominiówka. Warkocze wokół głowy. – Poole rzuciła mi lodowate spojrzenie. – Pióra.

– Nie widziałam, Liz.

Mamrocząc pod nosem, Poole ruszyła dalej korytarzem.

– Co to jest pięćsetczterdziestkaszóstka? – zapytałem.

– Potencjalny pacjent. Będę musiała przejrzeć monitoring. Lubi uciekać, co? Wie pan, dokąd mogła pójść?

– Jeśli wydostanie się na drogę, pewnie spróbuje złapać stopa.

– O ile nie ma skrzydeł i nie potrafi przelecieć nad dziesięciometrowym ogrodzeniem pod wysokim napięciem, to nigdzie stąd nie wyjdzie.

– Tak bardzo panią przepraszam.

Wyszliśmy przez szklane drzwi. Na dworze, na całym trawniku, pacjenci – niektórzy w towarzystwie pielęgniarek – sunęli chodnikami w kierunku jadalni. Nigdzie nie widziałem Nory. W takim stroju łatwo by ją było zauważyć. Nie miałem pojęcia, gdzie się podziała. To nie ja kazałem jej uciec. Zaczęła działać na własną rękę.

Minutę później Poole posadziła mnie na kwiecistej kanapie w swoim gabinecie.

– Proszę tu poczekać – nakazała. – Zaraz wrócę z pańską córką.

– Dziękuję.

Rzuciła mi tylko wściekłe spojrzenie i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Zostałem sam z Perełką. Suczka podeszła do swojego posłania obok kwiatków w doniczkach i wróciła z piszczącym hot dogiem.

W głośnikach ponownie zabrzmiał dzwonek.

Przyjrzałem się sufitowi. Nie dostrzegłem żadnych kamer.

Wstałem i zbliżyłem się do biurka Poole.

Na monitorze widniał wygaszacz ekranu. Jak należało się spodziewać, były to przesuwające się zdjęcia Perełki, chociaż raz po raz w tle pojawiał się również chudy, łysy mężczyzna ze stropioną miną. Zapewne pan Poole.

Stuknąłem w klawiaturę. Komputer zapytał o hasło.

Spróbowałem: „Perełka”. Nie zadziałało.

W rogu biurka leżały stosy papierów na tackach z korespondencją przychodzącą i wychodzącą. Zacząłem je przeglądać: kartki z podziękowaniami, wnioski o przyjęcie do zakładu, podpisana umowa poufności, mejl od doktora Roberta Paula z zapowiedzią przejścia na emeryturę. Gdzieś tu musiał być jakiś wewnętrzny okólnik na temat Ashley Cordovy. Jakies pismo od szefa szpitala, pełne zdań typu „To bardzo delikatna sytuacja”, „Sprawa jest niezmiernie ważna dla reputacji szpitala” i tak dalej.

Otworzyłem szuflady biurka.

Znalazłem tam mnóstwo artykułów biurowych, katalog z meblami Pottery Barn, całą masę miętówek. Przeszedłem do rzędu szaf na akta, które stały pod ścianą w głębi gabinetu. Wszystkie okazały się zamknięte, a klucza nigdzie nie widziałem.

Wróciłem do drzwi, otworzyłem je i wyjrzałem na zewnątrz.

Korytarz był prawie pusty, tylko w połowie długości, przed głównym wyjściem z budynku Dycon, stały dwie pielęgniarki.

Stwierdziłem, że skoro przez Norę i tak mnie stąd wyrzucą, to równie dobrze mogę odstawić kamikaze. Nagle Perełka zaczęła żuć hot doga na mojej stopie. Jedna z pielęgniarek przerwała rozmowę i z zaciekawieniem popatrzyła w moją stronę.

Podniosłem zabawkę i cisnąłem ją przez całe pomieszczenie – wylądowała wśród liści olbrzymiej kukurydzy w doniczce przy oknie, więc Perełka będzie musiała się po nią wspiąć po

półtorametrowej łodydze – a potem znowu wychylnąłem na korytarz.

Pielęgniarki dalej cicho rozmawiały. Wymknąłem się z gabinetu i poszedłem wprost do bocznych drzwi.

Na dworze ruszyłem w kierunku budynku Straffen.

Na terenie ośrodka znów panował spokój. Ostatni maruderzy zmierzali do jadalni. Przebiegłem przez trawnik, a potem wszedłem po schodach, gdzie pacjenci rozmawiali i palili papierosy. Kiedy ich mijałem, tylko zerknęli na mnie bez zainteresowania. Wewnątrz skierowałem się wprost do wind.

W jednej z nich wcisnąłem dwójkę. Ale przycisk się nie zaświecił.

Potrzebowałem kodu. Już miałem wyjść z windy, kiedy weszła tam siwa kobieta wpatrzona w swoją komórkę. Nie zwracając na mnie uwagi, wstukała czterocyfrowy szyfr. Nie zadziałał, na pewno dlatego, że już wcześniej nacisnąłem jeden guzik. Zmarszczyła brwi, wybrała przycisk kasowania, a potem ponownie wprowadziła kod. Drzwi się zamknęły. Ruszyliśmy w górę. Siwowłosa jechała na piąte piętro. Zrobiłem krok do przodu i ponownie wcisnąłem dwójkę. Tym razem się zapaliła.

Kobieta odwróciła się i z zaciekawieniem zmierzyła mnie wzrokiem.

Drzwi otworzyły się na drugim piętrze. Wsiadłem, czując, że tamta zaczyna się zastanawiać, kim ja, u diabła, jestem. Zanim jednak zdążyła zareagować, drzwi się zamknęły.

Byłem sam.

Drugie piętro budynku Straffen wyglądało identycznie jak pierwsze, tylko świetlówki były bardziej różowe, linoleum bardziej lśniące, a ściany pomalowane na kolor miętowy. W obu kierunkach ciągnęły się rzędy czarnych drzwi. Musiały to być wejścia do gabinetów lekarzy. Ruszyłem korytarzem, oglądając kolejne tabliczki z nazwiskami. Zza drzwi dobiegały ciche głosy oraz muzyka wygrywana na bambusowej fletni, jaką zwykle słychać w spa podczas masażu. W połowie korytarza znajdowała

się niewielka poczekalnia z oknami. Dwaj młodzi mężczyźni siedzieli rozciągnięci na kanapach i pisali coś w notatnikach.

Nie zauważyli mnie, gdy przechodziłem obok.

Znalazłem tabliczkę z napisem DR ANNIKA ANGLEJ. Lekko zastukałem, a potem, nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Wróciłem do młodych mężczyzn.

– Przepraszam bardzo – powiedziałem. Zaskoczeni podnieśli wzrok. Jeden był blondynem o łagodnej, niepewnej twarzy. Drugi miał kręcone brązowe włosy i czerwoną, dziobatą cerę. – Może panowie mi pomogą. Czy któryś z panów znał byłą mieszkankę ośrodka, która przebywała tu jeszcze niedawno, Ashley Cordovę?

Blondyn zerknął z wahaniem na tego drugiego.

– Ja nie. Ale dopiero tu przyjechałem.

– A pan?

Tamten powoli przytaknął.

– Aha. Słyszałem o niej.

– Co pan słyszał?

– Tylko tyle, że była tu córka Cordovy.

– Spotkał ją pan albo chociaż widział?

Pokręcił głową.

– Miała kod srebrny.

– Co to jest kod srebrny?

– Ścisła opieka. Tacy mieszkają w budynku Maudsley.

– Przepraszam bardzo – odezwał się męski głos za moimi plecami. – Czy mogę panu w czymś pomóc?

Odwróciłem się. W korytarzu stał niski, korpulentny mężczyzna z gęstą brązową brodą i wpatrywał się we mnie.

– Oby – odparłem. – Szukam mojej córki Lisy.

– Proszę za mną.

Wyciągnął rękę na znak, żebym oddalił się od chłopaków. Towarzyszył temu wymuszony uśmiech bardzo wkurzonego człowieka. Kiwnąłem im głową w podziękowaniu i ruszyłem za brodaczem.

– Wstęp na to piętro mają tylko mieszkańcy i lekarze. Jak się pan tu dostał?

Z jak największym zmieszaniem wyjaśniłem, że zwiedzałem ośrodek z panią Poole i zgubiła mi się córka.

Zmierzył mnie wzrokiem z ogólną niechęcią, choć chyba uwierzył w moją głupotę. Stał przed jednym z gabinetów, odszukał klucz, otworzył drzwi i zapalił światło.

– Zechce pan ze mną poczekać, aż porozmawiam z Elizabeth.

– Właściwie to znam drogę do wyjścia. Sam trafię.

– Proszę wejść do gabinetu albo wezwę ochronę.

Według plakietki był to doktor Jason Elroy-Martin. Wszedłem, usiadłem na skórzanej kanapie, a on z rosnącą irytacją wybierał kolejne numery telefonów z listy wiszącej na ścianie obok jego dyplomu akademii medycznej Uniwersytetu Miami. Zostawił Poole dwie wiadomości, a w końcu zdołał się do niej dodzwonić. Jego twarz – a właściwie jej widoczny skrawek, bo policzki zasłaniała broda – natychmiast poczerwieniała z wściekłości.

– Siedzi tu przede mną – powiedział, piorunując mnie wzrokiem. – Odezwał się do dwóch stosedemnastek. Zajmowali się swobodnym pisaniem w dziennikach. Tak. Tak! – Zamilkł i słuchał. – Nie ma sprawy.

Odłożył słuchawkę, rozparł się w obrotowym fotelu i splótł palce.

– Mogę się już oddalić? – zapytałem.

– Nigdzie pan nie pójdzie.

Wpatrywał się we mnie ze zmarszczonym czołem, dopóki ktoś nie zapukał do drzwi.

Otworzyły się, ukazując dwóch rośli umundurowanych pracowników ochrony.

– Scott B. McGrath? – odezwał się jeden z nich. – Pójdzie pan z nami.

Fakt, że powiedział „B” – to skrót mojego drugiego imienia Bartley – nie wróżył nic dobrego.

Odeskortowali mnie przez teren ośrodka do centrum ochrony, kanciastego bunkra z pustaków, który stał na skraju lasu, z dala od pozostałych budynków. Weszliśmy do surowego przedsionka, gdzie za szybą siedział strażnik o twarzy ropuchy. Poprowadzono mnie holem: mijaliśmy pokoje pełne monitorów wyświetlających drżące czarno-białe obrazy sal i korytarzy.

– Czy to właśnie teraz czeka mnie *waterboarding*? – zapytałem.

Zignorowali moje słowa. Zatrzymali się przy otwartych drzwiach na końcu korytarza.

W środku była Nora. Siedziała zgarbiona na składanym metalowym krześle pośrodku wyłożonego żółtym dywanem pokoju ze ścianami ze sklejki. Na szczęście chyba już nie grała roli. Obgryzała paznokcie i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w Elizabeth Poole – tak czerwoną na twarzy, jakby promieniowała energią termonuklearną. Obok niej, przycupnięty na skraju biurka, siedział wysoki szpakowaty mężczyzna. Miał na sobie wyprasowane w kant spodnie khaki oraz sweter niebieski jak pisanka.

– Pan Scott – rzekł, podnosząc się, i wyciągnął rękę. – Nazywam się Allan Cunningham. Dyrektor Briarwood Hall. Bardzo miło pana poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Uśmiechnął się. Był jednym z tych rozpromienionych mężczyzn, którzy nie są ot, po prostu schludni, ale wręcz wychuchani, a cerę mają nieskazitelną jak niemowlę albo zakonnica.

– A więc Nora – rzekł, spojrzawszy na nią z góry i uśmiechnął się, a ona o dziwo odpowiedziała mu tym samym – która, jak rozumiem, posługiwała się dziś pseudonimem Lisa, właśnie nam wytłumaczyła, że wcale nie jesteście potencjalnymi gośćmi, jak twierdziliście, ale przyjechaliście, żeby w nielegalny sposób zdobyć informacje o naszej byłej pacjentce.

– Zgadza się – odparłem. – O Ashley Cordovie. Uciekła spod waszej kurateli, a dziesięć dni później zginęła. Chcemy ustalić, czy w szpitalu doszło do zaniedbań, których bezpośrednim skutkiem była jej śmierć.

– Nie doszło do żadnych zaniedbań.

– A zatem przyznaje pan, że Ashley Cordova była waszą pacjentką.

– Nic z tych rzeczy. – Utrzymanie tak szerokiego uśmiechu wymagało od Cunninghama nie lada wysiłku. – Ale zaręczam, że w żaden sposób nie naruszono bezpieczeństwa naszych pacjentów.

– Skoro Ashley było wolno opuścić klinikę w środku nocy w towarzystwie niezidentyfikowanego mężczyzny, to dlaczego nazajutrz zgłosili państwo jej zaginięcie?

Dyrektor wyglądał na rozwścieczonego, ale nie odpowiedział.

– Miała kod srebrny – dodałem. – Ścisła opieka. Takie osoby nie mogą wychodzić bez opiekuna. Wobec tego ktoś w szpitalu najwyraźniej zasnął za kółkiem.

Cunningham odetchnął głęboko.

– Proszę pana, to nie jest szpital publiczny. Mogę was oskarżyć o bezprawne wtargnięcie. Oboje traficie do więzienia.

– No właśnie nie może pan – odparłem. Rozpiąłem kieszeń i wręczyłem mu złożoną broszurę. – Musi pan wiedzieć, że choć jesteśmy zaniepokojeni losem Ashley, Nora i ja przyjechaliśmy tu w celu dystrybuowania materiałów na temat naszej religii, do czego mamy prawo na mocy *Marsh przeciwko stanowi Alabama*, orzeczenia Sądu Najwyższego stwierdzającego, że w myśl pierwszej i czternastej poprawki do konstytucji przepisy stanowe dotyczące bezprawnego wtargnięcia nie mają zastosowania wobec osób dystrybuujących literaturę religijną, nawet jeśli robią to na terenie prywatnym.

Cunningham przejrzał moją starą broszurkę świadków Jehowy.

– Sprytne. Bardzo sprytne – wysyczał przez zęby. – Zostaniecie stąd wyprowadzeni. Złożę zażalenie na policji. Jeśli usłyszę, że

pan albo pana przyjaciele, w tym osoba śpiąca w pańskim samochodzie, ponownie próbujecie dostać się na teren szpitala, każę was aresztować.

Zmiał folder w kulkę i cisnął ją do kosza przy drzwiach. Wpadła z ładnym brzęknięciem. Właśnie zamierzałem podziękować mu za poświęcony nam czas, gdy moją uwagę zwrócił nagły ruch w oknie za jego plecami.

Jakaś kobieta biegła przez las ścieżką okalającą opuszczony plac budowy. Jej rude włosy połyskiwały w słońcu. Miała na sobie różowy strój pielęgniarki oraz rozpinany biały sweter. Gnała prosto w stronę naszego budynku i najwyraźniej bardzo się spieszyła.

Cunningham obejrzał się przez ramię i zerknął przez okno, ale potem odwrócił się nonszalancko.

– Czy wyrażam się jasno, panie McGrath?

– Absolutnie.

Dyrektor skinął na pracowników ochrony, którzy wyprowadzili nas na dwór.

Pomaszerowaliśmy chodnikiem wokół budowy. „Lisa” mimo tych swoich grymasów niegrzecznej dziewczynki wreszcie wyglądała na uległą. Kiedy szliśmy między dwoma strażnikami, rzucała mi mnóstwo zalęknionych spojrzeń w stylu „Co my teraz zrobimy?” – a wszystkie sugerowały, że wprost rozkoszuje się tym konfliktem z przedstawicielami władzy. O ile ci pracownicy ochrony w ogóle zasługiwali na to miano. Wyglądali jak dwa miękkie fotele.

W głębi ścieżki znowu dostrzegłem tę rudowłosą pielęgniarkę, którą widziałem przez okno. Pojawiła się znikąd i prędko zbliżała się w naszą stronę ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ale kiedy dzieliło nas już tylko kilka metrów, gwałtownie podniosła głowę i ze wzburzeniem popatrzyła prosto na mnie.

Zatrzymałem się zaskoczony.

Tylko przyspieszyła, a potem skręciła w inną dróżkę biegnącą za budynkiem mieszkalnym.

– Chodźmy, panie McGrath.

Kiedy dotarliśmy na parking, okazało się, że wiadomość o intruzach obiegała już cały szpital, bo czekało na nas mnóstwo gapiów: pielęgniarek, psychiatrów, pracowników administracji. Stali na schodkach budynku Dycon, obserwując nasz przemarsz.

– O, komitet pożegnalny – powiedziałem. – Naprawdę nie było trzeba!

– Proszę iść do samochodu – polecił strażnik.

Otworzyłem drzwi i oboje z Norą wsiedliśmy do auta. Hopper nadal leżał nieprzytomny na tylnej kanapie. Wyglądało na to, że w ogóle się nie ruszył.

– Może sprawdzisz mu puls? – mruknąłem, uruchamiając silnik.

Wytoczyłem się z miejsca parkingowego i skierowałem do bramy wyjazdowej. Wokół budynku Dycon wciąż kręcili się ludzie, ale nigdzie nie widziałem rudej pielęgniarki. Czy chciała, żebym za nią poszedł? Przecież musiała rozumieć, że w obecności ochroniarzy to niemożliwe.

– Z jego pulsem wszystko w porządku – zaćwierkała wesoło Nora. – Niewiele brakowało, co?

– Niewiele? Ja bym to nazwał strzałem w dziesiątkę.

Skręciłem w prawo, przyspieszyłem i ruszyłem główną drogą, którą wreszcie mogliśmy wyjechać stąd w cholerę. Najpierw czekała nas odurzająca dwuminutowa jazda przez las.

– Jesteś zły czy co? – zapytała Nora.

– Tak. Jestem zły.

– Dlaczego?

– Tym swoim cyrkowym numerem nie tyle zwróciłaś na nas uwagę, ile zakreśliłaś wokół nas czerwone kółko ze strzałką „Oni są tutaj”. Następnym razem zabierz jeszcze orkiestrę mariachi. – Nora fuknęła i zaczęła bawić się radiem. – W tej chwili Cunningham rozmawia przez telefon z rodziną Ashley, pewnie z samym Cordovą. Informuje go, że dziennikarz Scott McGrath w towarzystwie białej obdartuski z Florydy wtyka nos w historię choroby jego córki. Jeśli do tej pory miałem nadzieję, że moje śledztwo będzie dyskretne, to dzięki tobie, Bernsteinie, mogę

o tym zapomnieć. I tak oto dochodzimy do tematu twoich zdolności aktorskich. Nie wiem, czy ktoś ci to już mówił, ale powinnaś poważnie przemyśleć swoje plany życiowe. – Zerknąłem w lusterko wsteczne. Za nami właśnie pojawił się niebieski lincoln. Na przednich siedzeniach zauważyłem charakterystyczne kanciaste sylwetki tamtych dwóch strażników. – A teraz jeszcze Mumbo i Jumbo siedzą nam na ogonie – mruknąłem.

Podeksytowana Nora obróciła się w fotelu, żeby zobaczyć ich na własne oczy. Ta dziewczyna była równie dyskretna, jak ciężarówka z wielką przyczepą.

Pognaliśmy w dół wzgórza i skręciliśmy za niewielki zagajnik. Naliczyłem piętnaście sekund, zanim zza drzew wyłonił się lincoln. Mocniej przycisnąłem pedał gazu i wszedłem w kolejny zakręt.

– Założę się, że dowiedziałam się o Ashley więcej niż ty – oznajmiła Nora.

– Tak? Czego mianowicie? – Dziewczyna tylko z uśmiechem wzruszyła ramionami. – No właśnie, guzik się dowiedziałaś.

Wyskoczyliśmy zza następnego łuku. Szosa wyprostowała się i przecinała ją jakaś droga dojazdowa. Zatrzymałem się przed znakiem stop, a potem właśnie wciskałem gaz do dechy, kiedy nagle Nora wrzasnęła.

Po stromej, zalesionej skarpie tuż przy prawym poboczu zbiegała ta kobieta, rudowłosa pielęgniarka – wprost pod nasze koła.

Wdepnąłem hamulec.

Upadła na maskę, wszędzie rozsypały się rude włosy. Przez chwilę myślałem z przerażeniem, że coś jej się stało, ale potem podniosła głowę, obiegła samochód od mojej strony i nachyliła się do okna.

Wbiła we mnie wzrok – jej brązowe oczy były przekrwione, a piegowata twarz pełna desperacji.

– Morgan Devold! – krzyknęła. – Znajdźcie go. Powie wam to, co chcecie wiedzieć.

– Co?!

– Morgan. Devold.

Przebiegła z powrotem przed maską, potem na pobocze, i zaczęła wspinać się po stromej skarpie. Niebieski sedan właśnie pojawił się za nami.

Kobieta rozpaczliwie czołgała się pod górę na czworakach, ślizgała się w kurzu i liściach. Dotarła na szczyt, owinęła się swetrem i przystanęła, żeby spojrzeć z góry na nasze auto.

Strażnicy zatrzymali się za nami i zatrąbili.

Nie zauważyli jej.

Zdjąłem nogę z hamulca i ruszyliśmy w dalszą drogę, wciąż w szoku. Ale zanim wjechaliśmy w kolejny zakręt, w lusterku zobaczyłem, że kobieta wciąż stoi na wzniesieniu. Podmuch wiatru rozwiął jej rude włosy, przesłaniając twarz.

Ochroniarz z kamienną twarzą otworzył elektronicznie sterowaną bramę. Pojechaliśmy dalej, a lincoln zawrócił w stronę szpitala.

- O rany! – wydyszała Nora, przyciskając dłoń do piersi.
- Co to było za nazwisko? – zapytałem.
- Chyba Morgan Devold.
- Zapisz: D-E-V-O-L-D.

W pośpiechu wygrzebała długopis z torebki, zębami ściągnęła skuwkę i nagryzmoła nazwisko na swojej dłoni.

– Widziałam tę kobietę już wcześniej, kiedy byliśmy w centrum ochrony – powiedziała. – A potem mijala nas, gdy wychodziliśmy. Chciała z nami porozmawiać.

- Najwyraźniej.
- Co się dzieje? – wymamrotał chrapliwy głos na tylnym siedzeniu.

Hopper się obudził. Ziewnął. Przetarł oczy i bez zdziwienia spojrział na przemykający za oknem rolniczy krajobraz.

Podał Norze swój telefon.

– Wygoogluj „Morgan Devold” i „Nowy Jork”. Powiedz, co znajdziesz.

Zasięg był kiepski, więc zajęło jej to parę minut.

– Niewiele mam – odezwała się w końcu. – Tylko jedną z tych stron genealogicznych. Niejaki Morgan Devold mieszkał w Szwecji w tysiąc osiemset trzydziestym szóstym roku. Miał syna Henrika.

- To wszystko?
- Takie nazwisko pojawia się jeszcze tylko na stronie z pończochami.
- Gdzie my jesteśmy, do cholery? – zapytał Hopper, opuszczając szybę.

Nora odwróciła się do niego i ochoczo poinformowała o wydarzeniach ostatnich czterech godzin.

– Właśnie mieli nas aresztować – zakończyła – ale Scott dał czadu. Wyciągnął broszurę *Najwspanialszy człowiek, jaki chodził*

po Ziemi. Pytania o Jezusie Chrystusie dla młodzieży. – Zachichotała. – Odlot.

Kiedy opowiadała o zajściu z pielęgniarką, po prawej stronie drogi zauważyłem sklep spożywczy. Zahamowałem i skręciłem.

– Idź do środka – poleciłem Norze, zatrzymując się przy dystrybutorze paliwa. Zgasilem silnik. – Zapytaj, czy możemy pożyczyć książkę telefoniczną. I kup jakieś przekąski. – Dałem jej dwadzieścia dolarów, po czym zająłem się tankowaniem auta.

Hopper też wysiadł. Rozciągnął się.

– Czego się dowiedzieliście o Ashley? – zapytał chrapliwie.

– Niewiele. Miała kod srebrny, czyli najwyższy poziom opieki.

– Ale ciągle nie wiecie, co z nią było nie tak.

– Nie.

Chyba chciał zapytać o coś jeszcze, ale tylko się odwrócił, wyjął papierosy i wolnym krokiem ruszył przez parking.

Minęła szesnasta. Słońce nie trzymało już światła w silnym uścisku, więc cienie były muliste, a światło roztopiło się i zmiękło.

Dokładnie po drugiej stronie ulicy, pośrodku zdziczałego, zaśmieconego trawnika, stał biały wiejski dom. Na obwisłym sznurze telefonicznym siedziały dwa czarne ptaki, zbyt małe i tłuste jak na wrony. Brzęknął dzwonek nad drzwiami sklepu. Odwróciłem się. Jakiś starszy mężczyzna w zielonej flanelowej koszuli i roboczych butach właśnie szedł do swojego pick-upa. Na platformie leżał brązowy kundel. Mężczyzna usiadł za kierownicą i ruszył. Skręcił w prawo tuż przed Hopperem, strzelił tłumik.

Hopper nie zareagował. Wpatrywał się w drogę w melancholijnym transie i jakby nie zauważał przemykających aut.

Może właśnie o to chodziło – może wyobrażał sobie, że rusza wprost pod któreś z nich. Wyglądał jak człowiek na brzegu rzeki, który zamierza rzucić się do wody. Okropnie melodramatyczna myśl – pewnie resztką paranoi po zajściu z pielęgniarką. Wciąż miałem przed oczami jej zdenerwowaną piegowatą twarz,

spękane wargi, skroplony oddech na szybie, który przesłonił jej usta.

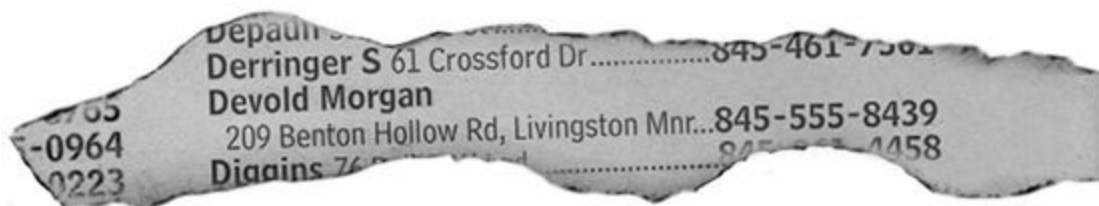
Hopper zaciągnął się papierosem, odgarnął włosy z oczu i spojrzał w niebo. Przez zmrużone powieki zerknął na ptaki na sznurach telefonicznych. Całkiem znikąd pojawiły się kolejne. Teraz było ich siedem – siedem maleńkich czarnych nut na pustej pięciolinii, która to opadała, to się unosiła, rozpięta między słupami wzdłuż szosy.

Znowu brzęknął dzwonek i ze sklepu wyłoniła się Nora. W rękach miała kubki z kawą, naręcza żelków i chrupek oraz książkę telefoniczną. Rozłożyła to wszystko na masce samochodu.

– Kupiłam mu kawę – szepnęła, pokazując mi olbrzymi kubek. Popatrzyła z niepokojem na Hoppera, który stał po drugiej stronie parkingu. – Wygląda, jakby potrzebował kofeiny.

– Wygląda, jakby potrzebował, żeby ktoś go przytulił.

Odstawiła kubek, a potem zaczęła kartkować książkę telefoniczną.



– To niedaleko – szepnęła oszołomiona.
Podszedłem do niej i spojrzałem na stronę.

– Następny podjazd – powiedziała Nora wpatrzona w telefon.

Podróż do Livingston Manor trwała półtorej godziny. Jechaliśmy krętymi drogami przez głuchą prowincję. Robiło się już ciemno, niebo przybrało odcień posiniałego granatu. Wzdłuż Benton Hollow Road nie było tabliczek z nazwą ulicy, numerów na domach, latarni, nawet pasów na jezdni – widać było tylko przygaszone światło reflektorów mojego auta, które nie tyle odpychały napierający mrok, ile go przetrząsały. Po lewej stronie znajdowała się zwarta ściana żywopłotu, kolczasta i nieprzenikniona. Po prawej rozciągała się rozległa, czarna połać ziemi, a na niej zwichrzone pastwiska i blade zabudowania. Ciemność nocy przebijały tylko pojedyncze lampy na werandach.

– To tu – szepnęła podniecona Nora, wskazując przerwę w żywopłocie.

Stała tam metalowa skrzynka na listy, ale nie było na niej ani numeru, ani nazwiska.

Skreśliłem.

Wąski zwirowy podjazd wiódł wprost pod górę wśród gęstego listowia. Ledwo zmieściłby się tam człowiek, a co dopiero samochód. Było coraz bardziej stromo, więc musiałem wcisnąć gaz do dechy. Całe auto dygotało w niekontrolowany sposób niczym prom kosmiczny próbujący przełamać barierę dźwięku. Wiotkie gałęzie uderzały o szybę.

Po mniej więcej minucie wspięliśmy się na szczyt wzgórza.

Natychmiast wcisnąłem hamulec.

Przed nami, w oddali, za niechlujnym trawnikiem stał maleńki drewniany domek wciśnięty między wysokie drzewa, tak bardzo zniszczony, że aż oniemieliśmy.

Spękana biała farba obłaziła ze ścian. Brakowało dachówek, więc ziała tam czarna dziura, a okna na poziomie strychu były wybite i osmalone. Na trawniku, wśród zwiędłych liści, obok sporego powalonego drzewa, leżały dziecięce zabawki – wózek, trzykołowy rowerek, a nieco dalej, na skraju podwórka tonącego

w ciemności, stary plastikowy basen dla dzieci, który wyglądał jak pęknięty pęcherz.

Ten dom majaczący w cieniu miał w sobie coś, co napawało taką grozą, że odruchowo wyłączyłem silnik i światła. Samotna żarówka obok drzwi oświetlała bujaną ławkę na werandzie, w połowie leżącą na ziemi, oraz stary klimatyzator. Drugie światło paliło się w jednym z pomieszczeń w głębi domu – świeciło małe prostokątne okno ściśle przesłonięte miętowozielonymi zasłonami.

Dotarło do mnie, że absolutnie nic nie wiemy o tym człowieku, Morganie Devoldzie. Działaliśmy zgodnie ze wskazówką zupełnie obcej osoby, pielęgniarce z Briarwood – która nie wydawała się do końca normalna, skoro rzuciła się pod samochód.

Obok domu, przed drewnianą szopą stały pick-up oraz leciwy szary buick. Z bagażnika tego drugiego zwisała płachta plastikowej folii.

– Co teraz? – zapytała nerwowo Nora, obgryzając paznokcie.

– Omówmy plan – odrzekłem.

– Plan? – powtórzył ze śmiechem Hopper, nachylając się między naszymi fotelami. – To proste. Porozmawiamy z Morganem Devoldem, żeby sprawdzić, co wie. Chodźmy.

Zanim zdążyłem się odezwać, wysiadł z auta, zatrzasnął drzwi, a potem ruszył przez podwórko. Szary płaszcz zafurkotał na wietrze, gdy Hopper schylił głowę i niespiesznie pomaszerował prosto w stronę domu. Wyglądał jak jakiś ponury bohater z komiksu, który niesie mieszkańcom krwawą zemstę.

– Naprawdę zmartwychwstał, nie ma co – mruknąłem. – Coś ty mu wrzuciła do kawy?

Nora nie odpowiedziała – była zbyt zajęta szarpaniem się z klamką jak niecierpliwa młodsza siostra, która nie chce, żeby brat zostawił ją w tyle. W ciągu kilku sekund wygramoliła się z wozu i pognęła za Hopperem.

Ja postanowiłem poczekać. Niech oni będą zwiadowcami – podrzędnymi szeregowcami, którzy sprawdzają, czy teren nie

jest zaminowany, zanim przybędzie generał.

Słyszeć było wyłącznie ich kroki – cichy chrzęst liści i patyków wśród trawy. Może to kwestia odchodzącej farby, która wyglądała jak łuski, ale dom wydawał się żywy i przypominał jaszczurkę czekającą nieruchomo za drzewami – a jasne okno było jak obserwujące nas oko.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies.

Hopper był już na werandzie, więc wysiadłem z samochodu. Obszedł klimatyzator, odchylił drzwi z siatki i zapukał.

Żadnej reakcji.

Zastukał ponownie i czekał. Podmuch wiatru poniosł po trawie tuman liści.

Nadal nikt nie odpowiadał. Hopper zatrzasnął drzwi z siatki, a potem zeskoczył na rabatkę pełną zeschniętych łądyg. Leżał tam splątany wąż ogrodowy. Chłopak osłonił oczy dłonią i zajrzał w jedno z okien.

– Ktoś jest w domu – szepnął. – W kuchni gra telewizor.

– Co oglądają? – zapytałem cicho.

Przeszedłem nad olbrzymim pniem zwalonego drzewa, minąłem Norę i przyjrzałem się czemuś, co leżało w trawie odwrócone do ziemi. Był to stary pluszowy miś.

– Dlaczego pytasz? – szepnął Hopper i obejrzał się na mnie.

– To nam powie, z jakimi ludźmi mamy do czynienia. Jeżeli to hardcorowe japońskie anime, to mamy problem. Ale jeśli wywiad Barbary Walters...

– Chyba powtórka *Dobrej ceny*.

– Jeszcze gorzej.

Hopper ostrożnie wrócił na werandę i tym razem zauważył zarośnięty brudem przycisk dzwonka. Wcisnął go dwa razy.

Nagle rozległ się zgrzyt otwieranych zamków i przesuwanego łańcucha, a potem drzwi otworzyły się jakby z jęknięciem. Za siatką pojawiła się blondynka w średnim wieku. Miała na sobie workowate szare spodnie od dresu i poplamiony niebieski T-shirt, a jej tlenione włosy spięte były w kucyk.

– Dobry wieczór pani – powiedział Hopper. – Przepraszamy, że niepokoimy w porze kolacji, ale szukamy Morgana Devolda.

Kobieta podejrzliwie zmierzyła go wzrokiem, a potem wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na mnie.

– Czego chcecie od Morgana?

– Tylko porozmawiać – odrzekł Hopper i od niechcienia wzruszył ramionami. – To zajmie zaledwie parę minut. Jesteśmy z Briarwood.

– Nie ma go – odparła obcesowo blondynka.

– Wie pani, kiedy wróci?

Wbiła w niego wzrok.

– Zjeżdżajcie z mojej posesji albo zadzwonię na policję.

Już miała trzasnąć drzwiami, kiedy obok niej zmaterializował się mężczyzna.

– O co chodzi?

Miał łagodny, uprzejmy głos, zupełnie inaczej niż ta kobieta, zapewne jego żona. Był przysadzisty, znacznie niższy od niej i wydawał się młodszy – chyba tuż po trzydziestce. Spraną niebieską koszulę flanelową z podwiniętymi rękawami nosił starannie wpuszczoną w dżinsy. Krótko przystrzyżone brązowe włosy oraz szeroka, czerwona twarz nie czyniły go ani przystojnym, ani nieatrakcyjnym, ale po prostu zwyczajnym. Wyglądał jak milion innych mężczyzn.

– Pan Morgan Devold? – zapytał Hopper.

– Państwo w jakiej sprawie?

– Briarwood.

– Że też nie wstyd wam się tu pokazywać! – odezwała się kobieta.

– Spokojnie, Stace.

– Żadnych kontaktów. Słyszałeś, co prawnik...

– Wszystko w porządku.

– Wcale nie...

– Ja się tym zajmę – przerwał jej stanowczym, podniesionym głosem i nagle gdzieś w głębi domu zaczęło płakać dziecko.

Kobieta zniknęła z progu, ale najpierw rzuciła mu złe spojrzenie.

– Pozbądź się ich – powiedziała.

Morgan – wyglądało na to, że to rzeczywiście on – zrobił krok naprzód i uśmiechnął się przeprasząco. Dziecko zawodziło, a on milczał. Kiedy tak stał za siatkowymi drzwiami, przypomniała mi się ostatnia wycieczka z córką do zoo na Bronksie. Zmartwiona Sam wskazała mi szympansa, który patrzył na nas smętnie zza szyby – z tak głębokim smutkiem, z taką rezygnacją.

– Państwo są z Briarwood? – zapytał mężczyzna niepewnie.

– Niezupełnie – odparł Hopper.

– To o co chodzi?

Hopper wpatrywał się w niego przez sekundę, a potem odpowiedział:

– O Ashley.

Wypowiedział jej imię w zaskakująco wymowny sposób. To było genialne posunięcie – zasugerował, że z Ashley wiązało się jakieś niesamowite przeżycie, którego obaj doświadczyli. Tak niesamowite, że nazwisko jest zbędne. Ashley była więc wspaniałą ukrytą wyspą, sekretnym domem na skalistym urwisku, odwiedzanym tylko przez garstkę uprzywilejowanych. Jeśli Hopper celowo zastawił tę pułapkę, to mu się powiodło, ponieważ na twarzy Morgana natychmiast pojawiło się zrozumienie.

Mężczyzna ukradkiem spojrział przez ramię – popatrzył za żonę, która poszła zająć się dzieckiem – a potem znowu odwrócił się do nas. Uśmiechnął się z miną winowajcy, po czym pchnął palcem wskazującym siatkowe drzwi, tak żeby nie wydały żadnego dźwięku.

– Porozmawiamy na dworze – szepnął.

Poszliśmy za Morganem Devoldem na skraj podwórka i zatrzymaliśmy się wśród gęstych drzew, niedaleko dziecięcego basenu pełnego liści i czarnej wody. Dziecko wciąż płakało, ale gdy znaleźliśmy się dalej od domu, wiatr łagodził ten dźwięk niczym balsam, wplatał go w zimny dreszcz nocy.

– Jak mnie znaleźliście? – spytał Morgan jakby z rezygnacją. Zaczepił kciuki w kieszeniach dżinsów.

– Dzięki pielęgniarce z Briarwood – odparł Hopper.

– Której?

– Nie podała nazwiska – powiedziałem. – Młoda, rude włosy, piegowata.

Skinął głową.

– Genevieve Wilson.

– To pańska koleżanka?

– Niezupełnie. Ale słyszałem, że zrobiła aferę, kiedy mnie wywalili.

– Pracował pan w Briarwood?

Znowu przytaknął.

– W jakim charakterze?

– W ochronie.

– Jak długo?

– Prawie siedem lat. A wcześniej byłem ochroniarzem w Woodbourne. W Briarwood kroił mi się awans. Liczyłem, że zostanę zastępcą kierownika.

Uśmiechnął się smętnie i spojrzał nad moim ramieniem w kierunku swojego domu. Miał skonsternowaną minę, jakby go nie poznawał albo nie pamiętał, jak to się stało, że tu zamieszkał.

– Kim państwo są? – zapytał.

– Prywatnymi detektywami – palnęła Nora z wyraźnym podnieceniem.

Sam Spade właśnie przewrócił się w grobie. Byłem przekonany, że Morgan złapie nas na tym oczywistym kłamstwie, ale on kiwnął głową.

– Kto was wynajął? – spytał poważnie. – Jej rodzina?

Miał na myśli Ashley.

– Pracujemy na własny rachunek – odparłem.

– Wszystko, co pan nam powie, może mieć charakter poufny – dodała Nora.

To chyba także przyjął do wiadomości, wpatrzony w ciemną wodę w basenie. Właśnie wtedy zrozumiałem, że nie obchodzi go, kim jesteśmy. Niektórym ludziom sekret ciąży tak bardzo, że podzielą się nim z każdym, kto zechce ich wysłuchać.

– Stace nic o tym wszystkim nie wie – powiedział. – Myśli, że mnie zwolnili, bo wyszło na jaw, że jesteśmy adwentystami.

– I tak pozostanie – odrzekł Hopper. – Jak pan poznał Ashley?

Ale Morgan już go nie słuchał. Jego uwagę zwróciło coś w basenie. Zmarszczył brwi, odszedł parę kroków, podniósł leżącą na ziemi gałąź i zanurzył ją w wodzie. Zaczął grzebać wśród błota i butwiejących liści.

Rzeczywiście pływało tam coś sporego. Unosiło się tuż nad dnem. Morgan zahaczył je gałęzią i przyciągnął do siebie.

Myślałem, że to jakieś zwierzę, które utonęło w basenie – wiewiórka albo opos. Nora też tak sądziła; patrzyła na mnie z przerażoną miną, kiedy Morgan wyciągał ociekający wodą przedmiot.

To była plastikowa lalka.

Nie miała jednego oka, była na wpół łysa i lała się z niej czarna woda, ale jej pyzata buzia wciąż uśmiechała się maniakalnie. Resztką żółtych włosów lepiła się od liści. Pomarszczoną sukienkę, niegdyś białą, pokrywały teraz czarne plamy. Z szyi, niczym cuchnące główki kalafiora, wyrastał jakiś grzyb. Lalka wyciągała w nicość małe, tłuste rączki.

– Szukałem jej od paru tygodni. Przetrzęsnałem cały dom – wymamrotał Morgan, kręcąc głową. – Kiedy zginęła, córka płakała bez przerwy przez bite trzy dni. Nigdzie tej lalki nie mogłem znaleźć. Zupełnie jakby miała dość i wyszła z domu. Musiałem wytłumaczyć córeczce, że już jej nie ma, że jest w niebie u Pana Boga. A ona cały czas tu pływała.

Zachichotał pod nosem z tej ironii losu. Był to śmiech pełen rezygnacji.

– W jaki sposób Ashley uciekła z Briarwood? – zapytał Hopper. Spojrzeniem dał mi dać znać, że wyczuwa w tym człowieku coś dziwnego.

– Ze mną – odparł zwyczajnie Morgan, wciąż wpatrując się w lalkę.

Hopper kiwnął głową i czekał, aż mężczyzna rozwinie myśl. Ale tamten milczał.

– Jak? – przynaglił go cicho Hopper.

Morgan znów na nas spojrzał, jakby właśnie sobie przypomniał, że tu jesteśmy. Uśmiechnął się smutno.

– Zabawne, że noc, która na zawsze zmieni twoje życie, zaczyna się dokładnie tak samo jak każda inna. – Bezwładnie opuścił rękę z zabawką. Sukienka lalki, którą trzymał za nogę, zwisała jej przez głowę, odsłaniając falbanki bielizny. Czarna woda ciekła na trawę. – Zastępowałem kumpla – powiedział. – Miałem nocną zmianę. Od dziewiątej do dziewiątej. Stace nie cierpiała, kiedy brałem całonocną robotę, ale ja lubiłem wpatrywać się nocą w ekrany. Łatwa praca. Byłem jedynym człowiekiem na zapleczu centrum ochrony. Pacjenci spali, a na korytarzach była taka cisza i spokój, że czułem się jak ostatni człowiek na ziemi. – Odchrząknął. – To było chyba koło trzeciej nad ranem. Niezbyt uważałem. Miałem trochę gazet. Niby nie wolno, ale brałem je ze sobą już milion razy. Nigdy nic się nie działo, tylko czasami pielęgniarki zaglądały do pacjentów z kodem czerwonym.

– Co to jest kod czerwony? – zapytałem.

– Ci ze skłonnościami samobójczymi.

– A kod srebrny? – zapytał Hopper.

– Takich trzyma się oddzielnie, bo mogą zrobić krzywdę sobie albo innym. Miałem służbę przez całą noc. Wszystko było tak jak zwykle. Spokój. No więc przeglądałem sobie gazetę, ale podniosłem głowę i nagle zobaczyłem coś dziwnego na monitorze. Jedną z sal muzycznych w budynku Straffen. Ktoś tam był. Zaraz potem pokazało się inne pomieszczenie.

Monitoring zmienia się co dziesięć sekund. Można przerwać cykl, żeby dłużej oglądać obraz z jednej kamery. Więc przerwałem i wróciłem do sali muzycznej. Zobaczyłem dziewczynę. To była pacjentka, bo miała na sobie białą szpitalną piżamę. Siedziała przy fortepianie. Kamera wisi pod sufitem w rogu pokoju, więc patrzyłem na nią z góry, tak trochę przez ramię. Widziałem tylko chude ręce, które się bardzo szybko poruszały, i ciemne włosy splecione w warkocz. Nigdy wcześniej tej dziewczyny nie widziałem. Zwykle pracowałem na dziennej zmianie, a człowiek z czasem poznaje pacjentów. No to włączyłem dźwięk, podkręciłem głośność... – Zamilkł. Położył dłoń na głowie, jakby nie wierzył w to, co zamierza powiedzieć.

– I co? – zapytałem.

– Przeraziłem się.

– Dlaczego?

– To było zupełnie jak nagranie. Zwykle pacjenci wygrywają proste melodyjki. W pierwszej chwili pomyślałem, że ta dziewczyna to jakiś polter... yy...

– Poltergeist – wtrąciła ochoczo Nora.

– Właśnie. Coś nierealnego. Grała... brutalnie, ze spuszczoną głową, śmigała rękami tak szybko, że aż strach. Potem przyszło mi do głowy, że tracę rozum. Że mam dziwne przywidzenia. Już zamierzałem włączyć alarm, ale jakoś się zawahałem. Dziewczyna skończyła jeden kawałek, zaczęła grać następny i zanim się obejrzałem, to choć trzymałem palec na guziku alarmowym, minęło pół godziny, a potem następne. Kiedy skończyła grać, długo siedziała cicho. A potem bardzo powoli podniosła głowę. Widziałem tylko profil jej twarzy, ale to było tak jakby...

Ponownie zamilkł. Wzdrygnął się.

– Jakby co? – zapytał Hopper.

– Jakby wiedziała, że tam jestem. Że ją obserwuję.

– Jak to? – spytałem.

Morgan spojrział na mnie z powagą.

– Widziała mnie.

– Widziała kamerę pod sufitem?

– To było coś więcej. Wstała, a kiedy była już przy drzwiach, odwróciła się i uśmiechnęła do mnie. – Zawiesił głos, wspominając to z niedowierzaniem. – Nigdy w życiu nie widziałem kogoś takiego jak ona. To był czarnowłosa anioł. Wymknęła się z sali. A ja ją śledziłem. Patrzyłem, jak idzie korytarzem, a potem wychodzi na dwór. Szybko się poruszała. Aż trudno mi było za nią nadążyć na obrazach z różnych kamer. Śledziłem ją, kiedy szła ścieżkami aż do budynku Maudsley. Byłem pewien, że ją złapię, ale weszła do środka, a tam nie wiadomo dlaczego w ogóle nie było strażnika. – Pokręcił głową, jakby sam w to nie wierzył. – Poleciała po schodach tak szybko, jakby stopami nie dotykała ziemi. Wbiegła aż na drugie piętro, a potem do swojego pokoju. W to też nie mogłem uwierzyć. Przecież miała kod srebrny, czyli całą dobę pilnowała jej pielęgniarka. Patrzyłem dalej. Po dwudziestu minutach zobaczyłem strażnika i pielęgniarkę, która opiekowała się drugim piętrem. Wychodzili uśmiechnięci z piwnicy i coś mi mówiło, że nie robili tam prania. Kręcili ze sobą, a dziewczyna jakimś cudem musiała się o tym dowiedzieć. – Zamilkł i wytarł nos. – W pierwszej kolejności wyczyściłem nagrania. I tak nikt ich nie sprawdza, chyba że ktoś zgłosi problem. Ale wyczyściłem na wszelki wypadek. A rano złożyłem wniosek o przydział na nocną zmianę.

– Po co? – zapytał Hopper z oskarżycielską nutą w głosie.

– Musiałem ją znowu zobaczyć. – Morgan nieśmiało wzruszył ramionami. – Chodziła grać na fortepianie każdej nocy. A ja patrzyłem. Ta muzyka... – Najwyraźniej nie potrafił znaleźć słów. – Coś takiego usłyszymy w niebie, jeśli będziemy mieć dość szczęścia, żeby tam trafić. Cały czas mnie ignorowała i tylko na samym końcu na mnie patrzyła. – Morgan uśmiechnął się sam do siebie, rozglądając się po ziemi. – Musiałem się dowiedzieć, kim ona jest. Nie miałem uprawnień, żeby zaglądać do akt pacjentów, ale nic mnie to nie obchodziło. Musiałem wiedzieć.

– Czego się pan dowiedział?

– Że dziewczyna ma lęk przed ciemnością. To się nazywa nykto-coś...

– Nyktofobia? – wypaliła Nora.

– Właśnie. Sprawdziłem w encyklopedii. W ciemności takim ludziom odbija. Zaczynają się trząść. Wpadają w konwulsje. Wydaje im się, że toną i umierają. Czasami mdleją. Albo się zabijają...

– Chwileczkę – przerwałem. – Czy Ashley nie siedziała po ciemku, kiedy ją pan obserwował?

Morgan pokręcił głową.

– W nocy w Briarwood jest jasno. Chodniki i centralny teren są oświetlone ze względów bezpieczeństwa. Światło we wnętrzach uruchamiają energooszczędne czujniki ruchu, więc po drodze zapalały się wokół niej. Niektóre mają opóźnienie. Zacząłem zauważać, że zanim Ashley poszła dalej, czekała, aż włączy się światło. Na dworze trzymała się po jasnej stronie każdego chodnika. Zupełnie jakby nie mogła wejść w cień ze strachu, że się roztopi. Bardzo tego pilnowała.

Zmarszczyłem czoło, usiłując wyobrazić sobie taki sposób poruszania się od jednej plamy światła do drugiej. Przypomniała mi się wspinaczka po schodach przez Wiszące Ogrody aż na dach magazynu w Chinatown – czy było tam dość słabego światła, żeby oświetlić całą drogę? Z kolei nad Zbiornikiem w Central Parku, kiedy pojawiała się i znikwała pod latarniami w tym swoim czerwonym płaszczu, panowały egipskie ciemności.

– Dowiedziałem się jeszcze jednego – mówił dalej Morgan. – Lekarka, która ją leczyła, rozesłała po całym szpitalu okólnik, w którym zakazała jej grać na fortepianie. Podobno to powodowało epizody maniakalne. Ta instrukcja wyszła tego samego dnia, kiedy nocą zobaczyłem Ashley po raz pierwszy. Więc to tak, jakby ona musiała grać. Jakby nic nie mogło jej powstrzymać. – Na chwilę zamilkł. – Kiedy obserwowałem ją ósmej nocy, zauważyłem, że wychodząc z sali, wyjęła coś z kieszeni i na chwilę zatrzymała się nad fortepianem. To wydarzyło się bardzo szybko. Sam nie wiedziałem, co

zobaczyłem. Przewinąłem nagranie i okazało się, że coś tam włożyła. Odczekałem do końca zmiany, a potem poszedłem do budynku Straffen, do sali muzycznej na pierwszym piętrze. Kiedy wszedłem do pomieszczenia, wciąż był tam jej zapach, jej... aura. Perfumy i takie chyba ciepło. Podszedłem do fortepianu i zajrzałem pod klapę. Między struny była wetknięta złożona kartka papieru. Zabrałem ją, ale przeczytałem dopiero wtedy, kiedy byłem bezpieczny w samochodzie.

Zamilkł, wyraźnie niespokojny.

– Co tam było napisane? – zapytałem.

– Morgan! – Trzasnęły siatkowe drzwi. – Co ty tam jeszcze robisz? – Na werandzie pojawiła się Stace z niemowlęciem przy piersiach. Osłaniała oczy przed blaskiem żarówki. Za nią wyszło kolejne dziecko, mała dziewczynka, może czteroletnia, w białej koszuli nocnej, chyba w wisienki. – Oni tu jeszcze są?

– Wszystko w porządku! – zawołał Morgan. Odwrócił się do nas i szepnął: – Zjedźcie podjazdem i zczekajcie tam na mnie, dobrze?

Pobiegł przez trawnik do domu.

– Boże, kazałam ci się ich pozbyć!

– Oni są z działu kadr. Robią ankietę. Zobacz, co znalazłem.

– Ale przecież nie powinniśmy... Co to jest?!

– Mała. Uratowałem ją z basenu.

– Czyś ty oszalał?!

Dziewczynka krzyknęła, na pewno na widok lalki. Nora i Hopper już wracali do samochodu. Ruszyłem za nimi, a gdy wsiedliśmy do auta, Devoldowie weszli z powrotem do domu, ale ich krzyki wciąż były głośniejsze od wiatru.

– To oczywiste, że Morgan zakochał się w Ashley – powiedziała Nora.

– Dziwicie mu się? – odparłem. – Jego żoną jest *To*. Mam tu na myśli książkę Stephena Kinga.

– Dziwak i tyle – stwierdził Hopper.

Odwrociłem się do niego.

– Pamiętasz, żeby nad Sześcioma Srebrnymi Jeziorami Ashley miała nyktofobię?

Wpatrując się we mnie, wydmuchnął przez okno dym z papierosa.

– Na pewno nie.

Siedzieliśmy w samochodzie na końcu podjazdu Devoldów. Czekaliśmy na Morgana już od czterdziestu pięciu minut. Nie licząc blasku moich reflektorów oświetlających nieoznakowaną drogę, która wiła się przed nami wśród gęstych krzewów, panowała tu kompletna ciemność, a okolica była całkiem opustoszała. Nasilił się wiatr. Gwizdał uporczywie, gałęzie nerwowo stukały w przednią szybę.

– Pewnie nie przyjdzie – mruknąłem. – Stace włożyła mi z powrotem kaganiec i zamknęła go w klatce w piwnicy.

– Nie była aż taka zła – stwierdziła Nora, rzucając mi wymowne spojrzenie.

– Pozwól, że wypowiem się jako jedyna osoba w tym samochodzie, która była po mrocznej stronie małżeństwa i przeżyła: jest zła. Przy niej moja eks wygląda jak Matka Teresa.

– Na pewno wróci – wymamrotał Hopper. – Musi.

– Dlaczego?

– Bo aż go skręca, żeby o niej opowiedzieć.

Zgasił papierosa o szybę i wyrzucił go przez okno.

Nagle Nora aż jęknęła na widok Morgana, który pojawił się przed naszymi reflektorami.

Nie wiem, jak to możliwe, że nie usłyszeliśmy jego kroków. Było coś dziwnego w tym, jak stał w tej swojej wyblakłej niebieskiej koszuli, patrzył na nas, niespokojnie mrugając oczami, z głową spuszczoną pod jakimś dziwnym, wstydlwym

kątem. Nikt z nas nie powiedział ani słowa. Coś było nie tak. Ale Hopper i Nora już otworzyli drzwi i właśnie wysiadali. Ja zostałem w aucie, żeby przyjrzeć się temu facetowi jeszcze przez kilka sekund. Mimo że pojawił się nagle, mimo swej upiornej bledkości wydawał się skrępowany – wręcz zraniony.

Wysiadłem. Światła zostawiłem włączone.

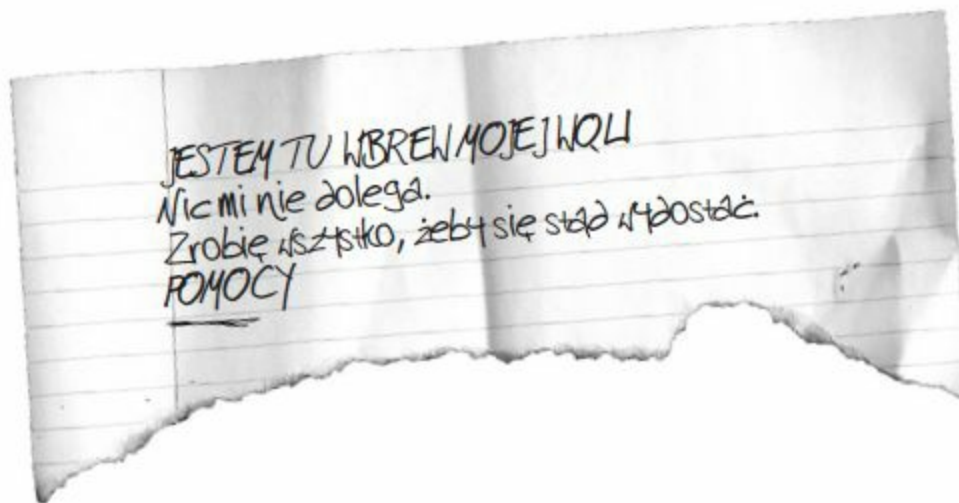
– Mam tylko pięć minut – oznajmił nerwowo Morgan. – Inaczej Stace pójdzie po strzelbę.

To musiał być żart, ale wypowiedziany z niepokojącą powagą.

Morgan zamrugał i podał nam złożoną kartkę.

Hopper natychmiast ją chwycił. Rzucił mężczyźnie podejrzliwe spojrzenie, a potem rozłożył kartkę w blasku świateł. Kiedy skończył czytać, z niezgłębioną miną podał ją Norze, która przeczytała tekst z szeroko otwartymi oczami i przekazała go mnie.

To była kartka wyrwana z notesu w linie.



– Planowanie zajęło mi trzy tygodnie – powiedział Morgan. – Postanowiłem użyć nagranych wcześniej taśm. Chciałem je puścić zamiast sygnału na żywo. Nie zgadzałyby się kod czasowy, ale tego i tak nikt nie sprawdza. Zszedłem do magazynu, gdzie trzymają wszystkie rzeczy osobiste pacjentów, zabrałem to, co

było w szafce Ashley, i schowałem w pudełku u siebie w domu. Miała tylko czerwono-czarny płaszcz. Bardzo elegancki.

– To wszystko? – spytałem, zwróciwszy uwagę na osobliwą szczegółowość tego opisu.

Oczami wyobraźni widziałem, jak Morgan w środku nocy wymyka się z łóżka, po cichu, tak by nie zbudzić Stace, schodzi do mrocznej piwnicy, otwiera kartonowe pudełko i wpatruje się w czerwony płaszcz Ashley – w ten płaszcz.

– Tak – odparł. – Nie miała nic innego.

– Telefonu komórkowego? Torebki?

Pokręcił głową.

– Nie.

– A ubranie?

– Nic. Wiecie, jej ojciec jest sławny. Kręci filmy w Hollywood. Pomyślałem, że chciałyby się ubrać w coś ładnego, więc zostawiłem jej kartkę z pytaniem o rozmiary. Potem wziąłem sobie dzień wolnego, pojechałem do Liberty, kupiłem jej dżinsy, czarne buty i ładny czarny T-shirt z aniołem.

To samo ubranie Ashley miała na sobie, gdy zginęła.

– Kiedy już ustaliłem wszystkie szczegóły – opowiadał dalej Morgan – poszedłem do sali muzycznej i zostawiłem Ashley kartkę między strunami fortepianu. Napisałem, że kiedy będzie gotowa, ma zagrać *Twinkle Twinkle Little Star*. To będzie dla mnie sygnał. Następnego nocy przyjdę po nią o drugiej, gdy strażnik i pielęgniarka będą się bzykać w kotłowni.

– Dlaczego wybrał pan właśnie ten utwór? – zapytałem.

– Grała go już wcześniej. – Morgan się uśmiechnął. – Dlatego mi się z nią skojarzył. Tamtej nocy Stace trafiła do szpitala i została na obserwacji. Musiałem wrócić na dzienną zmianę. Nie widziałem Ashley przez tydzień. Bałem się, że przegapiłem, jak gra tę melodię. Ale pierwszej nocy po moim powrocie na nocną zmianę wpadła do sali muzycznej, a ja zacząłem się bać, bo nie wiedziałem, czy ją zagra. Ale zagrała. Na samym końcu. Wtedy już wiedziałem, że zaczynamy akcję. – Spojrzał na nas. Jasne ogniki rozświetlały jego małe oczy. Wspominając tamte

wydarzenia, był na nowo ożywiony. – Następnej nocy koło pierwszej włączyłem stare nagrania. Potem powiedziałem strażnikowi dyżurnemu, który siedzi przy wejściu, że Stace znowu ma sensacje ciężowe, więc muszę wrócić do domu. Poszedłem prosto do budynku Maudsley. Myślałem, że będę się musiał przemknąć do pokoju Ashley, ale ona już na mnie czekała przed wejściem w tej swojej białej piżamie. Serce waliło mi jak szalone. Denerwowałem się jak cholerny uczeń, bo, wiecie, pierwszy raz widziałem ją na żywo. Wzięła mnie za rękę i razem pobiegliśmy przez trawnik, tak po prostu. – Uśmiechnął się zażenowany. – Czułem się zupełnie tak, jakby to ona prowadziła mnie. Jakby wszystko zaplanowała. Otworzyłem bagażnik, weszła do środka i wyjechaliśmy.

– Ale czy w bagażniku nie było ciemno? – zapytała Nora. – Skoro Ashley miała nyktofobię, toby tam nie weszła.

Morgan uśmiechnął się z dumą.

– Pomyślałem o tym. Zostawiłem w bagażniku dwie latarki, żeby się nie bała.

– Zatrzymali pana przy stróżówce? – zapytałem.

– Jasne. Ale powiedziałem, że żona znowu wymaga pomocy, więc mnie wypuścili. Jak tylko wyjechaliśmy, zatrzymałem się i Ashley wyszła z bagażnika. Przywiozłem ją tutaj, żeby się umyła i przebrała. Oprócz tego musiałem położyć spać córkę. Żona dalej była w szpitalu, więc małą opiekowała się sąsiadka. Zapytałem Ashley, dokąd chce jechać, a ona powiedziała, że na dworzec, bo musi się dostać do Nowego Jorku.

– Mówiła dlaczego? – zapytałem.

– Chyba miała się z kimś spotkać.

– Z kim? – spytał Hopper.

– Nie wiem. Była nieśmiała. Mało mówiła. Tylko na mnie patrzyła. Ale za to polubiła moją córeczkę Mellie. Kiedy rozmawiałem przez telefon ze Stace, przeczytała jej bajkę na dobranoc.

– Dokąd wybierała się w Nowym Jorku? – zapytałem.

– Walford Towers? Coś takiego.

– Powiedziała to panu?

– Nie – odparł z miną winowajcy. – Skorzystała u mnie z internetu. Kiedy była w łazience, sprawdziłem, czego szukała. To była strona jakiegoś hotelu przy Park Avenue.

– Waldorf Towers? – zasugerowałem.

Morgan kiwnął głową.

– Chyba tak. Kiedy się ubrała, włożyła ten czerwony płaszcz. Wyglądała jak najpiękniejsza istota na świecie. Zawiozłem ją na dworzec. Byliśmy tam mniej więcej o czwartej nad ranem. Dałem jej trochę pieniędzy, a potem zostawiłem ją w samochodzie i poszedłem kupić dwa bilety do Grand Central w Nowym Jorku.

– Dwa? – powtórzyłem. Zawstydzony kiwnął głową. – Chciał pan z nią jechać.

Devold wbił wzrok w ziemię.

– Teraz to brzmi jak szaleństwo. Ale ja jestem romantykiem. Myślałem, że pojedziemy razem. Ciągle się do mnie uśmiechała. Tylko że kiedy wróciłem do samochodu z biletami, jej już nie było. Na stację wjechał pociąg. Pobiegnę na peron, ale drzwi już się zamknęły. Biegłem wzdłuż wagonów, szukałem jej w każdym z nich i było mi niedobrze, aż w końcu ją znalazłem. Siedziała przy oknie. Zastukałem. Powoli się do mnie odwróciła. Patrzyła na mnie. Nigdy nie zapomnę tego jej spojrzenia. Do końca życia. – Zgarbił się i przez chwilę milczał. – Nie poznawała mnie.

Westchnął. Miał drżący oddech.

– Wkrótce potem pana zwolnili? – zapytałem cicho.

Kiwnął głową.

– Jak tylko odkryli, że Ashley zniknęła, powiązali wszystko ze mną.

– Kiedy się pan dowiedział, że ona nie żyje?

Zamrugnął.

– Wezwał mnie szef szpitala.

– Allan Cunningham?

– Aha. Mówił, że od strony prawnej nic się nie stanie, o ile podpiszę umowę poufności, w której zapewniam, że działałem

sam, a potem nigdy nikomu o tym nie powiem...

– Morgan! – To znowu była Stace. Jej głos zaskoczył nas wszystkich nie tylko ze względu na przenikliwość, lecz i dlatego, że dobiegł z niedaleka. Nie widzieliśmy jej, ale ciężkie kroki były coraz bliżej. Nadchodziła ciemnym zwirowym podjazdem. – Morgan! Ci ludzie ciągle tu są?

– Lepiej już jedźcie – syknął do nas Morgan.

Zanim zdążyłem go powstrzymać, wyrwał mi kartkę i pognął pod górę.

Ruszyłem za nim.

– Kartka! Chcielibyśmy ją zatrzymać! – zawołałem.

Ale on pędził z niezwykłą prędkością. Ledwo dotrzymywałem mu kroku.

Stace niespodziewanie pojawiła się na szczycie wzgórza. Zamarłem. Nie była co prawda uzbrojona w strzelbę, ale za to w coś jeszcze bardziej przerażającego: w dzieci. Półnagie niemowlę wciąż miała na rękach, a dziewczynka w koszuli nocnej trzymała matkę za rękę i ssała kciuk.

– Już sobie idą – powiedział Morgan. – Pytali o drogę do autostrady.

Objął żonę ramieniem, powiedział do niej coś, czego nie usłyszałem, i pokierował rodzinę z powrotem w stronę domu. Kartkę schował do tylnej kieszeni spodni.

Cholera. Chciałem ją zatrzymać, żeby porównać charakter pisma z tym na kopercie, którą dostał Hopper.

Zniknęli mi z oczu, ale wciąż słyszałem ich kroki wśród liści. Stace mówiła coś ze złością, niemowlę popłakiwało.

Odwróciłem się i ruszyłem w dół podjazdu. Snop reflektorów oświetlał czekających na mnie Hoppera i Norę. Nie uszedłem nawet dziesięciu kroków, kiedy zastukał za mną jakiś kamyk.

Obejrzałem się zaskoczony. Okazało się, że nie jestem sam.

Śledziła mnie ta dziewczynka w nocnej koszuli.

W mroku jej twarz wydawała się zawzięta, a oczy przypominały czarne otwory.

Była bosa. Jej biała koszula nocna wręcz świeciła na fioletowo. Wisienki wyglądały jak drut kolczasty i ogniwa łańcucha. Zobaczyłem też, że dziewczynka trzyma tę przegniłą lalkę – Małą – którą Morgan ekshumował z basenu. Ścisnęła ją w zgięciu ramienia.

W pierwszej chwili poczułem odrazę, a zaraz potem pragnienie, żeby wiać, ile sił w nogach.

Nagle dziewczynka wyciągnęła rękę. Po plecach przebiegł mi dreszcz.

Dłoń miała mocno zaciśniętą w pięść, a spojrzenie zacięte. W palcach trzymała coś czarnego i lśniącego. Niedokładnie widziałem, co to jest, ale chyba miała laleczka.

Zanim zdążyłem zareagować, odwróciła się na pięcie i czmychnęła z powrotem pod górę. Po chwili była tylko białą smugą, która zniknęła za szczytem wzniesienia.

Stałem nieruchomo, wpatrzony w puste wzgórze. Nie wiedzieć czemu wyczuwałem, że dziewczynka znów się pojawi.

Nie pojawiła się. Panowała jednak dziwna cisza.

Nie było słychać ani ostrego głosu Stace, ani płaczu dziecka, ani kroków, ani stukotu zatraskiwanych drzwi z siatki. Tylko wiatr przeciskał się wśród krzewów.

Zamilkł nawet ten samotny pies w oddali.

Odwróciłem się i resztę drogi do samochodu pokonałem truchtem.

– Co to było? – zapytał Hopper.

– Poszła za mną ta jego córeczka.

Otworzyłem drzwi auta, wsiadłem i już po kilku minutach pędziliśmy z powrotem po Benton Hollow Road. Nora i Hopper nic nie mówili, ale przypuszczałem, że wszyscy troje odetchnęliśmy z ulgą, gdy oddaliliśmy się od Devoldów.

– Właśnie takie są skutki ślubu z niewłaściwą kobietą – powiedziałem. – Żona nadaje klimat życiu mężczyzny. Jeżeli facet nie ma głowy na karku, szybko może się okazać, że do końca życia będzie słuchał Michaela Boltona ze skrzeczących głośników. Trudno mu się dziwić, że chciał uciec.

– Totalny nieudacznik – stwierdził Hopper z tylnego siedzenia.

– Tak też można to ująć.

Rozmawialiśmy na temat Morgana Devolda oraz wszystkiego, czego dowiedzieliśmy się o Ashley w Briarwood. Jechaliśmy już autostradą, do miasta zostało tylko kilka minut.

To właśnie było piękne w Nowym Jorku: mogłeś spędzić parę nerwowych godzin na rolniczej prowincji, gdzie mieszkają dziwne rodziny, a pielęgniarki rzucają ci się pod koła, ale kiedy tylko zbliżałeś się do Manhattanu i spojrzalesz na tę najeżoną wieżowcami linię horyzontu – a potem na gościa, który właśnie zajechał ci drogę w odpicowanym nissanie i puszczał meksykańską polkę na cały regulator – od razu wiedziałeś, że na świecie wszystko jest w porządku.

– Ash go wykorzystała – mówił dalej Hopper, nie podnosząc wzroku znad telefonu, który bzyczał od przychodzących bez przerwy SMS-ów. – Miała świadomość, że obserwuje ją ktoś z ochrony. Więc uznała, że to najlepsza szansa na ucieczkę.

– A co z tym jej strachem przed ciemnością? – zapytałem, zerkając na Norę. – I przy okazji, skąd znasz taki termin: nyktofobia?

Dziewczyna odpięła te swoje długie warkocze, a teraz nieobecny wzrokiem wpatrywała się w okno, rozplątując końcówki.

– Terra Hermosa – powiedziała. – Pewien jegomość z pierwszego piętra, Ed, w kółko recytował listę fobii i chwalił się tymi, które ma. Nyktofobii nie miał, ale za to automatonofobię.

– Co to takiego?

– Lęk przed lalkami brzuchomówców. Przed wszystkim, co ma woskową twarz. Poszedł do kina na *Avatara* i wylądował w szpitalu.

– Lepiej niech się trzyma z dala od Upper East Side.

– Bzdura – stwierdził Hopper, odgarniając włosy z oczu. – Ash wcale się nie bała ciemności. Pewnie po prostu odstawiła teatr przed lekarzami, żeby dali jej spokój.

– A to, jak patrzyła na Morgana z pociągu? – zapytała Nora. – Może rzeczywiście go nie poznała. Może miała amnezję? Chwilową utratę pamięci?

– Nie – odparł Hopper. – Morgan odegrał swoją rolę, więc przestał być jej potrzebny. To wszystko.

– Jeszcze jedna rzecz mnie niepokoi – odezwała się ponownie Nora.

– Tylko jedna? – wtrąciłem.

– Morgan powiedział, że Ashley przeczytała jego córce bajkę na dobranoc.

– I co z tego?

– Obcej osoby, która właśnie uciekła ze szpitala psychiatrycznego, nie zostawia się samej ze swoim dzieckiem. Prawda?

– Facet raczej nie wygra w konkursie na Ojca Roku. A ta narzeczona laleczki Chucky, którą wyłowił z basenu? „Mała”. Nie wspominając już o dziewczynce, która śledziła mnie na podjeździe. Jak dorośnie, przyda jej się długi pobyt w Briarwood.

Nora przekrzywiła głowę.

– Chyba Morgan nie skrzywdził Ashley, prawda? Kiedy zabrał ją do domu, żeby się przebrała... Jakoś tak to opisywał, że aż mnie przeszły dreszcze.

– Nawet jej nie dotknął – wtrącił Hopper.

– Skąd wiesz? – Nora odwróciła się do niego.

– Bo gdyby spróbował, byłby teraz solidnie okaleczony.

Zerknąłem na Hoppera w lusterku wstecznym, zaskoczony tonem jego głosu. Patrzył przez okno, światła przejeżdżających aut złościły mu twarz. Przez ostatnie kilka godzin przekonałem się między innymi o tym, że jego wiedza o Ashley – o Ash, jak ją nazywał – wykracza poza przygodną znajomość sprzed lat, o jakiej opowiadał. Albo znał ją lepiej, niż mówił, albo kiedyś

uważnie obserwował, może nawet z daleka, tak jak Devold. Kusilo mnie, żeby przycisnąć go w tej sprawie, zmusić, żeby przyznał, że nie był szczery, ale postanowiłem tego nie robić – przynajmniej chwilowo. Pewnie tylko spojrzalby na mnie spode łba i wszystkiemu zaprzeczył, więc nic by mi to nie dało.

Zerknałem na zegar na desce rozdzielczej. Była 21.42.

– Gdzie was wysadzić? – zapytałem.

Nora odwróciła się do mnie.

– Jeszcze nie skończyliśmy. Musimy jechać do tego hotelu, do Waldorfa, i zapytać, czy ktoś ją widział. Morgan mówił, że tam się wybierała. Więc trzeba to sprawdzić.

– Dobry plan – mruknął Hopper, spoglądając mi w oczy w lusterku wstecznym.

– Mała szansa, że się czegoś dowiemy – odparłem. – Ale dobra. Pojedźmy tam.

Podobnie jak większość nowojorczyków robiłem, co mogłem, żeby unikać hotelu Waldorf Astoria. Był jak bardzo bogata, bardzo duża, dzięki Bogu mieszkająca bardzo daleko cioteczna babka, która ma trzy tłuste podbródki, nosi taftę i jest tak apodyktyczna, że nawet nie po jednym spotkaniu, ale samej wzmiance na jej temat masz dość na następne piętnaście lat.

Jeśli jednak zdecydowałeś się wejść do środka przez drzwi obrotowe w stylu art déco, minąłeś biznesmenów z Milwaukee i grupkę unitarian, odsapnąłeś, a potem precyzyjnie się przez tłum na wyłożonych dywanem schodach, przepchnąłeś się obok kolejki do Starbucksa oraz kobiety, która przejechała ci walizką po butach, to od razu uderzał cię nadęty przepych tego miejsca. Te sklezione sufity. Te palmy. Te złocone zegary. Te marmury. Jeśli właśnie odbywało się wesele – a zwykle się odbywało, państwo młodzi to Bobby i Marci z Massapequa na Long Island – wówczas w holu wrzało jak w sali gimnastycznej na balu maturalnym.

Hopper i Nora szli za mną przez hol. Ominęliśmy wieloosobową rodzinę w identycznych bluzach Boston Red Sox i skierowaliśmy się ku dyskretnym drewnianym drzwiom oznaczonym malutką złotą tabliczką z napisem WALDORF TOWERS – tak subtelną, że ewidentnie miała pozostać niezauważona.

Przemaszerowałem korytarzem do wind, wsiadłem do jednej z nich, a Nora i Hopper zaraz za mną.

– Nieźle się tu orientujesz – powiedziała Nora, kiedy wcisnąłem przycisk.

Niestety miała rację.

Waldorf Astoria tylko odwracało uwagę od tej części hotelu, w której zatrzymywały się ważne osoby, czyli bardziej ekskluzywnych Waldorf Towers, ulubionego hotelu prezydentów, księcia i księżnej Windsoru, saudyjskich książąt, a także różnych rozrzutnych biznesmenów z Wall Street

spotykających się tu z kochankami. Niestety, ja poznałem to miejsce mniej więcej w ten ostatni sposób.

Nie byłem z tego dumny – a już na pewno nikomu bym tego nie polecał – ale wkrótce po rozwodzie wmotalem się na upiorne sześć miesięcy w romans z mężatką. Tutaj, w Waldorf Towers, spotkałem się z nią szesnaście razy, ale dopiero po tym, jak zaczęła przysyłać mi mejle z opiniami w tonie rozgoryczonego szefa. Oznajmiła, że pierwsze miejsce, które wybrałem na nasze schadzki, zwyczajny hotel Fitzpatrick Manhattan przy Lexington Avenue, na który naprawdę było mnie stać – oddana klientela mówiła o nim „Fitz” – znajduje się zbyt blisko jej biura, w pokojach jest za mało światła, pościel śmierdzi, a recepcjonista dziwnie się na nią spojrział, kiedy zaproponował jej pomoc z wniesieniem walizek, a ona powiedziała, że nie ma bagażu, bo przyszła tylko na czterdzieści pięć minut.

Drzwi windy się otworzyły i wyszliśmy do holu Waldorf Towers – małego, eleganckiego i zupełnie pustego.

Ruszyliśmy za róg do recepcji, gdzie za ladą stał samotny młody człowiek o bliskowschodnich rysach. Był wysoki, szczupły, miał ciemne oczy. Na identyfikatorze widniało imię Hashim.

Związłem się przedstawiłem.

– Mamy nadzieję, że nam pan pomoże – mówiłem dalej. – Szukamy informacji o zaginionej kobiecie. Wydaje nam się, że była tu w zeszłym miesiącu.

Recepcjonista zrobił zaintrygowaną minę. Na szczęście nic nie wskazywało na to, że chce pójść po kierownika.

– Mógłby pan spojrzeć na jej fotografię? – zapytałem.

– Oczywiście. – Miał pogodny, miły głos z nutką brytyjskiego akcentu.

Wyjąłem zgłoszenie zaginięcia Ashley z wewnętrznej kieszeni kurtki, złożyłem je tak, żeby widoczne było tylko zdjęcie, i podałem kartkę recepcjoniście.

– Kiedy tu była? – zapytał.

– Kilka tygodni temu.

Oddał mi fotografię.

– Przykro mi, nigdy jej nie widziałem. Oczywiście trudno to stwierdzić z samego zdjęcia. Jeśli państwo chcą, mogę je skserować i powiesić na zapleczu. Może ktoś inny ją pamięta.

– Nie zgłoszono nic niezwykłego?

– Nie.

– Czy filmujecie hol?

– Tak, ale nie możemy udostępnić nagrań bez nakazu. Rozumiem, że kontaktowali się państwo z policją?

Skinąłem głową. Hashim nieskazitelnym uśmiechem dał wyraz pięciogwiazdkowego żalu, że nie może mi bardziej pomóc – i że powinniśmy już sobie iść.

– Pewnie miała na sobie to – powiedziała Nora, wyciągając z torby złożony płaszcz Ashley. Położyła go na skórzanej podkładce na ladzie.

Recepcjonista spojrział na płaszcz i już miał pokręcić głową, gdy nagle coś go powstrzymało.

– Poznaje pan – stwierdziłem.

Miał zmieszana minę.

– Nie. Ale jedna z pokojówek zgłosiła zajście. To było jakiś czas temu. Chyba chodziło właśnie o osobę w czerwonym płaszczu. Pamiętam to dlatego, że sprawa powtórzyła się dziś rano. Ta sama pokojówka odmówiła sprzątnięcia jednego z pięter. Był kłopot, bo mamy komplet gości.

Hashim podniósł głowę i zobaczył, że wszyscy troje z przejęciem pochylamy się nad ladą.

Zaniepokojony zrobił krok do tyłu.

– Może zostawią państwo numer telefonu, żeby skontaktował się z państwem mój kierownik?

– Nie mamy czasu czekać na kierownika – odparł Hopper. Odepchnął Norę i zbliżył się do Hashima. – W przypadku zaginięcia liczy się każda minuta. Musimy porozmawiać z tą pokojówką. Wiem, że to oznacza nagięcie kilku przepisów, ale... – Uśmiechnął się. – Bylibyśmy wdzięczni.

To ja, jeszcze w samochodzie, zaproponowałem wersję, że Ashley zaginęła, a nie straciła życie. Wiedziałem z doświadczenia, że gdy chodzi o osoby zaginione, ludzie są bardziej skłonni do pośpiechu i chętni do pomocy. Najwyraźniej strategia podziałała. A może to tylko zasługa atrakcyjności Hoppera, podkreślonej do maksimum i wycelowanej wprost w recepcjonistę, ponieważ Hashim wpatrywał się w niego o kilka sekund za długo. W jego oczach przez moment dostrzegłem męskie pożądanie, jednoznaczne jak sygnał świetlny tankowca do drugiego statku. Mężczyzna podniósł słuchawkę, przytrzymał ją brodą i prędko wybrał numer.

– Sarah, tu Hashim z recepcji. To zajście, które parę tygodni temu zgłosiła Guadalupe Sanchez. Była mowa o czerwonym płaszczu, prawda? Czy to nie właśnie... aha. – Zamilkł i słuchał. – Ma dziś jeszcze dyżur? – Znowu słuchał. – Dwudzieste dziewiąte. Dobrze, dziękuję.

Rozłączył się.

– Proszę ze mną – powiedział i rzucił krótki uśmiech Hopperowi.

Weszliśmy za Hashimem do windy. Włożył białą kartę kodową do czytnika i wcisnął przycisk 29.

Wznosiliśmy się w milczeniu i tylko co jakiś czas Hashim zerkał przelotnie na Hoppera wpatrzonego w swoje trampki. Nie rozumiałem, o co chodzi w tej niemej komunikacji, ale działało: drzwi się otworzyły i recepcjonista szybkim krokiem ruszył przez kremowy korytarz.

Na końcu stał wózek pokojówki. Udaliśmy się w tamtą stronę, a Nora została nieco z tyłu, żeby obejrzeć czarno-białe fotografie na ścianach – portrety Franka Sinatry i królowej Elżbiety.

Kiedy zatrzymaliśmy się obok wózka, Hashim mocno zapukał do uchylonych drzwi z numerem 29T.

– Pani Sanchez?

Pchnął drzwi. Weszliśmy za nim do pustego salonu apartamentu. Były tam niebieskie kanapy i niebieski dywan, a ścianę pokrywało wymyślne malowidło przedstawiające greckie kolumny oraz boginię o niebieskiej skórze.

Hashim przeszedł przez wnękę kuchenną, a my troje w ślad za nim.

Dotarliśmy do sypialni, gdzie drobniutka srebrnowłosa kobieta właśnie słała łóżko. Była pochodzenia latynoskiego i miała na sobie szary strój pokojówki. Nie zareagowała na nasze wejście, ponieważ słuchała muzyki z miętowozielonego iPoda przypiętego do ramienia.

Obeszła łóżko, wtykając prześcieradło pod materac, i wtedy nas zobaczyła.

Wrzasnęła przeraźliwie, zasłoniła usta dłonią, wybałuszyła oczy.

Myślałby kto, że wmaszerowaliśmy tam zakapturzeni i z kosami w rękach.

Hashim po hiszpańsku przeprosił ją za najście, a ona – Guadalupe Sanchez, jak się domyśliłem – wyjęła słuchawki z uszu i odpowiedziała mu coś chrapliwym głosem.

– Jak u państwa z gwatemalską odmianą hiszpańskiego? – zapytał pogodnie Hashim.

– Średnio – odparłem.

Nora i Hopper pokręcili głowami.

– W takim razie postaram się tłumaczyć.

Odwrócił się służbiście do pokojówki i wypalił coś doskonałą hiszpańszczyzną.

Kobieta słuchała go z zainteresowaniem. Co jakiś czas odrywała wzrok od Hashima, żeby przyjrzeć się nam. Raz – pewnie wtedy, gdy wyjaśniał, po co przyszliśmy – zaczęła kiwać głową niemal czołobitnie i szeptać: *Sí, sí, sí*. Potem obesza łóżko i powoli, nerwowo zbliżyła się do nas, jakbyśmy byli trójką byków szykujących się do szarży.

Kobieta miała okrągłą dziewczęcą twarz z pulchnymi policzkami niemowlęcia, ale karmelowa skóra była tak pomarszczona, że wglądała jak papierowa torba, którą ktoś zwinął w kulkę, a potem wyprostował.

– Proszę pokazać jej to zdjęcie – powiedział Hashim.

Wyjąłem je z kieszeni płaszcza.

Zanim pokojówka wzięła ode mnie fotografię, ostrożnie rozłożyła okulary i umieściła je na czubku nosa. Powiedziała coś po hiszpańsku.

– Poznaje ją – poinformował Hashim.

Nora, która od paru chwil zmagala się z płaszczem Ashley w torbie z delikatesów, wreszcie go wytrząsnęła i uniosła za ramiona.

Pokojówka raz na niego spojrzała i zamarła. Coś wyszeptała.

– Sądzi, że już go widziała – rzekł Hashim.

– Sądzi? – powtórzyłem. – Wygląda na dość przekonaną.

Uśmiechnął się niezręcznie, po czym odwrócił się do kobiety i zadał jej jakieś pytanie. Odpowiedziała poważnym, niskim głosem, łypiąc na płaszcz Ashley, jakby zaraz miał ożyć. Hashim przerwał jej, żeby o coś spytać, a ona odpowiedziała wzburzona i odsunęła się od płaszcza na kilka kroków. Mówiła przez kilka minut, chwilami tak dramatycznie, jakby była aktorką z wenezuelskiej telenoweli. Usiłowałem przebić się przez

strumień hiszpańskich słów, by rozpoznać jakiś znajomy wyraz. I nagle rozpoznałem.

Chaqueta del diablo. Płaszcz diabła.

– No i? – spytałem Hashima, kiedy pokojówka skończyła, a on nie kwapił się z tłumaczeniem.

Wydawał się poirytowany.

– To było parę tygodni temu – powiedział. – O piątej rano. Była na trzydziestym piętrze, zaczynała poranną zmianę. – Guadalupe bacznie mu się przyglądała. Uśmiechnął się blado. – Właśnie otworzyła jeden z pokoi, kiedy zauważyła coś na końcu korytarza. Nie widziała, co to jest, bo okulary zostawiła w domu. Widziała tylko kulę czerwieni. Myślała, że to walizka. – Odchrząknął. – Trzy kwadranse później, kiedy skończyła sprzątać pokój, wyszła na korytarz, a to niewyraźne czerwone coś wciąż tam było. Ruszało się. Guadalupe podjechała z wózkiem w tamtym kierunku i okazało się, że to młoda kobieta. Ta z państwa zdjęcia. Kucała na ziemi i opierała się o ścianę. Miała na sobie ten płaszcz.

– Coś jeszcze? – spytał Hopper.

– Niestety to wszystko.

– Czy pani Guadalupe z nią rozmawiała? – zapytałem.

– Nie. Próbowwała ją obudzić, ale dziewczyna była pogrążona w narkotycznym stuporze. Lupe pobiegła zawiadomić ochronę. Kiedy wrócili, dziewczyny już nie było. Więcej się tu nie pojawiła.

– Czy pani Guadalupe pamięta konkretną datę? – spytałem. – To by nam bardzo pomogło.

– Nie pamięta. To było parę tygodni temu.

Guadalupe uśmiechnęła się do mnie smutno, a potem chyba coś sobie przypomniała, bo dodała kilka słów i wyciągnęła prawą rękę. Wykonała nią dziwny gest, ułożyła dłoń w pazur – jakby łąpała w powietrzu niewidzialną gałkę drzwi. Potem wskazała swoje lewe oko i nerwowo pokręciła głową.

– Co teraz mówi? – zapytałem.

– To przeżycie bardzo nią wstrząsnęło – odparł Hashim. – W naszych korytarzach rzadko trafiają się nieprzytomni

włóczędzy. A teraz, jeśli państwo pozwolą, przestańmy przeszkadzać Lupe w pracy.

Jego pięciogwiazdkowy standard obsługi klienta pogorszył się mniej więcej do jednej gwiazdki. Nawet Hopper nie mógł go przekonać do kontynuowania rozmowy. Co więcej, recepcjonista chyba celowo na niego nie patrzył.

– Na dole napomknął pan, że dziś rano odmówiła posprzątania przydzielonego piętra – przypomniałem. – O co chodziło?

– Ta dziewczyna ją wystraszyła. Musimy wracać do recepcji. Dalsze pytania powinni państwo kierować bezpośrednio do policji. – Dodał jeszcze kilka słów do Guadalupe, a potem pomaszerował do wyjścia.

Nora, nerwowo obserwowana przez pokojówkę, wepchnęła płaszcz do torby. Hopper i ja poszliśmy za nią, choć kiedy Hashim wyszedł z pokoju, ja ukradkiem skoczyłem z powrotem do sypialni.

Chciałem zostać przez moment sam na sam z Guadalupe. Liczyłem, że powie coś, co przetłumaczę później. Zastałem ją w łazience, przed umywalką z różowego marmuru. Przeglądała się w lustrze. Miała tak spanikowaną minę, aż byłem w szoku. Zobaczyła moje odbicie i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

– Proszę pana – warknął Hashim za moimi plecami. – Proszę stąd wyjść albo wezwąć ochronę.

– Chciałem tylko podziękować pani Guadalupe za pomoc.

Zerknąłem na nią po raz ostatni – Hashim ją wystraszył i teraz pochylała się nad wanną odwrócona do mnie plecami – a potem wyszedłem za recepcjonistą.

- Dalszej pomocy udzieli państwu policja – powiedział Hashim, gdy wyprowadził nas na Wschodnią Pięćdziesiątą.
- Powodzenia.

Patrzył, jak skręcamy w Park Avenue przy kościele Świętego Bartłomieja, potem powiedział coś do portiera – na pewno poinstruował go, żeby zawiadomił ochronę, gdybyśmy wrócili – i zniknął w środku.

Minęła już jedenasta, była zimna, jasna noc. Po Park Avenue pędziły taksówki i inne samochody, ale szerokie chodniki ciągnące się na północ były ciche i wyludnione. Olbrzymie budynki wydawały się teraz tylko pustymi katedrami na tle nieba. Mimo dużego ruchu czułem się samotny. Przed wejściem do kościoła leżały ciemne, nieruchome kształty ludzi w workowatych płaszczach. Spali na kartonowych pudełkach. Byli jak wieloryby zaskoczone przez nagle cofającą się falę, która zostawiła ich na schodach świątyni.

- Co myślisz? – zapytała mnie Nora.

- O Lupe? Trochę dramatyzowała, ale na pewno mówiła prawdę. A przynajmniej swoją wersję prawdy.

- Co mogła robić Ashley na trzydziestym piętrze? Dlaczego tam spała?

- Może u kogoś mieszkała. Nie miała klucza. Albo miała się z kimś spotkać.

- Widziałeś, jak pokojówka patrzyła na płaszcz? Jakby miał się na nią rzucić.

- Nazwała go płaszczem diabła. Hashim nie raczył o tym wspomnieć.

- Nie raczył wspomnieć o wielu rzeczach – wtrącił Hopper. Jeszcze przed chwilą zerkał w stronę wejścia do hotelu, ale teraz podszedł do nas, grzebiąc w kieszeniach płaszcz. – A połowę zmyślił.

- Więc jednak znasz hiszpański – powiedziałem.

- Mieszkałem w Caracas od siódmego roku życia. Później przez rok włóczyłem się po Argentynie i Peru.

Oznajmił to od niechcienia, wystukując papierosa z paczki, a potem odwrócił się plecami do wiatru, żeby go zapalić.

– Jak Che Guevara w *Dziennikach motocyklowych*? – zapytała Nora.

– Niezupełnie. To było piekło. Ale dobrze, że na coś się przydało. Na przykład, żeby wiedzieć, kiedy ktoś mnie nabiera.

Delikatnie mówiąc, byłem zaskoczony. Nie przypuszczałem, że chłopak jest dwujęzyczny. Potem jednak przypomniało mi się coś, o czym wspomniał, gdy opowiadał o Sześciu Srebrnych Jeziorach: „Jeździłem z matką po Ameryce Południowej, bo wkręciła się w jakiś posrany misjonarski kult. W końcu stamtąd spierdoliłem”.

– Chciałem sprawdzić, czy koleś jest w porządku. Nie był. – Hopper wydmuchnął długą strugę dymu. – Od razu mi się nie spodobał.

– Za to ty wyraźnie spodobałeś się jemu.

Nie zareagował, jakby znudzony tą uwagą.

– Więc co tak naprawdę powiedziała ta pokojówka? – zapytałem.

– Trochę trudno było nadażyć, bo mówiła w gwatemalskim dialekcie. A na dodatek miała nasrane pod kopułą.

– Jak to? – spytała Nora.

– Wierzyła w duchy, zjawy i tak dalej. Że niby fruwały wokół nas jak pyłki kwiatów. Przez dobre piętnaście minut nawijała, że wywodzi się z rodu *curanderas*.

– Co to takiego? – zainteresowałem się.

– Jakieś ludowe pieprzenie. W zasadzie to nawet o nich słyszałem. Szamanki, które leczą ciało i umysł. Cudowne rozwiązanie każdego problemu.

– O czym kłamał recepcjonista?

– Mówił prawdę, że sprzątaczką zastała Ashley na trzydziestym piętrze. Ale od momentu, kiedy ruszyła z wózkiem przez korytarz, zaczął zmyślać. Tak naprawdę kobieta nazwała Ashley *esprítu rojo*, czerwonym duchem. W ogóle nie myślała, że tam siedzi człowiek, tylko jakaś zbląkana dusza uwięziona

między życiem a śmiercią. Im bliżej podchodziła, tym mocniej coś czuła, jakby zmianę grawitacji. Powiedziała, że kiedy przed nią przykucnęła, Ashley była *inconsciente*. Nieprzytomna. Ale nie od narkotyków. Nazwała ją *una mujer de las sombras*. Kobieta cieni. – Hopper wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia, co to znaczy. Dotknęła jej i okazało się, że Ashley jest zimna jak lód. Potrząsnęła nią, a wtedy Ashley otworzyła oczy i sprzątaczką zobaczyła, że patrzy na nią *la cara de la muerte*. Twarz śmierci. – Zamilkł i rozmyślał. – Powiedziała, że Ashley była naznaczona – dodał.

– W jaki sposób?

– Przez diabła. Mówiłem wam, że babka jest nienormalna. Opowiadała coś o drugiej źrenicy w lewym oku, o jakichś bzdetach, i że to... – Rzucił papierosa na ziemię. – Nazwała to *huella del mal*. – Zdeptał peta obcasem, a kiedy podniósł wzrok, miał taką minę, jakby zaskoczyły go nasze twarze pełne wyczekiwania, aż przetłumaczy. – To znaczy odcisk zła.

– To dlatego wskazywała na lewe oko – zrozumiałem.

Oniemiała Nora wpatrywała się w Hoppera. Mocniej zwinęła torbę z płaszczem Ashley, jakby chciała się upewnić, że cała *aura negativa* zostanie w środku.

– Co było potem? – spytałem. – Guadalupe dostała stygmatów na dłoniach?

– Przestraszyła się, pobiegła do sutereny, wzięła swoje rzeczy, a resztę dnia spędziła w kościele. Wcale nie wezwała ochrony i właśnie dlatego Hashim się wkurzył. Złamała protokół, który obowiązuje pokojówki. Uznał, że Ashley to jakaś bezdomna, i zapowiedział Guadalupe, że porozmawia z jej szefem o tym, jak się zachowała. Więc ostatecznie chyba narobiliśmy babce kłopotów.

To miało sens. Kiedy sprzątaczką przeglądała się w lustrze z tą dziwną miną, na pewno bała się, że straci pracę.

Teraz Hopper zachowywał się nonszalancko, jakby całe zajście było tylko nieistotnym epizodem. Wyjął telefon z kieszeni i przeglądał wiadomości.

– Muszę spadać – powiedział. – Spikniemy się później.

Rzucił nam niedbały uśmiech, odwrócił się i wyszedł na jezdnię.

Chociaż po Park Avenue pędziły w naszą stronę samochody, on biegł truchtem tuż przed nimi, jakby ich nie widział albo miał w nosie, czy go potrąca. Jakaś taksówka zahamowała i zatrąbiła, ale wcale się tym nie przejął. Wskoczył na pas dzielący ulicę, poczekał, aż przejadą auta zmierzające w przeciwnym kierunku, a potem pognął na drugą stronę. Nora i ja patrzyliśmy na to w milczeniu.

Nora nie chciała, żebym zawiózł ją do domu, ale nalegałem, więc poprosiła, żebym podrzucił ją na róg Dziewiątej Alei i Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy.

Po drodze oboje milczeliśmy.

Mieliśmy za sobą, delikatnie mówiąc, długi dzień. Nie jadłem nic oprócz żelków i chrupek. Hopper kopcił papierosa za papierosem, więc nabawiłem się tępego bólu głowy. Wszystko, czego dowiedzieliśmy się na temat Ashley – jej ucieczki z Briarwood i tego, co rzekomo widziała pokojówka – było jeszcze zbyt świeże, by o tej godzinie ułożyć to w logiczną całość. Mój bezpośredni plan przedstawiał się następująco: wrócić do domu, nalać sobie drinka, iść spać, a potem sprawdzić, jak to wszystko wygląda rano.

Skreśliłem w Dziewiątą Aleję i zatrzymałem się przed koreańskimi delikatesami.

– Dzięki za podwózkę – powiedziała Nora.

Chwyciła pasek torebki i otworzyła drzwi.

– Nie byłeś dzisiaj w pracy. W Four Seasons.

– Oj, nie. Wczoraj był mój ostatni dzień. Stała dziewczyna wróciła z macierzyńskiego. Jutro zaczynam pracę jako kelnerka w restauracji Mars 2112.

– Gdzie mieszkasz?

– Tam. – Niejasnym gestem wskazała przez ramię. – No to do zobaczenia.

Z uśmiechem dźwignęła torbę, zatrzasnęła drzwi i odeszła chodnikiem.

Nie ruszyłem się z miejsca. Po jakichś dziesięciu metrach odwróciła się – na pewno po to, żeby sprawdzić, czy nadal tam jestem – a potem poszła dalej.

Do zobaczenia.

Wyjechałem na ulicę i zatrzymałem się na czerwonym świetle. Nora dalej maszerowała ulicą, ale zwolniła i znowu spojrzała przez ramię. Chyba mnie zauważyła, bo natychmiast wskoczyła po schodkach do najbliższego paskudnego budynku.

Jezu Chryste. Sartre wcale nie żartował, kiedy pisał, że piekło to inni.

Zapaliło się zielone światło. Wcisnąłem gaz do dechy, chcąc zdążyć na prawy pas, ale natychmiast zajechał mi drogę autobus przegubowy. Kierowca jak zwykle prowadził go tak, jakby jechał smartem, a nie cholerną stonogą na kółkach. Zahamowałem, żeby go przepuścić, a potem skręciłem w Pięćdziesiątą Pierwszą, następnie w Dziesiątą Aleję, a wreszcie w Pięćdziesiątą Drugą.

Zatrzymałem się za ciężarówką i natychmiast zauważyłem Norę.

Siedziała na schodkach tego samego domu, do którego rzekomo weszła, i sprawdzała coś na komórce. Po minucie wstała, ukradkiem zerknęła w kierunku miejsca, gdzie ją wysadziłem, a gdy zobaczyła, że odjechałem, zeskoczyła ze schodków i ruszyła z powrotem na róg.

Wyjechałem na ulicę. Kiedy dotarła do delikatesów, minęła rzędy świeżych kwiatów, powiedziała coś do starszego faceta, który tam siedział, i weszła do środka.

Znowu zaparkowałem, żeby na nią zaczekać. Po minucie wyłoniła się z tymi dwiema olbrzymimi siatami z apteki, które miała w Pom Pom Diner, a także – o dziwo – z dużą, okrągłą, drucianą klatką dla ptaków pomalowaną na biało.

Z całym tym bagażem przeszła na drugą stronę ulicy. Ruszyła w kierunku południowym.

Poczekalem na zielone światło i skręciłem w prawo. Patrzyłem, jak Nora przedziera się przez chodnik. Zwolniłem, żeby jej nie minąć – jakiś taksówkarz za mną zaczął trąbić – i zobaczyłem, jak zatrzymuje się przed malutką, wąską witryną. Na szyldzie znajdował się napis PAY-O-MATIC. Wcisnęła guzik, poczekała chwilę i zniknęła w środku.

Przyspieszyłem i od razu skręciłem w Pięćdziesiątą Pierwszą, gdzie zaparkowałem obok hydrantu. Zamknąłem samochód, po czym wróciłem na Dziewiątą Aleję.

Szklaną wystawę PAY-O-MATIC pokrywały wywieszki z napisami WESTERN UNION, SPIENIEŻANIE CZEKÓW, USŁUGI FINANSOWE 24H. Sklepik był maleńki, wewnątrz leżała brązowa

wykładzina i stało kilka składanych krzeseł, a na podłodze piętrzyły się pudełka. Pod ścianą w głębi znajdowało się okienko kasjera z kuloodporną szybą.

Przycisnąłem guzik dzwonka. Po mniej więcej minucie uchylły się tylne drzwi i wyjrzał przez nie łysy mężczyzna.

Miał na sobie czarną koszulę z krótkimi rękawami, a jego twarz przypominała kawałek pastrami. Nacisnął przełącznik na ścianie i drzwi otworzyły się z pstryknięciem.

Kiedy wszedłem do środka, stanął za okienkiem, otarł dłonie o przód koszuli, która, jak teraz zauważyłem, cała była wyszywana czerwonymi gałązkami bambusa. Z zasady nie ufam mężczyznom noszącym haftowane ubrania.

– Szukam młodej kobiety z siatkami i klatką dla ptaków.

Zrobił fałszywie zdziwioną minę.

– Kogo?

– Nory Halliday. Dziewiętnastolatka. Blondynka.

– Jestem tu sam. – Miał silny nowojorski akcent.

– No to ja jestem Timothy Leary i jadę na ostrym kwasie, bo przed chwilą widziałem, jak tu wchodziła.

– Jessica?

– Właśnie.

Przyjrzał mi się zaniepokojony.

– Pan jesteś z policji?

– A jak pan sądzi?

– Nie chcę żadnych kłopotów.

– Ja też nie. Gdzie ona jest?

– Na zapleczu.

– Co tutaj robi?

Wzruszył ramionami.

– Płaci mi czterdzieści dolców. Pozwalam jej nocować.

– Czterdzieści dolców? To wszystko?

– Ej! – obruszył się. – Ja mam rodzinę.

– Gdzie to zaplecze?

Nie czekając na odpowiedź, podszedłem do jedynych drzwi w lokalu i je otworzyłem.

Po drugiej stronie był ciemny, zagracony korytarz.

– Nie chcę kłopotów. – Facet stanął tuż obok. Zapach jego wody kolońskiej o mało nie zwałił mnie z nóg. – Po prostu zrobiłem przysługę.

– Komu?

– Jej. Pojawiła się tutaj półtora miesiąca temu cała zapłakana. No to jej pomogłem.

Minąłem go i znalazłem się w korytarzu. Piętro wyżej bębnił przytłumiony rap, nadając całemu budynkowi dudniący puls.

– Bernieście! – zawołałem. Nie było odpowiedzi. – To ja, Woodward. Muszę z tobą porozmawiać. – Na końcu korytarza znajdowało się dwoje zamkniętych drewnianych drzwi. Ruszyłem w ich kierunku, obszedłem wiadro z brudną wodą, minąłem małą kuchnię, gdzie na składanym stoliku leżała niedojedzona kanapka. – Wiem, że gdzieś tu jesteś! – krzyknąłem.

Pierwsze drzwi okazały się lekko uchylone. Pchnąłem je stopą. To była łazienka. Zmięty egzemplarz jakiegoś świerszczyka oraz wstążka papieru toaletowego kleiły się do podłogi.

Poszedłem dalej i zapukałem do drugich drzwi. Gdy nikt nie odpowiedział, nacisnąłem klamkę. Zamknięte.

– Nora!

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziała cicho.

Brzmiało to tak, jakby znajdowała się zaledwie kilka centymetrów dalej, za kawałkiem kartonu.

– Może otworzysz drzwi, żebyśmy porozmawiali?

– Proszę, idź sobie.

– Ale chcę ci zaoferować pracę. – Nie odpowiedziała. – Szukam asystenta badawczego. Oferuję zakwaterowanie z wyżywieniem. Co kilka weekendów musiałabyś dzielić pokój z moją córką i jej kolekcją pluszaków. Ale poza tym będzie twój.

Zerknąłem przez ramię. Dryblas ze sklepu podsłuchiwał. Jego grube cielsko przesłaniało korytarz.

– Jakie jest wynagrodzenie początkowe? – zapytała Nora zza drzwi.

- Słucham?
- Za tę pracę. Wynagrodzenie.
- Trzysta dolarów tygodniowo. Gotówką.
- Serio?
- Serio. Ale praniem pieniędzy będziesz się zajmować sama.
- Jakie świadczenia zdrowotne oferujesz?
- Żadnych. łykaj echinaceę.
- Nie pójdę z tobą do łóżka ani nic z tych rzeczy.

Powiedziała to takim tonem, jakby informowała o alergii pokarmowej: „Nie będę jadła skorupiaków ani orzeszków”.

– Nie ma sprawy.

– Wszystko w porządku? – Facet ze sklepu wyrósł tuż za moimi plecami.

Nagle drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich Nora, wciąż ubrana w tę spódniczkę łyżwiarki figurowej. Długie włosy spadały jej na ramiona, a twarz była poważna.

– Tak, Martin – powiedziała. – Odchodzę.

– Z gliniarzem?

– To nie gliniarz, tylko dziennikarz śledczy. Wolny strzelec.

To dopiero naprawdę gościa zaniepokoiło – chociaż wcale mu się nie dziwię. Nora, nagle nieśmiała, uśmiechnęła się do mnie, a potem weszła z powrotem do środka. Drzwi zostawiła otwarte.

Okazało się, że to duża wnęka ubraniowa. Pod sufitem świeciła goła żarówka. W kącie leżały prześcieradło oraz wojskowy koc. Pod ścianą znajdowały się paczka bułek do hot dogów, stos złożonych T-shirtów, torba karmy dla ptaków, plastikowe noże i widelce oraz istne kopce malutkich saszetek z pieprzem i solą, zapewne podwędzone z McDonalda. Obok klatki dla ptaków – najwyraźniej puste – zauważyłem szkolną księgę pamiątkową w niebieskiej okładce z napisem *Szkoła Średnia Harmony, Dom Drużyny Bawołów*. Obok prowizorycznego posłania wisiały dwie malutkie kolorowe fotografie przyklejone taśmą do ściany – nieopodal miejsca, gdzie Nora kładła głowę. Na jednej był brodaty mężczyzna, na drugiej znajdowała się kobieta.

To na pewno matka nieboszczka i ojciec skazaniec.

Gdy wszedłem do środka, żeby się lepiej przyjrzeć, okazało się, że ten mężczyzna to Chrystus przedstawiony tak jak w salkach szkółki niedzielnej: mleczna cera, wykrochmalony niebieski szlafrok, broda przystrzyżona starannie jak drzewko bonsai. Na obrazku robił to, co zwykle: obejmował dłońmi oślepiające światło, jakby chciał się ogrzać po długim dniu na stoku narciarskim. Kobieta przyklejona do ściany obok niego była Judy Garland z *Czarnoksiężnika z Oz*. Tworzyli nie lada parę.

Nora wepchnęła stos koszul do plastikowej torby.

– Jeżeli przyjmę tę pracę, to nie będzie ci wolno zarzucać mnie pytaniami. Moje życie to nie twoja sprawa. – Chwyciła zwiniętą w kłębek parę obcisłych szortów z cekinami, która leżała w kącie, i również wepchnęła ją do torby. – Umawiamy się tylko na czas szukania informacji o Ashley. Potem sama się sobą zajmę.

– W porządku.

Schyliłem się, żeby zajrzeć do klatki. Wewnątrz znajdowała się żywa niebieska papużka, ale tak wyblakła i nieruchawa, jakby była wypchana. Przed nią, na gazecie, leżało mnóstwo ozdobnych zabawek: kolorowe piłki, piórka, dzwonki, duże lusterko, ale ptak był tak wycieńczony, że w ogóle go nie interesowały.

– A to co za jeden? – zapytałem.

– Septimus – odparła Nora. – Pamiątka rodzinna. Dziedziczony tyle razy, że nikt już nie pamięta, skąd się wziął. Babcia Eli dostała go od sąsiadki Janine, kiedy zmarła. A Janine od Glena po jego śmierci. Glen odziedziczył go po takim jednym Cesarze, który zszedł na cukrzycę. A do kogo należał Septimus przed Caesarem, to już Bóg raczy wiedzieć.

– To nie ptak, to zły omen.

– Niektórzy uważają, że ma ponad sto lat i magiczne moce. Chcesz go potrzymać?

– Nie!

Ale ona już otwierała drzwi klatki. Ptak podskoczył i rzucił się jej na rękę. Nora chwyciła mnie za dłoń i posadziła na niej

papuzkę.

Septimusowi nie zostało już wiele życia. Chyba miał zaćmę. Lekko dygotał jak elektryczna szczoteczka do zębów. Pomyślałbym, że to katatonik, ale nagle gwałtownie przekrzywił łebek i spojrzał na mnie zamglonym żółtym okiem przypominającym stary koralik.

Nora przytuliła do niego twarz.

– Obiecujesz, że nikomu nie powiesz? – spytała cicho i zerknęła na mnie.

– O czym?

– O tym. Nie chcę, żeby ktoś mnie żałował.

Odwróciła się od ptaka i teraz przyglądała mi się nieruchomym wzrokiem.

– Obiecuję.

Uśmiechnęła się zadowolona i wróciła do pakowania. Zebrała wszystkie saszetki z pieprzem i solą, a następnie wrzuciła je do siatek z logo apteki.

– Wyobraź sobie, że mam w domu przyprawy – powiedziałem.

Skinęła głową – jakbym przypomniał jej o spakowaniu piżamy – po czym przystąpiła do zdejmowania czarnych pończoch i staników, które suszyły się wzdłuż górnych półek. Ubrania w szalone lamparcie i zebrzaste wzory wisiały przygniecione wiertarkami Black & Decker i puszkami farby.

Ta dziewczyna była jak książeczka z obrazkami, którą można rozkładać i rozkładać, a dzieci na jej widok wybałuszają oczy. Podejrzewałem, że ona nigdy nie przestanie się rozkładać.

Kiedy skończyła pakować ubrania, zajęła się odklejaniem Jezusa i Judy Garland od ściany. Jezus odszedł łatwo. Judy, co oczywiste, trzeba było trochę przekonywać. Nora sięgnęła po księgę pamiątkową z Harmony, otworzyła ją, ostrożnie schowała tam oba zdjęcia, a potem włożyła Septimusa z powrotem do klatki.

Wpatrywałem się w plamę koloru wojskowej zieleni, którą po sobie pozostawił. Pojąłem, że zesrał mi się na rękę.

– Najlepiej poczekać, aż zaschnie, a potem strząsnąć palcem – poinformowała Nora. – Jestem gotowa. Aha, prawie bym zapomniała.

Pogrzebała w torebce i wyciągnęła kolorową fotografię. Myślałem, że pokazuje mi kogoś z rodziny, ale ze zdziwieniem stwierdziłem, że to zdjęcie Ashley.

Jej szare oczy, okolone ciemnymi kręgami, jakby się we mnie wpatrywały.

– Pamiętasz, jak urwałam się z wycieczki w Briarwood i wpakowałam w kłopoty? Właśnie po to zdjęcie wróciłam. Zauważyłam je na jednej z tych tablic przy jadalni. Wisiało pod napisem „Cotygodniowy piknik”. To ona, prawda?

La cara de la muerte, powiedziała pokojówka z Waldorf Towers. Twarz śmierci.

Zrozumiałem, co miała na myśli.



Nazajutrz rano o 5.42 obudziło mnie skrzypienie za drzwiami mojej sypialni. Kroki zmierzały w głąb korytarza, potem zajęczały rury, potem kroki wróciły do pokoju Sam, a potem zeszyły na dół. W kuchni zaczęły brzęczeć szklanki i talerze, jakby trwały tam przygotowania do przyjęcia na dwadzieścia pięć osób.

Choć zastanawiałem się, czy zastanę mieszkanie ogołoczone ze wszystkich kosztowności, zdołałem znowu zasnąć, ale ponownie zbudziło mnie ciche pukanie do drzwi.

– Tak? – wymamrotałem.

– Ojej. Obudziłam cię?

Skrzypnęły otwierane drzwi, a potem nastąpiła cisza. Uchyliłem powiekę. Na budziku była godzina 7.24. Nora przypatrywała mi się od progu.

– Zastanawiałam się, kiedy weźmiemy się do roboty.

– Zaraz zejść.

– Fajnie.

Dobry Boże!

Wciągnąłem szlafrok i półprzytomny stoczyłem się na dół. Norę zastałem zwiniętą na kanapie w salonie. Miała na sobie pasiastą czarno-białą koszulkę à la Marcel Marceau oraz czarne legginsy. Obierała jajko na twardo ze skorupki i gryzmoła coś w oprawnym w skórę notesie, który – jak pojąłem po chwili – należał do mnie. Znalazłem go w warsztacie introligatorskim w Neapolu. Osiemdziesięcioletni Włoch o imieniu Liberatore wykonywał go przez cały rok swymi drżącymi, artretycznymi dłońmi. To ostatni taki egzemplarz, bo introligator już nie żyje, a na miejscu jego zakładu stoi teraz salon Fiata. Zachowywałem ten notes na moment, w którym będę miał do napisania coś szczególnie ważnego i głębokiego.

– Lubisz sobie pospać, co?

Przestała pisać, podniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie. Zobaczyłem, że na górze strony napisała: *Notatki do śledztwa w sprawie Ashley Cordovy*, a poniżej znalazły się jakieś nieczytelne gryzmoły.

– Nie ma nawet ósmej. Jest wcześniej.

– Gdyby tu była babcia Eli, powiedziałyby, że zmarnowałeś już cały dzień. Zrobiłam ci śniadanie.

Z lekką obawą udałem się do kuchni.

Na blacie stał talerz z jajecznicą i tostem. Nora nawet posprzątała. W zlewie nie było ani jednego brudnego naczynia.

Wróciłem do salonu.

– Nie gotuj dla mnie. Ani nie sprzątaj. Nasz układ jest stricte roboczy.

– To tylko jajka.

– Mam czterdzieści trzy lata. Nie trzeba mnie karmić.

– Na razie. W Terra Hermosa był taki jeden facet, Cody Johnson. Pierwsze oznaki demencji wykazywał w wieku trzydziestu dziewięciu lat.

– Chyba już słyszałem tę historię. Umarł sam?

– Każdy umiera sam.

Po takim stwierdzeniu trudno było coś dodać. Ilekroć dziewczyna wspominała o Terra Hermosa, to było tak, jakby opryskała rozmowę DDT – zabijała ją na miejscu.

Nalałem sobie kawy i dałem znak Norze, żeby poszła za mną.

– W tym pudełku jest wszystko, co wiem o Cordovie – powiedziałem, gdy weszliśmy do mojego gabinetu. – Posortuj te rzeczy według daty i tematu publikacji. Informacje o jego filmach zbierz razem. Wyciągnij wszystko, co twoim zdaniem może nam pomóc zrozumieć Ashley, jej osobowość, muzykę, hobby, historię. Każdą wzmiankę o życiu rodzinnym albo o Szczycie, czyli ich posiadłości w górach Adirondack. – Zauważyłem cienki plik kartek. Na wierzchu przypięte było zdjęcie Szczytu, które znalazłem w starym egzemplarzu „National Geographic”. Wyciągnąłem całość i wręczyłem Norze. – Na początek możesz przeczytać to. Kiedy zająłem się Cordovą pięć lat temu, pojechałem do Crowthorpe Falls, poszwendąłem się tam, popytałem miejscowych, czy coś słyszeli. Tu jest wszystko, czego się dowiedziałem.

Ruszyłem do drzwi. Nora usiadła no turecku na kanapie.

starannie odgarnęła włosy za uszy i zaczęła czytać.

Wyprawa do Crowthorpe Falls i posiadłości Szczyt

S. McGrath

3-13 kwietnia 2006



Crowthorpe Falls, Nowy Jork.

Architekci: Harrison, Taylor i Woods

SZCZYT, DOM EDWARDA ROBBA ROCKEFELLERA - WEJŚCIE FRONTOWE

Szczyt, ok. 1912 r.

The Peak

Posiadłość znana jako Szczyt, niegdyś letni dom Rockefellerów, zaprojektowany przez architektów Harrisona, Taylora i Woodsa, znajduje się na północ od jeziora Lows, w głuszy gór Adirondack na północy stanu Nowy Jork.

Najbliższe miasteczko to Crowthorpe Falls (przez miejscowych nazywane Crow), jedna z najbiedniejszych miejscowości w regionie. Składa się z osiedli domów na kółkach, opuszczonych stodół i parkingów, moteli, przydrożnych knajp oraz barów topless. Żeby dostać się z Crow do Szczytu, trzeba dobrze znać okolicę: niemal wszystkie drogi są nieutwardzone i nieoznakowane.

Stanislas Cordova i jego pierwsza żona Genevra, pochodząca z włoskiej rodziny Castagnello, zakupili tę zajętą w postępowaniu egzekucyjnym posiadłość od brytyjskich arystokratów, Lorda i Lady Sludely z Essex. Wkrótce po wprowadzeniu się tutaj w 1976 roku Cordova rozpoczął budowę olbrzymich hal zdjęciowych na całym 120-hektarowym terenie, aby móc kręcić, montować i udźwiękować swoje filmy, nie opuszczając posiadłości.

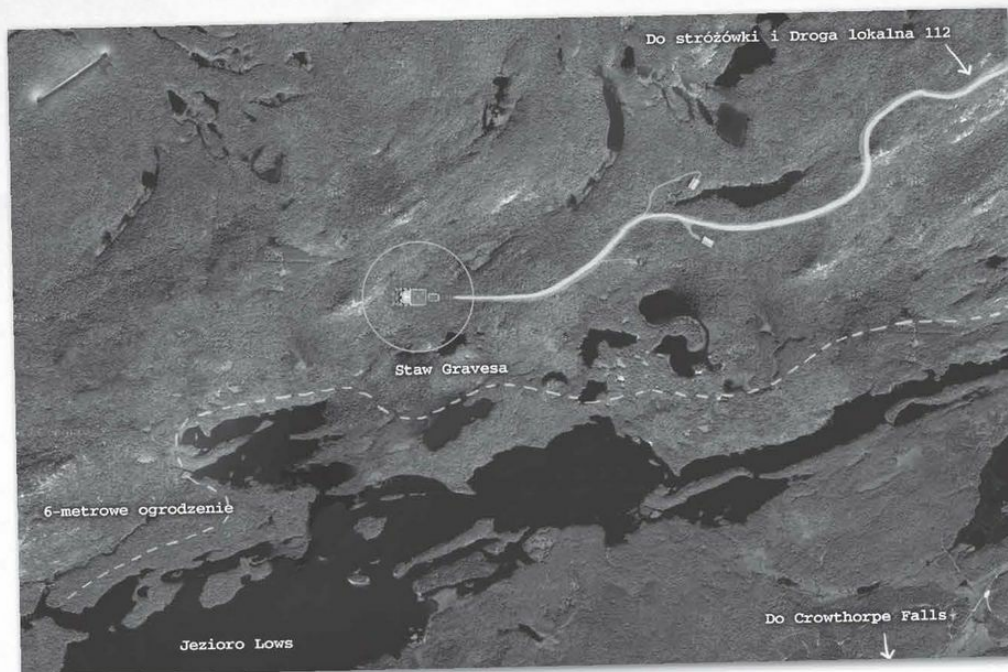
Po zerwaniu umowy z Warner Bros. Cordova sam zaczął finansować swoje produkcje, a Szczyt stał się jego oficjalnym jednoosobowym studium – co tylko wzmocniło otaczającą reżysera aurę tajemniczości jako cierpiącego na agorafobię pustelnika i szaleńca.

Źródło: Wikipedia.org/wiki/Stanislas_Cordova

Wyprawa do Crowthorpe Falls i posiadłości Szczyt

S. McGrath

Widok Szczytu z lotu ptaka



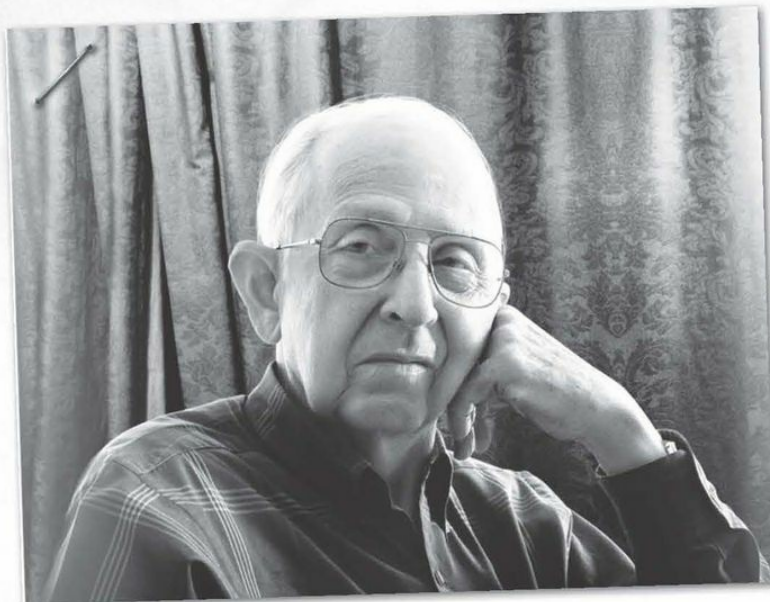
Rezydencja Szczyt stoi w gęstych lasach na wysokim grzbiecie na północ od Stawu Gravesa, mniejszego stawu leżącego na północ od jeziora Lows.

Całą posiadłość - sięgającą na północ za staw Darning Needle aż do jeziora Cranberry - okala sześciometrowe ogrodzenie pod napięciem.

Wyprawa do Crowthorpe Falls i posiadłości Szczyt

S. McGrath

Wywiad z Nelsonem Garcia - 3 kwietnia 2006



*Grodzian 2004
Sprzet medyczny?*

Garcia to najbliższy sąsiad Stanisława Cordovy, siedemdziesięcioośmioletni emerytowany hodowca jabłek z Lafayette w stanie Nowy Jork. Od 1981 roku mieszka w rdzawej przyczepie stojącej na skrawku ziemi naprzeciwko zarośniętego podjazdu, który wiedzie do Szczytu. Twierdzi, że nigdy nie spotkał ani nawet nie widział Cordovów - ponieważ cierpi na cukrzycę typu 2, rzadko bywa w miasteczku. Trzy razy w tygodniu odwiedza go pielęgniarka, która przywozi mu zakupy. Opowiedział mi jednak o kilku ciekawych zajściach związanych z niesławnym sąsiadem.

- Kiedyś mieliśmy tu wszędzie tabliczki z nazwami ulic, ale listonosz mówi, że je pozdejmowali.

- Kto taki? - spytałem.

- Ci, co tam mieszkają.

- Ma pan na myśli rodzinę Cordovów?

Kiwnął głową.

- Po co mieliby zdejmować tabliczki?

- Nie życzą tam sobie obcych ludzi. Lubią prywatność. Tak się mówi w miasteczku. Widywałem przeróżne luksusowe samochody, które przyjeżdżały i wyjeżdżały od północy aż do białego rana. Zwłaszcza w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Limuzyny. Raz nawet rolls-royce'a. Parę razy słyszałem lądujące helikoptery. No i muzykę. Ale od początku lat dwutysięcznych jest spokój. Nie widuję na tej drodze ani żywej duszy.

Garcia twierdzi, że na początku grudnia 2004 roku otrzymał przez pomyłkę kilka przesyłek dostarczonych przez UPS, które miały trafić na Szczyt. Pierwszą było masywne pudło z napisem „Century Scientific”.

Wyprawa do Crowthorpe Falls i posiadłości Szczyt

S. McGrath

Wywiad z Nelsonem Garcia - 3 kwietnia 2006

Century Scientific Inc. to firma z siedzibą w Scranton w stanie Pensylwania specjalizująca się w produkcji sprzętu medycznego. Oferuje prywatnym szpitalom łóżka, wózki inwalidzkie, nosze oraz inne wyposażenie terapeutyczne.

- Córka czasem przysyła mi paczki, więc pokwitowałem - powiedział Garcia. - Dopiero jak chłopak odjechał, zorientowałem się, że to nie do mnie.

- Do kogo była adresowana przesyłka? - spytałem.

- Do jakiegoś Javlina Crossa. Adres: Droga lokalna sto dwanaście numer dziesięć czternaście. Ja mieszkam pod numerem trzydzieści trzy. Nie otworzyłem paczki. Ale ciężka była. Ledwo ją mogłem udźwignąć. Z metr dwadzieścia wysokości. To chyba był jakiś fotel, tak przynajmniej kojarzył mi się kształt pudła.

Garcia zadzwonił do UPS i w ciągu godziny przesyłkę odebrano.

Tydzień później kurier znów dostarczył mu paczkę do pana Javlina Crossa.

- W adresie zwrotnym było: Coś tam Pharmaceuticals - poinformował Garcia. - Powiedziałem chłopakowi, że się pomylił. Przeprasił i tłumaczył, że jest nowy. I na tym koniec. Ale jeszcze przez miesiąc albo dwa widziałem, jak raz w tygodniu, po południu, podjeżdżała tam ciężarówka, która dostarczała im Bóg wie co. Czekałem parę minut, a potem było słychać potworny zgrzyt otwieranej bramy. Tak strasznie piszczały zawiasy, że aż bolało. Myślałem, że mi telewizor pęknie. - Pokręcił głową. - Wydaje mi się, że ktoś tam był chory. Albo coś mu się stało.

Garcia powiedział, że pewnie zapomnieliby o tych pomyłkach, gdyby tydzień po wizycie kuriera nie zauważył czegoś dziwnego. Kiedy pojechał wyrzucić śmieci do kontenera na końcu drogi, zwrócił uwagę na dziwną woń wydobywającą się z pozostałych worków.

- Nigdy nie zetknąłem się z takim smrodem. Cuchnęło okropnie. Jak palony plastik.

Garcia twierdzi, że z kontenera korzystał tylko on i Cordovowie. Tydzień później nie zaobserwował nowych worków i aż po dziś dzień tylko on wyrzuca tam śmieci.

- Oni teraz wszystkie palą - powiedział. - Kiedy jest ciepła noc, to czuć zapach. A jak wiatr wieje z północnego zachodu, widać nawet dym.

Spytałem Garcia, czy widział jakieś filmy Cordovy. Pokręcił głową.

Wyprawa do Crowthorpe Falls i posiadłości Szczyt

S. McGrath

Wywiad z Nelsonem Garcia - 3 kwietnia 2006

- Miałbym koszmary - powiedział.

- W jego filmie *Izolat 3* - wyjaśniłem - pewien człowiek jest przetrzymywany wbrew własnej woli. To były skazaniec, którego główny bohater musi odnaleźć i uwolnić. Nazywa się Javlin Cross, tak jak adresat tych paczek.

Garcia pokiwał głową i zamyślił się nad tą informacją.

- Jaka jest opinia miasteczka na temat Cordovów? - spytałem.

- To znaczy?

- Co ludzie o nim mówią? I o tej posiadłości?

- Nikt nie lubi o tym gadać. Nie wiem dlaczego. Ale nie lubią. Wie pan, tutaj jest tak, że każdy pilnuje swojego nosa.

Nie miał nic więcej do dodania i wyraźnie ciągnęło go przed telewizor, gdzie zaczynało się *Koło fortuny*, więc podziękowałem mu i wyszedłem.

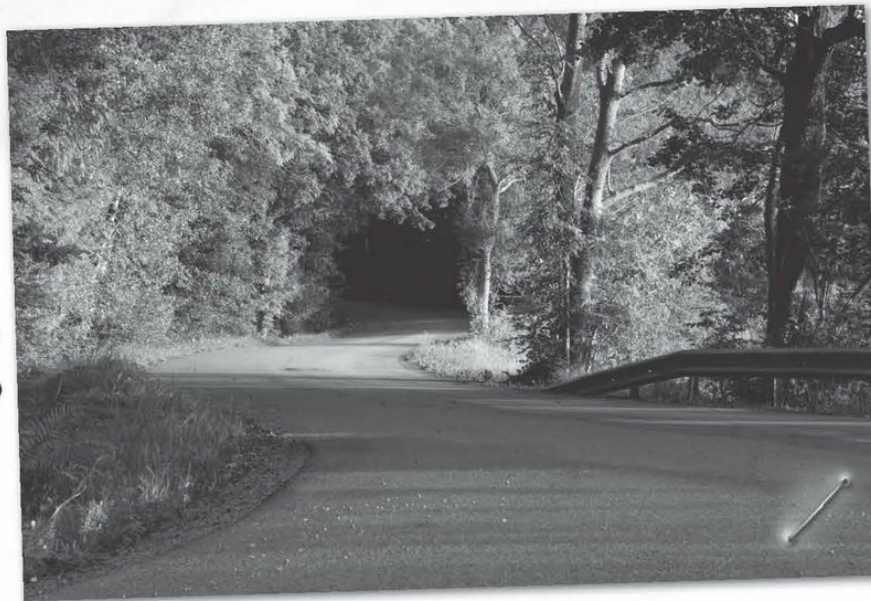


Wyprawa do Crowthorpe Falls i posiadłości Szczyt

S. McGrath

Kate Miller

28 maja 2003
godz. 5.30



28 maja 2003 roku o godzinie 5.30 sześćdziesięciodwuletnia Kate Miller szła opustoszałą Old Forge Road w Bainville w stanie Nowy Jork, niewielkim kurorcie położonym sto sześćdziesiąt kilometrów na północ od Albany, czterdzieści pięć minut jazdy z Crowthorpe Falls.

To był koniec długiej nocy. Miller pracowała na nocną zmianę w recepcji motelu Forest View, ośrodka wczasowego na południe od miasta. Każdego ranka, sześć razy w tygodniu, bez względu na pogodę pokonywała piechotą trzy kilometry z motelu do głównej ulicy w Bainville. Stamtąd autobusem jechała do położonego trzydzieści kilometrów na północ Danville, gdzie mieszkała z mężem i dwunastoletnim wnukiem.

Old Forge to wąska dwupasmowa szosa biegnąca stromo w stronę miasteczka. Na ostrych zakrętach często dochodzi tam do wypadków, głównie z udziałem miejscowych nastolatków albo turystów. Miller powiedziała mi, że znajdowała się trzy kilometry od miasta i szła lewą stroną drogi, tak żeby widzieć auta z naprzeciwka. Nagle obok niej prawym pasem przemknął srebrny sportowy sedan.

- Myślałam, że kierowca jest pijany, [bo] nosiło go po całej jezdni - powiedziała. - Zniknął za zakrętem, potem była cisza, a potem huk, trzask, brzęk tłuczonego szkła. I klakson.

Pospieszyła w tamtą stronę, chociaż artretyzm w kolanach nie pozwalał jej biec. Po niecałej minucie zobaczyła, co się stało: kierowca źle obliczył zakręt, stracił kontrolę nad pojazdem i zderzył się ze świerkiem rosnącym dwa i pół metra poniżej drogi.

Samochód był bardzo zniszczony. Po nasypie w stronę szosy wspinała się na czworakach blondynka po pięćdziesiątce. Była w szoku, ale oprócz zadrapań na twarzy i ramionach nie odniosła chyba poważniejszych obrażeń.

Wyprawa do Crowthorpe Falls i posiadłości Szczyt

S. McGrath

Kate Miller

- Płakała. I cała się trzęsła. Zapytałam, czy ma przy sobie komórkę, ale powiedziała, że zostawiła w domu. Ja komórki nigdy nie miałam. Więc powiedziałam, że pójde do miasta i wezwę karetkę. Zapytałam, czy ktoś z nią jechał. Pokręciła głową.

Miller ruszyła dalej wzdłuż Old Forge Road, ale najpierw zeszła na pobocze, żeby jeszcze raz spojrzeć na samochód.

- Tym razem zauważyłam, że ktoś leży na tylnym siedzeniu - powiedziała. - Rosły mężczyzna, cały na czarno, nieprzytomny, owinięty bandażami. Miał je na twarzy i ramionach. Były zakrwawione. Ale nie dyskutowałam z tą kobietą. Bądź co bądź właśnie przeżyła wypadek, więc pewnie nie wiedziała, co mówi. Postanowiłam jak najszybciej sprowadzić pomoc.

Minęło pięćdziesiąt minut, zanim Miller pokonała pieszo trzy kilometry, zadzwoniła pod numer alarmowy ze stacji benzynowej i na miejsce wypadku przybyły karetka oraz policja. Kobieta przedstawiła się jako Astrid Goncourt. Samochód, srebrny mercedes z 1989 roku, był pusty.

Goncourt przyznała się do przekroczenia prędkości, poddała się badaniu alkomatem, które przeszła pozytywnie. Policja nie stwierdziła, by w aucie był ktoś jeszcze. Goncourt przewieziono do miejscowego szpitala, gdzie opatrzone drobne rany i zadrapania, a po kilku godzinach ją wypisano.

Nazajutrz dzienniki „Daily News” z Nowego Jorku i „Times Union” z Albany poinformowały, że pani Cordova uległa wypadkowi w drodze z przyjęcia urodzinowego przyjaciółki i odniosła niewielkie obrażenia. Podejrzeń policji nie wzbudził fakt, że Szczyt znajduje się w odległości godziny jazdy od Bainville (to dość długa podróż, żeby zaczynać ją o piątej rano), ale nie wiadomo, czy takiej informacji udzieliła Astrid, czy też jest to tylko kwestia dziennikarskiego lenistwa.

Trzy tygodnie po wypadku Miller ponownie skontaktowała się z policją. W międzyczasie przeczytała o Astrid oraz jej słynnym mężu („Nie interesuję się horrorami” - wyjaśniła, kiedy spytałam, dlaczego początkowo te nazwiska nic jej nie mówiły) i osobę na tylnym siedzeniu rozpoznała jako Stanisłasa Cordovę.

Na komendzie policji w Bainville przyjęto od niej zeznanie i pokazano jej drzwi.

Tezy Miller nie sprawdzono.

Wyprawa do Crowthorpe Falls i posiadłości Szczyt

S. McGrath

Podjazd - 13 kwietnia 2006, godz. 14.14

Oczywiście musiałem sam odwiedzić Szczyt.

Wsiadłem do samochodu i skręciłem w lewo - według GPS-u to tędy dojeżdżało się pod adres: Droga lokalna 112 nr 1014. Ruszyłem nieoznakowanym podjazdem.

Na samym początku był błotnisty i poorany koleinami, ale po około sześciu metrach zmieniał się w płaską, zaskakująco zadbaną zwirową drogę. Najwyraźniej stale opiekował się nią jakiś dozorca: szlaku nie szpeciła ani jedna gałąź, ani jeden krzak czy chwast. Z wielu drzew odpiłowano niższe konary, które mogłyby przeszkadzać.

Minąłem umieszczony po prawej stronie nieduży, lecz widoczny znak „Droga prywatna. Zakaz wjazdu”. Było ciepło, łagodne wiosenne popołudnie - między drzewami przesączały się promienie słońca. Dzień wydawał się leniwy i senny.

Minąłem zakręt i przyspieszyłem. Znajdowałem się już głęboko w lesie. Listowie nade mną było tak gęste, jakbym poruszał się wewnątrz wełnianego swetra: ciężkie, splątane i tylko od czasu do czasu trafiała się mała szczelina, przez którą przeświecał błękit nieba. Nagle w powietrzu poczułem smród benzyny - zapewne powinienem oddać samochód do przeglądu - ale i czegoś jeszcze: spalenizny.

Minąłem dziwaczne drzewo. Pnie o zmysłowych kształtach wiły się wokół siebie w rozkoszy lub bólu. Budziły pornograficzne skojarzenia. Mój Boże, pomyślałem, czy to może być takie proste?

Ujechałem już tylko kilka metrów.

Za zakrętem wyrosła przede mną opleciona bluszczem stróżówka. Wyglądała na opuszczoną. Nie dało się jej ominąć ani samochodem, ani na piechotę. Za bramą z kutego żelaza w obie strony ciągnęło się potężne ogrodzenie. Podjechałem bliżej. Po bokach bramy niczym gniazda os wisiały dwie kamery. Opuściłem szybę i spojrzałem w jedną z nich. Dałbym głowę, że obiekt w się poruszył, małe oko cyklopa skupiło na mnie swą uwagę.

- Mógłbym wpaść na filiżankę kawy?

Moje słowa zabrzmiały płasko i głupio wśród ciepłego, spokojnego popołudnia.

Jak on tu żył? Czy ta posiadłość to jego wersja Neverland Ranch Michaela Jacksona, Graceland Elvisa, Magicznego Królestwa Walta Disneya? Czy pogłoski o jego szaleństwie to tylko mit, a Cordova nie jest mrocznym księciem, lecz po prostu starym człowiekiem, który pragnie spędzić resztę życia w spokoju i samotności?

A może prawda jest całkiem inna? Może Kate Miller miała rację: może rzeczywiście widziała Cordovę na tylnym siedzeniu samochodu rankiem 28 maja 2003 roku. Może uległ tragicznemu wypadkowi w swojej rezydencji albo nawet zginął. Kate Miller, jedyny świadek, została podstępem przegoniona z miejsca zdarzenia. Pewnie Astrid miała przy sobie telefon i natychmiast do kogoś zadzwoniła - do znajomego lub po któregoś z dzieci Cordovy, Theo albo Ashley. Przybyli przed służbami, wyciągnęli Cordovę z auta i odjechali. Czy Cordova wciąż żyje w Szczycie? Czy jest przykuty do łóżka, nieprzytomny, jeździ na wózku inwalidzkim? To by wyjaśniało dostawy sprzętu medycznego, który ponad rok później trafił do Nelsona Garcii.

Wyprawa do Crowthorpe Falls i posiadłości Szczyt

S. McGrath

Podjazd - 13 kwietnia 2006, godz. 14.14

Wysiadłem z samochodu, sfotografowałem stróżówkę, a potem zawróciłem, czym prędzej pokonałem podjazd i wyjechałem na drogę lokalną 112. Minąłem przyczepę Garcii i kontener na śmieci. Nie zdjąłem nogi z gazu, dopóki nie utknąłem w korku na wschodniej obwodnicy Manhattanu.

Bez względu na to, jaka jest prawda o Cordovie, w swych piętnastu przerażających filmach nauczył nas, że nasze oczy i umysły stale nas zwodzą - a to, co uznajemy za pewnik, nigdy pewne nie jest.

Teraz możemy tylko mieć nadzieję, że pewnego dnia wróci - abyśmy znowu zrozumieli, że byliśmy ślepi.

*Nelson Garcia
nr telefonu (518) 555-1495*



– Telefon odłączony – powiedziała Nora, odkładając słuchawkę.

Próbowała się dodzwonić do tego staruszka, Nelsona Garcii, pod numer z moich notatek.

– Pewnie już umarł – odparłem. – Kiedy z nim rozmawiałem, ledwo dźwigał się z kanapy.

Było po ósmej trzydzieści. Właśnie wróciłem z wczesnej kolacji w pobliskiej Café Sant Ambroeus, gdzie umówiłem się z moim starym przyjacielem Halem Keeganem, fotoreporterem z „Insidera”. Kiedyś razem pracowaliśmy, ale przez ostatnie lata widywaliśmy się rzadko. Postanowiłem nie mówić Halowi, czym się teraz zajmuję. Ufałem mu, lecz choć przyłapała nas ochrona w Briarwood, wciąż liczyłem na to, że uda mi się nie afiszować ze śledztwem. Dziennikarze, ci wyrachowani racjoniści, tak naprawdę są bardzo przesądni. Panuje ciche przekonanie, że kiedy pismak rusza za jakąś historią, to przeczucia i teorie roznoszą się w powietrzu, więc inni reporterzy mogą je złapać jak katar. Zwykle to tylko kwestia czasu, zanim twoi konkurenci nabiorą takich samych przypuszczeń jak ty. Nie łudziłem się, że jestem jedynym dziennikarzem na tropie śmierci Ashley Cordovy. Jednak rola drugiej czy trzeciej osoby, która rozwiąże sprawę, nie przynosi chwały. Liczy się tylko pierwszeństwo.

Po powrocie do domu zastałem Norę w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłem: wciąż układała moje papiery. Przyniosłem jej pesto linguini, ale choć powiedziała: „O jejku, dzięki, wygląda pysznie”, prawie nie tknęła jedzenia, tylko nadal zaaferowana studiowała program starego kursu Beckmana poświęconego Cordovie. Zaskoczyła mnie ta jej koncentracja. Nora tkwiła w moim gabinecie bez przerwy przez dwanaście godzin. Lekturę przerywała tylko po to, żeby zatroszczyć się o tę swoją prehistoryczną papużkę, Septimusa. Klatkę z ptakiem postawiła na półce przy oknie. „Uwielbia obserwować ludzi” – wyjaśniła.

Chociaż nie powiedziała na ten temat nic konkretnego, wywnioskowałem, że wychowała ją gromada wolnych duchem

staruszków w miejscu, o którym ciągle wspominała: Terra Hermosa. Wydawało się, że ma we krwi geriatryczne godziny wstawania i spożywania posiłków. Zapytała mnie o plany na kolację o 16.45 – osławionej porze karmienia seniorów – używała też charakterystycznych wyrażeń rodem z epoki McCarthy’ego: „klawo”, „cie choroba” czy „rany julek”.

– Ile czasu minęło od twojej wizyty w Crowthorpe Falls, kiedy otrzymałeś ten anonimowy telefon? – spytała, odkładając maszynopis.

– Kilka tygodni.

Siedziałem na skórzanej kanapie i przepisywałem na laptopie notatki z wyprawy do Briarwood i Waldorf Towers.

– To znaczy, że musiałeś tam odkryć coś autentycznego.

– Mówisz o Kate Miller i Nelsonie Garcii?

Skinęła głową.

– Na pewno właśnie dlatego zadzwonił do ciebie John. Cordova musiał ci się dobrze przyjrzeć, kiedy podjechałeś pod stróżówkę. A John to była pułapka.

– Jestem skłonny się zgodzić, choć nigdy nie udało mi się tego potwierdzić.

– Może Cordova rzeczywiście ucierpiał w tym wypadku. A w posiadłości faktycznie ktoś był chory i stąd te dostawy sprzętu medycznego.

– Nie wspomniałem o tym w notatkach – powiedziałem, odkładając laptopa i opierając się o poduszki – ale rozpoznanie Cordovy przez Kate Miller zawsze wydawało mi się trochę podejrzanym. Pół roku po naszej rozmowie próbowała sprzedać tę historię „Enquirerowi”, ale nikt nie chciał jej tknąć. Jej słów nijak nie dało się potwierdzić, a oni nie chcieli się wplątać w spór sądowy. Skoro zaś nawet taki brukowiec jak „National Enquirer” nie chce mieć z tobą nic wspólnego, to znaczy, że coś z tobą jest nie tak. – Dopilem szkocką. – W każdym razie Miller nie umiała wyjaśnić, skąd wiedziała, jak wygląda Cordova. Bo przecież w zasadzie tego nie wie nikt. Jego zdjęcia z „Rolling Stone”

wydają się sfałszowane. A na tym słynnym zbliżeniu na planie *Dziedzictwa* to podobno wcale nie on, tylko dubler.

– Może jest oszpecony jak Upiór z Opery – szepnęła Nora z podnieceniem. – Albo Kate Miller widziała w tym samochodzie zwłoki.

– Bez żadnych dowodów nie możemy stwierdzić, że mamy do czynienia z maniakalnymi mordercami.

Nora chyba mnie nie słuchała.

– Może Cordovowie mają nadprzyrodzone moce. Pamiętasz, co mówiła pokojówka z Waldorfa? Nawet Morgan Devold o tym wspominał. Jego zdaniem Ashley jakimś cudem wiedziała, że ją obserwuje. Przez moment miał wrażenie, że patrzy na coś martwego. W notatkach napisałeś, że według Garcii nikt nie chce rozmawiać o Szczycie. – Sięgnęła po płytę Ashley i przyjrzała się okładce. – Nawet ta jej muzyka. Ten tytuł to *Diabeł nocą*.

– Zdziwiłabyś się, jak wielu ludzi ucieka się do uzasadnień paranormalnych, kiedy nie potrafią czegoś wytłumaczyć – powiedziałem. Podszedłem do regału, żeby uzupełnić szklanekę. – Sięgają po nie tak, jak sięga się po keczup. Ja jednak, a co za tym idzie ty, jako moja pracownica, ograniczę się do nagich, suchych faktów.

Chociaż absolutnie nie wierzyłem w zjawiska paranormalne, mimo wszystko dręczyło mnie wspomnienie tego, jak Ashley pojawiła się nocą nad Zbiornikiem. Nie opowiedziałem o tym Norze. Nikomu nie opowiedziałem. Tak naprawdę przestałem być pewien tego, co widziałem. Zupełnie tak, jakby tę jedną noc można było odseparować od wszystkich innych jako noc pozbawioną logiki, noc dziwności i fantazji, zrodzoną z moich samotnych złudzeń, noc, dla której nie ma miejsca w realnym świecie.

Nora podniosła kopertę z aktami policyjnymi Ashley – tę, którą dostałem od Sharon Falcone – wyjęła z niej plik papierów, spośród nich wyciągnęła jedną kartkę i podała mi ją.

Było to kolorowe ksero fotografii zwłok Ashley po przywiezieniu do biura lekarza sądowego. Kadrów wykonano

wiele, w ubraniu i bez ubrania, ale Sharon trafnie zaznaczyła, że w aktach brakuje wszystkich szczególnie drastycznych zdjęć, ujęć z przodu i z tyłu. Podana mi przez Norę fotografia przedstawiała górną część twarzy Ashley. Jej szare oczy, tępo wpatrzone w dal, pokrywały żółte i czerwone cętki.

– Spójrz na jej lewe oko – powiedziała Nora.

Wewnątrz tęczęwki znajdowała się czarna cętka.

– To? Duża koncentracja pigmentu w tęczęwce. Bardzo częste zjawisko.

– Ale nie w ten sposób. Tutaj przebiega w poprzek źrenicy, idealnie poziomo. To na pewno właśnie o tym mówiła Guadalupe. O jej piętnie. Nie pamiętam hiszpańskiego określenia, ale Hopper mówił, że oznaczało odcisk zła.

– *Huella del mal*.

– No i pamiętajmy, co się stało z pierwszą żoną Cordovy.

– Genevrą. – Nora kiwnęła głową. – Już to sprawdzałem. – Oddałem jej zdjęcie i wróciłem na kanapę. – Policja również, a do tego jeszcze ze stu reporterów i autorów rubryk plotkarskich w owym czasie. Nauczyła się pływać dopiero dwa miesiące wcześniej. Nawet jej rodzina, banda snobów z Mediolanu, którzy nienawidzili Cordovy i uważali go za prostaka z klasy robotniczej, musiała przyznać, że to tylko nieszczęśliwy wypadek. Genevra była znana z impulsywności. Oznajmiła opiekunce syna, że idzie nad jezioro, żeby poćwiczyć pływanie. Proszono ją, żeby zaczekała, ale odmówiła. Dzień był pochmurny, zaczęło padać, a wkrótce nadeszła burza. Genevra musiała być dezorientowana. Nie wiedziała, którędy do brzegu. Znaleziono ją zaplątaną w sitowie na dnie jeziora. Cordova był zajęty postprodukcją *Treblinka*, miał tuzin alibi. Potwierdziła je cała jego ekipa i Artie Cohen, producent z Warner Brothers, który rozmawiał z prasą. Pięć miesięcy później Cordova udzielił ostatniego wywiadu dla „Rolling Stone”. Od tamtej pory nigdy więcej nie pokazał się publicznie.

Nora chyba mnie nie słuchała. Przygryzała wargę i znów energicznie wertowała papiery. Spośród moich starych notatek

wyciągnęła artykuł przedrukowany z mikrofiszki i podała mi go.

Rozpoznałem, że to coś, co przed wieloma laty skopiowałem z archiwum bibliotecznego. Artykuł z „Times Union” z Albany z datą 7 lipca 1977 roku.

ZDANIEM POLICJI UTONIĘCIE CASTAGNELLO TO NIESZCZĘŚLIWY WYPADEK

JASON MONTERSON

Jak informują władze, Genevra Castagnello, żona reżysera filmowego Stanisłasa Cordovy, znaleziona martwa w niedzielę rano w jeziorze na terenie swojej posiadłości w górach Adirondack, utonęła przypadkowo.

Arthur Bailey, szef zespołu kryminalistycznego biura lekarza sądowego hrabstwa St. Lawrence, po przeprowadzeniu sekcji zwłok orzekł, że Genevra Castagnello (l. 31) zmarła wskutek utonięcia.

Castagnello zaginęła w sobotę późnym popołudniem, gdy poszła popływać w Stawie Gravesa, jednym z wielu jezior na terenie posiadłości. Po raz ostatni widziano ją o godzinie 16, kiedy wchodziła do wody w czerwonym kostiumie kąpielowym. Gdy mimo deszczu i burzy przez godzinę nie wracała do domu, wezwano policję. Po piętnastogodzinnych poszukiwaniach jej zwłoki zostały znalezione w jeziorze przez straż pożarno-ratowniczą hrabstwa St. Lawrence.

Stacja telewizyjna WNYT poinformowała, że Castagnello dopiero niedawno przezwyciężyła towarzy-

szący jej przez całe życie strach przed utonięciem i nauczyła się pływać. „Jestem w szoku” – powiedziała Anoushka Ponti, przyjaciółka Genevry od czasów dzieciństwa, która właśnie przyjechała w odwiedziny z Włoch i w chwili śmierci Castagnello przebywała w jej domu. „Zaledwie parę godzin wcześniej jadłam z nią lunch. Położyła dziecko spać, a potem poszła nad jezioro, żeby popływać i trochę się odprężyć. Ostatnio była melancholijna. To stało się tak nagle, nie potrafię tego zrozumieć. Była cudowną osobą”.

Porucznik Jason Restig, rzecznik prasowy straży pożarno-ratowniczej hrabstwa St. Lawrence, poinformował, że chociaż śledztwo trwa, to charakter tego zdarzenia wydaje się jasny. „Nie podejrzewamy udziału osób trzecich, nie stwierdzono obecności alkoholu ani narkotyków. To był po prostu tragiczny wypadek” – dodał.

Genevra wyszła za mąż za Stanisłasa Cordovę w 1975 roku. Poznała reżysera na festiwalu filmowym w Wenecji podczas pokazu *Gdzieś w pustym pokoju*. Była modelką w Mediolanie



BELLA ITALIA. Castagnello od dwóch lat była żoną reżysera filmowego Stanisłasa Cordovy. Utonęła w sobotę w jeziorze na terenie swojej posiadłości.

i dziedziczką legendarnej bankierskiej fortuny, której historia sięga XIX-wiecznych związków z bankiem C M de Rothschild & Figli.

Zostawiła męża Stanisłasa, który właśnie pracuje nad swoim szóstym filmem pt. *Treblinka*, oraz czteromiesięcznego synka Theodore'a.

Albany Times Union
7 lipca 1977

ZWOLENNICY RÓWNEGO DOSTĘPU DO MIESZKAN PLANUJĄ WIECE

– Nawet jeśli to rzeczywiście był wypadek – stwierdziła Nora – to skoro twoja pierwsza żona i twoja córka giną na skutek wypadku, wychodzi na to, że masz raczej kiepską karmę. Ale najbardziej zwraca uwagę to, co powiedziała jej przyjaciółka.

– Że Genevra była melancholijna.

Nora skinęła głową.

– Może popełniła samobójstwo. A jeśli Ashley również, to jak to świadczy o Cordovie?

– Jest toksyczny. Z drugiej strony samobójstwo matki, która ma świadomość, że osieroci małe dziecko, przeczy instynktowi macierzyńskiemu.

– To od przebywania z nim. – Nora nachyliła się i spojrzała z powątpiewaniem na stosy papierów. – Przeczytałam resztę twoich notatek, ale nie udało ci się nikogo nakłonić, żeby powiedział o nim coś więcej.

– Dzięki za informację.

– A *Matylda*? Słyszałeś coś o niej?

– Rzekomy ostatni film Cordovy? – Zdziwiłem się, że znała ten tytuł. O *Matyldzie* słyszeli tylko najbardziej zapaleni cordovici.

Kiwnęła głową.

– Oprócz kilku niepotwierdzonych pogłosek, że scenariusz miał tysiąc stron i doprowadził Cordovę do szaleństwa, to nie – odrzekłem.

Nora westchnęła i zaczęła obgryzać paznokcie.

– Potrzebujemy jakiegoś nowego tropu – wymamrotała.

– Miałem coś obiecującego, ale nie dałem rady się włamać.

– Co?

– Blackboards. Niewidzialna sieć cordovitów na Torze. Społeczność najbardziej oddanych fanów.

– Co to jest Tor?

– Ukryty Internet. Żeby tam wejść, trzeba ściągnąć wtyczkę do Firefoxa. Udało mi się zdobyć adres od znajomego profesora i próbowałem się logować, ale ciągle mnie wyrzuca.

Postawiłem laptopa na biurku, żeby jej to pokazać. Spróbowałem wejść do środka, ale znowu wylądowałem z powrotem na stronie powitalnej.

– Oto twój problem – powiedziała Nora. – Wchodzisz z nazwą użytkownika Lord z Fogwatt. Powinniśmy spróbować czegoś związanego z Cordovą.

Wyłączyła z prądu mój router Wi-Fi stojący w kącie, i odczekała pięć minut. Wyjaśniła, że dzięki temu otrzymam nowy adres IP, którego strona nie rozpozna i nie zablokuje. Kiedy

ponownie podłączyła router, weszła na stronę WDRAP SIĘ, gdzie podała nowe dane rejestracyjne.

– Jako nazwę użytkownika spróbujmy wpisać: Gaetana Stevens dwadzieścia dziewięć dziewięćdziesiąt jeden.

Gaetana Stevens to nazwisko bohaterki Ashley Cordovy w *Oddychać z królami* (1996), ostatnim filmie Cordovy, jednej z „czarnych taśm”.

Byłem oszołomiony. Niewiele osób w ogóle widziało ten film. Mnie udało się zobaczyć go pięć lat temu u Beckmana. Miał nielegalny egzemplarz, którego nie chciał mi pożyczyć, ponieważ płyta DVD była zabezpieczona blokadą uniemożliwiającą kopiowanie – więc podejrzewał, zapewne słusznie, że już bym mu jej nie oddał.

Seans zmuszał do pogrążenia się w tyłu drastycznych, dramatycznych scenach, że kiedy pokaz dobiegł końca, byłem zdumiony, że powróciłem do świata realnego. Mrok tego filmu miał w sobie coś takiego, iż zastanawiałem się, czy ten powrót w ogóle jest możliwy – zupełnie jakbym, oglądając te obrazy, nieodwracalnie się przełamał (a może raczej złamał), jakbym osiągnął zrozumienie ludzkiej natury zbyt mroczne i zbyt głęboko zakorzenione w mojej duszy, bym kiedykolwiek znów mógł być taki jak kiedyś. Oczywiście ów niepokój ustał wraz z powrotem do zwykłego życia. Nawet teraz ta przerażająca historia była w moich wspomnieniach zaledwie zbiorem ciemnych, mrozących krew w żyłach obrazów podkreślonych obecnością Ashley Cordovy, którą zapamiętałem jako piękne szarookie dziecko z włosami związanymi w kucyk czerwoną wstążką.

Przez cały film dziewczynka milczy, biega między salonami, chowa się w szafkach pod schodami, spogląda przez dziurki od klucza i bramy z kutego żelaza, pędzi na rowerku przez trawnik, zostawiając za sobą dramatyczne bruzdy.

Fabula filmu była prosta – jak w większości filmów Cordovy, opartych na motywie polowania lub odysei. To adaptacja mało znanej duńskiej powieści Augusta Hauera *Ademen Met Koningen*.

Członkowie bogatej i zepsutej rodziny Stevensów – ślicznego klanu rozpustnych kaligulów zamieszkałych w nieokreślonym państwie w Europie – są w wyrachowany sposób mordowani jeden po drugim, co wprawia policję w zakłopotanie. Chociaż inspektor prowadzący śledztwo ostatecznie aresztuje włóczęgę, który zajmował się ich ogrodem, finałowy zwrot akcji ujawnia, że mordercą było najmłodsze dziecko Stevensów, ośmioletnia czujna niemowa Gaetana – grana oczywiście przez Ashley. Zanim inspektor zdąży odkryć potworną prawdę, jest już za późno. Dziewczynka znika. W ostatniej scenie widzimy, jak maszeruje poboczem drogi. Zabiera ją rodzina podróżująca samochodem kombi. W typowym dla siebie stylu Cordova nie wyjaśnia, czy ludzi tych czeka ten sam straszny los, czy też Gaetana uczyniła siebie sierotą, żeby znaleźć sobie szczęśliwszą rodzinę.

– Jakim cudem obejrzałaś *Oddychać z królami*? – zapytałem.

Nora skończyła rejestrować się na Blackboardsach, kliknęła na ikonę JESTEM GOTÓW, a teraz czekaliśmy, czy strona się wczyta.

– U Moego Gulazara – odparła.

– Kto to jest Moe Gulazar?

– Mój najlepszy przyjaciel. – Zdmuchnęła kosmyk z twarzy. – Stary treser koni, który mieszkał w głębi korytarza. Uwielbiał Cordovę. Miał koneksje na czarnym rynku, więc pewnego dnia wymienił wszystkie jeździeckie puchary na pudło z czarnymi taśmami. W świetlicy ciągle organizował pokazy o północy. – Zerknęła na mnie. – Moe to był człowiek potrójne zagrożenie.

– Śpiewał, tańczył i odgrywał scenki?

Nora pokręciła głową.

– Mówił po ormiańsku, umiał osiodłać ogiera, a kiedy się przebrał, mógł uchodzić za kobietę.

– To rzeczywiście brzmi groźnie.

– Kiedy się wystroił, nawet ty byś go wziął za babkę.

– Mów za siebie.

– Mawiał, że gdy już go zabraknie, wyginie rzadki gatunek. „Nie będzie takiego drugiego jak ja, ani w niewoli, ani na

wolności”. To było jego motto.

– Gdzie jest teraz stary Moe?

– W niebie. – Powiedziała to z takim rzewnym przekonaniem, jakby oznajmiała, że wyjechał na Bora-Bora. – Zmarł na raka gardła, kiedy miałam piętnaście lat. Fajczył cygaretki jedną za drugą już jako dwunastolatek, bo wychował się na wyścigach. Ale zapisał mi całą garderobę, żeby móc być zawsze ze mną.

Odwróciła się, wyszarpnęła rękę z workowatego szarego swetra na guziki i pokazała mi wszytą w kołnierz czerwoną metkę z finezyjnymi czarnymi literami: „Własność Moego Gulazara”.

Zatem ekscentryczna garderoba Nory to spadek po geriatrycznej ormiańskiej drag queen. W pierwszej chwili pomyślałem, że musiała to wszystko zmyślić: pewnie znalazła w second handzie całe pudło ciuchów z takim samym tajemniczym napisem, więc dośpiewała sobie fantastyczną historię wejścia w posiadanie tych rzeczy. Kiedy jednak z powrotem włożyła sweter, zauważyłem, że się zaczerwieniła.

– Codziennie za nim tęsknię – powiedziała. – To okropne, że ludzie, którzy cię naprawdę rozumieją, zawsze tak szybko znikają. A tych, z którymi nigdy nie będziesz nadawać na tych samych falach, nie możesz się pozbyć. Zauważyłeś?

– Tak.

Więc może to jednak prawda. Zresztą kiedy człowiek ma do wyboru wierzyć w istnienie ormiańskiego transwestyty, który tresował konie, albo nie wierzyć, to na pewno uwierzy.

– Czy to dlatego chciałaś uczestniczyć w tym śledztwie? – zapytałem. – Bo tak dużo wiesz o filmach Cordovy?

– Oczywiście. To był znak. Ashley dała mi swój płaszcz.

Ku mojemu zdziwieniu strona internetowa się załadowała. Na górze widniał napis UDAŁO CI SIĘ.

Przysunąłem sobie drewniane krzesło i usiadłem obok Nory. Poczułem wtedy piżmową woń męskiej wody kolońskiej, dramatyczną niczym wisząca w powietrzu nutka ciemnej

czekolady. Nie miałem wyboru: pomyślałem, że to wystarczający dowód, szept starego Moego Gulazara, który był zawsze z nią.

PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

UDAŁO CI SIĘ

Jeśli znalazłeś tę ukrytą stronę, to znaczy, że ktoś uznał, że zasługujesz na to, żebyś tu był.

Gratulacje, to jest początek twojego życia. Ty też jesteś cordovita. To miejsce, w którym możesz zrobić wszystko, ujawnić wszystko, ale nie możesz kłamać. IDŹ kłamać gdzieś indziej w internecie, przywdziej fałszywy uśmiech i ogłupiaj się kretyńskimi wyborami typu LUBIĘ TO i NIE LUBIĘ TEGO. Tutaj, chociaż panuje całkowita anonimowość, rządzi jedynie wiara w niepodważalną prawdę. W prawdę Cordovy: złożoność ludzkiego umysłu i siłę ludzkiego ducha. Pragnienie strachu. Pragnienie miłości. Pragnienie emocjonalnych doświadczeń, które rozerwą cię na strzępy.

Ta strona to przerażająca rzeczywistość. Święte miejsce pracy. Groźny las. Miejsce, gdzie możesz omawiać i kwestionować wszystko, czego boją się i czym czują się zagrożeni twoi bliscy i przyjaciele, twoja religia, twoje społeczeństwo. To świat odległy od tego, co lśniące i skomercjalizowane. Miejsce brudne, upiorne i przerażające, pogmatwane, brzydkie i fascynujące. Miejsce bez dna i bez ścian. Tutaj istnieje tylko walka o coś wartościowego. Coś szczerego. Bo to właśnie każe nam odnaleźć w sobie Cordova we wszystkich swych dziełach. Nasze szczerę ja.

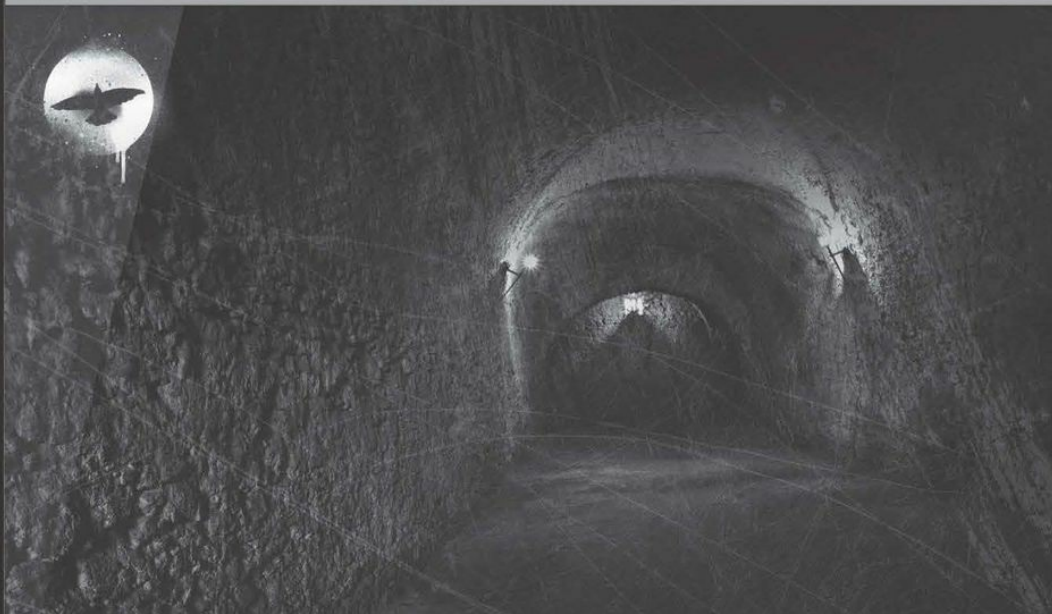
Cordova nie ma nic wspólnego z tą stroną. Może nie wie nawet o jej istnieniu. Stworzyli ją najpoważniejsi fani jako kontynuację tego, co on - kimkolwiek jest - uczynił dla nas: wskazał drogę w głąb ciemnego tunelu, która nas wyzwoli. Strach to pierwszy krok.

UWAGA: Jeśli odkryjemy, że w jakikolwiek sposób szkodzisz tej surowej i dzikiej przestrzeni, poniesiesz konsekwencje. Wierzymy w wolność słowa i złożoność, ale my, twórcy tego zaciernionego kąca, będziemy walczyć o to, by pozostał czarny.

Twórcy Blackboards

Suwerenny, zabójczy, perfekcyjny_

?



WYSTRASZYĆ DZIKOŚĆ

Parking

Zostaw za sobą wszystko,
z czym przyszedłeś

Cordova

Nasza skromna wiedza o jego
filozofii:

Wystraszyć z siebie dzikość

Ostatni wywiad:

29 grudnia 1977,

„Rolling Stone”

Zakazane przeżycia

Forum

Porozmawiaj z obcymi

Filmy

Postaci skąpane w świetle (1964)

Dziedzictwo (1966)

W pogoni za czerwienią (1972)

Zniekształcenie (1972)

Gdzieś w pustym pokoju (1975)

Treblinka (1977)

Zgniatacz kciuków (1979)

Małe zło (1982)

Owoc miłości (1985)

W nocy wszystkie ptaki

są czarne (1987)

La Douleur (1989)

Szpara w oknie (1992)

Tu na mnie czekaj (1993)

Izolat 3 (1994)

Oddychać z królami (1996)

WDRAP SIĘ

ODKOP COŚ

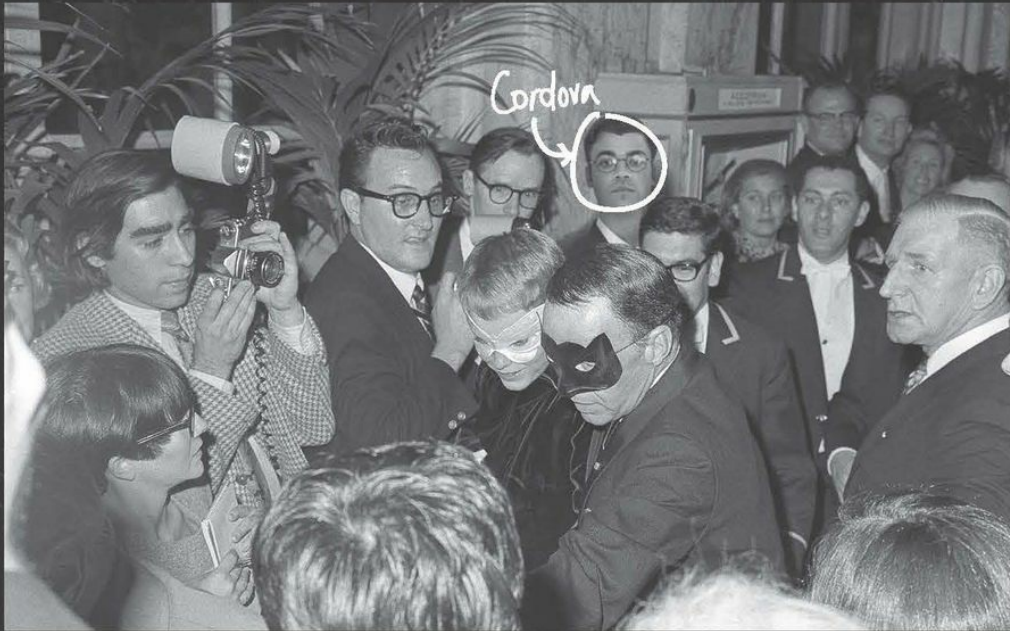
?

JEŚLI SIĘ ZGUBIŁEŚ, KLIKNIJ TU

PARKING	CORDOVA	FILMY	WYSTRASZ	ZAKAZANE	OBCY	WDRAP SIE
---------	---------	-------	----------	----------	------	-----------

WYNIKI WYSZUKIWANIA „PRAWDZIWE ZDJĘCIA CORDOVY”

Wynik 1 z 243



WYSŁANE PRZEZ: Beckett Reinhart

12.12.1999 23:39

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych moja babka była znaną bywalczynią nowojorskich salonów. Nazywała się Gwendolyn „Dottie” Howard, poślubiła L.P. Howarda, producenta odzieży i milionera. Uważano, że Dottie należała do pierwszych „łabędzi” Trumana Capotego. W 1966 roku uczestniczyła w słynnym balu czarno-białym urządzonym przez Capotego w Wielkiej Sali Balowej hotelu Plaza dla uczczenia sukcesu *Z zimną krwią*.

Dottie poszła do toalety, żeby się odświeżyć. Kiedy wychodziła, jakiś mężczyzna niespodziewanie chwycił ją za nadgarstek. Z porozumiewawczym uśmiechem poprowadził ją z dala od tłumu do ustronnego zakątka, gdzie wręczył jej kieliszek szampana i powiedział: „Pij”. Dottie była zbulwersowana tym bezczelnym zachowaniem. Nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka. Był wysoki, poruszał się szybko, miał ciemne oczy o przenikliwym spojrzeniu zza okularów intelektualisty. A jednak zrobiła dokładnie to, co jej kazał, opróżniła cały kieliszek, a on patrzył i nic nie mówił. Gdy skończyła, otarł jej wargi kciukiem, a potem nachylił się i ją pocałował. Kiedy Dottie poczuła, że się zapomina, kiedy wiedziała, że pójdzie za nim w noc, jeśli tylko każe jej to zrobić, oderwał się, wziął ją za rękę i zabrał z powrotem na parkiet, doprowadził do męża i oznajmił po prostu: „Pańska żona się zgubiła”.



Nie trzeba dodawać, że przez resztę wieczoru Dottie, oszołomiona i niespokojna, szukała w tłumie tego dziwnego, tajemniczego mężczyzny. Około trzeciej nad ranem, gdy zabawa dobiegała końca, zauważyła go, jak znika samotnie w taksówce.

- Kto to jest? - wymamrotała.

- Cordova - odpowiedział jej ktoś. - Reżyser filmowy.

Dottie nigdy nie zapomniała tej nocy. Później mówiła, że czuła się jak przystawka, którą nadgryzł, a potem odłożył z powrotem na tacę.

Obejrzałem wszystkie zdjęcia z balu i chyba znalazłem Cordovę.



PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

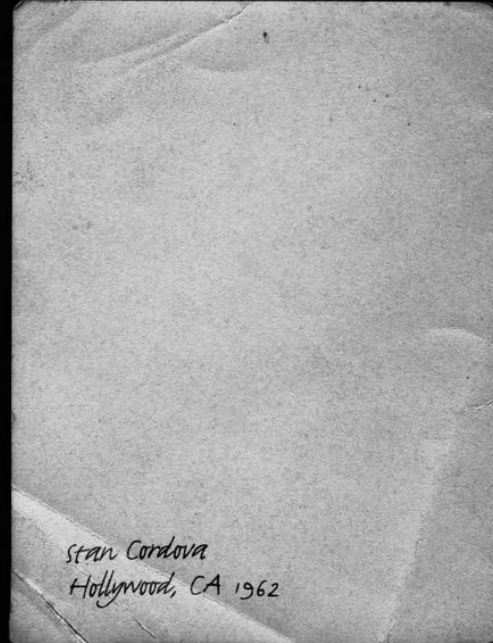
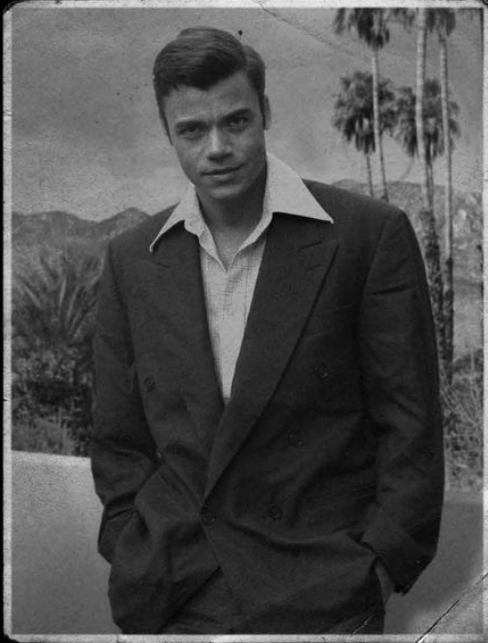
ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

WYNIKI WYSZUKIWANIA „PRAWDZIWE ZDJĘCIA CORDOVY”

Wynik 9 z 243



WYSŁANE PRZEZ: Czasem Musisz Paść Na Kolana

12.02.2000 2:03

Znalazłem to zdjęcie na wyprzedaży rzeczy używanych w Beverly Hills w 1999 roku. Było w pudełku pełnym starych fotografii rodzinnych i map. Zapytałem organizatorkę wyprzedaży, skąd pochodzi to zdjęcie. Nie wiedziała. Po prostu porządkowała dom ojczyma, który niedawno zmarł. Miał 82 lata. Podobno był księgowym w różnych firmach w okolicach Hollywood, często nielegalnych. Pracował między innymi dla słynnej burdelmamy z Beverly Hills kierującej siatką domów publicznych obsługujących i mężczyzn, i kobiety.

Czytałem tu, na Blackboardsach, że kiedy Cordova postanowił nakręcić swój pierwszy film, *Postaci skapane w świetle*, wyjechał do Hollywood i zarabiał jako żigolak. Zgaduję - choć strzelam w ciemno - że jest to zdjęcie skradzione z akt burdelmamy, które pokazywała potencjalnym klientkom.



NASTĘPNE >>



PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

WYNIKI WYSZUKIWANIA „PRAWDZIWE ZDJĘCIA CORDOVY”

Wynik 22 z 243



Lola & babe 8 1/2 months

WYSŁANE PRZEZ: Axel

12.10.2001 4:18

Moja matka była właścicielką kilku tanich kamienic czynszowych na Bronksie niedaleko Morris Avenue. Mieszkali tam głównie włoscy i hiszpańscy imigranci, często nielegalnie.

W 1967 roku nagle bez słowa wyniosła się jedna z osób wynajmujących tam mieszkanie. Zostało po niej tylko to zdjęcie, znalezione pod dywanem w salonie. Lokal - kawalerkę pod numerem 2E - przez ponad dwadzieścia lat wynajmowała Włoszka, która prawie nie mówiła po angielsku. Wprowadziła się tam w 1944 roku, zaraz po tym, jak wyemigrowała z Hiszpanii. Przyszła z małym dzieckiem, ale bez męża. Na umowie najmu podpisała się jako Lola Cordova. Myślę, że to musi być zdjęcie Stanisława Cordovy z matką, wykonane wkrótce po ich przyjeździe do Ameryki. Moja mama opowiadała, że była to cicha, schludna kobieta, zawsze płaciła czynsz na czas, pracowała niestrudzenie na dwóch etatach - jako pokojówka na Manhattanie oraz sprzątaczką u bogatych ludzi. Mama, zajęta zarządzaniem czterema kamienicami, nie pamięta, żeby widywała tego chłopca, jak dorastał i bawił się na podwórku tak jak inne dzieci. Po dziś dzień nie wie, dokąd odeszła kobieta ani co się z nią stało.

PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

WYNIKI WYSZUKIWANIA „PRAWDZIWE ZDJĘCIA CORDOVY”

Wynik 59 z 243



Harvey Koon Antiques

WYSŁANE PRZEZ: Emily Jackson Nie Jest Szalona

2.08.2002 0:39

Latem 2001 roku pracowałem w biurze nowojorskiego handlarza antyków Harveya Koon. Koon specjalizuje się w osobliwych antykach, od narzędzi tortur hiszpańskiej inkwizycji aż po stary sprzęt morski. Ma wielu dziwnych, bogatych klientów, często anonimowych. Pewnego dnia, przygotowując faktury, trafiłem na adres, który rozpoznałem: Droga lokalna 112 nr 1014, Crowthorpe Falls, Nowy Jork.

To adres Szczytu, posiadłości Cordovy.

Zaintrygowany sprawdziłem historię przedmiotów przesłanych pod ten adres. Ostatnim zakupem były dwa zgniatacze kciuków - narzędzia tortur stosowane od czasów średniowiecza, używane do łamania palców więźniom. Takie same narzędzia posiada Brad Jackson, profesor mediewistyki z filmu Cordovy pod tym samym tytułem: *Zgniatacz kciuków*.

Dwa pozostałe przedmioty wysłane pod ten adres to wyprodukowany przez firmę Siebe Gorman hełm nurkowy Królewskiej Marynarki Wojennej oraz bardzo drogi rumuński pal z piętnastego wieku - pionowa włócznia ze stali, na którą więźniowie byli nabijani jak prosięta. Słynął z tego Vlad Palownik, znany również jako Drakula. Najwyraźniej Cordova - albo inny z mieszkańców - kolekcjonuje takie specyficzne antyki.

W dzień po tym odkryciu zostałem zwolniony ze względu na „problemy finansowe”. Nie dowiedziałem się, czy szef zorientował się, że zacząłem myszkować i odkryłem, że naszym klientem był Cordova, czy to po prostu zbieg okoliczności.

[NASTĘPNE >>](#)



PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

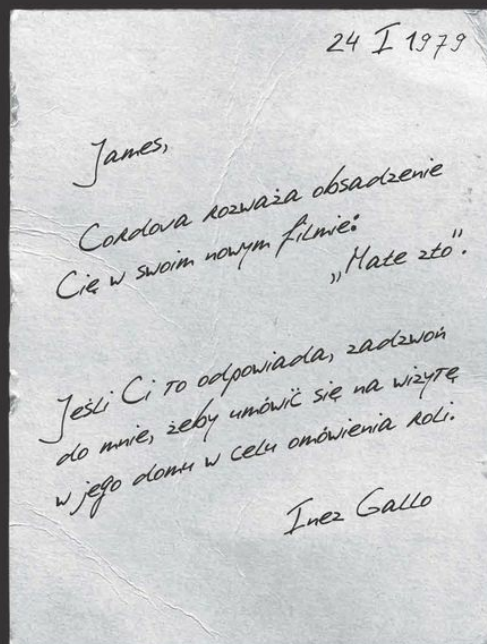
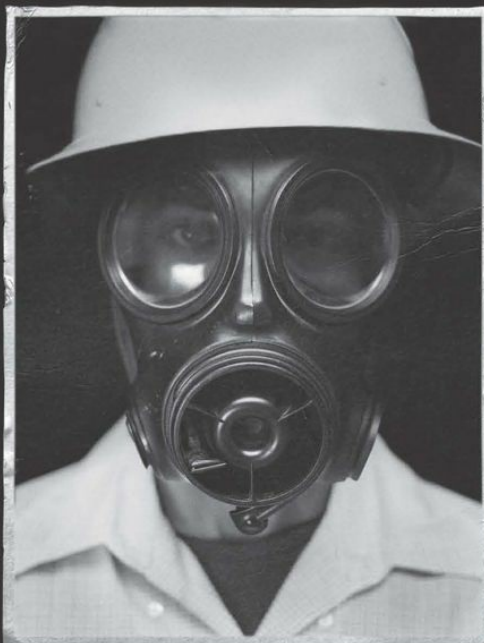
ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

WYNIKI WYSZUKIWANIA „PRAWDZIWE ZDJĘCIA CORDOVY”

Wynik 85 z 243



WYSŁANE PRZEZ: Prawda to Trudne Zadanie

22.11.2003 4:19

W latach 70. i 80. mój ojciec pracował jako agent artystów w firmie Discover Management. Reprezentował gwiazdora filmowego, Jamesa Coburna. Gdy dorastałem, opowiadał, że kiedy korespondowała z nim Inez Gallo, asystentka Cordovy, przysłała mu upiorne zdjęcie przedstawiające reżysera w masce przeciwigazowej. Zawsze myślałem, że mój ojciec - skory do dowcipów - żartował. Kiedy w 1994 roku zmarł na zawał, znalazłem to wśród papierów, przeszukując jego biurko. To zdjęcie formatu 20 x 25 cm. List na odwrocie napisano czarnym markerem.

Pamiętam coś jeszcze, co tata opowiadał o Cordovie. Podobno „ludzie, którzy wiedzą”, szeptali, że z oczami reżysera jest coś nie tak - cierpiał na światłowstręt, dlatego często nosił okulary przeciwsłoneczne z zupełnie czarnymi szklami albo staromodne gogle dla kierowców.



NASTĘPNE >>



PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

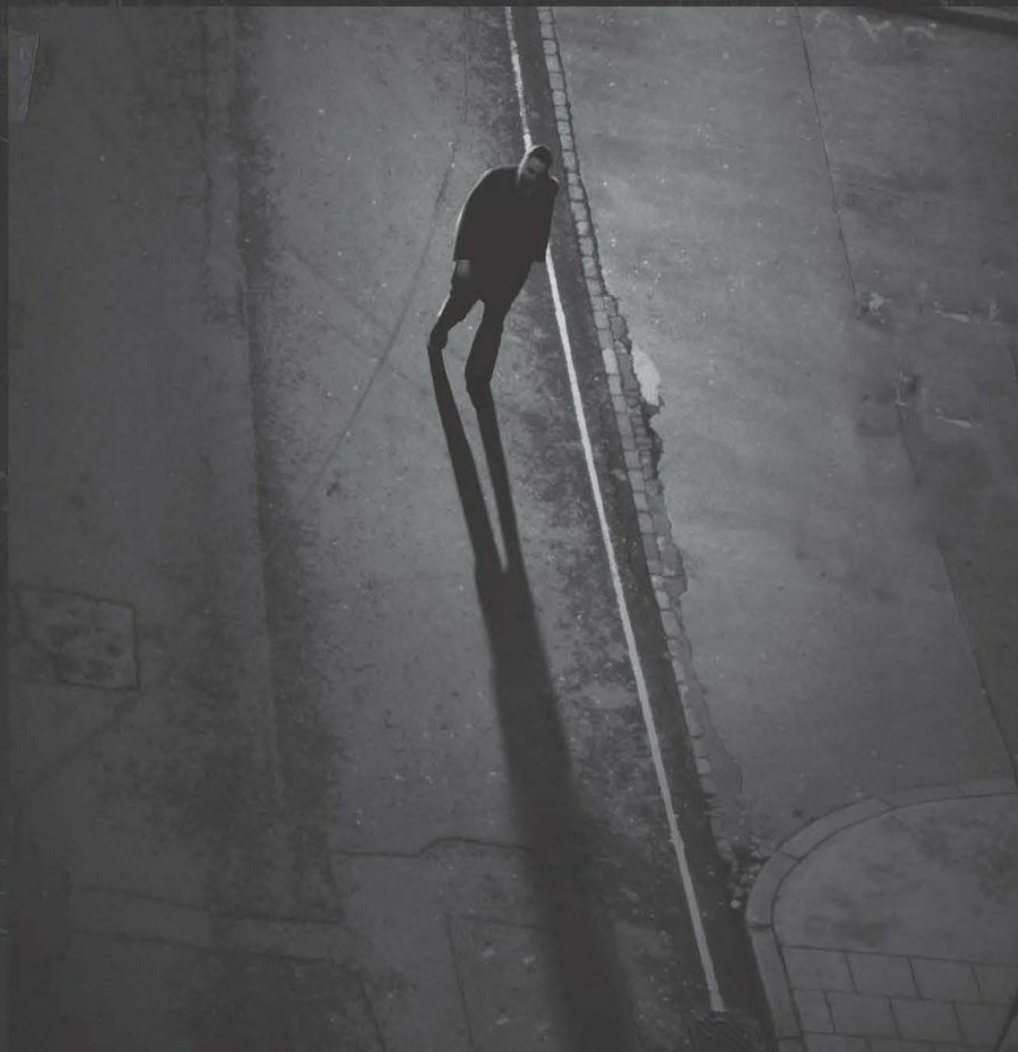
ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

WYNIKI WYSZUKIWANIA „PRAWDZIWE ZDJĘCIA CORDOVY”

Wynik 104 z 243



WYSŁANE PRZEZ: Jeśli Zobaczysz Martwego Ptaka

9.08.2004 0:39

W 1991 roku pracowałem jako asystent producenta filmowego Artiego Cohena. Pewnej nocy Artie oznajmił, że zostanie dłużej w pracy. To było coś niesłychanego; uwielbiał wracać do domu przed szóstą, żeby zjeść kolację z dziećmi. Był podminowany, kazał mi iść do domu - zasugerował, żebym zabrał dziewczynę na kolację. Wiedząc, że Artie jest od wielu lat producentem Cordovy, zrozumiałem, że coś się święci. Pożegnałem się i popędziłem do domu po aparat fotograficzny. Potem wróciłem do naszego biurowca w TriBeCa, wszedłem tylnymi schodami, znalazłem dobrą pozycję przy oknie z widokiem na ulicę i czekałem.

NASTĘPNE >>

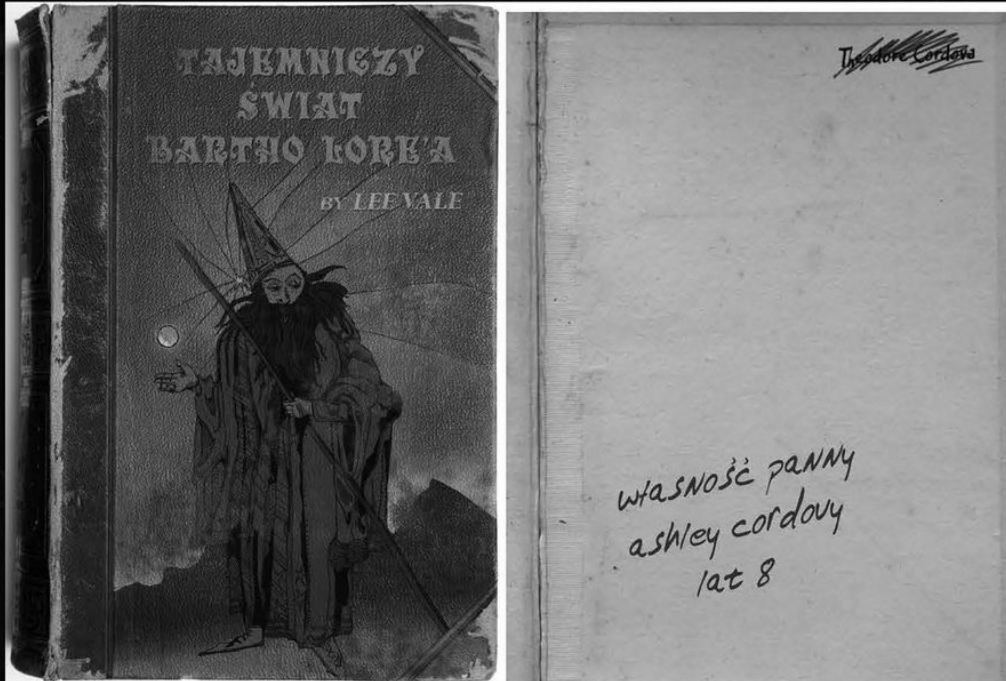
I czekałem. Po czterech godzinach przysnąłem. Kiedy się obudziłem, zszedłem, żeby zajrzeć do biura Artiego. Światło wciąż się paliło. Artie był sam. Co więcej, był pijany - mówił sam do siebie. Wróciłem na stanowisko obserwacyjne. Wreszcie, o 2.37 w nocy, zza rogu wyłonił się samotny mężczyzna i przeszedł przez jezdnię. W ciemności niewiele widziałem, ale to na pewno był Cordova. Zrobiłem kilka zdjęć tej postaci na ślepo, bo przez wizjer nic nie było widać. Zniknął w naszym budynku. Pomyślałem, że kiedy wyjdzie, pójdę za nim, żeby zrobić więcej zdjęć. Czekałem. Wkrótce weszło słońce. Zdziwiony sprawdziłem biuro Artiego. Było zamknięte, zupełnie ciemne. Musieli wyjść tylnym wejściem. A może nieświadomie przysnąłem na parę minut? Przygnębiony wróciłem do domu i wywołałem film. Wszystkie zdjęcia wyszły ciemne i nieostre - z wyjątkiem tego jednego.

Artie nigdy nie wspomniał o tym wydarzeniu. Kiedy go spytałem, dlaczego został w pracy, odpowiadał nerwowo. „Byłem tutaj sam” - zapewnił. Ostatecznie ta fotografia stała się dla mnie wystarczającym dowodem istnienia Cordovy oraz tego, że z jakiegoś powodu pojawia się tylko nocą.

PARKING CORDOVA FILMY WYSTRASZ ZAKAZANE OBCY WDRAP SIĘ

WYNIKI WYSZUKIWANIA „PRAWDZIWE ZDJĘCIA CORDOVY”

Wynik 172 z 243



WYSŁANE PRZEZ: Wkrótce Gdzieś Rozbrzmi Śmiech

28.10.2006 1:48

Ta książka została znaleziona na szafce przy łóżku w pokoju hotelowym, gdzie 25 lipca 1996 roku nocowała legendarna aktorka Marlowe Hughes. To Hôtel du Cap-Eden-Roc w Cap d'Antibes. Nazajutrz zadzwoniła jakaś kobieta, żeby spytać, czy znaleziono tę książkę. Pracowałem w recepcji i to ja odebrałem telefon. Skłamałem, że nie.

U góry cienkim ołówkiem zamazano nazwisko Theodore Cordova.



NASTĘPNE >>



PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

WYNIKI WYSZUKIWANIA „PRAWDZIWE ZDJĘCIA CORDOVY”

Wynik 218 z 243

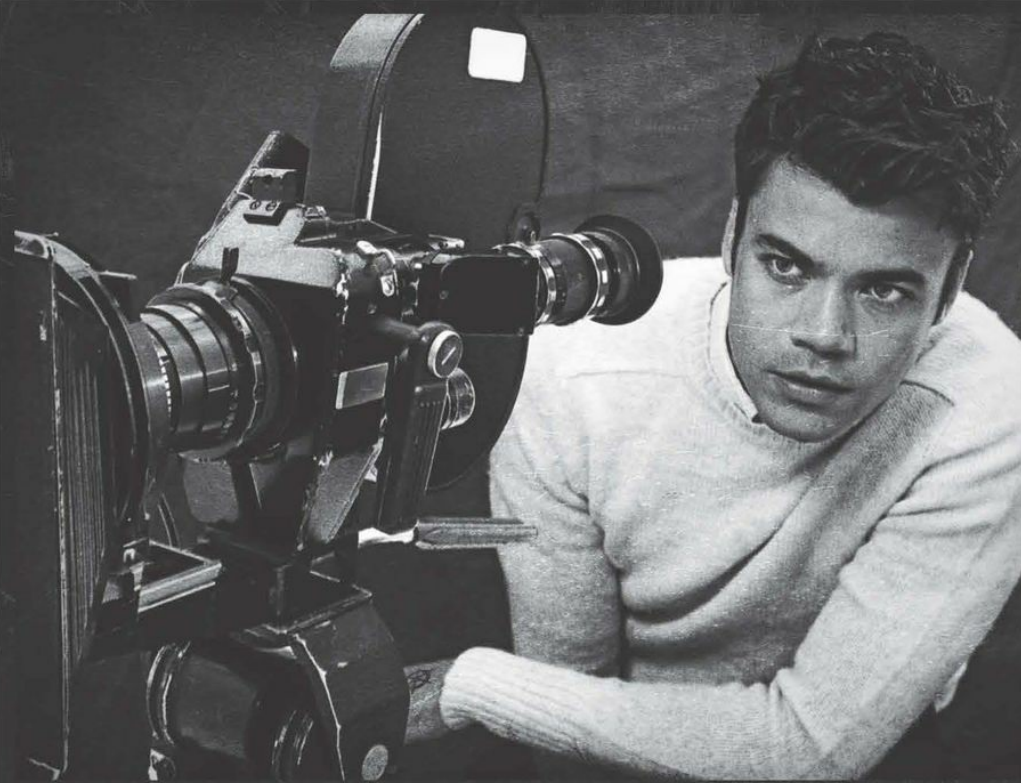


WYSŁANE PRZEZ: Okaz 919

11.05.2008 23:28

Uważam, że Inez Gallo, wieloletnia asystentka Cordovy, i Stanislas Cordova to jedna i ta sama osoba. Na zdjęciach z gali rozdania Oscarów, gdy odbierała w imieniu Cordovy nagrodę za *Zgniatacz kciuków* (1979), widać tatuaż koła na wierzchu jej dłoni.

NASTĘPNE >>



Taki sam tatuaż widać na dłoni Cordovy na oryginalnym fotosie z Warner Bros. promującym jego pierwszy film, *Postaci skapane w świetle* (1964).



NASTĘPNE >>



PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

WYNIKI WYSZUKIWANIA „PRAWDZIWE ZDJĘCIA CORDOVY”

Wynik 243 z 243



WYSŁANE PRZEZ: Diane z kursu pisarstwa

21.02.2011 3:06

To się z tobą dzieje, kiedy oglądasz film Cordovy.

NASTĘPNE >>



WYSŁANE PRZEZ: Crowboy123

23.12.2006 23:27

Mieszkam w Long Lake, 21 kilometrów od Crowthorpe Falls.

Pewnej nocy w czerwcu 1992 roku, kiedy jadłem kolację w przydrożnej restauracji, w jednym z boksów zauważyłem nastoletniego Meksykanina, który wyglądał na przerażonego. Nie mówił po angielsku. Jestem nauczycielem hiszpańskiego w miejscowym liceum, więc zapytałem go, czy potrzebuje pomocy. Powiedział, że właśnie był świadkiem czegoś przerażającego.

Mówił, że jest jednym z grupy robotników sezonowych, których nieco ponad miesiąc wcześniej przywieziono z Meksyku do Crowthorpe Falls do pracy na planie prywatnego filmu. Domyślałem się, że chodzi o coś nielegalnego, ale nie naciskałem go w tej sprawie, bo był wystraszony. Wyjaśnił, że tego dnia kręcili w lesie scenę jazdy samochodem z dwójgim aktorów. Pracowali od kilku godzin, gdy nagle ktoś obcy - nastoletni chłopak - wbiegł przed kamerę, wrzeszcząc. Nastąpiło straszne zamieszanie, ale w końcu okazało się, że to syn reżysera, który reperował motorówkę nad pobliskim jeziorem i obcięło mu trzy palce.

Chłopak trzymał zakrwawione palce w ręce, krzyczał z bólu i błagał ojca, żeby wezwał karetkę.

Reżyser odmówił. Zamiast tego zwolnił jednego z aktorów i kazał synowi zagrać jego rolę. Nakręcił szesnaście pełnych

ujęć, zanim w końcu chłopak zemdłał. Wreszcie przyjechała karetka. Ale wtedy na przysycie palców było już za późno.

Kiedy Meksykanin skończył opowiadać, był jeszcze bardziej wystraszony. Otarł łzy, a potem wyszedł z restauracji. Zadzwoiłem na policję w Crowthorpe Falls i powiedziałem, żeby zbadali to zajście, ale nikt się już ze mną nie skontaktował.

Ta historia prześladowała mnie latami. Zdołałem namierzyć w internecie kopię horroru, który Cordova nakręcił w tamtym czasie, *Tu na mnie czekaj*. Z przerażeniem zobaczyłem, że rolę N.N. na początku filmu gra syn Cordovy, Theo. Wierzę, że wszystko, co powiedział mi ten Meksykanin, to prawda. Przerazający ból na twarzy Theo jest autentyczny, a jeśli zatrzymać film dokładnie w 5 minucie i 48 sekundzie, widać gołe kości obciętych palców.

Spędziliśmy z Norą na Blackboardsach prawie całą noc.

To było jak błędzenie po nawiedzonym domu w lunaparku, zupełnie ciemnym, pełnym zapadni i tuneli. Głosy wołają z pokojów pozbawionych drzwi, a ty słaniasz się po chwiejnych schodach, które wiją się, zagłębiają w ziemię i nie mają końca.

Ilekcję miałem zaproponować, żebyśmy poszli spać, a do przedzierania się przez bezdenne archiwum Cordovy wrócili rano wypoczęci, natrafialiśmy na kolejną anegdotę, na którą warto kliknąć, kolejne niesamowite wydarzenie, pogłoskę albo dziwne zdjęcie.

Wystraszyć dzikość – całkiem sporo było stron poświęconych rzekomej filozofii życiowej Cordovy, która, krótko mówiąc, sprowadzała się do tego, że przerażenie, obłądny strach, to początek wolności, otwarcie oczu na to, co w życiu drastyczne, mroczne i piękne, pokonanie w ten sposób potworów w swojej głowie. W żargonie cordovitów nazywało się to „zglądzeniem owieczki”, pozbyciem się potulnego, strachliwego ja, uwolnienie się od ograniczeń narzucanych przez przyjaciół, rodzinę i całe społeczeństwo.

Kiedy zglądzisz owieczkę – oznajmiano na stronie – jesteś zdolny do wszystkiego, świat jest twój.

Suwerenny. Zabójczy. Perfekcyjny.

Te trzy określenia, których Cordova użył w słynnym wywiadzie dla „Rolling Stone”, opisując ulubiony kadr ze swych filmów – zbliżenie własnego oka – stanowiło motto Blackboardsów oraz definicję życia jako takiego. *Suwerenny*: świętość jednostki, postrzeganie siebie jako istoty wspaniałej, potężnej, samowystarczalnej, wydarcie społeczeństwu władzy nad sobą. *Zabójczy*: nieustająca świadomość, że śmierć jest nieunikniona, więc nie ma powodu, by teraz nie być w życiu dzikim. *Perfekcyjny*: zrozumienie, że życie oraz to, gdzie się w tej chwili znajdujesz, jest absolutnie idealne. Zero żalu, zero poczucia winy, bo nawet jeśli tkwisz w miejscu, jest to tylko kokon, z którego możesz się wyrwać – uwalniając swoje życie.

Już wcześniej wiedziałem, że fani Cordovy mają go za amoralnego czarodzieja, mrocznego kapłana, który uwolni ich od tego, co w życiu codziennym zatechłe i nużące, i poprowadzi daleko w głąb tuneli wilgotnego podbrzusza świata, gdzie każda godzina jest niespodziewana. Gdy przedzierałem się przez podszepty i podejrzenia na stronach Blackboards, niesamowita mnogość anonimowych komentarzy – od nabożnych przez lękliwe aż po wynaturzone i zepsute – tylko potwierdziła to, co już od dawna podejrzewałem: że Cordova nie był ekscentrykiem w typie Lewisa Carrolla czy Howarda Hughesa, ale człowiekiem wzbudzającym u ogromnej liczby ludzi oddanie i podziw jak przywódca sekty.

O 3.45 Nora i ja – majaczący i otępiali – siedzieliśmy w salonie. Wygrzebałem piracką kopię *Tu na mnie czekaj* kupioną od Beckmana za siedemdziesiąt pięć dolarów i właśnie oglądaliśmy przerażającą pierwszą scenę, w której Jenny Decanter, grana przez dwudziestodwuletnią Tamsin Polk, jedzie samotnie leśną drogą w środku nocy.

Nagle spomiędzy drzew wypadł Theo Cordova, obsadzony jako N.N. nr 1. Jenny wcisnęła hamulec, samochód wpadł do rowu, silnik zgasł.

Zawsze byłem zdania, że Theo przypomina obłąkanego Puka: otumaniony, półnagi, ze szklistym wzrokiem, krwią i jakby śladami ludzkich ugryzień na obnażonym torsie. Teraz, w świetle wpisu Crowboya123 z Blackboardsów, wyglądał jeszcze bardziej przerażająco. Kiedy zastukał w szybę i wypowiedział swoją jedyną kwestię – „Błagam, pomocy” – niemal zagłuszoną przez krzyki Jenny, jego głos sączył się niczym dziwaczna żywica.

Nora, stojąca obok płaskiego ekranu telewizora, spauzowała film.

Klatka po klatce brnęła do piątej minuty i czterdziestej ósmej sekundy. Wtedy zobaczyliśmy, że Theo nie ma trzech palców.

– O, tu!

– To jest film. W grę mogą wchodzić efekty specjalne, charakteryzacja, protezy...

– Ale na jego twarzy jest prawdziwy ból. Jestem tego pewna.
Nacisnęła PLAY i dłoń Thea zniknęła z kadru.

Jenny zdołała uruchomić silnik, a potem, niemal rozjeżdżając tego otumanionego, rannego chłopca, wróciła na drogę. Gałęzie smagały przednią szybę, opony piszczały. Przerazona i zapłakana pognąła przed siebie na oślep, patrząc na niego w lusterku wstecznym.

Półnaga sylwetka jarzyła się na czerwono w blasku tylnych świateł auta, wkrótce pociemniała, a potem – błyskawicznie niczym insekt – chłopak zbiegł z drogi i zniknął z pola widzenia.

Nora wdrapała się z powrotem na kanapę, naciągnęła na nogi wełniany koc i podniosła Septimusa ze stolika, jakby ten stareński ptak mógł ją ochronić przed koszmarem, który miał się rozegrać na ekranie.

– Zrobić popcorn? – zapytałem.

– Koniecznie.

W końcu obejrzelśmy *Tu na mnie czekaj* w całości.

Filmy Cordovy były jak narkotyk: nie dało się obejrzeć tylko minuty. Chciało się więcej i więcej. Około wpół do szóstej, kiedy mój umysł przesiąkł krwawymi obrazami oraz potworną historią – nie wspominając już o echu szeptów anonimowych głosów, które wołały do nas z Blackboardsów – Nora i ja wreszcie poszliśmy spać.

Kiedy się obudziłem, przywitała mnie wiadomość, że „Vanity Fair” ma „informacje z pierwszej ręki” na temat Ashley Cordovy i artykuł ukaże się na stronie internetowej w ciągu kilku dni. To oznaczało, że inni dziennikarze nie tylko są już na tropie, ale lada moment zapewne i oni trafią do Briarwood – a także do Morgana Devolda. Wtedy stracę wszelką przewagę, jaką dały mi znajomość z Sharon Falcone oraz dostęp do akt policyjnych Ashley.

Tymczasem moje śledztwo niestety utknęło w martwym punkcie.

Dowiedzieliśmy się o ucieczce Ashley z Briarwood oraz o tym, że stwierdzono u niej nyktofobię, „głęboki lęk przed ciemnością i nocą, wywoływany przez wypaczone wyobrażenie mózgu o tym, co może stać się z ciałem w mroku”, jak napisano w „New England Journal of Medicine”. Dokonaliśmy pewnego wyczynu, logując się z powodzeniem na Blackboards, i dzięki temu mogliśmy teraz przeczesywać pogłoski rozprowadzane przez najzagorzalszych fanów Cordovy.

Nie mieliśmy jednak żadnych nowych poszlak.

Po rozstaniu się z Morganem Devoldem Ashley przyjechała pociągiem do Nowego Jorku, ale w jakim celu oraz gdzie przebywała przez te dziesięć dni przed śmiercią – oprócz trzydziestego piętra Waldorf Towers – pozostawało tajemnicą.

Mógłbym przekupić pracownika hotelu i zdobyć listę wszystkich gości, którzy zatrzymali się na piętrze w tym okresie – od 30 września do 10 października – wiedziałem jednak z doświadczenia, że potrzebuję czegoś więcej, jakiegoś filtra, który pozwoli przesiać te nazwiska. Lista byłaby długa, a na pewno wielu gości to bogaci turyści, którym nie spodobałyby się pytania o to, co robili w hotelu – i nie czuliby się w żaden sposób zobligowani do szczerzej odpowiedzi. Musiałbym ich wszystkich odnaleźć i pokazać im fotografię Ashley. Pewnie i tak niewiele bym się dowiedział, a co gorsza zmarnował mnóstwo czasu.

– Może powinniśmy pójść z fotografią Ashley do różnych sklepów w pobliżu Waldorfa – zaproponowała Nora, kiedy się

z nią tym podzieliłem – i zapytać, czy ktoś jej nie zauważył. W tym czerwonym płaszczu musiała rzucać się w oczy.

– Równie dobrze mógłbym iść na Time Square i zaczepiać przypadkowych przechodniów. To zbyt ogólne podejście. Potrzebujemy konkretów.

Nora zasugerowała, żebyśmy obejrzeliby więcej filmów Cordovy.

– Może zauważymy jakieś ukryte szczegóły. Takie jak te ucięte palce Thea.

Z braku innych pomysłów odkurzyłem wydany przez Warner Bros. zestaw ośmiu filmów – od *Dziedzictwa* (1966) do *Owocu miłości* (1985) – zapakowany w pudełko wzorowane na słynnej teczce Samsonite ze *Zgniatacza kciuków* (1979). Spuściliśmy rolety w salonie, zrobiliśmy jeszcze więcej popcornu i zasiedliśmy do maratonu z Cordovą.

Nora zadzwoniła do Hoppera, żeby zaprosić go do wspólnego oglądania, ale nie odebrał. Szczerze mówiąc, wcale bym się nie dziwił, gdybyśmy już nigdy więcej go nie zobaczyli. Nerwowość tego chłopaka – bez względu na charakter jego relacji z Ashley – podpowiadała mi, że jego chęć zaangażowania się w śledztwo będzie równie zmienna co nastrój. Wydawało się, że Hopper chwieje się między głębokim zainteresowaniem a pragnieniem, żeby o wszystkim zapomnieć.

Właśnie robiłem popcorn, bo zamierzaliśmy włączyć *Zgniatacz kciuków*, kiedy zadzwonił domofon.

– Ja otworzę! – zawołała śpiewnie Nora.

Po minucie, gdy nie słyszałem nic oprócz ciszy, wychyliłem głowę z kuchni. Ku mojemu zaskoczeniu w przedpokoju stały Cynthia i moja córka Sam. W oszołomieniu wpatrywały się w Norę.

W ten weekend moja kolej. Zapomniałem.

Widok byłej żony wciąż był dla mnie szokiem. Neutralnym pośrednikiem wożącym Sam była Jeannie. Wizyta Cynthii w moim domu to coś jak pojawienie się niedźwiedzia grizzly

w obozowisku na pustkowiu: makabryczny scenariusz, który co prawda rozważałem, ale tylko jako najgorszą katastrofę.

W płaszczu z kremowej wełny i džinsach, z falującą burzą popielatoblond włosów jak zwykle wyglądała oszałamiająco. Była marszandką w ekskluzywnej galerii sztuki współczesnej przy Madison Avenue i często mierzyła wzrokiem dziwnie ubranych obcych ludzi, jakby patrzyła na namalowane aerografem portrety Elvisa za dziewięćdziesiąt dziewięć centów.

– Cześć, kochanie – powiedziałem do Sam. – Pani Quincy. Czemu zawdzięczamy tę przyjemność?

Cynthia odwróciła się do mnie.

– Nie dostałeś moich wiadomości? Jeannie jest w szpitalu. Zachorowała na mononukleozę i musi jechać do domu do Wirginii. Wróci dopiero, jak wyzdrowieje. Najwcześniej za półtora miesiąca.

Spojrzałem na Sam, która mocno ścisnęła rączkę swojej walizki z *Toy Story*. Wpatrywała się w Norę wybałuszonymi oczami, szeroko otwierając usta.

– Kochanie, czy poznałeś już moją nową asystentkę badawczą?

Nie odpowiedziała. W obecności obcych ludzi często z wrażenia odbierało jej mowę. Zawstydzona schowała się za moją byłą żoną.

– Mogę porozmawiać z tobą na osobności? – zapytała Cynthia z bladym uśmiechem.

– Oczywiście.

– Sam, poczekaj tutaj. Zaraz wrócę.

Cynthia pierwsza ruszyła korytarzem. Weszliśmy do mojego gabinetu i zamknęła za mną drzwi.

– Kto to jest?! – zapytała.

– Nora. Pomaga mi w pracach nad artykułem.

– Ile ona ma lat? Szesnaście?

– Dziewiętnaście. I jest bardzo dojrzała na swój wiek.

Bardzo chętnie wyobraziłbym sobie, że Cynthia robi się zazdrosna, widząc mnie z inną kobietą, ale te pytania nie miały

nic wspólnego z moją osobą. Bała się o Sam.

Rozejrzała się wkoło i zmarszczyła czoło, widząc papiery i notatki rozrzucone po podłodze. Na pewno pomyślała sobie: pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Wciąż była piękna. To okropne. Czekalem, aż wreszcie utonie w rzeczywistości kobiety po czterdziestce, aż zbudzi się pewnego dnia ze zmarszczkami niczym labirynt kretowisk szpecących nienaganny trawnik. Ale nie, te jej zielone oczy, te kości policzkowe, te małe, pełne ekspresji usta komunikujące każdy nastrój z precyzją tłumacza z ONZ, wciąż były młode i pełne życia. Teraz to Bruce co rano widywał tę twarz po przebudzeniu. Ciągle nie mogłem uwierzyć, że taki mężczyzna – pięćdziesięcioośmiolatek z brzuszkiem, włochatymi nadgarstkami i jachtem o nazwie *Dominion II* zacumowanym w Lyford Cay – może żyć na co dzień z taką pięknnością. Miał smykałkę do wynajdywania okazji na rynku, to muszę przyznać. Kiedy Cynthia sprzedała mu obraz Damiena Hirsta dość trafnie zatytułowany *Piękna krwawa rana nad materializmem malowania pieniędzy*, Bruce spostrzegł, że i ona jest dziełem sztuki, które można by podziwiać do końca życia. Ale że Cynthia pozwoli się kupić razem z obrazem – tego nie przewidziałem.

Kiedy ją poznałem na drugim roku studiów na Uniwersytecie Michigan, była ubogą, rozkojarzoną studentką romanistyki, która ciągle cytowała Simone de Beauvoir. Wycierała nos rękawem płaszcza, kiedy padał śnieg, i jak pies wystawiała głowę przez okno samochodu, a wiatr serpentynami rozrzucał jej włosy. Tamtej kobiety już nie było. Ale to nie jej wina. To właśnie robią z ludźmi wielkie fortuny. Wysyłają ich do pralni, brutalnie ich krochmalą i rozprasowują, tak żeby znikły wszystkie nierówne krawędzie, cały brud i głód, i prostoduszny śmiech. Tylko nieliczni potrafią przeżyć zderzenie z prawdziwą forszą.

– Więc ty i ta dziewczyna tylko razem pracujecie – powiedziała Cynthia, odwracając się do mnie plecami.

– Tak. Jest moją asystentką badawczą.

– Cóż, w twoim przypadku asystentka badawcza to bardzo elastyczna funkcja.

Celnie mnie trafiła. Rzeczywiście, po naszym rozwodzie związałem się na chwilę ze swą poprzednią asystentką Aurelią Feinstein, lat trzydzieści cztery – choć muszę w tym miejscu nadmienić, że to wcale nie było takie podniecające, jak może się wydawać. Kochanie się z Aurelią przypominało kartkowanie katalogu w opustoszałej bibliotece w poszukiwaniu mało znanej i rzadko czytanej pracy o węgierskiej poezji. Panowała głucha cisza, nikt nie udzielał mi wskazówek i nic nie było na swoim miejscu.

– Wszystko jest grzeczne jak w dobranocce, więc o co ci chodzi?

– Nawet nie pamiętałeś, że dzisiaj przychodzi Sam.

– Nieprawda. Będzie się doskonale bawiła. A gdyby pojawiły się kłopoty, zadzwonię do ciebie i ewakuujesz ją black hawkiem.

– A Nancy?

– Nora. Do dziesiątej już jej tu nie będzie. – To nie była właściwa chwila, by mówić, że Sam ma nową współlokatorkę.

Cynthia westchnęła ze znajomą, zrezygnowaną miną.

– Przywieź ją do mnie w niedzielę przed szóstą. Przełożyliśmy z Bruce'em wycieczkę do Santa Barbara na przyszły tydzień, więc Sam będzie u ciebie w długi weekend. – Sceptycznie zmierzyła mnie wzrokiem. – Chyba że nie dasz sobie rady.

– Dam.

– Jedziemy z przyjaciółmi, więc nie możesz nagle zmienić zdania.

– Masz moje słowo. Chcę z nią spędzić więcej czasu.

Chyba przyjęła to do wiadomości. Przerzuciła swoje blond włosy przez ramię i wpatrywała się we mnie wyczekująco, jakbym miał powiedzieć coś jeszcze.

To właśnie jedna z wielkich zagadek naszego małżeństwa. Przez szesnaście lat wspólnego życia często czekała, aż powiem coś jeszcze, zupełnie jakby istniały jakieś konkretne słowa zdolne otworzyć ów perfekcyjny sejf o imieniu Cynthia. Nigdy nie udało

mi się odkryć tego szyfru. „Kocham cię” nie działało. „O czym myślisz?” też nie. Ani „Powiedz, co chcesz ode mnie usłyszeć”.

Zawsze czekała minutę albo nawet dłużej, a kiedy pojmowała, że pozostanie zamknięta aż do odwołania, odchodziła pogrążona w hermetycznie szczelnym milczeniu. To samo zrobiła teraz, otworzyła drzwi i ruszyła korytarzem.

Już miałem pójść za nią, gdy w kieszeni zadzwoniła mi komórka. To Hopper.

– Przyjedź na róg Pięćdziesiątej Ósmej i Broadwayu! – zawołał, przekrzykując syrenę policyjną. – Natychmiast!

– Co?

– Znalazłem kogoś, kto widział Ashley parę dni przed śmiercią.

Zerknąłem do przedpokoju. Cynthia rozbierała Sam z kurtki. Cholera.

– Daj mi dwadzieścia minut – powiedziałem, a potem się rozłączyłem.

A więc Hopper jednak nie potrafił trzymać się z dala od tej sprawy. Okazywał się nie lada kartą atutową.

Sam patrzyła na mnie z nadąsaną miną. Chociaż przykucnąłem i z całym dramatyзмом, na jaki potrafiłem się zdobyć, wyjaśniłem jej, że tatuś ma supertajną sprawę i musi lecieć, więc ona zostanie u mamusi, nie odezwała się ani słowem.

– W przyszły weekend spędzimy razem aż cztery dni – powiedziałem. – Tylko we dwoje, dobra?

Wciąż cisza. Ale potem, z miną świadczącą o tym, że Sam myśli o czymś ważnym, podniosła prawą dłoń i... poklepała mnie po głowie. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Cynthia, cała czerwona, rzuciła mi spojrzenie, które mówiło: „Świetny z ciebie ojciec”, ale ze względu na małą uśmiechnęła się sympatycznie, wyciągnęła rączkę walizki z *Toy Story* i podała ją Sam, która posłusznie powlokła swój bagaż do drzwi jak zmęczona stewardesa, która właśnie usłyszała, że czeka ją dodatkowy lot do Cincinnati.

– Pa, kochanie – powiedziałem. – Kocham cię bardziej niż... niż co?

– Niż słońce plus księżyc – odparła, idąc korytarzem.

– Wynagrodzę jej to – odezwałem się do Cynthii.

– Oczywiście. – Przerzuciła włosy przez ramię i uśmiechnęła się, a potem ruszyła za małą. – Doliczmy ci do rachunku.

Podszedłem do szafy w przedpokoju, usiłując nie zważać na tsunami wyrzutów sumienia, które właśnie się przeze mnie przelewało.

– Dzwonił Hopper – powiedziałem do Nory przez ramię. – Jedziemy spotkać się z nim na mieście. Natychmiast. Ma jakąś poszlakę.

Wziąłem klucze, ale Nora wciąż stała bez ruchu na progu salonu. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– O co chodzi? – zapytałem.

– To było straszne.

– Co?

– Tamto.

– Moja była żona? No, wiem. Uwierzyłybyś, że kiedyś ta kobieta żyła tylko po to, żeby w sobotę chodzić na karaoke? Na studiach wołaliśmy na nią Bangles. Ciągle wyśpiewywała *Walk Like an Egyptian* w miejscach publicznych i za żadne skarby nie chciała przestać.

– Nie o niej mówię.

Właśnie pomagałem Norze włożyć okrycie.

– To o czym? Tylko się streszczaj, bo musimy lecieć.

– Myślisz, że jesteś subtelny, ale nie jesteś.

Wypchnąłem ją na korytarz i zamknąłem drzwi.

– Niby w jakiej sprawie?

– Że jesteś w niej zakochany jak wariat.

– Ej! Nikt tu nie jest ani wariatem, ani w nikim zakochany.

Położyła mi rękę na ramieniu i spojrzała na mnie z jawnym współczuciem.

– Musisz nauczyć się żyć dalej. Ona jest szczęśliwa.

Po tych słowach wesoło ruszyła korytarzem, a ja tylko za nią patrzyłem.

Hopper czekał na nas na rogu, pod bankiem HSBC. Palił papierosa, a jego poważna mina i zapadnięta twarz sugerowały, że przez te dwa dni, odkąd się ostatnio widzieliśmy, prawie nie spał.

– Co my tu robimy? – zapytałem.

– Pamiętacie, co mówił Morgan Devold? Że Ashley chyba musiała codziennie grać na fortepianie?

– Jasne.

– Wczoraj zacząłem się nad tym zastanawiać. Skoro przyjechała do miasta, żeby kogoś znaleźć, to dokąd mogłaby pójść, jeśli chciała grać?

– Do klubów jazzowych? Do Juilliard School? Do jakiegoś hotelu z fortepianem w holu? Trudno powiedzieć.

– W żadnym z tych miejsc nie pozwoliliby osobie z ulicy tak po prostu usiąść i zacząć grać. Ale potem sobie przypomniałem, że mam kumpla, którego kręci muzyka klasyczna. Jeśli ktoś jest naprawdę dobry, to w salonach przy Ulicy Fortepianów pozwolą mu grać, jak długo zechce. Zajrzałem dzisiaj do kilku, popytałem i rozpoznałem ją kierownik jednego ze sklepów. Ashley przyszła tam dwa razy na kilka dni przed śmiercią.

– Dobra robota – powiedziałem.

– Właśnie na nas czeka. Ale musimy się pospieszyć, bo zaraz zamknie sklep. – Cisnął papierosa na chodnik i ruszył ulicą.

Nigdy nie słyszałem o Ulicy Fortepianów. Był to odprysk Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy między Broadwayem a Siódmą Aleją, gdzie niepokazne sklepy z fortepianami przycupnęły między ociążałymi blokami z lat sześćdziesiątych niczym garstka wróbli wśród hipopotamów. Prędko minęliśmy mały sklepik o nazwie Beethoven Pianos. Plakaty w oknach reklamowały koncerty Vivaldiego oraz lekcje śpiewu. Wewnątrz identyczne, lśniące fortepiany z otwartymi wiekami stały rzędami jak zwaliste tancerki rewiowe czekające na sygnał. Hopper przeszedł obok supermarketu Morton Williams, a potem na drugą stronę ulicy, minął posterunek straży pożarnej i przystanął przed sklepem z brudną zieloną markizą z napisem KLAVIERHAUS.

Przytrzymałem drzwi Norze i weszliśmy do środka. Inaczej niż w Beethoven Pianos tutaj stały tylko trzy fortepiany. Sklep był pusty, ani jednego klienta czy pracownika. Najwyraźniej w erze internetu fortepiany, podobnie jak papierowe książki, były skazane na wymarcie. Żeby temu zapobiec, firma Apple musiałaby chyba wynaleźć iFortepian, który mieściłby się w kieszeni, a gry można by się nauczyć z SMS-ów. „Dzięki iFortepianowi każdy może być iMozartem. Skomponuj własne iRequiem na swój iPogrzeb, na który przyjdą miliony twoich iPrzyjaciół, którzy cię iKochali”.

Hopper wyłonił się z drzwi w głębi sklepu w towarzystwie chudzielca w średnim wieku ubranego w czarny golf i brązowe sztruksy. Z jego łysej głowy wyrastała rzadka kępka siwych włosów. Wyglądał jak duży chłopiec rozkochany w muzyce klasycznej. Takich miłośników Mahlera często widywało się w promieniu dziesięciu przecznic od Carnegie Hall. Nosili ubrania w ziemistych barwach, mieli na DVD wszystkie koncerty z telewizyjnej serii *Great Performances*, mieszkali samotnie w lokalach na Upper West Side, hodowali kwiatki w doniczkach i codziennie do nich mówili.

– To jest Peter Schmid – powiedział Hopper.

– Kierownik Klavierhausu – dodał Peter z dumą.

Nora i ja również się przedstawiliśmy.

– Rozumiem, że Ashley Cordova była tu przed kilkoma tygodniami – zagailem.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem, kto to jest – odparł gorliwie Peter, splatając dłonie. – Ale odkąd opisał mi ją pan Cole, to owszem, sądzę, że właśnie ona odwiedziła Klavierhaus.

To był jeden z tych ludzi, w których głosie początkowo wyczuwasz obcy akcent, ale potem okazują się Amerykanami, tylko że mówią... delikatnie, jakby każde słowo należało ostrożnie odkurzyć i obejrzeć pod światło.

– Czy odwiedzała pana policja? Pytali o nią?

– Nie, nie. Nie było tu policji. Nie miałem pojęcia, kim była ta kobieta, dopóki dzisiaj nie przyszedł tu pan Cole. Opisał mi ją i od

razu wiedziałem, o kogo chodzi. – Peter zerknął na Hoppera. – Ciemne włosy. Czerwony płaszcz z czarnymi detalami na rękawach. Prawdziwa piękność.

– Kiedy tu była? – spytałem.

– Ma pan na myśli konkretną datę?

– Bardzo by nam pomogła.

Peter czmychnął do wnęki administracyjnej w przeciwległej ścianie. Przez chwilę gmerał za ladą, a potem wyjął duży kalendarz w skórzanej oprawie pełen różnych papierzyk.

– To niemal na pewno był wtorek, bo właśnie odbył się cotygodniowy koncert – wymamrotał, podnosząc okładkę. – Zwykle kończy się przed wpół do jedenastej. Tamtego wieczoru około jedenastej sprzątałem na zapleczu, gdy nagle usłyszałem wielce ekscytującą interpretację *Valses nobles et sentimentales* Ravela. Państwo z pewnością to znają? – Pokręciliśmy głowami, co chyba go zmartwiło. – Cóż. Zapomniałem zamknąć drzwi. – Wpatrując się w kalendarz, zmarszczył czoło i w zamyśleniu przycisnął palec do ust. – Czwarty października. Tak. To musiało być wtedy. – Z uśmiechem obrócił kalendarz w naszą stronę i palcem wskazującym postukał w stronę z tą właśnie datą. – Pognałem do sali wystawowej i zobaczyłem ją przy fortepianie.

– Przy którym? – zapytałem.

Wskazał fortepian z przodu sklepu.

– Na tym fazioli. Przy oknie.

Podszedłem tam, a za mną Nora.

– To dobry instrument? – spytałem.

Peter zachichotał, jakbym opowiedział dowcip. Ruszył za nami.

– Fazioli są najlepsze na świecie. Wielu zawodowców jest zdania, że przewyższają steinwaye.

Przyjrzałem się fortepianowi. Nawet ja, laik, widziałem, że to przepiękny, onieśmielający instrument.

– Fortepiany są jak ludzie – stwierdził cicho Peter. – Każdy ma inną osobowość. Żeby je poznać, potrzeba czasu. Niekiedy czują się samotne.

– Jaką osobowość ma ten? – zapytała Nora.

– Och, to trochę taka diva. W liceum została by królową balu maturalnego. Bywa humorzasta, apodyktyczna. Jeżeli ktoś nie jest uważny, może go zdominować. Ale jeśli tylko trzymać ją mocną ręką, potrafi oczarować. Płyty rezonansowe w fortepianach wykonuje się z drewna świerkowego. A Fazioli używa świerków z lasu Val di Fiemme na północy Włoch. – Czekaj, aż okazemy zachwyt, ale tylko tępo na niego patrzyliśmy. – To takie samo drewno, jakiego w siedemnastym wieku rodzina Stradivari używała do produkcji legendarnych skrzypiec. Dawało głęboki, aksamitny dźwięk, nie do odtworzenia przez współczesnych lutników. Właśnie dlatego stradivariusy kosztują dzisiaj miliony dolarów.

– Co pan zrobił, gdy ją pan usłyszał? – zapytałem.

– Zamierzałem powiedzieć, żeby wróciła jutro. Bądź co bądź, sklep był już nieczynny. Ale grała – zamknął oczy i pokręcił głową – elektryzująco. Po bezkompromisowej, brawurowej artykulacji idealnie zrównoważonej z niezwykłą intymnością poznałem, że szkolił ją Europejczyk. Przywodziła na myśl najwybitniejszych pianistów wszech czasów. Marthę Argerich. Pascala Rogé. Nie śmiałem jej przerwać. Geniusz nie przestrzega godzin urzędowania, *n'est-ce pas*? Nie odezwałem się do niej, dopóki nie skończyła.

– To znaczy po jakim czasie? – zapytałem.

– Mniej więcej po półtorej minuty. W pewien mglisty sposób wydawała mi się znajoma. Jak jakaś piosenka z dzieciństwa, którą nagle sobie przypominamy, ale nie pamiętamy słów ani właściwie niczego konkretnego z wyjątkiem garści tajemniczych nut. – Westchnął. – Teraz rozumiem, że to była Ash DeRouin. Wyrosła. Jeden z naszych właścicieli, Gabor, opowiadał, że przychodziła tu grać dawno temu, jako nastolatka, ale nie skojarzyłem. – Na chwilę zamilkł z zamyśloną miną. – Kiedy skończyła, grzecznie zapytała, czy może zagrać całą suitę, od *Assez Lent* aż do *Epilogue*. Całość trwa około kwadransa. Naturalnie się zgodziłem. – Uśmiechnął się. – Zgodziłbym się,

nawet gdyby chciała zagrać wszystkie sonaty Beethovena. Kiedy skończyła, podniosła głowę i spojrzała na mnie. Miała bardzo przenikliwy wzrok.

– Czy coś mówiła?

– Podziękowała mi. Miała niski głos. Zachrypnięty. Ruchy trochę jakby łabędzie. Nieskazitelną powierzchowność. Powłokę, pod którą nie wiadomo, co się dzieje. Przez chwilę siedziała w milczeniu. Wyczułem, że trudno jej się odezwać. Zastanawiałem się, czy angielski to jej język ojczysty. Podniosła swoją torbę, a potem... – Jego wzrok pobiegł od fortepianu ku drzwiom, jakby wyobrażał sobie, że teraz Ashley pokonuje tę drogę. – Próbowałem namówić ją, żeby została, ale gdy zapytałem, jak się nazywa, powiedziała: „Nikt”. A potem wyszła.

– Jak określiłby pan jej zachowanie? – zapytałem.

– Zachowanie?

– Czy wydawała się przygnębiona? Niezrównoważona psychicznie?

– Oprócz tego, że mówiła z wahaniem? Nie. Nie wtedy. Wtedy, kiedy przestała grać, wydawała się zadowolona. Jak ktoś po żwawym pływaniu w Pacyfiku. Muzycy czują się tak po dobrym ćwiczeniu. – Odchrząknął, a potem odwrócił się do okna i spojrzał na pustą ulicę. – Patrzyłem, jak sunie chodnikiem, jakby nie do końca wiedziała, dokąd idzie. W końcu ruszyła na zachód w stronę Broadwayu i zniknęła. Doskonale pamiętam, że gdy tamtego wieczoru wróciłem do domu, przez całą noc nie mogłem zasnąć. A jednak czułem olbrzymi spokój. Ostatnio miałem pewne problemy osobiste, którymi nie będę państwa zanudzał. Ale jej nagłe pojawienie się było dla mnie darem. Między innymi dlatego, że tylko ja ją widziałem. Mogła być wytworem mojej wyobraźni. Jedną z *demoiselles* Debussy’ego. Nie sądziłem, że znów ją zobaczę.

– Kiedy wróciła?

Moje pytanie jakby go zasmuciło.

– Trzy dni później.

– Czyli siódmego października – stwierdziłem, odnotowując to w telefonie. – Pamięta pan, o której godzinie?

– Godzinę po zamknięciu sklepu. Około dziewiętnastej. I tym razem zostałem tu sam. Zniknął nawet nasz stażysta. – Odwrócił się i wskazał dłonią duży, wiekowy zeszyt oprawiony w skórę, który leżał otwarty na stoliku pod ścianą w głębi sali. – Każdego, kto przychodzi do Klavierhausu, prosimy o wpis do księgi gości. Panuje przekonanie, że jeśli artysta wpisze się do księgi gości w Klavierhausie, pomoże mu to później w recitalach i poprawi technikę. To taki jakby chrzest. Wpisywały się u nas legendy. Zimerman. Brendel. Lang Lang. Horowitz. – Kiedy zrozumiał, że te nazwiska niewiele nam mówią, rozczarowany westchnął głęboko i wskazał przez ramię na wnękę administracyjną. – Właśnie wpisywałem do komputera adresy i nazwiska, kiedy ktoś zapukał w szybę. Zasadniczo salon był już zamknięty, ale gdy zobaczyłem, kto to, oczywiście ją wpuściłem. Gdy tylko otworzyłem drzwi, zrozumiałem, że coś jest potwornie nie w porządku.

– Jak to? – zapytał Hopper.

Peter wydawał się skrzepowany.

– Chyba odkąd widziałem ją poprzednio, w ogóle się nie myła albo wręcz nie zdjęła tego płaszcza. Była rozczochrana. Cuchnęła potem i brudem. Mankiety dzinsów miała poplamione. Błoto z prowincji, pomyślałem. Wyglądała jak odurzona. Dotarło do mnie, że musi być bezdomna. Już nieraz mieliśmy w sklepie włóczągów. Przychodzą tutaj ci, którzy śpią na schodach kościoła Świętego Tomasza przy Piątej Alei. Przyciąga ich muzyka. – Westchnął. – Zapytała, czy może pograć. Zgodziłem się. – Usiadła tam. – Wskazał ten sam lśniący fortepian Fazioli, spojrział na pustą ławę obitą brązową skórą. – Przesunęła dłońmi po klawiszach i powiedziała: „Dzisiaj chyba Debussy. On się tak na mnie nie gniewa”. Coś w tym stylu. A potem...

– Chwileczkę – przerwałem. – Mówiła o kompozytorze jak o swoim znajomym?

– Oczywiście. – Peter skinął głową jak gdyby nigdy nic.

– Czy to nie jest trochę dziwne?

– Bynajmniej. Pianiści koncertowi spoufalają się z nieżyjącymi kompozytorami. Nic na to nie poradzą. Muzyka klasyczna to nie jest tylko muzyka. To osobisty pamiętnik. Nieocenzurowana spowiedź w środku nocy. Obnażenie duszy. Spójrzmy na współczesny przykład. Znacnie Florence and the Machine? W piosence *Cosmic Love* wokalistka, uczuciowa młoda kobieta, opisuje, jak cały świat pociemniał, wprawiając ją w dezorientację, kiedy opuścił ją ukochany. „Gwiazdy, księżyc, one wszystkie zgasły”. Cóż, nie inaczej jest u Beethovena czy Ravela. Kompozytorzy wiali w muzykę najgwałtowniejszą część swego ja. Kiedy pianista uczy się utworu na pamięć, dogłębnie poznaje nieżyjącego człowieka. łączą się z tym wszystkie przyjemności i kłopoty wynikające z takiej relacji. Poznaje przewrotność Mozarta i jego niezdolność do dłuższej koncentracji. Pragnienie akceptacji Bacha i jego brak tolerancji dla chodzenia na skróty. Wybuchowy temperament Liszta. Niepewność Chopina. Dlatego kiedy pianista chce sprawić, że ich muzyka ożyje na koncercie, na scenie, przed tysiącami słuchaczy, wówczas naprawdę potrzebuje, żeby ci nieżyjący ludzie stali po jego stronie. Bo zamierza przywrócić ich do życia. To trochę jak Frankenstein ożywiający swego potwora, rozumiecie państwo? Może to być zdumiewający cud. Albo może się skończyć bardzo źle.

Zerknąłem na Hoppera. Wciąż wpatrywał się w Petera z miną zdradzającą coś pomiędzy zaabsorbowaniem a sceptycyzmem. Nora była urzeczona.

– Co wydarzyło się tym razem? – zapytałem.

– Zaczęła grać. Równoległe kwinty otwierające *La cathédrale engloutie*...

– Równoległe otwierające co?! – przerwała mu Nora, marszcząc czoło.

– *La cathédrale engloutie*. Zatopiona katedra. – Na widok naszej ignorancji Peter się rozpromienił. Nie potrafił ukryć radości. – Claude Debussy. Francuski impresjonista. To jedno z moich ulubionych preludiów. Opowiada o katedrze zatopionej

na dnie morza. Pewnego jasnego dnia wylania się z mgły i spienionych fal wśród ekstatycznego bicia dzwonów, żeby na zaledwie kilka sekund zawisnąć w powietrzu, zaśnić w promieniach słońca, a potem znowu runąć w bezdenną głębię i zniknąć. Debussy instruuje pianistę, żeby ostatnie akordy grał pianissimo, wciskając pedał do połowy, tak aby dźwięk naprawdę przypominał bicie dzwonów głęboko pod ziemią, żeby nuty zderzały się ze sobą, a wreszcie gasły i kończyły się tak jak wszystko, jak my sami, kilkoma dźwięcznymi akordami, a potem ciszą. – Zamilkł na chwilę, spochmurniał. – Nie była w stanie. Jej gra, wcześniej tak natchniona, tak pełna liryzmu, tak romantyczna, tym razem była niepokojąca. Pianistka szarpała się z muzyką, ale nuty jej umykały. To było chaotyczne. Rozpaczliwe. A kiedy podniosła wzrok, ja... – Głośno przełknął ślinę. – Miała przekrwione oczy. Wyglądały tak, jakby krwawiły. Tak bardzo przeraziła mnie jej twarz, jej przemiana od czasu, gdy widziałem ją po raz ostatni, że natychmiast poszedłem zadzwonić na policję. Ona grała dalej. Leczy gdy tylko wszedłem na zaplecze, przestała. Nastąpiła cisza. Wychyliłem głowę przez drzwi. Siedziała bardzo nieruchomo, wpatrywała się we mnie tymi swoimi oczami, jakby wiedziała, co chcę zrobić. Nagle chwyciła torbę i wyszła. Ot, tak. – Pstryknął palcami. – Właśnie to mnie naprawdę przestraszyło.

– Dlaczego? – zapytałem.

Skrepowany załamał rękę.

– Poruszała się jak zwierzę.

– Zwierzę? – powtórzył Hopper.

Peter kiwnął głową.

– Za szybko. Nienaturalnie.

– W którym kierunku poszła? – spytałem.

– Nie wiem. Wróciłem do sali sklepowej, ale po niej nie było już śladu. Wszedłem nawet na ulicę, żeby się rozejrzeć. Nigdzie jej nie widziałem. Natychmiast zamknąłem sklep. Nie chciałem być w nim sam. – Wpatrzony w podłogę na moment pogрузił się w melancholijnym milczeniu. – Już nie wróciła. Rozmyślałem

o niej. Ale nikomu nie powiedziałem, dopóki pan tu nie przyszedł. – Spojrzał na Hoppera. – Ulżyło mi, kiedy pan o nią spytał. Wielce się ucieszyłem, że to nie było przywidzenie. Ostatnio... ostatnio żyję pod niemałą presją. – Poczzerwieniał. – Delikatnie mówiąc, dobrze wiedzieć, że nie wpadam w obłąd. – Znowu spojrzął na fortepian. – Ona była trochę jak ta katedra. Wyłoniła się, olśniła mnie, rozsypała się i znikła, pozostawiając po sobie tylko echo. No i mnie, niepewnego, co zobaczyłem.

– Czy w sklepie jest monitoring? – zapytałem.

– Jest system alarmowy. Ale kamer nie mamy.

– Czy wspomniała o czymś jeszcze? Na przykład gdzie mieszka?

– Och, nie. Oprócz tego, o czym już mówiłem, nie zamieniliśmy ani słowa.

– Nic nie zostawiła? Żadnych rzeczy osobistych?

– Niestety.

Nora podeszła do stolika z otwartą księgą gości i zaczęła przerzucać strony.

– To naprawdę wszystko, co... Och, proszę uważać. – Peter pogonił za nią. – Kartki są bardzo delikatne, a to nasz jedyny egzemplarz.

– Jestem tylko ciekawa, czy się tu wpisała – odrzekła.

Peter nerwowo zerkał jej przez ramię.

Hopper podeszedł do fortepianu, na którym grała Ashley. Z powagą przesunął dłonią po lśniących klawiszach i zagrał kilka ostrych dźwięków.

Podszedłem do Nory. Odnalazła stronę z czwartego października, a teraz przesuwiała palcem wzdłuż listy nazwisk i adresów.

– Daniel Hwang – odczytała. – Yuja Li. Jessica Song. Kirill Luminovich. Boris Anthony. – Dość gwałtownie przerzuciła stronę. Peter przyłożył dłoń do czoła, jakby miał zemdleć. – Kay Glass. Viktor Koslov. Ling Bl...

– Co powiedziałaś? – przerwałem.

– Viktor Koslov.

– Wcześniej.

– Kay Glass.

Podszedłem bliżej i z niedowierzaniem spojrzałem na stronę.

Nazwisko napisane było czarnym długopisem. Rozpoznałem znajomy charakter pisma, identyczny – byłem tego pewien – jak w liściku, który pokazał nam Morgan Devold, a może nawet na kopercie przesłanej do Hoppera.

– To ona – powiedziałem.

Uliczki były wąskie, zasuszone sklepiki spożywcze i splotniałe kamienice stały obok siebie ramię w ramię.

Okna na górnych piętrach, pełne doniczek i butelek szamponów, świeciły elektryzującą zielenią i błękitem jak brudne akwaria. Raz po raz mijaliśmy samotnych przechodniów, zwykle Chińczyków, niosących pomarańczowe reklamówki z zakupami lub goniących przed siebie w puchowych kurtkach. Niemal każdy oglądał się za nami, zupełnie jakby wiedział – pewnie dlatego, że jechaliśmy taksówką – że jesteśmy intruzami.

Kierowca skręcił w Pike Street, szeroką, czteropasmową aleję. Po lewej mieliśmy niski ceglany budynek – napis na szyldzie brzmiał: MANHATTAN REPAIR COMPANY – a po prawej chyba państwową szkołę.

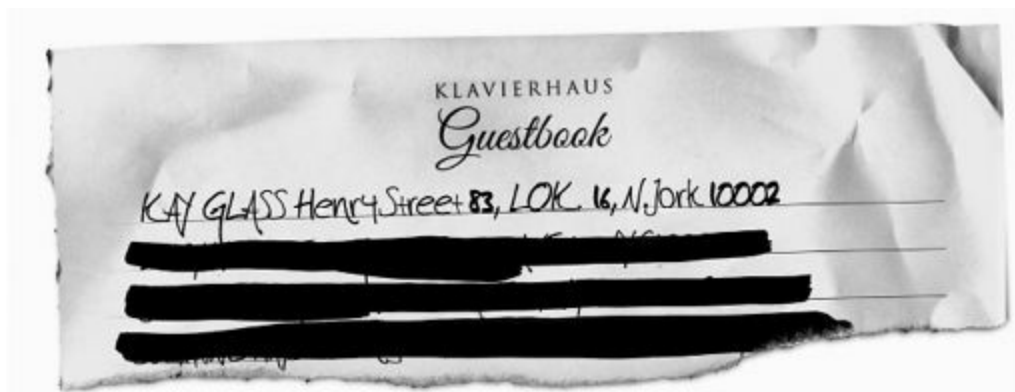
– Henry Street to tam – odezwał się nagle Hopper, wykręcając szyję, żeby dojrzeć nazwę ulicy.

Taksówkarz skręcił w lewo.

HONG KONG SUPERMARKET. SALON PIĘKNOŚCI JASMINE. Minęła już dziewiętnasta i wszystkie sklepy były zamknięte, metalowe kraty zaciągnięte i zabezpieczone kłódkami.

– Tam jest dziewięćdziesiąt jeden – oznajmiła Nora. Pochyliła się, oglądając opustoszałą ulicę. – Osiemdziesiąt trzy będzie zaraz po prawej.

Ashley wpisała się do księgi gości w Klavierhausie – a Peter Schmid nie umiał powiedzieć, kiedy dokładnie to zrobiła:



Kay Glass to nazwisko zaginionej kobiety z filmu *Małe zło* – kobiety, której nie widzimy na ekranie, a która zaprasza swoją

nową koleżankę z pracy Alexandrę oraz jej narzeczonego Mitchella na weekend do domku rodziców na plaży. W pierwszych minutach filmu Alex i Mitch, kłócący się przez prawie całą drogę z miasta, nieco po północy zajeżdżają na miejsce. Domek okazuje się ciemny i opustoszały, a koleżanki, Kay Glass, nigdzie nie ma. Po szybkim przeszukaniu domu – przeszklonej modernistycznej budowli, która stoi na skraju oceanu niczym pomnik nihilizmu – okazuje się, że tuż przed przybyciem bohaterów doszło tam do makabrycznej zbrodni, a sprawcy, zamaskowani i od stóp do głów ubrani na czarno, nadal tam są.

Rozpoznałem to nazwisko nie tylko dlatego, że Blackboardsy pełne były teorii, a nawet kilku ołtarzyków ku czci nieuchwytej Kay Glass, ale również dzięki szczegółowemu wykładowi Beckmana na temat jego znaczenia. Jego zdaniem nazwisko „Kay Glass” oznaczało chaos. Twierdził, że zaginiona kobieta – oraz pytanie o to, co się z nią stało – stanowi w istocie metaforę nieuchronnego mroku w życiu. Ta figura należała do znaków rozpoznawczych Cordovy, a jeden z kotów Beckmana zawdzięczał jej imię: Cień.

„Kay Glass to Cień, który bezustannie nas prześladowuje – mówił Beckman. – Gonimy za nim, ale nigdy go nie znajdujemy. To tajemnica naszego życia, świadomość, że nawet jeśli mamy wszystko, czego pragnęliśmy, pewnego dnia to stracimy. Coś niewidocznego, czyhające zniszczenie, mrok, który nadaje naszemu życiu proporcje”.

To, że spośród wszystkich możliwych pseudonimów Ashley wybrała właśnie ten – nazwisko zaginionej kobiety z filmu ojca – pozwalało wysnuwać przeróżne psychologiczne wnioski. Najoczywistszy był taki, że historie ojca stanowiły część jej codziennej rzeczywistości, może nawet przyćmiewały poczucie własnego ja. Co odpowiedziała, kiedy Peter Schmid zapytał ją, kim jest?

Nikim.

Przypomniały mi się jej słowa z gazetki z Amherst College: „Cudownie jest zagubić się w utworze muzycznym. Na chwilę zapomnieć, jak się nazywasz”.

Nasza taksówka sunęła pustą ulicą. Przed nami, po przekątnej, rozciągał się most Manhattański niczym olbrzymie powalone drzewo, którego nikomu nie chciało się usunąć. Dokoła niego wyrastały brudne kamienice.

– To tu – powiedział Hopper, wskazując budynek po prawej stronie.

Na markizie widniał biały napis HENRY STREET 83, po którym następowało kilka chińskich znaków. Po obu stronach wejścia – niedużych zielonych drzwi z małym kwadratowym okienkiem – znajdowały się zaciągnięte kraty.

Zapłaciłem kierowcy i wysiedliśmy.

Było tu dziwnie cicho i spokojnie, słyszeliśmy jedynie nikłe jęki niewidocznych aut przemykających po moście. Podszedłem do drzwi i zajrzałem przez okienko.

Wewnątrz, za rzędem skrzynek pocztowych, ciągnął się zaniedbany korytarz ze ścianami całymi w graffiti.

– Patrzcie – szepnęła Nora, wskazując napis na domofonie obok przycisku z numerem 16. Brzmiał: „K. Glass”.

– Nie naciskaj! – powiedziałem.

Cofnąłem się do krawężnika i podniosłem głowę, żeby obejrzeć budynek: pięć kondygnacji, krusząca się czerwona cegła, pordzewiałe schody przeciwpożarowe. We wszystkich oknach było ciemno z wyjątkiem dwóch na pierwszym piętrze i jeszcze jednego na czwartym, z marszczonymi różowymi firankami.

– Ktoś idzie – szepnął Hopper.

Odsunął się od drzwi, a potem czmychnął za róg, gdzie znajdował się parking. Nora odskoczyła do tyłu i pobiegła chodnikiem. Ja obszedłem worki ze śmieciami ułożone na skraju jezdni i ruszyłem przez ulicę.

Kilka sekund później za plecami usłyszałem otwierające się drzwi oraz prędkie kroki.

Z kamienicy wyszedł Azjata w niebieskiej kurtce i udał się w kierunku Pike Street. Chyba nas nie zauważył – nawet Hoppera, który wyskoczył ze swojej kryjówki i zdążył złapać drzwi, zanim się zamknęły.

– Nieźle – szepnęła podekscytowana Nora, kiedy wbiegła za nim do budynku. – Szesnastka musi być na ostatnim piętrze.

– Poczekajcie chwilę – powiedziałem, wszedłszy za nimi.

Ale Hopper już gnał korytarzem, a potem zniknął mi z oczu. Nora dotrzymywała mu kroku. Zostałem z tyłu, żeby obejrzeć skrzynki. Oprócz nazwiska Glass pod numerem szesnastym byli tylko Dawkins pod jedyneką i Vine pod trzynastką.

Ruszyłem przed siebie. Gdzieś w pobliżu bełkotał telewizor. Słyszałem, jak Hopper i Nora już tarabanią się na górę. Ponieważ z końca korytarza lało się jasne światło, nagle ich ciemne, wydłużone cienie padły na ścianę przede mną – dwa długie języki zsunęły się po murze, oblizwały spękane brązowe płytki i znikły.

Poszedłem za nimi po schodach zasypanych śmieciami i reklamami Azjatek do towarzystwa, głównie Chinek. Na jednej z ulotek, z napisem „Azjatyckie masażystki”, widniała półnaga Koreanka w spodniach z lateksu nieśmiało zerkająca przez ramię. „Poznaj yumi” – głosiło hasło.

Hopper i Nora zniknęli gdzieś na górnym piętrze. Właśnie wspinałem się po kolejnych stopniach i kopnąłem na bok puszkę po piwie Tsingtao, gdy nagle gdzieś w dole rozległ się huk.

Wyjrzałem przez metalową poręcz.

Nikogo nie widziałem. Mógłbym jednak przysiąc, że słyszałem, jak ktoś oddycha.

– Halo? – zawołałem. Mój głos odbił się echem po klatce schodowej.

Żadnej odpowiedzi.

Wszedłem na samą górę i otworzyłem drzwi prowadzące do mieszkań na czwartym piętrze. Hoppera i Norę dostrzegłem na końcu długiego, ciemnego korytarza. Stali przed wejściem do szesnastki. Kiedy do nich dotarłem, oboje odwrócili się i spojrzeli zaskoczeni na coś za moimi plecami.

Na przeciwległym końcu holu właśnie pojawiła się jakaś kobieta.

Samotna jarzeniówka zalewała niezdrowym żółtym światłem jej szeroki nos i czoło. Kobieta była dość gruba, miała na sobie długą zieloną spódnicę oraz czarny T-shirt. Rozwichrzone brązowe włosy spadały jej na ramiona.

– A wy co tu wyrabiacie? – zapytała chrapliwym, męskim głosem.

– Przyszliśmy do przyjaciółki – powiedziałem.

Przygarbiona ruszyła ku nam szybkim krokiem. Japonki prędko klapały o jej bosc stopy.

– Jakiej przyjaciółki?

– Ashley.

– Kogo?

– Kay – wtrąciła Nora. – Chodziło mu o Kay.

Słyszając to imię, kobieta zatrzymała się w miejscu i nie chciała podejść bliżej. Musiała mieć po pięćdziesiątce, a plamista cera i brak kilku zębów sprawiały, że przypominała rozsypujący się posąg.

– Gdzie ona się podziewa, do cholery? – zapytała stanowczo. – Powiedzcie jej, że wisi mi czynsz za trzy tygodnie. Ja tu nie prowadzę darmowego przytułku.

Hopper wyciągnął z kieszeni płaszcz z złożoną kartkę.

– Czy to ona? – zapytał.

Trzymał w ręce czarno-białe zdjęcie Ashley. Musiał je wydrukować z internetu, bo nigdy wcześniej go nie widziałem – chyba że pochodziło z jego własnej kolekcji, z czasów Sześciu Srebrnych Jezior. Kobieta nie podeszła, żeby na nie spojrzeć, a jedynie wysunęła szyję.

– A wy co, gliny?

– Nie – odparłem. – Przyjaciele Kay.

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni? – wypaliła Nora.

Kobieta spiorunowała nas wzrokiem.

– Z glinami nie gadam.

– Nie jesteśmy glinami – powiedział Hopper, wyjmując portfel z tylnej kieszeni. Gdy tylko go otworzył, spojrzenie małych, czarnych oczek kobiety przywarło do niego jak muchy do gnoju.

– Jeśli odpowie pani na nasze pytania, na pewno się to pani opłaci. – Wyjął trzy dwudziestki, które natychmiast złapała, przeliczyła, a potem wetknęła sobie za T-shirt. – Czy to jest Kay? – powtórzył Hopper, unosząc zdjęcie.

– Tak mi wygląda.

– Kiedy ją pani ostatnio widziała? – zapytałem.

– Dobre parę tygodni temu. Właśnie dlatego tu weszłam. Usłyszałam, jak się skradacie, i sądziłam, że może przyszła po swoje rzeczy i myśli, że nie zauważę. Nie wiecie, kiedy Jej Wysokość zamierza się pojawić?

– Nie za bardzo.

Ta wiadomość ją rozwścieczyła.

– Już z pięć razy mogłabym wynająć ten pokój. A teraz będę musiała ściągać ślusarza. I wypieprzyć jej rzeczy.

– Po co ślusarz? – spytałem.

Ruchem głowy wskazała na drzwi.

– Nie mam klucza. Pozmieniała mi zamki.

– Dlaczego?

– A bo ja wiem?

– Jaka była? – zapytała Nora.

Kobieta się skrzywiła.

– Nosiła się jak jakaś księżna. Ciągłe czegoś żądała, jakby się miała za królową angielską. Kazała mi naprawić światło w łazience, bo jej było za ciemno, a potem jeszcze krany z ciepłą i zimną wodą. Chyba jej się, kurwa, z Marriottem pomyliło.

– Czy wie pani, co robiła w mieście?

Tamta zmrużyła oczy, jakby Nora trochę ją obraziła.

– Ważne, żeby mi ludzie płacili w porę, a co kto robi w pokoju, to już jego sprawa. Chociaż kiedyś mi zrobiła przysługę. Jak raz musiałam gdzieś lecieć, to parę godzin pilnowała siostrzeńca. Za to jej byłam wdzięczna. Ale potem pozmieniała zamki, zwała i wystawiła mnie do wiatru z czynszem. Ja tu biznes prowadzę, a nie działalność dobroczynną. – Znowu z żalem spojrzała na drzwi. – A teraz muszę zapłacić za ślusarza.

– Jak długo tu mieszkała? – zapytałem.

– Jakiś miesiąc. Ale nie widziałam jej parę tygodni.

– Jak panią znalazła?

– Z ogłoszenia. Mam ulotki na dworcu autobusowym Port Authority.

– Ile za wyważenie drzwi? – spytał Hopper, przesuwając po nich dłonią. – Do tego pokryjemy jej należność za czynsz.

– Yy, to będzie... no, sto pięćdziesiąt. I jeszcze za zniszczone drzwi.

– Tu jest trzysta.

Wcisnął jej do ręki zwitek banknotów, które chwyciła pospiesznie, a potem przeszedł na koniec korytarza, gdzie znajdowały się drzwi z usmarowaną szybą – chyba do wspólnej łazienki – oraz gaśnica, którą podniósł, po czym wrócił przed wejście do mieszkania, uniósł ją nad głowę i z całej siły rąbnął w zamek.

Powtórzył uderzenie pięć razy, poleciały drzazgi, a wreszcie – z beztrąską sugerującą, że robił to już wcześniej – odrzucił gaśnicę na bok, cofnął się kilka kroków i kopnął w drzwi. Otworzyły się z impetem, trzasnęły o ścianę i znowu się zamknęły, a w końcu uchyliły się na może trzy centymetry.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. Hopper pchnął drzwi.

Wewnątrz panowały egipskie ciemności. Światło z korytarza ledwo oświetlało pooraną betonową podłogę. Ze ścian odłaziła niebieska farba.

Wyczuwało się fetor – coś gniło.

Odwróciłem się, żeby zapytać właścicielkę, kiedy ostatnio była w pokoju Kay, ale ona się cofnęła.

– Muszę lecieć na dół – wymamrotała, a potem odwróciła się i pognęła korytarzem, stukając japonkami. – Muszę przypilnować siostrzeńca.

Już po paru sekundach słyszałem, jak zbiega po schodach.

– Czegoś się boi – powiedziałem.

– To przez ten smród – szepnęła Nora.

Hopper wszedł do środka. Ruszyłem za nim, przesuając dłoń po ścianie w poszukiwaniu włącznika światła.

– O kurwa – powiedział i zakasłał. – Ale cuchnie.

Rozległ się zgrzyt, kiedy o coś się potknął – o składane metalowe krzesło – a potem chwilę gmerał przy lampie i w końcu pokój zalało blade światło.

Pomieszczenie było małe i surowe, na podłodze leżał wypłowiały brązowy dywan, w oknie wisiała podarta zasłona, a w kącie stała zapadnięta metalowa prycza. Pościel była jakoś tak rozrzucana, zielony koc zwisał na podłogę – a poduszka miała wyraźne wgniecenie – jak gdyby Ashley właśnie wstała z łóżka. Zresztą cały ten nędzny pokój sprawiał takie wrażenie, jakby dopiero co go opuściła, zatęchłe powietrze pełne było jej oddechu.

Obrzydliwy fetor, mieszanka smrodu ścieków i spalenizny, zdawał się sączyć ze ścian. Sufit nad oknem pokrywała brązowa plama, tak jakby na dachu zarżnięto jakieś stworzenie, a potem je tam zostawiono, żeby jego krew powoli wsiąkła w krokwie. Podłoga, zarzucona plastikowymi opakowaniami, lepiała się od jakiegoś ciemnego napoju gazowanego.

– Devold mówił, że kiedy pomógł Ashley uciec z Briarwood, miała na sobie białą piżamę, prawda? – powiedział Hopper.

– Zgadza się – odparłem.

– Tam leży.

Rzeczywiście, na pościeli znajdowały się białe bawełniane spodnie wiązane na sznurek oraz bluza.

Hopper chyba nie chciał ich dotknąć. Uniosłem spodnie i ze zdziwieniem stwierdziłem nie tylko, że wewnątrz wokół paska napisano „A. Cordova MH-314” – to numer jej pokoju w Briarwood – ale również że nogawki wciąż zachowały jej kształt. Góra także: lewy rękaw kaftana przypominającego bluzę chirurga wciąż jakby oplatał się wokół jej łokcia.

Odłożyłem piżamę z powrotem na łóżko i podszedłem do niedużej szafy. Była pusta – znalazłem tam tylko cztery druciane wieszaki na drewnianym drążku.

– Coś tu jest – powiedział Hopper. Zaglądał pod łóżko.
Chwyciliśmy je i przenieśliśmy na środek pokoju. Potem
wszyscy troje wpatrywaliśmy się oszołomieni w to, co właśnie
odsłoniliśmy.

Nikt z nas się nie odezwał.

W pierwszej chwili myślałem, że to jakaś tarcza strzelnicza. Gdybym znalazł coś takiego pod swoim łóżkiem, byłbym pewien, że sama Kostucha umieściła to tam jako przypomnienie, żeby zabrać mnie za kilka dni – albo że mam wrogów, którzy chcą mnie wystraszyć na śmierć.

Na podłodze starannie usypano cztery koncentryczne kręgi z czarnego proszku. W środku – niemal dokładnie pod miejscem, w którym byłoby serce Ashley, gdyby leżała na płask – znajdowała się piramidka z węgla drzewnego. Miała mniej więcej piętnaście centymetrów wysokości, bryłki były białe i sypkie, a beton pod spodem osmalony.

– Co to jest? – szepnęła Nora.

– To właśnie ten proszek tak śmierdzi – stwierdził Hopper, przycupnąwszy obok kręgu.

Zrobiliśmy zdjęcia, a potem Nora znalazła w swojej torbie woreczek na kanapki, wywróciła go na drugą stronę i pobrała próbkę pyłu. Wyglądał jak mieszkanka drobno posiekanych liści, ziemi i kości. Zamknąłem woreczek i schowałem go do kieszeni kurtki.

– Jasna cholera – szepnął Hopper za naszymi plecami. – Patrzcie.

Stał przy drzwiach i wskazywał na coś zatkniętego ponad nimi – na pęk gałęzi. Starannie umieszczono je głęboko w kącie, jakby właśnie po to, żeby nikt ich nie zauważył.

Hopper ściągnął je i podniósł do światła, które padało z korytarza. Wyglądały jak korzenie – jedne grube, inne cienkie, jeszcze inne pozwijane w spirale, chociaż wszystkie pochodziły chyba z tej samej rośliny. Na każdym starannie zawiązano supeł z białego sznurka łączącego się z kolejnym korzeniem.

– To jakaś praktyka okultystyczna – powiedziałem, ostrożnie biorąc wiązki od Hoppera.

Przez lata widziałem wiele przedziwnych zwyczajów religijnych – rzucanie dziećmi w Indiach, nagich dżinijskich mnichów ubranych w powietrze, plemienne rytuały wejścia w dorosłość nakazujące chłopcom nosić w rękawiczkach mrówki

Paraponera clavata. Miałem wrażenie, że to właśnie coś w tym stylu.

– Po co wisiały nad drzwiami? – zapytała Nora.

Spojrzałem na Hoppera.

– Przypominasz sobie, żeby Ashley była zaangażowana w jakieś nietypowe wierzenia lub praktyki?

– Nie.

– Przepatrzmy wszystko jeszcze raz. Może coś przegapiliśmy. A potem wynośmy się stąd w cholerę.

Nora i Hopper skinęli głowami. Zaczęli bacznie rozglądać się po pokoju. Ja właśnie miałem podejść do szafki przy łóżku, kiedy kątem oka zobaczyłem, że coś zielonego przemknęło za drzwiami, a zaraz potem rozległo się miarowe kląskanie. Japonki.

Wytknąłem głowę na zewnątrz. Korytarzem uciekała właścicielka. Ten stary babsztyl nas podglądał!

– Chwileczkę! – zawołałem i ruszyłem za nią.

– Ja nic nie wiem – warknęła.

– Przecież musiała pani czuć ten zapach.

Znieruchomiała na końcu korytarza i odwróciła się. Skóra lśniła jej od potu.

– Nie wiem, co ta dziewczyna ze sobą robiła.

– Czy inni mieszkańcy coś mówili?

Nie odpowiedziała. Miała odpychające, jaszczurcze ruchy. Stawała jak wryta – jakby wiedziała, że słabe światło i spękane ściany dokoła zapewnią jej kamuflaż – a potem pierzchała w okamgnieniu. Teraz tkwiła w miejscu absolutnie nieruchomo i przyglądała mi się, przekrzywiając głowę.

– Ludzie się jej bali. – Wyszczrzyła zęby. – Nie wiem, jakim cudem, przecież to takie chuchro. A niektórzy, co u mnie wynajmują, to są raczej z tych, co to inni się ich boją. Ale nic mi do tego. Niech ludzie robią, co chcą, byle mi płacili.

Pokonałem już połowę korytarza, zatrzymałem się jednak, ponieważ przez drzwi na klatkę schodową przyglądał mi się mały chłopiec – nie mógł mieć więcej niż pięć, może sześć lat. Po chwili wślizgnął się na korytarz i z ponurą miną stanął za kobietą. Miał

na sobie brudny T-shirt, przykrótkie bawełniane spodnie oraz skarpetki przeznaczone na znacznie większe stopy.

– To pani siostrzeniec? – zapytałem. Zmierzyła go chłodnym wzrokiem, a potem znów odwróciła się do mnie. Nic nie powiedziała. – Wspominała pani, że Kay pewnego razu się nim opiekowała, kiedy pani wyszła. Może coś mi o niej opowie?

Wycelowała we mnie palec.

– Jak na przyjaciela to mało pan o niej wiesz.

Wtedy zobaczyłem wąską smugę światła padającą z pokoju obok mnie. Drzwi się poruszyły. Ktoś podsłuchiwał! Zanim zdążyłem zobaczyć, kto to taki, rozległ się głośny brzęk. Właścicielka razem z chłopcem zniknęła na klatce. Ruszyłem za nimi.

– Chwileczkę!

– Daj nam pan spokój!

Zbiegłem po schodach, ślizgając się na ulotkach, i dogoniłem ich na półpiętrze. Niewiele myśląc, złapałem chłopca za ramię. Wydał z siebie mrozący krew w żyłach pisk, jakbym go napiętnował rozpalonym żelazem.

Zaskoczony puściłem go, ale krzyczał dalej. Patrzył jak coś – chyba zabawka, którą upuścił – wypada przez balustradę, odbija się od stopni, a wreszcie sunie po płytkach na parterze. Jęknął i pobiegł po nią.

– No i coś pan narobił? – wymamrotała właścicielka ze wściekłością, ruszając za chłopcem. – Zabieraj pan tych swoich... przyjaciół i wynocha. My nic nie wiemy.

Kiedy dotarłem na parter, oboje gorączkowo przeszukiwali korytarz. Mały wyprostował się, odwrócił do kobiety i zaczął prędko poruszać palcami w powietrzu. To język migowy! Chłopak był głuchoniemy. A ja go wystraszyłem.

Pełen wyrzutów sumienia odwróciłem się i rozejrzałem po wyłożonej płytkami podłodze. Rozgarniałem nogą ulotki i papierki. Wkrótce w prostokątnej plamie światła pod schodami znalazłem to, czego szukaliśmy.

Był to malutki wąż wyrzeźbiony w drewnie – pięć centymetrów długości, otwarty pysk, wysunięty język, poskręcane ciało. Okazał się dziwnie ciężki.

Nagle obok mnie wyrosła właścicielka, wyrwała mi go z ręki i oddała chłopcu. Potem chwyciła go za ramię i zaciągnęła ku drzwiom mieszkania. Zdążyłem dostrzec zagracony pokój oraz telewizor, w którym leciała jakaś kreskówka. Kobieta wepchnęła małego do środka, prędko weszła za nim i zatrzasnęła drzwi.

Nora z Hopperem właśnie zbiegali po schodach. Budynek rozbrzmiewał tupotem ich kroków. Pognali korytarzem, Nora obróciła się i bez słowa dała mi znak, żebym się pospieszył. Wyszedłem za nimi w chłodną noc. Zorientowałem się, że ciężko dyszę, jakbym właśnie od czegoś się wyrwał – czegoś, co mnie dusiło, chociaż o tym nie wiedziałem.

– Zabraliście korzenie znad drzwi? – zapytałem, dogoniwszy Norę i Hoppera po drugiej stronie ulicy.

– Tak – odparła dziewczyna i rozchyliła torbę, by mi je pokazać.

– Dobra, złapmy taksówkę...

– Nie możemy. Zaraz zejdzie do nas sąsiadka Ashley. – Przypomniałem sobie promień światła z pokoju numer trzystaście. – Kiedy ty goniełeś właścicielkę, na korytarz wyrzała jakaś kobieta zaniepokojona hałasem. Hopper pokazał jej zdjęcie Ashley. Rozpoznała ją. Za dwie sekundy przyjdzie z nami porozmawiać.

– Dobra robota.

– Już idzie – szepnęła Nora na widok postaci wyłaniającej się z budynku przy Henry Street 83.

Była to wysoka kobieta, ubrana w zapinaną na suwak białą bluzę z kapturem oraz tenisówki. Na ramieniu niosła czarną sportową torbę. Cokolwiek tam miała – sądząc po kształcie, chyba karabiny – musiało być dość ciężkie, ponieważ szła pochylona. Pospiesznie dołączyła do nas po przeciwległej stronie.

– Przepraszam, że tyle to trwało – wydyszała. Stanęła na krawężniku w chmurze mocnych perfum. – Nie mogłam znaleźć kluczy. Idę do pracy, więc mam mało czasu. Co państwo chcą wiedzieć?

Miała ładną twarz okoloną tlenionymi blond lokami, ale pod toną makijażu trudno było poznać, gdzie kończy się ona, a zaczyna iluzja. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat, zauważyłem jednak, że celowo stoi z dala od latarni i zgarbiona trzyma ręce w kieszeniach bluzy, jakby czuła się nieswojo, że ktoś ogląda ją z bliska.

– Mamy tylko parę pytań o pani sąsiadkę Kay.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Aha, co u niej? Dawno jej nie widziałam.

– Wszystko w porządku – odparłem, ignorując spojrzenie Nory. – Jesteśmy jej przyjaciółmi i chcemy się czegoś dowiedzieć o jej pobycie tutaj. Co porabiała?

– Ojej, nie wiem. Prawie z nią nie rozmawiałam. – Odstawiwszy torbę na chodnik z tajemniczym metalicznym brzękiem, wyjęła z kieszeni zmiętą chusteczkę higieniczną i wydmuchała nos. – Przepraszam. Mam straszny katar. Widziałam Kay, no, tylko raz.

– Kiedy? – zapytałem.

– Z miesiąc temu. Właśnie wracałam z pracy. Jakoś koło piątej, szóstej rano. Poszłam do łazienki, żeby zmyć makijaż. Na każdym piętrze jest tylko jedna. Wspólna. Byłam tam ze czterdzieści pięć minut, myłam zęby, pewnie gadałam sama do siebie, aż tu nagle usłyszałam za sobą chlupot. – Wzdrygnęła się. – Mało się nie zesrałam ze strachu. Wrzasnęłam. Pewnie obudziłam cały dom.

– Dlaczego? – spytałem, kiedy zamiast mówić dalej, zamilkła, żeby znowu wydmuchać nos.

– Ona tam była. – Zachichotała. Miała wysoki, dźwięczny śmiech. – Kay.

– Gdzie?

– W wannie. Za mną. Cały czas się tam kąpała.

Spojrzałem na Hoppera i Norę. Chyba myśleli to, co ja: do tej kobiety w ogóle nie docierało, jak niepokojącą scenę właśnie opisała.

– Przedstawiłam się – mówiła dalej, pociągając nosem. – Ona też, ale potem oparła głowę o wannę i zamknęła oczy, jakby miała za sobą długi dzień i nie chciała gadać. Nałożyłam krem przeciwzmarszczkowy i powiedziałam dobranoc. Kiedy usłyszałam, że wyszła z łazienki, jeszcze tam wróciłam, bo na umywalce zostawiłam pastę do zębów. Kay nie spuściła wody z wanny, więc włożyłam rękę, żeby wyciągnąć korek. – Pokręciła głową. – Nie mam pojęcia, jak ona sobie nie odmroziła rąk i nóg. Woda była lodowata.

– I już więcej nie widziała pani Kay? – zapytałem.

– Nie. Ale ją słyszałam. Tutaj ściany są jak z papieru. Chyba miała taki rytm dnia jak ja.

– To znaczy?

– Pracuję nocami – odparła ogólnikowo, wpatrując się w głąb pustej ulicy. – Wiecie co? Spotkałam ją jeszcze kiedyś. Przepraszam. Od tych lekarstw na katar mam siano w głowie. Miałam wolną noc, więc to musiała być sobota. Minęłam Kay na schodach, kiedy wracałam z supermarketu. Właśnie szła do jakiegoś klubu. Nie pamiętam nazwy. – Pokręciła głową. – Jakaś babska. Chyba coś po francusku. Kay, zdaje się, mówiła, że to jest w starym więzieniu na Long Island. Pytała, czy tam kiedyś byłam, ale nie.

– W starym więzieniu? – powtórzyłem.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Gadałyśmy wszystkiego z pięć sekund. Wiecie co? W zeszłym tygodniu widziałam przed jej drzwiami dwóch facetów. Tak na mnie popatrzyli, jakby chcieli mi powiedzieć, żebym pilnowała swojego nosa, więc tak zrobiłam.

– Jak wyglądali?

– Normalnie. Jeden był starszy, a drugi miał gdzieś po trzydzieście. Potem słyszałam, jak Dot weszła na górę i ich pogoniła. Nie lubi obcych.

– Dot?

– Aha. Gadaliście z nią.

– Mieszka u niej chłopiec?

– Lucian. Jej siostrzeniec.

– Mały jest tu od dawna?

– Odkąd się wprowadziłam. Będzie z rok. – Pociągnęła nosem i podciągnęła rękaw, żeby spojrzeć na zegarek. – Cholera. Muszę lecieć. – Dźwignęła torbę i zarzuciła ją na ramię. W środku znów coś brzęknęło. – Pozdrowicie ode mnie Kay?

– Oczywiście.

– Jak możemy się z panią skontaktować, gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania? – zapytała Nora.

Po chwili wahania kobieta rozpięła torbę i wręczyła jej czarną wizytówkę. Potem się uśmiechnęła i ruszyła chodnikiem w stronę mostu Manhattańskiego. Nora podała mi wizytówkę bez słowa.

Napis brzmią: „Iona. Wieczory kawalerskie – atrakcje”.

– Klub nocny na Long Island – powiedziałem. – Z francuską nazwą. Możliwe, że mieści się w starym więzieniu albo opuszczonym budynku. Coś ci to mówi?

Rozmawiałem przez telefon z Sharon Falcone. Stałem pod Gitane, nastrojową francusko-marokańską kafejką przy Mott Street. Po rozmowie z Ioną na Henry Street złapaliśmy taksówkę i przyjechaliśmy tutaj, żeby coś przekąsić i zdecydować, co dalej. Kiedy wrzucenie w Google’a haseł „klub”, „Long Island”, „francuski” i „opuszczone więzienie” nie dało żadnych rezultatów, postanowiłem zadzwonić do Sharon, licząc, że może akurat skojarzy ten lokal.

– Nie mów, że zawracasz mi głowę, bo mam ci zorganizować życie towarzyskie? – odparła Falcone w słuchawce.

W tle słyszałem zawrośnięcie telefonów oraz telewizor nastawiony na NY1 News, co oznaczało, że Sharon nadal tkwi za swoim biurkiem w komendzie, siedzi na sfatygowanym krześle obrotowym i w okularach na czubku nosa ślęczy nad szczegółami jakiegoś śledztwa, na którym jej koledzy już dawno postawili krzyżyk.

– Niezupełnie – zaprotestowałem. – To poszlaka.

– Znam Long Island tak samo jak własną kuchnię: wiem, że istnieje dla mojej przyjemności, ale jakoś nigdy nie udaje mi się tam dotrzeć. Nie pomogę ci. Mogę już wrócić do pracy?

– A co z okultyzmem w mieście? Czy to częste zjawisko?

– Kult pieniądza się liczy?

– Chodzi mi o dziwne praktyki, rytuały. Jak często spotykasz się z czymś takim na miejscu zbrodni? Zdziwiłoby cię to?

– McGrath, ja tu mam nożowników. Rany postrzałowe. Mam bogatego chłopaka, który wpakował matce nóż w szyję, sześciomiesięczne niemowlę martwe, bo tak nim potrząsano, i faceta wykastrowanego w InterContinentalu przy Times Square. Jasne, trafia się okultyzm. U nas trafia się wszystko. Może teraz na każdym rogu jest Starbucks, a przy każdym uchu iPhone, ale nic się nie martw, ludzie wciąż są pojebani. Coś jeszcze?

Już chciałem powiedzieć, że nie, i przeprosić, że zawracałem jej głowę, kiedy coś mi się przypomniało.

– Może mam sprawę dla opieki społecznej.

Nie odpowiedziała od razu, ale oczami wyobraźni widziałem, jak nagle się prostuje, wydobywa notatnik spod sterty zeznań świadków i zdjęć z laboratorium, przerzuca kartki nieczytelnych bazgrołów, szukając wolnej strony, i sięga po długopis.

– Słucham – powiedziała.

– Przed chwilą byłem u kobiety, która opiekuje się małym głuchoniemym chłopcem. To nie wygląda dobrze. Ten dom to zakazana nora, a może wręcz burdel.

– Jaki adres?

– Henry Street osiemdziesiąt trzy, między Pike a Forsyth. Kobieta nazywa się Dot. Zarządza budynkiem.

– Wyślę tam kogoś.

– Dziękuję. No dobrze, to kiedy dasz się zabrać na drinka?

– Kiedy to miasto wreszcie będzie miłusie.

– Czyli nigdy?

– Nie tracę nadziei. – Po jej stronie zabrzączał telefon. – Muszę odebrać...

Rozłączyła się.

Był piątkowy wieczór, minęła dwudziesta druga. Na chodnikach tłoczyły się grupki dwudziestoparolatków w drodze do barów lub na randki. Po drugiej stronie ulicy, tam gdzie pochyły mur z rudej cegły okalający starą katedrę Świętego Patryka ostro zakręcał za róg, dostrzegłem mężczyznę w czarnej skórzanej kurtce, który rozmawiał przez komórkę, osłaniając ją dłonią.

Patrzył na mnie i nie mogłem się pozbyć wrażenia, że to właśnie o mnie rozmawia.

Odwrócił wzrok i spojrzał gdzieś w kierunku sklepu Ralpha Laurena na rogu, wciąż mamrocząc do telefonu. Wróciłem do Gitane.

To na pewno nic takiego, wpadałem w paranoję.

– Właśnie mówiłam Hopperowi – odezwała się Nora, kiedy usiadłem obok niej pod oknem – że w koszu na śmieci Ashley znalazłam rachunek.

Hopper obejrzał mały żółty świstek papieru, a potem z niepewną miną podał go mnie.

Był to odręczny rachunek ze studia tatuażu Rising Dragon mieszczącego się przy Zachodniej Czternastej Ulicy pod numerem 51. Piątego października 2011 roku o godzinie 20.21 ktoś – można się domyślać, że Ashley, choć nie podano nazwiska – zapłacił 363 dolary i 24 centy za „tatuaż amerykańska flaga/portret”. Ze zdjęć koronera wiedziałem, że tatuaż na prawej stopie Ashley był starszy. Pozostawało więc tajemnicą, do czego odnosił się kwit.

– Jutro tam pojedziemy – powiedziałem. – Sprawdzimy, czy ktoś rozpozna ją na zdjęciu.

– Poza tym musimy znaleźć kogoś, kto nam wyjaśni, co oznaczają kręgi, które Ashley zostawiła pod łóżkiem – dodała Nora, po czym ugryzła kawałek tostu z awokado.

– Nie wiemy, że to ona – wtrącił Hopper. – Każdy świr mógł je tam umieścić.

– Zgadzam się – przyznałem. – Ta wścibska właścicielka mogła nam nakłamać o kluczu. No i jeszcze ci dwaj, których Iona widziała pod drzwiami. Ciekawe, czy Ashley przed kimś się ukrywała, na przykład przed rodziną. No bo po co wynajmowałyby pokój pod fałszywym nazwiskiem i zmieniała zamki?

– Zupełnie jakby istniały dwie Ashley – mruknęła Nora w zamyśleniu.

– To znaczy? – spytałem.

Dźgnęła widelcem stertę kuskusu na swoim talerzu.

– Po pierwsze pianistka. Kobieta dzika i nieustraszona. Dziewczyna, którą Hopper poznał nad Sześcioma Srebrnymi Jeziorami. A po drugie ta, o której mówią ludzie. Istota mająca nadprzyrodzone zdolności.

– Nadprzyrodzone zdolności – powtórzyłem.

Kiwnęła głową z poważną miną.

– Pamiętasz, co mówiła Guadalupe w Waldorf Towers? Że Ashley była naznaczona. – Nora spojrzała na Hoppera. – I rzeczywiście na fotografii koronera znaleźliśmy czarną plamkę w lewym oku. Przypomnij sobie, jak zmanipulowała Morgana Devolda, nie mówiąc przy tym ani słowa. Zahipnotyzowała go. A Peter w Klavierhausie? Powiedział, że poruszała się jak zwierzę.

– Zamknięto ją wbrew woli w szpitalu psychiatrycznym. – Hopper osunął się w fotelu. – Kto wie, co oni jej tam dawali? Widziałem już ludzi na takim gównie, próbujących się z tego wyplątać. Najczęściej w ogóle nie wiedzieli, co robią.

– Zauważyłam coś jeszcze – ciągnęła cicho Nora. – Ashley jakoś dziwnie interesowała się dziećmi. – Byłem pod wrażeniem. Ja też zwróciłem na to uwagę. – Córeczce Morgana Devolda przeczytała bajkę na dobranoc – mówiła dalej. – No i opiekowała się siostrzeńcem właścicielki budynku. Skoro przyjechała do miasta, żeby spotkać się z kimś w Waldorfie i w tym klubie nocnym, po co traciła na to czas?

– Może lubiła dzieci – odparł Hopper.

– Sporo kontaktu z dziećmi w zaledwie kilka dni. Pamiętacie tę lalkę, którą Morgan Devold wyłowił z basenu? Mówił, że zginęła parę tygodni temu.

– I co z tego? – spytał Hopper.

– Czyli mniej więcej wtedy, gdy była u niego Ashley.

– Myślisz, że to ona wrzuciła lalkę do basenu?

– Może. A po co umieściła kręgi z ziemi pod łóżkiem? I korzenie nad drzwiami?

– Już ustaliliśmy, że to raczej nie ona. – Hopper powiedział to z taką złością, że modelki przy sąsiednim stoliku przerwały rozmowę i na niego spojrzały. Nachylił się i zniżył głos. – Na pewno strasznie ci się podoba taka wizja, że Ashley to jakaś Baba Jaga, która pichci wywary z ogonów szczeniąt, palców małych dzieci i chuj wie czego jeszcze. Ale to idiotyzm. Za wszystko odpowiada jej rodzina. To właśnie ci pomyłeńcy wpakowali ją do Briarwood. Chciała od nich uciec. I pewnie dlatego zginęła. –

Ostatnie słowa wymamrotał sam do siebie. Odgarnął włosy z oczu i dźgnął widelcem zapiekane jajka zbyt zdenerwowany, by jeść.

Nora rzuciła mi spojrzenie, a potem w milczeniu wróciła do posiłku. Nic nie powiedziałem. Sposób, w jaki to ujęła – „Ashley jakoś dziwnie interesowała się dziećmi” – przypomniał mi o anonimowym rozmówcy sprzed pięciu lat, Johnie. „On coś robi dzieciom” – powiedział wtedy i te słowa prześladowały mnie do dziś.

Co to oznaczało? Że cała rodzina, a przynajmniej ojciec i córka, mieli fiksację na punkcie dzieci? Dlaczego?

Wystarczyło, że zadałem sobie to pytanie, a mój umysł od razu dostarczył najmroczniejszych odpowiedzi. Ta dychotomia to ważny motyw twórczości Cordovy: nikczemność dorosłości, czystość młodości oraz zderzenie tych dwóch elementów. *Gdzieś w pustym pokoju*, *Zgniatacz kciuków*, *Dziedzictwo*, *Owoc miłości* – wszystkie te filmy w pewien sposób zajmowały się tym tematem, natomiast w *Oddychać z królami* Cordova postawił to równanie na głowie, zdeprawowanie przypisując dziecku, a świętość dorosłym. Jest takie zdanie, które Marlowe Hughes wypowiada w *Owocu miłości*, trawestacja słów Williama Blake’a: „Lepiej zamordować niewinne dziecko i mieć to z głowy, niż źle je traktować i stworzyć potwora”.

Nagle przypomniała mi się Mellie, córeczka Morgana Devolda, która podreptała za mną na paluszkach i wyciągnęła rękę, w której trzymała coś czarnego.

Może źle ją potraktowałem? Może bez słów prosiła o pomoc, błagała, żebym nie odjeżdżał? Całe szczęście, że powiedziałem Sharon Falcone o chłopcu przy Henry Street 83. Gdybym lepiej zbadał sytuację, nie zawahałbym się przed tym samym w odniesieniu do dzieci Devoldów. To była tak niepokojąca myśl, że wysłałem SMS-a do Cynthii, przepraszając ją za zmianę planów i zapewniając, że bardzo chętnie wezmę Sam na weekend, kiedy ona wyjedzie do Santa Barbara.

– Ten facet już trzeci raz tędy przechodzi i się nam przygląda – stwierdził Hopper, zerkając w stronę okna za moimi plecami.

Odwróciłem się za jego spojrzeniem. To ten sam człowiek, którego zauważyłem wcześniej – wysoki, ciemnowłosy, w czarnej skórzanej kurtce. Znowu stał po drugiej stronie ulicy, parę metrów od miejsca, w którym widziałem go po raz pierwszy.

– Obserwował mnie wcześniej, kiedy byłem na dworze – powiedziałem.

Nagle Hopper zerwał się z miejsca, potrącił kelnerkę, która nieomal upuściła tacę z jedzeniem, i wybiegł na zewnątrz. Na jego widok mężczyzna czmychnął za róg. Wstałem i pobiegłem za nimi.

Hopper pędził środkiem ulicy pół kwartału dalej. Dogoniłem go na rogu Lafayette.

– Zwiął! – wrzasnął, wskazując taksówkę przyspieszającą w stronę Houston Street. Wszedł na jezdnię, żeby złapać inną, a ja ruszyłem za tamtą.

W oddali zapaliło się żółte światło. Taksówka zjechała na środkowy pas i dodała gazu. Zaraz przeleci przez skrzyżowanie i to będzie koniec. Potem jednak kierowca wcisnął hamulec i gwałtownie zatrzymał się na czerwonym.

Miałem tylko sekundy. Kluczyłem między samochodami wzdłuż prawego pasa. Widziałem ciemną sylwetkę nieznajomego na tylnym siedzeniu – oglądał się za siebie, zapewne wypatrując Hoppera. Szarpnąłem za klamkę.

Mężczyzna odwrócił się zaskoczony. Jego szok prędko zmienił się w chłodny spokój, kiedy zrozumiał, że drzwi są zamknięte. Miałem wrażenie, że skądś go znam.

– Kim jesteś?! – krzyknąłem. – Czego chcesz?

Pokręcił głową i wzruszył ramionami, jakby nie miał pojęcia, o co mi chodzi. Czyżbym pomylił taksówki? Samochód potoczył się naprzód, twarz mężczyzny utonęła w cieniu. Potem zapaliło się zielone światło i błyskawicznie przecięli Houston Street, a ja stałem tam, słuchając klaksonów omijających mnie aut.

Kiedy taksówka odjeżdżała, światło padło na lewą dłoń nieznajomego.

Nie miał trzech palców.

Po powrocie do Gitane opowiedziałem o wszystkim Hopperowi i Norze. Byłem pewien, że obserwował nas Theo Cordova.

– To wszystko zmienia – stwierdziłem. – Skoro zainteresowała się nami rodzina, musimy przyjąć, że obserwują każdy nasz krok.

Oboje zgodzili się ponuro. Hopper niemal natychmiast rzucił na stół parę zmiętych banknotów i wyszedł, żeby oddzwonić na SMS-a. Nora i ja wróciliśmy do domu. Ona położyła się spać, a ja nałapałem sobie szkockiej Macallan i postanowiłem sprawdzić, co można znaleźć w internecie na temat Thea Cordovy.

Wyszukiwarka grafiki Google dała ponad tysiąc trafień. Wszystkie zdjęcia były kadrami z filmów Cordovy. Theo grał małe role w *Szparze w oknie* i *W nocy wszystkie ptaki są czarne*, ale większość fotografii pochodziła z pierwszej sceny *Tu na mnie czekaj*, w której półnagi wybiegł na drogę.

Im dłużej im się przyglądałem, tym bardziej nabierałem przekonania, że to ten sam człowiek, ten sam długi, chudy nos, te same bladobrązowe oczy. Sprawdziłem jego datę urodzenia w swoich notatkach: przyszedł na świat 12 marca 1977 roku w Szpitalu Świętego Piotra w Albany, więc miał teraz trzydzieści cztery lata.

Na Blackboardsach niewiele znalazłem na jego temat. Wyglądało na to, że w świecie Cordovy syn pojawił się w zasadzie przypadkowo. Jedno ze źródeł twierdziło, że Theo od jedenastu lat żyje z dala od świata na wsi w Indianie, pracuje jako architekt krajobrazu i zmienił nazwisko na Johnson.

Przejrzałem jeszcze kilka stron, a potem przyszedł mi do głowy pewien pomysł. W dziale ROZMAWIAJ Z OBCYMI umieściłem prosty wpis. Poprosiłem o pomoc w zidentyfikowaniu i dyskretnym wstępie do tajemniczego klubu na Long Island, który ma francuską nazwę i „mieści się w dawnym więzieniu”.

Potem uśpiłem komputer i poszedłem do łóżka.

Byłem wyczerpany, ale nie mogłem zasnąć. Dręczyło mnie uczucie, że on wciąż gdzieś tam jest i mnie obserwuje.

Theo Cordova. Wrażenie było tak silne, że wstałem, odciągnąłem zasłonę i wyjrzałem na ulicę. Perry Street była jednak cicha, dostojna i pełna cieni. Nie ruszało się nic z wyjątkiem drzew dygoczących w lekkim wietrze. Zmieniałem się w ześwirowanego paranoika rodem z Dostojewskiego.

Wróciłem do łóżka, naciągnąłem kołdrę na twarz i wściekle zmuszałem się do snu. Odwróciłem poduszkę na chłodną stronę. Wystarczyło kilka sekund, żeby znów była gorąca i lepka. Również pościel parzyła. Wyciągnięta spod materaca owinęła mi się wokół pasa niczym mięsożerna roślina, która chce mnie udusić. Ilekroć zamykałem oczy, widziałem twarz Thea na wpół pograżoną w mroku taksówki, jego mętne oczy i zdeformowaną dłoń przyciśniętą do szyby, jakby chciał mi coś powiedzieć, o coś prosić, przed czymś ostrzec. Był równie niepokojący i równie nieuchwytny co Ashley owej nocy nad Zbiornikiem.

Jakimś cudem musiałem zasnąć około trzeciej nad ranem, bo obudziło mnie ciche pukanie do drzwi.

Uchyliłem powiekę. Na budziku była 3.46.

– Mogę wejść? – szepnęła Nora.

Nie czekając na odpowiedź – dzięki Bogu miałem na sobie spodnie od piżamy – wślizgnęła się do pokoju. W ciemności słabo ją widziałem, ale chyba miała na sobie białą koszulę nocną z długimi rękawami, przez co wyglądała jak duch, który właśnie wleciał do mojej sypialni, zawisł na skraju łóżka i mierzył mnie wzrokiem, żeby zdecydować, czy warto mnie straszyć.

– Tak sobie myślałam... – zaczęła, ale nie dokończyła.

– Dlaczego myślisz o czwartej nad ranem? – zapytałem. Podłożyłem sobie poduszki pod plecy i oparłem się o wezgłowie łóżka. – Oby to było coś ważnego.

– Chodzi o Hoppera. Do tej pory nie umiałam tego określić, ale... – Oparła stopy o stelaż łóżka i naciągnęła koszulę na kolana.
– Skąd on wiedział, że powinien iść do tego sklepu

z fortepianami? W całym mieście znalazł akurat to jedno miejsce, które odwiedziła Ashley? To zbyt nieprawdopodobne.

Też tak uważałem. To było niezwykle zrzędzenie losu, że Hopper trafił w Klavierhausie na kogoś, kto widział Ashley. Kiedy coś wydaje się szalonym zbiegiem okoliczności, w dziewięciu przypadkach na dziesięć wcale nim nie jest.

– A kiedy zasugerowałam, że to Ashley umieściła te rzeczy pod łóżkiem, strasznie się wściekł.

– Zauważyłem.

Przygryzła paznokieć kciuka.

– Myślisz, że Hopper odpowiada za to, co się z nią stało?

– Jeszcze nie wiem. Ale na pewno coś ukrywa.

– I chyba nas nie lubi.

– To okropna wada. Dorzuć do tego, że pali jak komin, chodzi cały zasepiony i nosi fryzurę na łobuza. Chyba myśli, że jest buntownikiem w filmie Johna Hughesa. – Nora zachichotała. – Zastosujemy sprawdzoną sztuczkę z podręcznika McGratha. Metoda na Corleone. Będziemy go trzymać blisko. W końcu się odsłoni. To zawsze działa. – Nora gwałtownym ruchem założyła włosy za uszy, tak że łóżko zadrżało, ale nic nie powiedziała. – Mogę cię o coś zapytać? – Odwróciła się do mnie. W mroku jej twarz była niewyraźną plamą. – Terra Hermosa. Jak to możliwe, że pozwolili ci tam mieszkać? Chyba był jakiś wymóg wiekowy.

– No tak. To było nielegalne. Ale nie mogłam zostawić Eli. Wychowała mnie. Do tamtej pory najgorszym dniem mojego życia był ten, kiedy upadła na parkingu przed Bonnie Lee's Fried Chicken i lekarze powiedzieli, że musi iść do domu opieki.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Czternaście.

– A twoi rodzice?

Nora bawiła się falbankami rękawów koszuli nocnej.

– Mama zmarła, kiedy miałam trzy lata. Chorowała na serce. Tata już wtedy odsiadywał wyrok dwudziestu lat więzienia.

– Za co go zamknęli?

– Uszustwa pocztowe, uszustwa telekomunikacyjne, kradzież tożsamości, karty kredytowe. Bardzo ciężko pracował nad byciem przestępcą. Eli mawiała, że gdyby połowę tej energii, którą poświęcał chodzeniu na skrót, wkładał w chodzenie zwykłą drogą, byłby miliardrem. – Pokiwałem głową. Znałem takich ludzi, niejednym zajmowałem się zawodowo. – Przez jakiś czas spędzałam w domu opieki cały dzień, wychodziłam, a potem po kryjomu wracałam na noc. Kiedy mnie złapali, miałam trafić do rodziny zastępczej, ale Eli namówiła się z innymi seniorami na piętrze i narobili smrodu. Dyrektorka zaskoczyła wszystkich, ale chyba po prostu nie chciała mieć u siebie buntu staruszków. Powiedziała, że jeśli będę się chować, kiedy przyjdzie kontrola stanowa, mogę tam zostać aż do ukończenia szkoły średniej. Zawsze był jakiś wolny pokój, bo stale ktoś umierał. Kiedy Eli zmarła na raka, odeszłam, z nikim się nie żegnając. Uznałam, że jeśli nie zrobię tego natychmiast, to nie odejdę nigdy. – Na chwilę zamilkła i odchrząknęła. – Zmarła w szpitalu w niedzielę, a ja wróciłam do jej pokoju, żeby zabrać rzeczy. Jest lista czekających na miejsce w domu opieki, więc wiedziałam, że ktoś się tam wprowadzi. Jeśli rodzina nie weźmie rzeczy zmarłego, to po prostu je wyrzucają i już po chwili pokój wygląda tak, jakby ta osoba nigdy tam nie mieszkała. Tylko stare łóżko, krzesło i okno, które czeka, aż będzie przez nie patrzył kolejny lokator. Właśnie zbierałam rzeczy Eli, kiedy nagle zagwizdał na mnie przez zęby Stary Brudny Bill, który mieszkał po drugiej stronie korytarza.

– Stary Brudny Bill? Jeszcze o nim nie wspominałaś.

– Wszyscy nazywali go Brudnym Billem, bo stale miał czarny brud pod paznokciami. Walczył podczas drugiej wojny światowej i ciągle się chwalił, że był tuż obok bunkra Hitlera, kiedy wybuchł, więc ludzie szeptali, że to właśnie odłamki tego bunkra wciąż ma pod paznokciami. – Zamilkła, pociągnęła nosem. – Zagwizdał, żebym do niego weszła. Zawsze gwizdał na ludzi. Bałam się tam iść. Nikt nie wchodził do jego pokoju, bo strasznie w nim śmierdziało. Ale on wyciągnął spod łóżka pudełko po butach Rockport. Powiedział, że odkładał pieniądze na moje marzenia. Było tam sześćset dolarów. Dał mi je i powiedział:

„Teraz masz szansę zrobić coś ze swoim życiem. Spływaj, mała”.
Więc spłynęłam. Poszłam pieszo na dworzec w Kissimmee
i pojechałam autobusem do Nowego Jorku. Ludzie nie mają
pojęcia, jak łatwo zmienić swoje życie. Wystarczy wsiąść
w autobus. – Ucichła. Przez chwilę oboje milczeliśmy,
pozwalając, żeby ta historia dryfowała między nami jak tratwa. –
Miałam szczęście – podjęła Nora. – Większość ludzi ma tylko
jedną matkę i jednego ojca. Ja miałam całą gromadę.

– Miałś ogromne szczęście.

Chyba zrobiło jej się miło. Schowała dłonie w długich białych
rękawach.

– W ciemności łatwo być sobą. Zauważyłeś? Pewnie
powinniśmy się zdrzemnąć. – łóżko zadygotało, kiedy zeskokczyła
na podłogę i czmychnęła do drzwi. – Dobranoc, Woodwardzie.

– Dobranoc, Bernsteinie.

VF DAILY

Kultura, społeczeństwo, polityka

POLECANE ARTYKUŁY

John i Yoko o rozpadzie
BeatlesówZamachowiec-samobójca
atakuję NATOOccupies London
robi hałas

KULTURA TYLKO W INTERNECIE

Córka czarodzieja

29 PAŹDZIERNIKA 2011

Like 16

Tweet 2

COMMENT (0)

E-MAIL

NAJPOPULARNIEJSZE

1. Mroczne strony amerykańskich pisarzy
2. Fotoesej Stanisława Cordovy: Makabra i obłęd
3. Córka czarodzieja
4. Stróżki nocni: Nowe pokolenie Lee Harvey'ów Oswaldów?
5. Kwestionariusz Prousta: Cher

Dwa tygodnie temu fanami wiodącego samotniczy żywot kultowego reżysera Stanisława Cordovy wstrząsnęła wiadomość, że jego 24-letnią córkę Ashley znaleziono martwą w magazynie w Nowym Jorku. Prawdopodobnie popełniła samobójstwo. Dziennikarka „Vanity Fair” LIZ KRUGER odszukała współlokatorkę Ashley z pierwszego roku studiów w Amherst College i odkryła, że za olśniewającą córką twórcy, nieujarzmioną duszą, ciągnie się tyle samo pytań, co za jej niesławnym ojcem.



Fotografia: K&M Recording

Mieszkałyśmy razem przez prawie rok, ale nie mogę powiedzieć, że ją znałam – mówi Emma Banks, współlokatorka Ashley z pierwszego roku studiów w Amherst College w roku 2005/2006. – Była dzika. Pochodzi z miejscowości Moline w Kansas, która ma 371 mieszkańców. U nas nie było dziewczyn takich jak Ashley. Miała zwariowany japoński tatuaż na stopie i piła whisky, pisząc prace semestralne.

Czuję się trochę surrealistycznie, siedząc w Pastis w środowy poranek i jedząc croissants z kobietą, która naprawdę znała Ashley Brett Cordovę. Odkąd świat dowiedział się o jej rzekomym samobójstwie w opuszczonym magazynie w Chinatown – to pierwsza od lat wiadomość w jakikolwiek sposób dotycząca rodziny Cordovów, nie licząc skandalu sprzed około pięciu lat, kiedy reżysera zniesławił dziennikarz śledczy Scott McGrath – usiłowałam namierzyć przyjaciół Ashley, jej sąsiadów albo ludzi, którzy z nią pracowali, żeby się dowiedzieć, co mi o niej powiedzą i czy potrafią wyjaśnić tę tragedię, ale bezskutecznie.



KULTURA TYLKO W INTERECIE

Córka czarodzieja

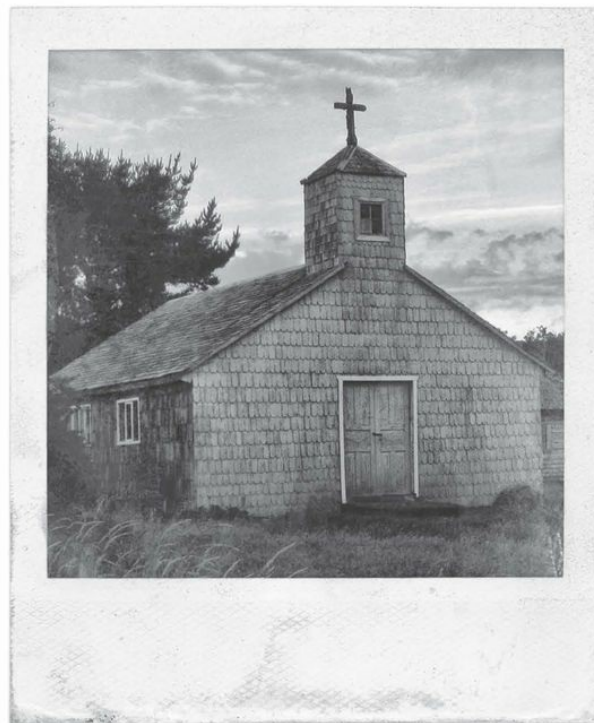
29 PAŹDZIERNIKA 2011

Ashley nie korzystała z mediów społecznościowych – a w dzisiejszych czasach to tak, jakby nie istniała. Z Google’a dowiemy się tylko o jej karierze muzycznej w dzieciństwie oraz o roli w ostatnim filmie ojca, *Oddychać z królami*, którego nielegalną kopię można kupić w sieci za 1950 dolarów. Kontakt ze Spence School (gdzie podobno spędziła pół semestru) i Amherst College (który ukończyła) w celu zdobycia wypisu ocen Ashley okazał się niemożliwy – jej dokumenty zamknięto w archiwach.

Szukając wiatru w polu, jak na razie dotarłam tylko do 25-letniej Emmy Banks, dawniej zamieszkałej w Moline w Kansas, a obecnie w Chelsea w Nowym Jorku. W Amherst ukończyła ekonomię, obecnie pracuje jako analityk w JPMorgan Chase.

– Ashley czytała rzeczy typu „Interview” i poematy Byrona – mówi dalej Emma, odrywając w zamyśleniu kawałek croissanta. – Czasem przez całą noc nie kładła się spać, bo komponowała. Budziłam się o czwartej nad ranem i widziałam, że siedzi na łóżku z latarką w ręce i skrobie coś ołówkiem. Ja i cała reszta pierwszoroczniaków włóczyliśmy się zagubieni dużymi grupami, wie pani, martwiliśmy się o stopnie, o to, z kim się zaprzyjaźnimy, czy znajdziemy sobie miejsce. Ale ona już wiedziała, kim jest. I niczego się nie bała.

Kiedy pytam Banks, co ma na myśli, opowiada mi o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce w połowie semestru zimowego, kiedy wraz z koleżanką wybrały się na imprezę poza kampus. Gdy dotarły na miejsce, w pokoju na zapleczu panowało duże poruszenie. Przedarłszy się przez tłum, Banks zobaczyła, że wszyscy obserwują partię rozbieranego alkoholowego pokera, którą Ashley rozgrywała z ośmioma chłopakami, samymi studentami ostatniego roku.



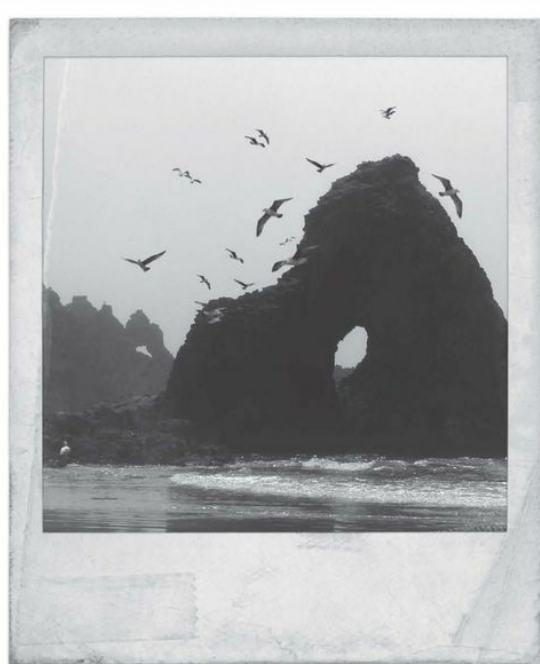
Kiedy Banks wyprowadzała się ze wspólnego pokoju w akademiku pod koniec roku akademickiego 2005/2006, znalazła to zdjęcie – jedną z trzech fotografii, które wpadły za szafkę Ashley.

KULTURA TYLKO W INTERNECIE

Córka czarodzieja

29 PAŹDZIERNIKA 2011

– Ja bym się strasznie bała – mówi Banks. – Oni wszyscy byli w drużynie lacrosse’a, studiowali ekonomię, byli superarogancy. Każdy myślał, że będzie drugim George’em Sorosem. Ashley ich spiła. Czterech musiało wyjść na dwór, żeby zwymiotować na trawnik. Wkrótce została sam na sam z pewnym nadzianym chłopakiem, Carsonem. Grał na obronie. Kompletny dupek. Zna pani takich gości, którzy w rozmowie używają słów w stylu „estymacja” i opowiadają o wakacjach na Martha’s Vineyard? No więc po godzinie siedział już w samych gatkach taki narąbany, że spadł z krzesła i stracił przytomność. Ashley była zupełnie trzeźwa. Wygrała wszystkie ich pieniądze i przez cały ten czas musiała zdjąć tylko sweter. To właśnie wtedy zakochał się w niej każdy facet na uczelni.



Drugie z trzech zdjęć polaroidowych, które zostawiła Ashley.

Banks opisuje inne zdarzenie, kiedy to pewnego wieczoru późno wróciła do domu z biblioteki. Okazało się, że Ashley urządziła w pokoju imprezę. Grano w „wyznanie albo wyzwanie”. – Ashley odmawiała wyznań, przyjmowała tylko wyzwania – mówi Banks. – Stawały się coraz bardziej szalone, a ona w ogóle się nie wahała. W pewnym momencie ktoś kazał jej zgasić papierosa palcami. Zgasiła go sobie na języku! Kiedy rzucono jej wyzwanie, żeby wyszła na dach, natychmiast wylazła przez okno i zaczęła chodzić po krawędzi (mieszkałyśmy na górnym piętrze budynku Appleton). Zrobiło mi się niedobrze, więc musiałam opuścić pokój. Gdy wróciłam po godzinie, impreza już się skończyła, a Ashley leżała w łóżku i czytała książkę jak gdyby nigdy nic.

Pytam Banks, czy kiedykolwiek rozmawiały o życiu rodzinnym Ashley – a zwłaszcza o ojcu.

– Nie, była skryta. Ale pamiętam, jak na imprezie przed świętami Bożego Narodzenia całowała się z Mattem, piłkarzem z pierwszego roku studiów, za którym szalały wszystkie dziewczyny na uczelni. Chyba się z nim zmyła, bo nie wracała do pokoju przez cztery dni. Kiedy się w końcu pojawiła, zastałam ją zwinietą na łóżku i zapłakaną. Przestraszyłam się, bo nigdy jej takiej nie widziałam. Zapytałam, o co chodzi, a ona na to: „O zdruzgotane serce”. Cała Ashley. Jej serce nie mogło być tak po prostu złamane, ale zdruzgotane.

KULTURA TYLKO W INTERNECIE

Córka czarodzieja

29 PAŹDZIERNIKA 2011

Powiedziała, że jest w kimś zakochana i że nie ma nadziei. Myślałam, że splawił ją Matt. Ale zaczął bez przerwy wydzwaniać i próbował się z nią zobaczyć, więc to chyba nie miało z nim związku. Chodziło o coś innego. O kogoś innego. Nigdy nie dowiedziałam się, o kogo.

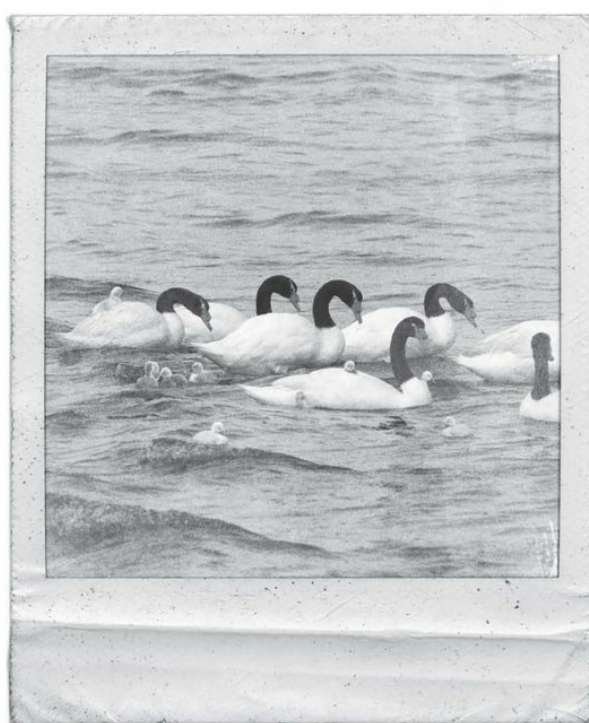
Banks studiowała ekonomię i większość wieczorów spędzała w bibliotece. Wkrótce znalazła chłopaka i rzadko przesiadywała w pokoju – ale kiedy się tam pojawiała, Ashley nigdy nie było.

– Chyba ciągle jeździła pociągiem na Manhattan, zajmowała się swoimi sprawami, no i nauką. Mimo tej całej bieganiny miała lepsze stopnie ode mnie. Pamiętam, jak kiedyś na jej biurku zobaczyłam wydruk średniej ocen. Same piątki. Zaliczyła wszystko na maksa. „Wysadziła w powietrze”, tak się wyraziła. Nie cierpiała tego, co nijakie, słabe i ostrożne, a pewnie właśnie tak myślała o mnie.

Banks nie wiedziała nic o rodzinie Ashley oprócz tego, że jej rodzice dzwonili regularnie, tak samo jak rodzice Banks. – Zwykle dzwoniła mama. Miała silny francuski akcent. Bardzo czarujący. Raz, kiedy odebrałam telefon pod nieobecność Ashley, pytał o nią jakiś mężczyzna o niskim głosie. Zapytałam, kto mówi, a on na to: „Jej ojciec”. I to był koniec rozmowy.

Taki stan rzeczy trwał aż do połowy semestru letniego, kiedy to Ashley nagle zniknęła z Amherst – bez żadnego wyjaśnienia.

– Było do niej kilka telefonów – opowiada mi Banks. – Nie rozpoznałam głosu. Mężczyzna. A potem nagle Ashley się zmyła. Tydzień później po jej rzeczy przyszła jakaś Latynoska. Mnie wtedy nie było w akademiku, ale widzieli ją inni. Kiedy wróciłam, zastałam ogołocony pokój. Zostały tylko trzy fotografie, które znalazłam parę miesięcy później, gdy wyprowadzałam się na lato.



Ostatnia z trzech fotografii, które zostawiła Ashley.

KULTURA TYLKO W INTERECIE

Córka czarodzieja

29 PAŹDZIERNIKA 2011

Spadły za szafkę. Ashley miała starego polaroida z lat siedemdziesiątych, którym ciągle robiła zdjęcia. To były trzy z nich.

Pytam Banks, dokąd jej zdaniem wyjechała Ashley.

– Ludzie mówili, że zaszła w ciążę – odpowiada. – Inni: że zrobiła coś nielegalnego albo wpadła w twarde narkotyki i trafiła na odwyk. Nikt nie wiedział, co się z nią stało. A potem, wiosną, kiedy byłam na drugim roku, wróciła. Pozwolono jej mieszkać poza kampusem. Straciłam z nią kontakt. Ale pamiętam, że raz, pod koniec ostatniego roku, widziałam ją w bibliotece. Była sama i czytała. Chciałam podejść, żeby się przywitać, ale tego nie zrobiłam. Chyba ciągle się jej bałam.

Banks mówi, że zasmuciła ją wiadomość o śmierci Ashley (W chwili publikacji niniejszego artykułu policja nie opublikowała jeszcze oficjalnego orzeczenia lekarza sądowego, ale wstępne ustalenia wskazują na samobójstwo). Przyznaje, że była pod wrażeniem swej oszalałej, wyzwolonej współlokatorki. Teraz czuje tylko żal, że nie poświęciła więcej czasu, żeby ją poznać, żeby odkryć, co kryje się pod jej brawurą i głodem życia.

– Jeśli w ogóle czegokolwiek się o niej dowiedziałam, to tego, że żyła z pasją, na jaką większości z nas brakuje odwagi – stwierdza Banks. – Ale miała w sobie coś takiego, co wykluczało normalną egzystencję. W pewnym sensie wcale się nie dziwię, że zginęła. Praca, mąż, dzieci, domek na plaży? To nie w jej stylu. Nie potrafię tego wyjaśnić. Była raczej jak siła, która mknie przez życie, przeczy wszelkiej logice, przeraża cię, a nawet rani, bo jest wszystkim, czym sama chciała być, ale wiesz, że nigdy się na to nie zdobędziesz... potem zaś znika. Tak właśnie wyglądała moja znajomość z Ashley Cordová.

Banks milknie. Niedojedzony croissant leży w kawałkach na jej talerzu.

– Stało się wiele lat temu, że była / W królestwie nadmorskiej mgły / Dziewczyna, którą, być może, poznać / Pod imieniem Ashley C. – Uśmiecha się zawstydzona. – W semestrze letnim, kiedy tak nagle zniknęła, ktoś na naszym piętrze napisał te słowa na tablicy, która wisiała na naszych drzwiach. Nigdy nie dowiedziałam się, kto to zrobił. Nie starałam ich, bo były niesamowite. Wie pani, dla mnie nikt nie sparafrazowałby wiersza Edgara Allana Poeego.

Zamknąłem artykuł z „Vanity Fair” na komórce. Minęła dziesiąta rano. Siedzieliśmy w taksówce pędzącej po Avenue A.

Tekst – opublikowany na stronie internetowej wczesnym rankiem – w zasadzie podniósł mnie na duchu. Dziennikarka, dzięki Bogu, zrobiła niewielkie postępy w śledztwie, a wyszukanie w Google’u wiadomości o Ashley Cordovie dowodziło, że żaden reporter nie trafił na kluczowy wątek przyjęcia Ashley do Briarwood – co oznaczało, że wciąż mieliśmy przewagę. Przynajmniej chwilowo.

Pospiesznie odnotowałem jeden osobliwy szczegół: jej niespodziewane zniknięcie z Amherst na pierwszym roku.

– To tam – powiedziała nagle Nora, a kierowca zatrzymał się przy chodniku.

Przed chwilą skręciliśmy we Wschodnią Dziewięćdziesiątą Ulicę. Nora wskazywała wąską witrynę sklepową zagłębioną jakieś półtora metra poniżej poziomu ulicy. Zobaczyłem czarną furtkę i zniszczony czerwony daszek z metalu, na którym widniało jedno słowo wymalowane fioletowymi literami:

ZAKŁĘCIA

Na stronie internetowej Zakłęcia szczyły się mianem „Najstarszego i Największego Nowojorskiego Sklepu z Akcesoriami z Dziedziny Czarownictwa i Kultu Bogini”.

Wysiedliśmy z taksówki, a potem zeszliśmy po schodkach usianych petami i suchymi liśćmi.

Wewnątrz wysoki, piegowaty chłopak z pomarańczowymi włosami natychmiast wyskoczył zza lady i krzyknął:

– Zero, wracaj tu! – Zero był białym kotem perskim, który popędził do otwartych drzwi, ale zdążyłem je zamknąć, zanim uciekł. – Dzięki, stary – powiedział chłopak.

W powietrzu wisiała przytłaczająca woń kadzideł. Sufit był nisko, a ciasne ceglane ściany nachylały się do wewnątrz niczym korytarz na grafice M.C. Eschera. Wzdłuż nich ciągnęły się

drewniane półki zastawione mistycznymi bibelotami. W Zakłęciach odnosiło się wrażenie, że wszystkie święte przedmioty zostały stworzone równymi. Sklep zaaranżowano w taki sposób, jakby Chrystus, Budda, Mahomet, Wisznu – plus paru przypadkowych pogan – wspólnie urządzili wyprzedaż garażową.

Miniaturowe kotły dla czarownic (w rozmiarach *tall, grande i venti*) śmiało ustawiono obok świętego Franciszka, Matki Boskiej i paru innych świętych katolickich. Dalej leżał często kartkowany tom zatytułowany *Żydowska magia kabały*, dalej Biblia, dalej karty do tarota, saszetki z potpourri nazwane „Woreczkami szczęścia wanga” oraz koszyk z woskowymi krucyfikami, ceramicznymi żabami i plastikowymi fiolkami z wodą święconą (po 5 dolarów 95 centów sztuka).

Najwyraźniej wielu nowojorczyków dało sobie spokój z psychoterapeutami oraz jogą i stwierdziło: „A co mi tam, spróbuję magii”, bo w sklepie był tłum. W głębi grupka trzydziestoparoletnich kobiet zgromadziła się przy wysokim regale pełnym setek kolorowych świec. Wybierały je z szaleńczym przejęciem. Jakiś zmęczony mężczyzna w średnim wieku ubrany w niebieską koszulę – który niepokojąco przypominał mojego maklera – z uwagą studiował instrukcję na odwrocie planszy ouija.

Obszedłem Norę oraz ponurego chłopca z brązowymi włosami w strąkach – czytał broszurkę pod tytułem *Przewodnik po znaczeniu planetarnym i magicznym* – i zbliżyłem się do gabloty. Leżały w niej srebrne naszyjniki, wisiorki i talizmany, w których wyryto hieroglify oraz inne, nic mi niemówiące symbole. Nad kasą zwisała z sufitu pięcioramienna gwiazda wpisana w okrąg, czyli pentagram – symbol satanistów, o ile dobrze pamiętam z czasów studenckich. Dalej, na tylnej ścianie, znajdowały się oprawione w ramki czarno-białe fotografie formatu 20 na 25 centymetrów, przedstawiające mężczyzn i kobiety o surowych minach i martwych oczach seryjnych

zabójców – z pewnością legendarni czarownicy i słynne wiedźmy.

Obok zdjęć przyklejono taśmą małą tabliczkę z odręcznym, już nieco wyblakłym napisem:

*Nie sprzedajemy artykułów do czarnej magiji, więc proszę
o nie nawet nie pytać.*

Podszedł do nas chłopak z pomarańczowymi włosami, który zdążył zagonić Zero na zaplecze.

– Mogę w czymś pomóc?

– Tak – odparła Nora, odkładając na półkę książkę, którą właśnie kartkowała, zatytułowaną *Znaki, symbole i omeny*. – Mamy nadzieję, że ktoś pomoże nam zidentyfikować zioła i korzenie, które znaleźliśmy w dziwnych układach w pokoju przyjaciółki.

Tamten kiwnął głową, zupełnie niezdziwiony, i wskazał kciukiem w głąb sklepu.

– Zapytajcie dyżurnych wiedźm – odparł. – Wiedzą wszystko.

Nie zauważyłem tego, gdy weszliśmy, ale na tyłach lokalu znajdowała się drewniana lada, za którą siedział latynoski młodzieniec.

Wraz z Norą ruszyliśmy w jego stronę, omijając kobiety krzątające się przy kolorowych świecach. Jedna z nich, z kręconymi czerwonymi włosami, trzymała w rękach fioletową, żółtą, pomarańczową i zieloną.

– Myślisz, że powinnam wziąć jeszcze świętego Eliasza i świętego Michała? – zapytała koleżankę.

– Nie zepsuj tego – szepnęła do mnie Nora. – Wiem, że nie wierzysz w te rzeczy, ale to nie znaczy, że masz być niegrzeczny.

– Ja? O czym ty mówisz?

Rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie, a potem stanęła za młodą kobietą, która cicho omawiała coś z młodym Latynosem. Siedział przycupnięty na wysokim stołku i pracowicie rzeźbił dużym nożem myśliwskim w zielonej świecy.

Nie wyglądał na wiedźmę – ale to pewnie stwierdzenie równie głupie co wypowiedź sąsiada oznajmiającego brukowcowi, że Jimmy, który mieszkał u matki w piwnicy i prawie nie wychodził z domu, nie wyglądał na mordercę. Chłopak miał zmierzwiłone czarne włosy. Nosił zielonkawą wojskową koszulę spopularyzowaną przez Fidela Castro i Che Guevarę, co dodawało mu swoistego autorytetu socjalisty z tropików.

Przed nim drewniany blat zagracany kolorowe świece, saszetki ziół, buteleczki z olejkami i ciemnymi płynami, noże introligatorskie, sznurki i sprężynowce. Z lady zwisała na sznurku tabliczka z klipsem, a na niej znajdował się plik postrzępionych kartek. Sięgnąłem po nią – tytuł brzmiał: *Menu rytów na zamówienie* – i zacząłem przeglądać.

„**Wygraj w Sądzie.** Ta świeca pozwala wygrać każdą sprawę sądową, małą i dużą.

Purpurowa Mądrość. Pomaga przezwyciężyć przeszkody znane i nieznane oraz podejmować prorocze decyzje. Daje mądrość w dziedzinie pradawnych nauk, takich jak astrologia, magia hermetyczna, kabała i inne systemy magiji.

Chodź do Mnie. Ta świeca działa na osoby pełne seksualnego pożądania i zbliża je do siebie. To świeca BARDZO SILNA SEKSUALNIE, należy z niej korzystać ostrożnie”.

Że też dopiero teraz tu trafiłem!

Kobieta przed nami odeszła, więc zbliżyliśmy się do lady.

– W czym mogę państwu pomóc? – zapytał chłopak, nie podnosząc wzroku.

Nora cicho i uprzejmie wyjaśniła, po co przyszliśmy. Wyjęła z torebki dwa woreczki strunowe, jeden z próbką ziemi, a drugi z korzeniami związanymi białym sznurkiem.

– Znaleźliśmy to pod łóżkiem przyjaciółki wewnątrz dziwnych kręgów – powiedziała, pokazując próbkę ziemi. – Potrzebujemy pomocy w stwierdzeniu, co to jest i dlaczego się tam znalazło.

Chłopak odłożył nóż, a zanim wziął woreczki, starannie wytarł dłonie w szmatkę. Nie otwierając torebki, roztarł proszek między palcami, a potem obejrzał go pod małą lampką. Później otworzył,

powąchał i aż zamrugał oczami. Ponownie zamknął, odłożył na blat i zeskoczył ze stołka. Sięgnął po niską drabinkę wciśniętą w kąt pomieszczenia i postawił ją przed półkami po prawej stronie, które ciągnęły się aż po sufit. Jeden przy drugim stały tam olbrzymie szklane słoje pełne ziół, każdy z wyblakłą karteczką.

Zrobiłem krok naprzód i zacząłem czytać:

„Maranta”. „Balsam z Gileadu”. „Morszczyn”. „Jeleni język”. „Grudki smoczej krwi”. „Pięciornik”. „Korzeń Jana Zdobywcy”. „Wiązówka błotna”. „Łzy Hioba”.

Młody mężczyzna wlaź na drabinkę i wspiął się na palce, żeby dosięgnąć słoja na górnej półce. Napis na etykietce brzmiał: „Korzeń waleriany”.

Chłopak wrócił za ladę, otworzył naczynie i łyżką nabrał na dłoń jakiejś ziemistej substancji.

– Ta sama konsystencja, ten sam zapach – wymamrotał sam do siebie.

– Co to? – spytała Nora.

– Kozłek.

– To znaczy? – zapytałem.

– Takie zioło. Jego reputacja magiczna jest bardzo mroczna.

– Jego reputacja magiczna?

Kiwnął głową, niespeszony moim sceptycyzmem.

– Oczywiście. Często wykorzystuje się go w czarnej magii. Uroki. Wymuszanie miłości. Odczynianie czarów. To trochę tak, jakby w szafie najlepszego przyjaciela znaleźć strój sado-maso. Tego gówna się nie da niewinnie wytłumaczyć. Wiecie, co mam na myśli? – Nie byłem pewien, czy rzeczywiście wiem, ale i tak przytaknąłem. – Mówicie, że ten proszek rozsypano w konkretny sposób? – zapytał.

– Tak – odparłem, a potem pokazałem zdjęcia na komórce.

– Znaleźliśmy też te dwie związane gałązki – dodała Nora, wskazując drugą torebkę na ladzie. – Były schowane nad ościeżnicą drzwi wejściowych.

Chłopak zmarszczył czoło, sięgnął do pudełka po swojej lewej ręce, włożył lateksowe rękawiczki, a potem wyjął pęk patyków.

– Gdzie to wszystko znaleźliście? – spytał niepewnie.

– W pokoju wynajmowanym przez przyjaciółkę – powiedziałem.

Zmrużył oczy, obrócił korzeń w palcach i obejrzał go pod światłem.

– To chyba jakieś naprawdę zaawansowane gównno, więc powinniście pogadać z Cleopatry. Sprawdzę, czy jest dostępna.

Szarpnął grubą aksamitną kotarę w tylnej ścianie, a gdy za nią zniknął, dostrzegłem kolejne pomieszczenie. Paliło się tam słabe czerwone światło i płonęło kilka świeczek.

– Pilnuj portfela – odezwałem się do Nory. – Właśnie zostaliśmy uznani za grube ryby. Zaraz dopuszczą nas do stolika dla ostrych graczy. Zaproponują wgląd w przyszłość, rozmowę ze zmarłymi i inne oczyszczające cuda, które ochronią nas przed złymi wibracjami i odchudzą nam kieszeń o parę tysięcy dolców.

– Cśś! – skarciła mnie, gdy młody Latynos wystawił głowę z zaplecza.

– Przyjmie was – powiedział i przytrzymał nam kotarę.

Nora chwyciła plastikowe woreczki, a potem ochoczo ruszyła ku niemu, zupełnie jakby właśnie zaproszono ją do papieża na audiencję w cztery oczy.

Zmówiłem w myślach *Zdrowaś Mario* i poszedłem za nią.

Znaleźliśmy się w niewielkim pomieszczeniu z ponurym czerwonym oświetleniem. Sypiące się ceglane ściany przysłaniał udrapowany czarny materiał, na środku stał okrągły drewniany stół z kilkoma składanymi krzesłami, a nad nim wisiała czerwona lampa witrażowa.

Jakaś kobieta – domyśliłem się, że Cleopatra – stała plecami do nas przy zagraconej ladzie i rozmawiała przez bezprzewodowy telefon. Była wysoka i pulchna, miała na sobie czarny kaftan, dzinsy i stare czerwone martensy. Sięgające ramion kruczoczarne włosy z fioletowymi pasemkami spoczywały na jej barkach jak abażur.

– Usiądźcie – powiedział młody Latynos i wysunął nam krzesła. – A tak w ogóle, na imię mam Dexter.

– Aha, spróbujemy tego na nim – mówiła do telefonu Cleopatra chłodnym, klinicznym tonem. – Jagody jałowca. Zobaczymy, jak zareaguje. Jeżeli do ciebie nie zadzwoni i nie zaprosi na trzecią randkę, potraktujemy go czymś mocniejszym.

Odłożyła telefon i się odwróciła. Była Azjatką – chyba Koreanką – o surowej, pucułowatej twarzy. Dobiegała pięćdziesiątki. We włosach nosiła długie niebieskie pióra i miała na sobie tyle srebrnych bransoletek, naszyjników i kolczyków z dyndającymi czaszkami – jednym z wisiorków na szyi był dziesięciocentymetrowy ząb tygrysa – że gdy ruszyła w naszą stronę, dzwoniła i brzęczała.

– Jestem Cleo – oznajmiła beznamiętnie. – Słyszałam, że znaleźliście ślady czarnej sztuczki.

– Nie mamy pojęcia, co to jest – odparła Nora.

Cleo, która najwyraźniej słyszała to już wiele razy, przyciągnęła do stołu tapicerowany fotel spod ściany. Sypała się z niego krucha gąbka. Usiadła, podwinęła jedną nogę, uniosła kolano drugiej, oplótła je ramionami i wreszcie znieruchomiła wygięta w pozie przypominającej coś pomiędzy bardzo zaawansowaną pozycją jogi a martwym, powykręcany owadem, jakie znajduje się na parapetach.

– Streść mi sprawę – poprosiła Dextera z nutką niecierpliwości w głosie.

Chłopak wziął hermetyczne woreczki oraz moją komórkę, a następnie omówił znaleziska jak stażysta, który pokazuje specjalście dziwne wyniki rezonansu.

– A widzisz to? – mruknął, coś jej wskazując. – I to? Nie... nie rozumiem tej symetrii. Najpierw myślałem, że to pył z kowadła albo może odchody królika. Ale potem zauważyłem to. Jeszcze nigdy nie widziałem... – Urwał ze zważaniem.

Cleo wzięła od niego telefon. Zmrużyła oczy, gdy powiększyła sobie jedno ze zdjęć.

– Już wszystko wiem – powiedziała. – Możesz iść.

Chłopak kiwnął głową, spojrzał na nas po raz ostatni – chyba z autentycznym niepokojem – a potem czmychnął za kotarę i wrócił do sklepu.

Kobieta jeszcze przez minutę oglądała fotografie, zupełnie nas ignorując.

Sięgnęła po zioła, powąchała je – smród nie zrobił na niej wrażenia – a potem przyjrzała się korzeniom. Pióra wpięte we włosy otarły się o jej policzek, gdy pochyliła się nad stołem.

– Powiedzcie mi, gdzie to wszystko znaleźliście – odezwała się niskim głosem.

– W pokoju wynajmowanym przez przyjaciółkę – powiedziała Nora. – Kręgi i węgiel były pod jej łóżkiem.

– Kim jest ta przyjaciółka?

– Chcielibyśmy, żeby zachowała anonimowość – powiedziałem.

– Gdzie ona teraz jest?

– O tym również wolelibyśmy nie rozmawiać.

– Jak się miewa?

– W porządku – odparłem. – A co?

Do tej pory Cleo przypatrywała się uważnie wiązce korzeni, ale teraz podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Miała czarne oczy osadzone tak głęboko w pulchnej twarzy, że nie widziałem

białek, a jedynie czarne źrenice, które lśniły mimo panującego mroku.

– Na waszą przyjaciółkę rzucono bardzo poważną klątwę.

Nie rozwinęła myśli. Odłożyła gałazki i oparła się w fotelu, czekając cierpliwie, aż coś powiemy.

Patrzyłem na nią w milczeniu. Nora również.

Zwykle, słysząc takie słowa, wzruszyłbym ramionami i uznał, że to głupie przesady. Jednakże w bezwzględnej pewności siebie Cleopatry było coś, co trudno zlekceważyć. Po pierwsze wyglądała jak punkowa siostra Konfucjusza. Poza tym wypowiadała się beznamiętnym tonem biegłego neurochirurga.

– Co to za klątwa? – zapytałem.

– Nie jestem pewna – odparła Cleo. – To nie był prosty urok. – Wzięła do ręki moją komórkę i pokazała jedno ze zdjęć. – Wasza przyjaciółka wykonała zaawansowany rytuał odczyniania uroków. Kozłek usypany w krąg, zmieszany z siarką, solą, owadzią chityną, wysuszonymi kośćmi ludzkimi oraz zapewne innymi rzeczami, od których zrobiłoby się wam niedobrze. A to wszystko wokół asafetydy spalonej na idealnej piramidce z węgla drzewnego. Pewnie obrzydliwie śmierdziało.

– Tak! – potwierdziła błyskawicznie Nora.

– To czarcie łajno. Asafetyda. Odgania zło i przynosi szkodę wrogom. Inny trik polega na zmieszaniu go z kozłkiem, pierzem czarnej kury, proszkiem czarnej magii oraz włosom osoby, która rzuciła klątwę. Należy umieścić mieszankę w słoju, oddać do niego mocz, a następnie zakopać tam, gdzie ta osoba będzie wielokrotnie przechodzić, na przykład na werandzie albo w garażu. Będzie się miało od niej spokój do końca życia.

– Czy to działa na byłe żony? – zapytałem. – Moja mieszka w kamienicy przy Piątej Alei. Mogę po prostu zostawić słoik u portiera?

Nora rzuciła mi karcące spojrzenie, ale Cleopatra tylko odchrząknęła.

– Jeżeli nie ma pan dostępu do miejsca, w którym przebywa taka osoba – cierpliwie mówiła dalej – to musi pan zrobić to, co

pańska przyjaciółka. Usypać krąg z kozłka.

– Udało się? – spytała Nora. – Czy nasza przyjaciółka usunęła klątwę?

– Nie mam pojęcia. Takie zaklęcia są jak bardzo prymitywne antybiotyki. Trzeba wypróbować różne, żeby sprawdzić, które zadziała. Silne czary mogą się okazać odporne tak jak szczep bakterii stale mutujący, żeby nie odłączyć się od żywiciela. Czy ostatnio rozmawialiście z przyjaciółką? Jak się czuje?

Nora zerknęła na mnie skrępowana.

– A te gałązki, które znaleźliśmy nad drzwiami? – zapytałem.

Cleo rozsiadła się w fotelu i przyjrzała pękowi na stole.

– To diabelskie sznurowadło. Korzeń rośliny z rodzaju wiciokrzewów. Występuje na dzikich polach oraz w lasach. Wykorzystuje się go do ochrony. Na głębokim amerykańskim Południu robią sobie z nich bransoletki na kostkę. Albo polewają whisky i zakopują w ziemi. Można również zrobić to, co wasza przyjaciółka. Wziąć dziewięć niedużych kawałków, biały sznurek i na każdym kawałku zawiązać jeden supeł. Dziewięć korzeni, dziewięć supłów. A potem umieścić gdzieś przy drzwiach wejściowych albo pod werandą. Niektórzy zakopują je w ogródku przed domem.

– Po co używa się tych korzeni? – zapytałem.

Zanim odpowiedziała, przypatrywała mi się przez moment z niezgłębioną miną.

– Żeby podstawić nogę diabłu.

– Podstawić nogę?

– Zatrzymać go. Dać mu do myślenia.

– Rozumiem – odparłem, sięgając po korzenie. – Nie pojmuję, po co Stany Zjednoczone wydają sześćset miliardów dolarów na obronę narodową. Wystarczyłoby wyposażyć każdą rodzinę w taki zestaw.

Cleo najwyraźniej przywykła do sceptyków i niedowiarków – i wcale się nimi nie przejmowała. Nie zareagowała, tylko splotła ozdobione pierścieniami palce – z czaszkami, krzyżami egipskimi, głową kota – na uniesionym kolanie.

– Czy wasza przyjaciółka brała kąpiele przed świtem? – zapytała.

– Tak – potwierdziła Nora. – W lodowatej wodzie.

Już miałem zapytać, co ona wygaduje, gdy przypomniałem sobie dziwne wydarzenie, o którym opowiadała Iona – kiedy wczesnym rankiem zastała Ashley w wannie.

– A więc przeprowadzała rytuały oczyszczające. – Cleo pokiwała głową.

– W jakim celu? – spytałem.

– Pozwalają zmyć zło. Na jakiś czas. Ich efekt nie jest trwały. To raczej taki prowizoryczny plaster. Czy myła podłogi?

Nora zerknęła na mnie.

– Nie wiemy.

– Czy była zimna w dotyku?

– Nie mamy pojęcia – powiedziałem.

– Czy zauważyliście u niej trudności z wysławianiem się? Jakby miała usta pełne piasku albo masła orzechowego?

– Nie potrafimy tego stwierdzić.

– A niepokojąca ciężkość?

– To znaczy?

Cleo wzruszyła ramionami.

– Słyszałam, że gdy niektórzy ludzie od dawna obłożeni poważną klątwą wejdą na wagę, strzałka wskazuje sto pięćdziesiąt albo i dwieście kilo, chociaż widać, że bardzo, bardzo schudli.

– O tym też nie wiemy – odpowiedziałem, chociaż nagle stanęło mi przed oczami niepokojące wspomnienie pierwszego i jedyne go razu, kiedy widziałem Ashley osobiście. Pamiętałam, jak krążyła wokół Zbiornika, dziwnie, niczym w transie, a jej ciężkie kroki głośno przebijały się przez szum deszczu.

Naraz Cleo przyszło coś do głowy. Znów chwyciła moją komórkę i zaczęła przeglądać zdjęcia.

– Nie widzę tu jednej rzeczy: odwrócenia. Kiedy ma się do czynienia z czarną magią, trzeba nie tylko odczynić, ale i odwrócić klątwę, tak by wróciła do sprawcy. – Podniosła wzrok

i spojrzała na nas. – Czary to nic innego jak energia. Wyobraźcie ją sobie jako naładowane cząsteczki, które przyciągnęliście w jedno miejsce. Muszą się gdzieś podziać. Energii nie tworzy się i nie niszczy, tylko przenosi. I właśnie śladów tego przeniesienia nie widzę, co mnie martwi. – Cleo w zamyśleniu przekrzywiła głowę. Obracała w palcach wisiołek z zębem tygrysa. – Zauważyliście w pokoju świece odwracania?

– Co to są świece odwracania? – zapytała Nora.

– Na dole biały воск, na górze czarny.

Nora pokręciła głową.

– A kartonowe pudełko z różnymi przedmiotami?

– Nie.

– Nie było lustrzanej skrzynki – szepnęła Cleo pod nosem.

– Co to jest lustrzana skrzynka? – spytałem.

Zerknęła na mnie.

– Służy do prostego odwracania. Bierze się czarną świecę, wpisuje w nią imię wroga i zakopuje na cmentarzu z odłamkami stłuczonego lustra. Całe skierowane na was zło wróci wtedy do tej osoby. – Cleo odchrząknęła i uniosła kruczoczną brew. – Wróćmy do jej pokoju. Czy na podłodze znaleźliście proszek albo ślady kredy?

– Było ciemno – odrzekła Nora. – Ale nie. Coś takiego na pewno byśmy zauważyli.

– Za to podłoga była lepka – dodałem.

Cleo spojrzała na mnie.

– Lepka?

– Jakby ktoś wylał słodki napój. Było też parę plastikowych opakowań.

Cleo rozplątała kończyny, a potem nachyliła się nad stołem i wysunęła podbródek.

– Podniósł pan któreś z opakowań?

Zadała to pytanie z takim przejęciem, że aż poczułem jej oddech: gorący, pachnący czosnkiem, ostry, zupełnie jakby piła jakąś dziwną herbatkę ziołową. Miała drobne, zwarte zęby, poźółkłe od tytoniu. W głębi lśniło kilka złotych koronek.

- Nie – odparłem.
- To skąd pan wie, że to plastikowe opakowania?!
- Tak to brzmiało.

Cleo odetchnęła nerwowo.

– Wchodziliście do tego pokoju? – zapytała i oparła się w fotelu.

– Oczywiście. Jak inaczej znaleźlibyśmy te rzeczy pod łóżkiem?

- Kiedy to było?
- Wczoraj wieczorem.

Spojrzała pod stół.

- Mieliście na sobie te buty?
- Tak.

Wstała i podeszła do lady w głębi pomieszczenia. Wróciła z lateksowymi rękawiczkami oraz stosem wyblakłych gazet. Wsunęła rękawiczki na dłonie, a gazety rozłożyła na blacie.

– Proszę zdjąć jeden but i powoli mi go podać.

Zerknąłem na Norę – która wyglądała na oszołomioną – a potem zsunąłem swój czarny skórzany but i wręczyłem go Cleo.

Ostrożnie, zupełnie jakby miała do czynienia ze wściekłym zwierzęciem, położyła go bokiem na gazecie, podeszwą ku sobie. Sięgnęła do kieszeni dzinsów, z której wyjęła dziesięciocentymetrowy scyzoryk. Rączkę misternie wyrzeźbiono z kości jakiegoś zwierzęcia. Otworzyła nóż zębami, a potem, przytrzymując drugą ręką but, zaczęła powoli skrobać ostrzem podeszwę. Robiła to przez dobre parę minut, zupełnie nie zwracając na nas uwagi, a gdy wreszcie skończyła i podniosła ostrze przed sam nos, żeby mu się przyjrzeć, na krawędzi zebrała się gęsta, brązowo-czarna papka. Przypominała zaschniętą melasę.

– Oto właśnie odwrócenie – szepnęła. – Skomplikowany czar odcisku stopy. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

- Co to jest czar odcisku stopy? – zapytała Nora.
- Coś, po czym musi przejść wróg. Pułapka.

– Ale przecież przeszliśmy po tym my – odparłem.

Cleo zamknęła oczy i wycelowała we mnie nóż.

– Czy wasza przyjaciółka ma powód, żeby uważać was za swoich wrogów?

– Nie – odparłem, lecz gdy tylko to powiedziałem, poczułem nieprzyjemny dreszcz.

Nagle przypomniałem sobie, jak Ashley wyszła mnie nad Zbiornikiem, jak patrzyła na mnie srogo, kiedy nagle pojawiła się przed stróżówką. Czy widziała we mnie zagrożenie? Ale cóż ja jej zrobiłem, cóż zrobiłem jej ojcu, poza poszukiwaniem prawdy? Może to wystarczyło, żebym został wrogiem. Czy jednak członkowie tej rodziny mogli być takimi hipokrytami, skoro niemal każdy bohater filmów Cordovy rozpaczliwie szukał tego samego? Czy to miało znaczenie? Czy sztuka w jakiś, choćby nieznacznym sposób nie odzwierciedla wartości bliskich twórcy? Niekoniecznie. Gdy idzie o interpretację zachowania innych, ludzie bywają nielogiczni i kierują się własnym interesem.

– Bez względu na jej tok rozumowania – szepnęła Cleo, jakby czytała mi w myślach, znów spoglądając na ciemną maź oblepiającą nóż – jedno jest jasne.

– Co? – zapytałem i nagle zaschło mi w gardle.

– Zostaliście przeklęci.

– Raczy pani rozwinąć?

Cleo ostrożnie odłożyła nóż, wstała i podeszła do regału na tyłach pomieszczenia.

– Patrz – szepnęła Nora, oglądając spękane podeszwy własnych butów motocyklowych.

Były na nich takie same ciemne plamy przypominające placki czarnej gumy. Ściągnęła but i przyjrzała mu się w świetle lampy nad stołem. W papce widziałem piasek, nitki, może nawet kawałki paznokci, a także lśniące odłamki przypominające szkło.

Cleo wróciła z olbrzymim stosem encyklopedii. Napis na grzbietach brzmiał: Harry Middleton Hyatt, *Hoodoo – Zaklinanie – Czarownictwo – Sztuka korzeni*².

Księgi wyglądały na bardzo stare, miały pomarańczowe okładki i były związane postrzępioną czarną wstążką. Usiadła, wzięła do rąk pierwszy tom, a następnie otworzyła go na spisie treści. Przesunęła palcem po kartce. Kiedy dotarła na sam koniec, lecz widocznie nie znalazła tego, czego szukała, zatrzasnęła księgę i sięgnęła po drugą.

Wziąłem tom, który odłożyła. Miał pożółkłe kartki i pachniał pleśnią. Wydano go w 1970 roku, a na stronie tytułowej przy samym szwie zaschła czerwona plama – sos pomidorowy albo może krew.

„Hoodoo – Zaklinanie – Czarownictwo – Sztuka korzeni. Wierzenia podzielane przez wielu Murzynów oraz białych, przekazywane ustnie wśród ludności czarnej i białej.

Ogólny opis wierzeń str. 1. Wiara w duchy, zjawy, Diabła i temu podobne str. 19. Czas zaklęć i późniejszy nawrót ich efektów str. 349”.

Najwyraźniej to jakaś encyklopedia czarów, w której jedne hasła były krótkie, a inne bardzo szczegółowe. Zamieszczono w niej rozmowy z południowcami z głębokiej prowincji, a ich silny akcent zapisano fonetycznie. Na przykład na stronie 523, pod nagłówkiem „Woreczki *mojo* pogrupowane dość

alfabetycznie według głównego składnika (np. orzechy kasztanowca, igły, kość czarnego kota)”, znajdował się następujący wpis:

669. No i tak... patrzaj no bierzesz se węża... bierzesz se grzechotnika, łep mu wysuszasz, rozgniatasz i jusz masz proszek śmierci. Każdego jednego nim ukatrupisz.

[Waycross, Georgia]

– Znalazłam coś podobnego – mruknęła Cleo. Przyjrzała się mojej podeszwie, a potem znowu skupiła się na książce. Wyciągnąłem szyję, żeby zobaczyć, co czyta. Tom czwarty, *Dalsze zaklęcia z użyciem ludzkich części ciała i odchodów*. – „Sztuczka Czarnej Kości – szepnęła i zaczepiła za ucho kosmyk fioletowych włosów. – Przetarta lina konopna, guma arabska, proszek śmierci”. Wasza przyjaciółka użyła pewnej wariacji tego przepisu. Widzę tu ciemnobrązowy piasek oraz wodorosty. Musiała zdobyć tę mieszankę w jakimś egzotycznym miejscu. Umieszcza się ją na ziemi w kwinkunksie tworzącym prowizoryczne rozdroże. Wróg nieświadomie po nim przechodzi, mieszanka przykleja mu się do butów i już po kilku godzinach wżera się w jego życie.

– Wżera się? – powtórzyłem. – Jak to?

Cleo wzruszyła ramionami.

– Słyszałam o zapadaniu w śpiączkę. Zawałach. Niespodziewanej utracie wszystkiego, co się kocha, na przykład pracy albo rodziny. O nagłym paraliżu od szyi w dół. – Uniosła brew. – Czy czuliście ostatnio coś dziwnego w nogach?

– Kiedy obudziłam się rano, jedną miałam zdrętwiałą – powiedziała Nora z niepokojem.

Cleo pokiwała głową, jakby się tego spodziewała. Przekrzywiła głowę, chwyciła naszyjnik z zębem tygrysa i obróciła go w palcach.

– Martwi mnie coś, co pan powiedział. O tych plastikowych opakowaniach na podłodze. To chyba nie były opakowania.

– A co?

– Zapewne skóra węża. Jeśli w środku znajdowała się ziemia z cmentarza, to znaczy, że wasza przyjaciółka połączyła to wszystko z zabójczą klątwą.

– Czyli...

– Jak sama nazwa wskazuje: to was zabije.

– Minister zdrowia mówi to samo o papierosach – odparłem.

Tylko na mnie spojrzała.

– Od papierosów umiera się po dziesięcioleciach. Po tym możecie umrzeć w ciągu paru tygodni.

Nora była przerażona.

– Nikt pani nie powiedział, że pani podejście do pacjenta pozostawia trochę do życzenia? – zapytałem.

– Gdy chodzi o czarną magię, nie ma co owijać w bawełnę.

Chciałem uśmiechnąć się do Nory, żeby dodać jej otuchy, ale nie zwracała na mnie uwagi. Wpatrywała się w przeklętą podeszwę, jakby widziała tam skupisko złośliwych guzów.

– Ziemia z cmentarza – powtórzyłem. – To znaczy, że zebrała ją nasza przyjaciółka?

– Tak. Co wcale nie jest łatwe. Trzeba to zrobić o właściwej porze nocy. Pod księżycem w odpowiedniej fazie. Należy wiedzieć, z czyjego grobu się ją bierze. Jak ten ktoś zmarł. Część wiedźm uważa, że najlepsza jest ziemia z grobu mordercy, niemowlęcia, które nie ukończyło sześciu miesięcy, albo osoby, która kochała nas nad życie. Trzeba również wiedzieć, nad którą częścią ciała kopujemy: nad głową, sercem czy nogami. Poza tym należy zostawić coś w podzięce. Zwykle pieniądze albo whisky. Potem miesza się tę ziemię ze skórą węża i proszkiem śmierci.

– Co to jest proszek śmierci? – zapytała Nora.

– Proszek śmierci, *goofer dust*, to istna bomba atomowa wśród składników magicznych. Służy do duchowego zatrucia danej osoby. Nazwa pochodzi z Konga, od słowa *kufwa*, czyli „umrzeć”. Proszek ma zwykle żółtawy kolor, ale można go mieszać z ziemią z cmentarza, żeby był ciemny i niezauważalny. Ma bardzo silne działanie, ponieważ wżera się w umysł ofiary, która nawet tego nie zauważa. Zatrzuwa rozum i miłość. Rozdziela

najserdeczniejszych przyjaciół, izoluje, konfrontuje z całym światem, przez co człowiek trafia na margines życia. Doprowadza do szaleństwa, co w pewnym sensie jest gorsze od śmierci.

– Czyli można powiedzieć, że nasza przyjaciółka miała doktorat z czarownictwa – stwierdziłem.

– Biegła posługiwała się czarną magią. Zdecydowanie.

– A co to jest czarna magia? Voodoo? Hoodoo?

– To pojęcie może oznaczać różne rzeczy. Odnosi się do wszelkiej magii wykorzystywanej w złych celach. Nie jestem ekspertką. Specjalizuję się w rytuałach bogini ziemi, czarach płodności, oczyszczeniu duchowym i tak dalej. Czarna magia w dużym stopniu funkcjonuje w podziemiu, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Tajne spotkania w środku nocy. Stare, obite skórą dzienniki z zaklęciami pisanymi wspak. Strychy pełne bardzo rzadkich składników takich jak embriony jeleni, odchody jaszczurek, krew niemowląt. To nie jest rzecz dla ludzi o słabych nerwach. Ale działa. Czy wasza przyjaciółka wywodzi się z rodziny okultystów?

– To możliwe – powiedziałem.

– Cóż, sądziła, że rzucono na nią klątwę. Bardzo usilnie próbowała ją powstrzymać, odwrócić na agresora. Chciała go zabić. Moim zdaniem tak to wygląda. Więc może się nie spodziewała, że wejdziecie tam wy, ale ktoś inny, może ten, kto rzucił klątwę. Sugeruję, żebyście odnaleźli przyjaciółkę i sami ją zapytali. – Nora rzuciła mi ostrożne spojrzenie. Cleo odchrząknęła, a potem podjęła wątek. – Oto co mogę wam powiedzieć: zdrapcie masę nożem albo żyletką. Uważajcie, żeby nie dotknęła skóry. Zawińcie w gazetę i wyrzućcie na rozstajnych drogach albo do słodkowodnej rzeki.

– W takim razie Hudson odpada.

– Dam wam również świece odwracania. – Ponownie udała się na tył pomieszczenia, przykucnęła przy jakiejś szafce i zaczęła grzebać na półkach. – Powtarzam, że nie mam doświadczenia w tych sprawach. Powinniście porozumieć się z zaklinaczem, który specjalizuje się w czarnej magii.

- Gdzie go mamy szukać? W Disneylandzie?
- Skorzystajcie z Google'a. Wskoczy parę nazwisk. Ale wszyscy naprawdę wiarygodni mieszkają na bagnach Luizjany.

Cleo wróciła do stołu i wręczyła Norze dwie świece: czarne od strony knota, białe u podstawy.

- Ile nas będą kosztować? Kilkaset dolarów?
- Są gratis. To nieetyczne żądać pieniędzy od ludzi, którzy cierpią z powodu czarnej magii. To tak, jakby ktoś pojawił się na pogotowiu ze śmiertelną raną postrzałową. Trzeba zrobić, co tylko się da, żeby ratować mu życie. Pieniądze nie mają znaczenia.

W zamyśleniu obracając w palcach wisiołek z zębem tygrysa, patrzyła, jak wkładamy buty. Nora wzięła od niej świece i wyjaśniła, że w tamtym pokoju była z nami jeszcze jedna osoba, więc Cleo wyciągnęła kolejną świecę, a potem zaprowadziła nas z powrotem do sklepu.

Teraz było tam jeszcze więcej ludzi. Szykowni starsi państwo przypatrywali się świecom w kształcie czaszek. Cztery nastolatki oglądały kadzidła. Młody człowiek o koszmarnie gogusiowatym wyglądzie bezrobotnego analityka z Wall Street czytał ulotkę *Zakłęcia – Plan zajęć semestru zimowego*.

Magia jest bardzo zabawna, dopóki nie masz na butach istnej bomby atomowej wśród składników magicznych.

Dexter musiał opowiedzieć o nas pomarańczowowłosemu chłopakowi za kasą, bo gdy ich mijaliśmy, obaj przyglądali się nam zafascynowani.

Cleo otworzyła drzwi i przegoniła kota.

– Powodzenia – powiedziała.

– Dziękujemy – odparła posępnie Nora, wychodząc.

Ja przystanęłam.

– A jeśli ja tego wszystkiego nie kupuję? Wychowałem się w katolickiej rodzinie.

Cleo patrzyła na mnie bez wyrazu, chociaż przysięgłbym, że przez moment widziałem w jej czarnych oczach błysk rozbawienia.

– No to chyba nie ma się pan czym martwić.

Zatrzasnęła drzwi z zamyśloną miną, a potem pognęła przez tłum klientów, z pewnością z powrotem do swej oświetlonej na czerwono nory na zapleczu.

– Myślisz, że umrzemy? – zapytała Nora, gdy wracaliśmy po schodkach na ulicę.

– Każdego to w końcu czeka.

– Ale w najbliższych dniach. Przez ten proszek śmierci. Mówiła, że może cię zabić, a ty się nawet nie zorientujesz.

– To zupełnie jak była żona. Najciekawszym, co powiedziała, jest to, że znajomość czarnej magii przekazuje się z pokolenia na pokolenie.

– Sądzisz, że właśnie to ukrywają Cordovowie? Że rzucają uroki albo coś w tym stylu?

Nie odpowiedziałem, bo brzmiało to absurdalnie. Ale z drugiej strony Cordova był ekscentrycznym twórcą zadekowanym w posiadłości na odludziu, idealnym miejscu do kultywowania rzeczy dziwnych i niesłychanych. Cleo stwierdziła, że Ashley była biegła w czarach. Przecież od kogoś musiała się nauczyć zbierać te składniki.

Ale kto był celem jej zabójczej klątwy Czarnej Kości? Ja? Czy rzuciła ją, wiedząc, że będę badał jej śmierć i w końcu trafię na Henry Street? A może Hopper? Dostał pocztą tę pluszową małpkę i jakimś cudem wiedział, że Ashley odwiedziła Klavierhaus. A może chodziło o kogoś zupełnie innego? Jeśli można wierzyć Ionie, pod drzwiami Ashley pojawili się dwaj mężczyźni. Jednym z nich mógł być Theo Cordova. Może to rodzinę uważała za wrogów i przygotowała klątwę z myślą o niej? Hopper właśnie w Cordovach widział winowajców. Może ją ścigali, usiłowali znaleźć w obawie, że ich zdemaskuje. Bądź co bądź mnie śledziła – co z pewnością musiało zdenerwować jej rodzinę.

Nora rozmyślała nad moimi słowami, obgryzając paznokcie.

– Może to dlatego Ashley odebrała sobie życie. Nie potrafiła znieść poczucia winy po tym, co przez lata robiła jej rodzina, praktykując czarną magię. – Zmarszczyła nos. – Może właśnie to dostrzegła pokojówka z Waldorfa, kiedy zobaczyła plamkę w jej oku. Może poznała, że Ashley uprawia czarną magię.

– Na tym etapie to wszystko tylko domysły.

Gdy zamknąłem za nami metalową furtkę, poczułem, że wibruje mi telefon. Myślałem, że dzwoni Hopper, ale to było mejlowe powiadomienie z Blackboardsów, że ktoś odpisał na moje pytanie. Żeby przeczytać odpowiedź, potrzebowałem jednak swojego laptopa z przeglądarką Tora.

– Może myślisz, że ta cała magia to brednie, ale ja nie – powiedziała moja towarzyszka, szurając podszwami o krawężnik. – Ta klątwa jest jak cement.

– Musimy wrócić do mieszkania. – Wyszedłem na jezdnię i przywołałem nadjeżdżającą taksówkę.

– Nie pojedziemy do Rising Dragon zapytać o ten rachunek?

– Później. Ktoś odpowiedział na mój wpis na Blackboardsach.

PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

ROZMAWIAJ Z OBCYMI - POMOC

WYSŁANE PRZEZ: Gaetana Stevens 2991 29.10.2011 02:11 WYŚWIETLEŃ 9332

Potrzebuję pomocy w zidentyfikowaniu i dyskretnym wstępie do tajemniczego prywatnego klubu na Long Island. Podobno ma francuską nazwę i mieści się w dawnym więzieniu.

Każda pomoc będzie mile widziana. Dzięki.

ODPOWIEDŹ NA: POMOC: OUBLIETTE

WYSŁANE PRZEZ: Agent Specjalny Fox 29.10.2011 10:24 WYŚWIETLEŃ 189



Bal, którego szukasz,
Zwie się Oubliette.
W tym miejscu człek porządny
Rozpłacze się wnet.

Kobiety są verboten
W tej chorej piwnicy.
Wykonują tam wyroki
Nie dla grzecznej pannicy.

Gdybyś był Członkiem, nie zadałbyś
pytania w tej sprawie.
Myślę, żeś jest oszustem, co szuka
Drogi, którą ci wyjawię:

O północy dziś jedź do Montauk,
Idź brzegiem na wschód.
Gdy ujrzysz schody Duchampa,
To podejdź do wrót.

Oubliette to piekło,
Atak, dom podłości.
Czy uczestniczysz, czy patrzysz,
Miej się na baczności.

Jeśliś słaby lub się zdradzisz,
Przepadniesz bez wieści.
Twym bliskim pozostanie
Modlić się w boleści.



ODPOWIEDZ >>

W internecie nie znalazłem prywatnego klubu nocnego o takiej nazwie. Nic nie potwierdzało prawdziwości informacji Agenta Specjalnego Foxa. Wikipedia podawała, że to słowo wywodzi się od francuskiego czasownika *oublier* i oznacza „miejsce zapomnienia”. W przeszłości określano tak ukryte, najbardziej klaustrofobiczne miejsce zamkowego lochu z żelazną klapą w suficie, całkowicie pozbawione dostępu światła – celę tak ciasną, że często więzień nie mógł się w niej obrócić, a nawet poruszyć, trumnę dla żywych, lecz potępionych. Była zastrzeżona dla najbardziej przeklętych więźniów, o których chciano zapomnieć.

Domyślałem się, że Oubliette to jakiś rodzaj seksklubu. Nie tak wyobrażałem sobie rozrywkę w sobotni wieczór, ale Iona twierdziła, że wybierała się tam Ashley, więc warto było poszukać kogoś, kto ją widział.

O dwudziestej w chłodny i pochmurny październikowy wieczór wraz z Norą wyruszyliśmy z Perry Street po Hoppera. W końcu odpowiedział na nasze wiadomości i oznajmił, że chce nam towarzyszyć. Nie miałem nic przeciwko temu: po numerze z Klavierhauserem niespodziewanie okazało się, że w naszym śledztwie może się przydać.

Prosił, żebyśmy zabrali go z rogu Bowery i Stanton Street. Czekaliśmy przez ponad dwadzieścia minut i gdy już sądziliśmy, że trzeba będzie ruszyć bez niego – drogą do Montauk, najdalej na wschód położonego miasteczka na Long Island – Hopper wyłonił się z hotelu Sunshine.

To miejsce miało złą sławę jako jedna z nielicznych już noclegowni w mieście. Pokoje – przypominające raczej boksy w zagrodzie dla mułów – kosztowały cztery i pół dolara za noc. Domyśliłem się, że Hopper robił tu interesy, że dostarczał „cukierki” niejednemu klientowi gustującemu w słodyczach, ponieważ mężczyźni przy wejściu uśmiechali się do niego z nerwową wdzięcznością.

– Jak tam Sunshine? – zapytałem, gdy osunął się na tylne siedzenie.

W ogóle się nie przywitał, tylko wyciągnął zwitek zmiętych banknotów, przeliczył je, a potem schował do wewnętrznej kieszeni.

– Super – powiedział.

Już po kilku minutach mknęliśmy autostradą Brooklyn-Queens. Nora jednym tchem opowiadała Hopperowi o wszystkim, czego dowiedzieliśmy się w Zakłęciach, w tym o zabójczej klątwie Czarnej Kości, w którą wdepnęliśmy dzięki Ashley. Zwróciła mu uwagę na plamy na jego converse'ach – na lewej pięcie miał spory czarny kleks. Hopper zareagował tylko cynicznym niedowierzaniem.

– A ten salon tatuażu? – zapytał. – Rising Dragon?

– Jeszcze tam nie dotarliśmy – odparła. – Jak tylko zobaczyliśmy, że ktoś odpisał na wiadomość na Blackboardsach, wróciliśmy na Perry Street.

Hopper nic nie powiedział. Zmrużył oczy i w zamyśleniu patrzył przez okno.

Trzy godziny później spał jak zabity na tylnym siedzeniu, a Nora przeszukiwała stacje w radiu satelitarnym. Jechałem sto trzydzieści kilometrów na godzinę drogą numer 27. Pusta szosa była jak szara rysa rozcinająca słone błota i łąki. Byłem tu parę razy w małżeńskich czasach, ale nigdy pięć minut po północy i do tego z taką misją.

– Chcę iść z wami – powiedziała Nora.

– Już o tym rozmawialiśmy – odparłem.

– Ale Ashley tam była. Łatwo mogę udawać chłopaka. Zabrałam spodnie na zmianę i czapkę z daszkiem.

– To nie jest *Nie czas na łzy*. A po twoim występie w Briarwood już wiemy, że żadna z ciebie Hilary Swank.

Kilka minut później jechaliśmy przez Montauk. Nawet w ciemności miasteczko wciąż przypominało lunapark po ewakuacji: było jasno oświetlone, na wyludnionych chodnikach leżał piasek, walały się po nich puste plastikowe butelki. Kryte

gontem domki plażowe, latem takie radosne, teraz posępnie kulily się na wzgórzu mroczne i ponure, zbierając siły przed zimą. Nawet miejscowych nigdzie nie było widać.

Skręciłem w prawo w South Emery Street, a potem w lewo w Emerson. Przyspieszyłem, mijając ciemne sklepy i zajazdy, Ocean Resort, Born Free Motel, szyldy z napisami DO ZOBACZENIA ZA ROK, a potem: całodobowy bar Sea Haven Diner z jasnym, niebieskim neonem w witrynie i kilkoma autami na parkingu. Prędko przejechałem obok i skręciłem w Whaler's Way, minąłem grupkę nadmorskich bloków i zatrzymałem się za obtłuczonym pick-upem.

Kiedy zgasilem silnik, słyszałem ryk oceanu, który szumiał w mroku gdzieś przed nami.

– W porządku, drużyno – powiedziałem. – Ruszamy.

Wysiedliśmy. Hopper rozciągnął się i ziewnął. Zamknąłem samochód i podałem Norze kluczyki, a potem ruszyliśmy z powrotem w stronę Emerson Street.

– Chcesz, żeby Hopper wszedł tam z tobą? – zapytałem.

– Poradzę sobie – odparła rozdrażniona.

Zarzuciła szarą torebkę na ramię, po czym odwróciła się na pięcie i odeszła, szurając nogami.

Patrzyliśmy za nią, słuchaliśmy chrzęstu jej kroków na chodniku. Kiedy minęła latarnię, błysnęła zieleń jej sukienki. Nora była ubrana jak punkowa mieszanica Kopciuszka i Lily Potwornickiej: miała na sobie aksamitną groszkową sukienkę, dziergane rajstopy, motocyklowe buty Moego oraz czarne rękawiczki bez palców.

– Chyba powinienem pójść za nią – zastanawiałem się na głos.
– Upewnić się, czy może tam poczekać.

Hopper wzruszył ramionami.

– Nic jej nie będzie.

– Dobrze wiedzieć, że są jeszcze na świecie dżentelmeni.

Tylko zmrużył oczy, wiodąc wzrokiem za Norą. Szarpnęła drzwi baru i zniknęła w środku. Kiedy nie wychodziła, zaciągnąłem suwak kurtki.

– Idziemy – powiedziałem.

Szliśmy Whaler's Way w stronę plaży wzdłuż drewnianego płotka, poza zasięgiem latarni. Wyjąłem kieszonkową latarkę. Brnąc przez piach, pięliśmy się po pochyłym wzgórzu. Smagał nas lodowaty wiatr od lądu, przeszywał mi ubranie. Ponieważ nie wiedziałem, jakie stroje obowiązują w Oublette, ubrałem się cały na czarno – w skórzaną kurtkę, spodnie z materiału i koszulę na guziki. Miałem nadzieję, że styl „na rosyjskiego *wora*” (w rosyjskim slangu *wor* oznacza bandyckiego herszta) będzie wystarczającym sygnałem, żeby zostawić mnie w spokoju.

Wiatr się nasilał. Gdy wdrapaliśmy się na pagórek, ogłuszył nas huk Atlantyku. Plaża wyglądała na opustoszałą. Ocean był wzburzony, białe grzywy gwałtownie rozbijały się o brzeg, jako jedyne rozpraszały otaczającą nas powłokę ciemności.

Kiedy spojrzałem na wschód wzdłuż wybrzeża, w oddali widziałem domy i apartamentowce – wszystkie ciemne, zabite deskami na zimę – a poza zasięgiem lamp miasteczka wznosiły się nad morzem klify Montauk.

Schody Duchampa.

Mglista wskazówka, delikatnie mówiąc. Znałem modernistyczny obraz kubistyczny z 1912 roku, do którego pewnie nawiązywała: *Akt schodzący po schodach nr 2* Marcela Duchampa. Zanim wyruszyliśmy z Perry Street, wraz z Norą odszukaliśmy to dzieło w Google'u, ale nie miałem pojęcia, jak skojarzyć je z czymś, co znajdę na plaży.

Odwrociłem się do Hoppera, lecz on zszedł nad wodę i stanął tam nieruchomo. Poły płaszcz łopotąły za nim, morskie fale pieniły się tuż u jego stóp. Wpatrzony w grzmiące morze wyglądał tak mrocznie i melancholijnie, że zastanawiałem się, czy chciałby w nie wejść i dać się pochłonąć.

– Tędy! – zawołałem, z trudem przekrzykując wiatr.

Chyba mnie usłyszał, bo odwrócił się i ruszył za mną.

Marsz był powolny.

Po niedawnym sztormie plażę pokryły różne odpadki: splecione nici wodorostów, roztrzaskane muszle, butelki,

kamienie, długie, kościste ramiona gałęzi wystające spod piachu. Brnęliśmy naprzód, a wiatr przybierał na sile, usiłował odepchnąć nas z powrotem, słone powietrze było ostre i przenikliwe. Szliśmy obok klockowatych apartamentowców o pustych balkonach i parkingach, obok moteli z nieoświetlonymi sztyldami. Uważnie przyglądałem się każdym obtłuczonym schodom, które wiodły w dół na plażę, wypatrywałem jakiegokolwiek śladu życia – ale na próżno.

Byliśmy tu sami.

Po dwudziestu minutach zabrnęliśmy poza obręb miasteczka Montauk i dotarliśmy do Ditch Plains, plaży surferów – zupełnie pustej, tylko w piasku ktoś zgubił linkę od deski. Wspiąłem się na skały i nie zdążyłem w porę uciec przed falą, która rozbiła się o brzeg. Lodowata woda oblała mnie aż po łydki. Mogłem zapomnieć o udawaniu *wora*. Zanim dotrę na miejsce, będę wyglądał jak Tom Hanks w *Cast Away*.

O ile w ogóle dotrę.

W tym miejscu plaża bardzo się zwężała. Masywne klify prężyły się nad brzegiem jak muskularne ramiona. Dalej stały już tylko nadmorskie posiadłości warte miliony dolarów i łatwo było sobie wyobrazić, że w którejś z nich odbywa się tajna impreza. Wytężałem wzrok, oczy łzawiły mi na ostrym wietrze, ale widziałem tylko czarne sylwetki domków przycupniętych na wzgórzach i ani jednego światła.

Oubliette. Miejsce zapomnienia.

Może to oznacza, że imprezowano tam w ciemności.

Hopper mnie wyprzedził. Zdeterminowany maszerował naprzód w milczeniu, wpatrując się w piasek – jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z zimna ani z wody, która zalewała mu converse'y i przemoczyła dół płaszczka. Przyspieszyłem, żeby go dogonić. Snop światła z mojej latarki przemykał po skałach, pustych skorupach krabów, sznurach wodorostów. Dostrzegłem, że Hopper się zatrzymał i czeka na mnie przy drewnianych schodkach. Biegły w górę po klifie, od plaży aż do domu ukrytego wysoko nad nami, nad urwiskiem.

– Myślisz, że to tu?! – zawołał.

Te schody pod żadnym względem nie kojarzyły mi się z obrazem Duchampa.

Pokręciłem głową.

– Idźmy dalej!

Ruszyliśmy przed siebie i po dziesięciu minutach znaleźliśmy kolejne schody, tym razem do połowy zniszczone. Chociaż na pierwszy rzut oka nie zauważyłem niczego, co miałoby związek z Duchampem, to kiedy oświetliłem je latarką, odkryłem ze zdumieniem, iż rzeczywiście wyglądają kubistycznie. Prymitywnie zbite kawałki popękane drewna, które przyniosło morze, biegły pod górę nierównym zygzakiem i znikwały za krawędzią. W zasadzie nie tyle stopnie, ile chwiejna drabina ledwie trzymająca się skały.

To drugie schody, które mijaliśmy. A w tytule obrazu było „nr 2”.

– Może to tu! – zawołałem.

Hopper kiwnął głową, po czym wskoczył na pierwszy stopień, znajdujący się półtora metra nad ziemią. Niższe schodki, a także fragment poręczy, leżały na piasku w strzaskanych kawałkach. Hopper piął się coraz wyżej, cała konstrukcja dygotała pod jego ciężarem. Wreszcie dotarł do miejsca, w którym zachowała się część poręczy, więc dzięki niej mógł złapać równowagę.

Stałem na pierwszym podejściu, powiedziałem sobie, że nie wolno patrzeć w dół, a potem ruszyłem tą samą drogą. Każda deska wydawała mi się wilgotna i przegniła. Miałem wrażenie, że uginają się pode mną. W pewnym momencie drewno pod stopą Hoppera pękło, jego noga przebiła dwie kolejne deski, tak że zawisł na poręczy, a ja musiałem się uchylić przed spadającymi odłamkami, żeby nie trafiły mnie w twarz. Przeleciały obok i spadły na plażę.

Hopper zdołał się wdrapać na kolejny stopień, który wytrzymał jego ciężar, co pozwoliło na dalszą wspinaczkę. Kilka minut później zniknął za krawędzią. Kiedy i ja dotarłem na samą górę, musiałem się wciągnąć resztką sił, ponieważ kilku ostatnich

stopni w ogóle nie było. Stałem w wysokiej nadmorskiej trawie i zgasłem latarkę.

Znaleźliśmy się w czyimś ogródku. Za starannie przystrzyżonym trawnikiem, zakrytym basenem i czarnymi kępami drzew wiśniowych wznosiła się masywna rezydencja kryta cedrowym gontem – zupełnie ciemna i cicha.

Spojrzałem na zegarek. Było po pierwszej.

– Może się spóźniliśmy – powiedziałem.

Hopper zmierzył mnie wzrokiem.

– Chyba musisz częściej wychodzić z domu.

Ostrożnie obszedł krzaki świdośliwy, stanął na ścieżce, po czym ruszył w kierunku domu. Udałem się za nim. Kiedy byliśmy ze dwadzieścia metrów od tylnej werandy, niespodziewanie otworzyły się drzwi. Powietrze wypełniły gęste, pulsujące dźwięki muzyki. Chodnik zalało białe światło.

Zamarliśmy. Przyłgnęliśmy plecami do żywopłotu przy ścieżce.

Z wnętrza wyłonił się wysoki, chudy chłopak w czarnym barowym fartuchu. Taszczył kilka worków ze śmieciami.

Przeciągnął je przez taras i po kolei rzucił pod niski murek biegnący wzdłuż bocznej ściany domu. Przez nocną ciszę poniósł się brzęk tłuczonych butelek. Gdy chłopak uporał się z ostatnim workiem, wrócił do budynku i mocno zatrasnął drzwi.

Dom znów utonął w ciszy.

Hopper i ja czekaliśmy przez minutę. Słyszeliśmy tylko wiatr oraz nikły huk oceanu w dole.

Spojrzelśmy na siebie, kiwnęliśmy głowami, a potem pędem doskoczyliśmy do tarasu i wbiegliśmy po schodkach. Hopper nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się bez trudu, więc wślizgnęliśmy się do środka.

Znaleźliśmy się w jakimś magazynie na zapleczu. Nie paliło się górne oświetlenie, a w pomieszczeniu panował lodowaty chłód. Chyba byliśmy sami. Dokoła wszędzie stały stopy skrzyń i pudeł, a o ścianę oparto dwukołowy wózek. Podeszedłem do skrzyń, żeby przeczytać napisy na etykietach. RÉMY MARTIN. DIVA VODKA. CHÂTEAU LAFITE. WRAY AND NEPHEW LTD. RUM JAMAJSKI.

Całkiem nieźle. Wzdłuż ściany ciągnął się rząd dużych stalowych lodówek, a nieco dalej, we wnęce, na hakach wisiały czarne spodnie i koszule – wyglądały na stroje kelnerów. Pośrodku pomieszczenia znajdował się długi drewniany stół, więc do niego podeszedłem. Leżała na nim sterta kostek zawiniętych w celofan. Musiała to być kokaina podzielona chyba na kilogramy. Tych porcji było tu co najmniej sto, a do tego jeszcze cztery pancerne kasety zamknięte na kłódki i przymocowane do nóg stołu metalowymi linkami.

– Zupełnie jak sklep bezcłowy na lotnisku w kolumbijskiej Cartagenie – mruknąłem.

Hopper stanął obok mnie i uniósł brwi.

– Albo jakiś miliarder niekiepsko wyposażył swój bunkier przygotowany na koniec świata.

Chwycił jedną z kostek kokainy i podrzucił ją tak, jakby miał w rękach piłkę futbolową, a sam był wprawnym rozgrywającym. Złapał ją, po czym schował za pazuchę.

– Oszalałeś?

– O co ci chodzi?

– Odlóż to!

Wzruszył ramionami, a potem podeszedł do lodówek.

– Robię badanie rynku – odparł, po czym szarpnął stalowe drzwi. Wewnątrz na półkach stały rzędy piankowych kartonów i tacek. – Wbijalem się już na takie imprezy. – Zaczął grzebać wśród pojemników. – Tutaj za wszystko ręczy jakiś saudyjski książę albo może rusek. Oni traktują to całe gównno tak, jak my traktujemy piwo i precle. Przejałbyś się, gdyby ci zniknęło parę paczek chipsów?

Wziąłem do ręki pudełko kubańskich cygar. Cohiba Behike.

Hopper przyjrzał się uważnie jakiemuś czarnemu słoikowi, a potem odstawił go na miejsce.

– Tu jest więcej kawioru niż w Morzu Czarnym – stwierdził.

– Poczęstuj się. Ja stąd zwiewam, zanim ten saudyjski książe przyśle kogoś po drinka.

Podszedłem do drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Pulsowała za nimi house'owa muzyka, dudniła niczym koła zamachowe Ziemi, która lśni i wiruje niestrudzenie.

Minimalnie uchyliłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć, na co patrzę.

To była impreza. A jednak podłoga – z czarno-białych płytek ułożonych w geometryczne wzory – falowała niczym morze. Pokrywała ogromne koliste atrium otoczone kolumnami korynckimi, ale w górze nie było sufitu, tylko jasne, błękitne niebo pełne chmur. Jakim cudem panował tutaj idealny letni dzień?! W oddali, za kamiennymi łukami obrośniętymi bluszczem oraz ciemnymi przejściami, które wiodły do gruntowych ścieżek, widać było bujny, ukwiecony ogród. Wylegiwały się tam na słońcu greckie posągi. W lśniącym strumieniu brodziła czapla. Czerwono-zielone papugi szybowały po dżungli, przez koronę drzew sączył się przepiękny blask.

Gorączkowo rozglądałem się za najdrobniejszym pozorem normalności. Wydawało mi się, że w głowie miałem zwarcie. Byłem zarazem oczarowany i usiłowałem racjonalnie wytłumaczyć sobie to, co widzę: biosferę, scenę teatralną, Disneyland dla dorosłych, portal na inną planetę? Wreszcie dostrzegłem skazę w tym tropikalnym raju: kilkadziesiąt centymetrów ode mnie nad podłogą znajdowała się oprawka żarówki.

Wszystko było namalowane. Patrzyłem na iluzję tak piękną i szczegółową, że w przygaszonym, bursztynowym świetle zdawała się tętnić życiem. W obniżonej części pośrodku pomieszczenia na skórzanych kanapach i wokół marmurowych stołów gromadził się gęsty tłum. Ci ludzie byli autentyczni, bez

dwóch zdań. Mężczyźni w średnim wieku, przeważnie o wyniszczonych, gargulcowatych twarzach magnatów, którzy wszystkiego dorobili się sami (a także kilku o sflaczałej aparycji kogoś, kto swą fortunę odziedziczył), prawie sami biali, kilku Japończyków. Wśród nich sunęły kobiety ociekające klejnotami i pięknymi sukniami, ale płynna podłoga sprawiała, że zdawały się unosić na wodzie. Przemykały między grupkami mężczyzn niczym skrawki papieru uwięzione przez moment na jakiejś gałęzi, dopóki nie porwie ich ze sobą kolejny tajemniczy nurt.

Obowiązywał tu ściśle określony strój – o czym osoba odpowiadająca na mój wpis na Blackboardsach nie wspomniała ani słowem. Mężczyźni byli w garniturach i krawatach. Nie ulegało wątpliwości, że ja i Hopper będziemy się wyróżniać. Na domiar złego miałem na nogawkach białe ślady po słonej wodzie.

Hopper stanął za mną, więc odsunąłem się, żeby też mógł zajrzeć.

– Jezu Chryste – szepnął.

– To musi być jakiś kult. Jak ktoś zaproponuje ci picie albo gorącą kąpiel, to podziękuj. I nie zapominaj, po co tu przyszliśmy. Znajdź kogoś, kto widział Ashley.

Spojrzał na mnie i wyciągnął rękę.

– Do zobaczenia po drugiej stronie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a potem wyszedłem z magazynu.

Wzdłuż ściany w głębi pomieszczenia ciągnął się marmurowy bar, przy którym siedziała garstka mężczyzn. Na skraju po prawej stronie było jedno wolne miejsce.

Uznałem, że to będzie idealny punkt obserwacyjny, dopóki nie zrozumie, z czym właściwie mam do czynienia. Niby od niechcienia ruszyłem więc przez atrium w tamtą stronę. Mijałem kolumny – one były prawdziwe – i trochę kręciło mi się w głowie od widoku ruchomej podłogi oraz kipiących życiem krajobrazów, które mnie otaczały.

Sufit był wysoko jak w katedrze, a malowidło nieba wykonano tak realistycznie, że wydawało się nieskończone i oślepiająco błękitne. Od patrzenia w górę nieco mnie zamroczyło i niewiele brakowało, żebym zderzył się z niskim, grubym mężczyzną o rzadkich czarnych włosach, który niespodziewanie zaszedł mi drogę. Umyślnie unikając kontaktu wzrokowego, jak najkrótszą drogą udał się w kierunku kamiennego muru ogrodu. Pchnął obrośniętą mchem urnę na postumencie, a wtedy w murze otworzyły się drzwi. Przez moment widziałem łazienkę wyłożoną czarno-białymi płytkami oraz służącego w czarnym uniformie, który stał przy umywalkach z dłońmi splecionymi za plecami i wzrokiem dyskretnie skierowanym w ziemię. Potem to wszystko znów zniknęło w pustym ogrodzie.

Wsunąłem się na stół przy barze, odetchnąłem z ulgą, że jest solidny i autentyczny, a potem obróciłem się, by rozejrzeć się po sali.

Kelnerzy w czarnych spodniach i azjatyckich tunikach krążyli między marmurowymi stołami z drinkami na srebrnych tacach. Wysoko, na dzwonnicy, stał didżej. Miał fioletową koszulkę, na szyi słuchawki, a na głowie dredy sięgające mu do pasa. Wyglądał dosyć zwyczajnie, jakby wyjęty wprost z Brooklynu albo z San Francisco. Zauważyłem jednak, że odwraca wzrok od sali. Koncentrował się na wprawnej obsłudze syntezatora oraz dwóch macbooków.

Na pewno kazano mu nie przyglądać się gościom.

Znowu spojrzałem na tłum. Kobiety były oszałamiające. Reprezentowały różne rasy, wiele miało ciemną skórę i egzotyczne rysy. Wszystkie łączył wzrost w granicach metra osiemdziesiąt, a także sylwetka tak szczupła, że przypominały nienasycony rój owadów żerujących na ciemnych garniturach i łysinach. Wyglądały młodo. Jedna się odwróciła. Jej jasne blond włosy lśniły niczym aureola. Odchyliła głowę, uśmiechnęła się i dostrzegłem wydatne jabłko Adama.

Chryste. To mężczyzna.

Nie zważając na narastający irracjonalny niepokój, skupiłem się na kolejnej kobiecie, która przechadzała się wśród tłumu w niebieskiej sukni z cekinami. Przez chwilę rozmawiała z grupką mężczyzn, a potem jednemu z nich położyła – albo może położył – rękę na ramieniu. Miała długie paznokcie pomalowane czarnym lakierem, ramiona zaś obwieszane biżuterią. Bardzo powoli, jakby w tym miejscu gwałtowne ruchy były zakazane – jakby mogły zburzyć iluzję – odłączyli się od grupy. Wzięła mężczyznę za nadgarstek i poprowadziła schodkami wzdłuż sypiącego się kamiennego muru, za którym rozciągało się Morze Egejskie. Wymknęli się przez łukowate przejście, ruszyli gruntową ścieżką i zniknęli. Wokół całego pomieszczenia znajdowało się co najmniej dwanaście identycznych wyjść. A za nimi – co? Gra pozorów.

To na pewno ekskluzywny klub bondage. Nigdy nie można lekceważyć ochoty ludzi sukcesu do poddawania się torturom dla przyjemności.

– Czy mogę coś panu podać, panie...?

Odwróciłem się. Naprzeciw mnie stał barman ubrany tak jak pozostali w elegancki szary garnitur z jedwabnym niebieskim krawatem zawiązanym na podwójny węzeł. Był muskularny, bardzo krótko ostrzyżony, miał ostre rysy oraz idealnie wyprostowaną sylwetkę, która kazała mi się domyślać, że kiedyś służył w wojsku.

– Szkocka bez lodu – powiedziałem.

Nie drgnął. Z jego twarzy odpłynął wyraz życzliwości. Robiłem coś źle, ujawniłem się jako oszust. Nie zareagowałem. On też nie. Był tak umięśniony od sterydów anabolicznych, że przypominał figurkę żołnierza, której ręce nie zginają się w łokciach, a głowa może się urwać podczas zabawy.

– Jaką szkocką pan preferuje? – zapytał.

– Proszę mi coś wybrać.

Barman sięgnął po butelkę Glenfiddich.

Kiedy nalewał mi drinka, przy barze otworzyły się ukryte drzwi – fragment ściany przedstawiał sielski toskański krajobraz – i wyłonił się zza nich chłopak, którego widziałem na dworze z workami śmieci. Niósł skrzynkę ze szklankami. Pochylił głowę – widocznie jemu również zakazano nawiązywać kontakt wzrokowy z gośćmi – a następnie zaczął ustawiać szkła na lustrzanych półkach.

Barman wrócił z moim drinkiem. Stał wyczekująco.

– Pańska karta – upomniał się.

– Która? – Udałem, że szukam portfela.

– Członkowska.

– Nie mam. Jestem tu gościem.

– Czyim?

– Harry, daj mi szklankę wody, szybko. Kręci mi się w głowie.

To był idealny zbieg okoliczności. Jedna z kobiet – albo może chłopców – przysunęła się do baru obok mnie. Miała profil lalki o wydętych wargach, długie blond włosy i fioletową sukienkę tak obcisłą, jakby została nią oblana.

Barman Harry – choć wyglądał raczej na Biffa – rzucił jej wściekłe spojrzenie, które sygnalizowało, że taką prośbą poważnie naruszyła protokół.

– Spróbuj na dole – powiedział z chłodnym uśmiechem.

– Nie mogę. Po prostu... potrzebuję trochę wody i wszystko będzie dobrze.

Spiorunował ją wzrokiem, potem spojrzał na mnie surowo, jakby chciał mi powiedzieć: „Jeszcze z tobą nie skończyłem”, i odszedł.

– Miły gość – odezwałem się do kobiety.

Zerknęła na mnie niepewnie. Dłońmi – ona również miała długie czarne paznokcie – mocno ścisnęła krawędź baru, jakby chciała przy nim zacumować, bo inaczej, chudziutka, wzleci pod sufit niczym balonik z helem. Jej błękitne oczy, mocno umalowane, były wodniste, a źrenice rozszerzone. Zrobiła sobie coś z ustami, żeby były jędrniejsze, coś sobie wstrzyknęła, i dlatego wydawały się przerysowane i smutne jak u klauna.

– Jak się nazywasz? – zapytałem.

Zapowiadał się natychmiastowy koniec gry. Rzuciła mi lodowate spojrzenie. Byłem pewien, że zaraz odejdzie, ona jednak przekrzywiła głowę.

– Jesteś znajomym Fadila – stwierdziła.

– Gdzie jest Fadil? Nie widziałem go.

– Chyba wrócił do Francji, prawda?

Harry z brzękiem postawił szklanke na ladzie. Blondynka chwyciła ją i wypila zawartość. Kropelka spłynęła z kącika jej czerwonych ust i ściekla po brodzie. Kobieta odstawiła naczynie. Chwiała się na wysokich obcasach, a tymczasem barman bez słowa odszedł, żeby dolać wody. Zrozumiałem, że już to z nią przerabiał.

Otarła usta wierzchem palców.

– Na pewno wszystko w porządku? – zapytałem cicho. Nie odpowiedziała. Wydymając nabrzmięte usta jak nadąsany klaun, przyjrzała się głębokiemu, wyciętemu w szpic dekolтови swojej sukni i poprawiła materiał. – Powinnaś coś zjeść. Albo iść do domu. Porządnie się wyspać.

Spojrzała na mnie sennym, skołowanym wzrokiem, jakbym znowu powiedział coś odpychającego. Harry postawił przed nią drugą szklanke, a ona opróżniła ją bez słowa.

Odchrząknąłem i uśmiechnąłem się do barmana.

– Jak już mówiłem, jestem znajomym Fadila.

To imię – arabskie – nie było mu obce. Niechętnie kiwnął głową, a potem ruszył na drugi koniec baru, przywołany przez niskiego, grubego mężczyznę.

Nachyliłem się do kobiety.

– Może mi pomożesz.

Ona jednak skupiała uwagę na młodym pomocniku kelnera, który ustawiał szklanki pod barem. Miał zmierzwiłone brązowe włosy, piegi i wyglądał na nie więcej niż szesnaście lat, zupełnie jakby właśnie wyskoczył z obrazu Normana Rockwella.

– Hej – szepnęła. – Zrobisz coś dla mnie? Dasz mi wódkę z żurawiną? – Zlekceważył ją. – No kurwa, nie przejmuj się Harrym. To misiaczek. Zaraz wykituję.

Słyszając jej błagalny ton, który lada chwila mógł przerodzić się w pisk, chłopak z oporem podniósł wzrok, a potem ruszył na drugi koniec baru, gdzie Harry właśnie przygotowywał kolejnego drinka. Młodemu chyba zrobiło się jej żal, bo wrócił z butelką smirnoffa.

– Anioł z ciebie – szepnęła kobieta.

Dolał soku, postawił napój przed nią, a potem wrócił do ustawiania szkieł.

– Mogę dostać lodu? – zapytałem i popchnąłem drinka w jego stronę.

Kiwnął głową. Kiedy przyniósł go z powrotem, wsunąłem mu do ręki banknot studolarowy. Popatrzył na mnie oszołomiony.

– Nie reaguj – poleciłem, zerkając wzdłuż baru na Harry'ego. – Potrzebuję informacji. – Wyjąłem fotografię Ashley i przesunąłem ją po ladzie. – Poznajesz ją?

Nie podnosił głowy i dalej ustawiał naczynia.

– Zabierz to z baru – szepnął. – Tu są kamery.

Schowałem zdjęcie do portfela. Jeśli ktoś nas obserwował, to mam nadzieję, że pomyślał, że pokazuję chłopakowi fotografię swojej córki – albo, zważywszy na tutejszą klientelę, mojej nieletniej dziewczyny z Europy Wschodniej, która nie zna ani słowa po angielsku.

– Pomożesz mi? – zapytałem.

Młody spojrział w prawo i podrapał się w policzek.

– Mhm, to ta intruzka.

– Że co?

Chłopak dalej układał szklanki.

– Była tu parę tygodni temu. Na dole wisi jej zdjęcie.

– Co się wtedy stało?

– Przepraszam. Nie mogę. Będę miał przesrane, jeżeli...

– To sprawa życia i śmierci.

Nerwowo zmierzył mnie wzrokiem. Bardziej pasowałyby na gazeciarza albo drużynowego skautów, a nie kogoś, kto pracuje w takim miejscu. Wyciągnąłem z kieszeni kolejną studolarówkę, pochyliłem się nad barem po czarne mieszadełko do drinków i rzuciłem mu banknot do stóp.

Schylił się, podniósł pieniądze, a potem zajął się porządkowaniem czerwonych serwetek koktajlowych z nadrukowanym czarnym „O”. Kiedy przyjrzałem się tej literze, zrozumiałem, że to otwarte usta. Otwarte w krzyku.

– Zaatakowała jednego z gości – bąknął chłopak pod nosem.

– Zaatakowała?

– No, rzuciła się na niego. Tak słyszałem.

– Jak? – Nie chciał tego wyjaśnić. Albo nie wiedział. – Na kogo? – zapytałem.

Zerknął z niepokojem na Harry’ego, wziął ścierkę i zaczął wycierać bar.

– Mówią na niego Pająk.

– Co?

Wzruszył ramionami.

– Taką ma ksywę.

Te słowa osobliwie wpłynęły na dziewczynę. Do tej pory sączyła drinka, nie zwracając na nas uwagi, teraz jednak obróciła się na stołku i usiłowała skupić na mnie zamglony wzrok.

Odwróciłem się z powrotem do chłopaka, który teraz srebrnymi szczypcami uzupełniał wisienki koktajlowe w kryształowym słoiku. Z zaskoczeniem zauważyłem, że są całkiem czarne, włącznie z ogonkami, i wszystkie występują parami.

– Jak nazywa się naprawdę? – zapytałem, od niechcienia popijając szkocką. Pokręcił głową. Nie wiedział. – Jest tu dzisiaj?

Możesz mi go wskazać?

Nerwowo oblizał usta i już miał mi odpowiedzieć, ale dostrzegł coś za moimi plecami. Odwrócił się, zabrał z blatu pustą skrzynkę, czmychnął za drzwi, odwracając wzrok, i zniknął we włoskim krajobrazie.

Obejrzałem się, żeby sprawdzić, co go tak spłoszyło.

Przez tłum szedł mężczyzna w średnim wieku z nastroszonymi srebrnymi włosami. Wbijał wzrok w kobietę obok mnie. Stanął tuż za nią i szepnął jej coś do ucha.

Zszokowana aż podskoczyła. Złapał ją za nagie ramię i ściągnął ze stołka tak gwałtownie, że wylała drinka. Na przodzie jej sukni powstała brzydka, ciemna plama. Z obrażoną miną wymamrotała coś w obcym języku, ale muzyka była zbyt głośna, żebym to usłyszał. Potem uciekła, pognąła przez główną salę, przecisnęła się przez tłum, wbiegła po schodkach i zniknęła w jednym z ciemnych przejść.

Odwróciłem się z powrotem do baru i zacząłem sączyć szkocką, ignorując mężczyznę, który wciąż stał tuż obok, teraz skoncentrowany już tylko na mnie.

– Chyba się nie znamy – powiedział.

- Chyba ma pan rację – odparłem.
- Naprawmy to.
- Jestem gościem Fadila.

Zawahał się skonsternowany. Musiał być tu kierownikiem. Miał na sobie drogi garnitur, w uchu słuchawkę, a poza tym był nadęty jak każdy niski, niepewny siebie mężczyzna, który ma władzę. Czułem, że da mi spokój, potem jednak zmierzył mnie wzrokiem i zmarszczył brwi na widok białych śladów na moich nogawkach.

- Skąd pan zna pana Bourdage’a? – zapytał.
 - Niech pan zapyta jego.
 - Proszę ze mną.
 - Chciałbym dopić drinka.
 - Proszę ze mną albo będziemy mieli poważny problem.
- Spojrzałem na niego z mieszanką złości i znudzenia.
- Jest pan pewien?
 - A nie wyglądam?

Wzruszyłem ramionami, niespiesznie dokończyłem szkocką, a potem wstałem.

- Sam pan sobie kopie grób – powiedziałem.

Jeśli to choć trochę go speszyło, nie dał tego po sobie poznać. Sztynnym krokiem udał się w stronę schodów wiodących do głównej części sali i zaczekał, aż do niego dołączę.

Czułem, że to nie skończy się dobrze. Ruszyłem za nim, a gdy wszedłem w tłum, znów dostałem niepokojących zawrotów głowy. To było tak, jakbym tonął w innym wymiarze, jakbym trafił na wybój w materii rzeczywistości. Iluzjonistyczne malunki chyba należało oglądać właśnie z tego centralnego punktu, ponieważ wszystkie widziałem teraz wyraźniej. Nadmorskie miasteczka tętniły życiem. Pola słoneczników falowały na wietrze, ponad nimi wzbijały się stada wron – ale nie mogły odlecieć. Chwiały się ananasy w dżungli, pomiędzy nimi stąpał ciemny zwierz. Po ścianie wił się wąż. Nawet pulsująca muzyka zdawała się koncentrować właśnie w tym miejscu. Naprawdę czułem, że słońce praży mnie w kark. Kiedy brnęliśmy przez

tłum, wśród garniturów i krawatów, wśród dziewcząt, chłopców w sukniach, które tu, na dole, wyglądały na wykonane nie z materiału, ale z rybich łusek, spomiędzy dźwięków muzyki wyławiałem skrawki rozmów: „być tutaj”, „czasami”, „zgadzam się”, „narty wodne”.

Musiałem zachować spokój i zmyć się stąd – byle prędko. Wyglądało na to, że idziemy w stronę jednego z tych ciemnych przejść. Za żadne skarby nie zamierzałem tam wejść, żeby połamali mi nogi albo spotkało mnie coś jeszcze gorszego.

Rozglądałem się po atrium, szukając drzwi do magazynu, ale zniknęły wśród migoczących scen.

Kierownik stał kilka kroków przede mną. Patrzył spode łba, czekając, aż go dogonię. Nagle jednak jakiś wysoki blondyn popukał go w ramię, przywitał się i podał mu dłoń.

Odczekałem kilka sekund. To była moja szansa.

Mężczyzna przedstawił swojego znajomego. Gdy tylko kierownik stanął tyłem, natychmiast obróciłem się o sto osiemdziesiąt stopni i ruszyłem w przeciwną stronę. Przebijając się przez sporą grupę ludzi, przypadkiem wpadłem na plecy jakiegoś kelnera. Z rąk wyslizgnął mu się koktajl i roztrzaskał o podłogę.

Przyspieszyłem, opuszczając wzrok. Kobiety nosiły szpilki, paznokcie u nóg miały pomalowane na czarno, spiłowane w czub niczym jakieś dziwaczne kolce. Nagle dostrzegłem coś nie na miejscu: brudne białe trampki Converse’a. Chodził w nich jeden z kelnerów.

Hopper.

Ubrał się w strój z magazynu. Krążył wśród gości ze srebrną tacą w dłoni z taką swobodą, jakby pracował tu od zawsze. Zbliżyłem się do niego.

– Muszę spierdalać. Nakryli mnie – powiedziałem.

Kiwnął głową.

– Za mną.

Skęciliśmy ostro w lewo, przepchnęliśmy się łokciami przez tłum i weszliśmy po marmurowych schodkach. Hopper

niespiesznym krokiem zdązał w stronę kruszącego się kamiennego muru okalającego całe atrium.

Nie widziałem tam żadnych drzwi. Wyciągnął jednak rękę i nacisnął twarz omszałej rzeźby pólężącej kobiety.

Nic się nie wydarzyło. Zmarszczył czoło, przesunął dłonią po zwietrzałym kamieniu, naciskał ramiona, nogi, nagie stopy posągu, usiłując znaleźć mechanizm otwierający drzwi.

Obejrzałem się przez ramię.

Obserwowali nas z niepokojem dwaj goście siedzący na kanapach. Jeden obrócił się i przywołał kelnera.

A potem zobaczyłem kierownika. Agresywnie przepychał się przez tłum, szeptał coś do słuchawki i rozglądał się po obwodzie atrium.

Jeszcze kilka sekund, a mnie zauważy.

– Nie dałoby się tego trochę przyspieszyć? – mruknąłem.

– Słowo daję, dopiero co stamtąd wyszedłem.

Stałem obok Hoppera i zacząłem przesuwając rękami po ścianie. On tymczasem przeszedł na lewo, do kolejnej leżącej rzeźby. Naciskał jej dłonie, twarz, biust, oczy i dzięki Bogu niespodziewanie otworzyło się za nią prostokątne przejście. Za nim biegł długi korytarz z białymi ścianami wyłożony pomarańczowym linoleum.

Popędziliśmy przed siebie. Na końcu widziałem dwuskrzydłowe drzwi ze stali nierdzewnej.

– A tyś myślał, że to przeze mnie skopią nam tyłki – rzucił Hopper przez ramię.

– Skutki uboczne zdobycia ważnych informacji.

– Tak? Jakich?

– Ashley wbiła się tu na imprezę parę tygodni temu. Dowiedziałem się, że zaatakowała członka klubu o pseudonimie Pająk. Widzisz? To się nazywa mieć talent.

– Pająk? A prawdziwe nazwisko?

– Tego się nie dowiedziałem.

Pchnęliśmy drzwi wahadłowe i wpadliśmy do przemysłowej kuchni. Panował tam duży ruch, uwijali się kucharze, bulgotały

garnki, a w powietrzu unosiła się woń czosnku i pieczonego mięsa. Paru kucharzy spojrzęło na nas z zaciekawieniem, kiedy gnaliśmy z Hopperem między blatami, wózkami, tacami z deserem i kuchenkami, na których skwierczały patelnie.

Wypadliśmy przez kolejne drzwi wahadłowe i znaleźliśmy się w kolejnym pustym korytarzu.

Hopper zatrzymał się zdyszany. Wskazał przed siebie.

– Do końca i w prawo. Drzwi prowadzą na dwór.

Pognałem dalej, ale obróciłem się, gdy nie ruszył za mną.

– Zostajesz?

Właśnie wracał do kuchni.

– Dopiero się rozkręcam – odparł.

– Uważaj na siebie. I dzięki za uratowanie mi tyłka.

Uśmiechnął się.

– Jeszcze go nie uratowałeś.

Dotarłem do końca korytarza, skręciłem w prawo i pobiegłem w kierunku drzwi ewakuacyjnych. Z głośników zabrzmiał alarm.

Kierownik musiał zgłosić obecność intruza.

Pchnąłem drzwi i wybiegłem na dwór.

Znajdowałem się w jasno oświetlonej strefie załadunku. Stało tam mnóstwo samochodów dostawczych i dwa czarne cadillaki escalade. Na jednej ze skrzyń siedział samotny kelner palący papierosa. Uśmiechnąłem się, mijając go niby od niechcienia, a potem truchtem zbiegłem po schodkach i ruszyłem kamienną ścieżką, która wiła się wzdłuż boku budynku.

To na pewno wschodnia strona.

Zakręciłem za róg i zamarłem.

Przed sobą miałem wejście do rezydencji: kunsztowną zadaszoną kolumnadę, pod którą roilo się od ubranych na czarno ochroniarzy. Stał tam srebrny range rover z opuszczoną boczną szybą z tyłu – pasażera najwyraźniej właśnie szukano na liście gości. Podjazd skręcał w lewo i biegł wśród gęstych drzew, zapewne na północ w stronę starej szosy Montauk – czyli drogi ucieczki. Dalej na lewo, za listowiem, widziałem trawnik, na którym parkowało sporo aut.

Tędy nie mogłem się wydostać. Najwyraźniej zaalarmowano ochroniarzy, ponieważ rozproszyli się i udali do środka. Jeden skręcił w moim kierunku, przywołał kolejnego i obaj ruszyli prosto na mnie!

Wycofałem się, po czym sprintem pobiegłem z powrotem do strefy załadunku i samotnego kelnera. Wstał i coś zawołał, gdy mijalem go pędem. Skręciłem za drugie rozłożyste skrzydło rezydencji. Okna były tam ciemne, ale przez ułamek sekundy, może dlatego że w krzakach powiał wiatr, byłem pewien, że słyszę czyjś głuchy, przeciągły jęk.

Chryste. Pędziłem dalej przez klomby i żywopłoty w stronę ogrodu na tyłach budynku. Skręciłem za róg.

Zamarłem.

Ogród za rezydencją był skąpany w świetle. Wokół patia i basenu kręcili się strażnicy. Dwaj znajdowali się przy najdalszym skraju trawnika. Sprawdzali schody, po których weszliśmy tu z Hopperem.

Obróciłem się dokoła, a potem spojrzałem za siebie. Słyszałem przybliżające się kroki ochroniarzy.

Przebiegłem przez stosy worków ze śmieciami, wdrapałem się na kamienny murek, przebiegłem przez pas trawy i wcisnąłem się w wysoki żywopłot. Gałęzie rosły tak gęsto, że czułem się tak, jakbym szarpał się w ciasnej sieci. Skuliłem się, łamałem je rękami, czołgałem się głową do przodu.

Za mną przez warkot oceanu przebijały się okrzyki.

Wydostałem się po drugiej stronie i stanąłem na nogi.

Znalazłem się nie w kolejnym ogrodzie, na co liczyłem, ale na pustym wrzosowisku – nie było tu ani domów, ani trawników, tylko mrok i sięgające ramion splątane zarośla, przez które nie dało się przedrzeć. Ruszyłem wzdłuż żywopłotu, z którego właśnie wypełzłem, bo tam podszycie nie było aż tak gęste. Przedzierałem się chyba przez ostrokrzew albo głóg i podążałem w stronę oceanu.

Musiałem znaleźć inne schody na plażę. Dotarłem nad urwisko. Od Atlantyku wiał porywisty wiatr. Niepewnie ruszyłem skrajem i już po kilku minutach zrozumiałem, że schodów nie ma.

To na pewno rezerwat przyrody. Byłem w pułapce. Przez wiele kilometrów nie mogłem liczyć na żadne zejście ani budynek.

Spojrzałem za siebie. Żywopłot drżał, spomiędzy gałęzi wyłaniały się czarne sylwetki, snopy latarek omiatały poskręcany gąszcz i przemieszczały się w moim kierunku.

Ciągle przybywali kolejni ochroniarze. Kierownik chyba rzucił na mnie fatwę.

Doczołgałem się nad krawędź klifu. Ściana nie była pionowa, lecz trochę nachylona i usiana krzakami. Przytrzymałem się jakiejś rośliny, a potem zacząłem się zsuwać nogami do przodu,

wywołując lawinę piachu i luźnych kamieni. Latarki właśnie penetrowały roślinność wprost nade mną. Ledwo słyszałem okrzyki mężczyzn ponad hukiem fal. Przywarłem plecami do skały, czekałem, aż tamci pójdą dalej, a potem pospiesznie znowu ruszyłem w dół. Krzaki, których się chwyciłem, często zostawały mi w rękach i wtedy zsuwałem się swobodnie, dopóki nie uczepliłem się jakiegoś korzenia zdolnego udźwignąć mój ciężar.

Dotarłem do skalnego cypla, który sterczał nad plażą.

Zaczął się przypływ. Plaży nie było – jedynie półtorametrowe fale, które cofały się, kipiąc, na kilka sekund, by odsłonić najeżone grzbiety u podstawy klifu, a zaraz potem gwałtownie koziołkowały naprzód i eksplodowały o kamienie.

Wyczekiwałem, wypatrując ruchu nad sobą.

Byłem bezpieczny. Nikt nie byłby na tyle głupi, żeby ruszyć tu za mną.

Jednakże gdy tylko to pomyślałem, dostrzegłem w górze dwie skulone sylwetki, które mnie wypatrywały.

Po omacku zszedłem jeszcze z metr i dotarłem do jakichś głazów. Wpełzłem między nie i ruszyłem na zachód. Przemieszczałem się szybko, kiedy cofało się morze. Po paru minutach w oddali dostrzegłem rachityczny szkielet schodów Duchampa wznoszący się z fal.

Poczołgałem się ku nim. Nagle na szczycie klifu pojawiły się światła latarek. Przesuwały się wzdłuż brzegu, omiatały kamienie zaledwie kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym przycupnąłem.

Czekali. Światło przesunęło się obok mnie.

Ponad szumem fal poniosły się okrzyki. Ruszyłem znowu, szybciej, w głębi duszy spodziewając się, że zaraz wokół mnie zaświszczą kule.

Kiedy dotarłem do schodów, wcisnąłem stopy między dwa kamienie, żeby złapać równowagę, a potem spojrzałem w górę. Jeden z ochroniarzy usiłował zejść po stopniach. Cała konstrukcja drżała pod jego ciężarem. Złapałem najbardziej przegniły

szczebel i po kilku próbach udało mi się go wyszarpnąć. Razem z nim oderwał się spory kawał poręczy. Wrzuciłem to wszystko do wody, a potem ruszyłem po skałach. Znow zalewały mnie napierające fale.

Po kolejnych kilku metrach prędko spojrzałem za siebie.

Pod strażnikiem załamał się fragment schodów powyżej tego, który wyrwałem. Mężczyzna przyłgnął do skalnej ściany i chyba czekał na pomoc. Brnąłem dalej. Wspiąłem się na niepewny fragment klifu, gdzie nie było się czego trzymać, i już ośmieliłem się pomyśleć, że chyba udało mi się uciec, gdy nagle olbrzymia fala uderzyła o skały.

Straciłem równowagę. Upadłem do tyłu, uszy wypełnił mi ogłuszający grzmot, runąłem głową w dół, dławiliem się słoną wodą. Zdołałem się wynurzyć, łapczywie łykałem powietrze, ale już po paru sekundach nadeszła kolejna fala, szarpnęła mnie w tył, a potem cisnęła w kierunku klifu. Pracując nogami najmocniej, jak mogłem, wpadłem na kolejny głaz i zdołałem się na niego wczołgać. Odkrzusilem morską wodę.

Podniosłem głowę. Piekły mnie oczy. Byłem sam w wąskiej zatoczce. Przycupnąłem na kamieniu i czekałem, aż dotrze tu jakiś strażnik.

Nikt się nie pojawił.

Kiedy niebo przybrało odcień srebrzystej szarości, na plaży dostrzegłem wstęgę piasku. Zsunąłem się na nią, a potem ruszyłem truchtem. Mijałem milczące apartamentowce, biegłem wzdłuż drewnianego płotka, który przylegał do Whaler's Way. W bladym świetle poranka zobaczyłem opustoszałą uliczkę.

Zatrzymałem się, wpatrzony w puste miejsce parkingowe.

Mojego samochodu nie było.

Oszołomiony udałem się na Emerson Street, w stronę Sea Haven Diner. Rozejrzałem się po parkingu, ale tu również nie znalazłem swego auta. Stały tam tylko srebrny pick-up oraz subaru. Wszedłem do baru. Był pusty, jedynie w boksie w głębi siedział stary mężczyzna, a rudowłosa kelnerka opierała się o ladę i czytała jakiś magazyn.

– Wygląda pan jak rozbitek – powiedziała, gdy się zbliżyłem.
– Szukam młodej kobiety. Blondynki w zielonej sukience. Była tutaj?

Uśmiechnęła się, bo zrozumiała, o kim mowa.

– Chodzi panu o Norę?

– Właśnie.

– Jasne, była.

– To gdzie się podziała?

– Nie mam pojęcia. Wstała i wyszła z godzinę temu.

Wsunąłem się na stół przy barze i ściągnąłem skórzaną kurtkę, która nadal ociekała słoną wodą.

– Poproszę kawę, trzy jajka smażone z dwóch stron, bekon, tost i sok pomarańczowy.

Kelnerka zniknęła za drzwiami wahadłowymi. Kiedy wróciła z moją kawą, ciężko westchnęła, krzyżując ręce na piersiach.

– Zadzwoił do niej jakiś facet. Wybiegła stąd cała podekscytowana.

Zerknąłem na nią i wypilem łyk kawy.

– Zadzwoił na komórkę?

– Nie. Tutaj zasięg jest do kitu, tylko jedna kreska. Zadzwoił do baru i poprosił Norę. Pan pewnie jest jej ojcem. Przyjechał pan po nią? – Nie czekała na moją odpowiedź, tylko porozumiewawczo pokiwała głową. – Nie wiem, jak wy, ojcowie, to znosicie. Dziewczyny ciągle lecą na złych chłopaków. A teraz doszedł jeszcze internet, więc jest dziesięć razy gorzej: prześladowcy, maniacy seksualni...

Dzięki Bogu, szybko dostałem śniadanie.

Przez ten czas do lokalu weszło kilku miejscowych, ale po Norze i Hopperze nie było ani śladu.

Po posiłku spróbowałem do nich zadzwonić – o dziwo moja komórka wciąż działała – ale kelnerka miała rację: brak zasięgu. Skorzystałem z telefonu przy kasie, lecz u obojga włączała się poczta głosowa.

Kiedy o 9.45 wsiadłem do pociągu, który miał mnie zabrać z powrotem do cywilizacji – o ile można tak nazwać Manhattan –

zasnąłem jeszcze przed odjazdem ze stacji.

Gdy dotarłem do miasta, minęło południe. Wciąż nie miałem wieści od Hoppera ani od Nory. Pojechałem taksówką na Perry Street. Nora dysponowała drugim kompletem kluczy, więc pomyślałem, że jeśli z jakiejś przyczyny nie mogła się ze mną skontaktować, to może pierwsza dotarła do domu. Mieszkanie jednak okazało się puste, a na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości.

Wziąłem prysznic. Przeszło mi przez głowę, czy nie pójść do łóżka, ale byłem zbyt spięty, zbyt nerwowy – zbyt wkurzony.

Zostawili generała na pastwę losu na polu bitwy. A może coś się stało? Nie miałem czasu o tym rozmyślać, bo zawibrowała komórka, przypominając, że dziś o osiemnastej Peg Martin, jedna z aktorek z *Izolatu 3*, będzie z psem w parku Washington Square. To poszlaka, którą dostałem od Beckmana przed niemal tygodniem.

Wszedłem do gabinetu, nakarmiłem Septimusa ziarenkami, a potem z pudła notatek wyciągnąłem rozmowę Peg Martin z magazynem „Sneak” z 1995 roku. Od czasu wywiadu Cordovy w „Rolling Stone” w 1977 roku był to jedyny przypadek, kiedy ktoś, kto z nim pracował, szczerze opowiedział o tym doświadczeniu.

Kiedy zagrała u Cordovy, miała siedemnaście lat, zatem teraz musiała mieć trzydzieści pięć.

Wpisałem jej nazwisko do Google’a. Pokazało się kilka kadrów z *Izolatu 3*. Wystąpiła tylko w trzech scenach, a ziarnistą wersję jednej z nich ktoś wrzucił na YouTube’a. Peg grała Vivian Jean, jedną ze sprzątaczek, które całymi nocami pracowały w biurze kancelarii prawnej Milton, Bowers & Reid na Środkowym Manhattanie. Bohaterka znika na klatce schodowej i nie pojawia się już więcej. Moment wcześniej wypowiada kwestię: „Naukowcy szukają obcych we wszechświecie, ale oni są tutaj. Obcy, którzy udają ludzi. Już dokonali inwazji”. Mówi tak o swoim mężu, o tym, jak straszni bywają ludzie, których kochamy. Zawsze mnie ciekawiło, że w wywiadzie Martin właśnie tych słów użyła do opisanie Cordovy.

Według filmografii z IMDb po występie w wyprodukowanej przez HBO *Nowej chwale* – współczesnym remake’u *Ich nocy* zdjętym z anteny po jednym sezonie– Peg Martin zagrała z Jeffem Goldblumem w telewizyjnym westernie *Pył i kurz* emitowanym przez ABC. Po 1996 roku nie występowała już nigdzie. Nie znalazłem aktualnych informacji o jej dalszym życiu, ale Beckman wspominał, że była uzależniona od heroiny – co zapewne tłumaczy tak krótką karierę.

Zerknąłem na zegarek. Dochodziła piąta. Musiałem się ruszyć. Jednak samotny mężczyzna krążący po parku, zbyt przyjazny, zadający za dużo pytań – to wzbudziłoby najróżniejsze podejrzenia.

Potrzebowałem przynęty.

ŚWIEŻA TWARZ CHWILI

PEG MARTIN

„Sneak” spotkał się z osiemnastoletnią gwiazdą *Nowej chwały*, pierwszego serialu dramatycznego wyprodukowanego przez HBO. Rozmawiamy o jej bohaterce, a także o pogłoskach, że swoją pierwszą rolę zagrała w filmie Cordovy.

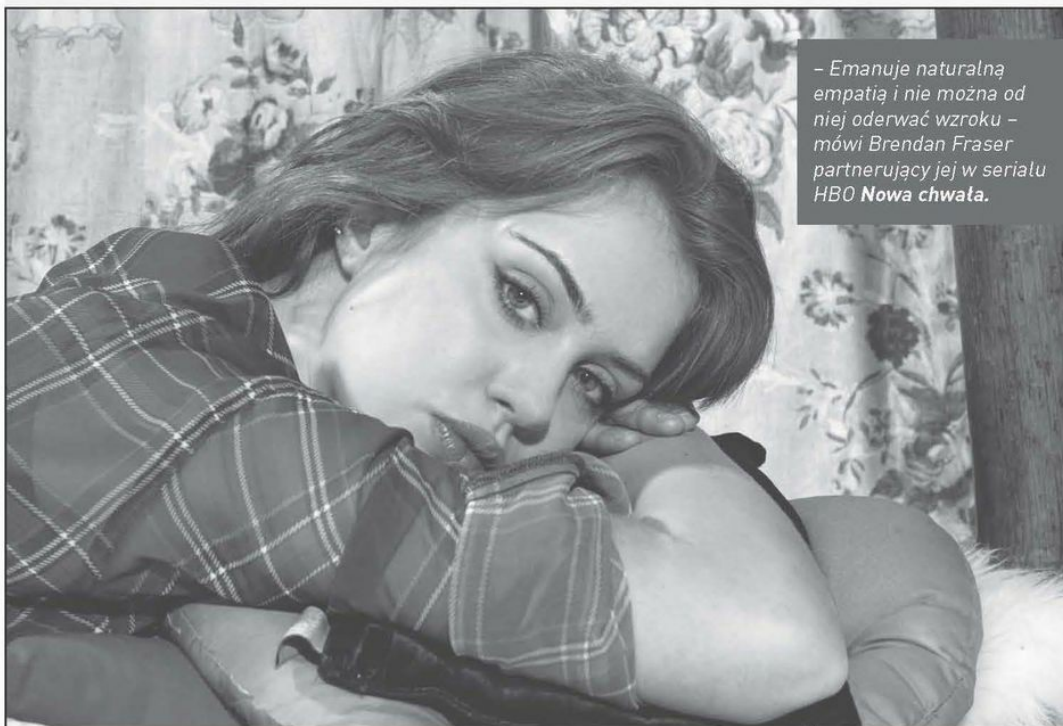
**„Po co ta cała tajemnica?
Nie wiem”**

Styszeliśmy plotki, że zadebiutowała w ostatnim filmie Cordovy, *Izolat 3*, który można obejrzeć wyłącznie na podziemnych pokazach i podobno jest tak przerażający, że seans przypomina drogę przez piekło. Umieramy z ciekawości: czy to prawda?

PM: Nie chcę mówić zbyt dużo na ten temat. Ale owszem, gram Vivian Jean w *Izolacie 3*.

Jak to się stało, że zagrałaś w filmie Cordovy?

PM: Po szkole pracowałam w lodziarni Baskin-Robbins w Vienna w New Jersey. Podeszła do mnie jakaś kobieta i powiedziała, że podoba jej się mój wygląd. Raz rozmawiałam z Cordovą przez telefon. Zadzwoił do mnie następnego dnia i powiedział, że dostałam rolę.



– Emanuje naturalną empatią i nie można od niej oderwać wzroku – mówi Brendan Fraser partnerujący jej w serialu HBO *Nowa chwała*.

Fotos z serialu HBO *Nowa chwata*.

Wypisz, wymaluj współczesna wersja odkrycia Lany Turner w aptece Schwab's w Hollywood. Jak wyglądała praca z Cordovą?

PM: Miałam małą rolę. Trzy sceny z moim udziałem powstały w ciągu dwóch dni w hali na północy stanu Nowy Jork. Grałam sprzątaczkę i maltretowaną żonę. Moja postać miała lewą rękę w gipsie. W dziale kostiumów założyli mi prawdziwy gips, żebym przyzwyczaiła się do utonności. Mój chłopak, William Bassfender, dostał w tym filmie znacznie większą rolę. Grał przestępcę uwięzionego w Izolacie, który usiłuje się stamtąd wydostać. Był na planie przez trzy miesiące, ale nie chce o tym mówić.

„Nigdy nie odzywał się do mnie bezpośrednio”

Dlaczego nikt nie chce rozmawiać o Cordovie?

PM: Każdy, kto z nim pracuje, musi podpisać bardzo rygorystyczną umowę o zachowaniu poufności. Co mi właśnie przypomniało, że nie mam już nic więcej do powiedzenia na ten temat, bo inaczej sprzątnie mnie płatny zabójca albo coś w tym stylu.

Po co ta cała tajemnica?

PM: Nie wiem.

O Cordovie krąży tyle pogłosek, na przykład że to nie jeden człowiek, ale wielu różnych. Albo że jest kobietą. Co ty na to?

PM: To jeden człowiek. Ale nigdy nie odzywał się do mnie bezpośrednio. Udzielał mi wskazówek przez swoją asystentkę, Inez Gallo.

Nigdy nie widziałas go z bliska?

PM: Nie.

Jak możemy zdobyć kopię Izolatu 3?

PM: To niemożliwe. Kopie są dobrze strzeżone. Nawet ja żadnej nie widziałam.

Nie widziałas własnego filmu?

PM: Nie. Nie lubię się bać.

Gdzie mieszka Cordova? W swojej posiadłości, Szczycie?

PM: Czy możemy porozmawiać o moim serialu wyprodukowanym przez HBO? To jego promuje.

Jasne – ale jeszcze tylko jedno pytanie o Cordovę. Nad czym teraz pracuje?

PM: Moja ostatnia kwestia w *Izolacie 3* brzmi: „Naukowcy szukają obcych we wszechświecie, ale oni są tutaj. Obcy, którzy udają ludzi. Już dokonali inwazji. Dla własnego bezpieczeństwa powinniśmy zostawić ich w spokoju”. To w zasadzie mówi wszystko.

– Pani Quincy dzwoniła, żeby uprzedzić mnie, że pan przyjdzie – oznajmiła Dorothy, mierząc mnie sceptycznym spojrzeniem znad okularów. – Ale nie że pół godziny za wcześnie. Samantha jest w trakcie przesłuchania do *Dziadka do orzechów*.

Dorothy była siwowłosą carycą, która żelazną ręką rządziła Manhattańską Szkołą Baletową. Nie po raz pierwszy miałem z nią do czynienia i zawsze traktowała mnie jak uciekiniera z syberyjskiego gułagu.

– Dobrze, ale mamy rezerwację na herbatkę w hotelu Plaza.

– Jeżeli wyciągnie ją pan teraz, to nie ona dostanie lalkę od pana Drosselmeyera. Może nawet w ogóle nie weźmie udziału w scenie przyjęcia.

– Litości. Sam musi wziąć udział w scenie przyjęcia. Ona jest duszą sceny przyjęcia!

Dorothy westchnęła i ustąpiła.

– No dobrze.

Puściłem do niej oko, a potem ruszyłem korytarzem w kierunku sali, w której odbywały się lekcje. Podłoga skrzypiała mi pod stopami. Wcześniej zadzwoniłem do Cynthii i zapytałem, czy mógłbym tego wieczoru spędzić z Sam kilka godzin – w ramach zadośćuczynienia za odłożenie jej wizyty – a ona o dziwo się zgodziła. Nie powiedziałem w szczególach, co zamierzam zrobić przez te parę godzin, ale wiedziałem, że bez względu na przebieg spotkania z Peg Martin córeczce spodoba się tresura psów, a potem chciałem ją zabrać na kolację i lody z gorącą polewą w Serendipity 3.

Zastałem Sam na końcu korytarza w zalanym słońcem studiu, w którym huczała muzyka Czajkowskiego. Tańczyła w gromadce pięciolatek. Wszystkie trzymały ręce nad głowami i podskakiwały. Sam wyglądała tak, jakby była gotowa na podbój Teatru Bolszoi: ogniście czerwony trykot, białe rajstopy, baletki i spódniczka. Znajdowała się na przodzie, wpatrzona w instruktorkę demonstrującą kroki.

Zapukałem w szklane drzwi.

Dzieci zneruchomiały. Nauczycielka wyciągnęła długą szyję i zmierzyła mnie władczym spojrzeniem.

– Tak? Mogę panu w czymś pomóc?

Przekroczyłem próg.

– Przyszedłem po Samanthę.

Choć się ściemniało, w parku Washington Square roilo się od studentów, deskorolkarzy i zakochanych par.

Tłumek zgromadził się wokół chłopaka tańczącego break dance przy muzyce z boomboxa z lat osiemdziesiątych. Oczarowane kobiety przerywały rozmowy, kiedy Sam mijała je zwinnym krokiem, mocno trzymając mnie za rękę. Co prawda zgodziła się włożyć swoją czarną kurtkę oraz różowy plecak z Roszpunką, ale odmówiła zdjęcia spódniczki, rajstop i baetek.

– To bardzo miła pani – powiedziałem. – Pogadamy z nią parę minut i spotkamy się z jej psem. Dobrze?

Sam kiwnęła głową i odgarnęła z twarzy złote loki.

– Co ci się stało w rękę? – zapytała.

Po ucieczce z Oublette miałem mocno podrapane dłonie.

– Nie martw się. Tata jest twardy. Opowiadaj, co słyhać u mamy. Dalej pracuje w galerii?

Sam zastanowiła się chwilę.

– Ma problem z Sue – oznajmiła.

– Z kierowniczką. Zawsze się kłóciły. A twój ojczym?

– Bruce? – upewniła się.

Dobrze. Wciąż mówiła o nim po imieniu tak samo jak o mnie. Dzięki Bogu nie został „tata”.

– Tak, Bruce. Komisja Papierów Wartościowych i Giełd wzięła go już pod lupę? Aresztują go za nielegalne operacje?

Zmrużyła oczy.

– Bruce ma oponkę.

– Mama tak powiedziała?

Sam pokiwała głową i uwiesiła mi się na ramieniu.

– Mama każe mu pić zielony soczek i Bruce chodzi spać głodny.

A więc Staruszkowi Quincy’emu przybyło parę kilo i musiał znosić słynną kurację oczyszczającą Cynthii. Nagle poczułem się fantastycznie.

– Czy mamusia wspomina o mnie? – Mała zastanowiła się przez chwilę, a potem przytaknęła. – Tak? A co mówi?

– Że tobie jest potrzebna pomoc. – Sam naśladowała nawet wyniosłą intonację Cynthii. – Że się wykolejkowałeś i przygruszkowałeś nastoletnią lafindę.

Wykoleiłem się i przygruchałem sobie nastoletnią lafiryndę. Po oponce powinienem był skończyć z pytaniami.

Schyliłem się i wziąłem Sam w ramiona, ponieważ dotarliśmy do wybiegu dla psów, ogrodzonej przestrzeni na południowym skraju parku. W środku pełno było hasających czworonogów oraz ich milczących właścicieli, którzy krążyli dokoła jak troskliwi rodzice, patrzyli nerwowo, gotowi i uzbrojeni w smycze, piłki, smakołyki i szufelki na kupy.

– Dobra, skarbie. Szukamy dużego czarnego psa i pani z rudymi włosami. Ma tak po trzydziestce. Jak ich zauważysz, to cicho sza. Żadnego krzyczenia ani pokazywania. Spokój. Kumasza?

Sam kiwnęła głową i zaczęła się rozglądać. Nagle pisnęła i kopnęła mnie w kostkę. Zrobiła minę, wskazała, ale tylko małym palcem.

– Widzisz ich? – zapytałem.

Znowu przytaknęła.

Rzeczywiście, w najdalszej części wybiegu dostrzegłem wychudzoną rudowłosą kobietę. Na ławce obok niej siedział stary czarny labrador.

– Masz doskonały zmysł obserwacji, kochanie. Przydałabyś się w Departamencie Bezpieczeństwa.

Obejrzałem się za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie śledzi. Od powrotu do miasta cały czas miałem się na baczności na wypadek, gdyby znów pojawił się Theo Cordova, ale nie zauważyłem niczego niezwykłego.

Otworzyłem furtkę i weszliśmy do środka.

Patrzyłem, jak Sam wykonuje moje polecenia z gracją i precyzją. Byłby z niej cholernie dobry komandos.

Naprawdę odegrała wszystko tak, jakby to był przypadek. Najpierw po drodze do Peg Martin zatrzymała się i przykucnęła obok miniaturowej białej chihuahuy, która miała na sobie więcej złotego materiału niż dziwka z Newark. Witła się z tym zwierzęciem przez minutę, a potem podeszła do labradora. Najwyraźniej Cynthia nauczyła ją, że należy poprosić o zgodę, zanim dotknie się nieznanego zwierzęcia, bo grzecznie zapytała zarówno Peg Martin, jak i samego psa, czy może go pogłaskać.

Chyba od obojga uzyskała pozwolenie, ponieważ bardzo delikatnie, z dużym szacunkiem dotknęła posiwiałego łba czworonoga. Oczy miał znużone i nieruchome. Zaczęła samym małym palcem. Drapała półcentymetrowy odcinek między brwiami labradora.

Ruszyłem w ich stronę, mijając innych właścicieli stojących pod płótnem.

- Może go pogłaskać? – zapytałem, podchodząc do Peg Martin.
- Oczywiście – odparła i podniosła wzrok.
- Nie gryzie?

Znowu przyglądała się psom na wybiegu.

- Nie.

To rzeczywiście była Peg Martin.

Włosy miała rzadsze, ufarbowane na syntetyczny odcień czerwieni, coś między jesiennymi liśćmi a barwą buraków. W *Izolacie 3* była taka żywa i narwana. Po latach wydawała się wyciszona i poszarzała, wycieńczona do szpiku kości.

– Jak się nazywasz? – zapytała psa moja córka, ale nie odpowiedział.

- Jak się wabi? – zapytałem Peg.

Wyglądała na poirytowaną, że znów się do niej zwracam.

- Leopold.
- Leopold – powtórzyła Sam.

Głaskała go po łbie sztywną dłonią płaską jak łopatka. Zupełnie jakby starannie rozprowadzała lukier.

– Pani wygląda znajomo – rzekłem, zerkając na Peg. – Uczy pani w szkółce niedzielnej u Świętego Tomasza, prawda?

Chyba wytrąciłem ją z równowagi.

– Yy, nie. To na pewno nie ja.

– Mój błąd.

Uśmiechnęła się chłodno i dalej patrzyła na psy.

Ja też przyglądałem im się przez minutę, żeby nie wypaść nachalnie. W stadzie rządził nadpobudliwy dalmatyńczyk. Odpicowana biała chihuahua krążyła i ujadała, szukając frajera, ale wszystkie psy uganiały się jak szalone za mokrą piłką tenisową.

– Dobra – powiedziałem. – Pewnie trafię kulą w płot i pomyśli pani, że zwariowałem. – Spojrzała na mnie nieufnie. – *Izolat 3*. Sprzątaczką ze złamaną ręką. To była pani, prawda?

Zamrugła zaskoczona. Nikt jej nigdy nie rozpoznawał. Byłem pewien, że trochę przegiąłem z tym zachwytem, ale kiwnęła głową.

– Tak.

– Była pani świetna. Tylko dzięki pani nie oszalałem podczas seansu. – Uśmiechnęła się i zaczerwieniła. Powszechnie wiadomo, że żaden aktor nigdy nie ma dość słuchania, że był doskonały w jakiejś roli. – Muszę zapytać. Jaki on był? To znaczy Cordova.

Jej uśmiech zniknął, jakby ktoś zdmuchnął zapalnik. Zerknęła na zegarek, chwyciła pasek plecaka i wzięła go pod pachę, zbierając się do odejścia. Potem jednak ku mojej uldze okazało się, że Sam rozkochała w sobie Leopolda. Ogon chodził mu w tę i z powrotem jak wycieraczka na szybie samochodu. Widząc to – i małą, która po cichu omawiała z psem jakąś bardzo ważną sprawę – Peg się zawahała.

– To straszne, co spotkało jego córkę – powiedziałem. Kobieta podrapała się w nos. – Ale w sumie się nie dziwię. Ktoś o tak pokręconym i wstrząsającym dorobku w rzeczywistości musi

być przerażającym człowiekiem. Wystarczy spojrzeć na Picassa. O’Neilla. Tennessee Williamsa. Capotego. Czy to byli radośni, pogodni ludzie, którzy rozsiewali po świecie pogodę ducha? Nie. Tylko najstraszniejsze osobiste demony mogą zaowocować twórczością o takiej sile rażenia.

Uznałem, że jeśli zaleję tę kobietę słowotokiem, to może sobie nie pójdzie. Znowu oparła się na ławce i przyglądała mi się zaabsorbowana.

– Możliwe – odparła. – Z zewnątrz nigdy nie wiadomo, co się dzieje w rodzinie. Ale ja po prostu...

Zamilkła, bo ta cholerna piłka tenisowa właśnie wtoczyła się wprost pod ławkę. Schyliła się, podniosła ją, psy zamarły z otwartymi pyskami i postawionymi uszami. Peg rzuciła piłkę i znowu się oparła. Zwierzęta w amoku popędziły po żwirze.

– Pani po prostu... – powtórzyłem cicho.

Na litość boską, pozwól jej mówić. I wyluzuj, do jasnej cholery.

– Kiedy zaczęli kręcić *Izolac* – powiedziała, zerkając na mnie – zaprosił mojego chłopaka, żeby spędził popołudnie z jego rodziną w posiadłości. Na Szczycie. Nie miał takich rzeczy w zwyczaju. Był skryty. Przynajmniej tak słyszałam. Ale jego żona właśnie organizowała piknik. Latem stale to robili. Billy dostał zaproszenie. Więc mu towarzyszyłam.

Był skryty. Miała na myśli Cordovę.

A Billy to na pewno William Bassfender, chłopak, o którym wspomniała w wywiadzie dla „Sneak”. Umieśniony, wytatuowany Szkot, który grał więźnia w *Izolacie*, Okaz nr 12. Jeśli dobrze pamiętam, po tym filmie wystąpił w sztuce na londyńskim West Endzie i właśnie miał zagrać w *Nixonie* Olivera Stone’a, kiedy zginął w wypadku w Niemczech.

Spojrzałem na psy, żeby Peg nie widziała, że chłonę każde jej słowo.

– To było niewiarygodne. Oczywiście mnie wydałaby się niewiarygodna każda rodzina, która spędza razem czas, bez krzyków i zalewania się w trupa. Ale nawet teraz myślę, że

w tamtej rodzinie było więcej miłości i szczęścia, niż kiedykolwiek widziałam. Ani przedtem, ani potem. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Mieli własny język.

Wzdrygnąłem się.

– Słucham?

– Syn Cordovy, Theo, wymyślił język dla swojej rodziny. Używali go między sobą, kiedy śmiali się i żartowali, przez co wydawali się jeszcze bardziej onieśmielający. Astrid wszystko mi wyjaśniła. Pamiętam, jakby to było wczoraj. „Rosjanie mają szesnaście słów na miłość. Nasz język ma dwadzieścia”. Przyniosła wszystkie zeszyty, które przygotował Theo. Napisał własny słownik, gruby jak Biblia, pełen reguł gramatycznych i wzorów koniugacji czasowników nieregularnych, które sam wymyślił. Astrid nauczyła mnie kilku wyrazów. Nie zapomniałam ich do dziś. Jeden z nich to *terulya*. Oznacza przenikliwą miłość, która wydobywa człowieka z odmętów. Coś, czego trzeba zaznać przed śmiercią, inaczej nie można powiedzieć, że w ogóle się żyło. Pamiętam swój szok, że takie rzeczy wymyślił nastoletni chłopak. Ale oni wszyscy byli tacy. Chłonęli życie. Niczym nie byli obarczeni. Nie mieli ograniczeń.

Zamilkła rozmarzona, może nawet trochę zazdrościła opisywanej rodzinie. Skrzyżowała ramiona na piersiach i znowu patrzyła na psy.

– Piknik – powtórzyłem, chcąc ją skłonić, żeby mówiła dalej.

– Był pogodny dzień. Kiedy się skręciło na teren posiadłości, długo jechało się przez las. Wreszcie na końcu wyłaniał się dom, olbrzymia rezydencja górująca na wzgórzu jak zamek z bajki. Była opuszczona. Billy i ja waliliśmy do drzwi, potem chodziliśmy wokół domu i po ogrodach. Nie widzieliśmy ani śladu żywej duszy. Wreszcie, po dwudziestu minutach, otworzyły się olbrzymie drzwi frontowe, a na progu pojawił się Japończyk. Właśnie się obudził i nie znał ani słowa po angielsku. Miał na sobie jedwabną zieloną piżamę, a przy pasie miecz. Wszedł z domu, ziewając i rozcierając oczy, powiedział coś po japońsku, po czym dał nam znak, żebyśmy poszli za nim. Zaprowadził nas

nad jezioro. To właśnie tam byli wszyscy. Siedzieli w grupie na białych kocach pod białymi parasolami. Wszyscy z wyjątkiem Cordovy. Tego dnia pracował. Przynajmniej tak nam powiedzieli. – Odetchnęła głęboko. – Czułam się tak, jakbym wylądowała na jakimś obrazie. Byli tam gwiazdorzycy filmowi, Jack Nicholson i Dennis Hopper, ale to nie oni stanowili atrakcję. Byli astronautycy opowiadający o wyprawach w kosmos. Eksagent CIA, który żył w ukryciu, a w portfelu nosił artykuł z „New York Timesa” z informacją o własnej śmierci. Słynny dramaturg. Miejscowy ksiądz, który przez piętnaście lat podróżował po świecie i właśnie wrócił do domu. Był też syn Cordovy, Theo, przepiękny szesnastolatek fotografujący wszystko starą leicą. Wszedł po pas na bagna, żeby zrobić zdjęcie walczącym wążkom. Miał bardzo burzliwy romans z niejaką Rachel, dziesięć lat starszą niż on. Również tam była. Ktoś powiedział, że grała w jednym z filmów Cordovy.

– W którym?

– Nie pamiętam. – Uśmiechnęła się smętnie. – Scenograf Cordovy zbudował dla rodziny flotę kolorowych łódek, którymi mogli żeglować po jeziorze. Wszyscy nazywali je okrętami pirackimi. Było tam też stado pół psów, pół wilków. Jeden z gości opowiedział o tym, jak Cordovowie uratowali je w środku nocy od farmera, który hodował je do walk. To wszystko prawdziwe historie. Była także matka Cordovy. Nie mówiła po angielsku, umierała na raka. Traktowali ją bardzo delikatnie, układali w leżaku, żeby mogła sobie posiedzieć pod parasolem i pić limoncello. Przysięgam sobie, że jeśli kiedyś spotka mnie tyle szczęścia, że będę miała rodzinę, to chcę, żeby była właśnie taka. Doświadczylam urzeczywistnienia fantazji. Większość popołudnia spędziłam z pewnym filozofem z Francji i z Astrid, która uczyła gości malarstwa olejnego. Wszyscy rozstawiliśmy sztalugi nad brzegiem jeziora, staliśmy na wietrze i malowaliśmy. Kiedy wyjeżdżaliśmy stamtąd z Billym, właśnie zachodziło słońce. Ogarnął mnie straszny smutek, tak jakbym spędziła popołudnie na rajskiej wyspie, a teraz fala wyciągała

mnie z powrotem na ocean i wiedziałam, że już nigdy nie dam rady tam wrócić.

– Brzmi jak istna arkadia – rzekłem, kiedy zamilkła.

Spojrzała na mnie błędnym wzrokiem i nic nie powiedziała, a ja wyrzucałem sobie, że w ogóle się odezwałem. Bałem się, że zakłóciłem trans, w który wpadła, opowiadając o tamtym dniu. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać, słowa w niej zawrzały, a potem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, wystrzeliły jak fontanna, która od lat była wyschnięta. Teraz Peg chyba żałowała, że cokolwiek mówiła.

– W którym to było roku? – spytałem jak gdyby nigdy nic.

– Kiedy kręcili *Izolat*. Chyba wiosną dziewięćdziesiątego trzeciego.

Ashley urodziła się 30 grudnia 1986 roku. W takim razie miała wtedy sześć lat.

– Poznała pani Ashley?

Peg kiwnęła głową, chyba nie miała ochoty mówić dalej, ale nie potrafiła zostawić takiego pytania bez odpowiedzi.

– Była piękna. Miała krótkie, ciemne włosy, niemal czarne. Jak duszek. Bładoszare oczy. – Uśmiechnęła się nagle ożywiona. – Miałam siedemnaście lat. Dzieci zupełnie mnie nie interesowały. Aż tu nagle Ashley wzięła mnie za rękę, zaprowadziła nad opustoszały skrawek jeziora, gdzie rosła wierzba i wysoka trawa, a woda była szmaragdowozielona. Zapytała, czy widzę trolle. Wciąż pamiętam ich imiona: Elfriede i Vanderlye. Kiedy puściła moją dłoń i ruszyła przez pole w pogoni za motylem, olbrzymim, jaskrawym, czerwono-pomarańczowym, zupełnie jakby na tej posiadłości żyły jakieś całkiem inne owady, już wierzyłam w trolle. I wciąż wierzę.

Zamilkła, jakby zawstydzona własnym zapałem. Zauważyłem, że Sam przypatruje się Peg i słucha uważnie.

W parku było już ciemno. Wzdłuż płotu stali nieznajomi bez twarzy. Olbrzymie wiązy o rozpostartych konarach coraz głębiej tonęły w ciemności, rozpływały się. Gromada psów wciąż szalała – zdyszane białobrązowe kłębowisko fruwającego żwiru.

– Zachowałam tamten dzień – podjęła Peg cienkim głosem – jak wyblakłą pocztówkę. Coś, co chowa się do albumu, żeby przypominać sobie o idealnym szczęściu: że istnieje, choćby przez moment, niczym nagła błyskawica na niebie. Kiedy przeczytałam o tym, co się stało z Ashley, nie mogłam uwierzyć. Wcale jej nie znałam, ale... to się wydawało całkiem nagłe. I całkiem nie w porządku. Jeśli ktoś ma taką rodzinę, a mimo wszystko nie potrafi znieść tego świata, to czy jest jakaś nadzieja dla nas wszystkich?

Uśmiechnęła się smutno i odwróciła wzrok.

– Jak się z nim pracowało?

W duchu aż się wzdrygnąłem z obawy, że to zbyt natrętne pytanie. Na szczęście tylko wzruszyła ramionami.

– Miałam bardzo małą rolę. Byłam na planie zaledwie przez dwa dni. Właściwie nie rozumiałam, co się dzieje, bo ekipa składała się z Meksykanów i asystentka Cordovy wydawała im polecenia po hiszpańsku.

– Asystentka? Chodzi o Inez Gallo?

– Tak. Ale cała ekipa nazywała ją Kojotem.

– Kojotem? Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Wciąż ma pani kontakt z Cordovą? Albo z kimś innym z tamtych czasów?

Peg pokręciła głową.

– Kiedy już zarejestrował czyjś występ, kiedy wyciągnął z aktora to, co chciał, zupełnie jak chirurg pobierający organy, tracił zainteresowanie. Byłam na planie dwa dni i to wszystko. – Odwróciła się, rozpięła plecak, wyjęła z niego smycz i przyczepiła ją do obroży Leopolda. – Muszę iść.

Jeszcze parę sekund i już jej nie będzie. Pragnąłem więcej czasu, kusiło mnie, żeby zapomnieć o ostrożności i zarzucić ją pytaniami, zrobić wszystko, byle tylko wciąż mówiła, byle opowiadała dalej. Czułem jednak, że chwila szczerości minęła, że już po wszystkim.

Wstała, a potem pochyliła się nad psem, żeby pomóc mu zejść z ławki. Poruszał się jak starzec chory na artretyzm. Musiała postawić mu tylne łapy na ziemi. Potem odwróciła się do mnie z pospiesznym uśmiechem.

– Niech pan na siebie uważa.

– Pani również – odpowiedziałem.

Potem ona i Leopold odeszli, dwie powolne postaci obojętne na rozpędzoną sforę psów.

– Czy ta pani jest miła? – zapytała mnie Sam, odgarniając loki z oczu.

– Bardzo miła.

Wdrapała się na ławkę obok mnie, usiadła bardzo blisko i wbiła nieruchomy wzrok w moją twarz.

– Jest smutna?

– Nie, kochanie. Po prostu trochę przeżyła.

Sam chyba uznała to wytłumaczenie. Oto jedna z rzeczy, które w niej uwielbiałem. Mogłem rzucić jakieś niejasne spostrzeżenie na temat ludzi, ich słabości czy hipokryzji, ich głęboko zakorzonego bólu – a ona przyjmowała taką uwagę jak stary handlarz brylantów, który dostaje do ręki surowy kamień: obracała w dłoni, po czym chowała do kieszeni, żeby zbadać i oszlifować później, i przechodziła do innych spraw.

Podrapała się w policzek, splotła dłonie na kolanach – naśladując to, jak ja je splotłem – i razem w milczeniu patrzyliśmy na odchodzących.

Leopold zaczekał przy furtce, kiedy Peg ją otwierała, a potem poczłapał na drugą stronę. Tam się zatrzymał, odwrócił łeb i patrzył, jak kobieta zamyka bramkę i chowa ręce do kieszeni. Wszystko to było jak powolna choreografia, do której zdolne są tylko pary z bardzo długim stażem, tylko po wielu latach.

Wyszli z parku, a im dalej się znajdowali, tym trudniej było powiedzieć o nich cokolwiek oprócz tego, że są razem. Nawet z dużej odległości, kiedy zmienili się w dwa ciemne, oddalające się kształty, które sunęły obok siebie, wciąż się widziało, że to nadzwyczajna para.

– Pani Quincy zaraz zejdzie – powiedział portier, odkładając słuchawkę.

Schyliłem się do Sam. Jej baletki były ubrudzone, a spódniczka lekko zgnieciona, ale poza tym moja córka wyglądała w porządku.

– Jestem z ciebie dumny, skarbie – powiedziałem.

Otworzyły się drzwi windy i wyłoniła się z niej Cynthia w nieskazitelnie białej bluzce, dzinsach i zamszowych mokasynach Tod's. Olśniewająca burza blond włosów opadała jej na ramiona. Po uśmiechu poznawałem, że jest wściekła.

– Cześć, kochanie – odezwała się do małej. – Poczekaj na mamusię przy windzie.

Sam zamrugała powiekami, a potem posłusznie podreptała przez marmurowy hol.

Cynthia odwróciła się do mnie.

– Mówiłam: o szóstej!

– Wiem...

– Miała przesłuchanie do *Dziadka do orzechów*.

– Załatwiłem sprawę z Dorothy. Sam będzie w scenie przyjęcia.

Cynthia westchnęła, a potem ruszyła z powrotem przez korytarz.

– Tylko nie zapomnij o czwartku – rzuciła przez ramię.

– O czwartku?

Obróciła się.

– Halo, jedziemy z Bruce'em do Santa Barbara.

– Rzeczywiście. Sam będzie u mnie na weekend.

Cynthia rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie, które mówiło: „Nie schrzań tego”, a potem wzięła Sam za rękę i razem weszły do windy. Uniosłem dłoń i pomachałem. Sam uśmiechnęła się, gdy zamykały się drzwi.

Popołudnie, które opisała Peg Martin, wydawało się niemal zbyt idylliczne, żeby było prawdziwe. Ale miała wtedy zaledwie siedemnaście lat, z pewnością brakowało jej wiary w siebie i łatwo ulegała wpływom, więc możliwe, że potraktowała swoje wspomnienia z pewną swobodą twórczą, chociaż wcale nie zdawała sobie z tego sprawy. Zważywszy na przerażającą tematykę dzieł Cordovy, trudno uwierzyć, żeby mieszkał i pracował w tak błogim raju. Jak silny jest związek życia artysty z jego twórczością? Na ten temat powstają prace doktorskie. Kiedy jednak Peg opisała to, jak Ashley zaprowadziła ją nad jezioro, gdzie mieszkały... trolle – w tej scenie z całą pewnością było coś szczerego. Tak jak w opisie Cordovy jako chirurga, który pobiera organy, a aktorów zostawia na pastwę losu.

W każdym wymyślnym kłamstwie kryje się ziarno prawdy.

Otworzyłem drzwi do mieszkania. W salonie grała muzyka. Rzuciłem kurtkę na krzesło, a potem tam wszedłem. Zostałem Norę zwiniętą w skórzanym fotelu z Septimusem przycupniętym na jej kolanie. Hopper siedział zgarbiony na kanapie i czytał jakieś papiery. Przed nim na stoliku, obok pudełka po pizzy, paliły się trzy świece odwracania, które dostaliśmy od Cleo w Zakłęciach.

– Wróciłeś! – zawołała radośnie Nora.

– Niech zgadnę – odparłem. – Oboje zgubiliście komórki, a wichura zerwała wszystkie linie telefoniczne na Wschodnim Wybrzeżu.

– Przepraszamy. Ale mieliśmy dobry powód, żeby zniknąć. – Zerknęła znacząco na Hoppera, który uśmiechnął się, jakby dzielili ekscytującą tajemnicę.

Hopper podał mi papiery: piętnaście stron z około dwoma tysiącami nazwisk. Było wśród nich wiele nazw spółek oraz dziwacznych pseudonimów typu Marquis de Roche.

– To lista członków Oubliette – powiedziała podekscytowana Nora.

– Widzę. Skąd ją macie?

– Nie było łatwo – odparł Hopper z dumą, zakładając ręce za głowę. – Kiedy się zmyłeś, zrobiła się tam Strefa Gazy. Ale ja miałem strój kelnera, więc nikt nie zwracał na mnie uwagi. Rozmawiałem z jedną z dziewczyn, a przynajmniej wydaje mi się, że to była dziewczyna. Powiedziała mi, jak dostać się do piwnicy, gdzie mieszczą się biura. Jedno było puste, więc usiadłem do komputera i przeszukałem twarde dyski pod kątem członkostwa. Wskoczyło parę plików w Excelu. Zalogowałem się na swój e-mail, wysłałem je do samego siebie, wyczyściłem historię i wyszedłem. Tylko że pewnie zdążyli przejrzeć nagrania z monitoringu i zobaczyli, jak uratowałem ci tyłek, bo dwaj strażnicy zagonili mnie na dwór aż na sąsiednią posesję. Musiałem się włamać do domu, a potem zadzwoniłem do Nory, żeby po mnie przyjechała. Udało mi się jakoś opisać, gdzie jestem.

– To była autentyczna ucieczka – wtrąciła Nora. – Taka z piskiem opon. Czułam się jak Thelma i Louise.

– Myślałem, że jesteś Bernsteinem – odparłem.

– Podjechała ze zgaszonymi światłami – opowiadał dalej Hopper. – Wylazłem przez okno, przebiegłem przez ogród i spieszyliśmy byle prędej.

– Kiedy to było?

Nora niepewnie zerknęła na Hoppera.

– O czwartej?

– Czekałem w barze do dziewiętej. Coście robili przez pięć godzin?

– Wróciliśmy do Oubliette, bo sama chciałam zerknąć – palnęła. – Schowaliśmy się po sąsiedzku. Liczyliśmy, że może porozmawiamy z wychodzącymi gośćmi, spytamy, czy widzieli Ashley, ale do nikogo nie mogliśmy podejść. Wszyscy wydawali się wyczerpani. Służba odwoziła ich drogimi samochodami i limuzynami. Jeden facet na wózku wyglądał jak trup. Zresztą tak czy inaczej kręciło się tam za dużo ochroniarzy.

– Nie przyszło wam do głowy zadzwonić? Zostawiliście szefa, *El Jefe*, samego bez żadnej wiadomości?

Hopper wstał, przeciągnął się i ziewnął.

– Widzimy się jutro z samego rana.

– Z samego rana? – powtórzyłem.

Nora przytaknęła.

– Jutro w okolicy Henry Street osiemdziesiąt trzy rozwiesimy ogłoszenia, że szukamy Ashley. – Wręczyła mi ulotkę z zeskanowanym zdjęciem, które znalazła w Briarwood: CZY WIDZIELIŚCIE TĘ DZIEWCZYNĘ? POWAŻNA NAGRODA ZA PRAWDZIWE INFORMACJE. DZWOŃ NATYCHMIAST. – Odfiltrujemy fałszywe sygnały, pytając o kolor jej płaszcza.

Hopper wyszedł, a ja zostawiłem Norę, która gryzmoliła coś w notesie, i udałem się do gabinetu. Zdobycie przez Hoppera listy gości to była genialna robota detektywistyczna, znacznie lepsza niż wszystko, co sam ostatnio osiągnąłem – choć oczywiście nie zamierzałem tego przyznać. Następne kilka godzin spędziłem na porównywaniu spisu członków Oublette z listą aktorów Cordovy oraz ludzi z jego świata. łudziłem się, że może jakieś nazwisko pojawi się na obu – ale nic z tego. Płynął z tego jednak pewien wniosek: człowiek, którego Ashley szukała w Oublette – ten Pająk – prawdopodobnie nie miał związku z twórczością ojca. Czy to jej przyjaciel? Nieznajomy? Ktoś odpowiedzialny za jej śmierć?

Zgasiłem lampę, potarłem oczy i wyszedłem na korytarz.

W mieszkaniu panowała cisza. Zanim Nora poszła na górę, zdmuchnęła świece odwracania, ale o dziwo knoty wciąż się tliły, jakby nie zamierzały zgasnąć: trzy pomarańczowe punkciki w ciemności. Zniosłem świece do kuchni, włożyłem do zlewu i odkręciłem wodę. Upewniłem się, że już się nie palą, a potem poszedłem spać.

– Hopper obiecał, że będzie – powiedziała Nora, rozglądając się po pustej ulicy. – Rozwieszanie ogłoszeń to był jego pomysł.

Była dziewiąta rano, a my wróciliśmy na Henry Street 83 uzbrojeni w setkę ulotek. Postanowiliśmy się rozdzielić: ja wziąłem na siebie odcinek na zachód od mostu Manhattańskiego aż do East Broadway i Bowery, Norze zaś przypadło wszystko na wschód od mostu.

Okolicę zamieszkiwali głównie Chińczycy, więc nie podejrzewałem, byśmy osiągnęli coś ulotkami po angielsku. Rozwieszanie ogłoszeń, zupełnie jakby Ashley była zaginionym kotem, to nie mój styl, ale nic nie szkodziło spróbować. Skoro śledził nas Theo Cordova, szanse na dyskretne śledztwo prysły. Wobec tego może warto pójść w przeciwnym kierunku, bezczelnie zasypać okolicę fotografiami Ashley i sprawdzić, dokąd to nas zaprowadzi.

Przyklejałem ulotki do latarni i budek telefonicznych, do skrzynek na listy i stojaków z katalogami kursów korespondencyjnych. Jakaś Chinka na rowerze z pomarańczowymi reklamówkami na kierownicy zahamowała, żeby zobaczyć, co robię, rzuciła mi złe spojrzenie i pojechała dalej. Parę razy zdarzyło się, że pracownicy sklepów spożywczych, widząc mój plakat, nie pozwalali mi powiesić go w oknie, kręcili głowami i wyganiaли mnie na ulicę.

Kiedy zdarzyło się to po raz szósty, zacząłem się zastanawiać, czy boją się, że zaginiona biała kobieta przyniesie im pecha – czy może w fotografii Ashley widzieli coś, co im się nie podobało. W grę wchodził jeszcze bardziej niepokojący powód: może wyglądałem jak agent imigracyjny.

W salonie fryzjerskim Hao przy Madison Street spotkało mnie coś dokładnie odwrotnego. Nastoletnia recepcjonistka, kierowniczką, dwie stylistki i klientka (różowa peleryna, włosy w folii aluminiowej) obskoczyły mnie z uśmiechem, rozmawiając z ożywieniem po kantońsku. Bardzo starannie przykleiły moją ulotkę do szyby obok wyblakłego plakatu

reklamującego nitkowanie brwi, a kiedy wyszedłem, machały za mną jak za ukochanym krewnym, którego nie zobaczą przez następne czterdzieści lat.

A jednak im dłużej krążyłem po ulicach, mijając chińskie restauracje, sklepy z pamiątkami, męsko-damskie salony fryzjerskie, sklepy zoologiczne z pomarańczowo-białymi karpami koi w witrynach, tym bardziej nabierałem poczucia, że ktoś mnie obserwuje. Ilekroć jednak oglądałem się za siebie – raz nawet wszedłem do pralni samoobsługowej i wyjrzałem na ulicę – nie widziałem nic podejrzanego.

Zastanawiałem się, czy moje odczucia nie biorą się z tego, że Ashley patrzy na mnie z białych kartek tak żywo i natarczywie. Większość podobnych ulotek jest niepokojąca: zaginiona osoba uśmiecha się z fotografii zrobionej przy okazji urodzin albo innej miłej chwili, zupełnie nieświadoma swego losu. W twarzy Ashley, samotnej przy stole piknikowym w Briarwood, była natomiast powaga, a wręcz zrozumienie, jakby wiedziała, co ją czeka w ciągu kilku tygodni.

Kiedy jednak szedłem dalej, zrozumiałem, że to wcale nie złudzenie. Rzeczywiście byłem obserwowany – przez całą okolicę. Pomysł Hoppera, żeby rozwiesić tu plakaty, wcale nie okazał się taki naiwny, bo skoro ja tak bardzo się wyróżniałem, skoro przyciągałem tyle wrogich spojrzeń i tyle osób wolno przejeżdżało obok, bacznie mi się przypatrując – raz podniosłem wzrok w stronę kamienicy i zobaczyłem, że jakaś stara kobieta specjalnie odsunęła koronkowe firanki, żeby mnie obejrzeć – to zauważano również Ashley.

Wszyscy musieli ją widzieć: gapili się na nią i zastanawiali, co tu robi, kiedy krążyła po ich ulicach w tym swoim czerwonym płaszczu.

Teraz wystarczy jedna osoba, która będzie miała odwagę zadzwonić.

– Toommyyy! – ryknął z silnym nowojorskim akcentem gość przy ladzie, odwracając się w stronę kilkunastu tatuażystów pracujących za jego plecami. – Ci ludzie chcą cię o coś zapytać!

Rising Dragon było przestronnym studiem tatuażu na pierwszym piętrze kamienicy przy Zachodniej Czternastej Ulicy. Dominowały tu jaskrawe kolory. Panowała radosna atmosfera, daleka od agresywnego klimatu rodem z *Easy Ridera*, typowego dla wielu takich lokali w mieście, zatrudniających zbirów o kwadratowych szczękach, którzy wyglądają, jakby tylko tam sobie dorabiali, a na co dzień trudnili się zabójstwami na zlecenie.

Świeciło czyste, jasne światło, ściany dekorowała kalka techniczna oraz oprawione szablony tatuaży na całe ciało, czaszek, wojowników, wizerunków Buddy i maoryskich wzorów plemiennych, na półkach stało mnóstwo butelek z jodyną i kolorowymi barwnikami, a z głośników leciało na cały regulator *Heart-Shaped Box* Nirvany.

– Zapytaj, czy są z policji! – odpowiedział męski głos ponad pszczelim bzyczeniem maszynek do tatuażu.

Wszyscy tatuażysty wciąż pochylali się nad klientami. Nie miałem pojęcia, który z nich się odezwał.

– Jesteście z policji? – zapytał facet przy ladzie i aż się skrzywił na samą myśl.

Miał tlenione blond włosy i osłupiałą minę surfera z Malibu, przed którym wyrosła niespodziewanie wielka fala. Na jego bicepsach szczyrzyły kły wytatuowane wilki.

– Nie – odparłem.

Chłopak potrzebował chwili, żeby przetrwać tę informację, a potem znowu się odwrócił.

– Nie są z policji!

– Powiedz, żeby tu podeszli!

Kiwając głową w rytm muzyki, gość wskazał niszę w najdalszym kącie.

– Możecie iść pogadać z Tommym. Jest tu szefem.

Tommy okazał się sporym mężczyzną w średnim wieku, w czarnych lateksowych rękawiczkach. Był pochylony i pracował pilnie, ale z daleka można by pomyśleć, że przeprowadza sekcję zwłok kaszalota. Jego klient leżał twarzą w dół na czarnym stole do masażu, ważył co najmniej sto czterdzieści kilo, był łysy, nagi i bielszy niż bułka pszenna. Gdy ruszyłem w ich kierunku przez salon, a Nora tuż za mną, zobaczyłem, że tatuaż, nad którym pracował Tommy, to olbrzymie drzewo lotosu: poskręcany pień wyrastał facetowi ze szpary między pośladkami, biegł wzdłuż kręgosłupa i rozgałęział się na całych plecach, konary sięgały w stronę torsu, a kilka ptaków – jeszcze niepokolorowanych – przysiadło na przedramionach.

– Czym się wam mogę przysłużyć? – zapytał Tommy, nie podnosząc wzroku.

– Poznajesz ją? – spytałem, pokazując zdjęcie Ashley. – Była tutaj parę tygodni temu.

Nie zwracał na mnie uwagi, dopóki nie skończył kolorować różowego kwiatu lotosu.

Dorośli mężczyźni o dziecinnych imionach – Bobby, Johnny, Freddy. Musiała istnieć jakaś niepisana zasada, że są wredniejsi niż cała reszta. Miał szeroką, zakazaną gębę i włosy przyprószone siwizną. Spod dekoltu i rękawów obcisłej srebrnej koszulki z poliestru wystawały niezidentyfikowane tatuaże. Biła od niego swobodna pewność siebie, jakby przywykł do tego, że ludzie tak jak my teraz przebijają się przez cały zakład aż do jego stanowiska na tyłach – tutejszego odpowiednika biura prezesa na ostatnim piętrze wieżowca – żeby spytać o jego spojrzenie na różne sprawy.

Zmierzył nas tępym wzrokiem, zerknął na fotografię, a potem z powrotem pochylił się nad klientem.

– Jasne. Była parę tygodni temu.

– Jakiego koloru miała płaszcz? – zapytała Nora.

– Czerwony. Z czarnym wzorem na rękawach.

Nora rzuciła mi zaskoczone spojrzenie.

– Przyszła zrobić sobie tatuaż? – spytałem Tommy'ego.

– Nie. Pytała o swoją fotkę po.

– Fotkę po? Co to takiego?

Facet przerwał pracę, żeby na mnie spojrzeć.

– U nas jest tak, że najpierw zrobimy ci dziarę, a potem jebniemy fotkę. – Wskazał dłonią ścianę pokrytą zdjęciami uśmiechniętych ludzi demonstrujących swe gotowe tatuaże. – Miała na kostce odjechanego dwuczęściowca z kirinem – mówił dalej, wróciwszy do pracy. – Chciała wiedzieć, czy zachowaliśmy jej fotkę.

– Dwuczęściowca?

– Jedna dziara na dwie osoby. Oddzielnie wygląda nieszczególnie. Ale jak się delikwenci obejmą, wezmą za ręce, cali zakochani i w ogóle, to wtedy w coś się układa. „Jesteś moim dopełnieniem”, normalnie *Jerry Maguire*.

Oczywiście! Tatuaz Ashley przedstawiał tylko połowę zwierzęcia: głowę i przednie nogi.

– Mówisz, że jej tatuaz to kirin?

– Mityczna bestia. Popularna wśród fanatyków japońskich dziarek.

– Mówiła, kto ma drugą połówkę? – spytała Nora.

– Nie. Ale takie tatuaże robią sobie kochankowie, nowożeńcy, dzieciaki idące razem na bal maturalny, pary, które mają się rozpaść, jakby najpierw trzeba było swoje odkiblować. Ostatnio robiłem taki w zeszłym tygodniu. Para po siedemdziesiątce. Przyjechali z Fort Myers na pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Mam tu gdzieś ich fotkę.

Wyłączył maszynkę, okręcił się na obrotowym krześle i zaczął przeszukiwać zabałaganione biurko. Czarne rękawiczki nadawały jego ruchom lekkiego dramatyzmu, jakby był włamywaczem albo mimem. Znalazł zdjęcie, wręczył je Norze, a potem znowu włączył maszynkę, ale najpierw pochylił się, żeby zerknąć na twarz klienta pod łóżkiem do masażu.

– Jak ci tam, Mel?

– Spoko.

Mel wcale nie wyglądał spoko. Ślinił się na podłogę.

Nora podała mi fotografię. Zobaczyłem dwoje uśmiechniętych, przytulonych emerytów ubranych w takie same żółte koszulki polo i bermudy w kolorze khaki. Na wierzchu jej prawej i jego lewej stopy znajdował się tatuaż czerwonego uskrzydłonego serca. Kiedy zestawili stopy, układał się w całość.

Trochę ckliwe jak na mój gust, ale Nora była zachwycona.

– Mówię wszystkim klientom, którzy życzą sobie dwuczęściowca – opowiadał wesoło Tommy – że muszą być pewni na tysiąc procent. Nie macie pojęcia, ile panienek po miesiącu przylatuje z płaczem i chce przerobić dziarę, bo ten jedyny zwał z ich najlepszą przyjaciółką. Najpierw myślałem, że waszej koleżance chodzi o to samo. – Ruchem głowy wskazał zdjęcie Ashley. – Ale jej chodziło tylko o fotkę.

– Mówiła dlaczego? – spytałem.

– Nie.

– Dostała ją? – zainteresowała się Nora.

– Niestety. Tatuaż robiła sobie jakiś czas temu, w dwa tysiące czwartym, kiedy pracowałem jeszcze w poprzedniej miejscówce w hotelu Chelsea. W czasie przeprowadzki co nieco się zapodziało. Pozwoliłem jej pogrzebać w naszych papierach na zapleczu. Siedziała tam parę godzin. Ale nic nie znalazła.

– Mamy kwit, z którego wynika, że coś tu kupiła – powiedziałem, wyjmując rachunek z kieszeni kurtki.

Tommy nawet nie podniósł wzroku.

– Przyszedł do nas młody żołnierz na przepustce. Chciał sobie zrobić portret żony na sercu. Ona też służyła w wojsku i zginęła w Afganistanie. Gość był w rozsypce, ale to, o co prosił, to była konkretna robota. Nie miał tyle kasy. W końcu stanęło na tym, że zrobimy samo imię. Ale wasza koleżanka za wszystko zapłaciła. Nawet nie mrugnęła okiem.

Nora spojrzała na mnie zaskoczona.

– Czy zachowywała się dziwnie? – zapytałem.

– Poza tym, że mało mówiła? Raczej nie.

– Wyglądała niezdrowo?

– Trochę była blada.
– Wiesz, kto jej robił ten tatuaż w dwa tysiące czwartym?
– Jeden z moich dawnych pracowników, Larry. Poznałem po stylu.

– Gdzie możemy go znaleźć?

Tommy zarechotał.

– Gdzieś między niebem a piekłem. – Otarł chusteczką skończony kwiat, przyjrzał mu się, a potem wziął się do następnego. – Właśnie robił klientowi tatuaż jak gdyby nigdy nic, aż tu nagle padł mi na ziemię, krew strzeliła mu z nosa jak z fontanny przed Bellagio w Vegas. Zszedł w karetkę. Tętniak. – Skrzywił się i nachylił do klienta. – Na pewno wszystko w porządku, Mel? Wyglądasz jak trup.

– Przysłuchuję się – odparł Mel.

Tommy zmarszczył czoło, odchylił głowę i westchnął.

– No więc tak... Po tym jak przyszła tu wasza koleżanka, wracałem sobie wieczorem do domu i rozmyślałem o tym, co spotkało Larry’ego na parę tygodni przed śmiercią. To było gdzieś tak latem dwa tysiące czwartego. Żebyście skumali, co wam teraz powiem, musicie wiedzieć, że Larry to był kawał bydlaka. Większy od lodówki. Większy od rozkładanego fotela. Przysięgam na stos Biblii.

– Większy ode mnie? – odezwał się stłumionym głosem Mel.

– Od ciebie nie. Ale blisko. – Tommy wrócił do pracy. – W dechę artysta. Uczył się w Jokohamie u Horiyoshiego. Gość umiał dziergać jak mało kto. Robił zajebiste *tebori*, *horimono*, *irezumi*, co kto chce. Właśnie dlatego u mnie pracował. Bo to był dupek. Nie mówię wam nic, czego nie powiedziałbym mu w twarz. Koleś był z tego dumny. Nienawidził dzieci. Mówił o nich „larwy”. Miał cztery dziewczyny naraz. Żadna nie wiedziała o pozostałych. Całe jego życie tak wyglądało. Kupa kłamstw, uników, rozczarowań i olanych telefonów. No więc pewnego dnia wchodzę do zakładu, a tam cisza. Wszystkie światła zgaszone, a Larry siedzi sam w ciemności, jakby był chory albo co. Pytam, co mu jest, a on na to, że ma doła, że życie

jest do dupy. Mówi, że jest tchórzem. Oszustem. Że zrobił w życiu tyle błędów. Że zmieni priorytety. Chyba pierwszy raz użył czterosylabowego słowa. Więc się nad nim pochylam. Pytam, skąd u niego, do cholery, to nagłe otrzeźwienie. On mi na to, że właśnie zrobił japońskiego dwuczęściowca dwójce nastolatków. Wyszli z salonu dziesięć minut wcześniej. Byli zakochani, normalnie ładunek elektryczny. Jak błyskawica, co to wali ni z tego, ni z owego, chociaż wcale nie ma burzy, tylko nagle niebo pękło. Jak się patrzy na coś takiego, to człowiek od razu czuje, że rodzą się nowe możliwości. Larry zaczyna nawijać o życiu, miłości i nadziei. – Tommy spojrzał na nas z grymasem na twarzy. – Szekspir się znalazł. Nie słucham go. Jestem wkurzony, bo zrobił nielegalną dziarę dwójce dzieci. Mogą mi za to cofnąć licencję. A poza tym przecież to jest Larry. Za dwa dni znowu będzie dupkiem, nie ma gadania. No więc tydzień później przychodzę do salonu – Tommy pokręcił głową i podrapał się w brodę – a tam dzieciak. Nie wpuszczam dzieci do zakładu, a tu proszę bardzo, dziewczyna. I to jaka dziwna. Olbrzymia. Ręce i nogi takie długie, że aż się plątały, jak chodziła. Aparat na zębach. Poskręcane włosy sterczą jej aż dotąd. – Uniósł dłoń ze trzydzieści centymetrów od głowy. – Wszędzie piegi, jakby coś na niej wybuchło. Pytam, czyj to dzieciak. Larry’ego. Okazuje się, że to córka, której zwiął parę lat temu, kiedy dziergał w Kentucky. Mówi, że od teraz będzie prawdziwym ojcem. – Tommy pokręcił głową i wrócił do pracy nad tatuażem. – Prawdziwym ojcem. To było na parę dni, zanim się przekręcił. Kto wie, może tamte nastolatki naprawdę go zmieniły. Chcę w to wierzyć. Że to było już na zawsze. No bo czemu nie? Czasami ludzie potrafią cię cholernie zaskoczyć. Wyrwać ci serce i przerobić na budyń. Prawda? – Zadał to pytanie tak stanowczo, aż głos mu się załamał. Umilkł na chwilę, odchrząknął, a potem pochylił się nad klientem i zaczął tatuować ostatni różowy kwiat. – Tamtego wieczoru po wizycie waszej koleżanki wróciłem do domu i rozmyślałem o tym. Zastanawiałem się, czy to właśnie ona była jednym z dzieciaków, o których mówił Larry. Tych uciekinierów. Tak ich

nazwał. Bo gdzieś się razem wybierali. Dokąd? Nie mam pojęcia. Pewnie do Timbaktu. – Tommy przerwał pracę i spojrzał na nas z zaskakująco tkliwą miną. – To kim ona była? – zapytał.

Japoński kirin uważany jest za najpotężniejszą istotę, jaka kiedykolwiek istniała, silniejszą niż smoki, Minotaur, Feniks – a nawet człowiek. Choć kirin dysponuje ogromną siłą fizyczną, jego prawdziwa wyjątkowość leży w życzliwości, ponieważ wykorzystuje swą moc wyłącznie do obrony niewinnych. Kirin to strażnik i opiekun, orędownik wszystkiego, co dobre. Jest tak szlachetny, że nie poluje, ale żywi się wiatrem oraz deszczem, a kiedy stąpa, nie depta trawy pod nogami.



Jednakże w obliczu zła i nieuczciwości kirin sięje zniszczenie, które nie zna granic. Sprawia, że niebo staje w płomieniach, tworząc najczerniejszy z zachodów słońca, a sam wzbija się w powietrze z rykiem tak ogłuszającym, że ptaki chrypną, zamrażają oceany. Bywało, że ziemia trzęsła się przez rok.

Mają głowę smoka, ciało jelenia, łuski ryby, nogi konia i ogon byka. Zwykle miewają poroże albo pojedynczy róg. Kirina często przedstawia się całego w płomieniach.

Kirin w spoczynku jest cichy, pozwala się oglądać tylko ludziom o czystym sercu. Ci, którzy go widzieli, twierdzą, że jest istotą szybką jak błyskawica, ma łeb smoka i ciało konia, często pokryte świecącymi rybnymi łuskami. Wszystkie źródła mówią, że to niewiarygodny widok. Gdziekolwiek na Ziemi się pojawił, obserwatorzy zawsze się zarzekają, że zaraz potem rozstąpiły się chmury, ukazując złote niebo i słońce.

Oddałem wydruk Norze.

– Dlaczego Ashley wróciła do Rising Dragon po zdjęcie?
– zapytała.

Siedziała na kanapie. Septimus przechadzał się po oparciu, furkocząc skrzydłami.

– Może była na nim jakaś wskazówka – odparłem. – Coś, co pomogłoby jej znaleźć tego Pajaka.

– Może to Pajak ma drugą połówkę tatuażu.

Pochyliłem się nad laptopem, w którym sporządziłem kalendarium poczynań Ashley.

– Devold wyciągnął Ashley z Briarwood trzydziestego września. Czwartego października pojawiła się w Klavierhausie i grała na fortepianie Fazioli. Piątego była w Rising Dragon. Dwa dni później, siódmego, wróciła do Klavierhausu. Zdaniem kierownika Petera Schmida była rozczochrana i dziwnie się zachowywała. Dziesiątego wysłała paczkę do Hoppera, odwiedziła Four Seasons, a wieczorem, kilka godzin później, skoczyła albo została popchnięta i zginęła. W pewnym momencie w ciągu tych jedenastu dni wynajęła pokój przy Henry Street, pojawiła się w Oubliette i w Waldorf Towers.

No i jeszcze – nad Zbiornikiem w Central Parku.

– Zupełnie jakby po raz ostatni odwiedzała ważne miejsca – stwierdziła Nora – zamykała niedokończone sprawy, jeszcze raz się rozglądała, zanim... – Nie potrafiła dokończyć tej myśli.

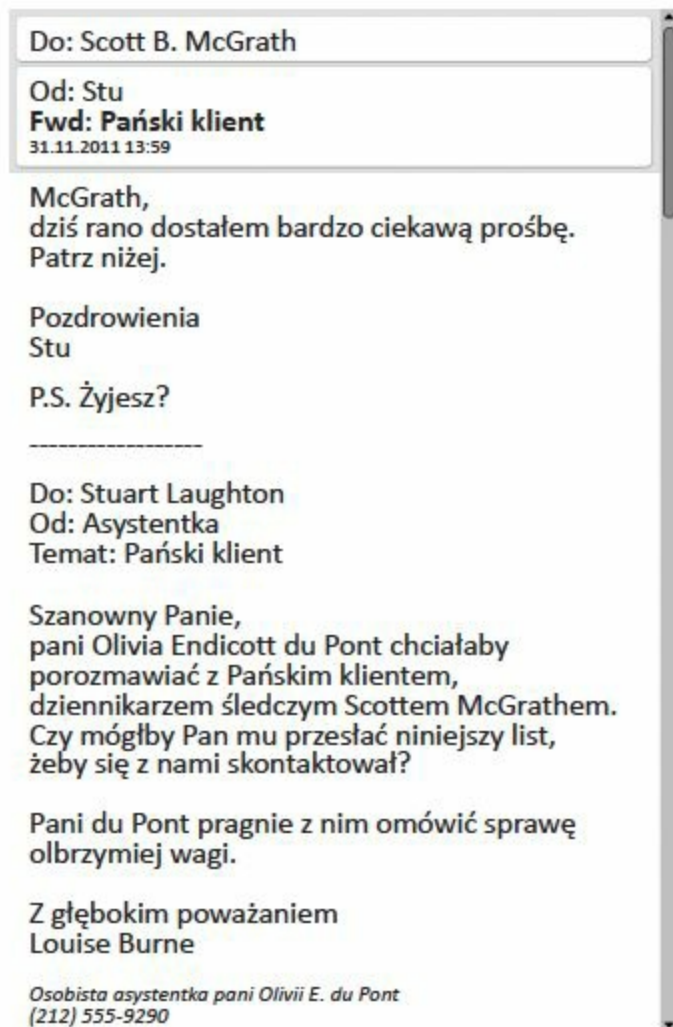
– Zanim się zabiła – powiedziałem. Nora niechętnie kiwnęła głową. – Albo zanim dopadł ją ktoś, przed kim się ukrywała albo kogo goniła.

– Ktoś taki jak Pajak.

Musiało istnieć jakieś ukryte wyjaśnienie, które nadałoby idealny sens poczynaniom Ashley. Wyjaśnienie inne niż chęć popełnienia samobójstwa. Co powiedziała Peg Martin o tej rodzinie? „Chłonęli życie. Niczym nie byli obarczeni. Nie mieli ograniczeń”. Ochota na śmierć w wieku dwudziestu czterech lat nie pasowała ani do tych słów, ani do wszystkiego, czego

dowiedzieliśmy się o Ashley. Gdyby Cordovowie nie bali się tego, co mogą odkryć, nie śledziłby mnie Theo Cordova.

Sięgnąłem po telefon, który właśnie poinformował o tym, że dostałem mejla.



Nie miałem żadnej wiadomości od Stu Laughtona, mojego prawnika, odkąd utknąłem na tamtym koktajlu przed wieloma tygodniami. To on przysłał mi SMS-a z wiadomością o śmierci Ashley i kazał do siebie zadzwonić.

Nie zrobiłem tego. Stu był brytyjskim arystokratą i niepoprawnym plotkarzem. Gdybym zdradził się choćby słowem, że planuję wznowić śledztwo w sprawie Cordovy,

dowiedzieliby się o tym wszyscy stąd aż po stację McMurdo na Antarktydzie.

Zatelefonowałem do jego biura.

Odebrała asystentka. Poprosiła, żebym zaczekał, a potem poinformowała, że „pan Laughton jest na spotkaniu”, co oznaczało, że Stu siedzi przy biurku, je kanapkę z sałatką jajeczną, gra w pasjansa na komputerze i oddzwoni, kiedy najdzie go ochota.

Ku mojemu zdziwieniu nastąpiło to po zaledwie dwóch minutach.

– Wygadałeś się – stwierdziłem.

– Nie powiedziałem ani słowa – przekonywał Stu po drugiej stronie.

– Musiałeś wymienić moje nazwisko w związku z Cordovą podczas któregoś z tych swoich służbowych lunchów. Nie da się tego inaczej wytłumaczyć.

– Może trudno ci to sobie wyobrazić, McGrath, ale mam też innych klientów i nie rozprawiam o tobie stale, każdego dnia i o każdej porze, chociaż muszę przyznać, że nie jest to łatwe, takiś cholernie absorbujący.

Każdy kontakt ze Stu wymagał pewnej zmiany sposobu myślenia. Jako wytworny i wykształcony Anglik dysponował tak bogatym słownictwem – i nawet najkrótszą wymianę zdań okraszał ironią, dowcipem oraz dowodami dogłębnej znajomości aktualnych wydarzeń – że czułem się, jakbym rozmawiał z Jeevesem, gdyby ten zatrudnił się w BBC.

– Więc jak to wytłumaczysz? – zapytałem.

– A bo ja wiem? Jeżeli jakimś zrządzeniem losu Olivia Endicott chce ci zapłacić, żebyś napisał za nią autobiografię, to łap tę fuchę. Jak powiedział kapitan Smith, „Chwytaj, co się da, i toruj sobie drogę do szalupy”. Wszyscy zaangażowani w powolne słowo drukowane prędko stają się traszką grzebieniastą kultury. Zaczęło się od poetów, potem przyszła kolej na dramaturgów i powieściopisarzy. Weterani prasy będą następni.

– To ma mnie zdenerwować?

– Bierz każdą robotę, jaka się napatoczy, mój chłopie. Teraz twoja konkurencja to ubrany w piżamę czternastolatek o nicku Ninja-prawdy-12, dla którego weryfikacja faktów polega na tym, żeby wejść na Twittera i przejrzeć konto opisywanej osoby. Bój się.

Zapewniłem Stu, że zadzwonię do pani Endicott, po czym się rozłączyłem.

– Właśnie trafiła się nam okazja, żeby namierzyć Marlowe Hughes – odezwałem się do Nory, odchylając się na krześle. – To nie może być zbieg okoliczności. Ktoś zaczął gadać. Ktoś, z kim

rozmawialiśmy albo kogo przekupiliśmy. – Nora miała oszołomioną minę. – Olivia Endicott du Pont chce ze mną pomówić.

Nora zmarszczyła czoło.

– Kto to jest Olivia Endicott du Pont?

– Były siostrami. Były aktorkami. I nienawidziły się nawzajem.

Właśnie tak Beckman zawsze zaczynał swoją ulubioną prawdziwą historię rodem z Hollywood: Opowieść o zwaśnionych siostrach Endicott. To ostatnie zdanie intonował z iście starotestamentową srogością. Praktycznie czuło się, jak niebo szarzeje, kłębią się chmury, a na horyzoncie pojawia się czarny tuman szarańczy.

Co najmniej pięć razy słyszałem, jak Beckman opowiada tę historię, zawsze w swoim mieszkaniu o trzeciej nad ranem po kolacji ze studentami, rozochocony wódką i nabożnym skupieniem młodzieży. Czarne włosy opadały mu na twarz, która lśniła od potu.

Zawsze byłem gotów wysłuchać tej historii z dwóch powodów. Po pierwsze, rzecz o skłóconych siostrach działała na wyobraźnię. Jak mawiał Beckman: „Przy Marlowe i Olivii Endicott Kain i Abel wyglądają jak bracia Farrelly”.

W przeciwieństwie do słynnych waśni między Bette Davis i Joan Crawford, Liz Taylor i Debbie Reynolds, Olivią de Havilland i Joan Fontaine czy Angie i Jennifer, zatargi między siostrami Endicott w ogóle nie trafiały do prasy – z wyjątkiem kilku plotkarskich artykułów w „Hollywood Star” Billa Dakoty, w których nie padały ich nazwiska – i ta śmiertelna cisza podkreślała tylko ich zaciekłość.

Po drugie, mimo dramatycznych ciągot Beckmana, jego skłonności do odgrywania wszystkich ról tak, jakby stał na scenie Teatru Niderlandera, w tym przypadku każdy szczegół pozostawał dokładnie taki sam, bez żadnych nowych elementów czy ulepszeń. Historia sióstr Endicott była jak bezcenna kolia z brylantami: ilekroć Beckman wydobywał ją na światło dzienne, każdy najmniejszy drobiazg lśnił dokładnie tak samo jak zawsze.

Sam ją zweryfikowałem, gdy przed pięcioma laty zająłem się Cordovą, a co za tym idzie, również Marlowe Hughes. Żoną Cordovy przez trzy miesiące i gwiazdą wstrząsającego *Owocu miłości*. Wszystkie wspomniane przez Beckmana nazwiska, daty

oraz miejsca idealnie odpowiadały informacjom udostępnionym do publicznej wiadomości. Dlatego nabrałem przekonania, że ta opowieść o zwaśnionych siostrach, choć wydawała się szalona, musi być prawdziwa.

Olivia Endicott, urodzona w kwietniu 1948 roku, była starszą siostrą Marlowe Hughes. Dzielilo je zaledwie dziesięć miesięcy.

Naturalnie Marlowe Hughes nie od początku nazywała się Marlowe Hughes. Przyszła na świat jako Jean-Louise „J.L.” Endicott 1 lutego 1949 roku w Tokio.

Większość ludzi rodzi się jako czerwone, pomarszczone trolle. J.L. wyglądała jak aniołek. Kiedy położne poklepały ją, żeby wzięła pierwszy oddech, zamiast piszczeć jak małopka westchnęła, uśmiechnęła się i zasnęła. Od momentu, gdy przywieziono ją do domu, Olivie zaczęto traktować niczym mebel.

– Olivia wcale nie była brzydka – mówił Beckman. – Wręcz przeciwnie. Miała ciemne włosy i uroczą buzię. Była ładna. Mimo to od chwili, gdy skończyła dziesięć miesięcy, w obecności siostry robiła za perkalową zasłonę.

Olivia i J.L. były wojskowymi dziećmi. Matka pracowała jako pielęgniarka, a ojciec jako lekarz w bazie lotniczej w Irumie. W 1950 roku przeprowadzili się z Japonii do Pasadeny w Kalifornii, ale już po kilku miesiącach ich ojciec, John, porzucił rodzinę, zostawiając po sobie ogromne długi. Matka musiała zarabiać sprzątaniami pokoi motelowych i zmywaniem naczyń. Wiele lat później Marlowe Hughes wynajęła detektywa, żeby odnalazł ojca. Dowiedziała się, że wyjechał do Argentyny z emerytowanym pułkownikiem, z którym nadal żył.

Od tamtej pory żadna z siostr nie odezwała się na jego temat ani słowem.

Rywalizacja zaczęła się już w szkole podstawowej. Olivia pocięła ubrania J.L. nożyczkami i nasiusiła jej na szczoteczkę do zębów. W rewanżu wystarczyło, że J.L. pojawiła się gdziekolwiek tam, gdzie była Olivia – w szkole baletowej, w chórze – żeby zmienić siostrę w „maleńką dziurkę w tapecie”, jak to ujął Beckman. Ponieważ J.L. umiała i śpiewać, i tańczyć. Podczas gdy

Olivia była nieśmiała, spięta i nerwowa, J.L. rzucała sprośnymi marynarskimi dowcipami i śmiała się głośno z odchyloną głową. Była blondwłosą Avą Gardner: zielone oczy, delikatny dołek w brodzie (jakby Bóg, chcąc złożyć autograf na tym właśnie dziele, z dumą odcisnął tam swój kciuk), twarz w kształcie serca. Reakcja była zawsze taka sama, czy chodziło o instruktorkę baletu, dyrektora chóru, czy też przyjaciół samej Olivii: zauroczenie.

Potajemnie Olivia przekręcała inicjały siostry. Mówiła o niej „Jail” – więzienie.

Chcąc rozładować napięcie, matka posłała je do różnych szkół, ale każdy chłopak, którego Olivia sprowadziła do domu, natychmiast zakochał się w J.L. Czy ona robiła to umyślnie? Czy winna była jej uroda?

Zdaniem Beckmana nie można było na to nic poradzić.

– Gdybyście dostali za darmo aston martina, to na pewno wzięlibyście go na szaloną przejażdżkę, żeby sprawdzić, jak bardzo można go rozpędzić. Oczywiście jako nastolatka Marlowe przesadzała. Kiedy siostra coś jej zrobiła, na przykład podwędziła pracę domową z matematyki albo dołożyła majonezu do kremu, J.L. na oczach chłopaka Olivii wyciągała się na kanapie przed telewizorem w szortach i bluzce bez pleców. Gdy Olivia proponowała, że przejdą do innego pokoju, zamroczony biedaczyna w ogóle jej nie słyszał.

Olivia postanowiła trzymać znajomych z dala od domu, ale jeśli próbowała ukryć siostrę, to równie dobrze mogłaby chcieć wstrzymać słońce za horyzontem.

– Co zatem mogła zrobić Olivia, zwykła śmiertelniczka powiązana genetycznie z boginią?

Uciekła z domu.

W 1964 roku, jako szesnastolatka, wyjechała do West Hollywood z dwiema przyjaciółkami ze Szkoły Baletowej Panny Diny. Już po trzech miesiącach miała agenta i dostała małą rolę w filmie *Beach Blanket Bingo* z 1965 roku. Była pilna, pracowita i ćwiczyła więcej niż ktokolwiek inny. Wreszcie znalazła swój

głos i swoje powołanie jako aktorka telewizyjna, między innymi w *Run for Your Life* i *Death Valley Days*.

– Po raz pierwszy w życiu czuła, że żyje – mówił Beckman.

W owym czasie J.L. nawet nie myślała o aktorstwie.

Odkryła seks, a dziewictwo straciła z nauczycielem przedmiotów ścisłych. Kiedy jednak Olivia stała się bohaterką krótkiego artykułu w „Variety” pod tytułem *Wschodząca gwiazdy*, J.L. dla zabawy urwała się ze szkoły i poszła na otwarty casting do serialu telewizyjnego *Combat!* Kierownik obsady był urzeczony, ale wiedział, że potrzebne jej lepsze nazwisko niż kanciaste i trudne do wymówienia J.L. Endicott.

Właśnie czytał *Wielki sen* Raymonda Chandlera, powieść o słynnym detektywie Philipie Marlowe. Poza tym na blacie biurka leżał brukowiec „Confidential” (*Poufnie i bez cenzury*) otwarty na artykule o rzekomym uzależnieniu Howarda Hughesa od narkotyków.

Z tych dwóch elementów uszył nazwisko godne królowej kina: Marlowe Hughes.

Wielka chwila Marlowe nastąpiła w 1966 roku, kiedy zagrała Kobietę w *Appaloosie* z Marlonem Brando (i miała z nim krótki romans), podczas gdy Olivia marnowała się w kiepskich programach telewizyjnych, grając małe rólki w *Andy Griffith Show* i *Hawku*. W 1969 roku Marlowe była już gwiazdą, zdążyła wystąpić w czterech filmach, a jej nazwisko zdobiło plakaty na Sunset Boulevard. Olivia wyjechała do Nowego Jorku, żeby spróbować sił w teatrze. W 1978 roku na przyjęciu w domku Warrena Beatty’ego w hotelu Beverly Hills Marlowe poznała dziarskiego Michaela Knighta Winthropu du Ponta, wykształconego w Princeton futbolistę, bohatera wojennego i jednego z dziedziców fortuny du Pontów, pierwowzór postaci milionera Leo Farnswortha, którego Beatty zagrał w *Niebiosa mogą zaczekać*. Ze względu na idealny wygląd i staroświecki szarm wszyscy nazywali go „Knightly” – rycerski. Już po trzech miesiącach Marlowe i Knightly byli zaręczeni.

Podczas gdy życie Marlowe płonęło tak wielkim blaskiem, że trzeba było zakładać okulary przeciwsłoneczne, Olivia gasła w niebycie. Na Broadwayu znalazła pracę tylko raz, jako dublerka w sztuce *Ring Around the Bath tub*, która zesza z afisza w dniu premiery.

Siostry podobno nie rozmawiały ze sobą przez trzynaście lat. Wydawało się jednak, że odkąd jedna zamieszkała na Zachodnim Wybrzeżu, a druga na Wschodnim, nareszcie dzielił je wystarczający dystans.

A potem, 25 października 1979 roku, miał miejsce wypadek brzemienny w skutki.

Podczas przejażdżki konnej z przyjaciółmi w Montecito kosiarka do trawy spłoszyła wierzchowca Marlowe. Stał dęba, a potem uciekł, przeskoczył przez płot i wybiegł na szosę numer 101, wyrzucając ją z siodła. Cudownym zrzędzeniem losu obrażenia Marlowe ograniczyły się do kilku złamań lewej nogi, które były jednak na tyle poważne, że aktorka przez dwa miesiące musiała leżeć na wyciągu w szpitalu Cedars-Sinai.

Codziennie po południu odwiedzał ją Knightly, siadał przy łóżku i czytał jej książki. Kiedy dwa miesiące minęły, lekarze uznali, że pacjentka musi zostać w szpitalu jeszcze przez kilka tygodni. Knightly nadal przychodził – aż pewnego dnia się spóźnił, następnego spóźnił się jeszcze bardziej, a trzeciego nie pokazał się wcale. Po dziesięciodniowej nieobecności, podczas której Marlowe nie miała od niego żadnych wieści, w końcu się zjawiał.

Oznajmił, że zrywa zaręczyny. Przepraszał, płakał ze smutku i z poczucia winy. Wręczył Marlowe Hughes pierścionek z czarną perłą. Na platynowej obrączce wygrawerowano cztery słowa: *Leć wolno, piękne dziecko*.

Marlowe była zdruzgotana. Pielęgniarki twierdziły, że próbowała rzucić się z okna. Cztery tygodnie później, po dwóch dniach od wypisania ze szpitala, w „New York Timesie” ukazała się szokująca informacja: *Dziedzic du Pontów „Knightly” żeni się z aktorką Olivią Endicott*.

Prywatna ceremonia odbyła się na terenie posiadłości rodzinnej w dolinie rzeki Hudson.

Nikt, nawet Beckman, nie ma pojęcia, jak Olivia to zrobiła – gdzie poznała Knightly’ego i jak zdołała przenieść jego uczucie do Marlowe, jednej z najpiękniejszych kobiet świata, na siebie, zwyczajną istotę. Niektórzy sugerowali, że w grę wchodziła hipnoza albo nawet pakt z diabłem, tłumacząc tym również wypadek konny.

A może to po prostu niefortunny zbieg okoliczności?

Marlowe nigdy nie wypowiedziała się publicznie na temat tego zajścia, aczkolwiek po wielu latach, zapytana w wywiadzie o siostrę, odparła: „Nie nasikałabym na Olivię, gdyby się paliła”.

Rzeczywiście „poleciała wolno” – a przynajmniej próbowała. Wyszła za mąż trzykrotnie: w 1981 roku za scenografa, a w 1985 za Cordovę – ich związek trwał zaledwie trzy miesiące, ale reżyser zdążył wydobyć z niej oszałamiającą kreację w *Owocu miłości*. W 1994 roku Marlowe wzięła ślub z weterynarzem. Rozwiedli się już po czterech latach. Nie miała dzieci. Dotarła do tego samego schyłkowego punktu swej narracji, co wiele innych bogiń kina: stała się śmiertelniczką. Posuwała się w latach. Przestała dostawać role. Nadszedł czas na chirurgię plastyczną, szepetano o uzależnieniu od środków przeciwbólowych, a po upokarzającym występie w *Supermanie IV*, gdzie jej makijaż wyglądał jak narysowany kredkami świecowymi, gwałtownie zniknęła ze sceny.

Olivia nadal była żoną Knightly’ego. Mieli trzech synów. Od dwudziestu siedmiu lat zasiadała w zarządzie Metropolitan Museum of Art, co w kręgach towarzyskich było najbardziej poważanym stanowiskiem w mieście.

– Marlowe zdobyła sławę, a Olivia księcia – zwykł deklamować Beckman niskim głosem. W oczach miał blask ognia z kominka. – Ale kto wygrał życie? – Zgodnie przyznawano, że Olivia. – Możliwe – odpowiadał. – Ale któż wie, czy zazdrość nie zżarła jej od środka, tak jak kwas wyżera stare rurociągi?

Był jeszcze jeden szczegół. Dotyczył Cordovy.

W latach osiemdziesiątych nawet po ślubie z Knightlym Olivia Endicott raz po raz występowała na Broadwayu, chociaż porzuciła karierę sceniczną, żeby oddać się roli matki, żony i filantropki.

Pozostawała jednak zagorzałą fanką Cordovy.

Według Beckmana pisała do niego list za listem, nękała go z szaleńczą wytrwałością. Błagała o rolę, o zaproszenie na casting, nawet o epizod bez kwestii mówionych. W najgorszym razie chciała go przynajmniej poznać. Wydawało się, że Cordova to dla niej brakujący fragment układanki – ostatnie, czego jej potrzeba, żeby ostatecznie pognać siostrę.

– Na każdy list Olivii Cordova odpowiadał tym samym zdaniem napisanym na maszynie – mówił Beckman.

W tym momencie zawsze wstawał, przytrzymując się perskiej kanapy. Potem człapał w stronę ciemnego, zatechłego kąta salonu, gwałtownym szarpnięciem otwierał szufladę biurka wypełnioną po brzegi papierami, rachunkami i egzemplarzami miesięcznika teatralnego „Playbill”, a następnie grzebał w środku. Po minucie, kiedy chwiejnym krokiem wracał do zgromadzonych, w dłoni trzymał nienagannie czystą kremową kopertę.

Powoli wręczał ją najbliższemu studentowi, który otwierał ją nerwowo, wyjmował list, czytał go po cichu, mrugał oszołomiony, a następnie podawał sąsiadowi.

Beckman twierdził, że przypadkiem trafił na ten list na pewnej aukcji.

11 listopada 1988

Moja droga du Pont,

nawet gdyby zginęli wszyscy ludzie na Ziemi poza Panią, to i tak nie wystąpiłaby Pani w moim filmie.

Cordova

64 | Opowiadając tę historię Norze, nie robiłem tego bynajmniej tak teatralnie jak Beckman.

– *Leć wolno, piękne dziecko?* – powtórzyła. – To najsmutniejsze pożegnanie świata. Myślisz, że to wszystko prawda?

– Tak.

– Dzwonź do Olivii. Natychmiast.

Wykręciłem numer.

– Oczywiście, proszę pana – odparła sekretarka w słuchawce. – Czy jest pan dostępny jutro? Pojutrze pani du Pont wylatuje do Sankt Moritz. Miała nadzieję, że wybaczy jej pan ten pośpiech i zmieści ją w swoim napiętym grafiku, ponieważ wraca dopiero za cztery miesiące.

Zgodziłem się odwiedzić Olivię w jej mieszkaniu nazajutrz w południe. Park Avenue 740 – trudno o adres bliższy miana amerykańskiego Buckingham Palace. To tam mieszkała w dzieciństwie Jackie Kennedy, a także mnóstwo innych legendarnych dziedziczek i dziedziców. Stary, dziany Nowy Jork w czystej postaci: siwiejący na skroniach, skryty i nadęty jak cholera.

Gdy się rozłączyłem, spostrzegłem, że wibruje mi komórka.

Nie rozpoznałem numeru. Wyświetliło się *Golden Way Market, Inc.*

– Kto dzwoni? – zapytała Nora.

– Pewnie pierwsza osoba w związku z naszymi ulotkami o Ashley.

Golden Way okazało się chińskim sklepem spożywczym, w którym tak bardzo ignorowano język angielski, że kiedy stałem w jednej z wąskich alejek wśród ostrych zapachów ryb i sezamu, mógłbym przysiąc, że jestem w prowincji Chongqing w Chinach.

Były tam całe kurczaki powieszono za łapy, biliony makaronów, czarne herbaty i zabójczo wyglądające warzywa: czerwone papryczki chili, od których język zdębiałby na cały rok, oraz zielone jarzyny tak kolczaste, że rozdarłyby gardło podczas przełykania. Z zewnątrz sklep przypominał zbira z półświatka, który czai się na chodniku – obskurną czerwoną markizę zaciągnięto nisko nad brudne okna i stoiska z obtłuczonymi owocami.

Ruszyłem za Norą, która zniknęła w głębi. Znalazłem ją przed stolikiem zasypanym torebkami, które wziąłem za paczki chipsów ziemniaczanych, dopóki nie przeczytałem napisu: „Wiórki z suszonych kalmarów”.

Nora zdezorientowana wzruszyła ramionami.

– Właśnie rozmawiałam z jednym facetem, ale zniknął tam. – Wskazała stalowe drzwi obok kilku zbiorników, w których pływały szare ryby.

Wcześniej, kiedy odebrałem telefon, mężczyzna ledwo mówiący po angielsku oznajmił, że ma „informacje”, ale nie potrafił dokładnie wyjaśnić jakie. W końcu w słuchawce odezwała się jakaś kobieta i szczekliwym głosem podała adres: Market Street 11. To niedaleko East Broadway, tylko półtora kwartału od Henry Street 83, więc wcale niewykluczone, że Ashley tam kiedyś zajrzała.

W tym momencie zza drzwi wyłonił się Chińczyk w średnim wieku, a za nim chyba cała jego rodzina: żona, mniej więcej ośmioletnia córka oraz babcia, która pewnie pamiętała czasy Mao Tse-tunga.

Cholera, może to nawet był sam Mao. Tak samo jak on miała wysokie czoło, zmęczoną twarz i szare robociarskie spodnie,

a także klapki na bosych stopach przypominających dwie nadkruszone cegły z Wielkiego Muru.

Cała rodzina uśmiechnęła się do nas ochoczo. Potem ci młodszy poszukali stołka dla staruszki i pomogli jej usiąść. Żona mężczyzny podała jej zmiętą kartkę, w której rozpoznałem naszą ulotkę.

– Mamy informacje – oznajmiła dziewczynka perfekcyjną angielszczyzną.

– O dziewczynie z ulotki? – upewniłem się.

– Spotkaliście ją? – zapytała Nora.

– Tak – odparła mała. – Była tutaj.

– Co miała na sobie? – spytałem.

Rodzina naradziła się żywiołowo po kantońsku.

– Jaskrawy pomarańczowy płaszcz.

Chyba można to uznać.

– Co tu robiła?

– Rozmawiała z moją babcią. – Dziewczynka wskazała na Mao.

Staruszka wpatrywała się w ulotkę, jakby to był tekst przemowy, którą ma wygłosić w szkole.

– Po angielsku?

Mała zachichotała, jakbym powiedział dowcip.

– Babcia nie zna angielskiego.

– Rozmawiały po chińsku?

Dziewczynka skinęła głową. A więc Ashley znała chiński. To niespodziewana wiadomość.

– O czym mówiły? – zapytałem.

Na kolejne kilka minut zapanował taki harmider gorączkowej kantońszczyzny, że Nora i ja mogliśmy tylko patrzeć. W końcu cała rodzina umilkła, ponieważ wreszcie schrypniętym głosem odezwała się Mao, tak cicho, że ledwie ją było słychać.

– Pytała moją babcię, gdzie się urodziła – wyjaśniła dziewczynka. – Czy tęskni za domem. Kupiła gumę do żucia. A potem rozmawiała z taksówkarzem, który jada tutaj kolację. Obiecał, że zawiezie ją tam, dokąd chciała jechać. Moja babcia bardzo ją polubiła. Ale wasza znajoma była okropnie zmęczona.

– W jakim sensie? – spytałem.
Dziewczynka naradziła się z babcią Mao.

– Była senna.

– Znacie tego taksówkarza?

Mała przytaknęła.

– Przychodzi do nas na kolację.

– O której?

Nastąpiła kolejna debata, w której najczęściej zabierała głos matka.

– O dziewiątej.

– Dzisiaj też będzie? – zapytała Nora.

– Czasami przychodzi, a czasami nie.

Zerknąłem na zegarek. Była ósma.

– Równie dobrze możemy poczekać – powiedziałem do Nory.

– Zobaczymy, czy się pojawi.

Powtórzyłem te słowa dziewczynce, która przekazała je rodzinie. Podziękowałem wszystkim. Podeszli do nas z uśmiechem i podali nam ręce, a potem usunęli się na bok, żebyśmy mogli również uścisnąć dłoń Mao.

Podziękowałem ojcu, wyjąłem portfel i próbowałem dać mu sto dolarów, ale nie chciał ich przyjąć. Pertraktacje trwały dobre dziesięć minut, zauważyłem jednak, że jego żona nie może oderwać wzroku od tych pieniędzy. Musiałem zmusić faceta, żeby je wziął, bo jeśli nie, to sądząc po jej minie, nie przeżyłby nocy.

W końcu uległ, a ja odwróciłem się do babci Mao, ponieważ chciałem zadać jej jeszcze kilka pytań. Staruszka jednak po cichu wstała ze stołka i zniknęła za drzwiami na zaplecze.

– Kurwa, człowieku – powiedział taksówkarz – o mało się przez ciebie nie zesrałem ze strachu. Myślałem, że chcesz mnie deportować. – Zarechotał, pokazując oślepiająco białe zęby oraz kilka złotych koronek. Oglądając fotografię Ashley, drapał się w głowę przykrytą czerwono-żółtą rastamańską czapką. – Jasne. Wziąłem ją stąd.

– Kiedy? – zapytałem.

– Parę tygodni temu.

– W jakim kolorze miała płaszcz? – wtrąciła Nora.

Zastanowił się, poskrobał siwy zarost na policzku.

– Zielonkawobrózowy? Ale jestem daltonista.

Mówił, że nazywa się Zeb. Miał sześćdziesiąt sześć lat. Był czarnoskóry – sądząc po lekkim akcencie, pochodził chyba z Jamajki – i szczupły, ale zaniedbany i zgarbiony niczym palma po lekkim huraganie.

Przez ostatnią godzinę oczekiwania Nora i ja zdołaliśmy zgromadzić trochę podstawowych informacji. Taksówkarz przychodził do Golden Way na kolację pięć razy w tygodniu. Jadł na dworze, oparty o maskę samochodu, i nastawiał głośno muzykę, która huczała przez opuszczone szyby. Potem odjeżdżał. Z pewnością wracał na całonocną zmianę, która kończyła się o siódmej rano.

– Jak tu przyjechałem – mówił dalej Zeb, drapiąc się w głowę – to gadała w sklepie z tą starszą panią. Kupiłem jedzenie. Wyszła tutaj za mną.

– I zawiozłeś ją dokądś?

– Aha.

– Pamiętasz dokąd?

Zastanowił się.

– Do jakiegoś wielkiego domu na Upper East Side.

– Mógłbyś nas tam zabrać?

– O nie. – Uniósł rękę. – Jak człowiek jeździ taksą, to mieszają mu się wszystkie kursy.

– Zapłacimy – wypaliła Nora.

Od razu się ożywił.

– Według wskazań licznika? – zapytał. Nora kiwnęła głową. – Dobra. Jasne. Da się zrobić.

Uśmiechając się od ucha do ucha, jakby nie wierzył własnemu szczęściu, z radością chwycił styropianowe pudełko i zaczął ładować do niego makaron, sajgonki oraz kurczaka w sezamie – o ile to w ogóle był kurczak; szare mięso przypominało mi *siopao*, czyli kocinę w bułeczkach na parze, którą kiedyś przypadkiem zjadłem w Hong Kongu. To zaskakujące, jak szybko pieniądze odświeżają ludziom pamięć.

Nora i ja wyszliśmy ze sklepu, żeby poczekać na zewnątrz.

– To będzie droga zabawa – mruknąłem. Mrużąc powieki, spojrzałem w głąb Market Street. W naszą stronę szedł samotny mężczyzna, szurając nogami. Natychmiast rozpoznałem szary płaszcz i papierosa. – Popatrz no, kto postanowił się zjawić.

Nora, naprawdę zdenerwowana, zmyła mu głowę za to, że rano wystawił nas do wiatru.

– Martwiliśmy się o ciebie. Chciałam dzwonić na policję.

– Miałem sprawy – odparł Hopper nieprzekonująco.

Wyglądał tak, jakby nie spał całą noc. Powoli uświadamiałem sobie, że klucza do jego zachowania należy szukać w słowach, którymi sam opisał Morgana Devolda: „Na pewno wróci. Musi. Aż go skręca, żeby o niej porozmawiać”.

Nora opowiedziała mu o choczko o najnowszych wydarzeniach. Nie minęło wiele czasu, a już mknęliśmy po Park Avenue ściśnięci we troje na tylnej kanapie taksówki. Kierownicę pokrywało niebieskie futerko, a z lusterka dyndało tyle złotych łańcuchów, że nie powstydzilby się ich Mr. T. Gdy pochyliłem się do przodu, żeby obejrzeć identyfikator Zeba – jego pełne nazwisko brzmiało Zebulaniah Akpunku – na fotelu pasażera zauważyłem wymiętą książkę o kobiecie, która odnalazła Boga.

– Zauważyłeś w tej dziewczynie coś nietypowego? – zapytałem Zeba przez szybę kuloodporną.

Wzruszył ramionami.

– Była biała. Białe dziewczyny wszystkie wyglądają podobnie.

– Ryknął wesołym śmiechem i umilkł dopiero wtedy, gdy wziął

do ust kęs jedzenia.

– Rozmawiała z tobą? Możesz nam coś o niej opowiedzieć?

– Nie ma mowy, stary. Jako taryfiarz mam jedną zasadę.

– Jaką?

– Nidy nie patrzeć w lusterko.

– Nigdy?!

Skręciliśmy na lewy pas, zajeżdżając drogę innej taksówce.

– Niezdrowo patrzeć, co się zostawia.

Dziesięć minut później kluczyliśmy tam i z powrotem wszystkimi ulicami od Wschodniej Sześćdziesiątej do Wschodniej Siedemdziesiątej między Madison a Lexington Avenue. Licznik wskazywał dwadzieścia dolarów. Trzydzieści. Czterdzieści.

– O, tak, to tutaj – mówił Zeb. Pochylał się nad kierownicą, rozglądał po kamieniach i w końcu docierał do kolejnej przecznicy. – Cholera. Pomyliłem się. – Wzdychał niby rozeźlony, a potem z radością sięgał po kolejny kawałek kurczaka w sezamie. – Luz, chłopie. To będzie ten następny kwartał.

Ale przy następnym kwartale powtarzało się to samo. I tak dalej.

Po kolejnym kwadransie licznik wskazywał 60,25 dolara. Nora obgryzała paznokcie. Hopper przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Osunął się na siedzeniu i patrzył przez okno.

Już miałem dać za wygraną, kiedy nagle, mknąc po Wschodniej Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy, Zeb gwałtownie wdepnął hamulec.

– O, to tu! – Wskazał budynek po naszej lewej stronie.

Masywna miejska rezydencja skąpana w ciemności przypominała bardziej ambasadę niż dom mieszkalny – zbudowana z jasnoszarego wapienia miała jakieś osiem metrów szerokości. Była zniszczona i zaniedbana, na schodkach zalegały suche liście, a przed podwójnymi drzwiami wejściowymi wały się ulotki z jedzeniem na telefon – to wyraźny znak, że nikt nie pojawił się tu od wielu tygodni.

– Już tędy jechaliśmy – powiedziałem.

– Mówię ci, to ten dom!

– No dobrze.

Otworzyłem drzwi, wysiedliśmy. Wręczyłem Zebowi osiemdziesiąt dolarów.

– Pokój z tobą, bracie.

Uradowany wetknął pieniądze do kieszeni koszuli, chyba obok gigantycznego niedopalonego jointa. Pogłodził Rolling Stonesów i choć na skrzyżowaniu paliło się żółte światło – które dla Zeba oznaczało: przeżegnać się i gaz do dechy – wypadł na Park Avenue, terkocząc poluzowanymi częściami i zacinającą się skrzynią biegów. Zaklekotał bagażnik, kiedy taksówka podskoczyła na wyboju, a potem skręciła na południe i zostawiła nas samych na cichej ulicy.

Żeby się lepiej przyjrzeć, przeszliśmy na drugą stronę jezdni. Panował tam mrok, była tylko latarnia oraz wysoki budynek mieszkalny. Wchodziło się do niego za rogiem, od strony Park Avenue, więc dało się stamtąd w spokoju obserwować rezydencję.

Minęła jedenasta, okolica była wyludniona. Może i Nowy Jork to miasto, które nigdy nie śpi, ale nadziani mieszkańcy Upper East Side przykrywają się sztytami na miarę kołdrami około dziesiątej.

– Chyba od lat nikt tu nie mieszka – stwierdziłem.

Zauważyłem, że Hopper w skupieniu wpatruje się w budynek. Miał nieprzeniknioną minę, wyczuwałem jednak jakąś głęboko zakorzenioną niechęć, jakby w tej kolosalnej wspaniałości dostrzegał coś, czego nienawidzi.

Dom rzeczywiście był bezwstydnie okazały, miał pięć kondygnacji i ogród na dachu – znad górnego gzymsu wystawały gałęzie drzew. W żadnym oknie nie paliło się światło, w niektórych wisiały grube zasłony, a wszystkie szyby pokrywała warstwa brudu. Za oknami na pierwszym piętrze ciągnął się wąski balkon przykryty dachem z oksydowanej miedzi i ozdobiony balustradą z czarnego żelaza. Jednakże pomimo całego przepychu, a może właśnie z jego powodu, rezydencja robiła wrażenie zimnej i samotnej.

– Zapukamy? – szepnęła Nora.

– Wy zostańcie tutaj – powiedziałem.

Ruszyłem przez ulicę i szybkim krokiem wszedłem po marmurowych schodkach. Na stopniach leżały liście, śmieci, serwetka z delikatesów, niedopałek. Nacisnąłem dzwonek. Nad głośnikiem domofonu zauważyłem czarną bańkę obiektywu kamery. Wewnątrz usłyszałem dzwonenie – przenikliwy brzęk rodem z dziewiętnastowiecznej Anglii – ale nikt nie odpowiedział.

Wyciągnąłem stos papierów ze szpary skrzynki na listy, jadłospis z Burger Haven i dwie reklamy całodobowego ślusarza. Były wyblakłe i sfałdowane od deszczu. Tkwiły tam od miesięcy.

– Pewnie dom należy do jakiegoś forsiastego Europejczyka – stwierdziłem, wróciwszy do Hoppera i Nory – który bywa tu dwa razy w roku.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – odparł Hopper.

Po raz ostatni zaciągnął się papierosem, rzucił go na chodnik, a potem postawił kołnierz płaszcz a przeszedł przez ulicę.

– Co on robi? – szepnęła Nora.

Stał tuż przed rezydencją, chwycił żelazną kratę w łukowatym oknie na parterze i zaczął się wspinać. Wystarczyło parę sekund, żeby znalazł się cztery metry nad ziemią. Na chwilę się zatrzymał, spojrzął w dół, po czym stanął na jednej ze starych latarni umieszczonych po bokach głównego wejścia, zrobił półtorametrowy krok i złapał się betonowego gzymsu balkonu na pierwszym piętrze.

Podciągnął się, a potem przez chwilę dyndał w powietrzu. Jego szary płaszcz falował jak peleryna. Przerzucił prawą nogę przez balustradę i spadł bokiem na taras. Natychmiast się podniósł, jeszcze raz ukradkowo zerknął w dół na chodnik i przemknął się wąskim balkonem w prawo, aż pod okno na samym końcu. Przykucnął, zajrzał przez szybę, osłaniając oczy dłonią, i wygrzebał coś z płaszcz a, chyba portfel. Podważył dolną część okna, zapewne kartą kredytową, przesunął ją do góry, po czym bez chwili wahania wślizgnął się do środka.

Nastąpiła chwila bezruchu. Hopper pojawił się znów jako sylwetka, zamknął za sobą okno i zniknął.

Byłem oszołomiony. Spodziewałem się, że zaraz usłyszę mrozący krew w żyłach krzyk pokojówki albo wycie syren. Wciąż jednak panowała cisza.

– O cholera – mruknęła Nora, przykładając dłoń do piersi. – Co robimy?

– Nic. Czekamy.

Jak się okazało, nie musieliśmy czekać długo.

Hopper był w środku od niecałych dziesięciu minut, kiedy ulicą nadjechała samotna taksówka, zwolniła i zatrzymała się wprost przed rezydencją.

– O nie – szepnęła Nora.

Otworzyły się tylne drzwi auta i wysiadła z niego tęga kobieta.

– Wyślij Hopperowi SMS-a – powiedziałem. – Niech stamtąd
spieprza.

Nora sięgnęła po telefon, ja tymczasem prześlizgnąłem się między zaparkowanymi samochodami. Kierowałem się w stronę kobiety, która właśnie wchodziła po frontowych schodkach i grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczy.

– Przepraszam bardzo! – Nie odwróciła się. Włożyła klucz do zamka i pchnęła jedno skrzydło drzwi. – Proszę pani, szukam najbliższej stacji metra.

Czmychnęła do środka i zapaliła światło. Mignęła mi biała sień, podłoga w czarno-białą kratkę oraz sama kobieta, kiedy się obróciła, a potem mocno zatrzasnęła drzwi.

Zgrzytnęła zasuwka, a potem zapiszczał siedmiocyfrowy kod alarmu.

Zdębiałem. Znałem ją.

Nagle włączyły się lampy nad wejściem i skąpały mnie w jasnym świetle. Chciała mi się dobrze przyjrzeć w oku kamery.

Wszedłem po schodkach i zadzwoniłem do drzwi.

Nie było reakcji.

Zadzwoniłem po raz drugi, a potem po raz trzeci. Bynajmniej nie liczyłem, że mi otworzy – chciałem zaalarmować Hoppera, dać mu znak, żeby się ewakuował. Prędko zbiegłem po schodach i ruszyłem w kierunku Park Avenue. Na rogu przeszedłem na stronę północną. Zostałem Norę tam, gdzie ją zostawiłem.

– On wciąż tam jest – szepnęła. – Wysłałam mu SMS-a, ale nie odpisał...

– Nie uwierzysz. To była Inez Gallo. Asystentka Cordovy od niepamiętnych czasów. Ten dom musi należeć do Cordovów.

To było oszałamiające – nie tylko to, że Hopper się tam włamał, ale że teraz był uwięziony w rezydencji reżysera.

Nora wstrząśnięta spojrzała w stronę budynku. Na pierwszym piętrze właśnie zapaliło się jasne światło. Zobaczyliśmy ciemną bibliotekę wyłożoną drewnem, pełną regałów z książkami.

– Teraz Hopper nie ma jak wyjść – szepnęła Nora. – Dzwonimy na policję?

– Jeszcze nie.

– Ale musimy coś zrobić. Ona może go zastrzelić...

– Dajmy mu trochę czasu, żeby mógł się rozejrzeć.

– Ile?

Odpowiedzią na to pytanie było odległe wycie syren. Stawało się coraz głośniejsze, aż w końcu nadciągnęły trzy radiowozy.

Z piskiem opon zahamowały przed rezydencją. Wyskoczyło z nich czterech policjantów, wbiegli po schodach, Gallo otworzyła im drzwi i zniknęli we wnętrzu. Dwaj inni zostali przed wejściem. Podejrzliwie spoglądali w głąb ulicy.

– Pora stąd wiać – powiedziałem.

– Ale musimy się upewnić, że nic mu nie jest...

– Bardziej mu pomożemy, wyciągając go z aresztu.

Nagle jednak rozległy się donośne głosy i z budynku wyszli policjanci, prowadząc Hoppera.

Był skuty kajdankami i skonfiskowano mu szary płaszcz, ale tak poza tym – ubrany w sprany niebieski T-shirt oraz jeansy – wydawał się raczej niezrażony sytuacją. Wyraźnie unikał patrzenia w naszą stronę, mógłbym jednak przysiąc, że kiedy pochylili mu głowę i bezpardonowo wepchnęli go na tylne siedzenie, na jego twarzy dostrzegłem lekki uśmieszek.

Po powrocie do domu zadzwoniłem do starego znajomego, adwokata Leonarda Blumensteina. Nigdy nie potrzebowałem jego usług – przynajmniej do tej pory – ale wiedziałem, że wiele osób wyciągnął z niezłych tarapatów. Ponoć mógłbyś do niego zadzwonić parę godzin po zabiciu własnej żony, a on głosem bardziej aksamitnym niż apaszka od Hermès a zapewniłby cię, że wszystko będzie dobrze. Potem udzieliliby ci wskazówek, jakby chodziło po prostu o zgubiony paszport.

Zostawiłem dla niego wiadomość: faceta, który pomaga mi w badaniach, poniosło i włamał się do prywatnej rezydencji – przy czym był nieuzbrojony i niczego nie ukradł – a teraz przebywa w areszcie.

Kobieta, która odebrała, zapewniła mnie, że Blumenstein oddzwoni.

Przeszliśmy z Norą do mojego gabinetu, żeby poszukać informacji o Inez Gallo.

– Co o niej wiemy? – zapytała. Zwinęła się na kanapie obok pudła z materiałami.

– Niewiele – odparłem. – Podobno od lat jest asystentką Cordovy.

Zacząłem grzebać w papierach. Wyciągnąłem fotografię ślubną Inez Gallo. To zdjęcie pojawiało się zawsze, kiedy pisano o niej w prasie. Wyglądała tak samo jak każda rozpromieniona panna młoda, co tylko dodawało sprawie tragizmu. Po latach porzuciła tego właśnie męża oraz dwójkę dzieci, żeby pracować z Cordovą.

– Znaleźliśmy jeszcze tę stronę na Blackboardsach – przypomniała Nora. – Na której ktoś twierdził, że ona i Cordova to ta sama osoba. Oboje mają wytatuowane malutkie koło na lewej dłoni. Jesteś pewien, że to była kobieta?

– Absolutnie.

Odszukaliśmy na YouTube ziarniste nagranie słynnej przemowy Gallo w imieniu Cordovy podczas gali oscarowej w 1980 roku.

Na początku wręczający nagrodę Goldie Hawn i Steven Spielberg ogłosili:

– Oscara otrzymuje... Stanislas Cordova za *Zgniatacz kciuków*.

Przez widownię przeszedł szmer, ponieważ było to duże zaskoczenie. Pewniakiem do nagrody za najlepszą reżyserię był Robert Benton, reżyser *Sprawy Kramerów*, tak bardzo przekonany o swoim zwycięstwie, że wstał i ruszył w stronę sceny. Zerwała się za nim żona, żeby go powstrzymać. Nastąpiła długa chwila konsternacji. Zmieszana publiczność szeptała, zerkając wkoło, zastanawiała się, czy to pomyłka, czy Cordova naprawdę przyszedł na ceremonię.

Potem kamery skupiły się na Inez Gallo, która prędko podążała wąskim przejściem między fotelami Dorothy Chandler Pavilion. Posadzono ją w jednym z tylnych rzędów, z dala od prawdziwych gwiazd, Jacka Lemmona, Bo Derek, Sally Field i Dudleya Moore'a.

Gallo, tęga, krzepka, ciemnowłosa, o mocnych rysach – niewątpliwie podobna do Cordovy z wczesnych fotografii – miała na sobie czarny T-shirt i wojskowe buty. Jak przyznawali później widzowie, w pierwszej chwili sądzili, że chciała zakłócić imprezę tak jak w 1974 roku Robert Opel, który przebiegł nago przez scenę, kiedy David Niven miał zapowiedzieć Elizabeth Taylor – albo kiedy w 1973 roku Marlon Brando wysłał Sacheen Littlefeather, żeby w jego imieniu nie przyjęła Oscara za rolę w *Ojcu chrzestnym* w geście protestu przeciwko złemu traktowaniu Indian. Inez Gallo niezdarnie przyjęła statuetkę od Spielberga, po czym powiedziała do mikrofonu umieszczonego o pół metra za wysoko dla niej:

– To jest wezwanie do wszystkich oglądających, żeby wyrwali się ze swoich zamkniętych pokoi, prawdziwych lub wymyślonych.

Następnie zbiegła ze sceny, a w telewizji nastąpiła przerwa na reklamy.

Obejrzeliśmy to wystąpienie kilka razy, a potem zalogowaliśmy się na Blackboardsy. Większość dyskusji na temat

Inez Gallo dotyczyło charakteru jej relacji z Cordovą: pisano, że to jego siostra, że on jest marionetką, a ona pociąga za sznurki, że to jego żeński sobowtór, ogarnięta obsesją opiekunka i prawa ręka, która zaspokaja każdą potrzebę i każde pragnienie Cordovy, jego dozorczyńni, która pozamiata po nim każdy bałagan.

Gdy przedzieraliśmy się przez kolejne plotki, Norze zaczęły się zamykać oczy, więc poszła do łóżka, ja natomiast zostałem w gabinecie i czytałem jeszcze przez kilka godzin.

Możliwe, że to po prostu efekt szoku po nagłym spotkaniu z Gallo, ale było coś niewytłumaczalnie dziwaczego w jej szerokiej, wyrazistej twarzy, surowych rysach, rozgoryczonym głósie.

Może klucz do tego wszystkiego tkwił właśnie w tym, co powiedziała Cleo w Zakłęciach: „Czarna magia jest przekazywana z pokolenia na pokolenie”.

Wypatrywałem na Blackboardsach jakiejś wzmianki na ten temat, szukałem haseł *czarownictwo* i *Inez Gallo* albo kolejnej wzmianki o tatuażu koła, który podobno oboje z Cordovą mieli na lewej dłoni, lecz oprócz wzmianki o tym, że Gallo pochodzi z Puebli w Meksyku, oraz informacji o jej legendarnym wręcz bezinteresownym oddaniu reżyserowi („Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłaby, żeby go chronić”, twierdził jeden z użytkowników) nie było nic więcej.

– Woodwardzie? – Uchyliłem powiekę. Na budziku była 4.21 rano. – Śpisz?

– Tak!

– Możemy pogadać?

– Jasne. – Nora otworzyła drzwi i przemknęła się przez mrok. Znowu miała na sobie tę widmową koszulę nocną. Na skraju mojego łóżka przysiadła blada plama. – O co chodzi? – zapytałem, podkładając sobie poduszki pod plecy.

Nic nie powiedziała. Wydawała się zdenerwowana. Miała to do siebie, że zwykle dużo gadała, a potem nagle milkła i nieruchomiała, przez co człowiek zaczynał wpatrywać się w jej twarz jak w surowe błękitne niebo nad pustynią, na którym szuka się jakiegoś śladu życia, choćby nawet odległego, jastrzębia, owada.

– Musisz mi podrzucić coś więcej – stwierdziłem po chwili. – Jestem facetem. Czyli analfabetą, jeśli chodzi o czytanie między wierszami.

– No więc... – Westchnęła, jakby to był koniec rozmowy, a nie dopiero początek.

To oznaczało, że jako kobieta pewnie przeprowadziła tę rozmowę w myślach już z dziesięć razy.

– Chodzi o Hoppera? – zapytałem. – Martwisz się, że spędza noc w areszcie? Bo jeśli tak, to nic mu nie będzie. – łóżko drgnęło. – Kiwnęłaś głową? Jest za ciemno, nic nie widzę.

– To nie ma z nim nic wspólnego. Mam wyrzuty sumienia przez coś, co powiedziałam.

– Co takiego?

– Że nie pójdę z tobą do łóżka.

– Nie musisz tego precyzować. Rozumie się samo przez się. Nie od ciebie pierwszej to usłyszałem.

Nie wiedziałem, do czego zmierza Bernstein, ale miałem złe przeczucie. Za wszelką cenę musiałem wygonić tę dziewczynę z pokoju i wysłać ją z powrotem do siebie, i to czym prędzej. Łączenie seksu z dziennikarstwem śledczym to równie genialny pomysł co wypuszczenie modelu Pinto przez Forda – to, co miało

być fajne, seksowne i praktyczne, okazywało się koszmarem i powodowało poważne obrażenia z każdej strony.

– Jesteś przystojny – powiedziała Nora. – W Terra Hermosa wszystkie panie umarłyby na twój widok.

– Chyba i tak miały to w zwyczaju, prawda?

– Nie chciałam przekroczyć granic zawodowych.

– I słusznie. Nie masz pojęcia, z iloma kobietami przekroczyłem najróżniejsze granice, a potem czułem się podle.

– Naprawdę?

– Jakbym właśnie usłyszał od lekarza, że zostało mi parę tygodni życia. – Nora zachichotała. – Pierwszy raz zacząłem, kiedy miałem piętnaście lat. Z Lorną Doonberry. To się dopiero nazywa przekraczanie granic: ona grała w brydża z moją matką. Poniosło mnie. Wpadła na zasłonę prysznicową. Kojarzysz te małe mydelniczki w wannach?

– Jasne.

– Uderzyła w nią twarzą. Straciła dwa zęby. Wszędzie krew. Lorna zmieniła się ze wzorowo atrakcyjnej czterdziestokilkuletniej rozwódki w postać z *Nocy żywych trupów*.

– Mój pierwszy raz był z Timem Baileyem.

Czekałem na dalsze informacje. Bez skutku.

– Nie mów, że to pensjonariusz z Terra Hermosa.

– O nie! Pracował w Premier Pool Services. Co piątek czyścił basen.

– Ile miał lat?

– Dwadzieścia dziewięć.

– A ty?

– Szesnaście. Ale dojrzałe szesnaście. Miał żonę i dwójkę dzieci. Paskudnie się z tym czułam. Kłamstwo to okropna rzecz. Pole, które ciągle obsiewasz, podlewasz i orzesz, ale nigdy nic na nim nie wyrośnie. – Objęła kolana i poruszyła ramionami. – Parę razy próbowałam to przerwać, kiedy jednak wszyscy wybierali się na wino i sery, my z Timem chodziliśmy za kuchnię i tańczyliśmy do muzyki country, która dochodziła przez okno

kuchenne. Świetnie tańczył. Ale był smutny. Marzył o tym, żeby uciec i zacząć wszystko od nowa, udać, że całe jego życie w ogóle się nie wydarzyło.

– I uciekł?

– Nie wiem. Mogę ci coś powiedzieć?

– Oczywiście.

– Nie zrobisz z tego afery?

– Obiecuję.

– Kiedy przyjechałam do Nowego Jorku i wysiadłam na dworcu Port Authority, była trzecia nad ranem. Ktoś ukradł Septimusa. – Zamilkła na chwilę. Splotła dłonie między kolanami. – Pewien facet z autobusu. Wiedziałam który. Wsiadł w Daytona Beach, przez całą drogę siedział za mną i Septimusem. Śmierdział alkoholem i usiłował mnie zagadywać, ale założyłam słuchawki i udawałam, że śpię. Było z nim coś nie tak. Wiesz, umysłowo. Kiedy dojechalismy do Port Authority i wysiadalismy, straciłam czujność. Jednej takiej pani pomogłam usadzić dziecko w wózku. Potem wzięłam swoją torbę z luku. Gdy wróciłam na chodnik, Septimusa nie było. Klatka zniknęła. Dostałam szału. Powiedziałam kierowcy, a on kazał mi to zgłosić w biurze, ale ja myślałam tylko o tym, że umrę. Umrę bez Septimusa. Miałam pustkę w głowie. Reszta pasażerów już się zmyła. Wyszłam z peronów do tej części dworca, gdzie są sklepy. Było cicho. Nagle zorientowałam się, że za mną idzie ten sam mężczyzna. Szepnął, że ma moją papużkę. I że chce mi ją oddać. Wystarczy, że obciągnę mu w ubikacji. – Gapiłem się na Norę. To wyznanie było tak nagłe, że zabrakło mi tchu. Bardzo się pilnowałem, żeby nie zrobić nic, nawet nie drgnąć. – Powiedziałam, że mu nie wierzę, więc zaprowadził mnie za pizzerię Villa do damskiej toalety. Klatka stała na ziemi, ale była pusta. A potem zorientowałam się, że wsadził Septimusa do takiego srebrnego pojemnika w kabinie. Wiesz, na odpadki. Furkotał w środku, szalał. Bo on nienawidzi ciemności. Zawsze tak było. Mówi się, że aby uspokoić ptaka, trzeba przykryć klatkę prześcieradłem. Ale Septimus tego nie lubi. On musi widzieć. Facet powiedział, że wystarczy, że to

zrobię, a on go wypuści. Weszłam z nim do kabiny. Na tyłach toalety przebierała się jakaś pani, nic jednak nie powiedziała, gdy ją zawołałam. Rozpiął spodnie i odchylił się do tyłu, mocno zacisnął pięść na pokrywce tego srebrnego pojemnika. Więc to zrobiłam. Myślałam, czy go nie ugryźć i spróbować uwolnić Septimusa, ale to było niemożliwe. Kiedy przerwałam, uderzył mnie pięścią w twarz. W kółko mówił do mnie Nancy. Nancy. Nancy. Gdy było po wszystkim, uśmiechnął się, wyjął Septimusa i bardzo mocno ścisnął go w pięści, zupełnie jak pastę do zębów. Wrzeszczałam i wrzeszczałam, a kiedy nie mogłam tego dłużej znieść, roześmiał się i wyrzucił Septimusa z kabiny. Najpierw nie wiedziałam, gdzie się podział. Potem znalazłam go na podłodze pod kaloryferem. Zabrałam klatkę i torbę, a potem biegłam przed siebie najszybciej, jak mogłam. Cały dworzec był wyludniony, sklepy zamknięte i tylko garstka ludzi gapiła się przed siebie jak duchy. Wjechałam schodami ruchomymi na poziom ulicy. Podeszłam do postoju taksówek, wsiadłam do jednej z nich i kazałam się zawieźć w samo centrum wszystkiego. Madonna też tak zrobiła, kiedy po raz pierwszy przyjechała do Nowego Jorku. Poprosiła taksówkarza, żeby zawiózł ją do centrum wszystkiego. – Nora spojrzała na mnie tak, jakby zadała mi pytanie. – Nie wiedział, gdzie to jest. Powiedziałam, że na Times Square. Więc mnie tam zawiózł. Wszędzie ludzie i światła, jakby był środek dnia. I wtedy już wiedziałam, że wszystko będzie dobrze. Bo trafiłam dokładnie tam, gdzie powinnam być. Przez całe życie czułam się tak, jakbym czekała, aż znajdę się gdzieś indziej. A teraz po raz pierwszy tak nie było. – Nora odwróciła się do mnie. Ramionami obejmowała kolana. – Nigdy nikomu o tym nie powiedziałam.

– Cieszę się, że powiedziałaś mnie.

Potrzebowałam chwili, żeby tego wszystkiego wysłuchać. Opowieść Nory była jak toksyczny opar, który rozwiewa się dopiero po jakimś czasie. Czułem zarazem mdłości oraz przemożną potrzebę, żeby się upewnić, że nic jej nie jest, żeby

wymazać z jej głowy to wspomnienie. To nie sam czyn zawsze nas pokonuje, ale nasze jego rozumienie, ciągle, raz za razem.

– Nie chciałaś iść na policję?

Pokręciła głową.

– Nie chciałam marnować na to ani minuty. Moje życie miało się dopiero rozpocząć. Złe rzeczy, które nas spotykają, wcale nie muszą coś znaczyć. Zresztą on i tak odpowie przed Bogiem za to, co zrobił.

Powiedziała to z pełnym przekonaniem. U dziewczyny, która nie miała w życiu nic oprócz papużki, taka niezachwiana wiara w sprawiedliwy sąd nad złem tego świata – wiara, której ja nigdy nie potrafiłem odnaleźć, skoro tyle razy widziałem, jak nikczemność uchodzi na sucho – budziła we mnie podziw i minęło sporo czasu, zanim potrafiłem znowu się odezwać.

Za oknem przez Perry Street przejechał samochód. W nocnej ciszy ten dźwięk wydawał się senny i odprężający, zupełnie jakby to płynęła łódka.

– Jesteś wspaniałą i silną osobą – powiedziałem.

Nie chciałem ująć tego dokładnie w ten sposób – dobieranie właściwych słów, które zaleczyłyby stale obecną ranę w kobiecym sercu, nigdy nie było moją mocną stroną – ale sprawiłem, że Nora się uśmiechnęła. Przysunęła się do mnie, zaskrzypiał materac, pocałowała mnie w policzek, a potem zeskoczyła z łóżka – niewyraźna błękitnawa postać sunąca przez mrok.

– Jestem twoim fanem – dodałem. – Masz na to bezwarunkową dożywotnią gwarancję. Jestem jak walizka Victorinox.

Zaśmiała się sennie, a potem wymknęła się z pokoju.

– Dobranoc, Woodwardzie – szepnęła przez ramię. – Dzięki, że mnie wysłuchałeś.

Nie wiem, jak długo siedziałem, gapiąc się w mrok. Z upływem minut roztapiały się ostre cienie, a jedynymi hałasami były nocne dreszcze miasta za oknem. Po jakimś czasie, kiedy już zapadałem w sen, wciąż czułem jej obecność w pokoju,

jakby odwiedziła mnie jakaś dzika istota, sarna lub opalizujący ptak, albo może kirin.

– Spędził noc za kratkami w Tombs – poinformował mnie telefonicznie Blumenstein. – Wysłałem młodszego współnika, żeby go wyciągnął. Cofnęli mu zarzut włamania drugiego stopnia, ale jest oskarżony o bezprawne wtargnięcie na teren prywatny. Kaucja wyniesie około pięciu tysięcy.

– Dlaczego tak dużo? – spytałem, przytrzymując telefon ramieniem. Wyciągnąłem kurtkę z szafy i wsunąłem ją na siebie.

– Był już trzy razy karany. Napaść na funkcjonariusza policji w Buford w Georgii. Drobną kradzież w Fitz Creek na Alasce.

– Na Alasce?!

– I jeszcze dwa lata temu: posiadanie substancji zastrzeżonych z zamiarem sprzedaży. To było w Los Angeles.

– Jakich substancji?

– Marihuany i MDMA. Odsiedział dwa miesiące i odbył sto godzin prac społecznych.

Kazałem Blumensteinowi zapłacić kaucję, a potem się rozłączyłem i powtórzyłem Norze treść rozmowy. Właśnie wyruszaliśmy na spotkanie z Olivią Endicott. Rano zrobiłem Norze omlet, ale gdy tylko go zobaczyła, poczerwieniała i oznajmiła, że nie jest głodna. Z początku myślałem, że to reakcja rodem z czarnej skrzynki kobiecych zachowań, które wymykają się wszelkiej logice, ale potem zrozumiałem – przeklinając własną głupotę – że chodzi o to, co powiedziała mi zeszłej nocy. Nie chciała, żebym traktował ją jak dziecko albo jakąś kruchą istotę, nadtłuczoną istotę. Wobec tego gwałtownie wyrzuciłem omlet, a potem powiedziałem, że czarne legginsy z cekinami od Moego Gulazara i bluzka à la kapitan Sparrow nie nadają się na spotkanie z jedną z najelegantszych łabędzic Nowego Jorku. Kazałem jej się przebrać, a wtedy uśmiechnęła się z ulgą i pobiegła na piętro, żeby to zrobić. Już po kilku minutach gnaliśmy przez Perry Street.

Dzień był szary, niebo groziło deszczem. Ruszyliśmy do metra, bo i tak byliśmy już spóźnieni. Jedno wiedziałem

o nowojorskich bogaczach: uwielbiają kazać na sobie czekać,
nigdy odwrotnie.

– Pan McGrath. Witam.

W drzwiach mieszkania pod numerem 17D przywitała nas kobieta po pięćdziesiątce, ubrana w szary kostium. Jej twarz, przypominająca przygaszoną żarówkę, była twarzą osoby, która całe życie spędziła, usługując innym. Pytająco spojrzała na Norę.

– To moja asystentka. Mam nadzieję, że może mi towarzyszyć.

– Oczywiście.

Kobieta z uśmiechem wpuściła nas do przedpokoju. Pojawił się jakiś stary dziadek w wymiętej bordowej marynarce, zupełnie jakby wyrósł ze ściany. Wziął od nas okrycia i bez słowa popłynął z nimi kolejnym ciemnym korytarzem.

– Tędy proszę. – Kobieta poprowadziła nas w przeciwnym kierunku przez mroczną galerię.

Ściany barwy wina pokryte były obrazami, tak samo jak rusztowania w centrum pełne są reklam koncertów – tyle że tutaj wisiały płótna Matisse’a, Schielego, Clementego, a tu i ówdzie Magritte’a, każde z własną brązową lampką trochę jak na kasku górnika. Pomędzy tymi arcydziełami znajdowały się ciemne, otwarte drzwi, więc zwoleliśmy, żeby zajrzeć do środka. Każdy pokój przypominał grotę, zatęchłą i obrosniętą stalaktytami, pełną brokatowych zasłon, krzeseł w stylu Ludwika XIV, waz, lamp Tiffany’ego, popiersi z marmuru, hebanowych rzeźb oraz książek. Minęliśmy jadalnię gościnną o groszkowych ścianach. Kryształowy żyrandol był niczym zamrożona meduza zawieszona w powietrzu.

Kobieta zważym krokiem wprowadziła nas do dużego salonu. Okna zwrócone na północny zachód przemieniały miasto w błogą betonową martwą naturę z szarym niebem. Helikopter wisiał nad rzeką Hudson jak zbłąkana mucha.

Kobieta gestem zaprosiła nas, byśmy usiedli na kanapie obitej żółtym perkalem przy stoliku zastawionym miniaturkami: porcelanowych sznaucerów, pastuszków, miseczek do obmywania palców. Z chińskiej wazy buchały świeże żółte i czerwone tulipany. Pasowały do żółtych ścian oraz czerwonych

marynarek jeźdźców na wiszącym za nami olbrzymim obrazie olejnym przedstawiającym polowanie na lisa.

Nora prędko usiadła obok mnie i złożyła dłonie na kolanach. Wyglądała na zdenerwowaną.

– Póki państwo czekają, może napiją się państwo herbaty? Pani du Pont właśnie kończy rozmowę telefoniczną.

– Bardzo chętnie – odparłem. – Dziękujemy.

Kobieta wymknęła się z pokoju.

– Tak właśnie wygląda megabogactwo – szepnąłem do Nory. – Ci ludzie to odrębny, dziwaczny gatunek. Nie próbuj ich zrozumieć.

– Widziałeś tę lśniącą zbroję po drodze? Prawdziwa zbroja tak po prostu sobie stoi i czeka na rycerza.

– Dwa procent najbogatszych ludzi na świecie dysponuje ponad połową światowego bogactwa. Mnie się wydaje, że ono całe znajduje się w tym mieszkaniu.

Nora przygryzła wargę i wskazała niski stolik po mojej prawej ręce. Stała tam czarno-biała fotografia w starej srebrnej ramce. Przedstawiała Olivię z mężem Knightlym, wykonano ją zapewne przed dwudziestu laty. Stali objęci obok zabytkowego bentleya na tle gigantycznej wiejskiej rezydencji. Wyglądali na szczęśliwych, ale to oczywiście nie mówiło wiele. Do zdjęcia każdy się uśmiecha.

Nagle Nora usiadła prosto.

Do pomieszczenia weszła jakaś kobieta. Natychmiast wstałem, Nora zrobiła to samo, nerwowo poprawiając spódnicę.

To była Olivia.

Nie tyle szła, ile sunęła, a wokół jej stóp dreptały trzy pekińczyki. Pokój ewidentnie zaprojektowano z myślą o niej albo vice versa. Jej brązowe, naznaczone siwizną włosy przycięte na wysokości brody – bujnie okalające twarz cukierkowym łukiem – pasowały do perskiego dywanu, rzeźbionych nóg stołu w formie lwich łap, nawet do srebrnej papierośnicy, na której wieczku wygrawerowano eleganckie inicjały OPE – piękne litery przypominały splecione włosy zatykające odpływ prysznic.

Nie wiem, czego się spodziewałem – chyba wielkiej damy lśniącej od biżuterii – ale Olivia okazała się zaskakująco lekka i zwiewna, pozbawiona ozdobników. Miała na sobie prostą ciemnoszarą sukienkę, a wokół szyi dwukrotnie owinęła sznur dorodnych pereł. Jej owalna twarz była atrakcyjna i delikatna, staranie umalowana. Długie drzazgi brwi tworzyły ramę dla jasnobrązowych oczu, a smukła szyja przypominała łądygę kwiatu, który dopiero co zaczął więdnąć. Ile razy Marlowe Hughes marzyła o tym, żeby ją skrócić?

Kiedy Olivia ruszyła ku nam z uśmiechem, spostrzegłem, że na temblaku z czarno-czerwonej apaszki w kwiaty trzyma bezwładne prawe ramię. Dłoń zwisała jak złamane skrzydło, zdawało się jednak, że Olivia nie poddaje się tej ułomności. Paznokcie zwiędłej ręki były idealnie pomalowane pomidorowoczerwonym lakierem.

Na palcu serdecznym zdrowej dłoni, którą właśnie wyciągnęła w naszym kierunku, znajdował się bladoniebieski brylant, co najmniej dwunastokaratowy. Patrzył, nie mrugając, niczym zahipnotyzowane oko.

– Olivia du Pont. Tak się cieszę, że zdołał pan przybyć, panie McGrath.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Po uściśnięciu jej dłoni wszyscy usiedliśmy, włącznie z trzema pekińczykami przypominającymi tłuste dziewczęta wciśnięte w futrzane kostiumy. Olivia spoczęła na białej kanapie naprzeciw nas i wyciągnęła ramię na białej narzucie przewieszanej na oparciu. Psy zaległy wokół niej, jak gdyby chciały utworzyć puszystą fortyfikację, a potem zaczęły się w nas wpatrywać, jakbyśmy przyszli po to, żeby je zabawiać.

– Najmocniej przepraszam, że kazałam państwu czekać. Przez tę przeprowadzkę jest tu istny dom wariatów.

– Wyprowadza się pani z miasta? – zapytałem.

– Tylko na zimę. Spędzamy ją w Szwajcarii. Z całą rodziną. Wnuki uwielbiają jeździć na nartach i chodzić po górach, ale ja

z Mikiem raczej tylko leniuchujemy. Właściwie siadamy przed kominkiem i nie ruszamy się stamtąd przez cztery miesiące.

Zaśmiała się dźwięcznie i elegancko. Miałem skojarzenie z kryształowym kieliszkiem uderzanym łyżeczką, kiedy ktoś ważny zamierza wznieść toast.

O rany, jakże daleko pada jabłko od jabłoni. Oszałamiające, że trafiwszy na małżeńską żyłę złota, kobieta potrafi znaleźć sobie nie tylko nową garderobę i nowych przyjaciół, ale również nowy głos rodem z gramofonu z lat trzydziestych (łamlivy, mono-stereo) oraz słownictwo obejmujące wyrażenia takie jak „iście”, „leniuchować” i „najmocniej przepraszam”. Musiałem sobie przypominać, że Olivia była wojskowym dzieckiem, które dorastało w takiej biedzie, że matka musiała pracować na trzeci etat przy czyszczeniu ubikacji w bardzo publicznym liceum, do którego chodziła jej córka. Teraz Olivia miała pewnie sześć posiadłości i jacht wielkości miejskiego kwartału.

– Mój wnuk Charlie jest pańskim wielkim fanem, panie McGrath.

– Proszę mi mówić Scott.

– Charlie chodzi do ósmej klasy w Trinity. Latem przeczytał pańską pierwszą książkę, *Naród MasterCard*. Był pod nie lada wrażeniem. Teraz czyta *Kokainowy karnawał* i sam chce zostać dziennikarzem śledczym. – Pomyślałem, że pewnie zaraz poprosi mnie o przeczytanie cudownego artykułu, który wnuczek umieścił na swoim blogu, albo może o to, żebym załatwił mu pracę, i okaże się, że właśnie po to mnie zaprosiła. – Wie pan, nigdy w pana nie wątpiłam – rzekła, unosząc brew. – Kiedy kilka lat temu wybuchła ta cała wrzawa na temat pana, Cordovy, pańskiego fikcyjnego szofera i oburzających zarzutów, które przedstawił pan w telewizji. Dokładnie wiedziałam, co się dzieje.

– Naprawdę? Bo dla mnie to tajemnica.

– Zrobił pan coś, żeby go sprowokować. – Uśmiechnęła się, widząc moją zaskoczoną minę. – Z pewnością zauważył pan, że przestrzeń wokół Cordovy ulega zaburzeniu. Kiedy się do niego zbliżamy, prędkość światła zwalnia, płaczą się informacje,

racjonalne umysły gubią logikę, wpadają w histerię. To wypaczenie czasoprzestrzeni, tak jak wtedy, gdy masa olbrzymiego słońca zakrzywia wszystko dokoła. Człowiek wyciąga rękę, żeby chwycić rzecz, która znajduje się tuż, i odkrywa, że wcale jej tam nie ma. Doświadczyłam tego osobiście.

Zamilkła zamyślona, kiedy do salonu weszły trzy służące z herbatą. Rozstawiły przed nami na stoliku szlachetną porcelanę oraz pięciopoziomową srebrną wieżę, na której piętrzyły się ciasta, ptifurki, miniaturowe babeczki i trójkątne sandwicze. Olivia zsunęła aksamitne pantofle na obcasach – od Stubbs & Wootton, jak zauważyłem, czyli najki dla milionerów – i podwinęła pod siebie nogi w czarnych pończochach. Widziałem, że kiedy służące nalewały herbatę, Nora mrugała oczami zszokowana tą wystawnością.

– Dziękuję, Charlotte. – Charlotte i pozostałe dziewczęta skromnie skinęły głowami, po czym czmychnęły do wyjścia. Ich buty bezdźwięcznie poruszały się po dywanie. – Z pewnością zastanawia się pan, po cóż pana zaprosiłam – rzekła Olivia, sącząc herbatę. – Wznowił pan swoje śledztwo w sprawie Cordovy, nieprawdaż?

Odstawiając filiżankę, spojrzała mi prosto w oczy. Jej oczy były jasne niczym u uczennicy.

– Skąd pani o tym wie?

– Od Allana Cunninghama.

Nazwisko nie było mi obce.

– To dyrektor szpitala Briarwood – ciągnęła Olivia. – Udzielałam się tam charytatywnie. Powiedział mi, że w zeszłym tygodniu złapał pana na dość bezwstydnym myszkowaniu po terenie zakładu. Podawał się pan za potencjalnego klienta.

No tak, Cunningham zaciągnął mnie do centrum ochrony i groził mi policją.

– I jak panu idzie to śledztwo? – spytała.

– Niełatwo nakłonić ludzi do rozmowy.

Odstawiła filiżankę na spodek i oparła się, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Ja z panem porozmawiam – oznajmiła.

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu rozbawiony jej bezpośredniością.

– O czym?

– O tym, co wiem. A wiem całkiem sporo, proszę mi wierzyć.

– Z powodu siostry?

Jej uśmiech zbladł. Nie spodziewałem się tego, sądziłem, że już dawno odreagowała konflikt z Marlowe, że zamknęła go w sejfie wspomnień z dzieciństwa i wyrzuciła klucz. A jednak wzmianka o siostrze wyraźnie ją rozdrażniła.

– Nie rozmawiałam z Marlowe od czterdziestu siedmiu lat. Nie wiem, co myślała o Stanislasie ani jakie miała z nim doświadczenia. Ja miałam własne. I nigdy nie chciałam o nich mówić. Aż do tej pory.

– Skąd ta zmiana zdania?

– Ashley.

Powiedziała to kategorycznie. Nora nachylała się w stronę stolika i nerwowo zerkała na ptifurki, jakby się bała, że uciekną, jeśli po nie sięgnie.

– Policja uważa, że to było samobójstwo – powiedziałem.

Olivia skinęła głową.

– Możliwe. Ale tu chodzi o coś więcej.

– Skąd pani wie?

– Raz ją spotkałam. – Zamilkła, żeby wypić łyk herbaty, a gdy odstawiła filiżankę, spojrzała na mnie świdrującym wzrokiem. – Czy wierzy pan w świat zjawisk nadprzyrodzonych, panie McGrath? W duchy i zjawiska paranormalne, niewytłumaczalne siły, których nie widzimy, a mimo to mają na nas wpływ?

– Nie, raczej nie za bardzo. Wierzę natomiast, że ludzki umysł potrafi sprawić, że takie rzeczy wydają się prawdziwe.

– Stanislas i jego trzecia żona Astrid mają posiadłość w górach Adirondack, niedaleko jeziora Lowa.

– Wiem. Szczyt.

Uniosła brew.

– Był pan tam?

– Próbowałem złożyć uszanowanie pięć lat temu. Odbiłem się od bramy.

Olivia uśmiechnęła się porozumiewawczo i poprawiła się na kanapie.

– Pojechałam tam na początku czerwca siedemdziesiątego siódmego roku. Byłam aktorką, której nie szło. Miałam dwadzieścia dziewięć lat. Cordova pracował nad kolejnym filmem, *Zgniataczem kciuków*. Jego asystentka, Inez Gallo, napisała do mojego agenta, że Cordova widział mnie w *Masakrze w dniu świętego Walentego* i był pod dużym wrażeniem mojej kreacji. – Uśmiechnęła się wyraźnie zawstydzona. – To był dość żaloszny epizod bez dialogów, cały czas stałam tyłem do kamery. Dlatego odebrałam to jako okrutny żart. Ale asystentka upierała się, że Cordova był zachwycony i że widzi mnie w bardzo nietypowej roli, którą napisał specjalnie z myślą o mnie. Mieszkałam wtedy w East Village. Pożyczyłam pieniądze od koleżanki, żeby wynająć packarda kombi, a potem pojechałam tam całkiem sama. Od ponad roku nie dostałam żadnego angażu. Byłam zdesperowana. Po drodze powiedziałam sobie, że zrobię wszystko, absolutnie wszystko, żeby otrzymać tę rolę.

Na moment zamilkła, machinalnie głaszcząc psa.

– Ostatni odcinek trasy był przepiękny. Kiedy opuści się las, za bramą podjazd przeradza się w leniwą drogę wśród dębów i pofalowanych wzgórz. Wkoło nie było żywej duszy. Panował upał. Chociaż świeciło słońce, denerwowałam się tak bardzo, że wkrótce ogarnęło mnie przerażenie, zupełnie jakbym zapuszczała się na cmentarz w samym środku nocy. Raz po raz słyszałam nad sobą skrzek stada ptaków, wron. Ale kiedy zwalniałam i patrzyłam w górę, nic nie widziałam ani na niebie, ani na drzewach. Nic.

Wypiła łyk herbaty.

– Kiedy dojechałam do domu, olbrzymiej, mrocznej rezydencji rodem z... sama nie wiem... opowiadania Poego,

zaparkowałam obok pozostałych samochodów. Było ich całkiem sporo, jakby wezwano też inne aktorki. Mimo to nie potrafiłam się zmusić, żeby wysiąść z auta. To było okropne uczucie. Ale chciałam dostać tę rolę. Potrzebowałam jej. Rozumie pan, występ w filmie Cordovy to było szczytowe osiągnięcie. Słyszałam, że potrafi odmienić nie tylko karierę, ale całe życie.

Uśmiechnęła się ironicznie po tej ostatniej uwadze.

– Wyszłam z samochodu i zapukałam do drzwi frontowych. Natychmiast otworzyła mi olśniewająca Włoszka dziwnie zamknięta w sobie. Nie odzywając się ani słowem, zaprowadziła mnie na lunch, który trwał już w loggii obrośniętej glicynią. Przy posiłku siedziało sporo ludzi, ale nikogo nie poznawałam. Pomyślałam, że to *groupies* Cordovy. Jego samego nie było. Przy czym właściwie nie miałam pojęcia, jak on wygląda. Spytałam kogoś o niego i zostałam poinformowana, że pracuje. Przysunięto mi krzesło, żebym usiadła przy stole. Wszyscy rozmawiali o jakimś przedmiocie, który ktoś niedawno kupił na prywatnej aukcji. Podawano go sobie z rąk do rąk. W końcu dotarł i do mnie. Nie wiedzieć czemu, właśnie wtedy wszyscy zupełnie zamilkli i zapytali mnie, co o nim sądzę. Był dziwny. Wyglądał trochę jak sztylet. Brązowa rękojeść była misternie rzeźbiona, wąskie ostrze miało kilkanaście centymetrów, a pośrodku dziwne kółko. Młody, jasnowłosy mężczyzna w stroju duchownego siedzący na samym końcu stołu, piękny niczym Adonis, zasugerował, żebym wbiła to sobie, żeby zobaczyć, co się stanie, i wszyscy parsknęli głośnym śmiechem. Nie śmiała się jedynie ta śliczna Włoszka, która otworzyła mi drzwi. Zrozumiałam, że to Genevra, żona Cordovy. Ona patrzyła na mnie tylko udręczonym wzrokiem niczym więzień zbyt przerażony, żeby się odezwać. Ogarnęły mnie tak silne emocje, taki niepokój, że przez chwilę myślałam, że się rozpłaczę, ale potem ktoś zabrał mi ten przedmiot i lunch dobiegł końca. Później sprawdziłam, co to było.

– Co? – zapytałam, gdy przez chwilę nic nie mówiła.

Spojrzała na mnie z posępną miną.

– Igła do nakłuwania. W szesnastym i siedemnastym wieku używano ich w Europie podczas procesów czarownic. Były wykonane z metali szlachetnych i kunsztownie grawerowane. „Nakłuwacz” dźgał nimi po całym ciele oskarżoną kobietę, zwykle rozebraną do naga. Kiedy wreszcie trafił na miejsce, które nie krwawiło i nie powodowało bólu, stwierdzał, że znalazł znamię wiedźmy. Oczywiście jeśli na nie trafił, to dlatego, że ofiara nie była już w stanie krzyczeć. Po trzystu dźgnięciach igłą traciła przytomność i powoli wykrwawiała się na śmierć. Te przedmioty, archaiczne narzędzia tortur, cieszą się dziś znacznym zainteresowaniem wśród niektórych kolekcjonerów.

Norę tak bardzo pochłonęła ta opowieść, że zapomniała o przeżuwananiu sporego kawałka ciasta. Okruch spadł jej z ust i szybko podniosła go z brzegu swetra. Głośno przełknęła.

– Wkrótce jednak zapomniałam o dziwnym lunchu – mówiła dalej Olivia – ponieważ ktoś, gosposia o męskich rysach, spoconej twarzy i lśniących czarnych oczach, oznajmiła, że Cordova jest gotów mnie przyjąć. Zaprowadzono mnie ciągiem korytarzy do dużego pomieszczenia pełnego szaf na akta. Stał tam również długi stół jadalniany. Na jego końcu siedział mężczyzna. Wyglądał jak król na tronie, otoczony stosami papierów i zdjęć plenerów, kostiumów, scenopisów. Był gruby, ale nie tak groteskowo jak w późniejszym wieku Welles czy Hitchcock albo nawet Brando. Coś sprawiało, że jego gabaryty wydawały się szlachetne. Miał pełną twarz, gęste czarne włosy, a na nosie okulary o szklach okrągłych i czarnych jak atrament. Był przystojny. W każdym razie tak mi się wydaje. Jego twarz to jedna z tych, które fascynują, ale już po chwili nie umiemy ich sobie przypomnieć, zupełnie jakby mózg nie potrafił zapamiętać fizjonomii tej osoby, tak jak nie jest w stanie zapamiętać nieskończonej liczby. Może to przez te jego okulary, brak oczu. Przez moment myślałam, że jest niewidomy, ale nie, bo wpatrywał się we mnie, nic nie mówiąc, po czym oznajmił, że mam na wardze pietruszkę. Rzeczywiście miałam, ku mojej rozpaczy. A potem zapytał, czy chcę zagrać w jego filmie.

Oczywiście ochoczo powiedziałam, że tak, och, tak. Że jestem jego wielką fanką od czasu *Postaci*. Uśmiechnął się. Zaczął serię dociekliwych pytań, stopniowo coraz bardziej osobistych i niepokojących. Zapytał, czy mam rodzinę, chłopaka, czy prowadzę aktywne życie seksualne, jak często chodzę do lekarza, kto jest moim najbliższym krewnym. Czy jestem zdrowa? Czy łatwo mnie przestraszyć? Bardzo go to interesowało. Chciał wiedzieć, czego się boję: wysokości, pajaków, utonięcia, morza? Jaki był największy ból fizyczny, jaki kiedykolwiek zniosłam? Jak wygląda mój najgorszy koszmar? Zaczęłam podejrzewać, że celem tych wszystkich pytań nie jest wcale poznanie mnie ani sprawdzenie, czy nadaję się do roli, ale zbadanie, czy jestem osobą samotną i kto zauważyłby moje zniknięcie albo jakąś przemianę. Dopytywałam się, na czym polega rola. Bardzo chciałam zobaczyć scenariusz. Reagował na to tylko milczeniem i zagadkowym uśmiechem. Wreszcie weszła jakaś kobieta i wyprowadziła mnie z pokoju. Miałam wrażenie, że przesłuchiwał mnie ponad godzinę. W rzeczywistości minął tylko kwadrans.

Olivia głęboko odetchnęła i dołała sobie herbaty zdrową dłonią. Kiedy sięgnęła po szczypcę do cukru i wrzuciła kostkę do filiżanki, z zaskoczeniem spostrzegłem, że drżą jej palce. Była zdenerwowana.

– Stało się jasne – mówiła dalej – że dalsza rozmowa o *Zgniataczu kciuków* odbędzie się po kolacji. Zgodziłam się. Służąca wskazała mi pokój. Dom był olbrzymi, a mój pokój okazał się apartamentem. Całą ścianę zajmowały okna z zasłonami zwiewnymi niczym długi welon panny młodej. Wychodziły na jezioro leżące w dole, u stóp wzgórza. Nigdy w życiu nie widziałam tak pięknego pomieszczenia. Położyłam się na łóżku, chciałam zmrużyć oczy tylko na momencik, ale zapadłam w głęboki sen. Chyba podróż wyczerpała mnie bardziej, niż sądziłam. Trzy godziny później obudziłam się bardzo gwałtownie w ciemności, łapczywie łykałam powietrze, w gardle czułam pieczenie, jakby mnie ktoś dusił. Miałam wrażenie, że

przygnieciono mi ręce i nadgarstki. Bolały. Ale w pokoju nie było nikogo, nie widziałam żadnych śladów więzów. A potem spostrzegłam z przerażeniem, że moja walizka jest pusta. Wszystkie moje ubrania starannie powieszono w szafie. Nawet bieliznę ułożono w równiutkie kupki w szufladzie komody. Sukienkę, którą zapewne miałam włożyć na kolację, zostawiono na zewnątrz wraz z kolczykami i srebrnym grzebieniem do wpięcia we włosy. Poza tym okna stały otworem, zasłony trzepotały na wszystkie strony. Kiedy zasypiałam, były zamknięte. Włoski na rękach stanęły mi dęba, jakby trafił mnie piorun. Miałam tylko jedną myśl. Musiałam uciekać. Kolacja zaczynała się o ósmej, przybywali kolejni goście. Nic mnie to nie obchodziło. Wrzuciłam ubrania do walizki, wyskoczyłam z pokoju, znalazłam jakoś tylne schody i wybiegłam w noc. Mój samochód stał dokładnie tam, gdzie go zostawiłam, więc odjechałam, nie zapalając reflektorów. Z początku byłam przekonana, że ktoś mnie śledzi. Na drodze, kilka zakrętów za mną, widziałam światła, ale zniknęły, zanim dotarłam do bramy. Była zamknięta, więc wysiadłam i sama ją otworzyłam, a potem w panice wyjechałam. Nie zatrzymywałam się przez sześć godzin. Ale to uczucie, jakiś ciężar, wrażenie, że się duszę, jakby całe moje ciało zgniatano imadłem, nie opuściło mnie przez cztery dni. Byłam bliska zgłoszenia się do szpitala.

Zamilkła, żeby wziąć dwie pomarańczowe ptifurki z piętrowej patery. Jedną zjadła sama, a drugą nakarmiła pekińczyka. Kiedy spojrzała na nas, uśmiechnęła się smętnie.

– Oczywiście z upływem czasu, gdy wspominałam ten incydent, czułam się upokorzona. Czas wysysa z naszych wspomnień ból i strach. Całe swoje tak zwane przerażenie składałam na karb młodości, nadpobudliwej wyobraźni. *Zniekształcenie*, ten jego film o zaraźliwym obłędzie nastolatków, zrobił na mnie duże wrażenie. Mówiłam sobie, że namieszał mi w głowie. Że pomyliłam sztukę z rzeczywistością. Wkrótce po tym wydarzeniu wysłałam do Cordovy trzy listy z przeprosinami, ale doczekałam się tylko grubiańskiej odpowiedzi.

– Jakiej?

– Coś w tym duchu, że nawet gdybym była ostatnią osobą na Ziemi, to i tak nie zaangażowałyby mnie do swojego filmu. Zaproszenie na Szczyt to był chyba casting, a ja go oblałam.

Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu. To, co powiedziała, idealnie zgadzało się z treścią listu Cordovy, który Beckman pokazywał studentom.

Olivia lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Wcale mi to nie przeszkadzało. Dwa lata później byłam już mężatką. Miałam rodzinę, prawdziwą miłość, prawdziwe życie. Zdążyłam porzucić marzenia o aktorstwie, o sławie. Zrozumiałam, że to nic innego niż tani cyrk, w którym człowiek zawsze żyje w klatce, w równej mierze oklaskiwany i wyszydzany. Potem, w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, ni stąd, ni zowąd otrzymałam zaproszenie. Od Cordovy. Zapraszał mnie na prywatną kolację u siebie w domu, tym razem w Nowym Jorku. To było parę lat po jego ostatnim filmie, *Oddychać z królami*, po tym jak zagrzebał się pod ziemią, stając się postacią jeszcze bardziej tajemniczą i przerażającą niż wcześniej. Wahałam się, czy przyjąć zaproszenie, ale bądź co bądź, Cordova to Cordova. Nadal byłam jego fanką. Zadawałam sobie sporo trudu, żeby zdobyć egzemplarze jego nielegalnych filmów. Dla mnie był raczej magikiem, hipnotyzerem w stylu Rasputina. A nie filmowcem. Po tylu latach wciąż czułam niedosyt. Ciągle, nawet jeśli tylko odrobinę, dręczyło mnie pewne pytanie na jego temat i musiałam poznać odpowiedź. Kolacja miała się odbyć niemal po sąsiedzku, przy Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy, zaraz po drugiej stronie Park Avenue. Gdybym poczuła się nieswojo, mogłabym po prostu wyjść i wrócić do domu piechotą.

Zerknąłem na Norę, a ona niemal niezauważalnie skinęła głową. Powiązała fakty tak samo jak ja. Przy Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy znajdowała się rezydencja, do której wczoraj wieczorem włamał się Hopper. Olivia mówiła właśnie o tym domu. Rozpoznawałem także uczucia wobec Cordovy, które

opisała: ten niedosyt, potrzebę jakiegoś rozstrzygnięcia, zakończenia, te myśli, które nie dawały spokoju latami. Sam czułem to samo.

– Miałam wtedy pięćdziesiąt lat, nie byłam już młoda i naiwna. Od dwudziestu lat byłam mężatką, wychowałam trzech synów. Potrzeba było znacznie więcej, żeby mnie przerazić.

Nachyliła się i sięgnęła po kolejne ciastko. Wszystkie trzy pekińczyki przyłgnęły do niego wzrokiem. Ku ich wyraźnemu rozczerowaniu Olivia sama wzięła ciastko do ust i zaczęła przeżuwać.

– Kolacja była wspaniała, ale o dziwo Cordova w ogóle się na niej nie pojawił. Przyszła tylko jego żona, Astrid, i powiedziała, że męża zatrzymała praca i nie da rady dotrzeć. Zaskoczyła mnie ta wiadomość. Podejrzywałam, że coś jest nie tak, że to jakaś pułapka. W kolacji uczestniczyła jednak wspaniała mieszanka ludzi, dwie osoby znałam nawet z dawnych czasów, kiedy grałam w teatrze. Była tam rosyjska gwiazda opery, duński naukowiec, francuska aktorka słynna z niezwyklej urody, a jednak nikt nie miał wątpliwości, że w centrum zainteresowania jest córka Cordovy, Ashley. W owym czasie kwitła jej wspaniała kariera pianistki. Dwunastoletnia Ashley była najpiękniejszym dzieckiem, jakie w życiu widziałam, oczy miała niemal przejrzyste. Grała dla nas. Schuberta, koncert Bacha, fragment *Pietruszki* Strawińskiego. Potem dołączyła do stołu. Dziwnym zbiegiem okoliczności wybrała miejsce tuż obok mnie. Czułam się nieswojo. Jej oczy były takie piękne, a jednocześnie takie...

Olivia splotła dłonie i zmarszczyła czoło.

– Jakie? – zapytałem.

Spojrzała wprost na mnie.

– Stare. Za dużo widziały. – Przerwała, żeby odetchnąć głęboko, i uśmiechnęła się smętnie. – Kolacja była fantastyczna. Rozmowa ogromnie ciekawa. Ashley okazała się czarująca. Jednakże kiedy milkła, zdawała się nieobecna, zupełnie jakby dokądś odpływała, do jakiegoś innego świata. Po zakończonym posiłku Astrid zaproponowała japońską zabawę, której ich

rodzina ponoć często oddawała się po obiedzie. Zapoznał ich z nią prawdziwy japoński samuraj, który podobno z nimi mieszkał. Nazywała się Grą stu świec. Później odnalazłam japońską nazwę. *Hyaku-monogatari kaidan-kai*. Słyszał pan o niej?

– Nie – odparłem, kręcąc głową.

– To dawna japońska gra salonowa. Sięga epoki Edo, siedemnastego, osiemnastego wieku. Zapala się sto świec, a potem gasi się po jednej za każdym razem, kiedy ktoś opowie krótki *kaidan*. *Kaidan* to japońskie określenie opowieści o duchach. Trwa to dalej, w pokoju robi się coraz ciemniej, aż w końcu zdmuchnięta zostaje ostatnia świeca. To właśnie wtedy w pomieszczeniu pojawia się wreszcie nadprzyrodzona istota. Zwykle to *onryō*, japoński duch, który szuka zemsty. – Olivia głęboko odetchnęła. – Zaczęliśmy się bawić, wszyscy lekko wstawieni portem i winem deserowym. Opowiadaliśmy historie chaotycznie, ale gdy przychodziła kolej Ashley, były związane i treściwe. Uznałam, że nauczyła się ich na pamięć, chyba że już w wieku dwunastu lat potrafiła wysławiać się tak elokwentnie. Jej głos był niski, spokojny, chwilami zdawało się, jakby dobiegał z innego miejsca w pokoju. Wszystkie jej opowieści były porywające, niektóre niepokojąco brutalne. Pamiętam taką o bogaczu, który zgwałcił swoją służącą i zostawił ją na pastwę losu na środku drogi. Oszalała mnie łatwość, z jaką usta Ashley wypowiadały te słowa, zupełnie jakby chodziło o coś zupełnie naturalnego. Kiedy mówiła, czasem odnosiłam takie wrażenie, jakbym opuszczała swoje ciało, jakbym była gdzieś indziej. A potem, sama nie wiem, jak to się złożyło, została już tylko jedna świeca, a ostatnia opowieść przypadła właśnie Ashley. To była historia o nieszczęśliwej miłości, godna Romea i Julii rzecz o chorobie i nadziei, o dziewczynie, która zmarła młodo, uwalniając w ten sposób swojego kochanka. Wszyscy słuchali oczarowani. Ashley zdmuchnęła świeczkę i w pokoju zrobiło się czarno. Zbyt czarno. Ludzie chichotali. Ktoś opowiedział sprośny dowcip. Nagle usłyszałam odgłos jakby zasysania, a mojego czoła dotknął zimny palec. Byłam

przekonana, że to Ashley. Wrzasnęłam, chciałam wstać, lecz zdrętwiały mi obie nogi. Ku mojemu upokorzeniu spadłam z krzesła wprost na ziemię. Astrid przeprosiła mnie, pomogła mi się podnieść i zapaliła światła. Wszyscy się śmiali. Ashley siedziała na swoim miejscu, nie patrzyła na mnie, ale się uśmiechała. Wróciło tamto uczucie sprzed lat, kiedy odwiedziłam Szczyt, ten napór, jakby ktoś zgniatał mi wnętrzności. Odczekałam parę chwil, a potem przeprosiłam i wyszłam. Wróciłam do domu, zrobiłam sobie herbaty i położyłam się spać. Jednak po paru godzinach, kiedy Mike obudził się obok mnie, byłam w śpiączce. Miałam wylew. Odzyskałam przytomność w szpitalu i okazało się, że straciłam władzę w prawej ręce. – Olivia spojrzała na ramię zwisające bezwładnie na temblaku niemal tak, jakby było czymś oddzielnym od niej, zdeformowanym albatrosem, którego musi nosić. – Tętniak mózgu. Lekarze stwierdzili, że winny był stres po tym wydarzeniu. Jestem praktyczną kobietą, panie McGrath. Nie zwykłam wyciągać histerycznych wniosków. Ale wiem jedno: oni musieli coś zrobić Ashley, że tak się zachowywała.

– Kto?

– Jej rodzina. Cordova.

– Myśli pani, że co takiego zrobili?

Olivia miała zamyśloną minę.

– Ma pan dzieci?

– Córkę.

– W takim razie wie pan, że urodziła się niewinna, ale wchłania jak gąbka wszystko, co ją otacza. Ich styl życia na Szczycie, to moje doświadczenie sprzed lat, pytania, które zadawał mi Cordova... Czułam się jak przedmiot eksperymentu. Tak samo musieli traktować Ashley. Tylko że w przeciwieństwie do mnie ona nie mogła uciec. W każdym razie jako dziecko.

Spojrzałam na Norę. Wydawała się urzeczona. To, co powiedziała Olivia, pasowało do moich przypuszczeń, że w chwili śmierci Ashley była w złych relacjach z rodziną, ukrywała się pod fałszywym nazwiskiem, szukała osoby o przydomku Pająk. Nie

rozumiałem tylko, po co wróciła do rezydencji, chyba że po to, żeby spotkać się z Inez Gallo. Może Gallo tam mieszkała.

– Czy słyszała pani o kimś powiązanym z Cordovą, kto nosi przydomek Pająk? – zapytałem, pochylając się na kanapie.

– Pająk? – Olivia zmarszczyła czoło. – Nie.

– A Inez Gallo? To chyba nie jej przezwisko, prawda?

– Asystentki Cordovy? Nic mi o tym nie wiadomo. Ale niewiele o niej wiem oprócz tego, że chyba właśnie ona mnie do niego zaprowadziła. A kiedy mnie przepytował, siedziała po jego prawej ręce, jakby była jego sługusem czy ochroniarzem albo może jego podświadomością.

Przytaknąłem. Wizja służalczej postaci mającej u boku Cordovy potwierdzała to, co napisano o Gallo na Blackboardsach.

– Dlaczego nikt nie chce rozmawiać o Cordovie? – zapytałem.

– Wszyscy są przerażeni. Przypisują mu potęgę, prawdziwą lub wymyśloną, sama nie wiem. Wiem natomiast tyle, że w historii tej rodziny kryją się jakieś potworne czyny. Jestem tego pewna.

– Dlaczego pani tego nie zbadała? Widać, że pasjonuje panią ten temat. Z pewnością dysponuje pani przeróżnymi środkami.

– Dałam słowo mężowi. Po tym, co się stało, chciał, żebym to wszystko zostawiła. Czy gdybym nastąpiła im na odcisk, próbując dotrzeć do sedna, straciłabym władzę w drugiej ręce? A potem w nogach? Bo rozumie pan, w głębi duszy wydaje mi się, że może naprawdę w tym pokoju pojawiło się coś, co przyzwała ta dziewczyna, a to, po co mnie tam zaproszono, ów akt zemsty, przebiegł dokładnie tak, jak zaplanowano. Że zapłaciłam za jakąś rzekomą zniewagę wobec mojej siostry.

Odruchowo pomyślałem o zabójczej klątwie. W gruncie rzeczy moje życie istotnie stało się bardziej niebezpieczne, odkąd wdepnęliśmy w tę substancję. O mało nie utonąłem. „Wzera się w umysł ofiary, która nawet tego nie zauważa – mówiła Cleo. – Izoluje, konfrontuje z całym światem, przez co człowiek trafia na margines życia”. Potrafiłem sobie wyobrazić, że taki los naprawdę może spotkać kogoś, kto wziął na warsztat Cordovę.

Olivia westchnęła. Wyglądała na zmęczoną, z jej twarzy odpłynęło napięcie, a razem z nim wszelkie kolory.

– Obawiam się, że nie mam już wiele czasu – stwierdziła, zerkając przez pokój w stronę drzwi.

Podążyłem za jej spojrzeniem. Okazało się, że słuchałem z takim przejęciem, że nie zauważyłem, jak kobieta w szarym kostiumie, która nas przywitała – jak sądziłem, sekretarka Olivii – wetknęła głowę przez drzwi i bez słów przypominała swej przełożonej o kolejnym pilnym spotkaniu.

– Wspomniała pani o Allanie Cunninghamie – powiedziałem. – Ashley przed śmiercią była pacjentką w Briarwood. Chciałem się dowiedzieć, w jakich okolicznościach ją tam przyjęto, ale Cunningham robił mi trudności. Czy mogłaby pani wstawić się za mną?

Olivia uśmiechnęła się rozbawiona.

– Allan zapewniał mnie, że Ashley nigdy nie była tam pacjentką. Ale nie omieszkać spytać ponownie. Będziemy w Sankt Moritz do marca. – Spuściła nogi na podłogę i wsunęła stopy w buty. – Ma pan bezpośredni numer do mojej sekretarki. Proszę się z nią kontaktować, gdybym była panu do czegoś potrzebna. Przekaze mi wiadomość.

– Jestem pani bardzo wdzięczny.

Podniosła się z kanapy – pekińczyki zeskoczyły na dywan wokół jej stóp – i poprawiła aksamitny temblak na bezwładnej ręce. Kiedy Nora i ja wstaliśmy, podała mi dłoń z rozbajającym uśmiechem. Jej brązowe oczy lśniły.

– Było mi bardzo miło, panie McGrath.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Ruszyliśmy do drzwi. – Ale jeszcze jedna sprawa – powiedziałem.

Zatrzymała się i odwróciła.

– Oczywiście.

– Gdybym chciał porozmawiać z pani siostrą, to gdzie ją mogę znaleźć?

Chyba ją zirytowałem.

– Nie pomoże panu – odparła. – Nie potrafi pomóc nawet sobie samej.

– Była żoną Cordovy.

– Cały czas uzależnioną od barbituranów. Wątpię, czy cokolwiek pamięta z tego małżeństwa. Może poza tym, że parę razy pieprzyła się z Cordową.

Wreszcie spod całej nieskazitelnej elegancji wyszło to czupurne wojskowe dziecko.

– Mimo wszystko rozmowa z pani siostrą dostarczyłaby bezcennych informacji. O tym, co tam widziała, jaki był Cordova, jak żył. Spędziła tam przecież trochę czasu.

Olivia zmierzyła mnie władczym wzrokiem, jakby nie przywykła do sprzeciwu. Albo może była to irytacja, że znowu, po tylu latach, w jej obecności wspomina się o siostrze.

– Nawet gdybym podała panu adres, to ona i tak się z panem nie spotka. Nie spotyka się z nikim oprócz swojej służącej i swojego dealera.

– Skąd pani to wie?

Odetchnęła głęboko.

– Służąca przychodzi tu co tydzień, żeby dać mi jej rachunki i poinformować o stanie zdrowia. Moja siostra nie wie, że jest bankrutem, że to ja od dwudziestu lat opłacam jej opiekę i narkotyki. A jeśli się pan zastanawia, dlaczego nie wysłałam jej do Betty Ford, Promises albo Briarwood, to zapewniam, że wysłałam. Jedenaście razy. Na próżno. Niektórzy nie chcą być trzeźwi. Nie chcą stawić czoła rzeczywistości. Kiedy życie podstawi im nogę, wolą zostać na ziemi z twarzą w błocie.

– No dobrze – odparłem. – Ale jeśli to, co nam pani powiedziała, jest prawdą...

– Jest – warknęła.

– Marlowe może wyjawić jeszcze więcej. Nawet najbardziej niewiarygodny świadek potrafi zdradzić trochę prawdy.

Olivia przyglądała mi się zaczepnie, a potem westchnęła.

– Budynek Campanile. Beekman Place. Mieszkanie numer tysiąc dwa. – Odwróciła się i popłynęła w stronę drzwi. Kudłaty

orszak pogonił za nią, dysząc. – Proszę porozmawiać z portierem Haroldem – rzuciła przez ramię. – Zadzwoń do niego dziś po południu. On państwa umówi.

– Będę bardzo wdzięczny.

– Kiedy się pan z nią zobaczy, proszę o mnie nie wspominać. Dla własnego dobra. – Mógłbym przysiąc, że kiedy to mówiła, dostrzegłem delikatny uśmieszek satysfakcji.

– Obiecuję.

Wyprowadziła nas przez galerię do holu, gdzie czekał już ten stary dziadek z naszymi okryciami. Wydawał się taki sztywny, aż nie mogłem pozbyć się myśli, że stał tak od ponad godziny.

– Dziękuję – odezwałem się do Olivii. – Za wszystko. Pani pomoc była nieoceniona.

– Mam nadzieję, że uda się panu to jakoś wykorzystać. Niech pan pomści tę dziewczynę. Była wyjątkowa.

Nora weszła do windy, a ja za nią, ale przytrzymałem ręką drzwi, żeby się nie zamknęły.

– Pani du Pont, mam jeszcze jedno pytanie, jeśli mogę. – Odwróciła się do mnie, nachylając głowę pod tym bezbłędnym kątem, który wyraża trochę wyższość, a trochę ciekawość. – Jak pani poznała pana du Ponta? Zawsze mnie to ciekawiło.

Zmierzyła mnie wzrokiem. Myślałem, że lodowatym tonem oznajmi, że to nie moja sprawa. Lecz ku mojemu zdziwieniu po chwili się uśmiechnęła.

– W szpitalu Cedars-Sinai w Los Angeles. Wsiadliśmy do tej samej windy. Oboje jechaliśmy odwiedzić Marlowe na siódmym piętrze. Winda się zacięła. Nawalił jakiś bezpiecznik. Ale gdy po godzinie znowu ruszyła, Mike już nie chciał jechać na siódme do Marlowe. – Spojrzała mi w oczy z wyrazem triumfu. – Chciał zjechać do holu ze mną.

Olivia z łagodnym uśmiechem odwróciła się spokojnie na pięcie i zniknęła w cieniach korytarza. Pieski ani nie odstępowały jej ani na krok.

Kiedy wraz z Norą wyszliśmy na Park Avenue i stanęliśmy pod bladyszczą markizą, stwierdziłem z zaskoczeniem, że mocno pada. Nie zauważyłem tego, gdy byliśmy na górze u Olivii, zapewne dlatego, że tak bardzo pochłonęła mnie jej opowieść. No, chyba że apartament był tak elegancki, że po prostu wymazywał niepogodę jako okropne *faux pas*.

Portier podał mi parasol golfowy, a potem, otworzywszy swój, wyskoczył na ulicę, by przywołać taksówkę.

– Nie spodziewałem się, że taka będzie – powiedziałem do Nory. – Okazała się szczerą i dość przekonującą.

Nora pokręciła głową poruszona.

– Ja ciągle tylko myślałam o Larrym.

– Tym tatuażycie?

Energicznie pokiwała głową.

– Pamiętasz, co się z nim stało?

– Umarł.

– Na tętniaka mózgu. Nie rozumiesz? To prawidłowość. Miała go i Olivia, i Larry. Oboje po spotkaniu z Ashley.

– Więc sugerujesz, że Ashley to Anioł Śmierci?

Powiedziałem to dla żartu, ale nagle przypomniałem sobie wydarzenie znad Sześciu Srebrnych Jezior, które opisał Hopper: grzechotnika w śpiworze wychowawcy i powszechne przekonanie, że to Ashley go podrzuciła. No i oczywiście jej obecność nad Zbiornikiem.

– Olivia zrelacjonowała to samo, co Peg Martin – powiedziałem. – Wizytę na Szczycie. Ale ich doświadczenia były diametralnie różne: jedno upiorne, a drugie jak wizja z dziecięcej fantazji.

– Ciekawe, które było prawdziwe.

– Może oba. Te zdarzenia dzieli prawie dwadzieścia lat. Olivia pojechała tam w czerwcu siedemdziesiątego siódmego. Czyli rok po tym, jak Cordova razem z Genevrą kupił Szczyt, i miesiąc przed jej utonięciem. Peg Martin była na pikniku w dziewięćdziesiątym trzecim.

– Czy nie zaniepokoił cię sposób, w jaki Olivia opisała Genevrę, pierwszą żonę Cordovy?

– Jako więźnia zbyt przerażonego, żeby się odezwać.

Nora kiwnęła głową.

– A ta igła do nakłuwania czarownic? – przypomniała.

– To by nawet potwierdzało to, co sugerowała Cleo w Zakłęciach. Że Ashley pochodzi z rodziny praktykującej czarną magię.

Nora nerwowo obgryzała paznokcie.

– Założę się, że gdybyśmy włamali się na Szczyt, znaleźlibyśmy tam właśnie takie rzeczy.

Dokładnie wiedziałem, co ma na myśli. Wryły mi się w mózg słowa Cleo, kiedy opisywała koszmarną rzeczywistość obcowania z czarną magią: „Stare, obite skórą dzienniki z zakłęciami pisanymi wspak. Strychy pełne bardzo rzadkich składników takich jak embriony jeleni, odchody jaszczurek, krew niemowląt. To nie jest rzecz dla ludzi o słabych nerwach. Ale działa”.

Portier złapał taksówkę, więc wybiegliśmy spod markizy i wcisnęliśmy się na tylne siedzenia. Miałem nieodebrane połączenie od Blumensteina oraz dwa od Hoppera. Ten drugi przysłał też SMS-a.

Wyszedłem za kaucją. Wielkie dzięki. Jadę do ciebie.

Dobrze. Nie mogłem się doczekać, żeby go zapytać, co zobaczył w rezydencji – nie wspominając o tym, skąd, u diabła, wiedział, jak się tam włamać.

Kiedy znaleźliśmy się budynku, Nora zatrzymała się zaniepokojona i złapała mnie za ramię, wskazując zamek w moich drzwiach.

Był wyłamany, drewno wokół – roztrzaskane.

Powoli pchnąłem drzwi. Wewnątrz panował mrok, nie słyszałem nic oprócz dudnienia deszczu.

Wszedłem do przedpokoju.

– Nie – szepnęła Nora. – Może ktoś wciąż tam jest...

Przycisnąłem palec do ust, a potem zacząłem skradać się w głąb korytarza. Drewniana podłoga skrzypiała z każdym krokiem. Nagle z salonu dobiegł stłumiony łoskot.

Pognałem do drzwi w samą porę, żeby zobaczyć, jak ktoś wychodzi przez okno. Gwałtowny deszcz lał mu się na czarny płaszcz i wełnianą czapkę. Intruz przeskoczył przez skrzynkę z kwiatami i zniknął.

Zawróciłem obok Nory i ruszyłem z powrotem korytarzem. Tamten przebiegł obok budynku i pędził na zachód po Perry Street.

Wybiegłem na dwór, a potem puściłem się za nim. Był już w połowie drogi do najbliższej przecznicy. Właśnie mijał jakiegoś przechodnia – w którym rozpoznałem Hoppera!

– łap go! – krzyknąłem.

Hopper, widząc, że biegnę w jego stronę, obrócił się i popędził za mężczyzną, który właśnie skręcił w Zachodnią Czwartą Ulicę.

Intruz był zbyt niski na Theo. To na pewno ktoś inny.

Hopper zniknął za rogiem. Kiedy dotarłem na skrzyżowanie kilka sekund później, już wbiegał za tamtym w Charles Street. Popędziłem za nimi, omijając samochody, przypięte rowery, ludzi targających torby z zakupami. Intruz przeciął Hudson na światłach, a Hopper za nim, coś wykrzykując, ale głośny trzask pioruna zagłuszył słowa. Po paru minutach dotarłem do West Side Highway, gdzie samochody stały w korku. Hopper przebiegł przez pas zieleni i był już po drugiej stronie, ja natomiast musiałem poczekać na zielone światło.

Facet zwiewał w kierunku północnym ścieżką rowerową wzdłuż Hudson River Park. Minął kilka policyjnych barierek, nagle skręcił w lewo, w stronę pomostu numer 46 i zniknął.

Światło zmieniło się na żółte, dostrzegłem przerwę między samochodami, więc przebiegłem przez ulicę, żeby dołączyć do Hoppera na ścieżce rowerowej.

– Zgubiłem go – wydyszał.

Popatrzyłem w głąb ścieżki, osłaniając oczy od deszczu. Była pusta, tylko jakaś para wyprowadzała na spacer owczarka niemieckiego. Z kolei na pomoście, popularnym miejscu wypoczynku, panował spory ruch. Deptakiem przechadzało się ze trzydzieści czy nawet czterdzieści osób uzbrojonych w parasole i płaszcze przeciwdeszczowe.

– Jest na molu – powiedziałem. – Ja sprawdzę tę stronę, ty tamtą.

Ruszyłem przed siebie. Przebiegłem obok rodziny turystów w plastikowych pelerynach, młodego człowieka z jack russell terrierem i pary chichoczących nastolatków kulących się pod brązowym płaszczem.

Po intruzie ani śladu.

Minąwszy grupkę biegaczy, którzy rozciągali się, opierając się o barierkę, zauważyłem samotnego mężczyznę na samym końcu mola.

Siedział na ławce tyłem do mnie i patrzył na rzekę Hudson. Miał na sobie płaszcz khaki, a nad głową jasnoczerwony parasol. Było w nim jednak coś dziwnego, a kiedy się zbliżyłem, spostrzegłem, w czym rzecz: nie tylko jego rzadkie, siwiejące włosy były rozczochrane, jakby właśnie ściągnął z głowy wełnianą czapkę, ale też ramiona unosiły się i opadały jak u zdyszanego człowieka.

Od niechcienia podszedłem do ławki i zatrzymałem się ze dwa metry dalej przy koszu na śmieci. Odwróciłem się, żeby obejrzeć twarz mężczyzny.

To był po prostu jakiś staruszek. Miał przemoknięte dzinsy, a dłoń opierał na ortopedycznym czwórnożu. Obok niego leżał

duży niebieski plecak JanSport i resztkę kanapki z Subwaya.

Wpatrywałem się w niego chyba dość bezczelnie, ale on tylko na mnie zerknął i mruknął coś z uśmiechem.

– Słucham? – zapytałem.

– Myśli pan, że będzie nam potrzebna arka Noego?

Uśmiechnąłem się bez wyrazu, a potem przeszedłem przed nim w kierunku krańca mola. Lało już tak ulewnie, że ledwie dało się odróżnić szarą rzekę od deszczu.

Odwróciłem się i jeszcze raz zerknąłem na zgarbionego staruszka, tak na wszelki wypadek.

On jednak wciąż siedział niewinnie. Deszcz spływał po jego czerwonym parasolu jak bulgoczący wodospad.

Znowu się uśmiechnął i przywołał mnie gestem. Po jego podeksycytowanej minie poznałem, że wziął moje spojrzenia za erotyczne zaloty.

To tylko stary gej szukający towarzystwa.

Jezu Chryste.

– Możemy się podzielić – zawołał do mnie, zerkając w górę na swój czerwony parasol, który nadawał jego twarzy różowawy odcień. – Chyba nawet mam tu drugi. – Obliznął usta, rozpiął plecak i zaczął w nim gmerać.

Uniosłem dłoń w odmownym geście, a potem szybko ruszyłem przez molo. Nagle głośno trzasnęła błyskawica, a zaraz potem zadudnił grzmot. Kiedy dotarłem na północny skraj pomostu, zobaczyłem, że przy ścieżce rowerowej panuje lekkie zamieszanie. Zebrał się tłumek. Pobiegnęłam w tamtą stronę, przeciskając się wśród gapiów. Hopper z jakimś innym mężczyzną pomagali starszej Afroamerykance podnieść się z ziemi.

Staruszka, cała przemoczona – miała na sobie jedynie cienką różową sukienkę – łkała głośno i ścisnęła obolałe ramię.

– Co się stało? – zapytałem kobiety obok mnie.

– Okradli ją. Gnój zabrał jej nawet laskę.

Ledwie to powiedziała, a ja już przepychałem się przez tłum i gnałem z powrotem ile sił w nogach.

Starca już nie było.

Gdy dotarłem do pustej ławki, mogłem tylko patrzeć na nią z wściekłością.

Leżał tam porzucony czerwony parasol, plecak, czwórnóg ortopedyczny, płaszcz i papier po kanapce z Subwaya. Szczwany sukinsyn pewnie wyciągnął opakowanie ze śmietnika, żebym myślał, że w spokoju je lunch.

Dokładnie tam, gdzie siedział, zobaczyłem mały biały karteluszek odwrócony wierzchem do dołu.

Podniosłem go. To była moja wizytówka.

Zwróciłem własność kobiecie.

Wszystko należało do niej: niebieski plecak JanSport, czerwony parasol, laska oraz płaszcz. Nie brakowało pieniędzy. Napastnik zaatakował kobiecinę od tyłu, brutalnie wyszarpnął rzeczy i pchnął ją na chodnik.

– Nie ma mowy, żeby to był starzec! – zawołał Hopper, przekrzykując ulewę, gdy przebiegaliśmy przez Greenwich Street w drodze powrotnej na Perry.

– Mówię ci, że tak.

– No to koleś dobrze się odżywia, bo zapieprzał jak Suzuki. Co ukradł?

– Zaraz się okaże.

Przyspieszyliśmy kroku. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że teraz z trudem potrafiłem myśleć spokojnie. Miałem jednak wrażenie, że byłem zbyt beztroski, zostawiając Norę samą. Nawet się nie zastanowiłem, czy intruz mógł mieć współnika.

Wpadliśmy do budynku. Nie było jej w holu.

– Nora!

Pchnąłem drzwi, przebiegłem przez hol. Salon był nietknięty. Pognałem korytarzem do drzwi gabinetu i stanąłem jak wryty.

Można by pomyśleć, że przeszło tędy trzęsienie ziemi. Papiery i pudła, segregatory, całe szuflady przetrząśnięto i wywalono na podłogę. Okno było otwarte, wlewał się przez nie deszcz. Nora gorączkowo krążyła po poboju.

– Co się stało? Nic ci nie jest? – zapytałem.

– Nie ma go!

– Słucham?

Była spanikowana.

– Septimusa. Nie mogę go znaleźć.

Na ziemi dostrzegłem pustą klatkę.

– Gdzie mój laptop, do cholery?! – wrzasnąłem.

– Wszystko ukradli. Był tu ktoś jeszcze. Słyszałam, jak uciekał przez okno, ale go nie widziałam.

Podeszła do szafy. Drzwi zwisały na zawiasie.

Przebrnąłem przez ten kipisz i ze złością zatrzasnąłem okno. Otwarto moje segregatory na akta, splądrowano dokumenty. Zerwano ze ściany ramki z moimi starymi artykułami z „Time’a”. Plakat *Samuraja* wisiał krzywo, więc Alain Delon, który zwykle chłodnym wzrokiem spoglądał spod swej fedory na coś za drzwiami pokoju, teraz kontemplował podłogę. Czy to jakieś ukryte przesłanie? Sugestia, że jestem krótkowzroczny, że patrzę nie tam, gdzie należy?

Poprawiłem plakat, a potem schyliłem się po skórzane poduszki i rzuciłem je na kanapę. Dźwignąłem jeden z przewróconych regałów, żeby postawić go do pionu. Przypadkiem nadepnąłem na ramkę fotograficzną leżącą zdjęciem do podłogi. Gdy ją podniosłem, stwierdziłem z przerażeniem, że to moje ulubione zdjęcie Sam, zrobione, kiedy miała kilka godzin. Szkło było rozbite. Wytrząsałem odłamki, postawiłem ramkę na biurku, a następnie podszedłem do wywróconego pudełka z materiałami o Cordovie.

Niemal się roześmiałem.

Było puste – z wyjątkiem ulotki *Poznaj Yumi*, którą schowałem do kieszeni przy Henry Street 83. Półnaga dziewczyna patrzyła na mnie prowokująco, jakby chciała szepnąć: Naprawdę jesteś zdziwiony?

Nie mogłem uwierzyć we własną głupotę. Przecież wiedziałem, że nas śledzą, a mimo to jak nieodpowiedzialny kretyń nie podjąłem żadnych środków ostrożności, co było tym bardziej bezmyślne, że kiedy poprzednio wziąłem na warsztat Cordovę, moje życie runęło jak scenografia taniego wodewilu. Teraz moje zapiski trafiły w ręce obiektu tego śledztwa. Cordova przeczyta każdą notatkę, każdy bazgroł i każdą wypracowaną myśl. Będzie grzebał w mojej głowie jak w domu towarowym. Laptop był zabezpieczony hasłem, ale złamie je każdy przyzwoity haker. Teraz Cordova dowie się wszystkiego, co wiedzieliśmy o ostatnich dniach Ashley.

Wszelka przewaga uzyskana po wizycie w Oubliette, Waldorfie, Briarwood oraz dzięki wiedzy, że Ashley szukała

kogoś o przydomku Pająk – to wszystko historia.

Podniosłem z ziemi wieżę stereo i postawiłem amplituner z powrotem na półce. Spojrzałem z niedowierzaniem, że brakuje również płyty kompaktowej Ashley. To podsunęło mi kolejną niepokojącą myśl.

– Gdzie akta policyjne Ashley? – zapytałem. Nora ciągle grzebała w szafie. – Akta Ashley, które nielegalnie uzyskałem od Sharon Falcone. Czytałaś je dwa dni temu. Gdzie one są?

Obróciła się z przerażoną miną.

– Nie wiem.

Rozpląkała się, więc sam zacząłem szperać w bałaganie. Wprost nie potrafiłem sobie wyobrazić efektu lawinowego, jaki wywołałoby upublicznienie tych dokumentów: Sharon będzie musiała odejść z policji w niesławie, jej kariera zakończy się przez moją beztroskę, a nazwisko McGrath znów pojawi się w prasie jako coś toksycznego. Tak bardzo mnie to rozwścieczyło, że dopiero po chwili zorientowałem się, że woła nas Hopper.

Zastaliśmy go w kuchni. Stał przy otwartym piekarniku.

W środku była papużka. Gorączkowo łopotała skrzydłami.

Nora rzuciła się naprzód i delikatnie wyjęła ptaka. Żył, ale strasznie się trząsał.

– Czy piekarnik był włączony? – zapytała Hoppera.

– Nie.

Kiedy zajmowała się Septimusem, Hopper spojrzał na mnie znacząco.

Myślał to samo co ja. To nie był akt łaski. To groźba. Oszczędzenie ptaka stanowiło wyraźny sygnał: panują nad sytuacją. Chcieli zabawić się z papużką, jeszcze trochę ją przerazić. Ale gdyby mieli ochotę, mogli ją zabić.

To samo dotyczyło nas.

Przez następne kilka godzin sprzątałyśmy gabinet, a tymczasem ślusarz zmieniał zamek w drzwiach. Zniknęły wszystkie materiały o Ashley i Cordovie z wyjątkiem moich starych notatek z Crowthorpe Falls oraz wizytówki Iony reklamującej atrakcje na wieczorach kawalerskich. Znaleźliśmy je pod kanapą, co sugerowało, że najpierw zdemolowano mój gabinet, a dopiero potem wyszukano informacje o Cordovach.

Szczerząliwym trafem intruzi nie zabrali płaszcza Ashley – znajdował się za drzwiami wciąż wepchnięty w torbę z delikatesów. Pewnie pomyśleli, że to jakiś śmieć. Znaleźliśmy również akta policyjne od Sharon Falcone. Dwa dni temu Nora zabrała je na piętro, żeby przejrzeć przed snem. Nadal leżały na szafce przy łóżku – to znak, że włamywacze tam nie dotarli.

Wciąż myślałem o Olivii Endicott. To bardzo wygodne, że kiedy my słuchaliśmy jej opowieści, intruzi mieli nieograniczony dostęp do mojego mieszkania. Nie mogłem nie zadawać sobie pytania, czy błędnie ją oceniłem. Czy od początku była w to zamieszana i poinformowała ich o naszym spotkaniu? Dlaczego? Jaką miała motywację, żeby chronić Cordovę?

W tym, co się stało, była też pewna niepokojąca symetria. My podążaliśmy śladami Ashley, a Theo – naszymi. Wczoraj wieczorem Hopper włamał się do ich domu. Dzisiaj oni włamali się do mnie. Szukając mężczyzny na molu, trafiłem na siebie samego: na swoją wizytówkę. Czy naprawdę czuli się zagrożeni tym, co robimy? Czy może traktowali to jak grę, naśladowali nasze poczynania, odsyłali je nam jak bumerang: za każde naruszenie prywatności Cordovy – naruszenie mojej prywatności, za każde wtargnięcie – kolejne?

Nie wiedziałem, co to wszystko znaczy, lecz przynajmniej jedno, co powiedziała Olivia, wydawało się prawdą: „Przestrzeń wokół Cordovy ulega zaburzeniu. Prędkość światła zwalnia, płaczą się informacje, racjonalne umysły gubią logikę, wpadają w histerię”.

Poszedłem na piętro, żeby wziąć prysznic. Potem dałem Hopperowi ręczniki, by mógł zrobić to samo. Planowałem zamówić chińszczyznę i wypytać go o rezydencję. Wcześniej wspomniał w kilku słowach, że niewiele zobaczył, zanim go złapano. Zostawiłem Norę z Septimusem i udałem się do sypialni, zamierzając opróżnić stary sejf w mojej szafie. Nie używałem go od lat, ale od tej pory wszystkie dowody i notatki musiały trafić tam.

Właśnie wyciągałem stare akta, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi.

W progu stała Nora. Była śmiertelnie blada.

– Co się stało? Coś z Septimusem?

Pokręciła głową i pokazała, żebym poszedł za nią.

Z salonu ryczała ogłuszająca muzyka. Nastawiła ją tak głośno, że zagłuszała odgłos naszych kroków. Nora zakradła się na sam koniec korytarza i wskazała na drzwi łazienki, uchylone tylko odrobinę.

Wewnątrz był Hopper. Lała się woda w umywalce. Nie miałem w zwyczaju podglądać mężczyzn w łazience, ale Nora energicznym gestem kazała zajrzeć do środka.

Wychyliłem się. Hopper, owinięty ręcznikiem w pasie, stał przy umywalce i szczotkował zęby.

I wtedy to zobaczyłem.

– Co jest? – zapytał Hopper, wchodząc do salonu.

– Siadaj – powiedziałem. – Teraz sobie pogadamy.

– No tak. Rezydencja.

– Nie rezydencja – odparła Nora ze złością. – Tatuaż na twojej nodze.

Znieruchomiał oszołomiony.

– Co?

– Ten kirin Ashley – powiedziała. – To ty masz drugą połówkę.

– Zerknął w stronę drzwi. – Hopper, widzieliśmy ją. Okłamałeś nas.

Rzucił jej piorunujące spojrzenie, a potem nagle skoczył do drzwi, ale byłem na to gotów. Złapałem go z tyłu za koszulkę i pchnąłem na fotel.

– Masz pieprzony tatuaż na stopie. Lepiej zacznij gadać.

Był zbyt wstrząśnięty, żeby coś powiedzieć, albo może szukał kolejnej wymówki. Po minucie Nora wstała i naląła mu whisky.

– Dzięki – mruknął ponuro. Wypił łyk i wpatrywał się w szklankę. – Poznać ją, a potem stracić – powiedział cicho – to jak dostać dożywocie. Patrzy się na wszystko z daleka, przez grube szyby, słuchawki telefoniczne i godziny odwiedzin. Nic nie ma smaku. Wkoło wszędzie kraty. – Uśmiechnął się łagodnie. – I już nigdy nie wyjdzie się na wolność.

Podniósł głowę i spojrzał na nas uważnie, jakby właśnie sobie przypomniał, że tu jesteśmy. Wydawało się, że czuł wręcz ulgę.

I tak po prostu zaczął nam o niej opowiadać, podczas gdy deszcz walił o szyby niczym armia, która usiłuje się dostać do środka.

– Nie okłamałem was – zaczął Hopper. – Naprawdę poznałem Ashley nad Sześcioma Srebrnymi Jeziorami.

I ten nasz zakład też był prawdziwy. Rzeczywiście mnie spławiła. No i numer z Orlandem, tym chłopakiem, z którego wszyscy się nabijali. Kiedy łyknął ecstazy, a Ashley wzięła na siebie winę. To wszystko naprawdę się wydarzyło. Nie powiedziałem wam za to, że zamierzałem stamtąd spieprzyć.

– Z Sześciu Srebrnych Jezior? – zapytałem.

Kiwnął głową.

– Miałem dość całej akcji. Nawet po sprawie z grzechotnikiem zostało nam jeszcze sześć tygodni. Nie miałem zamiaru dłużej znosić tych bzdetów. Jasne, dzięki Ash Jastrzębie Pióro srał w gacie ze strachu, ale co z tego? Dzień w dzień było ze czterdzieści stopni. Dzieciaki miały zadatki na Teda Bundy’ego, a wychowawcami były wynaturzone pojeby. Nocami słyszałem, jak jeden z nich, Chodzący Przez Ściany, wali konia w swoim namiocie. Pozostawało tylko kwestią czasu, zanim zaczną szukać kogoś, kto do niego dołączy. Jedyna dziewczyna, z którą warto by pogadać, Ash, w ogóle się do mnie nie odzywała. Więc pomyślałem: pierdołę. Jedna z wychowawczyń, taka psychoanalityczka, Końskie Włosie, ciągle zerkała na mapę, którą chowała w plecaku. Myślała, że jest strasznie dyskretna. Którejś nocy, kiedy rozmawiała w cztery oczy z pewną dziewczyną, ja tę mapę ukradłem. Okazało się, że gdybym wydostał się z Parku Narodowego Zion, to niedaleko biegła autostrada na zachód do Nevady. Jeślibym tam dotarł, to z łatwością złapałbym stopa i zabrał się jakąś ciężarówką. Już wcześniej tak jeździłem. Większość kierowców ciężarówek nienawidzi gliniarzy, więc totalnie można im ufać. A pozostali są tak narąbani metą, że nie mają zielonego pojęcia, kto w ogóle z nimi jedzie. Chciałem dostać się do Vegas. Końskie Włosie zrobiła gigantyczną aferę, że ktoś jej zwinął mapę, i było wielkie śledztwo. Przeszukali ludziom plecaki, nic jednak nie znaleźli. Wychowawcy uznali, że pewnie sama ją zgubiła. Ale ja schowałem ją sobie pod wkładkę w bucie. Wymyśliłem plan ucieczki. Zamierzałem porcjować jedzenie

i odkładać zapas do śpiwora. Postanowiłem poczekać, aż rozbijemy obóz najbliższej drogi. Obliczyłem, że będziemy tam za trzy dni. Do samej autostrady miałbym stamtąd pół dnia. Chciałem wymknąć się nocą, kiedy wszyscy zasną. W nocy rzekomo dyżurowała wychowawczyni, która nazywała się Cztery Wrony, ale tak naprawdę po kryjomu chodziła spać o pierwszej, więc to nie był problem. Tylko jednej rzeczy nie wziąłem pod uwagę. Orlanda. – Hopper przeczesał dłonią włosy. – Spaliśmy w tym samym namiocie. Każdemu przydzielali współlokatora na początku wyprawy. Moim był Orlando. Pewnej nocy, kiedy studiowałem mapę, nagle usłyszałem w ciemności: „Hopper, co tam masz?”. Obudził się i podglądał. Nie wiem od jak dawna. Odparłem, że chyba widziałem jaszczurkę, więc niech idzie spać. Ale to był szczywany dzieciak. Przywykł, że go okłamują. Kiedy obudziłem się rano, okazało się, że przejrzał wszystkie moje rzeczy i znalazł mapę. Powiedział, że wie, że chcę uciec, a jak nie wezmę go ze sobą, to naskarzy wychowawcom.

Zamilkł, żeby wypić łyk szkockiej, a po chwili kontynuował opowieść:

– Chyba nigdy w życiu nikt nie był dla niego miły, o ile nie wymusił tego szantażem. Kazał mi przysiąc na Jezusa Chrystusa. Był z Karoliny Północnej, jego rodzice to nawróceni baptyści. Ciągłe gadał o Jezusie, jakby to był jego sąsiad, u którego dorabiał robotą w ogródku. Więc powiedziałem: spoko. Nie ma sprawy. Jasne. Przysiągłem na Jezusa Chrystusa, że go ze sobą wezmę. Że jesteśmy drużyną. Jak Frodo i Sam. – Zerknął na mnie. – Oczywiście nie miałem zamiaru go brać. Równie dobrze mógłbym uciekać z kanapą na plecach. Gość był absolutną kulą u nogi.

Kiedy Hopper to mówił, wydawał się nerwowy. Odgarnął włosy z oczu i znowu wbił wzrok w stolik.

– Parę dni później nadeszła ta noc – kontynuował. – Rozbiliśmy obóz dokładnie tam, gdzie trzeba. Pamiętam, że kiedy wszyscy poszli spać, niebo było przejrzyste i panowała cisza, której nigdy nie zapomnę. Zwykle przez całą noc nadawały

owady i w ogóle, ale wtedy nie. Zupełnie jakby wszystko, co żywe, uciekło. Nastawiłem zegarek, żeby obudzić się o północy. Ale obudził mnie wychowawca. Nie spała cała grupa. Padał ulewny deszcz, obóz był zalany, woda wlewała się do śpiworów. Panował kompletny chaos. Wychowawcy wrzeszczeli, żebyśmy pakowali namioty. Musieliśmy się przenieść wyżej, bo bali się gwałtownej powodzi. Oczywiście nas mieli w dupie, po prostu sami nie chcieli zginąć. Ludzie krzyczeli, świrowali. Nikt nic nie mógł znaleźć. Zorientowałem się, że to dla mnie błogosławieństwo, bo w tym zamęcie łatwo będzie się wymknąć. Wiedziałem, gdzie jest ścieżka i którą muszę uciekać. Pomogłem Orlandowi spakować namiot, ale wtedy zauważyłem Ashley. Zdążyła już złożyć swój, stała teraz po drugiej stronie obozu i czekała na pozostałych. Światło czyjejś latarki przemknęło jej po twarzy, a wtedy zobaczyłem, że wpatruje się wprost we mnie. Ta jej mina... zupełnie jakby wiedziała, co zamierzam zrobić. Nie miałem czasu o tym myśleć. Niektórzy już byli w drodze do następnego obozu. Zostałem z tyłu. Kiedy wystarczająco się oddalili, zgasłem latarkę i zszedłem ze ścieżki, a potem zlałem po skalistym stoku i tam się przyczaiłem. Widziałem, jak część dzieciaków idzie grzbietem, a inni wciąż chrzanią się przy namiotach. Lało tak ostro, że w kompletnej ciemności nie było widać nawet na pół metra. Wiedziałem, że zauważą moją nieobecność dopiero rano. Z powrotem włączyłem latarkę i ruszyłem przed siebie.

Na chwilę zamilkł, żeby znów się napić.

– Nie szedłem nawet dziesięć minut, kiedy tuż za sobą zobaczyłem drugą latarkę. To był Orlando. Mocno się wkurzyłem. Wrzasnąłem, żeby wracał, ale nie miał zamiaru. W kółko powtarzał: „Obiecałeś. Obiecałeś, że mnie zabierzesz”. Nie chciał się zatrzymać. Straciłem cierpliwość. Powiedziałem, że nie mogę go znieść. Że jest tłusty, że wszyscy robią sobie z niego jaja. Że jest żałosny i słaby i że tak naprawdę nawet własna matka go nie kocha. Że nie kocha go nikt na świecie i nigdy nie pokocha.

W tym momencie Hopper zaczął łkać. Przeszywał go bolesny, zduszony szloch.

– Chciałem, żeby mnie znienawidził. I żeby wrócił. Nie chciałem, żeby mnie lubił ani szanował.

Głęboko odetchnął, a potem zamilkł. Ukrył głowę w dłoniach. Po minucie otarł twarz ramieniem, przygarbił się w fotelu i wyraźnie chciał mówić dalej, przebrnąć przez resztę historii, bo inaczej się w niej zagubi, utonie.

– Uciekłem. Minutę później, kiedy spojrzałem za siebie, widziałem jego latarkę, małego punkcik światła w mroku, daleko w tyle. Wydawało mi się, że maleje, jakby Orlando wracał pod górę. Ale potem już nie umiałem powiedzieć, czy się oddala, czy zbliża. Może ciągle szedł za mną. Więc ruszyłem dalej. Po godzinie okazało się, że nie mam dokąd iść. Moja trasa prowadziła przez kanion zwany Narrows. Kiedy tam dotarłem, ślizgając się w błocie, okazało się, że w miejscu, gdzie powinien biec szlak, rwała wzburzona rzeka. Nie mogłem jej przebyć. Musiałem zawrócić. Trwało to strasznie długo, bo ścieżka praktycznie zmieniała się w lawinę błotną. Wcale nie byłem pewien, czy w ogóle mi się uda, i gdybym nie miał mapy, pewnie nie dałbym rady. Wydawało mi się, że błędzę po ciemku bez końca. Po trzech godzinach doszedłem do grzbietu i nowego obozu. Była piąta rano, ciągle lało. Wszyscy spali. Mojej nieobecności nikt nie zauważył. Rozwinąłem śpiwór, wkradłem się do jednego z namiotów i padłem. Kiedy się obudziłem, wychowawcy zdążyli policzyć uczestników. Brakowało Orlando. Po południu zadzwonili po Gwardię Narodową. Pamiętam, że był śliczny dzień. Błękitne niebo, jasne i piękne.

Pochylił się, wziął głęboki, rozedrgany oddech, wpatrując się w podłogę.

– Znaleźli go osiemnaście kilometrów dalej. Utonął w rzece. Wszyscy myśleli, że to był wypadek, że Orlando zagubił się w zamieszaniu. Ale ja znałem prawdę. To przez moje słowa. Zobaczył rzekę i rzucił się do niej. Ja ponosiłem winę. Zabiłem tego uroczego chłopaka, który nie zrobił nic złego, po prostu był

sobą. Z nim było wszystko w porządku. To ja byłem nieudacznikiem. To ja niepotrzebnie marnowałem tlen. To mnie nikt nie kochał. I nigdy nie miał pokochać. Rozumiecie? Ashley uratowała Orlanda – szepnął. – A ja go zniszczyłem.

Zamknął oczy. Mówiąc to, wydawał się tak udręczony, jakby te słowa raniły go do żywego. Po chwili zmusił się, żeby podnieść wzrok. Oczy miał przekrwione i pełne łez.

– Wyciągnęli nas stamtąd helikopterem i zabrali do głównego obozu – opowiadał dalej. – Zjechali się oburzeni rodzice. Wychowawców oskarżono o zaniedbania. Dwie osoby trafiły do więzienia. Wyszły na jaw niektóre metody wychowawcze i rok później obóz zmienił nazwę na Dwanaście Złotych Lasów albo jakoś tak. Nikt nie wiedział, że miałem jakikolwiek udział w tym, co się stało. Z wyjątkiem Ashley. Nic nie powiedziała. Ale poznawałem to po tym, jak na mnie patrzyła. My dwoje odjeżdżaliśmy ostatni. Po nią przyjechał czarny SUV bez rodziców, za kierownicą była tylko kobieta w kostiumie. Zanim Ashley wsiadła z tyłu, odwróciła się i spojrzała na mnie. Obserwowałem ją z domku i tak naprawdę nie mogła mnie zobaczyć, ale jakimś cudem zobaczyła. Wiedziała wszystko.

Wydawało się, że Hopper jest na granicy łez, ale nie chciał pozwolić sobie na płacz. Ze złością ocierał oczy rękawem.

– Teoretycznie każdego powinni odebrać rodzice – odezwał się schrypniętym głosem. – Mój wujek nie dotarł. Ale z policją, miejscową telewizją i rodziną Orlanda był dom wariatów, więc w końcu gliniarze tylko na mnie spojrzeli i powiedzieli: „Idź”. Mogłem sobie po prostu odejść. I dokładnie to zrobiłem.

Byłem tak zaabsorbowany opowieścią, że niemal nie zauważyłem, jak Nora skoczyła przez salon. Wzięła z regału pudełko chusteczek higienicznych, z uśmiechem podała je Hopperowi, a potem znowu usiadła na kanapie.

– Następne pięć miesięcy było dla mnie jak zaćmienie – powiedział, po czym przerwał, żeby wydmuchać nos. – Albo czarna dziura. Jeździłem stopem. Pojechałem do Oregonu, a stamtąd do Kanady. Przez większość czasu w ogóle nie

wiedziałem, gdzie jestem. Po prostu łąziłem. Noce spędzałem w motelach i na parkingach sklepów. Kradłem kasę i żarcie. Raz kupiłem heroinę, na parę tygodni zamknąłem się w motelu i odpływałem otumaniały, z nadzieją, że uda mi się odnaleźć koniec świata i tak po prostu z niego sfrunąć. Kiedy dotarłem na Alaskę, to w jednym takim miasteczku, Fritz Creek, ukradłem w sklepie spożywczym sześciopak piwa. Nie wiedziałem, że na Alasce w każdym sklepiku trzyma się strzelbę pod ladą. Właściciel strzelił mi pięć centymetrów obok ucha. Trafił w gablotę z chipsami, a potem wycelował prosto w mój łeb. Poprosiłem, żeby pociągnął za spust. Powiedziałem, że zrobi mi przysługę. Tyle że podjudzając go jak szaleniec, pewnie śmiertelnie gościa wystraszyłem, bo opuścił broń i mocno spietrany zadzwonił na policję. Miesiąc później byłem w Peterson Long, wojskowej szkole z internatem w Teksasie. Trafiłem tam tydzień wcześniej. Pamiętam, że właśnie siedziałem w bibliotece z zakratowanymi oknami i rozmyślałem, jak się stamtąd wyrwać, kiedy nagle dostałem mejla. – Uśmiechnął się nieśmiało, zapatrzył się gdzieś w dal, jakby nawet teraz wciąż był zaskoczony. – Temat brzmiał po prostu: *Czy ja się ośmielę?* Nie miałem pojęcia, co to ma znaczyć ani kto go wysłał. Dopóki nie przeczytałem adresu. Ashley Brett Cordova. Myślałem, że to żart.

– Czy ja się ośmielę? – powtórzyłem.

Hopper podniósł wzrok. Jego twarz spochmurniała.

– To z *Prufrocka*.

Oczywiście. *Śpiew miłosny J. Alberta Prufrocka*. Poemat T.S. Eliota, druzgoczący obraz paraliżu i niespełnionej romantycznej tęsknoty w nowoczesnym świecie. Nie czytałem tego wiersza od czasu studiów, ale wciąż pamiętałem kilka wersów, które odciskały się w pamięci, gdy tylko się je przeczytało: „Panie w salonie rozprawiają wiele / O Michale Aniele”³.

– W zasadzie to właśnie tak zaczęła się nasza przyjaźń – powiedział zwyczajnie Hopper. – Pisaliśmy do siebie. Nie opowiadała o rodzinie. No, czasami wspominała o bracie. A kiedy indziej o tym, co studiuje. Albo o swoich psach, dwóch

odratowanych kundlach. To właśnie dzięki jej listom stamtąd nie zviałem. Bałem się, że stracimy kontakt. Raz napisała, że może powinienem przestać uciekać przed sobą samym i spróbować stanąć w miejscu. Więc tak właśnie zrobiłem. – Pokręcił głową. – Gdy zaczęły się ferie wiosenne, nie mogłem się doczekać, kiedy ją zobaczę. Chyba gdzieś w głębi duszy myślałem, że to nie do niej pisywałem, ale do wytworu własnej wyobraźni. Wiedziałem, że Ashley jest w Nowym Jorku, więc wszedłem do internetu i znalazłem miejsce w Central Parku: Promenadę niedaleko Muszli Koncertowej. Napisałem, żeby się tam ze mną spotkała drugiego kwietnia równo o siódmej. Tandetne w chuj. Nic mnie to nie obchodziło. Nie odpisywała przez dwa dni. A kiedy wreszcie przyszła odpowiedź, składała się z jednego słowa. Najwspanialszego słowa w języku angielskim.

– Czyli jakiego? – zapytałem, gdy nie rozwinął myśli.

– „Tak”. – Uśmiechnął się skrępowany. – Żeby dostać się do Nowego Jorku, musiałem jechać trzema autobusami. Przyjechałem dzień wcześniej, spałem na ławce w parku. Cholernie się denerwowałem. Zupełnie jakbym nigdy w życiu nie był z dziewczyną. Ale Ashley nie była dziewczyną. Ona była cudem. Wreszcie minęła siódma, wpół do ósmej, ósma. Nie przyszła. Wystawiła mnie do wiatru. Było mi wstyd przed samym sobą. Już miałem się zbierać, kiedy nagle tuż obok mnie usłyszałem niski głos: „Cześć, Tygrysia Stopo”. – Podniósł wzrok i pokręcił głową z goryczą. – To moje cholerne imię plemienne znad Sześciu Srebrnych Jezior. Odwróciłem się i oczywiście była tam ona.

Zamilkł i zamyślił się urzeczony.

– No i tyle – powiedział cicho. – Nie poszliśmy spać przez całą noc, po prostu gadaliśmy, chodziliśmy po mieście. Tutaj ulicami można łązić bez końca, zrobić sobie przystanek na murku fontanny, zjeść pizzę albo lody, zachwycając się tym ludzkim karnawalem dokoła. Ashley była niewiarygodną osobą. Być obok niej znaczyło mieć wszystko. Kiedy zaczęło świtać, siedzieliśmy na schodkach jakiejś kamienicy i patrzyliśmy, jak na ulicy robi

się jasno. Wspomniała, że światło potrzebuje ośmiu minut, żeby dotrzeć do nas ze słońca. Nie da się go nie kochać: tego światła, które podróżuje z tak daleka przez przestrzeń najsamotniejszą z samotnych, żeby trafić aż tutaj. Czułem się tak, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie. – Hopper zamilkł. Spojrzał na mnie świdrującym wzrokiem. – Powiedziała, że ojciec nauczył ją żyć poza skrajem, w dalekich sferach, gdzie większość ludzi boi się zaglądać. Gdzie może się stać krzywda. Gdzie kryje się niewyobrażalne piękno oraz ból. Ciągłe stawiała sobie pytanie z *Prufrocka*: „Czy się ośmielę ład świata zakłócić?”. Jej ojciec chyba uwielbiał ten wiersz i cała rodzina odpowiadała na to pytanie swoim życiem. Wciąż przypominali sobie, by nie odmierzać życia łyżeczkami do kawy, tylko płynąć w dół, na dno oceanu, tam gdzie syreny zwoływały się śpiewem. Gdzie było tylko niebezpieczeństwo, piękno i światło. Tylko tu i teraz. Ashley mówiła, że wyłącznie tak można żyć.

Po tym gorączkowym potoku słów Hopper przerwał, żeby się uspokoić. Odetchnął głęboko.

– Taka właśnie była. Ash nie tylko pędziła na falach w morze i codziennie nurkowała tam, gdzie zwołują się syreny, ale sama była syreną. Kiedy odprowadziłem ją pod dom, już ją kochałem. Ciałem i duszą.

Przyznał to spokojnie, bez strachu, z otwartą twarzą. Wyczułem, że po raz pierwszy opowiedział o Ashley tak naprawdę. Jego chwiejny głos, słowa, którymi ją opisywał, świadczyły o tym, że latami tkwiły zatopione gdzieś głęboko; były zbutwiałe, sine i kruche, praktycznie rozsypywały się w zetknięciu z powietrzem.

– Odprowadziłeś ją na Wschodnią Siedemdziesiątą Pierwszą? – zapytałem.

Spojrzał na mnie.

– Tam, gdzie byliśmy wczoraj wieczorem.

– To dlatego wiedziałeś, jak dostać się do środka – szepnęła Nora osłupiała. – Już wcześniej się tak wspinałeś.

– Po tej pierwszej nocy, którą spędziliśmy razem, jej rodzice byli wściekli, że nie wróciła do domu. Trzymali ją na krótkiej smyczy. Miała meldować się o pierwszej nad ranem, bo jak nie, to wywiozą ją do domu na prowincji albo coś w tym stylu. Dlatego przez cały tydzień codziennie odprowadzałem ją do domu o pierwszej, a potem czekałem na nią po drugiej stronie ulicy, tam gdzie staliśmy wczoraj. Koło wpół do drugiej wychodziła przez okno i wybieraliśmy się do portu, Carlyle albo Central Parku. O szóstej rano wspinała się z powrotem. Przecięła przewody, żeby czujniki w tamtym oknie nie uruchomiły alarmu. Jej rodzice o niczym nie mieli pojęcia. I jak widać, ciągle nie mają. Wczoraj wieczorem wszystko tam wyglądało tak samo. Prawie bym się nie zdziwił, gdyby oknem wyszła Ash. – Spuścił wzrok na podłogę i dopił resztkę szkockiej. – Kiedy tamten tydzień dobiegł końca, wróciłem do szkoły. Od razu napisałem list do rodziców Orlanda i opowiedziałem, co się stało. Ashley dodała mi odwagi, chociaż nie wspomniała o tym ani słowem. Kiedy przelałem to wszystko na papier, poczułem się tak, jakby ktoś zdjął mi pętlę z szyi. Odpisali dopiero po paru tygodniach, ale kiedy w końcu dostałem list... byłem wzruszony. Pobłogosławili mnie za odwagę, za wyjawienie prawdy. Prosilili, żebym sobie wybaczył, obiecywali, że będą się za mnie modlić i że zawsze znajdę miejsce w ich domu.

Hopper, wciąż wzruszony tym listem, pokręcił głową.

– Przez następne parę tygodni Ash i ja pisaliśmy do siebie codziennie – kontynuował po chwili. – Ale pod koniec maja nie miałem od niej żadnej wiadomości przez cały tydzień. Zacząłem świrować ze strachu, że coś się stało. A potem telefon. To była Ash. Nigdy nie zapomnę, jak wtedy brzmiała. Była zrozpaczona, płakała. Mówiła, że nie może dłużej żyć z rodzicami, że chce uciec gdzieś, gdzie jej nie znajdą. Zapytała, czy z nią pojedę. A ja powiedziałem... cóż, powiedziałem najwspanialsze słowo w języku angielskim.

– Tak – szepnąłem.

Skinął głową.

– Pożyczyłem od jednego z nauczycieli pieniądze na bilety. Dziesiąty czerwca dwa tysiące czwartego roku. Godzina dwudziesta pierwsza trzydzieści pięć. United Airlines, lot numer siedem tysięcy pięćdziesiąt siedem. Z lotniska JFK do Rio de Janeiro. Byłem kiedyś w takim mieście na południu Brazylii, na wyspie Santa Catarina. Florianópolis. W życiu nie widziałem nic piękniejszego, oczywiście oprócz Ashley. Kumpel miał tam bar na plaży. Powiedział, że pomoże nam znaleźć robotę, dopóki nie wymyślimy, co dalej. Nadeszły letnie wakacje. Przyjechałem do Nowego Jorku tymi trzeba autobusami, żeby ją zobaczyć. Od tej chwili wiedziałem, że to się dzieje naprawdę. Zostawimy wszystko za sobą. Kiedy zrobiliśmy sobie te tatuaże, to był najlepszy wieczór w moim życiu. To ja słyszałem o Rising Dragon. Ale Ashley wymyśliła kirina.

– To Larry go zrobił? – zapytała Nora.

– Tak. Olbrzymi gość. Byliśmy w zakładzie tylko we trójkę. To bardzo skomplikowany tatuaż. Powinno się go robić po trochu przez miesiąc, żeby ból był jak najmniejszy. Ale my następnego dnia mieliśmy samolot, więc pozostał wybór: albo teraz, albo wcale. Gdy było już po wszystkim, objęła mnie, śmiała się, jakby wcale jej nie bolało, i powiedziała, że widzimy się jutro. Jutro wszystko się zacznie.

Hopper odetchnął głęboko, splótł palce, patrzył przez nas na wskroś, za okno, gdzie deszcz wciąż chłostał szyby. Wydawało się, że nagle znalazł się bardzo daleko stąd, w bezdennej rozpadlinie przeszłości, z której nie potrafił się wydostać. A może przypominał sobie jakiś szczegół, o którym nam nie powiedział, jakieś słowa wypowiedziane przez Ashley albo coś, co zrobiła i co na zawsze pozostanie między nimi.

Kiedy znowu na nas spojrział, zdawał się niechętny, żeby mówić dalej.

– Mogę zapalić? – zapytał cicho.

Skinąłem głową. Wstał po papierosy z kieszeni płaszcza, a ja zerknąłem na Norę. Była tak zafascynowana, że od piętnastu

minut w ogóle nie drgnęła. Siedziała z łokciem na oparciu i brodą na dłoni.

Hopper usiadł, wystukał papierosa z paczki i prędko go zapalił. Nastąpiła długa chwila ciszy. Jego twarz była mroczna, zamyślona, dym lepił się do pustej przestrzeni wokół niego.

– To wtedy widziałem ją po raz ostatni.

– Następnego dnia mieliśmy wyjechać – mówił dalej. – Dziesiątego czerwca. Ash umówiła się ze mną na szóstą wieczorem w Neil’s Coffee Shop. To taki bar przy Lexington Avenue, jedną przecznicę od jej domu. Stamtąd zamierzaliśmy razem jechać na lotnisko JFK. Minęła szósta, a ona nie dawała znaku życia. Potem minęła siódma. Ósma. Zadzwoiłem na komórkę. Nie odbierała. Poszedłem do jej domu i zadzwoniłem do drzwi. Zwykle w oknach paliły się światła. Teraz było ciemno. Zapukałem. Nikt nie otworzył. Wspiąłem się po żelaznych kratkach na balkon na pierwszym piętrze tak samo jak Ashley i wszedłem przez ostatnie okno po prawej. Rezydencja była luksusowa, przypominała pałac, ale wszystko wysprzątało. I to w pośpiechu. Skojarzyło mi się z metą przestępców, którzy postanowili dać nogę. Meble pozakrywane były jak, tak że płachty częściowo leżały na podłodze. Łóżka ogołoczone. Mleko, owoce i pieczywo wywalono na ulicę w stosach worków na śmieci. Pokój Ash znalazłem na drugim piętrze. Zostało tam trochę zdjęć i książek, widziałem jednak, że sporo jej rzeczy zabrano, naprędce wrzucono do toreb. Na szafce przy łóżku leżała przewrócona lampa. Ale w szafie, na górnej półce, znalazłem małą skórzaną walizkę ukrytą pod kocami. Wyciągnąłem ją i rozpiąłem. Były tam ubrania, letnie sukienki, T-shirty, gotówka, nuty, przewodnik Lonely Planet po Brazylii. Ashley naprawdę zamierzała ze mną jechać. Wtedy zrozumiałem, że musieli się o tym dowiedzieć rodzice i wywieźli ją, pewnie do tej posiadłości, gdzie przez całe życie uczono ją w domu.

Zamilkł na chwilę. Nerwowo obracał kciukiem koniec papierosa.

– Postanowiłem iść na policję, ale potem się do mnie odezwała. Napisała mejla. Że jej przykro, że popełniła błąd. Że byliśmy tylko parą naiwnych dzieciaków, daliśmy się ponieść chwili. Że nie chce się do nikogo przywiązywać. Spędziła ze mną wspaniałe chwile, ale to już koniec, tak po prostu. Napisała, żebym wciąż pędził na falach w morze, żebym dalej szukał

pieprzonego pałacu wodnic, gdzie syreny zwołują się śpiewem...
– Przerwał ze złością i mocno zaciągnął się papierosem. – Byłem pewien, że zmusili ją do tego rodzice – opowiadał dalej. Wydmuchnął dym silnym strumieniem. – Odpisałem, że jej nie wierzę. Że ją znajdę i będzie musiała powiedzieć mi to w twarz. Poprosiła, żebym nie kontaktował się z nią więcej. Odpisałem znowu. Że jeśli to naprawdę moja Ashley, to niech poda adres tych schodków, na których siedzieliśmy tej pierwszej nocy, kiedy słońce wschodziło nad ulicą. Przysłała właściwą odpowiedź natychmiast, w ciągu kilku sekund: „Wschodnia Dziewiętnasta sto trzydzieści jeden. I nie jestem niczyją Ashley”. To było dla mnie jak nóż w serce. Rok później dowiedziałem się, że studiuje w Amherst. Czyli nic się jej nie stało. Sama podjęła decyzję.

Odgarnął włosy z oczu i odchylił się w fotelu. Twarz miał spokojną, nawet lekko nieprzytomną.

– Odezwała się jeszcze? – zapytała cicho Nora. Ledwo dostrzegalnie skinął głową, zerknął na nią, ale milczał. – Co powiedziała? – szepnęła.

– Nic – odparł krótko. – Przysłała mi pluszową małpkę.

Oczywiście, małpka: ta wyblakła, prująca się zabawka oblepiona zaschniętym błotem. Prawie o niej zapomniałem.

– Dlaczego? – zapytałem.

Hopper spojrzał na mnie.

– Należała do Orlanda. Sypiał z nią. Nie wiem, skąd Ash ją wzięła albo jak ją znalazła. Ale kiedy wyciągnąłem tę zabawkę z koperty, zrobiło mi się niedobrze. To było chore, że mi ją przysłała, chociaż wiedziała, że codziennie myślę o tym chłopaku, codziennie muszę żyć z potworną świadomością swojego czynu. Pojechałem pod adres na kopercie, bo myślałem, że tam znajdę wytłumaczenie, dlaczego zrobiła mi coś takiego. – Zerknął w moją stronę. – I wtedy natknąłem się na ciebie.

– Nic dziwnego, że mi nie ufałeś – powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

– Podejrzywałem, że pracujesz dla jej rodziny.

– Skąd wiedziałeś, że warto odwiedzić Klavierhaus? – zapytała Nora.

– Raz byłem tam z Ash. To tam ćwiczyła.

Nora zmarszczyła czoło. Obgryzała paznokcie.

– A do Rising Dragon nie poszedłeś z nami, bo...?

– Bałem się, że ktoś mnie rozpozna. To było dawno temu, ale... nie chciałem ryzykować. I nie chciałem sobie o wszystkim przypominać. – Z żalem spojrział na swój tatuaż. – Nieraz śniło mi się, że obciąłem sobie nogę, żebym nie musiał na niego patrzeć.

– Dlaczego nam nie powiedziałeś? – zapytałem. – Przecież w którymś momencie musiałeś się zorientować, że wiemy równie mało, co ty.

Hopper pokręcił głową.

– Sam nie wiedziałem, co myśleć. W tym wszystkim, w tej wiedźmie, którą śledzimy, w ogóle nie rozpoznawałem Ashley, którą znałem. Kłątwy na podłodze? Nyktofobia? Ashley nie bała się ciemności. Ona nie bała się niczego.

– Może to nie ona wysłała małąkę? – zasugerowała Nora.

– Na kopercie jest jej charakter pisma.

– Mógł go podrobić ktoś z rodziny. Może boją się czegoś, co ci powiedziała, dlatego chcieli cię wystraszyć.

– Głowię się nad tym od tygodni. Próbuję sobie przypomnieć coś, co mówiła. Ale nigdy nie spotkałem nikogo z jej rodziny, a ona rzadko o niej wspominała, chociaż wyraźnie wyczułem, zwłaszcza po tej rozmowie przez telefon, że z ojcem jej się nie układało.

– Nic o czarownictwie? – zapytałem.

Hopper miał zagubioną minę.

– Sama myśl, że Ash mogłaby być zamieszana w coś takiego, brzmi jak szaleństwo.

– Dlaczego wysłali ją nad Sześć Srebrnych Jezior?

– Powiedziała, że straciła panowanie nad sobą i opaliła się świecą. Na lewej ręce miała szpetną bliznę po poparzeniu. To tyle.

– A co zobaczyłeś wczoraj w rezydencji?

Zanim odpowiedział, spojrział na mnie z wyraźnym niepokojem.

– Wszystko było tak samo. Zupełnie jakby nikogo tam nie było, odkąd włamałem się siedem lat temu. Te same płachty niedbale rzucone na meble. Na fortepianie Ashley z otwartą klapą te same nuty Chopina. Te same zwinięte dywany, te same stosy książek na stołach, te same kieliszki na gzymsie nad kominkiem, tyle że wszędzie dziesięć centymetrów kurzu. I smród pleśni jak w grobowcu. Ruszyłem na górę do sypialni Ashley, żeby sprawdzić, czy kiedyś tam wróciła. Naprawdę spodziewałem się znaleźć spakowaną walizkę ukrytą w szafie dokładnie tam, gdzie ją zostawiłem. Ale wtedy usłyszałem dzwonek do drzwi i musiałem zawrócić. Już prawie byłem przy oknie, kiedy zapaliło się światło i jakaś kobieta kazała mi podnieść ręce do góry. Celowała do mnie z pieprzonej strzelby.

– Inez Gallo – powiedziałem. – Widziałeś ją wcześniej?

Zmarszczył czoło.

– Przez chwilę wydawało mi się, że to ona odebrała Ashley z Sześciu Srebrnych Jezior. Ale nie jestem pewien.

– Ashley wróciła do Rising Dragon po wasze wspólne zdjęcie – powiedziała Nora. – Chciała je mieć, ale zginęło.

Hopper spojrział na nią.

– Nie zginęło.

Powoli sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął z portfela kawałek papieru.

Podał go mnie.

To była fotografia, pomarszczona i wytarta, wyjmowana i oglądana tysiące razy.

Nawet teraz, po wszystkim, co powiedział, dziwnie było widzieć ich razem, jakby zderzyły się ze sobą dwie osoby z dwóch różnych światów. Siedzieli na składanym fotelu, trzymając się za ręce. Zdjęcie uchwyciło moment młodości i szczęścia – moment tak wielkiej wolności, że aparat nie potrafił go zatrzymać. Uwiecznił ich w rozmazanych plamach, jakby oboje byli tacy nowi i tacy zwiewni, że nie istnieją słowa zdolne

ich opisać. Tatuaze na złączonych stopach układały się w tę bojową, płomienną istotę, skaczącą ku śmierci albo ku życiu.



Dałem Hopperowi koc i poduszkę, żeby mógł spać na kanapie. Ciągłe lało, a on chyba nie chciał wracać do domu.

Nora sennie powiedziała „dobranoc” i wślizgnęła się do pokoju Sam.

Ja też poszedłem do łóżka. Byłem wyczerpany fizycznie i umysłowo, ale zanim zgasilem światło, na komórce odszukałem w internecie Sześć Srebrnych Jezior, żeby zweryfikować szczegóły opowieści Hoppera. Trafiłem na kilka artykułów o utonięciu, które miało miejsce w lipcu 2003 roku. Skany wielu autentycznych wycinków z prasy umieszczono na stronie zaginioneanioly.com.

ŚLEDZTWO W SPRAWIE ŚMIERCI NA OBOZIE W GŁUSZY ZION

Stacey Liu

PARK NARODOWY ZION, UTAH. Pięciu wychowawców z prywatnego obozu dla trudnej młodzieży zostało aresztowanych, a sześciu innych odeszło z pracy po śmierci 15-letniego chłopca w powodzi błyskawicznej, która miała miejsce w parku w poniedziałkową noc.

Wychowawcy obozu terapii dziką naturą Sześć Srebrnych Jezior nie zauważyli nieobecności Orlando Wanga (l. 15) podczas przenosin obozu ze szlaku Canyon Overlook w trakcie ulewnych opadów.

Wanga znaleziono dopiero po siedmiu godzinach, kiedy w okolicy spadło kolejne trzynaście centymetrów deszczu, wywołując gwałtowne powodzie. Służby parkowe zaalarmowano we wtorek tuż po godzinie 7 rano. Po szeroko zakrojonych poszukiwaniach ciało chłopca wyłowiono z północnej odnogi Rzeki Dziewicznej.

Wychowawcy zostaną postawieni w stan oskarżenia za zaniedbania i znęcanie się nad podopiecznymi. Odmówili poddania się badaniu poligrafem.



MARŻENI

Przeczytałem pozostałe artykuły. Wszystkie potwierdzały to, co mówił Hopper.

A więc ją kochał. Oczywiście. Wiedziałem to już wcześniej.

Ashley.

Jakaż ona była nieuchwytna, jakże zmieniała postać, zdawała się utworzona z równie wielu sprzecznych istot, co ten tatuaż. Głowa smoka, ciało jelenia. Inklinacje więdźmy. Była latarką Orlanda w ciemności za naszymi plecami, punkcikiem światła wśród ulewnego deszczu, ścigającym Hoppera, ścigającym mnie. Była latarnią o tajemniczym pochodzeniu i celu. Nie sposób stwierdzić, czy zbliżała się ku mnie, czy oddalała. Czym właściwie różni się to, co cię prześladowuje, od tego, co cię dokądś prowadzi?

Zgasilem światło i zamknąłem oczy.

Czy ja się ośmielę?

Zerwałem się gwałtownie, serce mi waliło. W pokoju było ciemno i pusto, a jednak miałem uczucie, że ktoś właśnie szepnął mi te słowa do ucha.

Złapałem telefon z szafki przy łóżku, wyszukałem *Prufrocka* w Google'u i zamglonym wzrokiem zacząłem czytać wiersz.

Był równie dojmujący i smutny, jaki wydał mi się na studiach – albo nawet bardziej, bo nie czytałem go już jako arogancki nastolatek, a wersy o czasie, słowa „Starzeję się... Starzeję się” teraz naprawdę coś dla mnie znaczyły. Prufrock, podmiot liryczny, to swoisty spreparowany insekt, który wciąż się szarpie, przybity szpilką do tego nieznośnego, banalnego życia, świata niekończących się spotkań towarzyskich, przyjęć i głupich spostrzeżeń. Współczesnym odpowiednikiem byłby pewnie człowiek zostawiony sam na sam ze swoimi ekranami i telefonami, z tweetowaniem, dodawaniem do znajomych i aktualizowaniem statusu, nieprzerwanym trajkotem kultury internetowej. Myśli Prufrocka wahają się między rezygnacją, chwiejną, złudną wiarą, że ciągle ma czas, i głębokim pragnieniem czegoś więcej, zabijania i płodzenia.

Hopper powiedział, że cała rodzina odpowiadała na ten wiersz swoim życiem.

Jeśli rzeczywiście, to ich życie musiało być zapamiętałe, odurzające. To by nawet pasowało do opowieści o mistycznym popołudniu, które Peg Martin opisała na wybiegu dla psów,

a także do niektórych wczesnych historii o Ashley. Ale mogło także być niewolą, piekłem – to pogoń za tym, co zakłete, nurkowanie coraz głębiej i głębiej ku samotnemu pałacowi wodnic. Szukanie syren.

To tragiczny cel w życiu, zupełnie jak poszukiwanie Edenu.

Zamknąłem oczy. Ręce i nogi miałem tak ciężkie, że zdawały się wtapiać w łóżko. Mój umysł uwolnił wszystkie myśli, więc wzleciały w powietrze, niepowiązane i bezładne.

Zaatakowała gościa. Nazywa się Pająk. Znajomość mroku w jego najbardziej skrajnej formie. Nie szanujesz mroku, McGrath. Tego, co ciemne i niewyjaśnione. W historii tej rodziny kryją się jakieś potworne czyny. Jestem tego pewna. Suwerenny. Zabójczy. Perfekcyjny.

Słyszeć było jedynie dźwięk deszczu, który grał na szybach jak zmęczona orkiestra. Dopiero kiedy zapadałem w sen, burza dopuściła kilka delikatnych nut – nitki jakiejś nowej pieśni – a potem gwałtownie ustała.

– To on – powiedziałem.

Zostawiłem Norę i Hoppera siedzących na barierce w ślepych zaułku Wschodniej Czterdziestej Pierwszej – tuż przed Campanile, eleganckim apartamentowcem z piaskowca wznoszącym się nad East River – i żwawo ruszyłem chodnikiem w kierunku zbliżającego się mężczyzny w szarej liberii portiera.

Był bardzo niski i bardzo łysy, niósł w ręce mały kubek kawy z delikatesów, a w jego kroku była jakaś szelmowska sprężystość. Mógłby udawać kuzyna Danny’ego DeVito.

Dogoniłem go pod szarą markizą.

– Pan Harold, prawda?

Uśmiechnął się radośnie.

– To właśnie ja.

Przedstawiłem się. Skinął głową, natychmiast rozpoznając nazwisko.

– Ach tak. Ten narwany dziennikarz. Pani du Pont uprzedzała, że pan wpadnie. Więc pan... no... – Uniósł głowę, żeby zerknąć mi przez ramię, a potem zniżył głos. – Pan chce wejść i zobaczyć Marlowe.

– Olivia mówiła, że może nam pan załatwić trochę czasu na rozmowę.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Z Marlowe się nie rozmawia.

– A co się robi?

– A co się robi z ludożerczymi bestiami? Obchodzi się je na paluszkach, modląc się, żeby nie były głodne. – Znowu się zaśmiał, lecz potem spoważniał, widząc moje zmieszanie. – Proszę wrócić wieczorem. Punktualnie o jedenastej. Zawiozę pana na górę. Ale potem, no, będzie pan zdany na siebie.

– Co to ma znaczyć?

– Z zasady nigdy nie zapuszczam się dalej niż do pralni.

– Chcę porozmawiać z Marlowe, a nie włamać się do jej mieszkania.

– Mhm, właśnie tak się z nią rozmawia. Tak odwiedza ją pani du Pont. Pani du Pont pokrywa wszystkie koszty, więc formalnie

rzecz biorąc, zakrada się do własnego mieszkania.

– Olivia zakrada się do mieszkania siostry w środku nocy? – Nie mogłem sobie wyobrazić Olivii du Pont zakradającej się gdziekolwiek.

– O tak. Marlowe Hughes i światło dnia to niedobre połączenie. W nocy jest, hm, bardziej wyluzowana.

– Dlaczego?

– O ósmej przychodzi dealer. Parę godzin później Marlowe fruwa nad arkadią na latającym dywanie. – Uśmiechnął się szeroko, ale na widok mojej reakcji pokręcił głową, jakby chciał się usprawiedliwić. – Daję słowo, że to jedyny bezpieczny sposób, żeby tam wejść. To właśnie wtedy robimy naprawy, wyrzucamy śmieci, sprawdzamy, czy nie zostawiła odkręconego gazu albo nie zapchała ubikacji listami od wielbicieli. Raz w tygodniu pani du Pont zanoszą na górę świeże jedzenie i kwiaty. Gdyby zrobiła to w ciągu dnia, byłaby jatka. A tak, kiedy Marlowe się budzi, myśli, że odwiedziły ją elfy świętego Mikołaja. – Wypił łyk kawy, spojrzał mi przez ramię i coś zauważył. Z Campanile wyszedł jeden z pozostałych portierów. – Artie musi sobie zrobić przerwę. Niech pan po prostu, yyy, przyjdzie o jedenastej, to wprowadzę pana na górę. Ale... – Zmrużył oczy. – Kojarzy pan taki elektryczny kij na tygrysy, którego używa się w cyrku? Może się panu przydać. – Zaśmiał się głośno z własnego dowcipu i ruszył chodnikiem. – Chociaż nawet takim pogromcom jak Siegfried i Roy nie pomogło – rzucił przez ramię – więc nic nie obiecuję.

Kwadrans później siedzieliśmy w oknie Starbucksa na rogu Wschodniej Pięćdziesiątej i Drugiej Alei.

– To idealna sytuacja – powiedział Hopper. – Skoro Hughes będzie nieprzytomna, zdążymy dokładnie obejrzeć jej mieszkanie.

Ulżyło mi, że po tym wszystkim, co nam powiedział, tego ranka Hopper był w dobrej formie. Trudno przewidzieć, jak ktoś zareaguje po takiej spowiedzi. On jednak wydawał się teraz bardziej skupiony.

– To jak tajny dostęp do domu Marilyn Monroe – dodała Nora. – Albo Elizabeth Taylor. Pomyślcie o tych wszystkich zdjęciach, listach, romansach z prezydentami, o których nikt nie ma pojęcia. Może ona nawet wie, gdzie jest Cordova.

– Chociaż splądrowanie domu Marlowe, podczas gdy ona sama będzie w narkotycznej śpiączce, brzmi bardzo kusząco – odparłem – to ta cała operacja jest możliwa tylko dzięki Olivii. Nie chcę, żeby się dowiedziała, że przetrząsnąłem mieszkanie jej siostry jak stragan na targowisku staroci.

– Będziemy działać szybko – zapewnił Hopper. – Zostawimy wszystko dokładnie tak, jak zastaniemy.

Nie odpowiedziałem. Spoglądałem na drugą stronę ulicy. Parę metrów od lokalu Lasagna Ristorante pod ścianą z cegły kręcił się jakiś podejrzany siwowłosy mężczyzna w czarnym płaszczu. Stał tam od pięciu minut i prowadził burzliwą rozmowę przez telefon, ale co jakiś czas zerkał wprost na nas.

– Pora zdobyć listę gości Waldorfa – stwierdziłem, nie spuszczać z niego wzroku. – Wszystkich, którzy zatrzymali się na trzydziestym piątym między trzydziestym wrześniem a dziesiątym października, czyli kiedy Ashley była w Nowym Jorku. Porównamy ten spis z listą członków Oublette. Jeśli jedno nazwisko pojawi się na obu, to właśnie tej osoby szukała Ashley. To będzie Pająk.

Siwy rozłączył się i odszedł na północ w kierunku Drugiej Alei. Czekałem, czy nie zawróci albo nie przejdzie przez ulicę, lecz chyba zniknął.

- Ale jak zdobędziemy te nazwiska? – zapytała Nora.
- W jedyny możliwy sposób. – Dopilem kawę. – Korupcja i zastraszanie.

Spacerowym krokiem wszedłem do holu Waldorf Towers, żeby przeprowadzić rekonesans.

Dziś w recepcji dyżurowali atrakcyjna kobieta po trzydziestce z długimi, lśniąco czarnymi włosami – identyfikator informował, że nazywa się Debra – oraz młody Japończyk Masato. Debra odebrała parę telefonów, a potem wyjęła spod lady dużą torebkę Louis Vuittona. To dobry znak: lubiła luksusowe produkty, więc przyda jej się trochę gotówki na kolejne. Tymczasem Masato stał ze stoickim spokojem przy drugim końcu lady, nic nie robiąc i nic nie mówiąc, niczym wojownik kendo biegły w drodze miecza.

Singielka i ostatni samuraj – nie potrzeba geniusza, żeby stwierdzić, które z nich może być bardziej podatne na przekupstwo.

Spotkałem się z Norą i Hopperem naprzeciw hotelu, na schodkach Świętego Bartłomieja. Opisałem im Debrę, po czym podzieliliśmy między siebie godziny obserwacji, żeby złapać ją samą, gdy tylko wyjdzie z hotelu. Jedno z nas miało obserwować spod kościoła drzwi dla pracowników, a pozostała dwójka – czekać nieco dalej w Starbucksie.

Minęły cztery godziny. Chociaż z hotelu wyszło sporo pracowników – przechodzili na drugą stronę ulicy, żeby dyskretnie zapalić papierosa – to Debra się nie pojawiła.

O czwartej jeszcze raz wybrałem się do holu. Okazało się, że Debra musiała wymknąć się innymi drzwiami, bo w recepcji został tylko Masato.

– Każdy ma swoją cenę – stwierdził Hopper, kiedy opowiedziałem o tym niefortunnym rozwoju wydarzeń.

– No tak, tylko że gość wygląda, jakby jego ceną było trzysta świątych głów i jedna katana.

Równo o szóstej Nora dała nam znać, że Masato wychodzi z hotelu. Zdołałem go dogonić.

– Jasne, mogę to zrobić – odparł z idealnym amerykańskim akcentem, kiedy wyjaśniłem, o co chodzi. – Za trzy tysiące dolarów. Gotówką.

Roześmiałem się.

– Pięćset.

Wstał i wyszedł ze Starbucksa. Byłem pewien, że blefuje, ale już po chwili zjeżdżał schodami do metra prosto w gęsty tłum.

– Osiemset – rzuciłem, przepychając się za nim wśród toreb z zakupami. Kobiety rzucały mi wściekłe spojrzenia. Masato się nie odwrócił. – Tysiąc. – Żeby stanąć obok niego, musiałem odepchnąć jakąś dziewczynę w okularach ze szylkretowymi oprawkami, w których przypominała sowę. – Razem z adresami. – Masato tylko włożył na uszy duże niebieskie słuchawki didżejskie. – Tysiąc dwieście. To moje ostatnie słowo. I za tę cenę chcemy wiedzieć, jakie orzeszki jedli z minibaru.

Dobiliśmy targu.

Parę minut później Masato z imponującą miną pokerzysty wślizgnął się z powrotem do Waldorfa, a ja poszedłem za róg do bankomatu, a potem wróciłem do Starbucksa. Minęła godzina. Tłum wracających do domu, który wcześniej był jak gwałtowna powódź, teraz zmienił się w cienką strużkę kobiet o zmęczonych twarzach oraz mężczyzn w wymiętych garniturach. Kolejne pół godziny, a po Masato ani śladu. Kiedy zaczynałem już myśleć, że coś się stało, nagle wszedł do kawiarni i wyciągnął z torby grubą kopertę.

Było tam ponad dwieście nazwisk – ułożonych alfabetycznie i podzielonych na dni pobytu – włącznie z numerami telefonów, na które dzwoniono z każdego pokoju. Wręczyłem mu gotówkę, którą otwarcie przeliczył. Najwyraźniej w tym Starbucksie wszyscy przywykli do transakcji rodem z półświatka, bo pracownicy za ladą, którzy patrzyli, jak przez cały dzień czailiśmy się w oknie, beznamiętnie przyjmowali kolejne zamówienia.

– Poczwórne venti latte na soi!

Masato schował gotówkę do torby na ramię, po czym wyszedł bez słowa. Włożył słuchawki i zniknął w metrze.

Zamówiliśmy kawę, usiedliśmy przy stoliku w kącie na tyłach lokalu i zaczęliśmy przekopywać się przez listę gości, porównując

nazwiska ze spisem członków Oubliette.

Robiliśmy to od ponad godziny, na zmianę czytając je na głos, gdy nagle Nora podskoczyła podniecona i szeroko otworzyła oczy.

– Jak to się pisze? To ostatnie nazwisko, które przeczytałeś.

– Villarde – powtórzył Hopper. – V-I-L-L-A-R-D-E.

– Jest! – szepnęła oszołomiona, pokazując nam kartkę.

Spojrzałem na nazwisko na liście członków Oubliette.

Hugo Gregor Villarde III.

Na liście z Waldorfa figurował jako Hugo Villarde.

Zatrzymał się na jedną noc, pierwszego października, w pokoju numer 3010. Nie korzystał z telefonu. Jako miejsce zamieszkania podał adres w Hiszpańskim Harlemie.

Wschodnia Sto Czwarta Ulica, numer 175.

Wpisałem jego nazwisko do Google'a na komórce.

Nie pojawił się ani jeden rezultat.

– I to jest właśnie najstraszniejsze – powiedziała Nora.

– Wrzucić adres – zasugerował Hopper.

Pojawiła się informacja o jakiejś firmie, sklepie o nazwie Pęknięte Drzwi. Nie miał własnej strony, a jedynie suchy wpis na Yelp.com, w którym określano go jako sklep dla „wyrobionych koneserów osobliwych antyków”.

– Otwarty w czwartek i piątek od szesnastej do osiemnastej – odczytała mi przez ramię Nora. – Dziwne godziny.

– Pojedziemy tam jutro – zdecydowałem.

Kiedy wpatrywałem się w to jedno nazwisko powtarzające się na obu kartkach, zalała mnie fala radości i ulgi. Nareszcie jakiś przełom – maleńka szczelina, w którą można by wepchnąć palce, żeby szeroko rozewrzeć zasłonę tej całej tajemnicy: człowiek, którego Ashley szukała w ostatnich dniach życia.

– Nie macie się czego obawiać – wyjaśnił Harold, zatrzymując się na dziewiątym piętrze, żeby otrzeć łyse czoło zlane potem, a potem znów ruszył za nami po schodach. – O ósmej był dealer, więc teraz Marlowe buja w Cukierkowej Krainie.

– Całą noc jest nieprzytomna? – zapytała Nora.

– Pod warunkiem, że będziecie cicho. Parę miesięcy temu wysłaliśmy do niej majstra, żeby wykonał kilka napraw. Nagle usiadła w łóżku i zaczęła do niego gadać, myśląc, że to jej były mąż. Zarzucała biedakowi skoki w bok. A on po prostu chciał wymienić zawór w kaloryferze. Ale Marlowe jest słaba i porusza się tylko na wózku, więc nie musicie się martwić, że się na was rzuci.

Przystanąłem, żeby się upewnić, że żartuje, ale on tylko ciężko dyszał, wdrapując się po ostatnich stopniach na dziesiąte piętro. Wygrzebał klucze z kieszeni spodni i podszedł do białych drzwi, jednych z dwojga oznaczonych numerem 1002.

– Gdybyście mnie potrzebowali w pilnej sprawie, to w kuchni jest domofon.

– Jakiej pilnej sprawie? – zapytałem.

– Po prostu bądźcie ostrożni. Postarajcie się niczego nie dotykać. Nie lubi, jak ktoś jej coś przekłada. – Obrócił gałkę i łagodnie otworzył drzwi, ale okazały się zamknięte od wewnątrz na łańcuch. – Chyba dziś ma jeszcze większą paranoję niż zwykle – mruknął. Wsunął dłoń przez szparę i sprawnie zdjął łańcuch. – Wychodząc, zamknijcie drzwi od środka. – Ruszył w dół po schodach. – Powodzenia.

Wymieniliśmy we trójkę osłupiałe spojrzenia.

– Żal mi jej – powiedziała Nora. – Zamkniętej we własnym mieszkaniu.

Słyszeliśmy tylko neonowe skwierczenie żarówki na klatce schodowej, a w dole równy tupot wycofującego się Harolda.

Wślizgnęliśmy się do mieszkania. Znaleźliśmy się w ciemnej pralni, gdzie cuchnęło potem i talkiem. Włączyłem lampę pod sufitem. Wszędzie wałały się sterty jedwabnych szlafroków

i piżam, piętrzyły się na pralce, wylewały z koszy na bieliznę, poniewierały na podłodze. Jedna wyglądała jak strój króla Syjamu: nadęte rękawy, czerwona szarfa. Uchyliłem drzwi naprzeciwko i wyjrzałem na długi, ciemny korytarz.

W mieszkaniu panowała cisza. Jedyne światło padało z otwartych drzwi na samym końcu. Według opisu Harolda była to sypialnia Marlowe.

– Chyba śpi przy włączonej lampie – szepnęła Nora tuż obok mnie.

– Zerkniemy tam – powiedziałem. – A potem się tu rozejrzemy.

Wyszliśmy na korytarz. Ściany były szczelnie pokryte fotografiami w ramkach. Akurat wystarczało światła, żeby się im przyjrzeć: Marlowe w czarnym kapeluszu z szerokim rondem leżąca nad basenem wśród palm; Marlowe na premierze *Ojca chrzestnego II* pod rękę z Alem Pacino; Marlowe w sukni ślubnej z lat osiemdziesiątych (rękawy bufiaste jak rękawki do pływania) uśmiechająca się do całkiem nijakiego pana młodego, który wydawał się zszokowany, że bierze ślub z taką piękną. To na pewno ten weterynarz, za którego wyszła po Cordovie. Na jego temat Beckman powiedział tylko jedno: „Facet, którego to małżeństwo tak bardzo przerastało, że miał chorobę wysokościową”. Chociaż szukałem, nie znalazłem ani jednego zdjęcia Cordovy albo z czasów, gdy mieszkała na Szczycie. Dalej, dokładnie pośrodku korytarza, za fotografią z planu *Zakochanych i innych*, na której Marlowe siedziała na kolanach Giga Younga, znajdował się najważniejszy element galerii: olbrzymia czarno-biała odbitka jej cudownego profilu. Marlowe odchyłała głowę do tyłu zanurzona w światłocieniach. Jej piękno było zjawiskowe, tak ogłuszające, że pękały obiektywy i żarówki fleszy, a umysł doznawał zwarcia i mamrotał: „Niemożliwe”. W rogu zdjęcia widniał podpis: „Cecil Beaton, 1979”.

Minęliśmy troje otwartych drzwi, ale w kolejnych pomieszczeniach było tak ciemno, że nic nie widzieliśmy. Na pewno zaciągnięto tam zasłony.

Zatrzymaliśmy się przed sypialnią Marlowe, oszołomieni widokiem, który roztaczał się przed nami. Nigdy w życiu nie widziałem takiego tropikalnego splendoru w stanie rozkładu.

Pokój przypominał wyschniętą lagunę, wybieg flamingów w zoo, które zbankrutowało przed wieloma laty. Dwie olbrzymie sztuczne palmy smętnie ocierały się o sufit. Różowa tapeta w kwieciste wzory usiana była czarną pleśnią, jakby sypialnia miała popołudniowy zarost. Silny aromat odświeżacza powietrza nakładał się na woń stęchlizny, a ta nakładała się na zapach chloru rodem z motelowego basenu. Malutka mosiężna lampka zalewała różowym światłem antyczne drewniane komody i stoliki, rzeźbione i pozłacane. Wszędzie stały porcelanowe figurki – mali dobosze, mopsy, łabędzie z nadkruszonymi dziobami. Wazony pęczniały od sztucznych kwiatów, które nawet nie próbowały udawać prawdziwych: liście były błyszczące i plastikowe, olbrzymie kwiatostany – barwione jak syntetyczne cukierki. W głębi pokoju, niczym przycumowany stary prom, spoczywało wielkie barokowe łóżko.

W samym jego środku, zanurzona pod falami różowej pościeli z satyny, leżała mała, skulona postać.

Marlowe Hughes. Ostatni flaming.

Była tak mała i tak koścista, że trudno było sobie wyobrazić, że tam w ogóle jest kobieta – a na pewno nie ta, którą magazyn „Life” porównał do „basenu pośrodku pustyni Gobi”. Spod pościeli wystawały kępy nastroszonych platynowych włosów niczym wiechcie trawy na wydmach.

Wszedłem na palcach, a Hopper za mną. Dźwięki naszych kroków tłumił dywan, kiedyś był chyba jasnokremowy, a teraz zbrązowiały w głębokich brzdach wydeptanych wokół pokoju. Zatrzymałem się przy szafce na lewo od łóżka. Leżało tam pełno pomarańczowych pojemników z lekami na receptę, stała szklana butelka z dziwnym neonowożółtym płynem oraz popielniczka pełna petów umazanych kasztanową szminką. Przy łóżku znajdowała się czerwona gaśnica. To na wypadek, gdyby Marlowe niechcący się podpaliła.

Kołdra całkowicie przykrywała jej twarz. W tym nieruchomym, zwiotczalym kłębku było coś tak kruchego, aż miałem wyrzuty sumienia z powodu naszego wtargnięcia.

– Panno Hughes? – szepnąłem.

Nie drgnęła.

– Jak wygląda? – zapytała nerwowo Nora od progu. – Wszystko z nią w porządku?

– Zupełnie jak z pękniętą oponą na poboczu.

– Pytam serio. Śpi?

– Chyba tak.

Hopper, który zatrzymał się przy drugiej szafce nocnej, oglądał właśnie etykietkę pojemnika z lekiem na receptę.

– Pentobarbital – mruknął i potrząsnął pojemnikiem, tak że zagrzechotały pastylki. Potem go odstawił. – Bardzo retro.

Podszedł do komody, która stała pod ścianą między oknami przykryta przez wydęte różowe zasłony przypominające sukienki druhen z lat osiemdziesiątych. Otworzył górną szufladę, zajrzał do środka i wyjął jakąś kartkę.

– „Droga panno Hughes” – odczytał cicho. – „Zacznę od tego, że jestem Pani największym fanem”.

Stałem obok niego. W szufladzie znajdowały się stosy kopert. Niektóre, pomięte, leżały luzem, inne były spięte gumkami. To listy od wielbicieli. Sięgnąłem po jakąś kopertę. W miejscu adresu zwrotnego widniał napis „Zakład Karny Boonville C-3”, a na znaczku był stempel „21 MAJA 1980”. List niezdarnie napisano na maszynie na cienkim papierze. „Droga panna Hughes, 4 lipca 1973 o godzinie 1.32 zastałem człowieka na parkingu Joe’s Barbecue”. Przeczytałem resztę: błagał, żeby mu odpisała, a na koniec wyznawał jej miłość. Złożyłem kartkę, a potem wyjąłem kolejną. „Droga Marlowe, jeśli kiedykolwiek będziesz przejeżdżać przez D’Lo w Missisipi, odwiedź, proszę, moją restaurację Villa Italia. Nazwałem danie na Twoją cześć: *Bellisima Marlowe*. To capellini w białym sosie z małży”. Odłożyłem list.

W kącie znajdował się regał wypełniony czasopismami, a tuż przed nim stał złożony wózek inwalidzki. Kiedy ruszyłem w tamtą stronę, zorientowałem się, że listy od wielbicieli wniknęły w ten pokój niczym pasożyty: były wetknięte w każdy zakamarek, wypełniały każde puste miejsce, leżały na stosach magazynów plotkarskich sięgających lat siedemdziesiątych (na okładce jednego z numerów widniało paskudne zdjęcie Marlowe i nagłówek: *Nawalona! Marlowe na odwyku. Szczegóły tajemniczej zapaści*) i na oprawionym pliku kartek, który – gdy go wyciągnąłem – okazał się poplamionym kawą scenariuszem *Intoxicatora* autorstwa Paddy’ego Chayefsky’ego. Na stronie tytułowej nagrodzony Oscarem scenarzysta umieścił dedykację dla Marlowe: *Panno M – napisałem to z myślą o Pani, P.* Wyjąłem kolejny stos papierów. To były wydruki wyników z Google’a.

Marlowe Hughes. Około 32 000 000 wyników.

Hopper czytał kolejny list, a Nora pochylała się nad toaletką zarzuconą starymi butelkami po perfumach i szkatułkami z biżuterią. Oglądała sepiowe zdjęcia wetknięte za ramę poplamionego lustra, przedstawiające chyba niemowlęta.

– Do roboty – szepnąłem. – Wy sprawdźcie te pokoje w korytarzu. Ja się tu rozejrzę i będę miał na nią oko.

Chyba nie chcieli stąd wychodzić. Sama sypialnia działała jak barbituran: łatwo byłoby błądzić bez końca po tych Pompejach roztrwonionych nadziei. Ale Nora kiwnęła głową, z powrotem wetknęła zdjęcie pod ramę lustra, a potem oboje zerknęli na mnie po raz ostatni i wyszli z pokoju, zamykając drzwi.

Znowu spojrzałem na ten kłębek na łóżku. Nie drgnął.

Po przeciwnej stronie sypialni, za toaletką, znajdowały się drugie drzwi. Zakradłem się tam, łagodnie je pchnąłem i włączyłem światło.

Była to duża garderoba wyładowana ubraniami. Wykoślawione czółenka i szpilki stały w równych rzędach, a drzwi naprzeciwko prowadziły do łazienki.

Czuło się silną woń naftaliny. Na pierwszy rzut oka stroje pochodziły głównie z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Na samym końcu wieszaka zauważyłem kilka bladofioletowych pokrowców na ubrania, które wyzierały zza obszytych cekinami sukni wieczorowych, jakby miały nadzieję, że nikt ich nie zauważy. Było ich dziewięć. Nie spodziewając się niczego szczególnego, odsunąłem suknie, wyciągnąłem pierwszy pokrowiec i rozpiąłem suwak.

Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że w środku znajduje się biały kostium, który Hughes nosiła przez cały film *Owoc miłości*. Pokrywały go plamy po trawie, a w wewnętrznej kieszeni wszyta była metka kostiumografki Cordovy: *Larkin*.

Wyjąłem i otworzyłem kolejny pokrowiec. Taki sam kostium. Rozpiąłem następny: znów identyczny, choć tym razem ubrudzony krwią. Podrapałem paznokciem zaschnięte brązowe plamy. Wydawały się bardzo autentyczne.

W kolejnym pokrowcu wisiał jeszcze jeden egzemplarz tego kostiumu, tyle że znacznie bardziej umazany krwią i błotem, a sukienka była rozdarta. W następnym – taki sam, ale idealnie czysty, nieskazitelnie biały.

Przez cały film, który rozgrywał się na przestrzeni doby, Hughes miała na sobie jeden kostium. Najwyraźniej Larkin wykonała dziewięć wersji, każdą poplamioną inną ilością krwi, błota, potu, piwa i trawy w zależności od tego, w którym momencie fabuły znajdowała się bohaterka. Na samym końcu filmu, po wszystkim, przez co przechodzi postać Hughes, polując na swojego szantażystę i byłego alfonsa – zostaje zgwałcona, pobita, gonią ją przez osiedla, szosy i uliczki, wstrzykują jej środki uspokajające – ubranie jest brązowe i podarte. Hughes ściąga je z siebie i pali w grillu w swoim ogródku na beztroskim przedmieściu, a potem kładzie się do łóżka obok śpiącego męża pediatry, który nie wie i nigdy się nie dowie o przeszłości żony ani o katuszach, jakie przeszła przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

W przejmującym ostatnim ujęciu filmu obejmuje ją ramieniem przez sen, a ona, zupełnie przytomna, patrzy w mrok swej idealnej sypialni. Ten kadr zdaje się odzwierciedleniem

poglądu Cordovy na temat kruchych więzi międzyludzkich oraz najgłębszych tajemnic o nas samych, w ostatecznym akcie człowieczeństwa zatajanych przed tymi, których naprawdę kochamy.

Wyjąłem telefon i zrobiłem kostiumom kilka zdjęć, a potem zapiąłem pokrowce, odwiesiłem na miejsce w głębi szafy i zgasiłem światła.

Kiedy jednak wróciłem do sypialni, szeroko otworzyłem oczy z zaskoczenia.

Łóżko było puste!

Ta zwiotczała bryłka zniknęła. Różowa kołdra z satyny była odrzucona na bok.

– Panno Hughes?

Żadnej odpowiedzi. Kurwa.

Musiała się tu gdzieś ukrywać.

Wózek wciąż stał złożony pod regałem, a drzwi sypialni nadal były zamknięte. Uniosłem różową falbankę z tafty maskującą dół łóżka.

Nic. Tylko parę zmiętych chusteczek higienicznych.

Podszedłem do zasłon, szarpnąłem je na bok, a potem sprawdziłem łazienkę. Była pusta. Nad brudnym lustrem działały jedynie dwie żarówki, a na blacie wały się stare kosmetyki: róże do makijażu, pokruszone pudry, sztuczne rzęsy w plastikowych pudełkach. Za drzwiami bezwładnie wisiał czerwony szlafrok. Odsunąłem zasłonę prysznicową. Z zardzewiałego natrysku dyndała brudna myjka. W koszyku stały zapyziałe butelki. Szampon. Odżywka. Serum. Miałem nadzieję, że nie pochodzą z czasów, kiedy ostatnio myła włosy.

Wymknąłem się na korytarz. Norę zastałem w sąsiednim pokoju, zagraconym przez walizki i stare pudła. Zapaliła tu lampę i właśnie grzebała w szafie.

– Zgubiłem Marlowe.

– Co?

– Wymknęła się z łóżka, kiedy nie patrzyłem.

– Przecież Harold mówił, że przemieszcza się tylko na wózku.

– Harold się mylił. Ta kobieta porusza się jak Vietcong.

Wyskoczyłem z pokoju, a Nora za mną. Przeszukaliśmy sąsiedni pokój, zdobny salon przypominający przegniłe terrarium, a potem ruszyliśmy do kuchni, gdzie zastaliśmy Hoppera. Fotografował wycinki prasowe przypięte magnesami do lodówki – wyblakłe rozkładówki ze zdjęciami Marlowe.

– Tutaj na pewno jej nie ma – stwierdził, kiedy wyjaśniłem, co się stało. – Nie wyszedłem stąd ani na chwilę.

Kiedy to mówił, zauważyłem, że tuż za nim poruszyły się drzwi kuchenne.

– Panno Hughes?! – zawołałem. – Proszę się nie bać. Chcemy tylko porozmawiać.

Gdy ruszyłem w ich stronę, poleciały do przodu, a z blatu zeskoczyła z furkotem drobniutka postać spowita w czarną

satynę, z twarzą ukrytą w obszernym kapturze. Rzuciła się na mnie z tasakiem do mięsa.

Z łatwością go odtrąciłem – kobieta miała siłę muchy – i upadł na ziemię. Jej ramię okazało się zaskakująco kruche. Miałem wrażenie, jakbym chwycił sztaketkę ogrodzenia. Odruchowo ją puściłem, a ona obróciła się, mocno kopnęła mnie w krocze, a potem wyskoczyła z kuchni. Drzwi zakołysały się gwałtownie. Rzuciliśmy się za nią. Hopper chwycił ją za kaptur szlafroka.

Zaczęła wrzeszczeć i wierzgać, kiedy złapał ją w ramiona, a potem zaniósł do salonu i posadził pod sztucznymi palmami w fotelu obitym fioletowym aksamitem.

– Proszę się uspokoić – powiedział. – Nie zrobimy pani krzywdy.

Nora zapaliła żyrandol, a wtedy Marlowe natychmiast zwinęła się w pozycji embrionalnej i ukryła twarz w kolanach, jak gdyby była nocnym kwiatem wrażliwym na światło. Całkowicie przykrywał ją jedwabny szlafrok, więc w pomidorowoczerwonym wnętrzu wydawała się tylko kupką materiału rzuconą na fotel.

– Zgaście światło – szepnęła chrypliwie. – Zgaście!

Poczułem lodowaty dreszcz na karku. To był jej głos.

Marlowe miała głos bardzo szczególny – „głos, który cały dzień wyleguje się w szlafroku”, jak napisała Pauline Kael w entuzjastycznej recenzji *Owocu miłości* w „New Yorkerze”. To prawda. Nawet kiedy Marlowe uciekała przed zbirami, zwisała z gzymsu budynku, oblewała szantażystę benzyną i podpalała go zapalką, jej głos wciąż płynął powoli jak miód i melasa.

Po tylu latach nadal brzmiał tak samo, może tylko trochę wolniejszy i jeszcze bardziej lepki.

Dałem znak Norze, więc zgasła światło. Rozsunąłem zasłony. Pomarańczowy blask latarni wzdłuż autostrady FDR Drive zalał pomieszczenie, zmiękczył wystrój, zamienił krzykliwy salon w ogród o północy. Sztuczne róże, połączane krzesła, kanapa w kwieciste wzory stały się tajemniczymi pniami drzew oplecionymi przez zarośla i polne kwiaty.

Hughes powoli uniosła głowę i blade światło padło z boku na jej twarz.

Wszyscy troje wpatrywaliśmy się w nią w osłupieniu, w szoku. Wciąż miała ten słynny dołek w brodzie, tę twarz w kształcie serca, te szeroko rozstawione oczy, ale tak zmaltretowane, że niemal nierozpoznawalne. Była jak świątynia w ruinie. Przeszła fatalne operacje plastyczne, takie, które nie są delikatną robotą, tylko prawdziwym wandalizmem: miała nabrzmiałe policzki, a skórę i powieki naciągnięte tak bardzo, jak gdyby życie dosłownie rozdarło ją w szwach. Jej cera była poszarzała, jakby z wosku. Brwi – namalowane drżącymi liniami, chyba flamastrem.

Jeśli ktoś potrzebował dowodu, że nic nie trwa wiecznie, że czas zniszczy każdą różę, to nie znalazłby lepszego. W pierwszej chwili przez głowę przeszła mi myśl rodem z filmu science fiction: że jej niezwykła uroda była obcym pasożytem, który na niej żerował, zjadał ją żywcem, a kiedy miał dość, pozostawił tylko zmizerniały szkielet.

– Czy przyszlście mnie zabić? – szepnęła Marlowe radośnie, może nawet z nadzieją.

Odchyliła głowę, jakby pozowała do zdjęcia. Światło z okna ozłociło jej profil. Wciąż miał te same łuki i krzywizny, co za młodu („Profil, z którego chciałoby się zjechać na nartach”, – zachwycał się Vincent Canby w swej recenzji w „Timesie”), teraz jednak stanowił tylko niedbały szkic tego, co było dawniej.

– Nie – odrzekłem spokojnie, siadając w fotelu naprzeciwko niej. – Przyszliśmy, ponieważ chcemy dowiedzieć się czegoś o Cordovie.

– O Cordovie. – Wypowiedziała to słowo z zachwytem, jakby nie miała go na ustach od lat. Zdawało się, że ssie to nazwisko jak twardy cukierek. – Jego córka to zimny trup – wypaliła.

– Co pani o tym wie? – spytałem zaskoczony.

Najwyraźniej nie całkiem orientowaliśmy się w stanie umysłowym Marlowe. Była świadoma śmierci Ashley.

– Dziewczyna nie miała szans – mruknęła pod nosem.

– Co pani powiedziała? – zapytał stanowczo Hopper, ruszając w jej stronę.

Miałem ochotę go zabić za to, że jej przerwał. Gdy usiadł w sąsiednim fotelu obitym aksamitem, spojrzała na niego ze znaczącym uśmiechem.

– Widzę, że mamy tu Tarzana, hrabiego Greystoke, władcę małp. Brakuje ci tylko maczugi. Już się nie mogę doczekać, jak cię zobaczę w futrzanej przepasce. A to kto? – zapytała jadownicie i pochyliła się, by spojrzeć na Norę. – Tancereczka z rewii. No, malutka, żeby się przebić, nie wystarczy dawać dupy. I jeszcze ty. – Odwróciła się do mnie. – Taki, myślałby kto, Warren Beatty z *Czerwonych*. Trzy cwane pierdoły, które o niczym nie mają pojęcia. Wy mnie chcecie pytać o Cordovę? – Parsknęła dramatycznie, lecz zabrzmiało to tak, jakby w jej gardle zagrzechotała garść kamyków. – Oto pchły patrzą w niebo i pytają: czemu gwiazdy?

– Niech sobie pani daruje zgrywanie ześwirowanej aktorki – powiedział Hopper.

– Ona nic nie zgrywa – szepnęła Nora. Sztywno siedziała na kanapie.

– Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie zacznie pani mówić...

– Hopper – upomniałem.

– No to chyba sobie razem zamieszkamy. Dostaniesz pokój gościnny. Ja już się nie bawię w rodeo. Ale ostrzegam, pościel nie była zmieniana, odkąd sypiałam z Hansem, więc się lepi.

Hopper gwałtownie wstał, podszedł do lampy w kącie i włączył ją, zalewając pokój niebieskim światłem. Efekt był taki, jakby chlusnął na Marlowe kwasem. Zgięła się wpół, zaczęła dyszeć, ukryła twarz w kolanach.

– Zgaś to – powiedziałem, ale on jakby mnie nie słyszał.

Pojąłem, że sytuacja prędko się pogarsza, chociaż im bardziej strofowałem Hoppera, tym bardziej ożywiła się Marlowe.

– Ashley Cordova. Co pani o niej wie? – zapytał stanowczo, stając tuż nad nią.

– Guzik z pętelką. Ogłuchłeś, Romeo?

– Hopper! – Wstałem.

– Gucio – zaświergotała Marlowe. – Figę. Nic a nic. Miała przechlapane od dnia swoich urodzin.

– Ona nie wie, co mówi – stwierdziła Nora.

– Chcecie to ze mnie wytrząsnąć? Zamordować mnie? Świetnie. Wreszcie będę miała swój znaczek pocztowy. Nie to co Ashley. Jej nikt nie będzie pamiętał. Umarła na próżno.

Zanim zdążyłem zareagować, Hopper pochylił się, złapał ją za ramiona i zaczął nią trząść.

– Do pięt jej nie dorastasz...

Rzuciłem się naprzód, odciągnąłem go od Marlowe i pchnąłem z powrotem na fotel.

– Co ci, do cholery, odbiło?! – zawołałem.

Hopper wydawał się równie oszołomiony własnym zachowaniem jak ja. Odwróciłem się do Marlowe. Osunęła się w fotelu i leżała bez ruchu.

Jezu Chryste.

Wyglądała tak, jakby Hopper właśnie wytrząsnął z niej resztkę życia.

Teraz już wszyscy spotkamy się ze Starą Iskierką.

Nora pobiegła do lampy i ją zgasiła. Pokój znowu rozplynął się w senne pnącza i kanciaste głązy. Marlowe była śliskim czarnym zwierzęciem, które leżało ranne w fotelu. Po chwili z przerażeniem zrozumiałem, że pojękuje. Bezsilne stęknienia brzmiały tak, jakby wyciekały z mrocznego zaułka ukrytego głęboko w jej wnętrzu.

– Przepraszamy – szepnęła Nora. Przykucnęła obok Marlowe i położyła dłoń na jej kolanie. – On nie chciał pani zrobić krzywdy. Możemy przynieść pani coś do picia? Trochę wody albo...

Marlowe nagle przestała płakać – jakby za działaniem wyłącznika.

Uniosła głowę.

– Och, tak, moje dziecko. Trochę, no, wody sodowej jest o, tam – obróciła się w fotelu i skinęła głową w stronę drugiego końca

pokoju – na regaliku. Na drugiej półce. Za *Wyspą skarbów* znajdziesz, no, wodę. Bądź tak dobra i mi ją przynieś, skarbenku.

Wskazywała z przejęciem półki ciągnące się po tamtej stronie salonu. Okalał je fresk treliazu z różami pnącymi się pod sufit. Nora podbiegła tam i zaczęła grzebać wśród książek.

– Tu jest tylko alkohol – powiedziała, po czym przeczytała napis na dużej butelce: – „Heaven Hill Old Style Bourbon”.

– Naprawdę?! Jaka szkoda. To na pewno Lucille zabrała moją evian. Ciągłe mi suszy głowę, że żłopię wodę. Chce, żebym łąziła na jakieś spotkania. Anonimowych Hydrocholików czy jaki chuj. Będę się musiała zadowolić, no, bourbonem, moje dziecko. Przynieś mi mój heaven hill. Tylko się nie ociągaj.

Nora nie była przekonana.

– Daj jej tę butelkę – powiedziałem.

– Co będzie, jak pomiesza alkohol z proszkami, których się nałykała?

Nos mi podpowiadał, że staruszka Marlowe w ogóle nie była na proszkach – ani na żadnym innym specyfiku. Kiedy zeskakiwała z blatu jak latająca mała z *Czarnoksiężnika z Oz*, miała doskonały refleks. Wszystkie te irracjonalne zdania, które z siebie wypluwała, wydawały się kwestią czysto psychiczną, efektem ubocznym zamknięcia latami w pustym mieszkaniu. Poza tym widziałem, że mimo udawanego przerażenia naszym wtargnięciem łaknie publiczności.

– Daj jej!

Marlowe praktycznie zerwała się z fotela i wyszarpnęła butelkę z rąk Nory. Ruchem szybszym niż rozdającego karty w Vegas otworzyła ją, a potem wychyliła. Do tej pory takie pragnienie widziałem tylko w reklamach Mountain Dew. Usłyszałem ciche brzęknięcie metalu o szkło. Z długiego rękawa wysunęły się białe, pajęcze palce. Miała tylko jeden pierścionek – z dużą czarną perłą.

To ten, który ponoć dał jej dawny narzeczony Knightly owego dnia, kiedy zerwał zaręczyny. Chociaż już wcześniej

zweryfikowałem opowieść Beckmana, widok tego symbolu rozpaczy na własne oczy, tu i teraz, był czymś nadzwyczajnym.

Marlowe oderwała butelkę od warg, westchnęła i otarła usta. Wygodnie oparła się w fotelu. Teraz robiła wrażenie spokojnej i dziwnie przytomnej. Ścisnęła flaszkę w ramionach jak niemowlę.

– A więc chcecie posłuchać o Cordovie, kochanieńcy? – szepnęła.

– Tak – powiedziała Nora.

– Na pewno? Czasami wiedza zżera od środka.

– Zaryzykujemy – odparłem, siadając w fotelu naprzeciwko niej.

Ta odpowiedź chyba bardzo ją ucieszyła. Marlowe zbierała się w sobie, przygotowywała.

Zanim się znów odezwała, minęły co najmniej dwie, może trzy minuty. Jej niski głos, jeszcze niedawno kamienisty i zryty koleinami, nagle był gładki, utwardzony i bez trudu wił się przez mrok.

– Co wiecie o Szczycie? – zapytała cicho.

– To legendarna posiadłość Cordovy – powiedziałem.

– Leży w głuszy na północ od jeziora Lova.

– Wiecie, że powstała na miejscu masakry Mohawków?

– Nie.

Podekscytowana oblizwała wargi.

– Zamordowano tam sześćdziesięcioro ośmiorgo kobiet i dzieci, ich ciała wrzucono do dołu na wzgórzu i podpalono. To właśnie w tym miejscu stoją fundamenty domu. Oczywiście Stanny nie miał o tym pojęcia, kiedy go kupował. Mówił mi, że wiedział tylko tyle, że poprzedni właściciele zbankrutowali. Jakiś angielski lord i jego durna żona. Ale nie wspomnieli, że ta żona kompletnie ześwirowała, kiedy tam mieszkali. Sprzedali posiadłość i wrócili do Anglii. Lord nie miał wyboru: musiał umieścić biedną kobietę w domu wariatów. Po paru dniach wbiła lekarzowi nożyczki w ucho. Przeniesiono ją do Broadmoor, szpitala psychiatrycznego dla osób niebezpiecznych. Niedługo potem lord padł na zawał. I to, jak mówią, *the end*.

„Stanny”. Tak z pewnością nazywała Cordovę. Przerwała, żeby pociągnąć kolejny długi łyk z butelki. To było zupełnie tak, jakby każda kropla stopniowo ją ocuciała, powoli przywracała jej życie. Teraz Marlowe wydawała się nawet mniej koścista, przybywało jej ciała. Odchrząknęła.

– Mój Stanny, nic o tym wszystkim nie wiedząc, od razu wprowadził się do pięknej rezydencji ze swoją piękną żoną i malutkim synem. Ja, jeśli jeszcze nie zauważyliście, jestem starą cyniczną zdzirą. Nie mam wiary. Religia? Ot, ludzie rozpaczliwie próbują wykupić ubezpieczenie na nieskończoność. Śmierć? Wielkie nic. Miłość? Dopamina uwalniana w mózgu, która potem się wyczerpuje, pozostawiając tylko wzgardę. Ale wiedza o tych dwóch prostych elementach, masakrze i szaleństwie, nawet mnie by przegoniła.

Znowu łyknęła bourbona i otarła usta rękawem.

– Stanny mówił, że pierwszego dnia po przyjeździe, kiedy zwinęli się już ci od przeprowadzek, jego żona zniknęła na piętrze, bo chciała się zdrzemnąć, a on poszedł na długi spacer,

jak to miał w zwyczaju. Zawsze chodził sam po lesie, gdy potrzebował pomysłu na film. A potrzebował. Niedawno weszło do kin *Gdzieś w pustym pokoju*. Ten film był tak dobry, że ludziom pękało serce. Wszyscy nie mogli się doczekać, co Stanny pokaże teraz.

Przerwała, a jej kościste dłonie wypełzły z rękawów i bawiły się etykietą na butelce.

– Szedł tak przez godzinę, najpierw jedną ścieżką, potem drugą. Zapуścił się głęboko w las. W pewnym momencie zauważył czerwony sznurek z supłem dyndający z gałęzi drzewa. Pojedynczy czerwony sznurek. Wiecie, co to znaczy?

Nora zaprzeczyła bez słowa. Marlowe kiwnęła głową i machnęła ręką.

– Odwiązał go, niewiele myśląc, a potem ruszył dalej, aż wreszcie droga zaprowadziła go na okrągłą polanę nad wzburzoną rzeką. Na polanie nic nie rosło. Nie było tam żadnej gałązki, żadnej szyszki, żadnego zabłąkanego listka. Tylko ziemia tworząca idealne, nieludzko perfekcyjne koło. Na zewnątrz tego koła znalazł plastikową płachtę, na której było coś napisane wspak, ale nie dało się tego odczytać. Obok leżała naga lalka pozbawiona głowy, stopy miała przybite do deski, a nadgarstki związane kolejnym kawałkiem czerwonego sznurka. Stanny uznał, że te rzeczy zostawili miejscowi dowcipnisie, którzy odwiedzali jego posiadłość. Zebrał je i wyrzucił. Ale kiedy zajrzał w to samo miejsce trzy tygodnie później, zastał na ziemi zwęglone kręgi, gdzie wyraźnie coś palono. Sądząc po zapachu, było to niedawno. Zawiadomił miejscową policję. Spisali raport, a potem zapewnili, że będą patrolować okolicę i zawiadomią miejscowych, że dom już nie jest pusty. Stanny rozmieścił wokół granic posesji tabliczki z zakazem wstępu. Miesiąc później jego i jego żonę obudziły w środku nocy przeszywające wrzaski. Nie wiedzieli, czy zwierzęce, czy ludzkie. Rano wybrał się na polanę. Pośrodku idealnego okręgu znajdował się ołtarz z nowo narodzoną sarenką. Miała wydłubane oczy i mocno obwiązany pysk. Na cętkowanym ciele wyryto nożem dziwne symbole.

Stanny wpadł w furję. Powiadomił policję. Znowu spisano raport. A jednak... w minach policjantów, w tym, jak na siebie patrzyli, było coś takiego, że zrozumiał prawdę: oni nie tylko już wiedzieli, kto to wszystko robił, ale sami brali w tym udział. Oni, wraz z wieloma innymi mieszkańcami miasteczka, wykonywali na jego posiadłości sadystyczne rytuały. Zresztą Stanny'ego wcale nie powinno to dziwić. Bądź co bądź, mieszkał wśród wiejskich świrów, zbzikowanej białej hołoty, kazirodczych psycholi rodem z *Uwolnienia*.

Uśmiechnęła się diabelsko, oczy jej załśniły.

– Chyba wiecie, o co chodzi. I możecie sobie wyobrazić, co najdroższa żona Stanny'ego, Genevra, dziecko wytwornej mediolańskiej rodziny, myślała o takich zaściankowych barbarzyńcach. Błagała go, żeby otoczył posesję płotem dla ochrony. Żeby tamci nie mogli wejść. Więc to zrobił. Postawił sześciometrowy płot pod wysokim napięciem, wydał na niego fortunę. Problem w tym, że tak naprawdę nie tyle uniemożliwił tamtym ludziom wstęp na swój teren, ile sam zabarykadował się na nim wraz z rodziną. – Na moment Marlowe zamilkła. – Nie wiem, jak to się stało, że zaczął te eksperymenty. Nigdy mi nie powiedział. Stanny nie bał się tego, co nieznane. Ani we wszechświecie, ani w nas samych. To był temat, który badał bez końca. Zapuszczał się tam w łodzi podwodnej. Nurkował głęboko, ku mułowi i mrocznym skałom ludzkich tęsknot i pragnień, zatapiał się w szpetnej podświadomości. Nikt nie wiedział, kiedy się wynurzy i czy w ogóle. Gdy pracował nad jakimś projektem, znikał. Oddychał nim. Przez wiele dni pisał całymi nocami, aż w końcu był tak wyczerpany, że zasypiał na dwa tygodnie jak potwór, który zapadł w sen zimowy. Życie z nim bywało udręką. Oczywiście ja doświadczyłam tego osobiście, na własnej skórze.

Wyraźnie dumna z tego oświadczenia golnęła bourbona. Kropelka spłynęła jej po brodzie.

– Kłopot ze Stannym – rzekła, ocierając usta – podobnie jak z wieloma innymi geniuszami, tkwi w jego nienasyconych potrzebach. Życia. Uczenia się. Pochłaniania. Pieprzenia.

Zrozumienia, dlaczego ludzie robią to, co robią. Widzicie, on nigdy nie osądzał. Dla niego nic nie było kategorycznie złe. W jego oczach wszystko jest ludzkie, a więc warte uwagi, zbadania w każdym aspekcie. – Zerknęła na nas. – Jesteście jego fanami, prawda? – Nie potrafiłem od razu odpowiedzieć na to pytanie. Zbyt mi oszołomiło nie tylko to, co mówiła, ale również jej nagły przypływ energii i poczytalności. Wydawał się proporcjonalny do ilości wypitego alkoholu, a opróżniła już prawie pół butelki. – Co wiecie o jego wczesnych latach? – zapytała.

– Był jedynym dzieckiem samotnej matki – odparłem. – Wychował się na Bronksie.

– I był doskonałym szachistą – dodała Nora. – Grał na pieniądze w parku Washington Square.

– To był Kubrick, a nie Cordova. Nie mył geniuszy, do kurwy nędzy. – Marlowe zmierzyła nas wzrokiem. – I to wszystko? – Gdy milczeliśmy, parsknęła. – I właśnie to jest dla mnie żalosne w fanach. Zalewają się łzami, kiedy zobaczą cię na żywo. Oprawiają w ramki widelec, którego dotkniesz. Ale nie potrafią nic zrobić z tą inspiracją. Nijak wzbogacić nią życia. Stanny’ego doprowadzało to do szału. Mówił mi: „Huey”, bo tak mnie nazywał, „Huey, oni oglądają te filmy po pięć razy, piszą do mnie listy, ale prawdziwy sens w ogóle do nich nie dociera. Niczego z nich nie wynoszą. Ani bohaterstwa. Ani odwagi. Dla nich to tylko rozrywka”. – „Huey” westchnęła. Znów łyknęła bourbona. – Matka Stanny’ego, Lola, wychowała go na dobrego katolika. Pracowała na dwa etaty jako pokojówka w dużym nowojorskim hotelu. Pochodziła z małej wioski pod Neapolem. Ale wiedziała bardzo dużo o *stregheria*. Zakładam, że wiecie, co to jest?

– Nie. – Nora pokręciła głową.

– To dawne włoskie słowo oznaczające czarownictwo. Siedemsetletnia tradycja przekazywana głównie w przesądach, historiach, którymi straszono dzieci, żeby jadły warzywa i wcześniej kładły się spać. Ojciec Cordovy był kowalem, pochodził z Katalonii. Rodzina mieszkała w małym miasteczku

pod Barceloną. Kiedy Stanny miał trzy latka, postanowili wyemigrować do Stanów. Gdy nadszedł ten dzień, ojciec stwierdził, że nie może wyjechać. Nie chciał opuszczać swoich stron. Wobec tego Lola wzięła syna i sama wyruszyła do Ameryki. Nie minął rok, a ojciec miał nową rodzinę. Stanny nigdy już z nim nie rozmawiał. Pamiętał jednak, jak jego hiszpańska babcia opowiadała mu o *bruixeria*, katalońskiej tradycji czarownictwa. Mówiła, że w noc sylwestrową wiedźmy mają największą moc i właśnie wtedy porywają dzieci. Kazała mu kłaść w rozżarzone palenisko szczypce do węgla ułożone w znak krzyża i posypywać je solą, żeby wiedźma nie mogła wejść przez komin. Zatem rozumiecie, moi drodzy, Stanny wychowywał się wśród przesądów. Z pewnością nie traktowano ich serio, ale były obecne w rodzinie i po stronie matki, i po stronie ojca. A wyobraźnia Stanny'ego nawet w najgorszy dzień jest silniejsza niż nasza rzeczywistość. Niestety, z tego typu przeszłością był chyba predysponowany do takich rzeczy. Można powiedzieć: podatny.

Popatrzyła na nas. Bawiła się pierścionkiem z perłą, obracała go wokół palca.

– Nigdy mi nie powiedział, jak to się stało. Ale wkrótce po otoczeniu posesji płotem zrozumiał, że ludzie z miasteczka wciąż dostają się na jego teren.

– W jaki sposób? – zapytałem.

– Łodzią. Posiadłość leży na północ od jeziora Lowa. Można wyruszyć z publicznego brzegu w stronę północnego krańca, a potem popłynąć wąską rzeczką, która wpada do jeziora na terenie Szczytu. Kiedy Stanislas znalazł ten wyłom, kazał przegrodzić rzekę siatką sięgającą aż do dna, tak gęstą, że nie mogło się przedostać nic grubszego niż napałek. Tydzień później jego i jego żonę obudziły dźwięki bębnów. Głosy. Krzyki. Nazajutrz sprawdził płot. Okazało się, że siatka zagrządzająca dostęp rzeką została przepiłowana. Z układu drutów było widać, że zrobił to ktoś nie od zewnątrz, ale po wewnętrznej stronie posesji.

– Ktoś, kto tam mieszkał – powiedziałem. Marlowe kiwnęła głową, ale nie rozwinęła myśli. – Kto? Służący?

– W każdym rajcu znajdzie się zmija. – Uśmiechnęła się. – Jeśli Stanny miał jakąś słabość, to była nią wiara w zmienność osobowości. Nie wierzył, że ludzie mogą być źli, na pewno nie w czystej postaci. Zawsze lubił mieć ich wielu wokół siebie. Nazwalibyście ich *groupies*, pieczeniarczami, ale on mówił o nich: sojusznicy. Nie minął miesiąc od przeprowadzki na Szczyt, kiedy przypadkiem poznał w miasteczku młodego, przystojnego księdza, który również właśnie przyjechał do Crowthorpe i utworzył tam parafię. Stanny potrzebował doradcy do spraw religijnych przy pracy nad scenariuszem *Zgniatacza kciuków* i szybko się zaprzyjaźnili. Już po paru tygodniach ksiądz pomieszkiwał sobie na Szczycie. Genevra się wściekła. Nienawidziła go. Był przystojny jak cholera, w typie Tyrone’a Powera, tyle że muskularny, złotowłosy i niebieskooki. Jego *der Schwanz* też pewnie był niczego sobie, jeśli wiecie, co mam na myśli. Ksiądz twierdził, że wychował się wśród pól kukurydzianych w Iowa. Ale miał w sobie coś podejrzanego. Genevra próbowała przekonać Stanny’ego, że to niebezpieczny człowiek. Intruz. Pijawka. Była Włoszką, gorliwą katoliczką, i zauważała rażące luki w jego wiedzy na temat Kościoła. Poza tym dostrzegła u niego nienaturalną obsesję na punkcie jej męża. Stanny odpowiadał, że powinna się uspokoić, że to fascynujący człowiek, że go inspiruje.

Marlowe znów pociągnęła długi łyk.

– Nie wiem, jak to się stało – powiedziała. – Przypuszczam, że którejś nocy Stanny poszedł na rozstaje, żeby stawić czoła tym ludziom, a skończyło się na tym, że się ukrył i ich obserwował. Kiedy o świcie wrócił do rezydencji, miał drastycznie odmienne spojrzenie na całą sytuację. Nie wiem, co zobaczył ani co oni robili. Nie ma żadnych dowodów, ale Genevra zawsze uważała, że za wszystkim stał ten ksiądz. Że zawarł jakiś układ z tymi ludźmi, może nawet był jednym z nich. – Westchnęła. – Tak oto Stanny rozpoczął życie w posiadłości. Pod względem

artystycznym rozwinął skrzydła. Oczywiście już wcześniej kręcił elektryzujące dzieła, ale produkcje powstające na Szczycie to był całkiem nowy wymiar. Zaczął tworzyć swoje nocne filmy. Pewnego razu mi to wyjaśnił. „Huey, powiedział, uwielbiam umieszczać swoich bohaterów w ciemności. Tylko wtedy dokładnie widzę, kim są”.

Gmerała przy długich satynowych rękawach, wyglądziała materiał na kolanach. Nie odzywałem się, zahipnotyzowany tym, co mówiła nam o Cordovie, ale także nią samą. Stała się przytomna i ożywiona, zupełnie inna niż kobieta, którą zobaczyliśmy na początku.

– W końcu już wcale nie musiał opuszczać posiadłości – opowiadała dalej. – Wszystko i wszyscy przybywali do niego. Miał sto dwadzieścia hektarów. Budował tam plany zdjęciowe, montował filmy. Jeśli musiał wyjechać, to tylko dlatego, że znalazł dobry plener niedaleko Crowthorpe. Jakby uwierzył, że swoją moc może wykorzystywać wyłącznie na tym terenie. I rzeczywiście. Jakość gry aktorskiej, którą był w stanie uwiecznić, oszałamiała. Jego energia nie znała granic. Kiedy pracowałeś ze Stannym nad filmem, mieszkałeś na Szczycie. Tam jadłeś posiłki, nigdzie się nie ruszałeś, nie mogłeś się kontaktować ze światem zewnętrznym. Oddawałeś mu swoje życie, powierzałeś klucze do swojego królestwa. Nie tylko ciało, ale i umysł. Na wszystko należało zgodzić się z góry. Przyjeżdżałeś tam pierwszego dnia zdjęciowego ślepy i nieświadomy. Nie wiedziałeś nic o filmie, o swoim bohaterze ani o niczym innym. Miałeś tylko świadomość, że twoje dotychczasowe życie właśnie się skończyło. Wyruszałeś w nową podróż tunelem ku nieznanemu. Kiedy po trzech czy czterech miesiącach znów się stamtąd wyłaniałeś i wracałeś do domu, byłeś zmieniony. Rozumiałeś, że wcześniej trwałeś pogrążony we śnie.

– Dlaczego ktoś miałby się godzić na coś takiego? – zapytał Hopper, kiedy Marlowe znów się napiła. – Oddać całe swoje życie,

swoje ciało i umysł, jednemu człowiekowi? Zupełnie jakbyśmy rozmawiali o Charlesie Mansonie.

Marlowe zdawała się rozbawiona tym jego wzburzeniem. Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Owszem, istnieje ludzkie pragnienie korzystania z wolnej woli. Ale jest też inne, równie silne: żeby być zniewolonym, spętanym, zakneblowanym. Naturalnie występ u Cordovy przynosił chwałę. Od tej pory byłeś ustawiony. Dostawałeś najlepsze role. Nawet po tym, jak Stanny zszedł do podziemia. To działało jak pieczęć. Dawało status wojownika. Jednak prawdziwa wartość współpracy z Cordovą to nie pieniądze ani splendor, ale to, co było potem. Wszyscy aktorzy o tym mówili. Kiedy wracało się do zwykłego życia, miało się wrażenie, że nagle ktoś ostro podkręcił jaskrawość kolorów. Czerwień była czerwiejsza. Czerni bardziej czarna. Czuleś wszystko dogłębnie, jakbyś serce miał teraz olbrzymie, nabrzmiące i wrażliwe. Śniłeś. I cóż to były za sny! Praca z tym porywczym człowiekiem to był najbardziej wyczerpujący okres w moim życiu. Sięgnęłam do najgłębszych, najbardziej udręczonych miejsc własnej duszy, miejsc, które otwierałam z przerażeniem, ponieważ wątpiłam, czy zdołam je znów zamknąć. I może już nigdy nie zamknęłam. Ale powtórzyłabym to wszystko bez mrugnięcia okiem. Z Cordovą tworzyłeś film. Coś, co cię przetrwa. Potężne dzieło sztuki. Nie komercyjną papkę, ale coś, co wbije się w widzów jak nóż, po czym będą krwawić. Kiedy mieszkałeś na Szczycie, schodziłeś pod ziemię głębiej niż najbardziej zakonspirowany ruch oporu, pracowałeś dla ostatniego prawdziwego buntownika. Poza tym dowiadywałeś się, jak daleko potrafisz się posunąć: w miłości i w strachu, w wytrzymałości i w seksie, w euforii. Odrzucałeś to wszystko, czego nauczyło cię społeczeństwo, i sam tworzyłeś własne zasady. Zaczynałeś żyć od nowa. Czy wyobrażacie sobie coś tak odurzającego? Potem wychodziłeś na zewnątrz i uświadamiałeś sobie, że reszta świata śpi, że jest pogrążona w letargu i nawet o tym nie wie.

– Czy to dlatego pani się w nim zakochała? – spytała nieśmiało Nora.

Marlowe wyprostowała się poruszona tym pytaniem. Wysunęła brodę.

– Każdy się w nim zakochiwał, moje dziecko. Ty w jego rękach byłabyś jak plastelina. To się tyczy was wszystkich. Któż może się oprzeć człowiekowi, który rozumie i docenia każdą komórkę naszego ciała? Wzięliśmy ślub podczas kręcenia *Owocu miłości*. – Machnęła smutno ręką, wpatrzona w butelkę heaven hill, teraz już niemal pustą. – Powiem wam tylko, że po skończonych pracach pojęłam, że nasza miłość to kwiat cieplarniany: kwitnący bujnie pod dachem, w ściśle określonych warunkach, ale poza tą enklawą, w prawdziwym świecie, martwy. Nie potrafiłabym żyć na Szczycie, nie mogłabym zamieszkać tam na zawsze. Bo wtedy Stanny nie chciał się już stamtąd ruszać. To był jego prywatny wymiar, jego własne zaświaty. Chciał już wiecznie pozostać na tej magicznej planecie. Ja musiałam wrócić na Ziemię.

– Naprawdę nie chciał się stamtąd ruszać? – szepnęła Nora z niedowierzaniem.

Marlowe zmierzyła ją wzrokiem.

– Zeus też niechętnie opuszczał Olimp, chyba że trzeba było dręczyć śmiertelników, nieprawdaż? Czasami podczas zdjęć Stanny zniknął gdzieś na całe tygodnie i nikt go nie mógł znaleźć. Dlatego często zastanawialiśmy się, czy jest jakieś inne miejsce, do którego się udawał. Sekretne miejsce wewnątrz sekretnego miejsca. Kiedy wreszcie znów się pojawiał, w butach miał dziwny, kamienisty piasek i cuchnął otwartym morzem. No i był wtedy wyjątkowo żarłoczny w łóżku, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć. Zupełnie jakby żeglował na swoim pirackim statku, najeżdżał wioski i doszczętnie je palił, jakby mordował, gwałcił i rabował, a potem wracał na Szczyt, wciąż miał zaschniętą sól we włosach, a cała ta mgła, ten pot i ta krew wsiąkły mu w skórę. – Uśmiechnęła się rozmarzona. – W takie noce rozrywał mnie na pół.

– Moment – przerwał Hopper. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. – Ci intruzi z miasteczka... Chce pani powiedzieć, że Cordova został jednym z nich?

Marlowe wyglądała na rozdrażnioną.

– Powiedziałam, że nie wiem, na czym dokładnie polegało jego uczestnictwo, Tarzanie. Ale w pewnym momencie przestał tylko obserwować. To właśnie dlatego jego żona popełniła samobójstwo. Genevra. Nigdy mi nie powiedział, co się konkretnie stało. Wyobrażam sobie jednak, że ta biedna, dość wrażliwa kobieta dowiedziała się o jego nocnej... działalności. Bo widzicie, ten ksiądz wciąż tam był, wciąż się czał, po cichu czekał na obrzeżach. Oleisty cień, który nie oddalał się ani na chwilę. Nie wytrzymała tego psychicznie. Pewnego szarego popołudnia utopiła się w jeziorze na terenie posiadłości. Policja uznała to za wypadek, ale Stanny znał prawdę. Genevra nie poszła popływać. Wsiadła do małej łódki, wypłynęła na środek i wskoczyła do wody z kieszeniami pełnymi kamieni. Znaleźli tę łódkę później, zniszczyli ją. Oczywiście Stanny uwielbiał Genevrę, ale nie na tyle, żeby ulec zwyczajności. Nie dałby się uwiązać jednej kobiecie. Ani jednemu mężczyźnie. Zwróćcie uwagę na to, że wielcy artyści nie żyją, nie kochają, nie pieprzą się ani nawet nie umierają jak zwykli ludzie. Bo zawsze mają swoją sztukę. Ona ich karmi bardziej niż jakakolwiek więź z drugim człowiekiem. Choćby spotkała ich nie wiem jaka ludzka tragedia, nigdy nie są zbyt przygnębieni, bo wystarczy, że wleją tę tragedię do swojego kotła, mieszają z resztą drastycznych składników i postawią na ogniu. Rezultat będzie jeszcze wspanialszy, niż gdyby do tragedii nigdy nie doszło.

Marlowe zamilkła nagle znużona. Przez minutę gmerała tylko przy szlafroku, szczypała materiał.

– Oczywiście krążyły pogłoski o tym, co Cordova robi na Szczycie. Zwłaszcza wśród nas, aktorów. Jedną taką historię usłyszałam od Maxa Hiedelbraua. Max grał ojca księdza Jinleya w *Szarze w oknie* i tego fiuta, głowę rodziny w *Oddychać z królami*.

Pamiętałem go z obu tych filmów. To wysoki, korpulentny Australijczyk o obwisłej twarzy posokowca.

– Max cierpi na okropną bezsenność – mówiła dalej Marlowe.
– Kiedy kręcili *Szparę w oknie*, o czwartej nad ranem przechadzał się po parku i ćwiczył swoje kwestie. Zobaczył jakąś postać, która wbiegła po schodach frontowych i zniknęła w rezydencji. To był Stanny. Wracął z lasu z jakimś czarnym zawiniątkiem w ramionach. Gdy Max ruszył za nim, na kłamce drzwi wejściowych zauważył czerwono-brunatne smugi. Krew. Strużka drobnych kropel biegła po marmurowej posadzce korytarza aż do schodów. Max położył się spać. Rano kropel już nie było.

Marlowe wysiorbała resztkę bourbona.

– Ludzie rzeczywiście szeptali – rzekła, zerkając w moją stronę. – Ale dyrektorzy z Warner Brothers, którzy co jakiś czas wpadali na plan, nic nie mówili. A mimo to, chociaż Szczyt należał do najbardziej luksusowych prywatnych posiadłości, w jakich kiedykolwiek byli, chociaż na pełen etat pracował tam personel oraz kucharz z Francji, to te szczone hollywoodzkie szychy, co dosyć znaczące, nigdy nie spędziły w rezydencji ani jednej nocy. Choćby zdjęcia trwały nie wiem jak długo, zawsze wracali do hotelu w Tupper Lake, grubo ponad godzinę drogi stamtąd.

– Bali się? – zapytała Nora.

Marlowe uśmiechnęła się drwiąco.

– Nie mieli *der Sack*. Tak długo, jak Stanny przynosił im zyski, kręcił filmy, których widownia nie mogła się doczekać, jego życie prywatne mieli gdzieś. Pił krew? Recytował zaklęcia? Obcinał łby zwierzętom? Nie on pierwszy sprawiał problemy. Raz musieli zatuszować incydent z pewną aktorką, która podczas pracy ze Stannym podobno oszalała. Biedna dziewczyna była tak przerażona, że w środku nocy wyszła przez okno sypialni na trzecim piętrze, zlazła na ziemię jak stonoga i nikt jej więcej nie widział.

– Co to za aktorka? – zapytała Nora.

Marlowe wzruszyła ramionami.

– Nie pamiętam nazwiska. Pojmujecie, nie miało znaczenia, co on robił dla uwolnienia swej inwencji twórczej. W jaki sposób skłaniał aktorów, żeby wpuścili go do swej duszy i wykrwawili się przed kamerą, żeby cały świat miał co spijać. Dopóki ludzie trzymali buzie na kłódkę, sprawy toczyły się po staremu. A tamci odwracali wzrok. Wszyscyśmy odwracali.

– Ale nie Ashley. – Hopper szepnął te słowa tak cicho i tak stanowczo, że jego głos przebił się na wskroś przez pokój, nawet przez samą Marlowe, sprawiając, że zamilkła, a nawet trochę się speszyła. – Ona nigdy nie odwracała wzroku – powiedział.

– Nie – przyznała.

– To wydarzyło się na diabelskim moście – mówiła dalej Marlowe, wpatrując się w Hoppera. Nerwowo trzymała się za ramiona i klatkę piersiową, żeby mieć pewność, że szlafrok okrywa ją całą. – Słyszeliście o nich, prawda?

– Nie – odparła Nora.

– To średniowieczne mosty owiane legendami. Większość znajduje się w Europie, od Anglii po Słowenię. Powstawały od jedenastego do szesnastego wieku. Chociaż historia każdego z nich jest trochę inna, zazwyczaj rzecz sprowadza się do tego, że diabeł zgodził się zbudować most w zamian za duszę pierwszego człowieka, który po nim przejdzie. Szczegółów nie znam, ale tak się złożyło, że jeden taki most stanął na terenie Szczytu. Domyślałam się, że to oni go zbudowali.

– To znaczy mieszkańcy Crowthorpe Falls – uściśliłam.

Kiwnęła głową.

– Odkąd tylko Ashley przyszła na świat, była nadzwyczajnym dzieckiem. Żywym odbiciem swojego ojca. Nieustraszona, ciemnowłosa, miała jego szaroniebieskie oczy przejrzyste niczym strumień. Ta jej inteligencja, ta niezaspokojona ciekawość, to, jak chwytiała życie... Byli nierozłączni. Stanny kochał swojego syna Theo. Ale Ashley miała w sobie coś takiego, że... cóż, musiał ją ubóstwiać. Wszyscy ją ubóstwiali.

Odrzuciła głowę w tył i przechyliła butelkę heaven hill, najwyraźniej nie zauważając, że jest już pusta. Potem otarła usta.

– Stanislas nigdy się nie dowiedział, jak to się stało, że tamtej nocy Ashley poszła za nim do lasu. Nikomu tego nie zdradziła. Ale coś mi mówi, że wiem, kto podsunął jej pomysł. Widzicie, ten ksiądz dalej się czał. Od jakiegoś czasu nie mieszkał u Cordovy na Szczycie. Zmył się po śmierci Genevry, podobno podróżował po Afryce jako misjonarz. A potem nagle wrócił do miasta, bez dachu nad głową i grosza przy duszy. Cordova nie miał nic przeciwko temu, żeby stary kumpel znów się u niego zagnieździł. Nie wiem tego z całą pewnością, ale przypuszczam, że ksiądz był zazdrosny o Ashley. Uwielbiał Cordovę. Na pewno liczył na to, że pewnego dnia Stanny i on... sama nie wiem. Będą żyli długo

i szczęśliwie? Jak para zakochanych nastolatków? – Marlowe oparła się w fotelu. – Nieważne, jak do tego doszło, w każdym razie w czerwcu dziewięćdziesiątego drugiego roku, kiedy Ashley miała pięć lat, w środku nocy Stanislas był przy diabelskim moście, który zbudował z ludźmi z miasteczka. Podczas gdy uczestniczył w tym, co oni tam wyczyniali, pewnie w jakimś wykolejonym rytuale, nagle ni stąd, ni zowąd pojawiła się Ashley. Od razu weszła na most. Możecie sobie wyobrazić, jak przerażający musiał być dla dziecka taki widok. Kiedy Stanislas ją zobaczył, wrzasnął, żeby się zatrzymała, żeby zawróciła. Ale w zamieszaniu Ashley, widząc go, zrobiła to, co zrobiłaby każda mała dziewczynka, która kocha tatusia: pobiegła do niego. Przebiegła przez cały most i zatrzymała się dopiero po drugiej stronie. Była pierwszym człowiekiem, który po nim przeszedł.

Marlowe zamilkła na kilka chwil. Niepewnie pochyliła się w fotelu. Z obszernego czarnego rękawa wyłoniła się koścista biała dłoń i sięgnęła do gardła.

– Stanislas był przerażony. Spotkanie natychmiast przerwano. Ogniska zgaszono. Kimkolwiek lub czymkolwiek byli ci ludzie, mieli opuścić posiadłość. Stanislas zaprowadził Ashley z powrotem do domu. Ku jego uldze wyglądało na to, że nic jej nie jest. Była sobą. Nawet nie bała się tego, co właśnie zobaczyła. Bądź co bądź, jej domem rodzinnym był autentyczny plan zdjęciowy. Widziała pożary, wybuchające samochody, mężczyzn i kobiety wyznających sobie dozgonną miłość, dozgonną nienawiść, sceny walki, sceny miłosne, sceny pościgów, kobiety zwisające z budynków, mężczyzn spadających z nieba, a to wszystko na jej własnym podwórku. Stanny położył ją do łóżka i przeczytał na głos rozdział z jej ulubionej bajki, *Tajemniczego świata Bartha Lore'a*. Zasnęła z uśmiechem na ustach, zupełnie tak jak zawsze. Stanny postanowił nie mówić o niczym żonie. Nie wiem, na ile Astrid, to znaczy jego trzecia żona, orientowała się, czym Stanny zajmuje się nocą, ale chyba było między nimi porozumienie, że może robić, co mu się podoba, pod warunkiem że nie wciąga w to dzieci. Kiedy tamtej nocy położył się do łóżka,

pomodlił się do Boga. Ciekawy wybór, jeśli wziąć pod uwagę, w jaki sposób spędzał wolny czas. Ale właśnie do Boga. Nawet wtedy nie do końca wierzył w rzeczy, które robił. A teraz miał nadzieję, że to wszystko fikcja. Przecież to jedyna możliwość. Cały pomysł był wręcz absurdalny. Prawda?

Zadała to pytanie z cyniczną rozkoszą, a potem znów przechyliła pustą butelkę bourbona. Może łykała opary.

– W ciągu tygodnia Stanislas zaczął zauważać różnicę. Ashley zawsze była uważnym, uzdolnionym dzieckiem, ale teraz jej zdolności nabrały zatrwającej skali. Na czas pracy nad kolejnym filmem Stanny zaprosił kilku chińskich żołnierzy i byłego ambasadora, którzy zamieszkali w jego rezydencji. Po dwóch tygodniach Ashley płynnie mówiła w ich języku. Poza tym zaczęła się wpatrywać prosto w ludzi, jakby potrafiła odczytać ich myśli, jakby ich przyszłe losy rozwijały się przed nią niczym rolka trzydziestopięciomilimetrowej taśmy. Oczywiście wciąż się śmiała, wciąż była śliczna, ale pojawiła się w niej pewna powaga, której wcześniej nie było. No i ten fortepian. – Marlowe aż się wzdrygnęła. – Astrid była szkoloną pianistką. Odkąd Ashley skończyła cztery lata, dwa razy w tygodniu do posiadłości przyjeżdżał nauczyciel z Juilliard, który udzielał jej lekcji. Dziewczynka była dobra jak na swój wiek, ale nigdy nie miała prawdziwej pasji do gry. Woląca spędzać czas na powietrzu, jeździć konno albo na rowerze, wspinać się na drzewa. Teraz jednak siadała, zamykała się w domu na całe godziny i grała tak długo, aż robiły jej się pęcherze na palcach. Po kilku tygodniach potrafiła biegle opanować każdy utwór, jaki jej podsunęto. Beethovena, Bartóka... Wystarczało zaledwie parę godzin, żeby nauczyła się wszystkiego na pamięć. Jej przemiana stawała się coraz bardziej zauważalna. Stanny był tak przygnębiony, że nie chciał w to uwierzyć. Mimo wszystko zaczął zgłębiać temat. W historii przymierze z diabłem często objawiało się wirtuozerską grą na instrumencie muzycznym. W osiemnastym wieku był Paganini, wciąż uważany za najwspanialszego skrzypka wszech czasów. To samo tyczy się bluesmana Roberta

Johnsona. Pojechał na rozstajne drogi w Tunice w Missisipi i oddał duszę diabłu w zamian za muzyczną maestrię.

Przerwała. Oddychała płytko, nerwowo.

– Astrid wciąż nie wiedziała o tym, co się wydarzyło. Myślała, że u jej córki z wiekiem obudziła się po prostu szalona inteligencja. Ale potem zauważyła, że Ashley jest dziwnie zimna w dotyku, a kiedy zmierzyła jej temperaturę, okazało się, że zamiast normalnych trzydziestu sześciu i sześciu stale ma trzydzieści sześć stopni albo nawet trzydzieści pięć i pięć. Zabrała ją do różnych lekarzy w Nowym Jorku. Nie stwierdzili żadnych nieprawidłowości. Astrid się martwiła, zwłaszcza kiedy Ashley zaczęła wykazywać oznaki zaburzeń zachowania. Przestała się śmiać. A kiedy się złościła, było to wręcz przerażające. W końcu Stanislas musiał biednej żonie o wszystkim powiedzieć. Pokazał jej u Ashley coś, co uważał za znak diabła. Tak zwany odcisk ropuchy: sporych rozmiarów plamkę na tęczówce niedaleko źrenicy. Dziewczynka miała ją w lewym oku.

Wpatrywałem się w Marlowe. Opisała dokładnie to, o czym mówiła Lupe, pokojówka z Waldorfa. *Huella del mal*. Odcisk zła. Nora odwróciła się do mnie. Pamiętała, jak znalazła plamkę na fotografii koronera.

– Naturalnie Astrid nie chciała w to uwierzyć. Potem jednak nastąpiło przerażające zdarzenie, które zmieniło jej punkt widzenia. W środku nocy wszystkich domowników zbudził wrzask jakiegoś mężczyzny. To był ksiądz. Piżama, którą miał na sobie, a także jego czarne szaty duchownego wiszące w szafie, płonęły. Płonął on sam. Rodzina zdołała stłumić ogień, a potem Astrid wsadziła ledwo przytomnego mężczyznę na tylne siedzenie samochodu, żeby zawieźć go do szpitala, ponieważ Cordova oczywiście nie mógł usiąść za kierownicą. Odmawiał opuszczenia posiadłości. Nie chcieli wzywać karetki z obawy przed rozgłosem. Astrid w zupełnym szoku jechała jak szalona. Straciła panowanie na zakręcie, uderzyła w drzewo i skasowała samochód. Wezwała Thea, który zabrał księdza furgonetką. Ranny na zmianę odzyskiwał i tracił przytomność, jęczał z bólu

i był coraz bliższy śmierci. Theo zostawił go w prowincjonalnym szpitalu pod Albany, po czym zwiął. Księdza przyjęto do szpitala jako N.N. Miał poparzenia trzeciego stopnia na całym ciele. Wydawało się, że Ashley przespała całe zajście. Ale nazajutrz rano Astrid zauważyła, że dziewczyna ma na lewej dłoni okropny ślad po poparzeniu. Zrozumiała, że ona za wszystko odpowiada. To wtedy Astrid uwierzyła Stanny'emu, że diabelska klątwa istnieje. – Marlowe pokręciła głową. – Ksiądz przeżył, ale podobno po miesiącu zniknął ze szpitala i nikt go nigdy już więcej nie widział ani na Szczycie, ani gdziekolwiek indziej.

Nie mogłem w to uwierzyć. Marlowe w najdrobniejszych szczegółach opisała zdarzenie, które odkryłem pięć lat temu. Kate Miller, ta recepcjonistka z motelu, była świadkiem wypadku samochodowego, do którego doszło pod koniec maja we wczesnych godzinach porannych. Za kierownicą siedziała Astrid Cordova. Twierdziła, że jest w aucie sama, ale Kate przysięgała, że na tylnym siedzeniu dostrzegła kogoś jeszcze, mężczyznę ubranego na czarno, z twarzą owiniętą bandażami. Twierdziła, że to Cordova.

Ale to był ksiądz, podpalony żywcem.

– Ile lat miała wtedy Ashley? – zapytałem.

Marlowe wzruszyła ramionami.

– Piętnaście? Szesnaście? Zaraz potem odesłali ją z domu.

– Dokąd?

– Na jakiś obóz dla niesfornych nastolatków. To była ostatnia, dość daremna próba udawania, że problem z Ashley jest zwyczajny.

Spojrzałem na Hoppera. Siedział osunięty w fotelu, z kostką opartą o kolano, i bacznie wpatrywał się w Marlowe.

– Astrid była wściekła. Domagała się, żeby jej mąż wszystko naprawił. I rzeczywiście miał pewien pomysł. Wierzył, że klątwe można odwrócić, jeśli wymieni się duszę córki na inną. Dokona zamiany. Z innym dzieckiem. To doprowadziło do konfliktu między Ashley a rodziną, ponieważ kiedy wreszcie wszystko jej wyjaśniono, dziewczyna postanowiła zaakceptować swój los. Ale

Cordova stale szukał wyjścia. Aż do samego końca. Całkowicie go to pochłonęło. Nakręcenie kolejnego filmu nie wchodziło w grę. Liczyło się wyłącznie to. Pożerało go żywcem, niszczyło rodzinę. Bywały chwile, kiedy Ashley zachowywała się całkiem normalnie. Mieli wtedy nadzieję, że sami ubzdurali sobie tę ciemność, której ulegała. Ale potem coś się działo i wiedzieli, że to prawda. Że on po nią przyjdzie.

– On? – zapytał nagle Hopper. – Kto?

Marlowe spojrzała na niego.

– Diabeł, ma się rozumieć.

– No tak. – Zaśmiał się pod nosem.

Zmierzyła go wzrokiem. Jej twarz była nieruchoma jak maska.

– Iblis w islamie. Mara w buddyzmie. Set w starożytnym Egipcie. Szatan w cywilizacji Zachodu. Jeśli poświęci się trochę czasu na przyjrzenie się historii, można się zdziwić, jak powszechnie jest akceptowany.

Marlowe w zamyśleniu przekrzywiła głowę i odwróciła się do mnie.

– Stanislas uważał, że to nastąpi, kiedy Ashley będzie miała dwadzieścia cztery albo dwadzieścia pięć lat. Tak mu wyszło z obliczeń pełni księżyca i tak dalej. Nie wiem, co dokładnie się działo, ale w pewnym momencie cała rodzina zaangażowała się w plan przeniesienia obietnicy na inne dziecko. Niestety, ten pomysł nie był wcale taki wydumany. Te kulty żerują na uciekinierach, dzieciach, których nikt by nie szukał, gdyby zaginęły. Często jest tak, że kobieta zachodzi w ciążę tylko po to, żeby poświęcić niemowlę na ołtarzu. W tym kraju zbrodnie okultystyczne to bardzo realny problem, ale policja zwykle zamiata je pod dywan, ponieważ skazanie kogoś w sądzie graniczy z niemożliwością. Bynajmniej nie dlatego, że brakuje dowodów. O nie. Ci ludzie zostawiają ślady swych przerażających rytuałów, nic na to nie poradzą. Trudno po sobie posprzątać, jeśli co tydzień przelewa się krew. Nie. Chodzi o to, że ława przysięgłych nigdy tak do końca nie wierzy. Nie stać ich na tak

olbrzymi wysiłek wyobraźni. To brzmi jak coś rodem z nocnego filmu. A nie z prawdziwego życia.

Zamilkła. Z przyzwyczajenia starannie odkręciła butelkę i przyłożyła ją do ust, ale wreszcie spostrzegła z osłupieniem, że nic tam nie zostało, nawet kropelka.

– Skąd pani tyle o tym wie? – zapytała cicho Nora.

Marlowe odwróciła się, jakby chciała ją zbesztać, ale straciła parę i spuściła wzrok na swoje dłonie wygięte na kolanach. Przyglądała im się tak, jakby nie były częścią jej ciała, ale dziwnymi insektami, które wpełzły po jej nogach, a ona jest zbyt znużona, by je strącić.

– Stanny mi ufał. Wszystko mi opowiedział. Wiedział, że zrozumie ten ból. Kiedy sama doświadczyłam takiej straty, byłam zdruzgotana. Została po mnie tylko pusta powłoka. Gdy kocha się kogoś tak bardzo, a potem się go traci, nigdy nie dochodzi się do siebie. Stanny wiedział, że zrozumie to uczucie. Spędzałam trochę czasu z Ashley. Na początku oczywiście w to nie wierzyłam. Ale potem, kiedy miała mniej więcej osiem lat, wzięłam ją ze sobą na wakacje. Siedziałyśmy na plaży niedaleko Côte Plongée w Antibes. Przyłapałam ją na tym, że się we mnie wpatruje, zupełnie jakby widziała moją przeszłość i przyszłość, a nawet to, jak moja dusza po śmierci będzie się skręcać w otchłani. Jakby zobaczyła to wszystko i mi współczuła.

Mówiąc o potwornej stracie, Marlowe musiała mieć na myśli to, jak jej wytworny narzeczony Knightly zostawił ją dla Olivii.

– A ten ksiądz – rzekłam po chwili. – Pamięta pani, jak się nazywał?

– Wszyscy mówili o nim po prostu „Ksiądz”, trochę żartobliwie i sarkastycznie. Pamiętam go z czasów kręcenia *Owocu miłości*. Lubił całymi dniami łowić ryby. Widywałam go z oddali nad brzegiem jeziora ubranego na czarno. Był jak przypadkowy kleks wsiąkający w jasny krajobraz nieba, błękitnych jezior i drzew. Nie wiedziałam, co robi, dopóki nie podeszłam bliżej i nie zauważyłam długiej wędki i skrzynki z osprzętem. Stał zupełnie nieruchomo, czekając na ryby.

Wydawał się tak opanowany, że mógłby czekać wiecznie. Genevra nadała mu przydomek *Ragno*. Pająk.

– Co?! – zawołałem.

– P... pająk. – Wydukała to słowo. – Bo tak się poruszał. Bezdźwięcznie.

– Czy nazywał się Hugo Villarde?

– N... naprawdę nie wiem.

Marlowe znów nam się wymykała, słała, garbiła się w fotelu tak bardzo, że nie padało na nią światło i była już tylko upiorną białą twarzą w ciemności. Kiedy zaczynała mówić, nie liczyłem na to, że usłyszymy coś rozumnego, a co dopiero szczerą prawdę. A jednak zaskakiwała mnie raz za razem, wyjawiając szczegóły potwierdzające wszystko, co dotąd odkryłem.

A teraz jeszcze ta rewelacja o Pajaku.

– Czy poznała pani asystentkę Cordovy, Inez Gallo? – zapytałem.

Marlowe wzdrygnęła się z niesmakiem.

– Kojota? Ależ oczywiście. Dokądkolwiek szedł Cordova, dreptał za nim jego mały Kojot. Kochała go, rzecz jasna. Była na każde jego zawołanie, wykonywała każde niewdzięczne zajęcie, choćby nawet nie wiem jak okrutne. W zamian chciała tylko oddychać jego powietrzem. Stanny wybrał tytuł *Oddychać z królami*, nawiązując do jej żalosości. Tak naprawdę chyba chciała, żeby pożarł ją żywcem, bo wtedy byłaby bliżej niego niż ktokolwiek, dożyłaby swych dni skulona w najmroczniejszych zakamarkach jego brzucha.

– Gdzie teraz jest? – spytała Nora po chwili. – To znaczy Cordova.

– Pytanie za pełną pulę. Nikt jeszcze nie odpowiedział na nie prawidłowo. – Wymamrotała te słowa w rozkojarzeniu, a potem spuściła brodę na pierś i nie odzywała się tak długo, że zacząłem się zastanawiać, czy nie zasnęła. – Pewnie ciągle tam jest – wychrypiała w końcu. – Albo wypłynął w morze swoim pirackim statkiem i nigdy nie wróci. Wyobrażam sobie, że po śmierci Ashley rozstał się z ostatnią cząstką człowieczeństwa, jaka w nim

dotąd została, ostatnią częścią mojego Stanny'ego. Pozwolił, żeby odfrunęła. Teraz nic go nie powstrzymuje. Już nie. – Marlowe wydała z siebie dziwny dźwięk, jakby się dławiła, zgięła się w pół i zanosła się suchym kaszlem. – łóżko – wyszeptała. – Zaprowadźcie mnie do łóżka. Jestem taka... zmęczona.

Nora spojrzała na mnie. Dawała mi sygnał, żebym pomógł Marlowe, ale ja się wahałem. Bałem się oglądać z bliska wynędzniałą twarz, martwiłem się, że ta kobieta jest zbyt krucha, by jej dotykać. Znowu się wycofała, uciekła gdzieś daleko, złożyła się jak stary leżak, była tak zniszczona, że w moich rękach mogłaby się rozpaść na deski pełne drzazg. Nora delikatnie zabrała jej butelkę bourbona – której Marlowe nie chciała wypuścić zupełnie jak dziecko niemające ochoty rozstać się z lalką – a potem pochyliła się nad nią i ją przytuliła.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła.

Podszedłem do niej, po czym najostrożniej, jak umiałem, wziąłem Marlowe na ręce. Gdy wyniosłem ją z salonu i ruszyłem korytarzem, mocno uczepliła się mojej szyi. Jej twarz kryła się głęboko w czeluści kaptura. Kiedy położyłem Marlowe na łóżku, natychmiast zakopała się pod kołdrą niczym chrabąszcz, który chowa się w piasku. Nora i Hopper stanęli tuż za mną.

– Nie zostawiajcie mnie jeszcze – szepnęła chrapliwie spod pościeli. – Musicie mi poczytać, żebym mogła zasnąć. O, połykamy. Bardzo dobrze.

– Poczytać pani? – powtórzyła Nora.

– Przychodzi do mnie taki chłopiec. Przychodzi co dzień o ósmej i czyta mi, aż zasnę. Tam jest *Hrabia*. Poczytajcie mi tylko trochę...

– Jaką książkę? – szepnęła Nora.

– W szufladzie. Tam, tam. *Hrabia Monte Christo*. Już czeka.

Nora zerknęła na mnie niepewnie, a potem sięgnęła ku szafce nocnej. A ja miałem nadzieję, że Marlowe mówi prawdę. Najwyraźniej chodziło jej o dealera, o którym wspomnieli Harold i Olivia. Cóż za fantastycznie błędne odczytanie świata, że ktoś wzięty za dealera narkotyków przychodził tylko po to, żeby

czytać książki starej kobiecie. Światłość wzięta za mrok, niebo wzięte za piekło.

Kiedy jednak Nora otworzyła szufladę, nic tam nie było, żadnej książki, tylko zmięte chusteczki higieniczne i listy od fanów.

Hopper i ja przeszukaliśmy inne szuflady, ale nigdzie nie znaleźliśmy egzemplarza *Hrabiego Monte Christo*. W sypialni w ogóle nie było książek, jedynie czasopisma plotkarskie i spięte gumkami stosy setek listów od wielbicieli, adresowanych do „Panny Marlowe Hughes”. Hopper spytał, czy chciałaby, żeby przeczytać na głos któryś z nich, ale nie odpowiedziała.

Wreszcie zasnęła.

– Nawet to rozumiem – powiedziałem, dopijając resztkę szkockiej. Chodziłem tam i z powrotem obok kanapy w salonie. – Cordova zamyka się w swojej klaustrofobicznej posiadłości w głuszy. W ogóle się stamtąd nie rusza. Jest królem studwudziestohektarowego królestwa. Otacza się ludźmi, którzy go ubóstwiają. To ci pieczeniarze, „sojusznicy”, osoby, które na pewno dzień w dzień przypominają mu o tym, że jest bogiem. Więc to kupuje, tę tak zwaną moc. Nocami hasa po lesie z miejscowymi, którzy czczą diabła. To logiczne, że w końcu cała rodzina, włącznie z Ashley, zaczyna w to wierzyć. I ta wiara ich niszczy.

– A jeśli to prawda? – zapytała cicho Nora z kanapy.

Na drugim końcu siedział Hopper i w zamyśleniu palił papierosa.

– Że Cordova obudził na swoim terenie jakieś moce?

– Tak.

– Przez czterdzieści trzy lata życia nigdy nie widziałem ducha. Nigdy nie przebiegł mnie zimny dreszcz. Nigdy nie oglądałem cudu. Zawsze, kiedy mój umysł chciał pochopnie wyciągnąć jakieś mistyczne wnioski, okazywało się, że to tylko skutek strachu i że istnieje racjonalne wyjaśnienie.

– Jak na kogoś, kto zajmuje się działalnością śledczą, jesteś ślepy – stwierdziła Nora. Nie wiedziałem, co w nią wstąpiło. Odkąd opuściliśmy mieszkanie Marlowe, wróciliśmy do mnie, zamówiliśmy chińszczyznę i zaczęliśmy omawiać sprawę, była święcie przekonana o tym, że wszystko, co usłyszeliśmy, włącznie z motywem diabelskiej klątwy, to stuprocentowa prawda. Każda sugestia, że może być inaczej, nawet wynikająca ze zwykłego sceptycyzmu, doprowadzała ją do szału. – Przecież to wszystko ma sens, nie rozumiesz? – Nora zrobiła się cała czerwona. – Ashley przyjechała do Nowego Jorku, żeby znaleźć tego Pająka. Nie wiemy dlaczego. Ale ona rozumiała, że to się wreszcie dzieje. Ta transformacja. Że w końcu przyjdzie po nią diabeł.

– Ashley w to wierzyła, ale to tylko złudzenie.

– To jak wyjaśnisz, że pokojówka w Waldorfie zobaczyła w jej oku odcisk zła? Jakim cudem Ashley magicznie sprawiła, że Morgan Devold uwolnił ją z Briarwood? Peter z Klavierhausu mówił, że poruszała się jak istota nie z tego świata. Pasuje nawet ta opowieść Hoppera o grzechotniku. No a ludzie, którzy mieszkali na Szczycie przed Cordovą?

– Mnóstwo brytyjskich arystokratów to ekscentrycy. Małżeństwa między kuzynami to norma. Praktykują chów wsobny.

– Jak wyjaśnisz to, co przydarzyło się Olivii?

– Miała wylew. To się przytrafia ludziom każdego dnia.

Nora westchnęła.

– Ilu jeszcze dowodów potrzebujesz, zanim dopuścisz do siebie, że może to jednak prawda?

– Nigdy nie będzie niezbitych dowodów na to, że ludzie sprzedają duszę diabłu.

– Tego nie wiesz.

– Jesteśmy w Nowym Jorku. Gdyby ludzie odkryli, że czczenie diabła naprawdę działa, każdy ambitny delikwent o osobowości typu A zacząłby praktykować w swojej kawalerce.

Nora rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

– Jesteś idiotą.

– Niby tak nagle nim zostałem?

– Wcale nie nagle. Jesteś idiotą już od jakiegoś czasu.

– Bo nie łykam historyjki o ceremonii odprawianej przez paru wiejskich kmiotków? Bo zadaję pytania? Bo żądam dowodów?

– Wydaje ci się, że wszystko wiesz. Ale to nieprawda. Jak na talerzu masz ludzi i ich życie. Dowcipkujesz sobie i udajesz lepszego, ale to tylko przykrywka, żeby nie wyszło na jaw, że się boisz. Wiesz, co byś zrobił, gdybyś był pierwszakiem i nauczycielka dałaby ci kredkę, żebyś narysował samego siebie? Narysowałbyś siebie o, takiego wielkiego! – Rozchyliła kciuk i palec wskazujący na milimetr.

– A ty masz dziewiętnaście lat i wiesz wszystko. Rozgryłaś wszystkie tajemnice w Saint Cloud koło Kissimmee. Może

powiniennem zamieszkać z Moem, Starym Brudnym Billem i tą twoją papugą. Która, nawiasem mówiąc, nie ma żadnych magicznych właściwości, chyba że magią nazywasz sranie przez cały dzień!

– Nie poznałbyś się na magii, nawet gdyby cię kopnęła w tyłek.

– Odpowiedź jest prosta – odezwał się Hopper.

Odwrociłem się w jego stronę.

– Słucham?

– Musimy włamać się na Szczyt. – Powiedział to spokojnie, zaciągając się papierosem. – To, o co się sprzeczacie, nie ma znaczenia. Nie wiemy, gdzie kończy się wiara, a zaczyna rzeczywistość. Czy w ogóle jest jakaś różnica? Wiemy natomiast trzy rzeczy.

– Mianowicie? – zapytała Nora.

– Po pierwsze: Ash szukała tego Pajaka, więc chyba Hughes przynajmniej częściowo mówiła prawdę. Jeśli był odpowiedzialny za diabelską klątwę, Ash nie dałaby mu spokoju. Więc jeżeli zgadza się choć jedna rzecz w opowieści Hughes, to logika każe przynajmniej wziąć pod uwagę całą resztę. Po drugie: jeśli Cordova parał się czarną magią, nieważne, czy prawdziwą, czy nie, to Ash wciągnęła się w nią przez niego. I to mi wystarczy, żebym chciał go zabić. Po trzecie: jeżeli cokolwiek z tego jest prawdą, to ludzie będą chcieli się o tym dowiedzieć. Dla mnie to bez różnicy. Zależy mi na Ash i na niczym innym. Myślę, że przysłała mi tę małą, bo chciała, żebym odkrył prawdę o jej rodzinie. W ten sposób mi się zwierzyła, tak samo jak wiedziała o Orlandzie.

Oczywiście Hopper miał rację. W pewnym sensie od początku wiedziałem, dokąd to wszystko zmierza: z powrotem na Szczyt.

– Wymyślimy sposób, żeby się tam włamać – mówił dalej. – I bez względu na to, jakie znajdziemy dowody, jaką prawdę o Cordovach odkryjemy, jak bardzo będzie pojebana albo niewinna ta rodzina, na koniec wspólnie postanowimy, co z tym zrobić. Zagłosujemy i już.

Mówiąc to, zerknął na mnie z wyraźną nieufnością. Silnym strumieniem wydmuchnął dym z papierosa.

– Ale najpierw odzujemy Pajaka – powiedziałem.

Nazajutrz zamierzaliśmy być pod Pękniętymi Drzwiami, sklepem z antykami Hugona Villarde’a, o szesnastej, kiedy zostanie otwarty.

Ale w zamieszaniu minionego tygodnia zapomniałem o jednym ważnym szczególe: Santa Barbara. Miałem wziąć Sam do siebie na długi weekend. Cynthia zadzwoniła wcześniej i poinformowała, że nowa opiekunka, niejaka Staci Dillon, odbierze Sam ze szkoły kwadrans po trzeciej i przywiezie ją prosto do mnie. Cynthia dała jej komplet moich kluczy, więc uznałem, że to nie problem: Staci otworzy sobie drzwi i poczeka z małą, aż wrócimy ze sklepu z antykami.

Minął jednak cały poranek, potem wczesne popołudnie, a nowa opiekunka wciąż się nie odzywała. Telefonowałem do niej co pół godziny, zachodząc w głowę, jakim cudem moja była żona zaufała kobiecie, która pisze swoje imię przez „i” na końcu. Równie dobrze Cynthia mogła zatrudnić jakąś Ibizę albo Tequillę. Wreszcie o wpół do trzeciej zadzwoniła Staci. Wydarzyło się coś niespodziewanego. Jej siedemnastoletni syn miał wypadek samochodowy na autostradzie Brucknera. Nic mu się nie stało, ale Staci właśnie wracała ze szpitala na Bronksie, więc miała około godziny spóźnienia. Mogła być u mnie najwcześniej o piątej. Zapewniłem, że bez problemu mogę odebrać Sam ze szkoły. Oznaczało to jednak, że muszę wziąć ją ze sobą do Pękniętych Drzwi – nie była to zbyt miła perspektywa.

– Zadzwoń do Cynthii – poradziła Nora. – Może ma jeszcze jakąś inną nianię.

– Nie mogę. Właśnie wsiada do samolotu.

– Nie ma jakiegoś awaryjnego numeru, pod którym można zamówić opiekunkę? – zapytał Hopper, siedzący na oparciu kanapy.

– Nie wyślę po Sam obcej osoby.

– Mogę pojechać do sklepu z Hopperem – stwierdziła Nora.

– A ja mam sobie odpuścić?

Kiwnęła głową. Dobrze wiedziałem, skąd się wzięła taka sugestia: Nora nadal utrudniała mi życie po zażartej dyskusji

z poprzedniego wieczoru o tym, co prawdziwe, a co nie.

– Po prostu weź ją z nami – zaproponował Hopper. – Jak będzie nieciekawie, to odjedziesz.

Nie odpowiedziałem, pochłonięty myślami. Byliśmy już blisko. Czułem to. Gdybym zostawił tak kluczową konfrontację w rękach Hoppera i Nory, wszystko mogło pójść na marne. Villarde mógłby nabrać podejrzeń i wymknąć nam się z rąk. Ale narażenie Sam na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo nie wchodziło w grę.

– Lepiej się decyduj – powiedział Hopper. – Musimy jechać.

Nie było witryny ani szyldu, tylko zamknięte drzwi garażowe pokryte obłazającą czerwoną farbą.

Ceglanego muru czepiały się długie zwoje uschłej winorośli. Przypominały kosmyki sztywnych włosów, które zostają po wzięciu prysznicą na płytkach w łazience. Górne piętra były opustoszałe, okna albo potłuczone, albo zabite deskami. Kiedyś dom uchodził pewnie za dość elegancki – po obu stronach garażu znajdowały się drobiazgowo wykonane pilastry korynckie, a na parterze biegł rząd żółto-niebieskich okien witrażowych – ale wszystko to było teraz wyblakłe, pokryte warstwą brudu, zupełnie jakby budynek latami tkwił pod ziemią i dopiero kilka dni temu go odkopano.

Podszedłem do jednych z dwojga drzwi, żeby sprawdzić, czy jest tam domofon do mieszkań. O dziwo to nazwisko – „Villarde” – napisane czarnym długopisem i równym charakterem pisma widniało przy dzwonku do lokalu na pierwszym piętrze.

– Widocznie mieszka nad sklepem – stwierdził cicho Hopper, podnosząc wzrok, żeby obejrzeć budynek.

Tylko na pierwszym piętrze nie wybito szyb. Okna były wysokie i wąskie, a szkło brudne, ale w jednym z nich wisiały długie, żółte zasłony, a na parapecie stała terakotowa doniczka z niedużym kwiatkiem.

– Scott. – Sam szarpała mnie za rękę. – Scott!

– Tak, skarbie? – spytałem. Mała wskazywała na Hoppera. – Już ci mówiłem, kochanie. To Hopper.

Przyjrzała mi się.

– Jest twoim kolegą?

– Tak.

Skrzywiła buzię, poważnie zastanawiając się nad tą odpowiedzią. Potem zmarszczyła brwi. Popatrzyła na Norę, która podeszła do drugich drzwi i nacisnęła klamkę.

– Zamknięte – szepnęła Nora, a potem osłoniła oczy dłonią, by zajrzeć przez szybę.

Sam miała na sobie mundurek ze szkoły Spence – białą bluzkę i zielono-niebieski sweter w szkocką kratę – ale Cynthia

naturalnie dodała do tego stroju parę elementów rodem z filmów Jamesa Ivory'ego: czarny płaszcz z bufiastymi rękawami, aksamitną klamerkę do włosów, czarne lakierki. Odkąd tylko odebraliśmy Sam ze szkoły, była nieśmiała i ostrożna, zwłaszcza wobec Hoppera. Poza tym okropnie się wierciła, szurała nogami, bujała się na moim ramieniu, bardzo mocno odchyliła głowę, żeby mnie o coś zapytać – to wszystko sygnał, że dochodziła do siebie po mocnej dawce cukru i chciała coś zjeść.

– W środku jest ciemno – powiedziała Nora, wciąż zaglądając przez okno.

– Która godzina? – zapytałem.

Hopper zerknął na telefon.

– Dziesięć po czwartej.

– Poczekajmy piętnaście minut.

Zawróciliśmy na zachód w stronę Lexington Avenue i udaliśmy się do East Harlem Café. Kupiłem Sam batonik owsiany, raz jeszcze wyjaśniłem, że jesteśmy na wycieczce, a potem pojedziemy do Serendipity 3 na lody z gorącą polewą. Prawie nie zwracała na mnie uwagi i tylko udawała, że skubie batonik, bo jak zahipnotyzowana wpatrywała się w Hoppera. Nie rozumiałem, co oznacza ta fascynacja, dopóki nie stanął w kolejce po kolejną kawę.

– Chcesz zobaczyć, jak skaczę stąd tam? – zapytała go, wskazując na podłogę.

Hopper zerknął na mnie niepewnie.

– No, czemu nie.

Sam zebrała się w sobie, zwarła stopy na krawędzi jednej z pomarańczowych płytek, a potem – upewniwszy się, że Hopper uważnie ją obserwuje – zaczęła skakać przez całą kawiarnię i zatrzymała się dopiero przy wystawie z kubkami.

– Super – powiedział Hopper.

– Chcesz zobaczyć, jak skaczę stąd tam, a potem tam?

– Oczywiście.

Głęboko wciągnęła powietrze, przytrzymała je, jakby zaraz miała zanurkować pod wodę, a potem w podskokach ruszyła po

kolejnych płytkach w przeciwnym kierunku. Zatrzymała się i spojrzała na Hoppera.

– Odlotowo – stwierdził.

Sam odgarnęła loki z oczu i znów zaczęła skakać.

W najgorszym razie poczekam z nią na zewnątrz. To rojna ulica, rosną drzewa, świeci słońce, stale jeżdżą samochody. Nawet gdyby Pająk okazał się szaleńcem, to co mógł zrobić teraz, w świetle dnia?

Dziesięć minut później wróciliśmy pod Pęknięte Drzwi. Nic się tam nie zmieniło. Wrota garażu wciąż były zamknięte, a w oknach nie paliło się światło.

Hopper nacisnął klamkę wąskich drewnianych drzwi – i tym razem się otworzyły. Stałem za nim.

Zobaczyliśmy ciemny magazyn pełen antyków upakowanych tak ściśle – krzesła leżały na stołach, a stoły na kołach od wozów – że wcale nie było oczywiste, którędy wejść do sklepu. Drzwi nawet nie otwierały się do końca, a dalszą drogę zastawiały poidełko dla ptaków pokryte ptasim gównem, zardzewiały zegar słoneczny, kilka obtłuczonych kufrów podróżnych, a na nich z kolei radio z czasów Eisenhowera, zmatowiałe mosiężne lampy z pożółkłymi abażurami oraz stosy starych gazet.

Hopper i Nora precyzyjnie przeszli przez wąskie przejście i zniknęli w środku. Schyliłem się i wziąłem Sam na rękę.

– Nie – zaprotestowała. – Jestem za duża.

– Tylko na chwilkę, skarbie.

Przyłożyłem palec do ust i szeroko otworzyłem oczy – żeby ją przekonać, że to wszystko taka fajna gra – po czym weszliśmy do środka.

Pod sufitem bzycały jarzeniówki rzucające oślizgłe niebieskie światło. Hopper i Nora pokonali już spory kawałek. Przemieszczali się gęsiego jedyną zauważalną drogą – ciasnym wąwozem przez stosy szmelcu. Pomieszczenie było olbrzymie, ciągnęło się chyba w głąb aż do następnej przecznicy, ale światło nawet nie próbowało dotrzeć w najdalsze zakątki sklepu, tonęły więc w brudnych cieniach. Były tu stoły i szafy, popękana

walizka z napisem „Strażacki kombinezon azbestowy”, fajki à la Sherlock Holmes, karafka z zakonserwowaną kobrą, czerwona butelka z etykietką „Płyn do balsamowania champion”. Wokół nas piętrzyły się stosy komiksów niczym czerwone formacje skalne w Arizonie. Wstrzymałem dech z powodu silnego smrodu – czegoś między naftaliną a cuchnącym starczym oddechem.

Musiałem stąpać ostrożnie, ponieważ cały sklep przypominał pułapkę. Zupełnie jakby chodziło właśnie o to, żeby przypadkiem potrącić coś łokciem, bo wtedy wszystko się zawali i obciążą człowieka kosztami zniszczeń rzędu setek tysięcy dolarów.

Zagłębiałem się z Sam coraz dalej. Przecisnąłem się obok maszyny do szycia, starej kolejki oraz drewnianego krzesła, na którym chyba leżał zmumifikowany pies, i dotarłem do sekcji z makabrycznie wyglądającym starym sprzętem medycznym.

Przełożyłem sobie Sam na drugie ramię, żeby tego nie widziała: szpitalnych pryczy w rozmiarze niemowlęcym z poszarzałymi materacami, poplamionych misek, w których kiedyś trzymano pewnie pijawki, gumowych opasek uciskowych, zarośniętych żółtych ampulek, pompek, strzykawek, drewnianej skrzynki na srebrne szczypce, duże i małe. Wzdłuż tylnej ściany sztywno stały powgniatane blaszane szafki. Na stole z nierdzewnej stali znajdowały się setki brązowych butelek z lekami, każda z białą karteczką, ale były zbyt daleko, żeby je przeczytać. Z tego samego stołu zwisały również wytarte skórzane paski. Takie do unieruchomienia człowieka podczas lobotomii. Nerwowo zerknąłem na Sam. Na szczęście patrzyła w przeciwnym kierunku, na Hoppera.

Właśnie siedł na tył sali, gdzie stał długi drewniany stół zasypany stertami papierów. Była tam również stara kasa.

– Halo! – zawołał głośno. – Jest tam kto?

Nora krążyła po przeciwnej stronie sklepu urzeczona. Wcale się nie dziwiłem, bo to było miejsce dokładnie w jej stylu, zwłaszcza te dawne stroje wiszące na ścianach jak strachy na wróble: stare brudnobrązowe sukienki z lat czterdziestych, puszyste różowe kreacje bez ramiączek noszone na balach

maturalnych w latach pięćdziesiątych. Zatrzymała się przy stojaku, ostrożnie zdjęła z niego fioletowy kapelusz z filcu – ze sztywnym czarnym piórkiem przyklejonym do wstążki – uniosła brodę, włożyła go na głowę, a potem zaczęła przedzierać się wśród staroci w kierunku poplamionego lustra opartego o czarne koło od wozu.

– Halo! – krzyknął Hopper.

Marszcząc czoło, wziął do ręki coś, co wyglądało jak prawdziwy bagnet. Ostry szpic był zardzewiały.

– Nie chcę, żebyś mnie dalej niósł. – Sam wierzgała jak żrebak.

– Muszę. To miejsce jest zaczarowane.

Przyglądała mi się.

– Co tu jest zaczarowane?

– Wszystko.

Obszedłem afrykański bęben – wykonany chyba z ludzkiej skóry, wyprawionej i wysuszonej – i ruszyłem za Hopperem.

Nagle niechcący kopnąłem nogę drewnianego stołu, który złożył się pośrodku. Leżały na nim sterty kluczy, chromowane dekoracje na maski samochodów, brudny kryształowy żyrandol – i wszystko to zaczęło się staczać hałaśliwą kaskadą kryształu, łańcuchów, setek metalowych kluczy, które z brzękiem uderzały o ziemię. Mocno obejmując Sam, która przycisnęła twarz do mojego ramienia, zdołałem drugą ręką złapać żyrandol, a kolanem poprawić nogi stołu.

Hopper pstryknął palcami.

Wskazał na tylną ścianę, gdzie znajdowały się brudny świetlik oraz wąskie drzwi z matową szybą.

Tuż za nią poruszył się ludzki cień, a teraz zamarł, jakby wyczuł, że go dostrześliśmy.

To był chyba mężczyzna. Miał wydłużoną głowę i szerokie ramiona.

– Jest tam kto?! – zawołał znowu Hopper.

Po chwili wahania mężczyzna otworzył drzwi i wetknął głowę do magazynu. W ciemności nie widziałem jego twarzy, ale miał bujne rudoblond włosy.

– Przepraszam. Nie słyszałem, że ktoś przyszedł.

Jego głos był ochrypły, lecz delikatny – wręcz osobliwie. Mężczyzna gwałtownie wciągnął powietrze, po czym wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Został jednak dokładnie tam, gdzie był. Jedną rękę trzymał za plecami, zapewne na klamce, jakby rozważał, czy lada moment nie czmychnąć tam z powrotem.

To musiał być on. Pająk.

Był rosły – miał co najmniej dwa metry wzrostu – tęgi i umięśniony. Nosił się całkiem na czarno. Czerń tę rozpraszała tylko biała koloratka.

– Czym mogę służyć? – Wymówił te słowa bardzo gwałtownie i nastąpiła po nich cisza, zupełnie jakby zebrały się w jego ustach niczym kamyki w rurze ściekowej, a potem nagle wystrzeliły, przez co odezwał się z dziwną, drażniącą intonacją. – Czy szukają państwo czegoś konkretnego?

– Tak – odparł Hopper, powoli ruszając w jego stronę. – Hugona Villarde’a.

Mężczyzna całkowicie znieruchomiał.

– Rozumiem.

Nie powiedział nic więcej, przez co najmniej pół minuty nie drgnął mu choćby mięsień. Jednakże nawet stąd, gdzie stałem, dość daleko za Hopperem i Norą, widziałem, że jego ramiona unoszą się i opadają.

Bał się.

– Niech pan nawet nie próbuje uciekać – powiedział Hopper, zbliżając się do mężczyzny. – Wiemy, kim pan jest. Chcemy tylko porozmawiać.

Tamten posłusznie spuścił głowę. W jego włosach o nienaturalnym odcieniu brązu odbiło się światło.

– Jesteście z policji, jak mniemam? – zapytał.

Nikt z nas nie odpowiedział. Zdziwiło mnie to przypuszczenie. Bądź co bądź, miałem na rękach dziecko.

Ale może mnie nie zauważył. Patrzył w podłogę.

– Wiedziałem... wiedziałem, że przyjdziecie – szepnął. – Wcześniej czy później. Więc znaleźliście tam to wszystko, prawda? Nareszcie wszystko wychodzi na jaw. – Mówił z wyraźnym strachem, wciąż tym samym niskim, dziwnie kobiecym głosem. – Ile ich było? – zapytał.

– Czego? – odparłem, ruszając ku niemu.

Uniósł głowę i wreszcie mnie zauważył.

Potem się odwrócił, spojrział przenikliwie na Norę, następnie na Hoppera. Zaczęło do niego docierać, że źle ocenił sytuację: nie byliśmy z policji. I choć nie zrobił nic konkretnego, to jakimś cudem dostrzegłem, że w miarę jak to sobie uświadamiał, rozluźniły mu się ramiona, głowa uniosła się odrobinę, jakby przestało z niego schodzić powietrze, jakby już nie chował się w sobie.

Kiedy wreszcie znów na mnie popatrzył, przebiegł mnie dreszcz niepokoju. Byłem pewien, że teraz ten człowiek stał się jeszcze czarniejszą sylwetką pod drzwiami, jakby powoli odzyskiwał nadzwyczajną pewność siebie, od której pęczniał, nabierał mroczniejszej postaci.

Jak to ujęła Marlowe Hughes?

Bo widzicie, ten ksiądz wciąż tam był, wciąż się czał, po cichu czekał na obrzeżach. Oleisty cień, który nie oddalał się ani na chwilę.

Chociaż twarz mężczyzny pozostawała nieruchoma, jego oczy – na ile je widziałem – zerkwały ciekawie w stronę Sam.

Musiałem zabrać od niego Samanthę. Natychmiast.

Ruszyłem z nią z powrotem wąskim przejściem w stronę frontu sklepu. Musiałem ją odprowadzić na bezpieczną odległość, ale jednocześnie zostawić na tyle blisko mnie, żebym stale miał na nią oko. Dziesięć metrów dalej znalazłem duży fotel obity śliwkowym aksamitem, wytarty aż do białości. Obok był stół z mnóstwem czasopism i plastikowym żółtym konikiem. Nic niebezpiecznego.

– Nieee – jęknęła Sam, gdy posadziłem ją w fotelu. – Nie chcę.

– Kochanie, musisz tu na mnie zaczekać.

– Przecież tu wszystko jest zaczarowane!

Patrzyła na mnie zrozpaczona, z grymasem na twarzy. Była na skraju łez.

– Już nie, kochanie. Teraz wszystko jest fajne! – powiedziałem. Sam pokręciła głową, objęła ramionami moją nogę i przycisnęła mi twarz do kolana. Podniosłem zabawkę. – Wielkie nieba! Wiesz, kto to jest? – Nie odrywając czoła od mojego uda, mała lekko obróciła głowę, żeby spojrzeć bokiem na zabawkę. – Toż to konik z bajki! Coś niesamowitego! Ma tysiąc lat, a jeśli będziesz grzeczna, opowie ci wszystkie swoje tajemnice. Posłuchaj, będę niedaleko. O, tam. Niczego nie dotykaj. Zaraz wracam. A wtedy pójdziemy razem na wielką porcję lodów, dobra?

W plastikowym koniu musiało być coś intrygującego – chyba pochodził z lat czterdziestych, jego siodło i lejce namalowano farbą – bo wzięła go i z nadąsaną miną zaczęła obracać w malutkich rączkach.

Niestety wszyscy słuchali naszej rozmowy: Nora i Hopper z niepokojem, a Hugo Villarde, jak mi się wydawało, z nieznacznym uśmieszkiem. Ale gdy ruszyłem w jego stronę, natychmiast spuścił głowę, jakby nie lubił, gdy ktoś patrzy wprost na niego.

Stałem między nim a Sam, tak żeby jej nie widział. Jeszcze tylko parę minut i ją stąd zabiorę.

– Zacznijmy od Ashley Cordovy – powiedział Hopper. – Skąd pan ją zna? – Tamten nie odpowiedział. – Dlaczego pana szukała? – Hopper nie dawał za wygraną.

– Szukała? – powtórzył mężczyzna. – Raczej na mnie polowała.

– Dlaczego?

Villarde oddalił się od drzwi na kilka ostrożnych kroków i wyciągnął spod stołu metalowy stołek. Powoli przyciągnął go do siebie po betonowej podłodze – z głośnym, drażniącym chrobotem, który chyba sprawiał mu przyjemność – a potem przycupnął naprzeciw nas na samym jego skraju. Obcas buta – czarnej kowbojki z kunsztownym białym szwem – oparł o górny szczebel.

Siedział tak i wpatrywał się w nas niczym stary, umięśniony łabędź, niegdyś majestatyczny, a dziś ledwie żywy, drażniący pełen gracji jak na kogoś tak rosłego. Teraz padało na niego trochę więcej światła, więc widziałem, że jego twarz znaczą głębokie zmarszczki, a po lewej stronie, od oka aż do szyi, skórę pokrywają blizny i pęcherze. Marlowe Hughes musiała mówić prawdę. To na pewno ślady tej nocy, o której opowiadała: kiedy Ashley podobno podpaliła Pająka żywcem.

– Co pan robił na trzydziestym piętrze Waldorf Towers? – zapytałem.

Był zaskoczony.

– Z kimś się... umówiłem – odparł.

– Z kim? – chciał wiedzieć Hopper.

– Mym Wypaczonym Złudzeniem. – Villarde się uśmiechnął. – Tak o sobie mówił. Poznaliśmy się w internecie.

– Kto płacił komu? – zapytał bezczelnie Hopper.

Mężczyzna pochylił głowę, przyznając, że to prawda.

– Ja jemu.

– I co się stało? – spytałem.

– Postąpiłem zgodnie z jego poleceniami. Wynająłem pokój. Podałem swoje prawdziwe nazwisko. Rozebrałem się i okryłem tylko szlafrokiem. A kiedy usłyszałem trzykrotne pukanie, otworzyłem drzwi. Spodziewałem się zobaczyć na progu ślicznego chłopca. – Przerwał i przełknął ślinę. – Z pewnością nie tego... czego.

– To znaczy Ashley? – zapytałem. Spojrzał mi w oczy. Wydawało się, że sam dźwięk jej imienia budzi w nim odrazę. – Wzięła pana podstępem – zrozumiałem.

Kiwnął głową.

– Nigdy w życiu się tak nie bałem. Odepchnąłem ją na bok. Wyleciałem z wrzaskiem na korytarz, wpadłem do windy, drżałem, dosłownie miałem konwulsje z przerażenia. Pobiegiłem przez hol i wyskoczyłem na ulicę w samym szlafroku. Bez kluczy. Bez portfela. Zostawiłem w pokoju tysiące dolarów. Ale musiałem się stamtąd wydostać. Od tego zależało moje życie.

Słuchając jego matowego, cukierkowego głosu, można by pomyśleć, że siedzi tu zdenerwowana piętnastolatka – a nie olbrzymi mężczyzna, który dobiega siedemdziesiątki. Nie mogłem przywyknąć do tego rozdźwięku między melodyjnym głosem a fizyczną sylwetką. W zasadzie im dłużej Villarde mówił, tym bardziej wytrącało mnie to z równowagi.

Coś jeszcze było z nim nie tak.

Po pierwsze nie sądziłem, że przysunie sobie krzesło i zacznie gawędzić bez oporu czy dyskomfortu. Że chciała z nami rozmawiać Marlowe Hughes – to rozumiałem. Osamotniona i zapomniana upadła gwiazda złąkniona uwagi publiczności. Ale ten zdeformowany ludzki ptak? Czemu tak szybko zdecydował się powiedzieć nam prawdę? Na pewno czegoś od nas chciał.

Z niepokojem zerknąłem na Sam. Odłożyła konia na stół i bacznie przyglądała się mężczyźnie.

– Gdzie ponownie spotkał pan Ashley? – zapytałem, odwracając się z powrotem do niego. – W Oubliette?

Villiarde był wyraźnie zdumiony, słysząc nazwę klubu. Poruszył się na stołku, nieco zgarbił, a potem znieruchomiał.

– No, no. Widzę, że odrobiliście pracę domową. To prawda.

– Skąd wiedziała, że pan tam będzie? – spytał Hopper.

– Przypuszczam, że znalazła kartę członkowską w moim portfelu, który zostawiłem, uciekając z Waldorfa. Na odwrocie jest prywatny numer telefonu, pod którym trzeba się umówić na niewolę. Później dowiedziałem się, że Ashley tam zadzwoniła

i zgłosiła się jako mój gość. – Przerwał i ciężko oddychał. To był mdlący dźwięk, który drażnił zmysły. – Byłem w... w celi z moim panem, kiedy nagle wyszła z ciemności. Zupełnie jakby wyłoniła się wprost z kamiennych ścian. Wrzeszczałem. Uciekłem. Zawiadomiłem ochronę. Strażnicy ruszyli za nią całą gromadą, gonili ją plażą wzdłuż klifów, ale wrócili z niczym. Powiedzieli, że ślady po prostu się urwały, zupełnie jakby odfrunęła jak ptak. Albo weszła w fale i utonęła. – Spuścił głowę i wbił wzrok w uda. – Nazajutrz nie było po niej ani śladu. Ale wiedziałem, że to tylko kwestia czasu. Że przyjdzie.

– I przyszła? – zapytałem.

– Och, tak. Oczywiście.

– Dokąd?

– Właśnie tutaj. – Wyciągnął rękę, pokazując swój sklep. – Robiłem na tyłach spis towaru, gdy nagle zobaczyłem, że światło się wycofało, zupełnie jakby słońce uciekło, ukryło się za chmurą. Zaniepokojony podniosłem wzrok. Stała właśnie tam. – Wycelowałem palec w kierunku wejścia do lokalu, gdzie światło z ulicy sączyło się przez witrażowe okna i uchylone drzwi. – Jeszcze mnie nie zauważyła, więc przykucnąłem, a potem jak najciszej przeczołgałem się po podłodze na czworakach. Dotarłem w kąt i tam się schowałem. – Odwrócił się w prawo i wskazał olbrzymią dwudrzwiową szafę w najdalszym rogu. – Słyszałem każdy jej krok, kiedy coraz bardziej zbliżała się do mojej kryjówki. Jakby to diabeł nadchodził. Nastąpiła długa chwila ciszy. A potem usłyszałem, że łapie za klamkę. Drzwi szafy otworzyły się bardzo powoli. I wiedziałem, że to już. Że stanąłem oko w oko z własną śmiercią.

Zamilkł przygarbiony i się wzdrygnął.

Usiłując nie zwracać uwagi na ogarniający mnie wstręt, znowu obróciłem się w stronę Sam. Na szczęście ona i konik byli już najlepszymi przyjaciółmi. Właśnie szeptała mu do ucha, tłumacząc coś ogromnie ważnego.

– Dlaczego na pana polowała? – zapytał nagle Hopper.

Villarde nie odpowiedział, tylko spuścił głowę jak winowajca.

– Współpracował pan z mieszkańcami Crowthorpe Falls? – spytała łagodnie Nora, podchodząc do niego. – Pomagał pan im dostać się na teren Szczytu?

– Tak – odparł Villarde i uśmiechnął się blado, wdzięczny za tę jej empatię.

– Jak to dokładnie działało? – spytałem. – Zawarł pan z nimi układ?

– Tak – szepnął pokornie.

– Z kim?

Pokręcił głową.

– Tego nie wiedziałem. Tyłu ich było. Ledwo... ledwo wprowadziłem się do Crow. Pierwszy raz spotkałem Stanisłasa całkiem przypadkiem w sklepie wielobranżowym. Żona wysłała go do miasteczka po rękawice ogrodnicze. Zapytał mnie, co sądzę o asortymencie. „Które z tych rękawic są godne królowej z bajki?” To były jego pierwsze słowa. Natychmiast poczuliśmy do siebie pociąg. Kiedy ludzie się pożądatają, zderzają się jak kule do burzenia murów, żeby zaspokoić swą potrzebę tu i teraz, jakby świat miał się skończyć. Zaczęliśmy spotykać się w miasteczku, a po miesiącu zaprosił mnie do swojej posiadłości. Dostałem własny apartament w wieży, z mahoniową boazerią i czerwonymi zasłonami z adamaszku. Piękniejszego pokoju w życiu nie widziałem. Po paru tygodniach znowu byłem w miasteczku, jadłem lunch w barze, kiedy usiadł obok mnie brodacz w ogrodniczkach, z wykałaczką w zębach. Zapytał, czy interesuje mnie obopólnie korzystna umowa. Nie miałem wtedy pieniędzy. Sądziłem, że jeśli wyrobię sobie u miejscowych dobrą opinię, łatwiej mi będzie założyć parafię.

– Ale formalnie nie jest pan księdzem – mruknąłem.

– Spędziłem dwa lata w seminarium. Nie ukończyłem go jednak, to prawda.

– Mimo to ubiera się pan jak ksiądz. Czy to nie świętokradztwo?

Tylko uśmiechnął się blado. Powoli potarł dłonie.

– Dlaczego nie ukończył pan seminarium? – zapytała Nora.

– Nie miałem tego, co potrzeba, żeby zostać duchownym Kościoła katolickiego.

– To zabawne, bo zauważyłem, że w największych diecezjach szumowiny z zadziwiającą łatwością docierają na sam szczyt – stwierdziłem.

Villarde nie odpowiedział, a ja znów odwróciłem się do Sam. Bawiła się plastikowym koniem. Właśnie tańczył na blacie stołu.

– Miałem im pomóc dostać się na posesję – wyjaśnił mężczyzna. – To było proste. Wystarczyło, że przetnę ogrodzenie na południowym krańcu, żeby można było tam wpłynąć łódką przez wąski strumyk, który wpada do jednego z jezior na terenie posiadłości. Poza tym poproszono mnie, żebym otworzył tunele.

– Tunele? – powtórzyłem.

– Pod całą posiadłością znajduje się labirynt podziemnych przejść. Był tam, odkąd zbudowano rezydencję, żeby służba mogła bez trudu przemieszczać się po terenie nawet przy złej pogodzie. Stanislas nie wiedział o tym, kiedy kupował Szczyt. Para Brytyjczyków, która mieszkała tam przed nim, zatkała korytarze, więc pośrednik nie miał o nich pojęcia. Ten nieznamy brodac poprosił mnie, żebym je odblokował. Nie było to trudne, praca zajęła mi tylko kilka nocy. Tunele były prymitywnie zabite deskami, a na ceglach napisano wspaniale jakieś dziwne kawałki wierszy, jakby ten, kto to zrobił, był zupełnie szalony. Poza tym zostałem jeszcze poproszony o otwieranie głównej bramy. Co srode o północy chodziłem tunelem, który prowadził do stróżówki. To były jakieś trzy kilometry. Otwierałem bramę, a potem po prostu wracałem do łóżka. Tunele są rozległe, przypominają pajęczynę. Jest taki centralny punkt, w którym widać, jak różne korytarze biegną do innych, tajnych miejsc na posesji. Nie wiedziałem, dokąd prowadzą. Zawsze trzymałem się tunelu do stróżówki. Tylko nim odważyłem się chodzić. Oczywiście to, co zrobiłem, była zdradą wobec Cordovy. Ale naprawdę nie widziałem w tym nic złego. Posiadłość była olbrzymia. Czemu nie wpuścić na nią biednych miejscowych, którzy nie mieli niczego? Niech by sobie

odprawiali te swoje pogańskie rytuały, skoro to ich uszczęśliwiało.

– Uczestniczył w nich pan? – zapytał Hopper.

Villarde poczuł się chyba urażony.

– Oczywiście, że nie.

– Ale Cordova owszem – stwierdziłem bez ogródek.

Mężczyzna na chwilę zamknął oczy, jakby poczuł ból.

– Tej nocy, kiedy odkrył korytarze, przyłapał samotną kobietę, która biegła tunelem na miejsce, z którego korzystali. Śledził ją, bo chciał stawić czoła tym ludziom. Zamiast tego sam się we wszystko zaangażował. – Villarde zdobył się na słaby uśmiech. – „Dla każdego znajdzie się przynęta, na którą chwycić się musi”⁴.

– Co to za rytuały? – spytałem.

– Nie wiem. Stanislas nie chciał mi powiedzieć.

– Jaki dokładnie był charakter pańskiej przyjaźni ze Stanislasem?

To pytanie go zawstydzilo.

– łączyła nas... więź.

– Według pana – mruknął Hopper. – Zabawne, jakie te więzi bywają jednostronne.

Villarde się obruszył.

– Ja Cordovie nic nie zrobiłem. To on był wampirem. Pozwalał ci wierzyć, że cię kocha, że jesteś dla niego najdroższą osobą na świecie, a tymczasem wysysał z ciebie życie do cna. Spędzałeś z nim godzinę, a potem byłeś padliną. Traciłeś poczucie własnego ja, traciłeś orientację, jakby nie było różnicy między tobą a krzesłem, na którym siedzisz. On oczywiście był bardziej ożywiony, przez tydzień pisał, filmował, nienasycony, szaleńczo żywy. Sztuka, język, jedzenie, mężczyźni, kobiety... Tym wszystkim należało go nieustannie karmić, jakby był wygłodniałą bestią, która ledwie się mieści w ludzkich ramach. Jego apetyty nie znały końca.

Powiedział to wszystko wzburzony i chciał mówić dalej, ale się powstrzymał i gwałtownie zamilkł.

– Jak długo mieszkał pan z Cordovą na Szczycie? – zapytałem.

– Niedługo. Śmierć jego pierwszej żony nadszarpnęła naszą przyjaźń. Genevra była bardzo zazdrosna o naszą więź. Uznałem, że najlepiej będzie wyjechać. Podróżowałem po świecie. Ale kiedy przed kimś uciekasz, to choćbyś był daleko, ten ktoś będzie za tobą podążał tak nieubłaganie jak gwiazdy. Wciąż jesteś w jego uścisku, nawet jeszcze silniejszym. Nie było mnie przez piętnaście lat. Kiedy wróciłem do Crow, wybrałem się na Szczyt i zapytałem Stanislasa, czy mogę znów u niego zamieszkać. Liczyłem, że rozpoczniemy nowy rozdział, wrócimy do tego, jak było przed śmiercią jego pierwszej żony. Ale teraz był znowu żonaty, z Astrid, i miał piękne dziecko. A także nowy film, który właśnie wykuwał z nicości i nadawał mu dziką formę. Mieszkało u niego mnóstwo ludzi, pisarze, artyści, naukowcy. Jednak po miesiącu wziął mnie na stronę i powiedział, że powinienem w końcu pomyśleć o przyszłości, o tym, gdzie postawię ten kościół, o którym zawsze marzyłem. Na pewno daleko od niego. Lubił mówić: „Najwyższa pora, żeby wszystko porosły pnącza”, co oznaczało, że nie warto pielęgnować i oświetlać części domu, skoro już nigdy nie zamierza się wejść do niektórych pokoi. Właśnie w ten sposób żył. Sam był taką rozległą rezydencją złożoną z porośniętych sal, w których drzewa przebijają się przez pęknięte sufity, rośliny wiją się z podłogi. Rozumiałem, co chce powiedzieć. Robił to już wiele razy. Zbywał mnie. Wydał mi polecenie, żebym odszedł w niebyt. Żebym zgasł. Stanislas ciągle szedł naprzód, ciągle walczył, ciągle kochał, galopował ku następnemu tajemniczemu nieznanemu, następnej wyspie, następnemu morzu. A za sobą zawsze zostawiał ruiny. Ale nigdy nie odwracał się, żeby je zobaczyć. Nigdy nie patrzył wstecz. Czułem się głęboko zraniony. Cordova był jednocześnie najserdeczniejszym i najokrutniejszym człowiekiem na świecie. Przechodził między tymi cechami arbitralnie, kiedy mu to odpowiadało. Przy nim miałeś wrażenie, że podążasz za pięknym migoczącym światełkiem, które wabi cię w głąb lasu. Gdy tylko całkiem traciłeś zmysł orientacji i nie mogłeś zawrócić, światełko bezwzględnie obracało się przeciwko tobie, obnażało twoją

nagość, oślepiało cię, paliło. Nie potrafiłem zapomnieć. Nie zapomniałem o Stanislasie przez piętnaście lat. Więc nie wiem, dlaczego mu, kurwa, przyszło do głowy, że zapomnę wtedy.

Wysyczał te słowa, tocząc ślinę, nie potrafił nad sobą zapanować, ale potem równie szybko zamilkł. Odetchnął, by odzyskać spokój.

Patrzyłem na niego w milczeniu. Marlowe Hughes nazwała go „oleistym” – to dziwne określenie. Ale rzeczywiście był jak podstępna strużka oleju, która sączy się z obłuzowanej rury, kapie na podłogę cicho, uporczywie. Powstałej plamy z początku niemal się nie widzi, lecz z czasem staje się olbrzymia, odrażająca.

Jednak mimo tego żenującego użalania się nad sobą wyczuwałem u niego bardzo prawdziwą, bardzo bolesną ranę, która nigdy się nie zagoiła.

– Wkrótce po tym, gdy mnie zbył – opowiadał dalej Villarde – zakradłem się w środku nocy do pokoju jego córeczki. To było tak absurdalnie proste. Co za ironia losu, że nie zrobił nic, żeby chronić swe najcenniejsze dzieło. On, Cordova, który zawsze nas ostrzegał, że powinniśmy bać się własnego cienia, bo na całym świecie nie ma nic straszniejszego. – Uśmiechnął się. – Nie przestraszyła się, kiedy obudziłem ją szarpnięciem za ramię. Usiadła, potarła oczy i zapytała, czy miałem zły sen. To się dopiero nazywa eufemizm. Powiedziałem, że stało się coś straszego. Że musi mi pomóc. Jej ojca porwały trolle, więc musimy wyruszyć daleko w głąb najciemniejszego lasu, żeby go uratować. Gwałtownie wyciągnąłem ją z łóżka. Ostrzegłem, że musi być cicho, bo inaczej trolle przyjdą i zabiją jej matkę i brata. Nie odezwała się ani słowem. Sprowadziłem ją prosto do piwnicy, a potem po schodach do tunelu. Nawet sobie nie zawracałem głowy, żeby włożyć jej buciki albo dać płaszczyk. Ashley wcale się nie bała. O, nie. Bądź co bądź, była córką Cordovy. Miała dopiero pięć lat, ale była już taka pewna siebie, taka wolna od wszelkiego strachu. Wciąż pamiętam cichy tupot jej czyściutkich, bosych stóp. Stąpały tuż obok moich butów po brudnej ziemi. Pamiętam,

jak światło mojej latarki ocierało się o rąbek jej białej koszuli nocnej, jak go parzyło, gdy podążaliśmy korytarzem. A on był niczym czarna żyła, która wciąż wije się przed nami i wije. Kiedy dotarliśmy do centralnego punktu, Ashley powiedziała, że coś sobie zrobiła w stopę. Leciała jej krew. Chyba stanęła na gwoździu. Ale ja pociągnąłem ją za sobą wąskim tunelem, który prowadził na polanę. I na rozstaje. Nie byłem tam nigdy wcześniej. Nigdy się nie odważyłem.

Pokręcił głową, zwarł dłonie, splótł palce jak w modlitwie. Odwróciłem się i zerknąłem na Sam. Postawiła konia na stosie czasopism, rozmawiała z nim i głaskała go po grzywie. Jeszcze tylko parę minut.

– Wreszcie – szepnął Villarde niemal bezgłośnie – kiedy zaczynałem już myśleć, że zapuściliśmy się nie do lasu, lecz do samego jądra Ziemi, dotarliśmy na koniec korytarza. Była tylko ziemna ściana z metalową drabinką. Wszedłem pierwszy i otworzyłem klapę. Wyłoniłem się w gęstym lesie, a w oddali, po mojej prawej ręce, chyba za jakimś mostkiem nad rwącą rzeką, zobaczyłem ich. Tłum. I ognisko. Pomarańczowy blask padał niczym światło stroboskopu na ich szaty czarne jak smoła. Ale dźwięk, który wydawali... Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś podobnego. Jak zwierzęta, lecz nie takie, które umiałbym nazwać. Koza, świnia, człowiek, wszystko zmieszane w jednej bestii. Skamieniałem ze strachu. Nie mogłem iść dalej. Chwyciłem dziewczynkę za ramię i dźwignąłem do góry. Wrzasnęła z bólu. Wypchnąłem ją przez właz. Powiedziałem, że teraz ma jedyną szansę, żeby uratować ojca przed ogniem piekielnym. Wskazałem ognisko, wyjaśniłem, że jej tatuś jest tam, na końcu tego mostu. I wystarczy, że do niego pobiegnie, tak szybko, jak tylko ją poniosą te małe nóżki, a wtedy go uratuje. Słuchała, patrząc na mnie takim mądrym wzrokiem, szarymi oczami, które tak naprawdę były jego oczami. Zupełnie jakby wiedziała, co robię. Jakby całkowicie to rozumiała. – Przerwał, żeby złapać oddech. – Nie mogłem na to patrzeć. Nie śmiałem. Zszedłem po drabince, zasunąłem klapę i zamknąłem, żeby

Ashley nie mogła tędy wrócić. A potem puściłem się pędem przez tunel. Nie minęły dwie minuty, kiedy usłyszałem przeraźliwy wrzask. Rozpoznałem go. To był jego głos. Mojego ukochanego. Cordovy. Brzmiał tak, jakby go katowano, jakby własne uwielbiane psy rozdzierały go na kawałki, wyrywały mu ręce i nogi. To jego miłość go niszczyła. Nie zatrzymałem się. Dotarłem do domu, wbiegłem na górę do swojego pokoju. Przez całą noc chowałem się pod kołdrą. Serce waliło mi z przerażenia po tym, co zrobiłem. Czekałem, aż on po mnie przyjdzie. Wiedziałem, że nie zawaha się przed zabiciem mnie w odwecie. A jednak... myliłem się. Nastął świt. Świeciło słońce. Niebo było błękitne, chmury jak wata cukrowa. Zupełnie jakby w ogóle nic się nie stało. Jakby to był tylko sen.

Znowu odetchnął z trudem, oparł drugą stopę na górnym szczeblu stołka, oparł ręce na kolanach, zgarbił się, jakby chciał zgiąć się wpół.

– Przemiana, która się rozpoczęła... – Głos odmówił mu posłuszeństwa, jakby Villarde wciąż nie dowierzał. – Widzicie, wcześniej nie wierzyłem. Oczywiście, że nie. Ale teraz nie miałem wyboru. Nie istniało inne wyjaśnienie. Stanislas był zdruzgotany. Nie miał jednak pojęcia o moim udziale. Z jakiegoś powodu Ashley nic mu nie powiedziała. Mimo to, ilekroć byłem z nią w jednym pomieszczeniu, przyłapywałem ją na tym, że się we mnie wpatruje. Wiedziałem, że myśli o tamtej nocy i o tym, co jej zrobiłem. Ale Stanislas, niczego nieświadomy, błagał, żebym został. Potrzebował mnie, bo teraz chciał chwycić się Boga. Boga, tego nudnego krewnego, którego wszyscy ignorują, nikt nie dzwoni, nikt nie pisze, dopóki nie trzeba go naciągnąć na wielką przysługę. – Villarde się uśmiechnął. – Zadbalem o to, żeby stać się niezastąpiony. Żyłem z rodziną przez kolejne dziesięć lat. Oddałem Stanislasowi życie. Szkoliłem go w zakresie teologii katolickiej. Pomagałem mu się uczyć i modlić, modlić za swoją duszę, ale przede wszystkim za duszę Ashley, która powoli, nieubłaganie stawała się mroczna. Zasugerowałem skorzystanie z egzorcysty. Ale w zasadzie to nie było opętanie, prawda? Nie. To

była obietnica. Umowa. Zgłębiwszy tematykę historycznych paktów z diabłem, trafiłem na potencjalne rozwiązanie. Stanislas musiałby znaleźć inne dziecko, które przejmie zobowiązanie Ashley. Uczciwa wymiana. Jedna niewinna dusza w zamian za inną. Ashley mogłaby odzyskać wolność. Przeczytałem, że aby to zrobić, dokonać prostego przeniesienia długu, wcale nie trzeba wyrządzać krzywdy temu drugiemu dziecku. Wystarczy jakiś ubiór albo przedmiot należący wyłącznie do niego. Opowiedziałem Cordovie o tym pomysle dość niezobowiązująco. Nie sądziłem, że tego spróbuje. Miał różne wady, ale naprawdę kochał dzieci. Zaczął jednak opuszczać Szczyt w środku nocy. Kazał szoferowi wozić się do okolicznych szkół, gdzie przechadzał się po placach zabaw, boiskach i korytarzach, szukając rzeczy zgubionych przez uczniów. Wracał do domu z łupem: koszulkami i bucikami, pluszowymi misiami i plastikowymi żołnierzami. Ładował je do worka, a potem zanosił na rozstaje. I tam próbował dokonać wymiany, noc w noc, tydzień w tydzień. Tylko ja o tym wiedziałem. Ale nie zadziałało. Nic nie działało.

Byłem zbyt osłupiały, żeby się odezwać. Oczywiście dokładnie to samo opisał mi przed laty mój anonimowy rozmówca John.

To była jednak prawda. Nie wrobiono mnie. Ten człowiek nie kłamał.

Na myśl o tym, że nie zostałem oszukany, ogarnęło mnie uniesienie, od którego aż kręciło się w głowie. „On coś robi dzieciom” – twierdził John. I rzeczywiście. Cordova nocami odwiedzał szkoły, ponieważ chciał wykorzystać uczniów, dokonać wymiany, skazać ich dusze na potępienie, żeby uratować duszę Ashley.

– To wszystko dlatego, że nie potrafił znaleźć dziecka, które równałoby się z Ashley – mówił dalej Villarde. – Diabłu obiecano dziecko tak idealne, tak inteligentne, wrażliwe i piękne, że odszukanie zastępstwa okazywało się niemożliwe. To tak, jakby szukać dublera dla archanioła. Ale Stanislas się nie poddawał. Próbował, ponosił porażkę i próbował raz jeszcze. Zrobiłby

wszystko, żeby uratować córkę. Bez względu na to, jaką winę, jaką okropność musiałyby wziąć na siebie. Wiedział, że dla niego już za późno na zbawienie. Ale nie dla niej.

Villarde przełknął ślinę i spuścił głowę. Płytko oddychał.

– Kilka miesięcy po tym, jak zaproponowałem wymianę, obudził mnie w środku nocy ból nie do zniesienia. Paliło się moje łóżko. Paliłem się ja. A także moje szaty duchownego w szafie i zasłony w oknach. Płonęły i wiły się jak żywe. Wrzeszczałem, zataczałem się, chciałem wyjść do łazienki, dostać się do wody, ale w drzwiach stała Ashley. Jej lewa ręka płonęła, choć nie robiło jej to krzywdy, a w oczach było coś dzikiego. Triumf. To ostatnie, co pamiętam. Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem w szpitalu. Podrzucano mnie anonimowo na ostry dyżur w Albany. Nie wiedziałem, kto mnie tam zawiózł ani w jaki sposób, ale miałem oparzenia trzeciego stopnia na osiemdziesięciu procentach powierzchni ciała. Potrzebne były transfuzje krwi, przeszczepy skóry. Kiedy po paru miesiącach wypuszczono mnie ze szpitala, wiedziałem, że nigdy nie wrócę na Szczyt. To, czym stawała się Ashley, pragnęło mojej śmierci. Miała mnie w garści. Nie mogłem ich już uratować. Ale mogłem ratować siebie. Zniknąłem. I tak właśnie było przez osiem lat, aż znalazła mnie parę tygodni temu.

Zatem Marlowe mówiła samą prawdę. To Villarde był tym poparzonym człowiekiem w samochodzie Astrid, a Ashley wysłano nad Sześć Srebrnych Jezior za to, co zrobiła.

– Dlaczego kiedy przyszliśmy, myślał pan, że jesteśmy z policji? – spytała Nora.

Villarde zerknął na nią.

– Myślałem, że... Myślałem, że znaleźliście dowody w jego posiadłości.

– Dowody czego? – zapytałem.

– Tego, co robił Cordova. Kiedy ubrania i zabawki nie działały, pomyślałem... nie, przerażeniem się, że z desperacji zaczął próbować z samymi dziećmi. Sądzę, że one gdzieś tam są. Zakopane. Chyba że je spalono, spopielono w piecach na proch. –

Zamknął oczy z udęconą miną. – „Pokażę ci strach w garstce popiołu”⁵ – szepnął.

Sens jego słów odebrał mi mowę.

Cały sklep oraz wszystko, co się w nim znajdowało, jakby znieruchomiało z obrzydzenia, pociemniało, utonęło w cieniu, wstrzymało oddech. Oszołomiło mnie jedno słowo: „Spalono”. Przywołało wspomnienie moich starych notatek. Tego, co powiedział mi przed laty Nelson Garcia, sąsiad Cordovy z Crowthorpe Falls. „Oni teraz palą wszystkie śmieci. Kiedy jest ciepła noc, to czuć zapach. A jak wiatr wieje z północnego zachodu, widać nawet dym”.

– Co ona panu zrobiła? – zapytał nagle Hopper. Villarde podniósł wzrok i zerknął na niego z niepokojem. – Kiedy otworzyła szafę i znalazła pana skulonego w kącie, to co zrobiła? Wciąż pan żyje, prawda? Wciąż nosi pan ten świętokradczy strój. Co takiego zrobiła Ashley, czego się pan tak kurewsko bał? – Mężczyzna tylko spuścił głowę. – Nie potrafi pan tego nawet głośno powiedzieć, prawda?

Villarde otworzył usta, ale nie dobiegał z nich żaden dźwięk. Potem dziwacznie stęknął, jakby się dławił. Ogarnęło mnie obrzydzenie. Ten człowiek był bez wątpienia jedną z najbardziej żalosnych istot, jakie w życiu widziałem.

– Postawiła mnie na nogi – szepnął. – A potem...

– Potem co?! – wrzasnął Hopper.

– Potem... – Villarde płakał. – Nie ma na świecie nic bardziej przerażającego...

– Co?!

– Powiedziała... że mi wybacza.

Te słowa były tak kruche i niespodziewane, że nikt się nie odezwał.

Villarde wciąż siedział nieruchomo na stołku, zgarbiony, jakby czekał na karę z niebios, na to, aż Bóg albo diabeł zetrze go z tego świata. Miałem właśnie przerwać milczenie, gdy nagle gwałtownie podniósł głowę i spojrzał prosto na mnie.

Jego wzrok był tak przenikliwy, że aż mnie oszołomił.

Villarde miał zupełnie suche oczy.

Przez kilka sekund myślałem tylko o tym, że źle oceniłem jego rozpacz i nienawiść do samego siebie, bo teraz jego postarzała, zorana twarz jednoznacznie zdradzała uciechę, podniecenie, jego oczy lśniły.

Było zbyt cicho.

Za plecami nie słyszałem szeptów, niczego. Odwróciłem się.

Fotel, na którym siedziała Sam, był pusty.

– Samantha!

Rzuciłem się wąskim przejściem, strąciłem stosy czasopism, jakaś drewniana laska ze stukotem upadła na ziemię. Obracałem się to w prawo, to w lewo, patrzyłem na wieszaki i lampy bankierskie, fotele bujane i stare radia, ale nigdzie nie widziałem Sam.

– Samantha!

Nagle usłyszałem szelest.

Odetchnąłem z ulgą, widząc, jak Sam wychyla głowę spomiędzy rupieci. Schowała się pod stołem, na którym stało mnóstwo spreparowanych zwierząt: łby łosi z łopatami, rysie i jaszczurki, czaszki małp. Mocno przyciskała do piersi plastikowego konika.

– Samantha! Chodź tu natychmiast!

Zamrugła zdenerwowana, a potem posłusznie ruszyła w moją stronę. Ale potem usłyszałem głośnie drapanie.

Stojąca tuż obok niej drewniana lampa w stylu art déco z szerokim kryształowym kloszem dygotała, przechylała się naprzód, pijana i żywa.

– Sam! Nie ruszaj się!

Rzuciłem się przez kufer podróżny i komiksy, ptasi szkielet pod szklaną czaszą rozbił się o ziemię, ale wiedziałem, że nie zdążę.

Sam przewróciła się, runęła naprzód, lampa roztrzaskała się tuż przy niej, klosz eksplodował nad nią, a zaraz potem rozległ się jej przeszywający krzyk. Przelazłem przez nosze na kółkach, odepchnąłem na bok globusy i lalki, żeby dostać się do niej, do

mojej Sam, mojej najdroższej Sam, ledwie świadom chaosu za
moimi plecami, krzyków i niosących się echem kroków kogoś,
kto wybiega ze sklepu.

W świetle szpitalnych jarzeniówek twarz Cynthii, gdy na mnie patrzyła, była blada i miękka, jakby znajdowała się pod wodą.

– Lekarka mówi, że sińce na ciele i pod oczami utrzymają się przez sześć tygodni – powiedziała. – I opuchlizna pod brodą.

– A szwy?

– Cztery na ręce, tam, skąd wyjęli szkło. Ale się zagoi.

Ze ściśniętym gardłem spojrzałem tępo w głąb korytarza, w stronę odgradzonego zasłoną boksu Sam.

Był tam z nią Bruce. Choć zaciągnął zasłony, wciąż widziałem córkę przez szparę. Leżała otulona stosem niebieskich koców, twarz miała spuchniętą i czerwoną, a brodę zalepioną kwadratowym kawałkiem białej gazy. Obok stała lekarka z ostrego dyżuru i rozmawiała z Bruce'em.

Wolała rozmawiać właśnie z nim. Wcale się nie dziwiłem. Kiedy tu wpadłem, wołając o pomoc z zapłakaną Sam w ramionach, pielęgniarki na pewno założyły najgorsze. Że to ja zrobiłem jej krzywdę.

Bo zrobiłem. Nawet kiedy zapewniono mnie, że małej nic nie będzie, wciąż gnębiła mnie potworna świadomość, że to ja jestem odpowiedzialny za to, co się stało, ponieważ wziąłem ją do tego obrzydliwego sklepu. Jeszcze okropniejsza była narastająca pewność, że jakimś cudem to wszystko zaaranżował Villarde. Nie wiedziałem jak i wciąż tego nie rozumiałem, ale wyczuwałem, że usiadł i dobrowolnie rozmawiał z nami tylko po to, żeby rzucić na nas mroczny czar swojej historii, gdy tymczasem szukał sposobu, żeby skrzywdzić Samanthę. Zastanawiałem się, czy zrobił to, aby odwrócić naszą uwagę i uciec, bo gdy tylko wybuchło zamieszanie, wybiegł ze sklepu. Hopper natychmiast rzucił się za nim, ale kiedy dotarł do Trzeciej Alei, Villarde'a już nie było.

Po moim wzburzeniu pracownicy szpitala poznali, że nie mówię im wszystkiego, więc naturalnie odetchnęli z ulgą, gdy przyjechała Cynthia z Bruce'em. Zadzwoiłem do Cynthii z taksówki. Ich prywatny samolot, który ledwo zdążył

wystartować z Teterboro w New Jersey, musiał zawrócić na lotnisko. Kiedy pojawiła się po półtorej godziny, pielęgniarka delikatnie wyprowadziła mnie na korytarz.

A może się myliłem? Może to był po prostu wypadek? Możliwe, że tak bardzo wciągnęła mnie historia Villarde'a, koszmarna opowieść o tym, co zrobił Ashley, że przestałem myśleć trzeźwo.

– Bawiła się – wyjaśniłem Cynthii. – Potknęła się o kabel.

– To nie ma znaczenia.

Powiedziała to bezbarwnym głosem. Wpatrywałem się w nią oszołomiony, ale nie miałem czego szukać. Jej twarz była całkowicie wyzuta z uczuć, wręcz szokująco, jak gdyby nagle opustoszał pokój, w którym mieszkałem przez całe życie, jakby zabrakło w nim mebli. Wynoszono je po jednym, rozmontowywano, wywożono, stopniowo nastawała tam pustka, którą zauważyłem dopiero teraz.

Cynthia pokręciła głową. Jej przekrwione oczy były elektryzująco zielone.

– Lekarze mówią, że wpadłeś tutaj, wykrzykując, że ktoś zrobił jej krzywdę. Jakiś ksiądz. Oszalałeś? – Nie miałem odpowiedzi. – Koniec z widzeniami.

– Rozumiem.

– Nie. Idę z tym do sędziego, więc to będzie oficjalne. Więcej się z nią nie zobaczysz. Nigdy.

– Cynthio...

– Precz. Mi. Z oczu.

Wykrzyczała to ze złością, na tyle głośno, że przechodząca właśnie pielęgniarka odwróciła się i rzuciła mi srogie spojrzenie.

Cynthia wygładziła bluzkę, a potem ruszyła w stronę boksu, ale znów się odwróciła.

– Zapomniałabym. – Sięgnęła do kieszeni żakietu. – Pielęgniarka znalazła to w płaszczu Sam.

Trzymała w dłoni niewielką figurkę. Wziąłem ją.

Był to czarny wąż wyrzeźbiony w drewnie. Po chwili oszołomienia pojąłem, że widziałem go już wcześniej. To ta sama

figurka, która należała do głuchoniemego chłopca przy Henry Street 83.

Zgubił ją na schodach. Podniosłem ją, oddałem.

A teraz miała ją Sam.

– Uważasz, że to jest właściwa zabawka dla twojej pięcioletniej córki? Nie mogę się doczekać, aż pokażę to sędziemu.

Dźwięki szpitala, interkomy, pstrykanie i dzwonki telefonów, pisk noszy na kółkach, stukot kroków na podłodze – w moich uszach wszystko to stało się ogłuszające, a potem, niemal równie szybko, zamilkło.

Znów poczułem, jak wznosi się nade mną ta czarna fala przypływu. Wciąż rosła i przybierała na sile.

Bruce odsunął zasłonę i zobaczyłem Sam, która przyglądała się lekarce. Jej małeńka zabandażowana dłoń leżała na kocykach jak zgubiona rękawiczka bez palców.

Nagle odwróciłem się i puściłem biegiem przez korytarz.

– Wracaj tutaj! – wrzasnęła za mną Cynthia. – Chcę to sobie zatrzymać!

Przebiegłem obok starca na noszach, który mrugał oczami, wpatrzony w sufit. Obok lekarza w białym fartuchu. Pchnąłem drzwi poczekalni. Hopper i Nora, siedzący na fotelach pod telewizorem, podnieśli na mnie wzrok.

– Scott?! – krzyknęła Nora.

Nie zatrzymałem się, wbiegłem w drzwi obrotowe, które wypłuły mnie w noc.

Dotarłem do Zakłęb pięć minut po godzinach otwarcia.

Drzwi były już zamknięte, ale wewnątrz wciąż kręciła się garstka klientów.

Mocno zabębniłem w szybę. Zza lady wyszła kobieta.

– Zamknięte!

– Muszę porozmawiać z Cleopatrą! To pilne!

Pokręciła głową, podeszła do drzwi i otworzyła zamek.

– Przykro mi, chłopie, ale...

Przepchnąłem się obok niej i pobiegłem w stronę lady na tyłach, mijając nielicznych klientów.

– Czy ona tu jest?!

Zaniepokojony blondasek w typie punka, który siedział na stołku, tylko na mnie spojrzał skołowanym wzrokiem. Zostawiłem go za sobą i odciągnąłem na bok aksamitną czarną kotarę.

– Ej! Tam nie wolno!

Wszedłem na zaplecze. Zastałem Cleo przy okrągłym stoliku, gdzie rozmawiała z jakąś młodą parą.

– Mam pilną sprawę. Musi mi pani pomóc.

– Sam się tu wepchnął – oznajmił blondyn, wbiegając tam za mną.

Cleo wydawała się niezrażona tym najściem.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Właściwie już skończyliśmy.

Młodzi ludzie wstali nerwowo, wzięli ze stołu plastikowe torby z ziołami i wyszli za blondynem – obchodząc mnie szerokim łukiem. Za aksamitną kotarą zostałem sam na sam z Cleo.

Wyjąłem figurkę z kieszeni kurtki. Wydawała się dziwnie ciężka, cięższa niż poprzednio.

– Moja córka miała to w kieszeni. Co to, do cholery, jest?

Cleo podniosła się i podeszła do mnie. Miała na sobie haftowany biały kaftan, dzinsy oraz te swoje czerwone martensy, a na palcach i nadgarstkach te same srebrne bransoletki i pierścionki co poprzednio. Obejrzała figurkę, nie zbliżając się

zanadto, a potem odeszła do zagraconych półek na tyłach pomieszczenia. Wróciła z parą lateksowych rękawiczek.

Włożyła je, po czym ostrożnie wzięła węża – jakby to był niebezpieczny materiał wybuchowy – i zniosła go do stołu.

– Teraz pan go znalazł?

– Tak. – Przysunąłem sobie składane krzesło i usiadłem naprzeciwko niej. – Ale widziałem go już wcześniej. U innego dziecka, które niedawno spotkałem.

Obracała figurkę w dłoniach, potrząsała, nasłuchując tego, co środkiem.

W silnym czerwonym świetle lampy pod sufitem zobaczyłem, że drewno jest misternie rzeźbione. Każdą łuskę, każdą płetwę i każdy ząb wypolerowano i zaostrzono. Bestia szczyrzyła kły i wywaliała język jakby lubieżnie.

– Czy można tego użyć, żeby kogoś naznaczyć? – zapytałem. – Nadać mu, nie wiem, znamię diabła? Słyszała pani o *huella del mal*? Odcisku zła?

Cleo zdawała się mnie nie słyszeć. Postawiła figurkę na środku stołu, pochyliła się, w ogromnym skupieniu chwyciła ją za skręcony ogon – który górował nad ciałem – po czym zaczęła powoli przesuwając ją w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Zatoczyła koło trzy razy. Słysząc było tylko nieprzyjemny stukot węża o drewno blatu.

Nagle gwałtownie cofnęła rękę jak poparzona. Figurka przewróciła się na bok.

– Co jest? – zapytałem natychmiast.

Cleo była zaniepokojona.

– Nie widział pan?

– Nie. Czego?

Głęboko odetchnęła, a potem znów wzięła węża za ogon.

– Niech pan obserwuje cień – szepnęła.

Tak bardzo zalewała mnie adrenalina, że z trudem potrafiłem się skoncentrować na powolnym ruchu.

A potem zobaczyłem, co ma na myśli.

Cień – głęboko czarny – nie poruszał się po stole naturalnie w ślad za przedmiotem. Był nieruchomy, jakby zaczepiony o coś niewidzialnego, drgał z napięcia, język wydłużał się, wyciągał daleko za figurką, a potem gwałtownie wracał na miejsce i poruszał się już normalnie. Zszokowany zamrugalem oczami, nachyliłem się, byłem pewien, że wzrok płąta mi figle, ale po kilku sekundach wszystko się powtórzyło.

A potem znowu.

Cleo zmieniła kierunek, zaczęła obracać figurkę zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Cień zachowywał się zwyczajnie.

– Jak to możliwe? – zapytałem.

– Nie wiem. – Postawiła węża na stole. – Mówiłam panu, że nie jestem biegłą w czarnej magii. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Ale na pewno coś pani o tym czytała. W toku swoich rozległych wiedźmowych studiów.

Spojrzała na mnie.

– Nie mogę panu pomóc. Musi się pan zwrócić do kogoś, kto praktykuje czarną magię.

– Nie znam nikogo, kto praktykuje czarną magię. Ale znam panią, więc pani to rozgryzie, nawet gdybyśmy musieli tu siedzieć przez dwa tygodnie.

Zerwałem się na nogi, składane krzesło przewróciło się z trzaskiem, a ja pobiegłem na tył pomieszczenia. Na blatach panował nieład, leżały tam popielniczki i wypalone świece, świstki papieru z nabazgranymi receptami na czary, zniszczone notesy, plastikowe saszetki z proszkiem oznaczone napisami TAK i NIE, słoje z czarnym popiołem. Na półkach, aż po sufit, stały zbutwiałe księgi.

Księga Świętej Magii Abramelina Maga. 777 i inne kabalistyczne pisma Aleistera Crowleya.

Nagle obok pojawiła się Cleo.

– Proszę się uspokoić.

Złe oko. Księga Tobiasza. Przepowiednie Nostradamusa.
Wyszarpnąłem z górnej półki *Encyklopedię znanych czarów*

dziewiętnastowiecznych z czerwonym pentagramem na okładce. Inne książki posypały się na podłogę.

– Tylko pogorszy pan sprawę – powiedziała Cleo. – Czarna magia w zderzeniu z niestabilnym umysłem jest jak wzbogacony uran w pobliżu zapalnika. – Otworzyłem encyklopedię i zacząłem przeglądać spis treści. – Może istnieje inne rozwiązanie – stwierdziła. – Ale to nic pewnego.

Spojrzałem na nią.

– To na co pani czeka, do cholery?

Zerknęła niechętnie na zegarek, westchnęła, a potem udała się w róg pokoju, gdzie znajdowały się niewielka umywalka, stos notatników oraz oparta o blat tablica korkowa z mnóstwem kartek. Zaczęła je unosić, wyraźnie czegoś szukała, odgarniała na bok odręczne mapy Kraju Wiedźm w Pensylwanii, ulotkę Ligi Kryształowej Ciszy, kalendarium Jana Zdobywcy, fotografie pracowników Zaklęć, *Kodeks etyczny praktykujących magię*. Zatrzymała się na niewielkim strzępku papieru przyczepionym pod pocztówką z jakimś demonicznym mężczyzną. Zdjęła świstek z tablicy i sięgnęła po bezprzewodowy telefon, który leżał na blacie.

Stałem obok niej.

Okazało się, że to wyblakłe ogłoszenie drobne wyrwane z gazety i zakreślone czerwonym długopisem. Jego treść brzmiała po prostu: „Tylko w najmroczniejszej sytuacji”. Dalej był numer telefonu z kierunkowym do Nowego Orleanu.

– To ma być ten pani ekspert? Chyba pani żartuje!

– Przecież mówiłam, że to nic pewnego – warknęła Cleo, po czym wybrała numer.

Wziąłem od niej kartkę. Na odwrocie znajdował się fragment nagłówka: „*Powódź przerwała*”, a powyżej napis: „Lafourche Gazette”, 8 listopada 1983.

– Nikt nie odbiera – powiedziała.

– Proszę spróbować jeszcze raz.

Westchnąwszy, wcisnęła przycisk ponownego wybierania.

Po trzech kolejnych próbach pokręciła głową.

– Przykro mi. Nawet nie wiem, co to za numer. Ogłoszenie wisi tu od zawsze. Nikt nie pamięta, skąd się wzięło. Niech pan wróci jutro, to spróbujemy...

Chwyciłem telefon, wcisnąłem ponowne wybieranie. Z każdym sygnałem serce biło mi coraz mocniej.

To nie może się tak skończyć. Moja córka nie może znaleźć się pod wpływem jakiegoś mrocznego koszmaru, na który nieświadomie ją naraziłem. Powtarzałem to sobie jak mantrę i nagle zemdlilo mnie, gdy zrozumiałem, że to samo musiał myśleć Cordova, kiedy dowiedział się, że Ashley przebiegła przez diabelski most.

Prawda, którą ściagałem, powoli stawała się moją prawdą.

Przez moment sądziłem, że sygnał się urwał, a potem usłyszałem ciche sapanie.

– Halo? – W słuchawce było mnóstwo szumów. – Jest tam kto?

– Kto mówi? – Głos przypominał prehistoryczny charkot. Nie miałem pojęcia, czy to mężczyzna, kobieta, czy jakaś inna istota.

Cleo zmarszczyła brwi i zabrała mi słuchawkę.

– Halo? – Odchrząknęła, a potem zdziwiona otworzyła szeroko oczy. – Tak. Mówi Cleopatra z Zakłęb w Nowym Jorku. Mam nadzieję, że nie dzwoniemy za późno. Mamy najmroczniejszą sytuację. – Zamilkła, chyba wysłuchiwała reprimendy, ale potem uśmiechnęła się do mnie z ulgą i podbiegła do stołu. – Rozumiem. Tak, proszę pani. Jeśli chce pani zajrzeć do pieca, to poczekam. – Przerwała i odetchnęła głęboko, przypatrując się czarnej figurce. Po minucie chłodnym, klinicznym tonem zwięźle opisała sytuację. – A odwrotny cień zachowuje się zupełnie nie tak, jak trzeba – dodała. – Zamilkła i słuchała z grobową miną. Jakies dziesięć minut później przykryła słuchawkę dłonią. – Niech pan podejdzie do regału – szepnęła. – Proszę poszukać książki pod tytułem *Symbole czarnej alchemii, zwierzęce i mineralne*. Powinna być na górnej półce. – Przez chwilę słuchała, marszcząc brwi. – Zielona okładka.

Pobiegłem na tył pomieszczenia. Odnalezienie grubego tomu autorstwa C.T. Jaybirda Fellowsa w twardej oprawie zajęło mi

tylko minutę. Ściągnąłem go z półki i zaniósłem do stołu.

– Żeby mogła nam pomóc, musimy zidentyfikować to zwierzę – szepnęła Cleo.

Otworzyłem księgę i zacząłem przeglądać zbutwiałe strony. Rysunki zwierząt były odbarwione, a liternictwo staromodne i wyblakłe.

„Smok”. „Serce”. „Wątroba”. „Jeleń”.

– Rozumiem. – Cleo przyglądała się figurce. – Płetwy. Ogon z niedużą przyssawką na końcu. Jakby to była krzyżówka węża z rybą.

„Świnia”. „Koza”. „Tygrys”. „Robak”.

– Niech pan poszuka lewiatana – szepnęła z przejęciem. Kolorowa ilustracja na stronie z lewiatanem wyglądała niemal identycznie jak figurka. Ten sam lubieżny pysk, ten sam wysunięty język. – To jest to – oznajmiła radośnie do słuchawki, a potem przysunęła sobie książkę i spojrzała na wpis. – Na głos? – Odchrząknęła. – „Lewiatan to przedwieczny wąż morski i jeden z Książąt Piekieł” – odczytała. – „Dante nazwał tę istotę wcieleniem absolutnego zła. Święty Tomasz z Akwinu utożsamia go z jednym z siedmiu grzechów głównych, zazdrością, potwornym pragnieniem tego, czego nie mamy. Na Bliskim Wschodzie symbolizuje chaos. W satanizmie to demon piekielny, którego może przywołać wiedźma lub czarownik i nasłać go na świat naturalny, aby siał zniszczenie”. – Cleo zamilkła i słuchała. – Zaraz go zapytam. – Spojrzała na mnie. – U ilu dzieci widział pan tę figurkę?

– U dwojga.

– Czy coś je łączyło? Chodzą do tej samej szkoły, mają takie samo hobby, są daleko spokrewnione więzami krwi? Cokolwiek w tym stylu?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Kręciło mi się w głowie. Nagle przypomniał mi się dom Morgana Devolda. Jego córka w tej koszuli nocnej w wisienki podreptała za mną podjazdem. Trzymała coś w piątce, coś małego i czarnego. To była właśnie ta figurka.

– Nie – poprawiłem się. – U trojga. U trojga dzieci.

– Co je łączyło?

Potarłem oczy, usiłowałem się uspokoić, usiłowałem myśleć.

– Są w wieku od czterech do sześciu lat. Miały styczność z pewną kobietą. Tą od zabójczej klątwy z naszych butów. Ashley.

Powiedziałem to, tak naprawdę mając na myśli tylko córkę Devolda i głuchoniemego chłopca z Henry Street. A potem dotarł do mnie wniosek płynący z moich słów: Sam także musiała spotkać Ashley.

Ale to przecież niemożliwe.

Cynthia nigdy nie pozwalała jej rozmawiać z nieznajomymi. A jednak Ashley znalazła mnie nad Zbiornikiem. Nietrudno więc założyć, że znalazła również moje dziecko.

– Jak się zachowywały? – zapytała Cleo. – Zauważył pan coś dziwnego? Szepty? Drgawki albo tiki? Wyraz twarzy jak w transie? Czy mówiły coś o śmierci lub przemocy?

Nie mogłem odpowiedzieć. Byłem tak przerażony tym, co nieświadomie uczyniłem, że czułem się, jakby sufit walił mi się na głowę.

Doprowadziłem Cordovów wprost do Sam.

To tasiemiec, który połknął własny ogon. On nie ma końca. Wreszcie oplecie się człowiekowi wokół serca i wycisnie całą krew.

– Halo! – przynagliła mnie Cleo. Dlaczego nie zrezygnowałem, kiedy była okazja? – Przepraszam, ale mam tu na linii prawdziwą czarną wiedźmę – syknęła, zasłaniając słuchawkę dłonią. – Przerwaliśmy jej patroszenie węża królewskiego na składniki do czaru niepokoju. Brzmi tak, jakby zaraz miała wykitować. Więc na pańskim miejscu bym się skupiła. Jak zachowywały się te dzieci?

– Córki nie widziałem z tą figurką. Moja była żona znalazła ją w kieszeni płaszcza małej. Ale nie zauważyłem niczego niezwykłego.

– A pozostałe dzieci?

– Chłopiec był głuchoniemy. Kiedy zgubił figurkę, bardzo się zdenerwował. Niewiele brakowało, żeby dostał napadu złości, ale

uspokoił się, gdy mu ją oddałem.

– Nieposkromione wdrukowanie – szepnęła Cleo pośpiesznie do słuchawki, a potem zerknęła na mnie.

– A dziewczynka?

Córka Devolda.

– Nie było mnie przy niej – odparłem.

– Nie widział pan nic nietypowego?

Przypomniałem sobie tamtą noc, ciemne podwórko zarzucone zapomnianymi zabawkami, drżące drzewa, szczekanie psa w oddali, krzyk niemowlęcia.

– Ulubiona lalka dziewczynki gniła w baseniku dla dzieci.

Cleo wyglądała na zaskoczoną.

– Lalka niemowlę?

– Zaginęła parę tygodni wcześniej. Rodzice wszędzie jej szukali.

– I?

– Wyłowił ją ojciec i oddał małej, chociaż lalka wyglądała demonicznie: nie miała oczu, wypadały jej włosy.

Cleo niecierpliwie machnęła dłonią na znak, żebym się streszczał.

– Co się stało, kiedy ją oddał? – zapytała.

– Dziewczynka bardzo się zdenerwowała. Zaczęła płakać. Ale potem dogoniła mnie na podjeździe. Ścisnęła lalkę w ramionach i próbowała dać mi tę figurkę.

– Jednoznaczny dowód działania magii lalek – wypaliła podekscytowana Cleo do telefonu, a potem powtórzyła, co powiedziałem. Przez minutę słuchała. – Dobrze. Spróbuję. – Wstała, pobiegła na tył pomieszczenia i zanotowała coś na żółtej kartce. – Powiem mu. Dziękuję.

Rozłączyła się. Bez słowa, z poważną, skoncentrowaną miną, przykucnęła i zaczęła grzebać w szafkach. Wyciągała książki, świece, gazetę zwiniętą w kulkę. Wróciła do stołu, niosąc kombinerki, czerwoną miskę, czarno-białą świecę odwracania – taką samą, jakie dostaliśmy podczas ostatniej wizyty – oraz pęsetę.

Starannie rozłożyła to wszystko na blacie, jak lekarz przygotowujący się do improwizowanej operacji.

– Mamy do czynienia z magią lalek – oznajmiła bezbarwnym głosem, zapalając świecę.

– To znaczy?

– Z lalkami voodoo, które nakłuwają się igłami. Każda jest powiązana z daną osobą, co pozwala sterować jej zachowaniem. Spotyka się je dość często. Ten lewiatan był złączony z dziećmi magią sympatyczną, co tłumaczy, dlaczego chłopiec nie chciał się z nim rozstać. I zaraz się dowiemy, po co to wszystko.

Usiadła sztywno, zamknęła oczy, coś szeptała. Wzięła figurkę, a potem włożyła jej głowę w kombinerki. Przykrywając ciało węży jedną ręką, drugą mocno ścisnęła uchwyt. Ani drgnął. Cleo poczerwieniała, bransoletki i wisiorki na jej rękach brzęczały tym głośniejsze, im silniej napierała. Krzywiła się jak z bólu. Zgrzytała zębami.

Nagle rozległo się głośnie pyknięcie. Coś przeleciało mi przed twarzą, uderzyło w ścianę i z ostrym trzaskiem spadło na ziemię.

Tuż obok mojej stopy leżał teraz mały czarny kamyczek owinięty miedzianym drutem.

– Niech pan tego nie dotyka! – krzyknęła Cleo.

W powietrzu uniósł się silny zapach siarki. Figurka nie była, jak sądziłem, wykonana z litego drewna. Okazała się cienką skorupą. Posługując się pęsetą, Cleo ostrożnie wytrząsnęła zawartość do miski – złotobrazowy płyn, kawałki ciemnych włosów, błoto.

Na ten widok, na myśl o tym, że te rzeczy przeznaczone dla Sam, zbierało mi się na mdłości. W swojej arogancji sądziłem, że przez Ashley dotrę do Cordovy, zemszczę się, odzyskam dawne życie. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że i ja mam wrażliwy punkt. Sam. Cordova odwrócił mój plan przeciwko mnie. Zupełnie jakby miał dostęp do mojego umysłu. Teraz to się już nigdy nie skończy.

– Czy na moją córkę rzucono klątwę? – zapytałem. Cleo zdmuchnęła świecę. – Co teraz zrobimy? – naciskałem. – Niech

mi pani powie.

– Nic – odparła bezbarwnym głosem.

– Nic?

– W tej figurce mieści się czar ochronny. Nie jest szkodliwy. Wręcz przeciwnie. – Uśmiechnęła się, widząc moją oszołomioną minę, a potem wstała, udała się na tył pomieszczenia po jeden z tomów *Hoodoo – Zaklinanie – Czarownictwo – Sztuka korzeni*. Usiadła przy stole i zaczęła kartkować indeks. – „Olejek przymusu” – przeczytała, gdy otworzyła książkę na właściwej stronie. – „Olejek nakazu, tatarak, kawałek obsydianu”, czyli szkliwo wulkaniczne owinięte drutem miedzianym. Oto, co wypadło na podłogę. – Spojrzała na mnie surowo. – To stopiony mur ochronny. – Sięgnęła po miskę i zakręciła w niej składnikami. – Lewiatana użyto, żeby powstrzymać wszelkie zło zagrażające dziecku. Umieszczony wewnątrz czar chroni posiadacza figurki. Każde dziecko, które ją dostanie, będzie się bawić tylko nią, dopóki działa czar. Czyli przez około sto jeden dni. Inne ukochane zabawki należy zabrać i schować, żeby nie osłabić mocy zaklęcia. Idealnym rozwiązaniem jest zatopienie ich w zbiorniku wodnym. Właśnie to była pierwsza wskazówka, że mamy do czynienia z dominacją za pośrednictwem magii lalek. Ta osoba, Ashley, musiała wykraść zabawkę i ukryć ją w baseniku, żeby nic nie zaburzyło ochronnych właściwości figurki. Ale kiedy ukochana lalka wróciła do dziewczynki, mała nie mogła się już bawić lewiatanem. Ochrona ustała. – Cleo zmarszczyła brwi. – Poza tym wiedźma wspomniała o jednej dziwnej rzeczy.

– Jakiej?

– W magii podobne zwalcza się podobnym, a Ashley posłużyła się lewiatanem, symbolem zazdrości: „Nie pożądaj”. W takim razie musiała sądzić, że ktoś będzie pragnął tych dzieci albo im zazdrościł. Domyśla się pan dlaczego?

Tylko patrzyłem na nią z niedowierzaniem.

Wymiana. Proste przeniesienie długu. Po ucieczce z Briarwood Ashley wiedziała, że jej ojciec i brat będą jej szukać.

Napotykać dzieci podczas polowania na Pajaka, musiała się martwić, że Cordova, po raz ostatni próbując uratować jej życie, postanowi je wykorzystać, wymienić duszę za duszę. „To doprowadziło do konfliktu między nią a rodziną – mówiła Marlowe. – Ponieważ kiedy wreszcie wszystko jej wyjaśniono, dziewczyna postanowiła zaakceptować swój los. Ale Cordova stale szukał wyjścia. Aż do samego końca”.

– Moja córka... – zdołałem wychrypieć.

– Chyba nic jej nie będzie.

– Chyba?! Nie jest pani pewna?

Cleo wbiła we mnie wzrok.

– Tornado burzy dom i zabija właściciela. To tragedia. Potem dowiadujemy się, że mieszkał tam seryjny morderca, i nagle to samo zdarzenie staje się cudem. Prawda o tym, co spotyka nas na tym świecie, stale się zmienia. Bez przerwy. To nigdy nie ustaje. Nieraz nawet po śmierci. – Wstała i wręczyła mi żółtą kartkę, na której pisała. – Pod ten adres wyśle pan należność wiedzmi. Sam musi pan wybrać adekwatną sumę. Wiedzma preferuje gotówkę.

To były dane skrytki pocztowej w Larose w Luizjanie.

– Ile jestem pani winien? – zapytałem.

Cleo pokręciła głową.

– Niech pan już idzie do domu.

Spojrzałem na pozbawionego głowy lewiatana, który leżał na stole. Autentycznie wydawało mi się, że trochę wyblakł, nabrał nieco jaśniejszego odcienia czerni, jak gdyby zaczął więdnąć niczym kwiat odcięty z życiodajnej gałęzi – chociaż może to tylko moja wyobraźnia. Wszedłem do tego pomieszczenia z przekonaniem, że umiem odróżnić rzeczywistość od wytworów umysłu. Teraz jednak nie byłem pewien, czy znam tę różnicę.

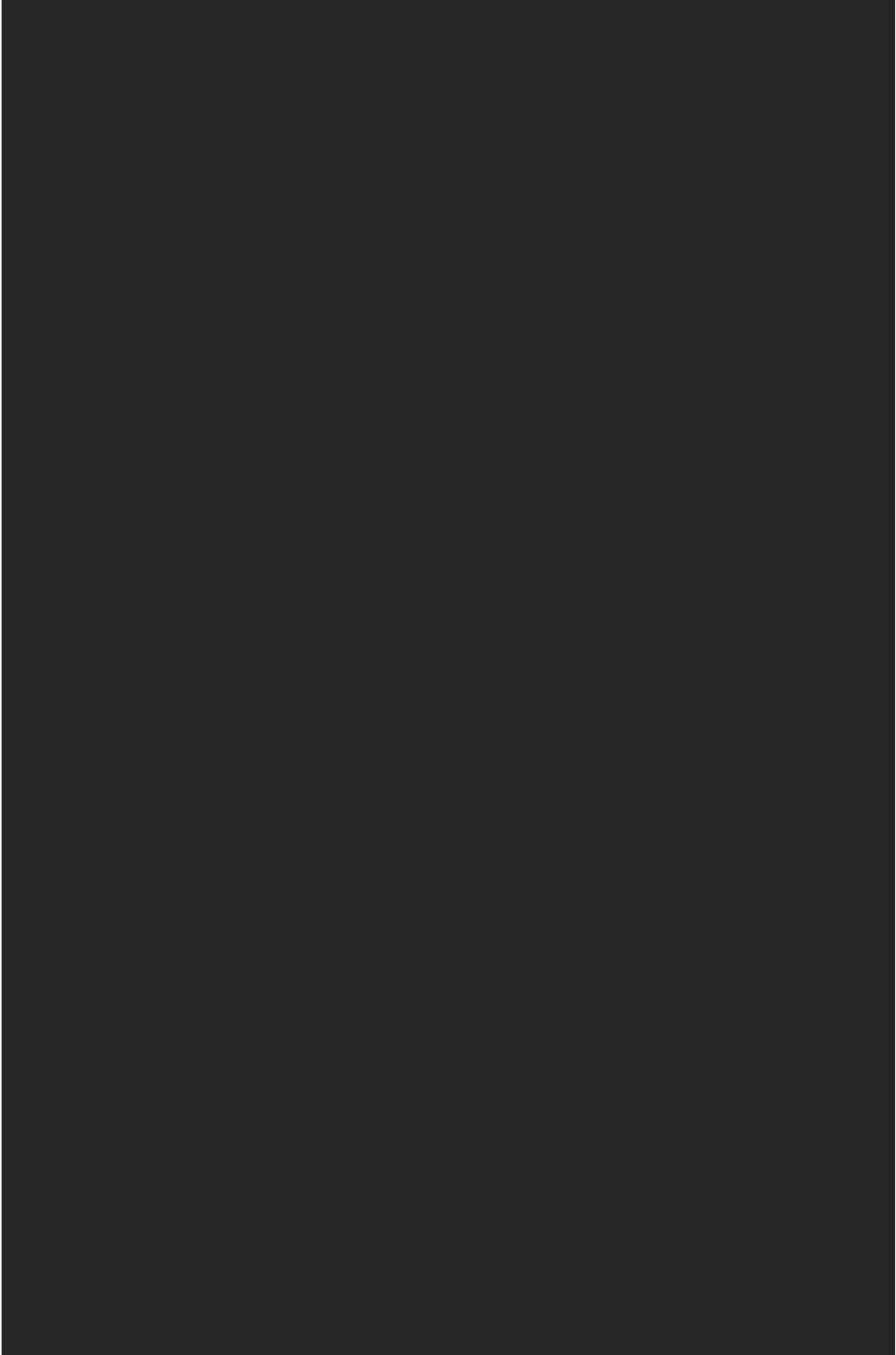
Wstałem. Krzesło nieprzyjemnie zazgrzytało o podłogę.

– Dziękuję – powiedziałem do Cleo.

Skinęła głową, a potem patrzyła za mną, gdy wychodziłem przez czarną kotarę.

W sklepie nie było już klientów. Zgaszono wszystkie światła, więc podrapaną drewnianą posadzkę zalewał pomarańczowy

blask latarni ulicznych. Dwoje pracowników czekało za ladą. Rozmawiali cichym, zatroskanym głosem, ale zamilkli, gdy przechodziłem obok i otwierałem sobie drzwi.



*

– Skąd jesteście? – zapytała mnie kobieta.

Była pulchna, miała okrągłą, życzliwą twarz. Dyżurowała w recepcji również zeszłej nocy, kiedy meldował nas jej mąż.

– Z Saratogi – odparłem.

– Kawalek stąd. Przyjechaliście powiosłować? – Musiała zauważyć łódkę na dachu mojego samochodu. – Przez najbliższe dni ma być zimno, więc koniecznie ubierzcie się na cebulkę.

– Jeszcze ten dodatkowy klucz... – przypomniałem.

– No tak. Pokój numer...?

– Dziewiętnaście.

Odczepiła i podała mi breloczek.

– Potrzebujecie map albo wskazówek?

– Nie, dziękuję – odrzekłem, podnosząc z podłogi torbę z zakupami.

– W restauracji podajemy kolację do dziewiętnastej. Wszystko domowej roboty. Mamy świetny jabłecznik. Warto spróbować.

– Dziękujemy za rekomendację.

Wyszedłem przez szklane drzwi. Gdy się za mną zamknęły, odwróciłem się i zobaczyłem, że z twarzy kobiety znikła wszelka życzliwość. Teraz bacznie mi się przyglądała przez okulary dwuogniskowe.

Pomachałem i ruszyłem przed siebie zadaszonym chodnikiem.

Poprzedniej nocy, zbadawszy wszystkie motele przy drodze stanowej numer 3 między leżącymi w górach Adirondack miasteczkami Fine i Moody, wybrałem Evening View Motel & Restaurant ze względu na jego anonimowość. Znajdował się w Childwold, sześćdziesiąt pięć kilometrów na północ od Crowthorpe Falls. Tkwił jak nadąsany tuż przy szosie: dwadzieścia ponurych pokojów, każdy z brudnym oknem i brązowymi drzwiami. W motelu była popularna knajpka, a na parkingu stało mnóstwo samochodów z tablicami

rejestracyjnymi z całego kraju, od Michigan po Vermont. Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się ruchliwy kemping – Green Meadows, NAJBARDZIEJ PRZYJAZNY KEMPING W NORTH WOODS, tak głosił napis na drewnianej tablicy – więc, jak się domyślałem, w przez Evening View przewijało się tylu ludzi, że właściciele nie zwracali szczególnej uwagi na nikogo konkretnego.

Całkowicie się myliłem. Kobieta wpatrywała się we mnie tak, jakby miała pewność, że już za parę dni będzie musiała mnie rozpoznać na policyjnym okazaniu.

Szedłem chodnikiem, wodząc wzrokiem po parkingu. Opróżnił się po lunchu, została tylko garstka aut, nic podejrzanego, żadnych obserwatorów. Z białego sedana wysiadł łysy mężczyzna, rozciągnął się i ziewnął, a potem ruszył do recepcji.

Zatrzymałem się przed drzwiami pokoju numer 19 – przedostatnimi, na samym końcu – i raz zapukałem.

Otworzył mi Hopper. Wślizgnąłem się do środka.

– Jak ci poszło? – Zamknął za mną drzwi.

– Dobrze. Musiałem jechać aż do Tupper Lake. – Wręczyłem mu siatkę, z której wyjął nowy akumulator do aparatu fotograficznego. Dziś rano okazało się, że stary nie chce się ładować, więc pojechałem na zakupy. – W recepcji jest tylko jeden zapasowy klucz. Kto go weźmie?

– Daj Norze.

Podszedłem do podwójnego łóżka w głębi pokoju, na którym siedziała Nora, jedząc batonik białkowy. Kiedy dałem jej klucz, uśmiechnęła się blado i odrobinę za długo zawiesiła wzrok na mojej twarzy.

Wiedziałem, co myśli. Co myślimy wszyscy: A jeśli ten plan, który metodycznie przygotowaliśmy przez ostatnie dwanaście dni, to błąd?

Rozważyliśmy wszystkie możliwości. Nie było innego rozwiązania. Gdybym zadzwonił do Sharon Falcone i powiedział jej, że na Szczycie prawdopodobnie dochodzi do przestępstw na

tle okultystycznym, usłyszałbym to, co sam już wiem: że aby uzyskać nakaz rewizji, policja potrzebowałaby mocnych dowodów, którymi nie dysponowałem.

Dysponowałem jednym: znajomością dyskretnego sposobu dotarcia na teren posiadłości. Pająk powiedział, że wyciął dla miejscowych otwór w siatce przegradzającej wąski strumyk. Marlowe wspomniała, że ten strumyk bierze początek w jeziorze Lowa.

Na szczegółowych mapach okolicy nie znalazłem takiej rzeczki. Dopiero gdy dotarliśmy do mapy geologicznej gór Adirondack z 1953 roku, odkryliśmy, gdzie może się ona znajdować – natrafiliśmy na wątlą, nienazwaną rzeczulkę, która odbijała od północnego brzegu jeziora, wiła się przez gęsty las i wpadała na teren posiadłości.

Gdybyśmy dotarli do tego strumyka i potajemnie dostali się tamtędy po zmroku, moglibyśmy się raz na zawsze przekonać, co znajduje się na Szczycie – czy są tam ślady nie tylko praktyk okultystycznych, ale także, jak sugerował Pająk, prawdziwych morderstw popełnionych na dzieciach. Zamierzaliśmy zebrać wszelkie możliwe dowody, wymknąć się tą samą drogą przed świtem i przekazać zgromadzone informacje władzom.

Plan był szalenie ryzykowny – nie mówiąc już o tym, że nielegalny i niemoralny. To pomysł wręcz skandaliczny, przekroczenie nawet najbardziej elastycznych granic etyki dziennikarstwa śledczego. Mogliśmy zostać aresztowani albo trafić do szpitala. Dla mnie sprawa mogła się zakończyć jeszcze gorszym upokorzeniem zawodowym. Już widziałem te nagłówki: *Wciąż mu za mało! Skompromitowany dziennikarz zatrzymany podczas włamania do posiadłości Cordovy. Sędzia zleca szczegółowe badania psychiatryczne.*

Wyjaśniłem wszystko Norze i Hopperowi, podkreślając, że to wyłącznie mój wybór, osobisty, a nie zawodowy, i że nie powinni się w to mieszać. Ale Hopper był równie zdeterminowany co ja. Powiedział ponuro: „Wchodzę w to”, jakby postanowił już dawno temu. Nora także była stanowcza.

– Jadę z wami – oznajmiła.

Tak oto zapadła decyzja.

Jednakże przez ostatni tydzień – gdy uczyliśmy się planu na pamięć, gromadziliśmy zapasy, a nawet później, kiedy przez siedem godzin jechaliśmy w góry Adirondack wśród ponurego krajobrazu pod szarym niebem przez drogi obrosnięte drzewami – świadomość tego, co robimy, przejmowała nas coraz większą grozą. Zupełnie jakby góra, na którą zaczęliśmy się wspinać, urosła pod nami w niebosiężny wierch, jakby nas odpychała, a ośnieżony szczyt ginął w chmurach.

Każde słowo, które Nora wypowiadała tym swoim śpiewnym głosem – „Zatrzymamy się na tej stacji?“, „Poproszę tosta z syropem klonowym” – brzmiało złowieszczo. Żałowałem, że pozwoliłem jej jechać.

Niepokoilem się, że choć na temat Ashley i jej ojca odkryliśmy już tak wiele, to wciąż nie wiemy wszystkiego. Ostrzegła mnie przed tym Cleo: „Prawda o tym, co spotyka nas na tym świecie, stale się zmienia... To nigdy nie ustaje”.

Możliwe, że Szczyt – oraz sam Cordova – był jak to zamknięte sześciokątne chińskie pudełko Beckmana, które usiłowałem otworzyć wiele lat temu: coś, co na zawsze powinno zostać zamknięte, a jego zawartość nie bez przyczyny ukryta przed światem.

Chociaż Cleo zapewniła, że czar zamknięty w lewiatanie nie był szkodliwy, niezbyt mnie to pocieszało. Nawet jeśli Ashley chciała ochronić Sam, nawet jeśli Hopper kochał Ashley, to wciąż pozostawała zagadką, a sensu jej ruchów tamtej nocy nad Zbiornikiem w Central Parku nie dało się wytłumaczyć. Brak wiedzy, w jaki sposób figurka trafiła do kieszeni Sam, i myśl o tym, że Ashley musiała się zbliżyć do mojej córki, sprawiały, że budziłem się w nocy. Wypełniały mnie niepokojem tym silniejszym, że rozumiałem, że to moja wina.

Naraziłem Sam na niebezpieczeństwo. Wciąż się zastanawiałem, czy w ten sposób poznałem swą prawdziwą naturę, czy zobaczyłem surowy obraz, tak niepodważalny

i nieskończony jak w ustawionych naprzeciw siebie dwóch lustrach, egoistycznego ślepeca, którym jestem i zawsze będę. W kółko dzwoniłem do Cynthii, żeby dowiedzieć się, co u Sam, ale ignorowała moje telefony.

Pozostawała również kwestia Pajaka i Pękniętych Drzwi.

Pojechałem do sklepu z antykami w dniu wypadku Samantha zaraz po wyjściu z Zakłéc. Lokal był zamknięty, okna ciemne. Nora i Hopper wracali tam ze mną nazajutrz, dzień później i we wszystkie kolejne dni. Obserwowaliśmy budynek z cienia, siedząc na schodkach po drugiej stronie ulicy. Czekaliśmy, aż zapali się światło w oknie na górze, aż ktoś lekko odciągnie zasłonę.

Budynek pozostawał jednak nieprzenikniony i milczący.

Najwidoczniej Pajak tutaj wrócił, spakował walizkę, a potem zniknął w mroku nocy – być może na zawsze. Nietrudno to sobie wyobrazić: bądź co bądź, dogoniła go przeszłość, najpierw w osobie Ashley, a potem nas trojga. Mimo to sypiąca się czerwona fasada Pękniętych Drzwi, tajemnica nieobecności Pajaka oraz jeszcze bardziej niepokojące pytanie o to, co właściwie przytrafiło się Sam w jego sklepie – wszystko to nieustannie mnie dręczyło, nękało jak gorączka, która nie chce minąć.

Nie miałem nawet pewności, że trzeźwo myślę. Sprawa Samantha była przekroczeniem pewnej granicy. Cordova zręcznie się ukrywał, pozwalał nam oglądać jedynie powykręcane cienie, które rzucał na ścianę, wciąż więc istniał przede wszystkim w moim umyśle – w najgroźniejszym miejscu, w jakim może się czaić wróg. Właśnie tego uczyły jego filmy. Niebezpieczeństwo domniemane, acz niewidoczne, podsycane przez wyobraźnię, jest bezwzględne i wszechmocne. Może zdruzgotać człowieka, zanim jeszcze wyjdzie on z własnego pokoju, z własnego łóżka, zanim w ogóle otworzy oczy i odetchnie.

Figurka lewiatana o dygoczącym cieniu, sunącym po stole niczym obdarzony własną wolą, to dowód na istnienie ukrytego

świata obok tego, który przez całe życie uznawałem za oczywisty, obok rzeczywistości, która, jak mówi nauka i logika, jest stała i podlega zmianie wyłącznie w myśl określonych praw. Nieposłuszny cień stanowił granicę nieznanego. Objawiła się linia uskoku niezachwianej prawdy tego świata. Maleńkie rozdarcie tapety, które można by zlekceważyć, uznać za jeden z figli, jakie płata mój umysł. Albo mocniej oderwać tę tapetę, tworząc kształt coraz większy i coraz bardziej groteskowy, a w końcu zedrzeć ją zupełnie, odsłaniając mur. Tylko jaki? I co się za nim znajduje, gdyby go zburzyć?

Z tą niepewnością można sobie było poradzić tylko w jeden sposób: odsunąć ją na bok, skupiając się na konkretnym planie.

Hopper skończył wiązać buty. Podniósł się, zapiął suwak kurtki. Nora stała przed lustrem i nie wiedzieć czemu malowała sobie usta czerwoną szminką, jakby wybierała się do paryskiego klubu jazzowego. Cmoknęła, a potem przykucnęła, podciągnęła nogawki bojówek i termicznych legginsów, żeby poprawić nóż myśliwski przypięty do łydki. Kupiłem jej go wczoraj w Walmarcie w Saratoga Springs.

Przynajmniej mogłem zadbać o to, żeby miała się czym bronić.

– W porządku, drużyno. Powtórzmy wszystko raz jeszcze. – Rozpiąłem plecak i wyjąłem mapę.

Nasz starannie opracowany plan – to była linia bezpieczeństwa, której musieliśmy się trzymać.

A jednak wciąż się zastanawiałem, czy idąc za tym sznurem przez mrok, nie odkryjemy, że na końcu nie jest do niczego przywiązany.

*

Udaliśmy się nad jezioro Iowa okrężną trasą, omijając centrum Crowthorpe Falls.

Wiodła nas plątanina krętych bocznych dróg, całkowicie opustoszałych.

Jechaliśmy wynajętym czarnym jeepem, ale nie mieliśmy pojęcia, kto w Crowthorpe uczestniczy w tym, co się dzieje na Szczycie, więc nie chciałem ryzykować, że ściągniemy na siebie uwagę. Wyruszając z Nowego Jorku, rozejrzeliśmy się po Perry Street, a potem oglądaliśmy każde auto, które za nami jechało. Chyba nikt nas nie śledził.

Przez te pięć lat zdążyłem już zapomnieć, jak nieprzystępna była tu głusza, jak bardzo była dławiąca. Pagórki obrastała gęstwina drzew wiecznie zielonych, klonów i buków. Potężne konary sięgały ponad szosę, jakby chciały nas udusić, pochłaniały i tak blade światło dnia. Przy kolejnych sypiących się parkingach stały smętnie chaty z bali, sklepy spożywcze, dawno nieczynne wypożyczalnie wideo.

– Następny skręt po lewej – oznajmiła Nora.

Po kilku metrach zobaczyłem drogowskaz: PRYZYSTAŃ WELLERA.

Zwolniłem i zjechałem w lewo na parking. Stały tam dwa samochody: niebieski pick-up oraz kombi, zapewne należące do innych wioślarzy, którzy już wypłynęli na jezioro. Zaparkowałem w najdalszym rogu, w miejscu na wprost ukrytym za choiną, i zgasilem silnik.

– Droga wolna – stwierdził Hopper, wyglądając przez tylną szybę.

– Jakież ostatnie uwagi? – spytałem.

Zerknąłem na Hoppera w lusterku wstecznym. Jego znaczące spojrzenie mówiło wszystko: teraz nic go już nie powstrzyma.

– Bernsteinie? – zagadnąłem.

Nora właśnie naciągała na głowę czarną wełnianą czapkę i utykała pod nią luźne kosmyki włosów.

– O kurka, prawie zapomniałam! – Z kieszeni kamizelki wyjęła dwa małe plastikowe pudełka. Otworzyła jedno z nich i wyciągnęła cieniutki złoty naszyjnik. Dała mi znak, żebym się nachylił, po czym rozpięła łańcuszek i założyła mi go na szyję. – To święty Benedykt. – Wisiorek był bardzo prosty, zdobiła go wychudła postać w typie Jezusa. – Napalm wśród świętych

katolickich. – Odwróciła się do tyłu, żeby zapiąć łańcuszek Hopperowi. – Wystarczy nasłać Benedykta i już nic więcej nie potrzeba. On nas ochroni przed wszystkim, co tam napotkamy.

– Dzięki – powiedział Hopper.

– Ty też go masz? – zapytałem.

– Oczywiście!

– To ruszajmy.

Szybko wyładowaliśmy rzeczy z samochodu, żeby nikt nas nie zauważył. Poza tym wiedziałem, że na tym etapie każda chwila wahania sprawi, że wątpliwości zaleją nas jak woda podziurawiony kajak.

Hopper zaniósł wiosła do strefy załadunku, a ja odpiąłem łódkę z dachu. Nora wzięła kamizelki ratunkowe i plecaki. Kluczyki do samochodu schowałem pod kamieniem obok choiny na wypadek, gdybyśmy się rozdzielili i któreś z nas wróciło tu przed innymi. Razem z Hopperem dźwignęliśmy łódkę, po raz ostatni spojrzeliśmy na jeepa, a potem ruszyliśmy przez parking.

Spuściliśmy łódź do wody, Hopper wsiadł, przeszedł na dziób i wepchnął plecak pod swoje siedzenie. Nora wdrapała się za nim. Na jej szyi dyndała lornetka. Wziąłem wiosło, wrzuciłem plecak do łódki i już miałem wsiąść, kiedy poczułem, że w kieszeni wibruje mi telefon.

Chciałem go zignorować, ale przyszło mi do głowy, że to może Cynthia. Ściągnąłem rękawiczkę i rozpiąłem kieszeń. Numer zastrzeżony.

– Halo?

– McGrath. – Rozpoznałem ten głos. To Sharon Falcone. – Cholera, połączenie jest do dupy. Brzmisz, jakbyś był na końcu świata. Zadzwoń jeszcze raz...

– Nie, nie – wypaliłem. Dopadło mnie złowrogie przecucie, że coś jest nie w porządku. – O co chodzi?

– O nic. Chciałam cię tylko poinformować, co wyszło z tego twojego cynku.

– Cynku?

– Dla opieki społecznej. – Właścicielka domu przy Henry Street 83 i jej głuchoniemy siostrzeniec. Zupełnie zapomniałem, że dzwoniłem do Sharon w tej sprawie. – Na pewno dałeś mi właściwy adres? Henry Street osiemdziesiąt trzy?

– Zgadza się.

– Pojechali tam. Budynek nie ma zgody na zasiedlenie.

– Co?

– Nikt tam nie mieszka. Nie było żadnych lokatorów od...

Jej głos gwałtownie się urwał. Słuchawkę wypełniło głośne metaliczne echo.

– Halo?

– ...nielegalne... parę razy w ostatnim tygodniu...

– Sharon!

– ...po uszy w niezłym...

Jej głos zagłuszał silny szum.

– Halo!

– ...było w porządku. McGrath, jesteś tam?

– Tak. Halo?

Na linii coś zabrzęczało i sygnał się urwał.

Próbowałem oddzwonić, jednak bez powodzenia. Poczekalem minutę, łudząc się, że może Sharon znowu się do mnie dodzwoni, ale nie miałem zasięgu. Schowałem telefon do kieszeni, a potem powtórzyłem Hopperowi i Norze, co właśnie usłyszałem.

– Jak to pusty? – zapytała Nora.

– Nie było lokatorów.

– Ale to niemożliwe.

– Czyżby?

– Nie – stwierdził Hopper. – Może to nielegalni imigranci. Ściągnęliśmy im na głowę za dużo uwagi.

– A Iona? – wtrąciła Nora. – Sąsiadka Ashley. Ona nie była nielegalna. Miała amerykański akcent i powiedziała, że mieszka tam od roku. Dlaczego miałyby się zmyć?

– Żeby nie zamknęli jej za prostytutkę.

Nora nie była przekonana.

– Coś mi tu się wydaje nie w porządku.

Oboje zamilkli i czekali, aż się odezwę. Rozpoznałem ten moment: to była okazja, żeby zrezygnować z planu, rozważyć wszystko od nowa i zawrócić.

Niebo pociemniało, nie było już białe, ale szare. Dokoła w lesie panowały cisza i spokój. Wsiadłem do łódki i chwyciłem wiosło.

– Sprawdźmy to po powrocie – powiedziałem.

*

Nie było strumienia – tylko bagno.

Od godziny przemierzaliśmy jezioro Lowa. Hopper i ja zgodnie wiosłowaliśmy w milczeniu. Nękani zmiennymi prądami, smagani nieustępliwym zimnym wiatrem, minęliśmy bezludne wyspy porośnięte sosnami, a także drzewo-widmo wyrastające wprost z wody. Wychudły pień i cherlawe gałęzie wznosiły się ku niebu niczym ramiona wyrzutka, który błaga o życie. Teraz, odkąd dopłynęliśmy do północnego brzegu, zawzięcie szukaliśmy ukrytej rzeczutki, która miała nas zaprowadzić na teren Szczytu. Grzęzliśmy w mulistej wodzie najeżonej trawami i przykrytej grubą warstwą zielonych alg, które rozstępowały się kępami, a potem, gdy się już przedarliśmy, znowu się zwierzały, zacierając wszelkie ślady naszej obecności.

Wiatr ustał – to dziwne, bo jeszcze parę minut wcześniej na jeziorze był taki porywisty. Otaczały nas gęste drzewa, stały gęsto jak tabuny więźniów pozostawionych samym sobie. Nie było ani jednego ptaka, nic nie ruszało się w gałęziach, nie rozlegał się żaden dźwięk – zupełnie jakby wszystko, co żywe, uciekło.

– Coś tu nie gra – stwierdziła Nora, odwracając się do mnie.

Siedząc za nią, do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo się niepokoi.

– Pokaż mapę.

Podawała mi ją wraz z kompasem.

– Powinniśmy zawrócić – wypaliła, wpatrując się w trzciny.

– Co?! – Hopper obrócił się do niej poirytowany.

- Nie możemy utknąć tutaj na noc. Tu się nie da spać.
- Kto mówi o spaniu?
- Mieliliśmy płynąć strumieniem. Więc gdzie on jest?
- Poprobujemy jeszcze trochę – powiedziałem.

Po kilku minutach utknęliśmy na zanurzonej kłodzie. Hopper bez wahania wlaźł do wody, stanął po uda w mule i wyszarpnął łódkę. Potem wsiadł z powrotem. Dżinsy miał oblepione błotem i tymi dziwnymi neonowymi algami, ale najwidoczniej tego nie zauważył albo nic go to nie obchodziło. Uderzał trawy wiosłem, patrząc przed siebie z determinacją, niczym w transie. Wyobrażałem sobie, że myśli o Ashley, bo ta surowa, dzika pustka naturalnie przywoływała żal i strach.

Wciąż posuwaliśmy się powoli. Bagno cuchnęło rozkładem, ta woń biła od alg, które stawały się coraz gęstsze, im głębiej zapuszczaliśmy się w mokradła. Musieliśmy wpychać wiosła pionowo, żeby choć o parę centymetrów przepchnąć łódkę przez szlam i żółte trzciny, które wznosiły się wokół nas, tworząc klaustrofobiczny korytarz.

Zerknąłem na zegarek. Minęła piąta. Do zmroku została niecała godzina. Zgodnie z planem powinniśmy być już na terenie Szczytu.

Nagle Nora jęknęła, zasłoniła usta dłonią i wskazała na coś po lewej stronie.

Do jednej z trzcin przywiązano wyblakły kawałek czerwonego sznurka, którego koniec dyndał w wodzie. Natychmiast go rozpoznałem. Marlowe mówiła, że Cordova odkrył takie sznurki, kiedy wprowadził się do posiadłości. Doprowadziły go na polanę, gdzie miejscowi odprawiali swoje rytuały.

- Płyniemy w dobrą stronę – stwierdził Hopper.

Parliśmy naprzód. Nagle bagno zrobiło się głębsze, a muł zrzędł. Ni stąd, ni zowąd pojawił się słaby, lecz wyraźny nurt. Słysząc było tylko chłopot wody oraz szelest traw, które wyginały się wokół nas i szurały o burty.

- Widzę płot – oznajmił Hopper.

Rzeczywiście – przed nami, w oddali dostrzegałem ciemną sylwetkę wzmocnionego płotu, który przecinał strumień, wyznaczając południową granicę posiadłości Cordovy.

Gdy znajdowaliśmy się cztery metry od niego, sięgnęliśmy wiosłami do brzegu. Płot przypominał ogrodzenie opuszczonego więzienia, siatka była pordzewiała i zwieńczona pętlą drutu ostrzowego. Tam gdzie dołem przepływała woda, druty brutalnie przepiłowano – dokładnie tak, jak opisała to Marlowe. Między poskręcanymi, odgiętymi w tył końcówkami powstał trójkątny otwór o szerokości niespełna pół metra.

– Widać tu gdzieś kamery? – zapytałem.

Nora rozejrzała się przez lornetkę, a potem pokręciła głową.

Rozpiąłem plecak, wyjąłem żarówkę, wysiadłem z łódki i ruszyłem w stronę płotu. Od razu dostrzegłem trzy druty biegnące poziomo, w poprzek powykręcanej siatki. Wisiały luźno, a na najbliższym metalowym słupku znikwały w obudowach.

Przyłożyłem gwint żarówki do drutów. Przy dwóch pierwszych nie zadziałała, natomiast przy ostatnim, tym najbliższym ziemi, zaświeciła na pomarańczowo, a potem się przepaliła.

Po tylu latach przewód wciąż był pod napięciem. Poszedłem wzdłuż niego do strumienia. Drut wisiał luźno między przeciętymi ogniwami siatki, dyndał nad wodą i biegł dalej po drugiej stronie.

– W tym przewodzie jest prąd – powiedziałem, wróciwszy do Hoppera i Nory. – Przepaliło mi żarówkę.

– Zabójczy system zabezpieczeń – stwierdził Hopper. – Za przeproszeniem.

– To nie jest zabawne – odparła Nora i spojrzała na mnie niepewnie.

– Jest dość miejsca, żeby się przedostać. Kolejno położymy się w łódce i przecisniemy się pojedynczo.

Mogliśmy również pokonać przeszkodę wpływ – bez łódki łatwo byłoby uniknąć porażenia – ale wkrótce temperatura miała spaść poniżej minus pięciu stopni Celsjusza, więc gdybyśmy przemoczyli się od szyi w dół, metodyczne przeszukanie

posiadłości stałoby się bardzo trudne. Przepłynięcie w łódce to najlepsze rozwiązanie, pod warunkiem że ułożymy się niżej niż burty. Łódka była wykonana z włókna szklanego, ale wzdłuż zewnętrznych krawędzi biegło aluminiowe wykończenie. Nie jestem elektrykiem, lecz gdyby otarł się o nie drut, chyba przewodziłoby prąd.

– Hopper – powiedziałem – ty pierwszy.

Przepchnął swój plecak, a potem ułożył się w środku i skrzyżował ramiona.

Odbiliśmy od brzegu, a potem nakierowaliśmy dziób na zniekształcony otwór. Pewnie to po prostu mój wzrok przystosowywał się do gasnącego światła, ale kiedy sunęliśmy naprzód, mógłbym przysiąc, że druty ogrodzenia zaciskają się, wiją niczym rośliny czułe na ruch.

Gdy byliśmy już tylko niecały metr od płotu, nagle trafiliśmy na silny prąd. Szarpnęło nami w bok i wpadliśmy na krawędź otworu. Od uderzenia obniżył się przewód.

– Zaraz dosięgnie łódki – szepnęła Nora.

– Nie dotykajcie metalu – poleciłem.

Uniosła wiosło, a ja wcisnąłem swoje do wody, żeby przepchnąć dziób przez ogrodzenie. Ogniwa siatki drapały o kadłub. Przesunęliśmy się jeszcze o kilka centymetrów i zobaczyłem, że drut znowu opada – niczym element zastawionej pułapki. Nim zdążyłem zareagować, uderzył o krawędź łódki. Czekałem na biały błysk elektryczności.

Nic.

Wcisnąłem wiosło do wody, żeby stawić opór nurtowi, a potem pchnąłem łódź naprzód jeszcze o pół metra. Hopper znajdował się już po drugiej stronie, drut wisiał przed Norą, siatka zgrzytała o ścianki.

– Jesteś bezpieczny – powiedziałem.

Hopper usiadł. Nora podała mu wiosło, a potem przesunęła się do przodu i skuliła w pozycji embrionalnej.

– Jeżeli przyszła na mnie pora i zaraz mnie porazi, to chcę powiedzieć, że kocham was obu i że spędziłam z wami najlepsze

chwile swojego życia.

– Zostało ci jeszcze dużo czasu, Bernsteinie – odparłem.

Posunęliśmy się naprzód. Nie było słycać nic oprócz szumu wody i chrobotliwej skargi wyginających się drutów, które ocierały o kadłub. Nagle uderzyliśmy o coś pod wodą, przewód opadł i trącił o krawędzie. Dałbym głowę, że wokół nas cicho zaskwierczała elektryczność, ale zaraz potem znowu się uniósł, pokonaliśmy opór i przyszła moja kolej.

Położyłem się w łódce. Otaczał mnie gulgot wody.

– Chcesz coś powiedzieć na pożegnanie? – zapytał Hopper.

– Spróbuj mnie nie zabić.

Łódka szarpnęła naprzód, cienki przewód uderzył o burty zaledwie centymetry od mojego nosa. Później przesunął mi się nad głową i już go nie było.

– Jesteśmy w środku – szepnął Hopper.

Usiadłem, spojrzałem wstecz i ze zdziwieniem stwierdziłem, że ogrodzenie szybko zostaje w tyle. Nasilił się prąd, woda wzbierała, jakby podniecona perspektywą zanieśienia nas... dokąd? Ale ten płot to tak naprawdę nie był płot. To pułapka. Może Marlowe nie napomknęła o tym tajnym wejściu mimowolnie, lecz po to, aby zasiać nam w głowach tę myśl, plan przedostania się właśnie tą drogą. Dlaczego? Żeby zabić nas na drucie pod wysokim napięciem? A może – byśmy bezpiecznie trafili na ziemię Cordovy i już stamtąd nie wyszli?

*

Wiosłowaliśmy dalej. Dokoła noc opadała niczym czarny przypływ.

Wcześniej las spowijała niepokojąca cisza. Teraz zewsząd niosło się echo odgłosów. Trzaskały gałęzie. Szeleściły liście. Dygotały drzewa – jakby wszystkie dzikie zwierzęta, które za dnia się chowały, teraz budziły się i wychodziły ze swych nor.

Mój wzrok już nawet nie próbował dostrzec czegoś poza sylwetką Hoppera na dziobie oraz zgarbionych pleców Nory tuż

przede mną. Z ukłuciem niepokoju przypomniałem sobie opisane przez Olivię Endicott uczucie duszenia, które towarzyszyło przybyciu na Szczyt. Zastanawiałem się, czy ja również go doznaję, niejasnego wrażenia dezorientacji, obojętności, topienia się. Uznałem, że to po prostu nerwy i adrenalina, potem jednak poczułem jakiś wyraźny ciężar, jakby przepełniło mnie to całe wilgotne powietrze, którego się nawdychałem, i spowalniało moje członki, tłumilo myśli.

Hopper wskazał przed siebie. Na końcu czarnego tunelu drzew widać było połyskującą powierzchnię.

Staw Gravesa – w którym utonęła Genevera, pierwsza żona Cordovy.

Dotarliśmy do wylotu po niecałej minucie, dobiliśmy do brzegu, nasłuchiwalismy. Kiedy Nora oderwała lornetkę od oczu i skinęła głową, po cichu wpłynęliśmy na jezioro. Skręciliśmy w prawo. Trzymaliśmy się brzegu, kryjąc się pod osłoną obwisłych gałęzi.

Daleko po naszej lewej stronie ukazała się drewniana przystań.

Wyglądała na opuszczoną. Z pomostu zwisała do wody prosta drabinka. Schodki wiodły na kamienną ścieżkę, która wila się w górę stromego wzgórza stopniowo ukazującego się naszym oczom.

Nagle Hopper i Nora gwałtownie się wyprostowali.

A potem i ja zobaczyłem, co się zbliża, co powoli wychyla się znad grzbietu wzniesienia niczym czarne słońce.

*

Szczyt.

Skąpana w blasku księżyca monstrualna rezydencja tak absolutnie mroczna, że otaczająca ją noc wydawała się szara. Jej ogrom przywodził na myśl europejskie posiadłości, zaginiony świat powozów i blasku świec. Ostre dachy z facjatkami wzbijały się wzwyż, rozcinały niebo. Dostrzegalem zdobny pawilon

wejściowy, kolumnadę przecinającą główny podjazd, trzy kondygnacje okien, a w żadnym z nich nie paliło się światło – wszystko umocnione cieniem, jakby to właśnie cień był zaprawą, dzięki której budowla wciąż stoi. Dom zdawał się wręcz rzucać wyzwanie nieuniknionym prawom świata fizycznego, pchającym ku rozkładowi i ruinie nawet najwspanialsze konstrukcje człowieka. Chełpił się, że będzie górować nad tym wzgórzem przez długie wieki.

Znad brzegu Stawu Gravesa ku rezydencji mknął co tchu zdziczały, zarośnięty trawnik. Nie było tam żadnego ruchu, żadnego śladu życia. Odnosiłem wrażenie, że dom już od dawna jest opuszczony.

Wyciągnęliśmy wiosła na brzeg, łódź zaryła w błocie, a potem wszyscy troje wysiedliśmy i wciągnęliśmy plecaki. Hopper i ja wnieśliśmy łódkę na ląd, między drzewa, ułożyliśmy ją za powalonym pniem, po czym przykryliśmy liśćmi i gałęziami. Nora wetknęła w błoto patyk, żebyśmy mogli potem znaleźć to miejsce. Następnie przez moment przyglądaliśmy się sobie nawzajem. Hopper był ożywiony, mrok nadawał jego twarzy twardszy wyraz. Nora wydawała się niepokojąco nieobecna. Ścisnąłem ją za ramię dla dodania otuchy, ale ona tylko zaciągnęła suwak kurtki pod samą szyję.

– Pamiętajcie o planie awaryjnym – szepnąłem. – Jeśli coś się stanie, spotykamy się tutaj.

Skinęliśmy głowami, a potem ruszyliśmy przed siebie. Zamierzaliśmy najpierw sprawdzić dom, spróbować wejść do środka, i dopiero wtedy poszukać polany, na której odbywały się rytuały. Szliśmy na północ, wzdłuż brzegu stawu, a potem, gęsiego, stromym pagórkiem przez las w kierunku domu. Dotarliśmy na samą górę i ukryliśmy się wśród drzew, skąd mieliśmy widok na wschodnie skrzydło Szczytu.

Z bliska rezydencja przypominała pałac, widziałem jednak, jak bardzo zniszczona jest wapienna fasada, cała odbarwiona i pokryta smugami. Dostrzegałem wyszukane dekoracje frontonów i naroży, czarne ozdoby z kutego żelaza oraz

rzeźbione kamienie wzdłuż dachu. Nad drzwiami i na parapetach siedziały przycupnięte rzygacze w kształcie wron, które w pierwszej chwili wziąłem za żywe ptaki. Na parterze znajdowała się oszklona weranda przykryta kopułą, wychodząca na loggię z kolumnadą. Była tak bardzo przesiąknięta mrokiem, jakby z domu wylał się i sfermentował czarny opar.

Od stopni tarasu odchodziła kamienna ścieżka, wiała się w wysokiej trawie i wiodła na tyły domu, do olbrzymiego, zaniedbanego żywopłotu z ligustru, a potem znikła gdzieś za nim. Z fotografii lotniczych wiedziałem, że prowadzi do rozległych ogrodów, które odgrywały ważną rolę w filmie *Oddychać z królami*. Sprawdziłem na Google Earth, że wciąż pozostały tam ślady wyszukanej scenerii – dróżki z kamyczków oraz rzeźby – ale większość pokryły zdziczałe zarośla.

– Sprawdzę, czy ktoś jest w domu – powiedział Hopper.

– Co? Nie! Poczekajmy tutaj przez chwilę.

Zanim jednak zdołałem go zatrzymać, wyszedł na trawnik, a potem nonszalanckim truchtem ruszył w dół wzgórza. Kiedy dotarł do schodków tarasu, skulił się i wdrapał się po nich niewidoczny.

Moje zaskoczenie tym, co zrobił, prędko zmieniło się we wściekłość. Powinienem był wiedzieć, że zachowa się lekkomyślnie, chcąc realizować własne plany. Zamierzałem ruszyć za nim i zaciągnąć go z powrotem, lecz znieruchomiałem.

Szczekał pies. Chyba niedaleko.

Nora spojrzała na mnie z przerażeniem. Uniosłem dłoń. Uwzględniliśmy obecność psów, dlatego kupiliśmy ubiór tłumiący zapachy, który podobno miał nas maskować przed zwierzętami.

Pies zaszczekał znowu, gniewnie i uporczywie.

A potem w oknie na jednej z facjatek zapaliło się światło. Przesłaniała je gruba zasłona, ale nie mogło być wątpliwości.

Ktoś był w domu.

Pies zamilkł, a wśród drzew powiał nagły podmuch wiatru. Hopper zniknął. Pewnie chował się gdzieś na tarasie i czekał na

okazję do powrotu. Potem jednak usłyszałem charakterystyczny łoskot otwierania ciężkich drzwi, a następnie rytmiczny tupot oraz brzęk psiej obroży.

Rozpiąłem plecak Nory, zacząłem grzebać wśród ubrań i wreszcie znalazłem zbiorniczek z gazem pieprzowym. Wetknąłem go jej do ręki, a tymczasem z głównego wyjścia wyskoczył olbrzymi pies, wściekle ujadając.

Wyglądał jak krzyżówka charta rosyjskiego z kojotem. Miał brudną sierść w szaro-białe plamy oraz długi, skręcony ogon.

Zamarł w bezruchu i znów zawył ostrzegawczo, a potem z postawionymi uszami pognał w dół trawiastego wzgórza w stronę Stawu Gravesa.

Pojawił się drugi pies, większy i cały czarny. Okrążył dom, po czym ruszył dokładnie w naszą stronę. Zatrzymał się może dwadzieścia metrów od tarasu, na którym ukrywał się Hopper. Zawarczał groźnie. Potem, z nosem przy ziemi, pobiegł zygzakiem przez trawę, pnąc się w naszym kierunku.

– Wracaj do łódki i tam na mnie zaczekaj – szepnąłem. Nora się zawahała. – Już!

Uciekła przerażona. Wokół nas niosło się szczekanie. Wybiegłem na trawnik w przeciwnym kierunku i ruszyłem w dół zbocza. Minąłem taras, a potem wpadłem na kamienną ścieżkę, wybierając najkrótszą drogę do żywopłotu. Obejrząwszy się przez ramię, zobaczyłem dokładnie to, czego się spodziewałem: goniły mnie teraz oba psy, prując przez wysoką trawę.

Pognałem wzdłuż żywopłotu, znalazłem przejście i wpadłem przez nie na oślep, po czym, zataczając się, popędziłem zarośniętą chwastami ścieżką z białych kamyków.

Sądząc po dźwięku, psy były tuż za mną. Kamyki chrzęściły pod ich łapami.

Najwyraźniej biegłem przez ogrodowy labirynt. Ściany z ligustru górowały wysoko nade mną, poidelka dla ptaków pokryte były porostami, rośliny uczepiały się treliazu. Dostrzegałem sypiące się rzeźby: bezgłową dziewczynę, nagi tułów mężczyzny opleciony przez węża. Wokół mnie wznosiły

się ogromne krzewy, kiedyś pewnie strzyżone w zwierzęce kształty, które dawno już zniknęły wśród bujnego listowia.

Potknąłem się na jakichś schodkach, a potem wbiegłem do wąskiej altanki z wyschniętą fontanną oraz bramką z kutego żelaza.

Przystanąłem i nasłuchiwałem.

Miałem wrażenie, że psy się rozmnożyły. Było je słyhać z każdej strony.

Podkradłem się do bramki.

Nagle po drugiej stronie wyrósł pies i obnażył zęby. Odskokczyłem gwałtownie, spodziewałem się, że jego szczęki za moment zatrzasną się na mojej ręce, ale za plecami usłyszałem tylko rozdrażniony skowyt. Wybiegłem z altanki. Natychmiast zauważyłem kolejnego psa, który gnał ku mnie z drugiego końca alejki.

Przykucnąłem, znalazłem otwór w żywopłocie i przedostałem się na drugą stronę. Znalazłem się w otwartym ogródku. Pośrodku był basen przykryty plastikową płachtą.

Popędziłem do najdalszego rogu, schyliłem się, ściągnąłem rękawiczki i zacząłem szarpać nylonowe sznurki.

Dobiegało mnie skamlenie psów szukających przejścia. Udało mi się odwiązać kilka supłów. Odciągnąłem płachtę, a wtedy o mało nie dostałem mdłości, widząc, co jest w środku.

*

Cuchnąca czarna woda.

Zdjąłem plecak, zanurzyłem stopy, a potem zacisnąłem zęby i wślizgnąłem się do basenu. Lodowata woda przesiąkła mi przez ubranie, pochłonęła mnie aż po szyję. Wziąłem z brzegu plecak – usiłowałem go nie zamoczyć, chociaż pod przykryciem było niecałe pół metra przestrzeni. Wyjąłem z przedniej kieszeni aparat fotograficzny, zaciągnąłem z powrotem róg płachty, a potem, mrugając w ciemności, która nagle nastąpiła, odpłynąłem od otworu.

Natychmiast usłyszałem ten złowrogi brzęk. Psy mnie znalazły, czekały, biegały wokół basenu, skamlały, rytmicznie stukwały łapami o kamienne płyty.

Brnąłem po omacku wzdłuż krawędzi najciszej, jak umiałem, przytrzymywałem się popękanych kafelków pokrytych szlamem, zaczynał przeszywać mnie chłód.

Nie odrywałem wzroku od wstęgi światła pomiędzy płachtą a skrajem basenu. Lewą stopą uderzyłem w coś na dnie. W zatopionego jelenia? Dotarłem do przeciwległego rogu i wymachując nogami, ominąłem przeszkodę. Fala zachlupotała odrobinę za głośno. Zamarłem.

Słyszałem ciężkie kroki. Ktoś się tu zbliżał, stąpał utwardzoną ścieżką, a potem wszedł do ogródka.

– Co jest, chłopcy? – To był niski, męski głos.

Psy skamlały, wciąż biegając wokół basenu. Mężczyzna podszedł bliżej. Potem się zatrzymał.

Cordova?

Nagle na płachcie zatańczył snop światła silnej latarki. Ogarnęła mnie panika. Żółty krąg sunął w stronę kąta, w którym się ukryłem.

Przywarłem plecami do płytek i usiłowałem zastygnąć w bezruchu.

Usłyszałem szybsze kroki, a potem szelest odciąganej płachty.

Snop przeciął powierzchnię wody, oświetlał poczerńiałe liście i gałęzie, niewyraźne kształty – żaby, może wiewiórki – unoszące się w głębi basenu.

Zawisł kilkadziesiąt centymetrów od mojego plecaka. Sunął coraz bliżej. Wetknąłem aparat pod płachtę na skraju basenu, a potem wziąłem głęboki wdech i ostrożnie zanurkowałem razem z plecakiem. Opadłem może metr w głąb, po czym otworzyłem oczy, usiłując nie zważać na przeszywające pieczenie. Patrzyłem, jak snop latarki przesuwają się nad moją głową.

Czekałem, czułem, że płuca zaraz mi eksplodują, próbowałem zachować spokój. Do jasnej cholery, jeszcze parę minut temu

wszyscy troje radziliśmy sobie całkiem dobrze. Jakim cudem wszystko tak szybko się posypało?

Światło wisiało nade mną przez dobrych kilka sekund, a potem wreszcie skierowano je w inny róg basenu. Wynurzyłem się na powierzchnię i łapczywie łykałem powietrze.

Nagle noc rozdarł ostry krzyk. Chyba kobiecy.

Nora?

Psy się rozszczękały, zadudniły łapy, światło latarki wyślizgnęło się spod płachty. Usłyszałem jakiś szelest, a potem kroki na kamieniach.

Wkrótce otaczała mnie tylko cisza. Poszli sobie.

Chwyciłem aparat i popłynąłem z powrotem tam, gdzie wszedłem. Kiedy jednak dotarłem do rogu, zobaczyłem, że płachtę ponownie zaciągnięto. Nie zważając na własną trwogę – umysł natychmiast uznał mnie za trupa, przywołał obraz moich zwłok pływających tu wraz z resztą odpadków – wsunąłem rękę pod plastik i zacząłem macać.

Sznurki znowu były zawiązane.

Położyłem aparat na murku, przyciągnąłem plecak, sięgnąłem do przedniej kieszeni, znalazłem scyzoryk, otworzyłem go zębami, a potem, niezdarnie ściskając nóż w przemarzniętych palcach, przystąpiłem do piłowania.

Udało mi się przeciąć kilka sznurków. Najpierw wypchnąłem plecak, a potem sam na oślep wdrapałem się na brzeg basenu. Natychmiast uderzył mnie lodowaty wiatr. Uniosłem głowę i stwierdziłem z ulgą, że jestem sam.

Dźwignąłem się na nogi i wciągnąłem plecak na ramię. Zabrałem aparat, po czym, zataczając się, ruszyłem przez ogródek w stronę łukowatego przejścia w żywopłocie. Wstrętna woda chlupotała mi w butach na każdym kroku.

Miałem nadzieję, że Nora jest bezpieczna i że jest z nią Hopper. Postanowiłem spotkać się z nimi przy łódce, żeby obmyślić nowy plan.

Psy – oraz mężczyzna z latarką – chyba znalazły się już dość daleko, ponieważ noc znowu była cicha.

Wyszedłem poza żywopłot i znalazłem się na kolejnej kamiennej ścieżce. To musiała być zachodnia krawędź ogrodu. Po mojej prawej ręce, oddzielony zapuszczonym pasem trawnika, majaczył gęsty las sosnowy, czarny i rozległy, po lewej zaś, za splątanymi chaszczami, wysoko na wzgórzu wznosiła się rezydencja.

Wciąż spowijała ją ciemność.

Ruszyłem przez trawnik pod osłonę lasu, a potem skierowałem się na południe wzdłuż linii drzew, żeby obejść wzgórze i dotrzeć do Stawu Gravesa. Drżałem, przemokły i zmarznięty, lecz starałem się nie zwracać na to uwagi. Próbowałem pobiec truchtem, ale nogi nie chciały mnie słuchać. Potykałem się o gałęzie i pnie. Skręciłem na wschód, gdy tylko z lewej strony się przejaśniło, a wśród drzew zaślniła woda. Po kilku minutach dotarłem do wylotu tego samego strumyka, którym wcześniej wpłynęliśmy na staw. Wlazłem do wody, zagłębiłem się w niej po uda, a potem, grzęznąc w mule, czym prędzej przedostałem się na drugi brzeg.

Pomaszerowałem skrajem stawu po zachodniej stronie. Z ulgą – ale i zdumieniem – znalazłem gałązkę, którą Nora wetknęła w błoto.

– Noro! – szepnąłem i wszedłem wprost do lasu.

Kiedy dotarłem do powalonego pnia, stanąłem jak wryty.

Gałęzie i ziemię rozgrzebano.

A łódki nie było.

*

Rozejrzałem się dokoła. Drzewa tworzyły teraz ściany nieskończonego więzienia.

Wróciłem nad brzeg, by spojrzeć na jezioro zalane blaskiem księżyca.

Było puste.

Hopper i Nora musieli dać się złapać. Albo zwiali i zostawili mnie samego. Albo ktoś ich gonił, uciekli i zamierzali wrócić, gdy

tylko droga będzie wolna. Albo łódkę znalazł ktoś inny, skonfiskował ją, a teraz czekał na mnie, obserwował.

W skupieniu nasłuchiwałem kroków, ale nic nie słyszałem.

Nie mogłem tu zostać. Nie mogłem też użyć latarki z obawy, że ktoś dostrzeże ją z oddali. Udałem się wzdłuż stawu mniej więcej w tym samym kierunku, który obraliśmy pierwotnie.

Zaszczekał pies.

Był chyba wiele kilometrów stąd. Przyspieszyłem jednak kroku i ruszyłem wprost pod górę. Ostatnia isierka ciepła migotała we mnie, jakby za moment miała zgasnąć.

Zatrzymałem się i spojrzałem w prawo, daleko przed siebie. Za drzewami stała jakaś budowla. Lekko lśniła w mroku na niebiesko. Poszedłem w tamtą stronę.

Okazało się, że to gigantyczny magazyn z płaskim dachem. Nie zauważyłem żadnych okien. Za rogiem natrafiłem na stalowe drzwi. Przez uchwyty przeciągnięto zardzewiały łańcuch i spięto go kłódką. Prędko rozejrzałem się po okolicy, znalazłem na ziemi odpowiedni kamień i wróciłem z nim przed wejście. Parę razy uderzyłem w kłódkę, aż w końcu ustąpiła. Teraz już wcale się nie przejmowałem, czy ktoś mnie usłyszy.

Rzuciłem łańcuch na ziemię, szarpnąłem drzwi i wtoczyłem się do środka.

Wlewający się zza moich pleców blask księżyca oświetlał prostą belkowaną ścianę oraz betonową podłogę, a nieco dalej tył brązowej kanapy, przez który przewieszono starannie złożony koc. Wszystko to utonęło w absolutnej ciemności, gdy tylko metalowe drzwi zamknęły się za mną z głośnym hukiem.

Ściągnąłem plecak, rozwiązałem buty, rozebrałem się do bokserek, potem nieomal potknąłem się o schodek i rozłożyłem się na kanapie. Namacałem koc, żeby się nim owinąć. Leżałem skulony, cały dygotałem, usiłowałem zmusić mózg, żeby odtajał. Po chwili otumanienia dotarło do mnie, że tak naprawdę pragnę tylko zasnąć, co kazało mi sądzić, że mam łagodną hipotermię, lecz natychmiast odegnałem tę myśl.

Sen cię zabije. To narkotyk, który podaje ci organizm, zanim zamknie interes.

Mijały minuty. Nie wiedziałem, ile dokładnie, ponieważ nie mogłem ruszyć ręką, żeby spojrzeć na zegarek. Ciągłe wymykały mi się myśli, te maleńkie boje gubiące powietrze, których usiłowałem się chwycić, żeby nie zatonać. Wyobrażałem sobie, że siedzę w swoim łóżku przy Perry Street i patrzę w sufit. Przyszło mi do głowy, że może po drodze do Przystani Wellera mieliśmy wypadek i właśnie tak wygląda nieprzytomność, oderwanie od świata, kołysanie się na krawędzi życia i śmierci, Ziemi i tego, co nieznane.

Może wciąż znajdowałem się w cuchnącym basenie.

Może nigdy z niego nie wyszedłem.

Po chwili jednak zorientowałem się, że mój wzrok przywykł do mroku. Patrzyłem na otwartą gazetę, która leżała przede mną na stoliku.

„Doverville Sentinel”.

Policja bada śmierć chłopców.

*

Zamrugalem powiekami. Siedziałem w skromnie urządzonym pokoju. Na drewnianej podłodze leżał włochaty biały dywan, stały nowoczesne krzesła, w oknach wisiały zasłony, pod ścianą znajdował się ceglany kominek.

Byłem tu już kiedyś.

Byłem w tym pokoju.

Na przeciwległej ścianie, obok maleńkiego aneksu kuchennego, wisiały trzy obrazy w ramkach. Nad kanapą pochylała się lampa stojąca z kremowym abażurem. Podniosłem rękę i spróbowałem ją włączyć.

Pokój natychmiast rozjaśniło blade światło.

Przy drzwiach wejściowych stało wiklinowe krzesło z męskim płaszczem w jodełkę przewieszonym przez oparcie. Po mojej prawej ręce na niskim stoliku znajdowała się statuetka z brązu

w stylu *art déco*: kobieta trzymająca na głowie kryształową kulę. Emily, płacząc z przerażenia, chwyta tę statuetkę, żeby użyć jej jako broni, a potem wybiega na korytarz i chowa się w szafie w sypialni. Na kanapie, na której teraz leżałem, Emily siedziała w pierwszej scenie, czytając artykuł o najnowszym morderstwie dzieci. Potem wszedł Brad z teczką, którą postawił na krześle przy drzwiach, a płaszcz przerzucił przez oparcie.

Spojrzałem wzwyż. Nie było sufitu, tylko rusztowanie kilkanaście metrów nade mną. Przymocowano tam światła, niektóre skierowane na mnie.

To plan filmowy.

Znajdowałem się w salonie Brada i Emily Jacksonów ze *Zgniatacza kciuków* – „złowrogiej opowieści o podejrzliwości, paranoi, małżeństwie oraz zagadkowej naturze ludzkiego umysłu”, jak mawiał Beckman.

Brad, przystojny wykładowca mediewistyki na niewielkiej prowincjonalnej uczelni humanistycznej w Vermoncie, niedawno wziął ślub z Emily, młodą kobietą o niezdrowej wyobraźni. Fascynuje ją ciąg niewyjaśnionych morderstw miejscowych chłopców, z których każdy miał osiem lat. Zaczyna podejrzewać, że zabójcą jest jej mąż. *Zgniatacz kciuków* kończy się bez jednoznacznej konkluzji co do winy Brada. Moim zdaniem był winny, ale w internecie, a zwłaszcza na Blackboardsach huczało od argumentów na rzecz obu wersji. Beckman poświęcił filmowi cały rozdział jedenasty swojej książki *Amerykańska maska*. Zatyłował go: *Tajemnica teczki*. Twierdził, że prawda, która wyzwoli zarówno Emily, jak i widownię, ostatecznie kryje się w zniszczonej skórzanej teczce Samsonite, którą Brad codziennie wieczorem po powrocie z uczelni starannie zamyka w sejfie razem ze swoimi zgniataczami kciuków – średniowiecznymi narzędziami tortur.

Teczka Brada do tego stopnia zdominowała film – Emily ma na jej punkcie obsesję, rozpaczliwie usiłuje ją skraść, wyłamać zamki, sprawdzić, co trzyma w niej mąż – że stała się głównym bohaterem. Występuje w większej liczbie ujęć niż sam Brad. Ani

Emily, ani widzom nigdy nie jest dane zajrzeć do środka. Ten sam chwyt piętnaście lat później zastosował Tarantino w *Pulp Fiction*.

Kiedy w trzecim akcie filmu, podczas konfrontacji między Emily a Bradem, dochodzi do walki – Emily wierzy, że musi bronić się przed psychopatą; Brad jest przekonany, że żona oszalała – teczka niepostrzeżenie zsuwa się na podłogę między łóżkiem a ścianą. Leży tam niezauważona, ukryta w tym malutkim domku w Vermoncie, który – gdy Emily, sierota, zostaje odwieziona do szpitala psychiatrycznego, a Brad już nie żyje – pozostanie opustoszały nie wiadomo na jak długo.

Ostatnie ujęcie *Zgniatacza kciuków* przedstawia teczkę. Kamera powoli wyjeżdża spod łóżka, cofa się korytarzem, opuszcza dom przez główne drzwi, mija policjantów, zagłębia się w lesie i obraz ciemnieje.

Stoczyłem się z kanapy – wreszcie odzyskawszy trochę czucia w nogach – i podszedłem do kominka.

Zbliżyłem się do regałów. *Zgniatacz kciuków*, jak pamiętałem, powstał w 1979 roku. Wytarte książki w miękkich okładkach pochodziły właśnie z tego czasu: *W poszukiwaniu idealnego kochanka*, *Miasteczko Salem*, *Przesyłka z Salonik*. To samo można było powiedzieć o brązowo-musztardowej tapecie w geometryczne wzory, lakierowanych meblach, pomarańczowej lampie wiszącej przy drzwiach, aneksie kuchennym wyłożonym pomarańczowymi płytkami oraz starej gofrownicy na blacie.

W tym miejscu zatrzymał się czas, zupełnie jakby życie ustało tu w pół słowa. Chyba nikt nie zaglądał na plan od dziesięcioleci.

Wyszedłem z salonu i ruszyłem wąskim korytarzem. Było tam ciemno. Szedłem po omacku, dwa razy otworzyłem fałszywe drzwi – prowadziły z powrotem do magazynu – ale te na końcu wiodły do innego pomieszczenia.

Znalazłem się w głównej sypialni Jacksonów. Podszedłem do szafy i odsunąłem drzwi. Wisiały tam ubrania Emily, sukienki do chodzenia po domu, dzinsowe dzwony, sandały na koturnach

oraz kozaczki. Na drugim końcu były rzeczy Brada, wełniane spodnie, tweedowe marynarki.

Wziąłem brązowe sztruksy z górnej półki oraz żółtą poliestrową koszulę na guziki. Włożyłem je błyskawicznie, ponieważ nie chciałem nawet próbować oswoić się z myślą, że ubieram się w strój Brada Jacksona z lat siedemdziesiątych, że dosłownie myszkuję w *Zgniataczu kciuków*.

Spodnie miały o parę centymetrów za krótkie nogawki, ale pasowały całkiem nieźle. A więc Ray Quinn junior, który grał Brada Jacksona, w przeciwieństwie do większości hollywoodzkich gwiazdorów nie był homunkulusem. Wciągnąłem na siebie czerwony sweter, który miał o wiele za ciasne rękawy. W szufladzie komody znalazłem skarpetki w romby. Na wierzchu stał przenośny pomarańczowy gramofon Philipsa z płytą *The Payback* Jamesa Browna. Już miałem ruszyć z powrotem do salonu, żeby pozbierać myśli, ale przystanąłem w drzwiach.

Nagle wyobraziłem sobie Wolfganga Beckmana, który wydziera się na mnie, wybałuszając oczy:

– Zupełnie przypadkiem trafiłeś do domku Brada i Emily Jacksonów i nie przyszło ci do głowy, żeby poszukać teczki pod łóżkiem?! Od tej pory jesteś dla mnie martwy.

Postanowiłem ulec tej halucynacji. Przykucnąłem i zajrzałem pod łóżko.

Było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć, toteż wstałem, podszedłem do szafki nocnej, włączyłem lampę, a potem szarpnięciem odsunąłem łóżko od ściany, żeby mieć lepszy widok.

Natychmiast rozległ się głuchy stukot. Ona tam była.

Patrzyłem na nią w niedowierzaniu.

Sławetna żółtobrązowa teczka Samsonite.

Aż do tej pory tkwiła wetknięta między ścianę a drugą szafkę nocną w kącie. Byłem w szoku, a jednak... Jak to w filmie powiedziała Emily? „Gdziekolwiek będzie teczka, pójdzie też Brad”. Zerknąłem przez ramię w stronę pustych drzwi, jakbym

na ścianie korytarza spodziewał się ujrzeć zniekształcony cień Brada.

Chwyciłem teczkę za rączkę – okazała się zaskakująco ciężka – i położyłem ją na łóżku.

Spróbowałem otworzyć zatrzaski. Były zamknięte. Uprzytomniłem sobie jednak, że znam szyfr. Emily zadaje sobie mnóstwo trudu, żeby go poznać. To data złupienia Rzymu, ostatniego ciosu zadanego upadającemu Cesarstwu Rzymskiemu, wyznaczająca nadejście wieków ciemnych.

410.

Ustawiłem cyfry. Zamki się otworzyły.

Uniosłem wieko.

Wewnątrz pełno było papierów. Zacząłem je przeglądać. Wyjąłem numer „Time’a” z 31 lipca 1978 roku z tytułem *Dziecko z próbowki* na okładce. Pod nim znajdował się stos studenckich prac semestralnych z odręcznymi komentarzami. „Marcie, przedstawiasz bardzo ciekawą tezę, że nadejście mrocznych wieków wynikało z naturalnych kolei losu, ale musisz pogłębić temat”.

Kiedy zobaczyłem, co jest pod spodem, zamarłem.

W rogu teczki leżała równo złożona chłopięca koszula w szkocką kratę.

Uniosłem ją z uczuciem obrzydzenia. Zesztywniałe, pomarszczone rękawy rozwinęły się przede mną, jakby miały własną kruchą wolę.

Przód koszuli był zeskorupiały, pokryty ciemnobrązowymi plamami.

Wyglądała przerażająco autentycznie. Jak autentyczna pamiątka autentycznego morderstwa. Zmęczony zdawał się sam materiał, jakby wsiąkły w niego i zaschły ślady niewyobrażalnej przemocy.

Mnóstwo zachodu jak na rekwizyt, który w ogóle nie pojawia się w filmie. Przypomniałem sobie zniszczone białe kostiumy, które znalazłem w szafie Marlowe. „Sięgnęłam do najgłębszych, najbardziej udręczonych miejsc własnej duszy – powiedziała. –

Miejsc, które otwierałam z przerażeniem, ponieważ wątpiłam, czy zdołam je znów zamknąć”.

Może filmy Cordovy były prawdziwe. Może koszmary na ekranie to prawdziwe koszmary. Morderstwa – prawdziwe morderstwa. Czy to możliwe?

To tłumaczyłoby popularność Cordovy: nic tak nie porusza ludzi, nic tak nie pobudza ich ciekawości jak prawda. Tłumaczyłoby również, dlaczego nikt, kto z nim pracował, nie chciał o tym mówić. Może byli współwinni – więc ujawniając okropności, do których doszło podczas produkcji, obciążaliby samych siebie. To prawdopodobne, że gdy kończono zdjęcia, Cordova miał coś na każdego z aktorów, coś, co gwarantowało ich milczenie. Przypomniałem sobie uwagę Olivii Endicott, która wydała mi się wówczas dosyć dziwna. Dotyczyła przesłuchania u Cordovy, kiedy brał ją pod uwagę podczas kompletowania obsady *Zgniatacza kciuków*: „Zaczęłam podejrzewać, że celem tych wszystkich pytań nie jest wcale poznanie mnie ani sprawdzenie, czy nadaję się do roli, ale zbadanie, czy jestem osobą samotną i kto zauważyłby moje zniknięcie albo jakąś przemianę”.

Z pewnością szukał ludzi, którymi mógłby manipulować. Miał obsesję na punkcie uchwycenia tego, co autentyczne: zmusił syna Theo do zagrania w *Tu na mnie czekaj*, zamiast odwiedzić go na ostry dyżur, gdzie przyszyto by mu palce. Wiedziałem również z Blackboardsów – oraz od Peg Martin – że do ekipy filmowej angażował nielegalnych emigrantów, ludzi, którzy nigdy nie opowiedzą o tym, co widzieli.

Ta myśl napełniła mnie nagłym entuzjazmem. Jakże pasowała do wszystkiego, czego dowiedziałem się o tym człowieku, podążając śladami ostatnich kroków jego córki.

Cordova ewidentnie dobierał aktorów z olbrzymią rozważą. Pochodzili z różnych środowisk, niektórzy nie mieli żadnego doświadczenia. Przywoził ich tutaj, by zamieszkali w jego odludnym świecie, zamykał ich w nim, nie zezwalał na kontakt

z otoczeniem. Kto by dobrowolnie zgodził się na coś takiego? Na oddanie życia jednemu człowiekowi?

Hopper zadał to pytanie Marlowe. Ale czy było konieczne? Miliony ludzi idą przez życie otępiali. Zrobiliby wszystko, byle coś poczuć, byle poczuć, że żyją. Wybór do filmu Cordovy to okazja, żeby tego doświadczyć, szansa nie tylko na pieniądze i sławę, ale także na porzucenie dawnego ja niczym starego ubrania.

Do czego zmuszał ich Cordova? Do przeżycia wszystkiego, co przeżywali ich bohaterowie? W takim razie jego nocne filmy były dokumentami, horrorami na żywo, a nie fikcją.

Był jeszcze bardziej zdeprawowany, niż sądziłem. Był szaleńcem. Diabłem we własnej osobie. Może nie od początku, ale stał się taki, mieszkając tutaj. A jeśli jego filmy były autentyczne, to przecież z łatwością posunąłby się do skrzywdzenia prawdziwych dzieci, żeby uratować Ashley.

Przejrzałem resztę papierów w teczce. Były tam tylko notatki i teksty wykładów oraz napisany na maszynie list z wydawnictwa Simon & Schuster z datą 13 stycznia 1978 roku adresowany do Brada: „Szanowny Panie, z przykrością informuję, że Pańska powieść *Morderstwo w barbakanie* nie zmieści się w naszym planie wydawniczym tytułów beletrystycznych”. Pamiętałem, że Brad miał sejf w ścianie i ciągle go otwierał, ale znajdował się on w gabinecie, który widocznie nie wchodził w skład tego planu. W sypialni były drzwi, w filmie prowadzące do łazienki, lecz gdy je otworzyłem, zobaczyłem tylko czarną ścianę hali zdjęciowej.

Zamknąłem teczkę, odłożyłem ją na słynne miejsce pod łóżkiem, a potem zwinąłem zakrwawioną dziecięcą koszulę i schowałem ją do tylnej kieszeni spodni. Nie chciałem jej stracić, więc najlepiej, żebym miał ją przy sobie. Zgasilem lampę, po czym wróciłem do salonu.

Poszperałem w swym przemoczonym ubraniu, które leżało rozrzucone obok kanapy. W kurtce znalazłem aparat fotograficzny. Całe szczęście, że ochroniłem go przed zamoczeniem, bo nadal działał, w przeciwieństwie do komórki i latarki. Obie wysiadły. Zrobiłem kilka zdjęć salonu i aneksu

kuchennego – wyposażonego w zapasy żywności z lat siedemdziesiątych: ser Velveeta (po trzydziestu latach wciąż jadalny), puszki Dr Pepper, paski wieprzowe Swift Sizzlean – po czym stanąłem na skraju pomieszczenia i spojrzałem na zewnątrz.

Spod lampy widziałem, że hala rozciąga się daleko przede mną. Za kanapą ściana rusztowań ze stalowych rur podtrzymywała coś – zapewne następny plan zdjęciowy – zbudowanego po drugiej stronie.

Po chwili odrętwienia zrozumiałem, że ciągle się trzęsę. Moja kurtka nadal była przemoczona, więc gdy zawiązałem buty, podszedłem do wiklinowego krzesła obok drzwi frontowych, złapałem płaszcz Brada w jodełkę i włożyłem go na siebie – i tym razem nie pozwalając, by mój umysł rozwodził się nad absurdalnością faktu, że prawdopodobnie ubieram się w płaszcz psychopaty.

Obym się nie zaraził.

Zerknąłem na zegarek, ale okazało się, że stanął po zanurzeniu w basenie. Wskazywał 19.58, a to nie mogła być prawda. Na pewno było później.

Potem, dźwignąwszy plecak na ramię, wyszedłem ze *Zgniatacza kciuków* i ruszyłem wzdłuż rusztowania, żeby zobaczyć, co jeszcze mieści się w tej olbrzymiej hali zdjęciowej, jakie inne światy zrodzone w podstępny umyśle Cordovy będą mógł przetrząsnąć niczym archeolog, który szuka kości.

*

Kiedy zrobiło się tak ciemno, że nic już nie widziałem, wykonałem zdjęcie i obejrzałem je na ekranie aparatu.

Po mojej lewej ręce na betonowej ścianie widniał niestarannie namalowany sprejem olbrzymi czerwony ptak. Widziałem go w artykułach o Cordovie. To symbol, którym fani reżysera przyzywali jego ducha. Anonimowy znak nawołujący go do powrotu. Podążałem dalej, obszedłem koniec rusztowania

i wszedłem chyba do jakiegoś ogromnego pomieszczenia. Ledwo dostrzegalem przed sobą wielką górę zarzuconą głazami. Gdy zrobiłem kolejne zdjęcie, okazało się, że to góra śmieci, a głazami są skorodowane beczki po benzynie porastające przestrzeń jak gigantyczne grzyby.

Ruszyłem przed siebie i wpadłem wprost na drewnianą tabliczkę.

WYSYPISKO ŚMIECI MILFORD GREENS ZAKAZ WSTĘPU NIEBEZPIECZEŃSTWO

Znajdowałem się w *La Douleur* – to po francusku „ból”.

Leigh, płochliwa i nieśmiała bohaterka filmu – za dnia recepcjonistka w salonie samochodowym, wieczorami studentka *community college* – zgadza się szpiegować męża swej najlepszej przyjaciółki, Niemca o imieniu Axel. Nie tylko jest nim zauroczona, ale także wplątuje się w jego niebezpieczne gangsterskie interesy.

Pierwszej nocy jeździ po całym mieście za jego rdzawoczerwonym mercurym grand marquis i w końcu koło świtu trafia tutaj, na wysypisko śmieci Milford Greens. Patrzy, jak Axel parkuje samochód, po czym rusza pieszo przez śmietnisko. Stada mew wzbijają się znad odpadków niczym skrzeczące wyziewy.

Axel niesie niedużą torebkę w charakterystycznym turkusowym kolorze sklepu jubilerskiego Tiffany. Zafascynowana Leigh idzie za nim na palcach, mierzwią jej się włosy, niemodna bluzka wysuwa się ze spódnicy. Dziewczyna chowa się w starym karawanie i patrzy, jak Axel pnie się na wzgórze do przewróconego autobusu szkolnego. Wyjmuje z kierownicy papierową torbę, a na jej miejscu zostawia tę od Tiffany’ego. Leigh czeka, aż mężczyzna odjedzie, a potem sama udaje się do autobusu, ślizgając się i potykając na odpadkach. W torbie znajduje małe turkusowe pudełko na pierścionek –

w jakich zwykle umieszcza się pierścionki zaręczynowe. Już ma je otworzyć, kiedy widzi, jak na parking wysypiska podjeżdża czarny samochód. Leigh traci równowagę i wypuszcza pudełko, które wpada przez otwarte okno do wraku autobusu. Dziewczyna wchodzi tam za nim. Kilka minut później po torebkę od Tiffany'ego przychodzi zbir znany tylko jako Y. Natychmiast zauważa, że jest pusta, a Leigh kuli się w autobusie. Od tej chwili *La Douleur* przeradza się z wojerystycznego filmu suspense w porywający koszmar o tak zwanym „niewłaściwym człowieku”.

Wysypisko nie pachniało niebezpiecznie. W powietrzu wisiała zatęchła wilgoć zupełnie jak w nieotwieranej od lat piwnicy. Przebijała przez nią lekka woń benzyny. Kiedy przystanęłam i spojrzałam za siebie, stwierdziłam z zaskoczeniem, że plan wygląda tak, jakbym naprawdę znajdował się na dworze. Gigantyczne ekrany zamontowane na rusztowaniu tworzyły iluzję otwartego nieba. Dostrzegałam namalowane na nich widmowe chmury, ale w górze, co najmniej sześć metrów nad ziemią, ekrany się urywały, ustępując miejsca pustej czarnej hali. Efekt był oszałamiający, zdawał się sugerować jakąś prawdę o nieodwołalnie fragmentarycznej naturze ludzkiej percepcji. Gdybyś tylko spojrzał trochę dalej, McGrath, przekonałbyś się, że to wszystko ustępuje miejsca... nicości.

Wcześniej tego nie zauważyłam, ale przy tej części, przez którą wszedłam, znajdował się niewielki żwirowy parking okolony krzakami. Pod zgaszoną latarnią stał tam tylko jeden samochód. Zorientowałam się, że to auto Leigh, kanciasty niebieski chevrolet citation prosto z lat osiemdziesiątych. Wyglądał tak, jakby czekał, aż dziewczyna wróci.

Może nie wróciła. Może nigdy nie opuściła tej hali – albo Szczytu. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy aktorka zagrała jeszcze w jakimś filmie.

Odwróciłam się i spojrzałam daleko przed siebie na niewyraźną smugę na pagórku. Gdy pokuśtykałam w tamtą stronę, zrozumiałam, że to przewrócony autobus szkolny,

w którym zostaje uwięziona Leigh. W ostatnich minutach filmu gangsterzy wpychają ją tam spętaną i z zawiązanymi oczami. Chociaż bohaterka szarpie się ze wszystkich sił, usiłuje rozciąć więzy dłoni o metalowy kołek sterczący ze zniszczonego fotela, jej los pozostaje niedopowiedziany. Gdy Leigh rzuca się i stęka, ekran ciemnieje – ale jej okrzyki, ledwie tłumione przez piosenkę *Posse in Effect* Beastie Boys, słychać przez całe napisy.

Pochyłość okazała się zaskakująco stroma. Zacząłem się potykać i ślizgać na plastikowych torbach, pękniętych oponach, materacach, potłuczonych telewizorach. Pokonałem zaledwie kilka metrów, gdy się zorientowałem, że nie tylko zbocze jest coraz bardziej pionowe, ale swą wspinaczką ruszam śmieci z miejsca. Czułem, jak zmieniają położenie, i po kilku minutach obsuwała się pode mną cała góra. Znieruchomiałem, ale już leciałem do tyłu niemal zatopiony lawiną zardzewiałych puszek oraz toreb z odpadkami. Wyprostowałem się, otrząsnąłem z jakiegoś starego skafandra i popłynąłem ku krawędzi planu, a tymczasem nadal luzowało się całe wzgórze włącznie z autobusem. Dotarcie na samą górę było niemożliwe. Doczołgałem się do kurtyny z widokiem nieba, uniosłem materiał i przedarłem się przez rusztowanie. Za mną wysypisko wciąż osuwało się z hukiem. Miałem dość *La Douleur*. Nie ma mowy, żebym zginął zakopany żywcem pod śmieciami Cordovy.

Dźwignąłem się na nogi, a potem ruszyłem ciemnym korytarzem. Daleko, na samym końcu – miałem wrażenie, że przede mną jeszcze co najmniej z kilometr – znajdowały się drzwi z bladym czerwonym światłem. Miałem nadzieję, że to wyjście.

*

Raz po raz przystawałem, żeby nasłuchiwać. Słyszałem tylko wiatr wyjący wysoko w górze ponad dachem hali zdjęciowej. Im dłużej szedłem, tym bardziej uporczywie odległe wydawało się to czerwone światło. Nie mogłem pozbyć się myśli, że mam

halucynacje albo jakimś cudem betonowa podłoga magazynu tak naprawdę jest ruchomą bieżnią, więc drepczę w miejscu. W pewnym momencie, co dość osobliwe, poczułem woń słonej wody. Była silna, zmieszana z zapachami glonów i piasku. Na pewno dochodziła z kolejnego planu zdjęciowego, zbudowanego za rusztowaniem po mojej lewej stronie, ale było ono zbyt wysokie, żebym cokolwiek zobaczył.

W końcu czerwone światło zaczęło się zbliżać. Ogarnęła mnie nagle drażniąca ciekawość, co tam jest. Kuriozalna podmiejska rezydencja Marlowe z *Owocu miłości*? Dom publiczny, w którym Annie szuka ojca w *W nocy wszystkie ptaki są czarne*? Świetlica Archera w wagonie towarowym z *Dziedzictwa*?

Wyszedłem zza rogu.

To była szklarnia z *Tu na mnie czekaj*.

Co takiego mówił o niej Beckman? „Jeśli istnieje jedno miejsce akcji, które idealnie obrazuje zdradliwy umysł psychopaty, nie jest nim wcale Bates Motel, ale rodzinna szklarnia Reinhartów z kopułami z zardzewiałego żelaza oraz szkła pokrytego pleśnią, z tropikalnymi roślinami, które wyrastają tam jak podstępne, oszalałe myśli, z wątlą piaskową ścieżką wijącą się wśród listowia niczym ostatni, ginący ślad człowieczeństwa”.

Szklarnia była prostokątną konstrukcją przykrytą kopułami, zbudowaną ze szkła i bladozielonego oksydowanego żelaza. Architekturą naśladowała szklarnie królewskie w Brukseli. Stała w błogiej samotności gęstego lasu daglezji – efekt ten tworzyły kolejne ekrany rozwieszane wokół planu. Silne czerwone światło biło z wnętrza szklarni i wtedy wszystko sobie przypomniałem – oczywiście – z filmu.

To były karmazynowe lampy do oświetlania roślin.

Odczekałem chwilę, żeby się upewnić, że jestem sam, a potem wyszedłem na trawnik. Srebrzysta trawa chrzęściła mi pod butami. Spojrzałem na nią zaniepokojony, bo wyglądała tak autentycznie. Była nawet skąpana w rosie. Schyliłem się, żeby jej dotknąć. Okazała się plastikowa. Rosę udawała opalizująca farba, którą spryskano każde źdźbło.

Dotarłem do kamiennej ścieżki i ruszyłem nią w stronę pojedynczych stalowych drzwi szklarni – tylnych, o ile dobrze pamiętałem. Szkło było mętne od brudu oraz pary skraplającej się od dziesięcioleci. Cienie ciemnych liści przywierały do szyb niczym ręce i dłonie spanikowanych, uwięzionych ludzi, którzy usiłują się wydostać.

Chwyciłem klamkę – zauważyłem, że ma postać eleganckiej, dość złowróżbnej litery R jak Reinhart – i pociągnąłem drzwi.

*

W twarz uderzył mnie wrzący podmuch wilgoci.

W środku musiało być co najmniej trzydzieści pięć stopni Celsjusza.

Od drzwi wiodła w głąb ścieżka z nieskalanie białego piasku, ale co kilkadziesiąt centymetrów przesłaniały ją ciemne kłęby roślin wykwitające z każdej strony. W górze zawieszane były beczki z zielonego żelaza oświetlone niezliczonymi rzędami wiśniowych i niebieskich świateł, przez co szklarnia przypominała gigantyczny piec ustawiony na opiekanie.

W *Tu na mnie czekaj* te rośliny pielęgnował z miłością długoletni głuchoniemy ogrodnik Reinhartów, Popcorn – główny podejrzany w sprawie zabójstw w Leadville, który później okazuje się niewinny. Rozejrzawszy się dokoła, stwierdziłem z niepokojem, że wyglądają dokładnie tak jak w filmie. Wziąłem w palce olbrzymi lśniący, czarny liść, który znajdował się na wysokości mojego ramienia, i potarłem go, żeby przekonać się, czy jest prawdziwy. Był.

Pamiętałem, że *Tu na mnie czekaj* powstało w 1992 roku. Żarówki tych lamp nie wytrzymałyby dwudziestu lat.

Ktoś musiał tu regularnie przychodzić i doglądać roślin.

Dreszcz przebiegł mi po plecach, ale zdecydowanym krokiem wszedłem do środka. Pchnąłem drzwi do tyłu, chciałem je zostawić otwarte, żeby duchota miała jak ulecieć.

Zresztą nie zachwycała mnie również perspektywa, że tu utknę, a lampy upieką mnie żywcem. Ale nawet kiedy podetknąłem gumowy ogranicznik, który znalazłem w piasku tuż za progiem, ciężkie żelazne drzwi i tak wciąż głucho zatrzaskiwały się za mną, więc dałem za wygraną i pozwoliłem im się zamknąć. Upewniłem się, że wciąż można je otworzyć, a potem ruszyłem ścieżką, odgarniając listowie.

Tam było jak w Amazonii. lodygi twarde i powykręcane niczym rury z wodą, obrośnięte białymi rurkowatymi kwiatami, drzewa wysokie na co najmniej dwa i pół metra, konary najeżone kolcami, czarne gwieździste kwiecie, pąki maleńkich czerwonych owoców – wszystko to lgnęło mi do rąk i twarzy niczym gąszcz sierot błagających o jałmużnę, o kontakt z człowiekiem. Mocne aromaty, słodkie niczym miód, obezwładniały, lecz gdy tylko wciągałem je w nozdrza, zmieniały się w przykry ziemisty fetor. Nosilem na sobie trzy warstwy wełnianych ubrań Brada Jacksona, w sam raz na surową zimę w Vermoncie, pocilem się więc obficie, ale próbowałem nie zważać na upał. Przeciskałem się obok bujnych drzew obwieszonych ciężkimi żółtymi kwiatami wielkimi jak moja dłoń. Uderzały mnie w twarz, wdzierały się do nosa i ust. Na języku miałem ostry, cierpki pyłek.

Splunąłem, lecz gryzący posmak pozostał. Po kilku metrach zobaczyłem z ulgą coś, co poznawałem: staw z karpiami koi.

Miał idealnie okrągły kształt, okalały go kamienie i wypełniała po brzegi czarna woda. W *Tu na mnie czekaj* na powierzchni pływały olbrzymie liście lilii wodnej rodem z Amazonii. A kiedy agent specjalny Fox nieomal stracił tutaj życie podtapiany przez zabójcę, chwycił je rozpaczliwie, ale one tylko rozpadały mu się w dłoniach.

Teraz w stawie nie było roślin. Czarna woda wydawała się tak gładka i lśniąca jak zrobiona z plastiku, lecz gdy precyzyjnie się przez roślinność, żeby stanąć na kamiennym obrzeżu, zobaczyłem wyraźnie, że jest prawdziwa. Zamoczyłem palec, by

się o tym upewnić. Leniwe koliste fale zwały odbicie czerwonych świateł i masywnej szklano-żelaznej kopuły.

Założyłem, że karpi już nie ma. Od nakręcenia filmu minęło przecież dwadzieścia lat. Ale nie – w mętnej wodzie dostrzegłem ruch biało-pomarańczowej smugi. Zniknęła równie szybko, jak się pojawiała.

Ktoś musiał tu regularnie przychodzić i karmić ryby.

W filmie Popcorn karmił je prażoną kukurydzą w melasie marki Cracker Jack. Pudełko nosił w przedniej kieszeni wybrudzonych ogrodniczek Levi'sa.

Może nadal to robił.

Może ten biedak tutaj pracował, tutaj mieszkał.

Ta myśl sprawiła, że się obróciłem, prześlizgnąłem wzrokiem po poskręcanych liściach w poszukiwaniu jakiegoś śladu starego ogrodnika, jego lśniącej, pomarszczonej czarnej twarzy, błysku złotego zęba w uśmiechu. „Wspaniała szklarnia Reinhartów to święty azyl Popcorny – przemawiał pewnej nocy Beckman do swoich studentów. – Jego schronienie przed śmiesznością, jedyne miejsce na świecie, gdzie nie czuje strachu”.

Poświęciłem moment, żeby przekalibrować umysł, przekonać samego siebie, że jestem sam, a wszystko, co tu znajdę, to jedynie element narracji zrodzonej w głowie Cordovy. Ani teraz, ani nigdy nie znajdowałem się tak naprawdę wewnątrz *Tu na mnie czekaj* – choć gdy tylko o tym pomyślałem, dotarło do mnie, jak przerażający jest sam fakt, że muszę się o tym zapewniać.

Czyżbym już stracił głowę? Jeszcze nie.

Otarłem pot z twarzy i ruszyłem po obrzeżu stawu wpatrzony w roślinność skąpaną w czerwieni.

W kilka minut znalazłem to, czego szukałem: szopę Popcorny.

Stare drewniane drzwi pomalowane na niebiesko były uchylone, a na zewnątrz wisiała przekrzywiona tabliczka: OBCYM WSTĘP WZBRONIONY. Lekko je pchnąłem.

Popcorny nie było w domu.

Szopa okazała się nie większa od domowej garderoby, pełna starannie uporządkowanych półek. W przegródkach mieściły się

koperty z nasionami, plastikowe tacki, terakotowe doniczki, worki ze ściółką i nawozem. Dokładnie przede mną, naprzeciw szklanych ścian cieplarni – tak brudnych, że nic nie było przez nie widać – stały biurko i wysoki stółek. Popcorn zawsze palił tam cygara, czytał komiksy, słuchał Beatlesów. Mała drucziana klatka – jakaś pułapka na szopy pracze – znajdowała się na biurku obok wyblakłego komiksu *Mickey's Friend* oraz niedopalonego cygara w popielniczce.

Wszedłem do środka i wziąłem je do ręki. Sądząc po zapachu, było świeże.

Na ścianie obok biurka znajdowała się korkowa tablica pełna kartek z kiepsko napisanymi wskazówkami na temat opieki nad roślinami i glebą. Wśród nich wisiała postrzępiona pocztówka przedstawiająca kolorowe domki na palach stojące na skraju mrocznej zatoki.

Wyciągnąłem ją i spojrzałem na drugą stronę. Nie było tam adresu, a jedynie cztery nabazgrane słowa.

„Już wkrótce tu przyjedziesz”.

Odłożyłem pocztówkę na miejsce, a potem się obróciłem. Wzdłuż ścian na starych hakach wisiały rozmaite narzędzia ogrodnicze: sierpy, kosy, piły ogrodowe, siekiery w różnych rozmiarach. Podszedłem, żeby im się przyjrzeć – tak samo jak przyglądał im się agent specjalny Fox.

W Tu na mnie czekaj jedenaście ciał nastolatków zamordowanych w Leadville okaleczono w taki sposób, że przypominało to wypadki, do których doszło w starej pielni: poparzenia chemikaliami, wybuchy kotłów, wciągnięcie między wałki. Ale był jeszcze jeden wspólny element: wszystkie ofiary, uczniów szkoły średniej, zabito, przebijając lewą komorę serca sekatorem do żywopłotu o ostrzach długości dokładnie dwudziestu czterech centymetrów.

Agent specjalny Fox zakrada się tutaj w środku nocy, żeby obejrzyć wszystkie narzędzia Popcorny – każdą piłę i każde nożyce – w poszukiwaniu ostrza o właśnie takich rozmiarach. Nic z tego. Bo sekator nie był ukryty w szopie, jak przypuszczał Fox.

Więc gdzie, do cholery?

Piekły mnie oczy, zalewał pot, dusiłem się tu żywcem jak homar na parze. Upał był tak morderczy, że nie mogłem myśleć, nie mogłem przypomnieć sobie tej kluczowej sceny pod koniec filmu, kiedy Popcorn przypadkowo znajduje sekator gdzieś tutaj, zakopany w którejś z jego ukochanych rabatek.

Pamiętałem, że pokrywała go zaschnięta krew, pamiętałem minę biednego ogrodnika, gdy natrafił na sekator, sadząc jakąś nową roślinę, roślinę o dziwacznej nazwie. Jakież przerażenie malowało się wtedy na jego twarzy.

Prawdziwe?

Czy to tylko moja wyobraźnia, czy robiło się tu coraz goręcej?

Zsunąłem plecak, ściągnąłem z siebie płaszcz i sweter Brada Jacksona, położyłem je na drucianej pułapce. Zerwałem ze ściany motykę, a potem wyszedłem z szopy i ruszyłem wokół stawu.

Popcorn był jedyną postacią w filmie, która знаła prawdę o morderstwach. „Czasem tylko niemowa dostrzega pełny obraz”. Powiedział to Beckman, a może któryś z bohaterów?

Musiałem dostać w swoje ręce ten sekator.

Wszedłem w rabatkę. Brnąłem wśród roślin tak gęstych, że nie widziałem podłoża.

Schyliłem się, zauważywszy odręcznie zapisaną białą tabliczkę wetkniętą w ziemię.

Napis brzmiał: OCZOKOLEC.

Przeszedłem kilka kroków i dostrzegłem kolejną.

WILCZA JAGODA.

Pod liśćmi było mnóstwo takich tabliczek.

MORDOWNIK. KOLIJEZYK. BARWINEK. CZARCIE ZIELE.

To ostatnie brzmiało znajomo. Podwinąłem rękawy, zaryłem motyką w sypkiej glebie i natychmiast wyczułem coś twardego. Podniosłem z ziemi lśniący przedmiot.

Mosiężny kompas z pękniętą szybką.

Należał do Popcorn. Przez cały film był obiektem drwin. Całe miasteczko śmiało się z ogrodnika, który stale wyciągał kompas z kieszeni spodni i bacznie mu się przyglądał, jakby chciał się

upewnić, że nie zboczył z kursu swojej bardzo ważnej wyprawy dokoła świata. Dowcip polegał na tym, że nieszczęśnik urodził się w Leadville i nigdy w życiu nie wytknął nosa poza tę miejscinę.

Schowałem kompas do kieszeni, a potem wbiłem motykę głębiej. Ostrze natrafiło na coś jeszcze.

Przykucnąłem, żeby się przyjrzeć. To było na wpół przegniłe kartonowe pudełko, miękkie i rozmoknięte, ale wciąż dało się odczytać litery na wierzchu.

„Cracker Jack”.

Odrzuciłem pudełko na bok, ignorując zalewający mnie niepokój, i z uporem ponownie zagłębiłem motykę w ziemi. Znowu coś tam wyczułem, coś dużego. Schyliłem się.

Coś zakopano głęboko w ziemi.

Powstrzymując falę mdłości – to na pewno przez ten nieznośny upał; w czerwonym świetle lamp każdy kwiat i każdy liść, nawet moje ręce, wyglądały jak zalane krwią – wbiłem motykę pionowo w dół. Zaczepiła się o jakieś korzenie. Przykucnąwszy, zacząłem gwałtownie wyrywać rośliny. Liście i gałęzie dygotały mi przed twarzą jakby w proteście.

Wyczuwałem dłońmi, że coś tam jest ukryte, coś twardego.

Coś ludzkich rozmiarów. Popcorn?

To bez sensu. Na końcu filmu Popcorn był bezpieczny. Pilnował sekretu mordercy, a jeśli ktoś potrafi dotrzymać tajemnicy, to właśnie niemowa. Więc co tu było zakopane? Dlaczego ukryto tutaj jego kompas i pudełko cracker jacków – dwa słynne przedmioty, z którymi nigdy się nie rozstawał? Czy zabójca postanowił się go pozbyć? Czy Cordova?

Miałem mętlik w głowie. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że gdzieś w oddali zabrzmiał głuchy grzmot. Jakby zatrzasnęły się jakieś drzwi. Dźwignąłem się na nogi.

Słyszałem ciche kroki więcej niż jednej osoby – dwóch, może trzech. Niosły się echem przez magazyn, szybko się przemieszczały, zapewne przez wąskie korytarze między planami filmowymi.

Nie byłem już sam. Przez kilka sekund usiłowałem ignorować ten fakt, gorączkowo grzebiąc w ziemi gołymi rękami.

Wystarczyłby mi jeden rzut oka na to, co się tam kryło. Wyrываłem rośliny z korzeniami, odrzucałem je na bok, ryłem w glebie, wreszcie poczułem coś pod palcami.

W dotyku było jak dzins. Ogrodniczki Popcorna.

Chciałem wyciągnąć aparat z kieszeni, ale jak idiota zostawiłem go w płaszczu Brada. Wydobyć tego, co było tu ukryte, wymagałoby rozkopania całej rabatki.

Zamarłem i słuchałem.

Kroki były coraz głośniejsze. Tamci chyba wiedzieli, gdzie jestem.

Musiałem wrócić tu później.

Wyszedłem spośród roślin i pobiegłem brzegiem stawu do szopy. Chwyciłem płaszcz Brada, wciągnąłem go na siebie, zarzuciłem plecak na ramię. Potem przedarłem się przez zarośla w kierunku tylnych drzwi.

*

Uchyliłem je odrobinę i wyjrzałem na opustoszały trawnik. Wybiegłem ze szklarni, łykając łapczywie lodowate powietrze. Szczęśliwy, że wydostałem się z tego krwistego światła, z tropikalnego żaru, pogałem w rzeński mrok hali zdjęciowej.

Znieruchomiałem. Cały budynek rozbrzmiewał krokami jak czkawką. Dobiegały chyba z tego samego przejścia, którym dostałem się na plan *Tu na mnie czekaj*.

Udałem się w przeciwnym kierunku. Kamienną ścieżką trafiłem wprost na rozległą, odludną plażę z białymi wydmiami i nastroszoną trawą morską. W pewnej odległości wznosił się wysoko w niebo kanciasty domek na palach.

Domek Kay Glass z *Małego zła*.

Ruszyłem ku niemu przez piasek i dalej, w stronę oświetlonego księżycowym blaskiem oceanu. Czulem, że właśnie

przez ten plan dostanę się z powrotem do domu Jacksonów, a potem – miejmy nadzieję – stąd wyjdę.

Nagle daleko przede mną przemknęła przez wydmy ciemna postać z latarką. Zmierzała dokładnie w moim kierunku.

Zawróciłem i zataczając się, uciekłem przez następne przejście, które napotkałem. Po chwili biegłem środkiem opustoszałej ulicy.

To była główna ulica wymarłego miasteczka, którego nie poznawałem, choć widziałem całkiem dobrze dzięki migającym na czerwono i zielono lampkom bożonarodzeniowym rozciągniętym nad jezdnią.

Mijałem ciemne witryny sklepów.

BAR SILVER DOLLAR.

SKLEP SPOŻYWCZY SUNSHINE.

KLUB NOCNY PASTIME. WSTĘP TYLKO DLA CZŁONKÓW.

Za mną rozpędzone kroki odbijały się od ścian. Wskoczyłem na chodnik przed kinem, pchnąłem drzwi, pobiegłem obok stoisk z napojami i słodyczami, a potem wąskim korytarzem. W salach kinowych zapowiadano *Zniekształcenie* o jedenastej trzydzieści i *W pogoni za czerwienią* o dwunastej.

Szarpnąłem pierwsze drzwi i dzięki Bogu trafiłem z powrotem do magazynu. Wpadłem na coś twardego: na betonową ścianę. Pognałem wzdłuż niej, a gdy obejrzałem się wstecz, znów zobaczyłem blask latarki. Druga latarka zbliżała się wprost ku mnie. Chwyciłem za pręty jakiegoś rusztowania i zacząłem się wspinać. Kiedy pokonałem ze trzy, może cztery metry, dotarłem do drewnianej platformy. Wdrapałem się na nią.

– Widzisz coś? – usłyszałem pod sobą męski głos.

– Poszedł w drugą stronę.

Odczekałem kilka minut, a gdy światła się oddaliły, ostrożnie wstałem. Platforma była solidna, a rusztowanie podtrzymywało lampy wycelowane w dół, na jakieś kamienne wnętrze. Jakies półtora metra ode mnie stał słup, na nim zaś wisiał transparent z napisem – ledwo mogłem odczytać słowa – PORUSZCIE WODY. To kościół księdza Jinleya ze *Szpary w oknie*. W ścianie tuż pode

mną znajdowały się okna witrażowe z parapetem, który miał niespełna dziesięć centymetrów. Przykucnąłem, opuściłem się tam, a potem, zmówiwszy w duchu *Zdrowaś Maryjo*, skoczyłem przed siebie – chcąc chwycić się słupa i zsunąć w dół.

Nie trafiłem. Żeby złagodzić upadek, wyciągnąłem ramiona i złapałem jakąś drewnianą tabliczkę. Oderwała się od słupa, a ja runąłem na ziemię wśród stukotu płytek. Tabliczka ślizgnęła się po kamieniach.

Kurwa. Na widok snopa latarki dźwignąłem się na nogi. Sunął łukowatym korytarzem przede mną, oświetlał sklepiony sufit i wnęki z posągami. Pobiegłem w przeciwną stronę między rzędami ławek, kierując się ku portalowi w głębi. W kącie dostrzegłem konfesjonał. Na sam widok skręcało mnie w żołądku, ale otworzyłem zdobione drzwi – skrzypnęły cicho – i wszedłem do środka.

Było tam zupełnie czarno. Z plecakiem na ramieniu ledwie się zmieściłem.

Przykucnąłem na podłodze i czekałem.

Już po kilku sekundach usłyszałem, że ktoś wchodzi do kościoła i zaraz się zatrzymuje. Z pewnością przyglądał się rozbitej tablicy na numery pieśni, którą zerwałem ze słupa.

Czekałem, a serce mi łomotało. Zwróciłem uwagę na smród. Wymiociny? Mocz? Kroki zabrzmiały znowu. Snop latarki był coraz bliżej, oświetlał drzwi konfesjonału. Teraz widziałem, że to drewniana kratka w formie rzeźbionych pnączy i kwiatów. Rozpoznałem ten wzór. Nie mogłem uwierzyć, że patrzę przez te drzwi z takim samym przerażeniem, jak patrzył przez nie ksiądz Jinley – choć z trochę innych powodów.

Pierwsza scena filmu rozgrywała się właśnie tutaj. Jinley po raz pierwszy udzielał spowiedzi. Właśnie ukończył seminarium i wierzył – z aroganckim optymizmem ludzi młodych i niedoświadczonych – że będzie sprowadzał bezwstydników na dobrą drogę. Czeka przez ponad godzinę, ale nie przychodzi ani jeden skruszony grzesznik. Wreszcie po drugiej stronie

konfesjonału pojawia się tajemnicza postać i siada ze złowieszczym łoskotem.

Na to wspomnienie obróciłem się, żeby wyrzeć przez okienko znajdujące się centymetry od mojej głowy. Ciemna zasłona z kratownicą zapewniała całkowitą anonimowość.

Ksiądz szybko odkrywa, że tajemniczy nieznajomy zna jego mroczny sekret: Jinley zaprowadził swoją nieślubną trzyletnią córkę na dach domu na Brooklynie i pozwolił, żeby balansowała na krawędzi, goniąc gołębie. Straciła równowagę, spadła na chodnik w dole i zginęła – a on obserwował to wszystko przez szparę w oknie, lecz nic nie zrobił. Oczywiście miał swój powód: wierzył, że dziewczynka jest diabłem wcielonym. Ale kto go widział tamtego popołudnia? Kim jest tajemniczy człowiek po drugiej stronie kratki konfesjonału, który zapowiada wymownym szeptem, że rozerwie go na strzępy i zmusi, by wyrzekł się Boga? Żeby to odkryć, Jinley potrzebuje całego filmu, a tożsamość tej osoby okazuje się jeszcze straszniejsza niż tajemnica księdza.

Zorientowałem się, że kroki oddalają się chyba jakimś innym przejściem. Słaby blask światła zniknął.

Podniosłem się o kilka centymetrów, usiadłem na drewnianej ławce i nasłuchiwałem. Chyba zostałem sam. Czy to w tej części konfesjonału siedział ksiądz Jinley, czy w tej drugiej? Czy znajdowałem się teraz po stronie dobra, czy zła? Skąd dochodził ten cholerny smród? Nachyliłem się, żeby spojrzeć przez kratkę. Otwory miały postać maleńkich krzyży.

Zamarłem z przerażenia. Ktoś tam był.

Ktoś siedział po drugiej stronie.

Nie wierzyłem własnym oczom, słyszałem jednak oddech, słyszałem szelest grubego materiału. Potem – jak gdyby wiedział, że jest obserwowany – ten ktoś obrócił się w moją stronę.

Ledwo dostrzegałem twarz w cieniu ciemnego kaptura.

Zaraz potem wydarzenia potoczyły się tak szybko, że prawie nie byłem świadom tego, co robię: wyskoczyłem z konfesjonału, popędziłem przez transept, minąłem wejście do zakrystii Jinleya

i wpadłem przez drzwi, które, jeśli dobrze pamiętałem, prowadziły do podziemnej krypty. Było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć. Wyciągnąłem ręce, spodziewając się dotknąć zimnych kamieni, potem jednak zorientowałem się, że trafiłem z powrotem do hali zdjęciowej.

Usłyszałem łomot, a potem w górze chóralny jęk jarzeniówek. Zapalały się światła. Nagle zalał mnie jasny blask, na wpół mnie oślepił. Zatoczyłem się do przodu, namacałem klamkę, szarpnąłem ją, wpadłem do kolejnego lodowatego pomieszczenia.

Ale to nie było pomieszczenie.

Prawdziwe liście chrzęściły mi pod stopami. Prawdziwy wiatr owiewał mi twarz. A gdy podniosłem głowę, mógłbym przysiąc, że nade mną świecił prawdziwy księżyc.

*

Nie chciałem uwierzyć, że naprawdę udało mi się wydostać z hali zdjęciowej. Lecz kiedy przebiegłem kilka metrów i spojrzałem za siebie, magazyn rzeczywiście stał sobie spokojnie pośród drzew. Wyglądał tak niewinnie, tak blado i apatycznie – nic nie zapowiadało piekła, które kryło się w środku.

Dzięki Bogu wróciłem do zimnej, surowej rzeczywistości. Biegłem w dół wzgórza w kierunku Stawu Gravesa. Tamci musieli się nie zorientować, że uciekłem, bo nikt już mnie nie gonił. Kim oni byli, u diabła? I co takiego zobaczyłem po drugiej stronie konfesjonału?

Zerknąłem na zegarek, bo zapomniałem, że nie działa: 19.58.

Prędko włożyłem ręce do kieszeni, żeby sprawdzić, co mam przy sobie: zakrwawioną chłopcę koszulę oraz kompas Popcorna. Wciąż były na swoim miejscu, podobnie jak scyzoryk, brakowało natomiast aparatu. Schowałem go głęboko do kieszeni, ale musiał wypaść, gdy wkładałem płaszcz. Wymyślałem sobie w myślach za to niechlujstwo, walcząc z ochotą, żeby po niego wrócić. Przyspieszyłem kroku

i popędziłem sprintem. Wiatr srogo świszczwał mi w uszach, księżyc oświeślał drogę.

Zaszczekał pies. Brzmiał jak jeden z tych, które mnie ścigały, lecz teraz jakby zdenerwowany, uwiązany, choć pozostawało pewnie kwestią czasu, zanim znów puszczą go luzem.

Dotarłem do Stawu Gravesa. Zakradłem się nad brzeg, spojrzałem przez listowie na skrzącą się wodę. Nie było śladu łódki, Hoppera, Nory – ani nikogo innego. Hopper i Nora. Stwierdziłem z oszołomieniem, że te imiona docierały do mnie jakby z daleka, z mojej zamierzchłej przeszłości. Ile czasu spędziłem w tej hali zdjęciowej? Lata? Czy to jakiś tunel do wymiaru poza czasem? Gdy tam przebywałem, nie myślałem o nich: ani o ich losie, ani o tajemnicy ich zniknięcia. Nie byłem świadom niczego poza Cordovą. Te plany filmowe były jak narkotyki, zdominowały mój umysł tak bardzo, że zabrakło miejsca na inne myśli.

Na pewno udali się po pomoc. Wiosłowali w kierunku, z którego przybyliśmy, byli bezpieczni. Musiałem w to wierzyć, żeby przestać się martwić i skupić się na obmyśleniu nowego planu. W głębi duszy wiedziałem jednak, że Hopper nie zrezygnowałby tak łatwo z prawdy o Ashley. Nora też nie. Musieli zatem być gdzieś tutaj, błędzić, rozpaczliwie biegać w kółko.

Mrużąc oczy, spojrzałem na przeciwległy brzeg, na ciemne wzgórze. Dostrzegłem, że wyłania się zza niego blask latarki. Najwidoczniej ktoś zbiegał ścieżką w stronę drewnianej przystani. Coś pędziło przez trawę. To na pewno któryś z psów.

Oddaliłem się od brzegu i ruszyłem truchtem. Potrafiłem obrać właściwy kierunek dzięki wiedzy o położeniu jeziora. Do granicy posiadłości najszybciej mogłem dotrzeć po wschodniej stronie. Biegła tamtędy najbliższa szosa publiczna, droga lokalna 112. To tam miałbym największą szansę na pomoc. Moje priorytety uległy zmianie. Teraz w grę mogło wchodzić ludzkie życie, jeżeli Nora i Hopper byli gdzieś tu uwięzieni, być może ranni – albo stało się coś jeszcze gorszego.

Myśląc o tym w biegu, podświadomie wyjąłem z kieszeni kompas Popcorn, ścisnąłem go w dłoni jak coś cennego, jak ostatnią nadzieję. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że chociaż szybka była spękana, to drżąca igła wyznaczała północ.

Obróciłem się w miejscu, żeby sprawdzić wskazania. Były prawidłowe.

Ten kompas naprawdę działał.

Pędziłem przed siebie, zerkając na niego raz po raz dla pewności, że nie zboczyłem z kursu – zupełnie tak jak zerkał na niego Popcorn ku rozbawieniu całego miasteczka.

Kiedy jeszcze nadarzy się okazja, żeby zajrzeć do szklarni? Za wcześnie się poddałem. Jeśli rzeczywiście był tam zakopany Popcorn, pozostanie to tajemnicą. Miałem mętlik w głowie, zmusiłem się jednak, żeby biec dalej. Las przesunął się obok mnie jak w okrutnej pętli, niczym sztuczne tło w starym filmie, w którym bohaterowie jadą samochodem i rozmawiają, ale nigdy nie patrzą na drogę. Czy to prawdziwe drzewa? Każdy pień każdego świerku był nagi i wydłużony, identyczny jak wszystkie inne. Każdy.

A potem spojrzałem w lewo i znowu ją ujrzałem: halę zdjęciową.

Zatrzymałem się przerażony.

Zatoczyłem pełne koło.

Kompas Popcorn płatał mi figle, celowo wiódł mnie na manowce. Ale nie – gdy postąpiłem kilka kroków w stronę masywnej konstrukcji, zorientowałem się, że ta jest cylindryczna, że to silos pomalowany na żółto.

Odwróciłem się do niego tyłem i ruszyłem sprintem. W ciągu kwadransa dotarłem do utwardzonej drogi. To na pewno dolna część podjazdu na Szczyt, co oznaczało, że poruszam się jednak we właściwą stronę. Uspokojony, nieco się od niej oddaliłem, poruszałem się pod osłoną drzew, ale mniej więcej w tym samym kierunku. Kilka minut później w oddali dostrzegłem ciemną plamę ogrodzenia.

Pełen ulgi pognałem w jego kierunku.

Nie dostrzegałem przewodów elektrycznych. Zaryzykowałem: przesunąłem dłoń po zardzewiałej siatce, czekając na wstrząs.

Nic nie poczułem.

Chwyciłem się ogrodzenia i zacząłem się wspinać. Byłem dwa metry nad ziemią, gdy daleko po prawej dostrzegłem dwa dachy wystające z zarośli, oba zakończone poczerniałym szpicem.

Stróżówki.

Poznałem je, ponieważ podjechałem do nich przed laty. Wysiadłem wtedy z auta i sfotografowałem wejście. Tak bardzo chciałem dostać się do środka. A teraz tak bardzo chciałem uciec. Przypomniałem sobie, co mówił Pająk: pomagając mieszkańcom Crowthorpe dostać się na posesję, chodził podziemnym tunelem łączącym rezydencję ze stróżówką.

To oznaczało – o ile nie kłamał – że wejście do labiryntu przejść pod posiadłością znajdowało się tuż obok, kilka metrów ode mnie, tak cholernie blisko. Mógłbym zobaczyć je na własne oczy.

Wahałem się przez ułamek sekundy, a już po chwili schodziłem po ogrodzeniu z powrotem na teren Szczytu, choć mój umysł protestował ile sił. Zeskoczyłem w bujną trawę i ruszyłem wzdłuż płotu wprost ku dwóm domkom stojącym po bokach bramy z kutego żelaza.

Do pierwszego nie było wejścia. Drugi miał wąskie czarne drzwi z oknem u góry. Z wnętrza nie padało żadne światło, nie dostrzegłem żadnych kamer, łuszczyła się farba, a szybę pokrywała taka warstwa brudu, że nie dało się zajrzeć do środka.

Wystarczyłby mi szybki rzut oka na wejście do tuneli, żeby uwiarygodnić opowieść Villarde'a – a potem mogłem zjeżdżać stąd w cholerę.

Drzwi okazały się zamknięte, więc rozbiłem szybę kamieniem, otworzyłem je i wszedłem. Znalazłem się w maleńkim pomieszczeniu z oknem wychodzącym na podjazd do bramy. Stało tu biurko ze starym komputerem oraz krzesło

biurowe pokryte warstwą kurzu. Podłoga była naga – tylko w rogu leżał nieduży czarny dywanik.

Podszedłem i odciągnąłem go na bok.

Była tam: nieduża drewniana kłapa. Odsunąłem metalowe rygle, chwyciłem za kółka i szarpnąłem. Patrzyłem w ziejący czarny otwór.

Ostro w dół wiodły betonowe schody. Miały ledwie ze trzydzieści centymetrów szerokości. Zszedłem po kilku stopniach i przykucnąłem, żeby zajrzeć głębiej.

Ciągnący się przede mną tunel był czarny. Widziałem tylko kilkadziesiąt centymetrów ceglanych ścian, które gwałtownie ustępowały miejsca ciemności tak absolutnej, jakby tej części świata nie dokończono – jakbym miał przed sobą surową krawędź Ziemi, za którą był nie zwykły mrok, ale kosmos.

Gdy wpatrywałem się w głąb, umysł kazał mi stąd natychmiast spieprzać, zatrzaskać kłapę i przejść przez ogrodzenie, póki jeszcze mogłem.

Ale właściwie co takiego miałem na Cordovę? Co tak naprawdę wiedziałem?

Żeby nie utonąć, myślam spróbowałem się ucześcić twardych faktów. W moich kieszeniach spoczywało kilka przedmiotów, które może go obciążą, ale z perspektywy prawa równie dobrze mogły być bezwartościowe. Miałem opowieści, relacje naocznych świadków, zeznania, prawdę, że Ashley nie żyje. Ale czy to wystarczy, żeby pogrzebać Cordovę? Ledwie go zadrasnąłem, mojego białego kaszalota. Mógł dalej praktykować swoją czarną magię, swoje horrory na żywo. Ashley nie żyła, więc wymiana przestała być konieczna, lecz czy zaprzestał procederu? Co takiego widziałem na własne oczy?

Kiedy się nad tym zastanawiałem, gnijące ceglane ściany tunelu zdawały się niezauważalnie zaciskać wokół mnie.

Do czego tak właściwie uciekałem, cały i zdrowy?

Do pustego mieszkania. Kiedy wrócę na Perry Street, nikt nie będzie tam na mnie czekał. Życie potoczy się tak jak dawniej. Ja

sam będę trwał tak jak dawniej. Nagle ta myśl wydawała się nie do zniesienia.

Na co ja czekałem, do cholery? Jak często zdarza się w życiu, że prawda leży tuż przed nami? Bo ona tam była, za tym nieprzeniknionym mrokiem. Nawet jeśli teraz jej nie widziałem, to czekała gdzieś na wprost.

Czy ja się ośmielę? Zszedłem po kolejnych trzech stopniach. Powietrze było lodowate, chłód przenikał aż do kości. Ściągnąłem plecak, wygrzebałem z kieszeni latarkę, spróbowałem ją zapalić, ale nadal nie działała. Wyjąłem torebkę strunową z pudełkiem zapalek, zarzuciłem plecak z powrotem na ramiona i zapaliłem zapałkę.

Małeńki pomarańczowy płomyk dygotał, kiedy uniosłem ją przed sobą.

Niemalże parsknąłem śmiechem. Mrok cofnął się zaledwie o kilka centymetrów. Kruszyły się czerwone cegły, sufit był nisko, pokrywała go gruba warstwa pleśni. Tunel przypominał obkurzoną arterię wiodącą do piekła. Zerknąłem na zegarek.

19.58. Świetnie się uwijałem.

Znowu wszedłem do góry i chwyciłem klapę. Zamknąłem ją nad głową z nieodwołalnym łoskotem. Czy właśnie zatrzasnąłem się we własnej trumnie?

*

Zapałka gwałtownie zgasła. Zapaliłem kolejną i ruszyłem naprzód.

Gdy i ona się dotliła, szedłem przez mrok najszybciej, jak mogłem. W pudełku było sto zapalek, więc musiałem je oszczędzać. Pamiętałem, że Pająk wspomniał, że dystans między rezydencją a stróżówką wynosił trzy kilometry. Jeśli będę się poruszał z prędkością sześciu kilometrów na godzinę, to po kwadransie pokonam połowę drogi. Czekałem, aż mój wzrok oswoi się z ciemnością, ale po chwili zrozumiałem, że ta wirująca

czarna ciecz, w którą się wpatrywałem, to właśnie skutek tego oswojenia.

Dźwięk moich kroków działał jak metronom wyznaczający rytm oddechu.

Oprócz tego – chrzęstu butów turystycznych na brudnym podłożu – nie było żadnych innych odgłosów. Odczuwałem tylko wyraźne ciśnienie, wrażenie zamknięcia w puszcze, jakby ten korytarz biegł pod zbiornikiem wodnym.

Gdy nie mogłem już dłużej znieść mroku, gdy autentycznie nabrałem wątpliwości, czy w ogóle się poruszam, przystanąłem i zapaliłem zapałkę.

Ciasny korytarz skurczył się wokół mnie jeszcze bardziej, miał teraz niecałe półtora metra szerokości. Ciągnął się identycznie w obu kierunkach. Ten wąty płomyk okazał się jeszcze bardziej przerażający niż parcie naprzód w zupełnej ciemności. Równie dobrze mógłbym całkiem zanurzyć głowę pod wodą. Byle tylko nie przestać płynąć. Kiedy zapałka zgasła, odrzuciłem ją i szedłem dalej, sunąc prawą dłońią po kruchych cegłach. To była moja łączność ze światem, z rzeczywistością, ponieważ mrok był tak absolutny, że stał się czymś fizycznym, grubą czarną kurtyną. Wywrócił mnie do góry nogami, kazał się zastanawiać, czy przypadkiem nie pogrążyłem się w czarnej wodzie i zapomniałem, którędy droga do powietrza i światła. Tu na dole grawitacja zdawała się znikoma.

Potknąłem się o coś sporego i natychmiast owładnął mną irracjonalny lęk. To ciało, obcięta kończyzna. Kopnąłem to coś ponownie. Dźwięk przypominał szelest prześcieradła.

Drżącymi dłońmi odpaliłem kolejną zapałkę.

Na ziemi leżał kawałek czerwonego jedwabiu pokryty kurzem.

Podniosłem go. To była damska sukienka – staromodna, w kolorze żurawiny – miała długie rękawy i czarny pasek z plastiku. Brakowało prawie wszystkich guzików z przodu. Spojrzałem na wycięcie przy szyi. Dostrzegłem bladofioletową

metkę z nazwiskiem wieloletniej kostiumografki Cordovy – Larkin – a zaraz potem zapalona zgasła.

Rozpiąłem plecak, wepchnąłem tam sukienkę, a potem zaciągnąłem suwak i szurając nogami, szedłem dalej. Po jakimś czasie zacząłem się martwić, że przypadkiem zawróciłem i zdążam na oślep z powrotem do stróżówki, ale się nie zatrzymałem. To tylko dezorientacja, to tylko mrok szykanował mój umysł. Jakże krucha jest pewność siebie jednostki, jej przekonanie o swoim miejscu na ziemi. Tutaj nawet Einstein po piętnastu minutach zwątpiłby w prawa świata fizycznego, w to, kim jest, gdzie jest, czy jest żywy, czy martwy.

Ku mojemu przerażeniu znowu coś kopnąłem. Coś twardego, co hałaśliwie poturlało się po ziemi. Brzmiało jak kawałek drewna.

Nie. To kość. Zapaliłem kolejną zapalniczkę.

Okazało się, że to czarne skórzane damskie czółenka ze zdartym kwadratowym obcasem pokryte warstwą kurzu.

Bezmyślnie spojrzałem na zegarek: 19.58.

Podniosłem się i przytrzymałem przed sobą zapalniczkę.

Widok był dokładną kopią tego wcześniejszego: zasuszony ceglany korytarz zniknął w oddali w obu kierunkach.

Wszystko wyglądało tak, jakbym w ogóle się nie poruszył.

Szedłem dalej, usiłując zachować spokój. Skąd tu się wzięła ta sukienka? Czy jakaś kobieta próbowała uciec? Sukienka, tak samo jak zakrwawiona kraciasta koszula, którą miałem w kieszeni, wyglądała na pozostałość zbrodni. Umrzeć tutaj, w samotności i chłodzie, nigdy nie zostać znalezionym, już nigdy przez nikogo nie być kochanym... Sam pomyślałaby, że ją opuściłem. Usiłowałem oderwać się od takich myśli, skupić uwagę na czymś pogodnym, lecz to miejsce, tak czarne i zimne, momentalnie dławilo wszelką beztroskę.

Stałem na czymś.

To kamyczki.

Zatrzymałem się. Było ich dużo – twardych i okrągłych. Obracały się pod moją podeszwą. Dziecięce ząbki? Rozsypane

tutaj jak okruchy?

Wyrzebałem jeszcze jedną zapałkę, odpaliłem ją.

To nie były zęby, ale czerwone plastikowe guziki tamtej sukienki.

Schyliłem się, żeby je obejrzeć. Kilka kroków dalej pod ścianą leżał drugi czarny but. Chwyciłem garść guzików, wepchnąłem do kieszeni płaszcza Brada i znów się wyprostowałem.

Widok był dokładnie taki sam jak poprzednio – czarny tunel ciągnął się przede mną oraz za mną, nieskończony. Znajdowałem się na ruchomej bieżni, biegłem w miejscu. Byłem uwięziony w czwartym wymiarze, w czyścicu, gdzie nie ma upływu czasu, tylko bezwładne dryfowanie.

Zorientowałem się, że zapałka parzy mnie w palce.

Wypuściłem ją, a potem ruszyłem naprzód, tym razem prędeej. Czułem, że mój umysł się chwieje, jakby balansował na linie i lada chwila mógł stracić równowagę. Zapaliłem następną zapałkę i odetchnąłem z ulgą, widząc zaledwie kilka metrów dalej przerwę w tunelu. Tak bardzo się spieszyłem, żeby tam dotrzeć, że zapałka zgasła. Kiedy poczułem, że po mojej prawej ręce nie ma już muru, odpaliłem jeszcze jedną.

Znajdowałem się w niewielkiej okrągłej wnęce. Wokół mnie ziały wyloty innych tuneli biegnących chyba we wszystkich kierunkach. Mijając je, nad każdym otworem widziałem niezgrabne napisy wymalowane wyblakłą białą farbą.

STRÓŻÓWKA. REZYDENCJA. JEZIORO. STAJNIE. PUNKT OBSERWACYJNY. TROFEUM. PINCOYA NEGRO. CMENTARZ. PANI PEABODY. LABORATORIUM. Z. ROZSTAJE.

Pincoya Negro? Laboratorium? Z? Pamiętałem, że Pająk wspominał o centralnym punkcie, w którym spotykają się wszystkie korytarze wiodące do ukrytych części posiadłości. Zapaliłem kolejną zapałkę i podniosłem ją do napisu na kawałku drewna tuż przede mną.

Rozstaje.

Właśnie tak Pająk nazywał polanę, na którą zaprowadził Ashley.

Prymitywnie zbite deski, kiedyś zagradzające to przejście, odrabano siekierą. Villarde zrobił to dla miejscowych. Zostały tylko kawałki drewna pełne drzazg i poskręcane gwoździe. Kilka z nich leżało na ziemi.

Ten korytarz wyglądał bardziej surowo niż pozostałe, miał co najwyżej metr szerokości i wydawał się wyrąbany wprost w granicie. Ściany były śliskie od sączącej się skądś wody. Kiedy zrobiłem krok w głąb tego tunelu, dostrzegłem kolejne słowa nabazgrane na kamieniu tą samą białą farbą. Nieco głębiej znajdowały się rysunki postaci z kresek. Miały wydłużone nosy, a ich usta krzyczały.

Podszedłem, żeby odczytać niektóre napisy. „Jeśli pujdziesz dalej zostaw całą miłość TUTAJ naziemi”. „UWAGA: nie wrócisz z tej drogi jako zwierze, roślina ani minerał”. „Porzegnaj się z owieczką”. „Niech Bóg ma c”.

Zapałka się wypaliła.

Sięgnąłem po kolejną i zmusiłem się do zrobienia jeszcze jednego kroku w głąb. Uniosłem płomień. Momentalnie zgasła, w twarz uderzył mnie lodowaty wiatr, nabrał siły i prędko ustał. Potem usłyszałem skwierczenie w uszach, tak ogłuszające i bliskie, że zatoczyłem się do tyłu, potknąłem na nierównej podłodze wnęki i upuściłem pudełko zapałek.

Kurwa. Z łomotem serca przyklęknąłem i zacząłem szukać go po omacku.

Zniknęło.

Coś tu ze mną było, coś za mną stało, igrało ze mną.

Usiłując nie ulec panice, obróciłem się chwiejnie, opadłem na czworaki i próbowałem namacać zapałki.

Uspokój się, McGrath. To pudełko musi gdzieś tu być.

Uderzyłem o coś krawędzią lewej dłoni. Zapałki! Chwyciłem je. Jakimś cudem, choć wydawało się to niemożliwe, pudełko wylądowało daleko za mną, pod przeciwległą ścianą między dwoma korytarzami. To zupełnie jak z cieniem lewiatana. Miało własną wolę.

Podniosłem się, ignorując tę myśl, zapaliłem zapałkę, a potem wróciłem do przejścia.

Rozstaje. Tunel ostro skręcał w lewo i znikał z pola widzenia. Zrobiłem kolejny krok korytarzem. Tym razem ogień płonął spokojnie. Ot, tak sobie sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem kompas. Byłem ciekaw, w jakim kierunku bym wtedy doszedł.

Patrzyłem z niedowierzaniem.

Czerwona igła zwariowała. Wirowała jak szalona w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Potrząsnąłem kompasem, ale wskazówka nie przestawała się obracać, wciąż kręciła się w kółko.

Tego już było za wiele dla mojego umysłu, więc wrzuciłem kompas z powrotem do kieszeni płaszcza Brada Jacksona, po czym, starając się zapomnieć, że kiedykolwiek spojrzałem na ten przyrząd, ruszyłem korytarzem.

*

Nie wiem, jak długo szedłem.

Towarzyszyło mi dojmujące wrażenie, że nie jestem sam.

Przejmujące do szpiku kości przekonanie, że znajduję się w bezpośredniej bliskości czegoś żywego i już za kilka sekund wpadnę prosto na nie. Kiedy jednak wyciągałem przed sobą migoczący płomyk, spodziewając się zobaczyć jakąś twarz, jakieś zwierzęce oczy – w każdym kierunku była tylko ciemność.

Do moich myśli znowu wdzierał się podstępny głos Pajaka, stawał się głośniejszy z każdym krokiem, zupełnie jakby owego dnia w Pękniętych Drzwiach opowiadał nie o swojej tajemnicy, lecz o przyszłości, o tej drodze, mojej drodze. „Wciąż pamiętam cichy tupot jej stóp, czyściutkich i bosych. Stały tuż obok moich butów po brudnej ziemi”.

Czy to właśnie ją słyszałem, ją wyczuwałem obok mnie? Ashley?

Szedłem dalej, nasłuchiwałem, ale rozbrzmiewał tylko chrzęst moich butów.

Po jakimś czasie głos Pajaka ucichł. Mój umysł stał się pusty jak brudna tablica zamazana na wpuł wytartymi myślami.

Szła tędy Ashley.

I Cordova. Pokonywał tę drogę za każdym razem, kiedy znalazł nowe dziecko, by zaoferować je diabłu na wymianę. Wszystko, byle tylko uratować córkę.

Wyczuwałem silną woń metalu zmieszana z silną wilgocią oraz błotem. W pewnym momencie z oddali usłyszałem dudnienie, jakby w górze zwierzęta pędziły przez posiadłość, jakby uciekały w popłochu. Dotknąłem śliskiej skały. Ciepła woda przepływała mi między palcami. Miałem wrażenie, że ściany wibrują. Z sufitu luzowały się kamyczki, spadały na ziemię z grzechotem. Potem jednak hałas ustał, w tunelu tak jak dawniej panowała cisza, a ja mogłem się tylko zastanawiać, czy to wszystko było jedynie złudzeniem zrodzonym z nerwów, które potrzebowały znaleźć ujście.

Człapałem naprzód. Wydawało mi się, że mój mózg ma za dużo miejsca w czaszce, jak gdyby się topił. Stwierdziłem z nagłym przerażeniem, że się pocę, zupełnie jakbym wciąż był w szklarni, jakbym wcale stamtąd nie uciekł, nie wydostał się spod zakrwawionych lamp. Jednocześnie dygotałem, wstrząsany dreszczami. Słaby płomień w moich palcach pokazywał to, co sam już wiedziałem: czarny korytarz rozwijał się przede mną coraz dalej i dalej.

Kiedy wreszcie ze wszystkim się pogodziłem, zrozumiałem, że mogę umrzeć, błądząc po tych tunelach, dotarłem do końca.

Kilka kroków przede mną do sufitu biegła powyginana, zardzewiała drabinka.

Przystanąłem, słuchałem, nie słyszałem nic poza wyciem silnego wiatru. Chwyciłem się szczebli i zacząłem się wspinać. Ręce i nogi miałem dziwnie słabe, sflaczałe, jakby wypełnione piaskiem. Gdy znalazłem się na samej górze, namacałem nad sobą kolejną drewnianą klapę, chyba identyczną jak ta w stróżówce. Odsunąłem rygle, pchnąłem ją ramieniem i otworzyłem.

Znajdowałem się w gęstym brzozowym lesie. Cały świat był ostry jak żyłota. Widziałem dokładnie każdy liść i każdą gałąź, każdy kamień i chwast skąpany w zielonym blasku księżyca. To pewnie efekt uboczny przebywania tak długo w podziemnym mroku. Mój wzrok – uradowany, że dostał jeszcze jedną szansę, żeby widzieć – robił, co mógł.

Wyszedłem na zewnątrz.

*

Ruszyłem przed siebie nierówną ścieżką. Zauważyłem przywiązany do zwisającej gałęzi czerwony sznurek, który tańczył na wietrze.

Kilka metrów dalej znajdował się most. Diabelski most.

Na samą myśl zabrakło mi tchu.

Nikogo tu nie było. Byłem sam. Wiatr wył wściekle, targał połami płaszcza tak mocno, jakby szarpał za nie tłum ludzi.

Most był łukowy, wykonany z ciemnoszarego kamienia. Wyglądał na niezwykle staranną budowlę, jakby każdą część ułożyła ręka mistrza. Delikatna, wygięta konstrukcja wzbijała się ponad głębokim wąwozem, w którym, podszedłszy bliżej, zobaczyłem rozszalałą rzekę, czarną i lodowatą. Zauważyłem, że woda nie płynie swobodnie, ale utyka wśród kamieni, a potem przelewa się po nich gruzłami jak smoła. A jednak w uszach szumiał mi dźwięk zwykłej rzeki.

A może to wiatr?

Most był długi. Kończył się kolejnym zagajnikiem.

Ashley przebiegła po całej długości.

Była pierwszym człowiekiem, który przebył most.

Stałem na pierwszych kamieniach. Nie miałem się czego bać. Klątwa ustała. Diabeł dostał to, czego chciał. Ashley. A jednak mimo woli odwróciłem się i wbiłem wzrok w szkielety drzew, żeby się upewnić, że nikogo tam nie ma, że jakimś cudem nie poszła za mną Sam, myśląc, że to mnie porwały trolle.

Gdy byłem już w połowie drogi, raptem dostałem ostrego lęku wysokości. Miałem wrażenie, że most niepostrzeżenie wznosi się pod moimi stopami, ponieważ widziałem stąd na dużą odległość, ponad gałęzie olbrzymiego lasu, który ciągnął się kilometrami i burzył się na wietrze niczym wściekłe morze. Dach z czarnymi szpicami wystawał spomiędzy wierzchołków drzew, tak bardzo odległy.

Naraz poczułem mdłą zawroty głowy i musiałem się odwrócić, spojrzeć wprost przed siebie ku końcowi mostu.

Tam coś było.

Zmartwiałem. Coś tylko na wpół ludzkiego. Czym była ta druga połowa – nie wiedziałem. Było wysokie, miało ze dwa, może nawet dwa i pół metra wzrostu, wychudłe ramiona oraz okrągłą, szeroką twarz tak chropowatą, że przypominała korę drzewa. Widziałem oczy, okrągłe czerwone oczy niczym dwa ogniste doły w ziemi, widziałem usta pełne kolców.

To musiała być halucynacja. Albo może śniłem, może byłem w śpiączce. Może nie żyłem.

Co się, u diabła, ze mną działo? Jakże krucha jest poczytalność.

Czekałem, aż wzrok powie mi, że to tylko złudzenie, oszustwo brzoź oraz cieni, które padały na most ciemnymi stosami jakby oderwane od rzucających je przedmiotów. Sięgnąłem po scyzoryk i zorientowałem się, że trzymam kompas Popcorna.

Jakim cudem znowu trafił do mojej dłoni? Czerwona igła już nie wirowała. Wskazywała na wprost.

Wiatr ponownie zerwał się z wściekłym wyciem. Zamrugąłem, spoglądając na drugą stronę mostu. Z niedowierzaniem stwierdziłem, że to coś to nie złudzenie. Wciąż tam było, ale oddalało się chyłkiem. Wywijają kościstymi kończynami, jakby porwał je niewidzialny wir, a potem zniknęło pośród drzew.

Uciekaj z tego mostu! – wrzeszczał głos w mojej głowie. Ruszyłem pędem w dół stromizny, ślizgając się na liściach oblepiających kamienie, na oślep zbiegłem na brzeg i pognałem gruntową ścieżką, która zawiodła mnie na kolistą polanę.

Była opustoszała.

Ta dziwna zjawą, cokolwiek to było, musiała się tu gdzieś kryć. To tutaj odprawiali rytuały, tutaj Cordova stał się jednym z nich. Postąpiłem naprzód i to wystarczyło, żebym stracił równowagę i upadł na ziemię. Patrzyłem w nocne niebo, niebo tak gładkie, jakby między drzewami rozlano czarny płyn. Co się ze mną działo? Moje kończyny się roztopiały.

Zmusiłem się, żeby usiąść. Nie siedziałem na zwykłej ziemi, ale w drobnym czarnym pyłe lśniącym od minerałów. Nieopodal leżało zwęglone polano. Sięgnąłem po nie i stwierdziłem z zaskoczeniem, że chociaż wyglądało jak pozostałość zwykłego ogniska, okazało się ciężkie niczym żelazo i nie zdołałem go dźwignąć.

Drewno przygniatało oderwany kawałek białego materiału. Chyba pochodził z dziecięcej bluzki.

Wyszarpnąłem materiał, ale powiew wiatru wyrwał mi go z dłoni i poniósł jak zbłąkany biały liść przez polanę, a potem między drzewa. Ruszyłem za nim chwiejnym krokiem. Kiedy zobaczyłem, dokąd uciekł, co go właśnie wessało, mogłem tylko patrzeć ze zgrozą.

To był rów pełen dziecięcych rzeczy.

Dostrzegałem dokładnie każdy przedmiot leżący jakieś pięć metrów w dole: małe kapcie i T-shirty, lalki i pociągi, podkoszulki i trampki, wszystko namoknięte i zgniłe, a czasem poczerwiałe jak od ognia. To tutaj Cordova wrzucał skradzione rzeczy, usiłując dokonać wymiany. Widziałem to tak wyraźnie, że aż paliło mnie w oczy – jego manię, jego desperację, jego gotowość zbrukania czernią każdego zakamarka swej duszy, byle ratować życie córki.

Z przerażeniem stwierdziłem, że leżę twarzą w ziemi.

Jak długo tak tkwiłem? Godziny? Dni?

Uniosłem głowę. Pulsowała. Ciemna ziemia i rachityczne drzewa oddalały się ode mnie, wirując jak pijane.

Nie byłem sam.

Wokół mnie w pewnej odległości stały postaci w czarnych szatach. Milczały ukryte w ciemności, jakby same wyrosły z cieni. Nagle jedna z nich, ubrana w czarny kaptur, przemknęła między drzewami, a po niej kolejna. I następna.

Szły w moją stronę. Dźwignąłem się na nogi.

– Nie zbliżajcie się! – powiedziałem. – Ani kroku dalej.

Czy to ja krzychałem? Głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Sięgnąłem do kieszeni po scyzoryk. Nie miałem go.

To nie było normalne, że poruszały się tak szybko, pozbawione twarzy w tych czarnych kapturach, a potem poczułem, że chwytają mnie dłonie i ciągną do tyłu.

Nocne niebo, a potem worek na mojej głowie, zapach ziemi i potu, ściągany ze mnie płaszcz w jodełkę – nie, nie, to plecak – ręce wykręcane, jakby ktoś chciał mi je wyrwać. Usłyszałem przeraźliwy wrzask jakiegoś mężczyzny. Kiedy nie ustawał i poczułem, że jestem podnoszony w powietrze, zrozumiałem, że to mój głos.

*

Gdy otworzyłem oczy, nie widziałem nic oprócz ćmy.

W słabym świetle była mała i blada. Chyba coś jej się stało, nie mogła złożyć jednego skrzydełka. Usiłowała wspiać się na ciemną ścianę zaledwie kilka centymetrów od mojego nosa. Wchodziła po drewnie i spadała, znów próbowała i znowu spadała. Ruszyła w moją stronę, furkocząc skrzydekami. Miała włochaty łeb i brązowe nogi. Jej czułki poruszały się chyba z konsternacją. Wyczuła, że jestem duży i żywy, więc zmieniła kierunek i wróciła do ściany.

Było zimno. W powietrzu panowała ujemna temperatura. Miałem skostniałe dłonie.

Gdzie ja byłem, do cholery? Leciałem. Ten powiew to wiatr, który smagał mnie, gdy lawirowałem między skupiskami czarnych chmur, cząsteczkami atmosfery, lodem, pyłem i ostrymi płatkami śniegu siekącymi mnie w twarz. W uszach

dźwięczała przenikliwa nuta, bolesny dźwięk niczym długa igła, która zaszywa mi mózg.

Spróbowałem wstać, lecz uderzyłem o coś głową.

Wyciągnąłem rękę. To była gładka ściana z drewna.

Znajdowałem się wewnątrz czegoś, kapsuły wirującej do góry nogami, wibrującej z ogromną prędkością. Ale to tylko sen. Zapomniałem o strachu. Wyprostowałem nogi – wciąż miałem na sobie buty – i natrafiły po obu stronach na kolejną ścianę. To zamknięcie, w którym się znajdowałem, ten statek kosmiczny był ciasny, ale o dobre kilkadziesiąt centymetrów większy ode mnie.

Otworzyłem oczy, zamrugąłem, ale nie miałem nic do oglądania, jakbym był zawieszony wysoko ponad Ziemią, między warstwami atmosfery a kosmosem. Brzęczenie w uszach ustało.

Nie miałem się czym martwić, bo przecież w końcu się obudzę. To właśnie jest cel snów: przebudzenie, zalew ulgi i szoku, że umysł tak łatwo oszukać, zmięta pościel, promienie słońca, które leją się przez okno. Lecz właściwie po co ten pośpiech? Skoro sen zrodził się z mych podświadomych obaw i pragnień, to czemu nie zostać tu jeszcze chwilę, szybować w przestrzeni, zgłębić ów sen, splądrować go, zbadać jego prawidła i parametry, odkryć, czego tak się obawiałem.

Rozłożyłem ramiona na boki.

Ha. To samo co na górze i na dole. Trumna. Byłem we własnej trumnie.

Otworzyłem oczy. Z nagłym przerażeniem zrozumiałem, że to nie sen.

Nie mogłem się obudzić. Nie spałem.

Błada biała ćma jakimś cudem dotarła na wieko, a teraz łąziła w kółko, jakby i ona zorientowała się, że jest w pułapce, że zupełnie nie ma dokąd uciec.

Zacząłem krzyczeć, walić pięściami w ściany, bębnić i kopać.

Brzmiało to tak, jakbym wołał tylko w głąb pustego dołu w ziemi.

O Boże, nie. To nie może być tak. To nie może być prawda.

Nagle zrozumiałem. Właśnie o to chodziło, żebym pojął, gdzie jestem. Żeby widział. Dostęp świeżego powietrza utrzyma mnie przy życiu przez długie dni, a nawet tygodnie, będę się szamotał i walczył z nieuniknionym, myśląc z pełną świadomością o tym wszystkim, od czego zostanę oderwany.

Mój umysł zamarł, gdy usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie znajdowałem się zaledwie przed chwilą. Miałem wrażenie, że przebyłem wiele kilometrów. Ramiona bolały mnie, jakbym wiosłował przez ocean. Może jednak śniłem, ponieważ sny mają tyle warstw, tyle śliskich odnóg i końcówek końcówek, że nie znajdowałem oparcia ani choćby najmniejszej krawędzi, której mógłbym się uchwycić.

Wyciągnąłem ręce, żeby obmacać otaczającą mnie przestrzeń.

Dziwne. Wyglądało na to, że trumna ma więcej niż cztery boki. Zacząłem obracać się na plecach, odbijając się obcasami butów, i liczyć ściany. Brakowało mi jednak punktu odniesienia, więc gdy doszedłem do dwunastu, byłem pewien, że wykonałem więcej niż jeden obrót.

Nachyliłem się do prawej stopy, odwiązałem sznurówkę od metalowych haczyków buta, a potem go ściągnąłem. Przewróciłem się na brzuch, przycisnąłem się do ściany, namacałem róg i położyłem w nim but jako znacznik. Potem sunąłem po podłożu w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, licząc dłońmi.

Raz. Dwa.

Obracałem się. Byłem uwięzionym zwierzęciem badającym granice swojej klatki.

Trzy. Cztery. Pięć. Sześć.

Ponownie dotknąłem buta. Sześć ścianek.

Sześciobok.

Ponownie dopadł mnie strach. Miał twarz i nogi, był olbrzymią bestią o skórze z czarnej gumy i kościstym grzbiecie, przycupnął tuż obok i tylko czekał, aż porzucę nadzieję, a wtedy mnie pożre. Szarpałem się, kopałem, parę razy uderzyłem się w głowę, wrzeszczałem, wzywając pomocy – czyjejkolwiek,

nieważne czyjej – ale po jakimś czasie, kiedy nikt nie odpowiadał, kiedy powrócił ten ostry dźwięk i rykoszetował w mej czaszce jak leniwa kula, której brak siły, żeby się wydostać, musiałem znowu położyć się, dysząc, w mojej sześciobocznej trumnie.

Zamknąłem oczy, pozwoliłem, by zalał mnie strach. Musiałem się w nim skąpać, zaakceptować go, wypić do dna, dać mu się pokryć niczym szlamem, tak aby przestał być czymś nadzwyczajnym, czymś przerażającym – bo tylko wtedy będę mógł myśleć.

Przez moją głowę niosły się obrazy. Była w nich Sam, grała w klasy na podłodze w szachownicę. Później zobaczyłem Szczyt, mroczny i ogromny, wznoszący się na swoim wielkim wzgórzu, a potem siebie samego biegnącego w płaszczu przez most. Postaci podobne do czarnej mgły doganiały mnie, zakrywały.

Musieli wrzucić mnie tutaj, do mojej *oubliette*. Dlaczego nic pamiętałem? Włamano się do moich wspomnień, majstrowano w nich, wykrojono je, bo teraz moja najświeższa przeszłość była pusta – nie było w niej zupełnie niczego.

Ale skoro istniało wejście, to istniało też wyjście.

Otworzyłem oczy. Spostrzegłem, że szamocąc się jak szalony, musiałem stracić ómę z wieka. Uciekła w kąt i furkocząc skrzydełkami, znowu próbowała wspiąć się po ścianie.

Uważając, żeby nie zgnieść biedactwa, zdołałem z powrotem włożyć but, a potem zacząłem obracać się na plecach jak wskazówka minutowa zegara. Po każdym ruchu waliłem w ściany stopami. Powtarzałem to raz za razem, dźwięk uderzeń był dziwnie stłumiony, a mnie zalewała taka rozpacz, iż miałem wrażenie, że spływa mi po łokciach i stopach.

Gdy usłyszałem trzask piątej ścianki, kopnąłem w nią po raz drugi. Drewno pękło w połowie, rozłupało się, wypadło na zewnątrz. Spojrzałem na swoje stopy, serce mi łomotało.

Naprzeciw mnie ział prostokątny szary otwór.

Natychmiast się obróciłem i wyjrzałem na zewnątrz. Moja euforia prędko znów zmieniła się w przerażenie.

Otwór prowadził donikąd – niespełna metr dalej była tylko następna ściana z drewna.

To chyba kolejna skrzynia.

Przecisnąłem się przez dziurę. Było tu nieco więcej światła i nieco więcej miejsca, chociaż większość przestrzeni pośrodku zajmowała moja poprzednia trumna. Tu również nie mogłem usiąść – sufit znajdował się tylko kilka centymetrów wyżej. Poczłogałem się na brzuchu wzdłuż zewnętrznej granicy, a kiedy dotarłem do otworu, z którego przed chwilą wyszedłem, wiedziałem, że miałem rację: znajdowałem się w kolejnym drewnianym sześcioboku.

Co to miało być? Piekło złożone z trumien, zbudowane jak rosyjska matryoszka: jedna w drugiej i tak dalej, w nieskończoność? A może gierka psychologiczna według grafiki M.C. Eschera? Scena z filmu Cordovy? Próbowałem przypomnieć sobie każdą scenę z każdego filmu, ale wiedziałem, że czegoś takiego nie widziałem nigdy.

Skoro wydostałem się z pierwszej, to z drugiej też się wydostanę. Oparłem się plecami o pierwszy sześciobok, ułożyłem stopy na zewnętrznych ścianach, a potem, tak jak poprzednio, kopałem kolejno w każdą płytę, przesuając się po obwodzie.

Zrobiłem w ten sposób jedno, drugie, trzecie okrążenie. Nie ustąpiła ani jedna ścianka.

Przyjrzałem się pierwszej trumnie. W słabym świetle widziałem gładkie drewno pomalowane czarną farbą. Nagle ten obraz zbudził wspomnienie ukryte głęboko w zatopionych ulewą piwnicach mojego umysłu.

I wtedy do mnie dotarło. Już dokładnie wiedziałem, gdzie wcześniej miałem okazję to zobaczyć.

Olśnienie było dla mnie takim wstrząsem, że poczułem, jak odrywam się od tej wątej rzeczywistości, której zdołałem się ucześcić, spadam w tył, wiruję w zimnej, ciemnej przestrzeni.

„Oto ona – powiedział kiedyś Beckman. – Tajemnicza granica między rzeczywistością a fantazją... Bo każdy z nas ma taką

skrzynkę, taką mroczną komorę, w której chowamy to, co przebiło nam serce. Jest tam przyczyna wszystkiego, co robimy, wszystkich naszych dążeń, wszystkich ran, jakie zadajemy swemu otoczeniu. A gdyby ją otworzyć, czy coś byśmy uwolnili? Nie. Bowiem tym niezdołym więzieniem o niemożliwym zamku jest nasz własny umysł”.

Właśnie teraz taka skrzynka leżała na stoliku w salonie Beckmana obok stosów wyblakłych gazet i tacy z herbatą. To owa słynna zamknięta skrzynka należąca do zabójcy w *Tu na mnie czekaj*, cenny skarb mieszczący to, co złamało go w dzieciństwie. Pudełko, którego nigdy nie otwarto. Beckman przyłapał mnie na próbie sforsowania zamka. A gdy odwiedziłem go kilka tygodni temu, trzymałem je w dłoniach, potrząsałem nim, z przyjemnością słuchałem tego samego tajemniczego stukotu co dawniej i zastanawiałem się, cóż tam może być.

Ja sam. To terkotały moje kości. W tym, do czego chciałem zajrzeć, sam byłem teraz zamknięty.

Aż jęknąłem na myśl o tej ironii losu. Czułem, jak łzy zbierają mi się w oczach, jak płyną po twarzy. To było niewyobrażalnie okrutne zakończenie, kara iście w stylu Cordovy. Ten człowiek pokazywał mi, że istnieją tajemnice, które lepiej pozostawić nietknięte, w których prawdą jest właśnie nieznane. Próba rozwarcia ich siłą, wydobycia zawartości na światło dzienne, oznacza samozniszczenie.

Nagle ogarnął mnie tak wielki gniew, że zacząłem walić we wszystkie ściany, raz za razem, niczym jaszczurka usiłująca się wykluć. Naparłem plecami na sufit, usłyszałem, jak trzasnęła, jeszcze raz pchnąłem go ramieniem, poczułem, że ustępuje. Wdrapałem się i wyszedłem na podłogę. Zamrugałem w nieco silniejszym świetle, spoglądając na trzeci czarny sześciobok, w którym byłem uwięziony. Jak długo to jeszcze miało trwać? Ile było takich klatek? Uderzałem we wszystkie deski, dopóki któraś nie pękła, a potem następna. Wciąż uciekałem, wpełzałem przez roztrzaskane ściany, każda skrzynia ustępowała miejsca kolejnej, przedzierałem się w przód i w tył, w górę i w dół, nieraz tak

zdezorientowany, że musiałem usiąść, pozwolić kończynom spocząć na ziemi, wyczuć kierunek grawitacji, by przypomnieć sobie, gdzie góra, a gdzie dół.

Nie wiem, z ilu skrzyń się wydostałem – wydawało mi się, że z dziesiątek, w każdej światło było coraz jaśniejsze, coraz bliższe – kiedy nagle, gdy napałem plecami na sufit, urwała się podłoga.

Jasny blask, a ja leciałem, leciałem prosto w dół...

Wyciągnąłem ręce, w ostatniej chwili złapałem krawędź skrzyni i zawisłem rozpaczliwie, a płyta, którą właśnie rozbiłem, gruchnęła o ziemię.

Spojrzałem w dół i zamrugałem.

Może to mój wzrok słabł, może oczy przestały poprawnie rejestrować dużą głębię oraz przestrzeń, ponieważ miałem wrażenie, że zwisam ze szczytu drapacza chmur, a betonowe podłoże jest kilometr pode mną.

Skądś, przez jakieś niewidoczne okno, wlewało się jasne światło. Gdy wyciągnąłem szyję do góry, zobaczyłem, że znajduję się w olbrzymiej metalowej wieży. Niczym kawałek wydartej nitki dyndałem z otworu w dnie dużej drewnianej konstrukcji najwyraźniej zawieszona pod sufitem.

Nie było tu nic innego oprócz metalowej drabinki, która biegła od ziemi po stalowej ścianie i znikwała ponad tą skrzynią.

Musiałem dostać się tam na górę. Nie mogłem przedrzeć się po zewnętrznej. Żeby wspiąć się do wyjścia, należało najpierw wspiąć się do środka. Podciągnąłem się na łokcie. Konstrukcja groźnie się zachybotwała. Liny, na których była zawieszona, skrzypnęły nieprzyjemnie, jak gdyby całość dosłownie wisiała na włosku – jak gdybym ja sam wisiał na włosku.

Zdołałem wdrapać się do skrzyni. Poruszając się ostrożnie, tak, by wszystkiego nie zarwać, przeczołgałem się ponownie przez każdy otwór w każdym sześcioboku. Mdlilo mnie, gdy to robiłem, gdy włamywałem się z powrotem do skrzyń, z których właśnie się uwolniłem. Mój umysł protestował, kiedy wkoło słabło światło, tak jakby wraz z nim gasła nadzieja na ucieczkę. Na życie.

Kolejnych parę godzin spędziłem na poszukiwaniach alternatywnej drogi. Waliłem w inne ściany innych sześcioboków, usiłując znaleźć takie, które zaprowadzą mnie na górę – do drabinki.

Ale choćbym uderzał nie wiem jak mocno, żadna nie chciała ustąpić.

Nie mogłem oprzeć się myśli, że w swej wściekłości, w swym szale destrukcji niechcący zniszczyłem to właściwe wyjście, to jedyne, a teraz mogłem tylko czekać na to, co nieuchronne.

Czas stał się mleczną cieczą, po której bezwładnie dryfowałem, jej leniwy prąd niósł mnie coraz dalej od tej skrzyni, tam i z powrotem.

Potem zorientowałem się, że leżę na prawym boku i wyglądam przez otwór, który wybiłem w pierwszej trumnie. Moją uwagę zwróciło gwałtowne furkotanie, wybudziło mnie ze snu.

Ćma.

Zapomniałem o niej. Poczułem niewysłowioną ulgę na jej widok, na myśl, że nie jestem sam. Dreptała po suficie, ale spadła, a potem spokojnie się podniosła i ponownie ruszyła ku jednej ze ścian. Pochyliłem się i delikatnie wziąłem ją do ręki. Kiwając czułkami, zaczęła chodzić wkoło, badać granice swojej nowej klatki, którą była oczywiście moja dłoń.

A więc tu umrę. Zostawię to moje małe życie.

Było prawie nieznoszone. Traktowałem je jak garnitur, który wkłada się tylko na szczególne okazje. Zwykle trzymałem je na dnie szafy, zapomniałem, że w ogóle tam jest. Umierać powinno się wtedy, kiedy szwy ledwie już trzymają, kiedy łokcie i kolana umazane są trawą oraz błotem, a poduszki na ramionach pogięte od ciągłych objęć ludzi, od ulewnych deszczy i skwarne słońca, gdy materiał wyblaknie, gdy brakuje guzików.

W moich myślach pojawiła się Sam.

Pojawiła się tak jak zwykle, przytuptała do mnie na tych swoich bosych brązowych stópkach, z tą swoją mądrą buzią, spojrzała na mnie z góry i zmarszczyła nos. Co sobie pomyśli,

kiedy Cynthia powie jej, że zniknąłem? Stanę się tajemnicą, w którą będzie musiała tchnąć życie. Bohaterem, odkrywcą, który zaginął na pełnym morzu, szukając skarbów, dzielniejszym niż kiedykolwiek byłem naprawdę. Albo nie – będę jamą w jej sercu, którą Sam zamuruje i zalepi tapetą, obwiesi obrazkami i zastawi kwiatkami w doniczkach, tak żeby nikt się nigdy nie domyślił, że po drugiej stronie jest zatęchła, pusta przestrzeń.

Słyszałem głos Beckmana, jakby nagle tu był, jakby spojrzął z powątpiewaniem na otaczające mnie ściany, a potem chlapnął wódkę z kieliszka, który trzymał w dłoni. „McGrath, czy ja cię nie ostrzegałem, że pochwycić Cordovę to jak próbować zamknąć cień w słoiku? Chciałeś prawdy. Oto ona. Skrzynie w skrzyniach. Skąd miałeś pewność, że zdołasz go rozszyfrować? Że na pytania o niego w ogóle istnieją odpowiedzi?”

Ale co takiego krzyczał, gdy przyłapał mnie na tym, że po pijaku próbowałem sforsować zamek sześciokątnej skrzynki? „Zdrajca!”. „Filister!”. Lecz zanim zatrzasnął mi drzwi przed nosem, powiedział coś jeszcze.

„Nawet nie widziałeś, gdzie się ją otwiera”.

To była wskazówka, że nie widzę wszystkiego, nie dostrzegam pełnego obrazu, że jestem na coś ślepy, że wyjście nie jest wyjściem.

Że byłem w błędzie.

Zauważyłem, że ćma zdołała wlecieć mimo zranionego skrzydełka. Znowu pełzła po suficie pierwszej skrzynki. Wetknąłem głowę do środka i patrzyłem. Krążyła w kółko, potem się zatrzymała, poruszając czułkami i odnóżami, a wreszcie prześlizgnęła się przez otwór w drewnie i zniknęła mi z oczu.

Wyciągnąłem ręce, powiodłem dłońmi po suficie, namacałem to miejsce, przez które przeszła ćma, otwór wielkości ziarenka ryżu. Przesunąłem po nim palcami i wyczułem coś jeszcze, nacięcie. Zacząłem grzebać w swym ubraniu, które wydawało mi się dziwnie obce, oderwane ode mnie, jak gdybym szperał w kieszeniach innego człowieka, człowieka nieprzytomnego albo

martwego. Szukałem narzędzia, którym mógłbym się posłużyć, ale jedynym twardym przedmiotem był jakiś wisiorek.

To medalik ze świętym Benedyktem od Nory. Zerwałem go z szyi, wetknąłem metal w szparę, a potem stopniowo przeciągnąłem wzdłuż rowka. Kiedy pokonałem w ten sposób cały obwód, już wiedziałem, że to swego rodzaju okrągłe drzwi. Udało mi się unieść drewno na kilka centymetrów, na tyle, żeby wcisnąć palce pod spód. Kolistą płytą obluźowałem mi się w dłoniach, wypadła.

Patrzyłem w czarną rurę całkowicie pozbawioną światła. Na końcu nie było widać absolutnie nic. Wyciągnąłem ramiona, przesunąłem rękami po gładkich metalowych ścianach, niechcący potrąciłem cinę.

Spadła mi na policzek.

Obróciłem się, wziąłem ją na dłoń i sprawdziwszy, czy nic się jej nie stało, schowałem ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza, licząc na to, że tam będzie cała i zdrowa. Potem wepchnąłem się w rurę. Była przerażająco ciasna, czułem się jak uwięziony w starym kanale wentylacyjnym. Nie znalazłem tam żadnych szczebli, po których można by się wspiąć, niczego, co dało się chwycić. Mogłem tylko na oślep przesuwać się wzwyż, jak najmocniej przywierając do boków i zapierając się stopami. Po kilku metrach natrafiłem na ścianę.

Naparłem na nią. Łatwo ustąpiła, więc odepchnąłem ją i zamrugałem oślepiony jasnym światłem.

Metalowa drabinka przymocowana do sufitu znajdowała się dokładnie nad moją głową.

Wydźwignąłem się na wierzch drewnianego sześcioboku i rozejrzałem się dokoła. Skrzynia, na której stałem, była idealną repliką skrzynki w salonie Beckmana. Światło wlewało się wąskimi oknami w suficie. Nie widziałem przez nie drzew ani nieba, jedynie biały blask. Nie umiałem stwierdzić, czy to sztuczne oświetlenie, czy słońce.

Zrobiłem kolejny krok. Nagle wszystko zadrżało i rozległ się ostry trzask.

Zdażyłem podnieść ręce i zacisnąć dłonie na szczeblu drabinki. Cała sześcioboczna skrzynia zakołysała się pod moimi stopami, jeszcze przez moment dyndała na resztkę sznurka, a potem się urwała. Runęła w dół: wirująca czarna skrzynia spadająca z nieba. Usłyszałem dźwięk zasysanego powietrza, a potem huk eksplozji, kiedy skrzynie roztrzaskały się o ziemię.

Nie czekałem, nie patrzyłem w dół. Bujałem się ze szczebla na szczebel, zdążając ku ścianie przede mną, gdzie drabina wyginała się ku dołowi. Z zaskoczeniem zauważyłem, że maleńka biała ćma wydostała się z kieszeni mojego płaszcza. Pełzła mi teraz po ramieniu, po mankiecie rękawa, po szybce zegarka.

Wciąż była dopiero 19.58.

Dotarłszy do ściany wieży, rozpocząłem drogę w dół. Szczeble drabinki ochoczo przesuwwały się pod moimi dłońmi i butami. Z czasem jednak stwierdziłem z przerażeniem, że choć wciąż się przemieszczam, przysypana stertą roztrzaskanego drewna ziemia wcale się nie zbliża. Nigdy do niej nie dotrę, nigdy nie poczuję pod stopami jej twardości, nigdy się nie obudzę.

Wtem nie znajdowałem się już na metalowej drabince.

Potyając się, pędziłem gorączkowo kolejnym czarnym korytarzem. Wyglądał dokładnie tak jak ten wiodący na rozstaje. Czy siedłem nim całymi dniami, a nie mogąc dotrzeć do końca, po prostu położyłem się na ziemi i zasnąłem?

A może zemdlałem na kanapie w salonie na planie *Zgniatacza kciuków*?

Raptem dotarłem do ściany z drabiną. W górze znajdowała się kolejna kłapa. Wspiąłem się, odsunąłem na bok rygle i otworzyłem ją.

Byłem w opuszczonej fabryce, otaczały mnie kolosalne maszyny o pordzewiałych ostrzach, stosy okorowanych bali oraz gruz. Wygramoliłem się z wjazdu i pogałem przez podłogę pokrytą wiórami i trocinami w kierunku niedużych drzwi...

Co się ze mną działo, do cholery? Byłem na dworze, biegłem przez pole traw sięgających mi po pas, przez stare tory kolejowe. Mijałem pędem opuszczony wagon służbowy, na którym ktoś

namalował sprejem kolejnego czerwonego ptaka, i nagle zorientowałem się z zaskoczeniem, że cały czas biegnę z zamkniętymi oczami.

Otworzyłem je.

*

Jaskrawe słońce trzasnęło mnie w oczy.

– On chyba nie żyje.

– Gościu, słyszysz mnie?

Coś ostrego dźgnęło mnie w ramię.

– O Boże. Nie ruszaj go. Robaki po nim łążą.

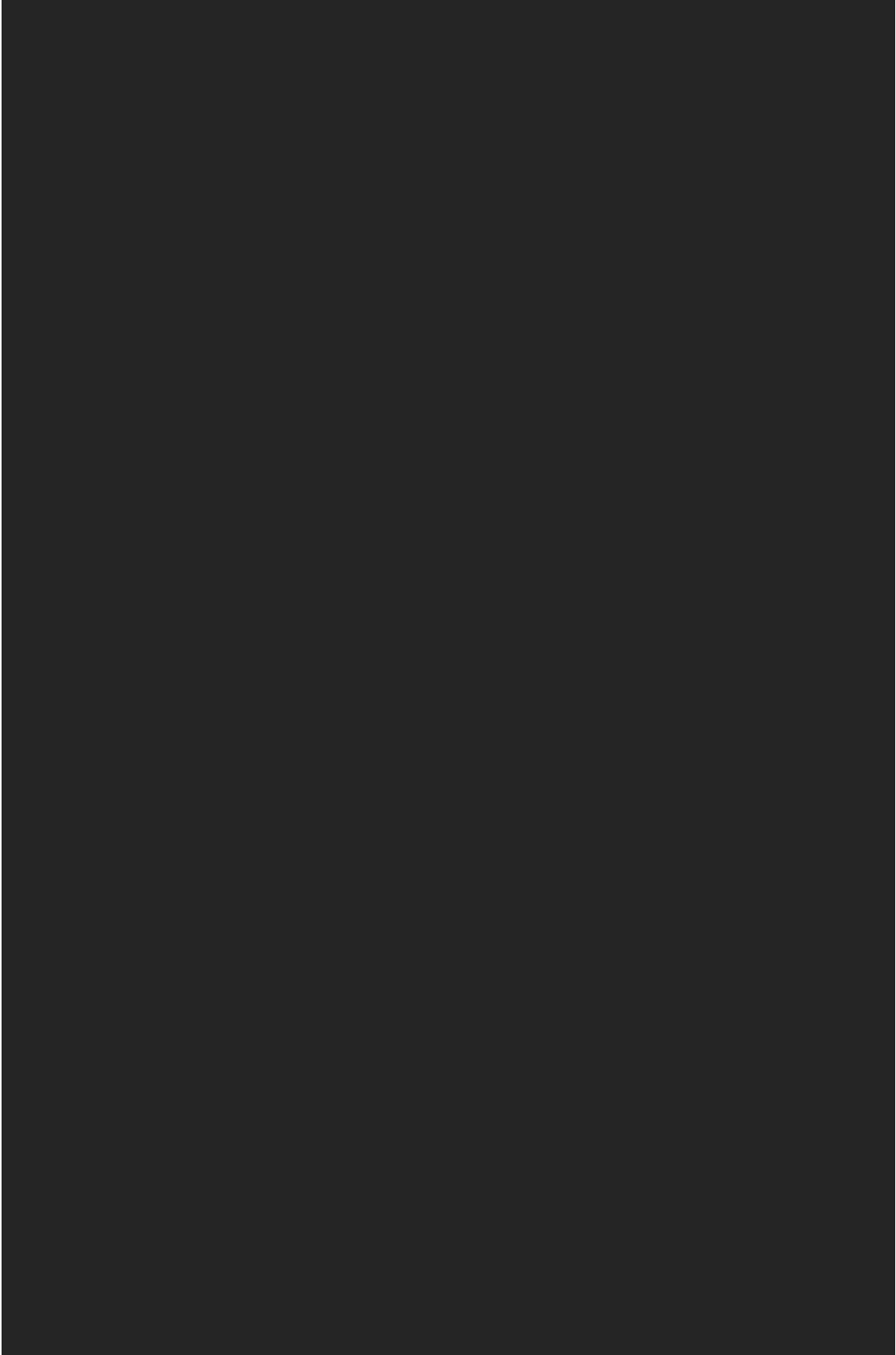
– To nie robak. To ćma.

Otworzyłem usta, żeby się odezwać, ale nie byłem w stanie. Gardło piekło mnie tak, jakby ktoś je przypalał. Powoli odzyskiwałem wzrok. Leżałem na boku w błotnistym rowie. Nade mną stało dwoje nastolatków, chłopak i dziewczyna. Chłopak chyba właśnie szturchnął mnie długim patykiem. Za nimi na poboczu drogi stało niebieskie kombi.

– Wezwać panu karetkę? – zapytała dziewczyna.

Obróciłem się na plecy. We łbie mi pulsowało. Zmierzyłem sam siebie mętym wzrokiem, żeby zlustrować stan rzeczy. Miałem na sobie gruby płaszcz, sztruksowe spodnie, buty turystyczne i skarpetki w romby, wszystko to umazane czarnym błotem. W prawej dłoni, pokrytej ziemią, coś ścisnąłem. Nie miałem w niej czucia, jakby ktoś połamał mi kości, a palce spuchły i zesztyniały, ponieważ nie chciały zwolnić uchwytu na przedmiocie, który trzymały tak stanowczo i który okazał się mosiężnym kompasem o stłuczonej szybce.

I żyłem.



– Nie było cię trzy dni – powiedziała Nora.

Tylko na nią patrzyłem, nie mogąc nic powiedzieć.

Zaginąłem na Szczycie na trzy dni. Jak to możliwe?

Fakt, że teraz siedzieliśmy razem we trójkę, cali i zdrowi, skuleni w ustronnym boksie prowincjonalnej restauracji Dixie's Diner, również był osobliwy. Ostatnie cztery godziny były tak mętne, że zastanawiałem się, czy między wydarzeniami w realnym świecie a moją percepcją jest minutowe opóźnienie.

Gdy w tamtym błotnistym rowie dźwignąłem się na nogi, udało mi się przekonać parę nastolatków, by nie wzywali policji, tylko podwieźli mnie do motelu Evening View w Childwold. Zgodzili się z dużym entuzjazmem, chyba przekonani, że wkrótce będzie o mnie głośno w lokalnych wiadomościach, a oni zasłyną jako świadkowie. Po drodze oznajmili mi radośnie, że właśnie uczestniczyli w akcji sprzątnięcia świata zorganizowanej przez ich szkołę. Znaleźli mnie, kiedy zbierali śmieci przy drodze.

– Myśleliśmy, że pan nie żyje – powiedział chłopak.

– Jaki dziś dzień? – zdołałem zapytać.

– Sobota – odparła dziewczyna, rzucając chłopakowi przerażone spojrzenie.

Sobota? Jezu Chryste. Włamaliśmy się na Szczyt w środę nocą.

Znaleźli mnie przy drodze na Mount Arab, niedaleko szosy stanowej numer 3 i jeziora Tupper, które – co wiedziałem dzięki studiom wielu map okolicy – leżało w odległości około dwudziestu trzech kilometrów samochodem od jeziora Lows i mniej więcej trzydziestu od Szczytu. Czy biegłem przez las i straciłem przytomność? A może ktoś mnie tu przywiózł i porzucił na poboczu jak worek śmieci?

Nie miałem pojęcia. Moje wspomnienia wydawały się zdemolowane, porwane i pomięte, rozrzucone w mojej głowie na chybił trafił.

Kiedy dzieciaki spytały, co mi się stało, wykręciłem się wymówką, że zeszłej nocy na wieczorze kawalerskim za dużo wypłem i zgubiłem przyjaciół. Im dłużej jednak jechaliśmy, tym bardziej dezorientacja własnym losem oraz miejscem, w którym

się obudziłem, przeradzała się w paranoję na temat terażniejszości, nie wyłączając tej pary nastolatków, która przypadkiem mnie znalazła. Było w nich coś aż nazbyt wyrazistego – począwszy od pacyfki narysowanej niebieskim atramentem na jego ramieniu przez jej bosc stopy z paznokciami pociągniętymi złotym lakierem, oparte o drzwiczki schowka, aż po sposób, w jaki pogłośnił radio, kiedy leciało *Tangled Up in Blue* Dylana. Przypominali jaskrawo namalowane postaci z kolejnego filmu Cordovy. Z powodu tego podejrzenia serce waliło mi z niepokojem, gdy siedziałem na tylnym siedzeniu wpatrzony w ozdobę w kształcie liścia marihuany dyndającą z lusterka wstecznego.

Nie dowierzałem, że naprawdę uwolniłem się ze Szczytu, dopóki nie zajechaliśmy na parking motelu Evening View. Podziękowałem dzieciakom, wysiadłem z auta, a potem poczekałem, aż wrócą na szosę i się oddalą, zanim podszedłem do pokoju numer 19.

Przez chwilę po prostu patrzyłem na drzwi, zastanawiając się, co zastanę po drugiej stronie.

Pusty pokój, nietknięty, odkąd go opuściliśmy? Czy też zajmował go teraz obcy człowiek, który stwierdzi, że mieszka tu od wielu tygodni, a po Hopperze i Norze nie będzie ani śladu? A może otworzy mi jedna z postaci w czarnych szatach i koszmar rozpocznie się od nowa?

Zapukałem. Długo była cisza.

A potem drzwi, zabezpieczone od wewnątrz łańcuchem, uchyliły się odrobinę – ktoś przez nie wyjrzał. Znowu się zamknęły, łańcuch zazgrzytał i nagle Nora ścisnęła mnie za szyję. Tuż za nią pojawił się Hopper, bez słowa zagnał nas do środka, jeszcze tylko podejrzliwie zmierzył wzrokiem parking, a potem zatrzęsął drzwiami i zamknął je na klucz.

W pierwszej kolejności postanowiliśmy wymeldować się z motelu, wsiąść do samochodu i czym prędzej stąd wyjechać. Nora była podniecona i zauważyłem, że ma na policzkach okropne zadrapania. W kółko powtarzała: „Co się z tobą stało?”

Myśleliśmy, że cię dorwali. Myśleliśmy...”. Ale Hopper warknął tylko, że powinniśmy się stąd natychmiast wynosić i że pogadamy potem. Lakonicznie wyjaśnił, że zauważył poobijanego brązowego pontiaca, który krążył po parkingu.

– To na pewno oni – mruknął, zapinając szarą bluzę z kapturem, a potem z łóżka wziął swoją manierkę. – Ma ciemne szyby. Wygląda jak z lat siedemdziesiątych. A do tego brakuje mu jednego reflektora.

Kiedy patrzyłem, jak oboje śmigają po pokoju, pospiesznie chowając ubrania, kosmetyki i jedzenie do plecaków, uświadomiłem sobie, że nie mam swojego.

Gdzie się podział? Ściągnęły mi go te postaci.

Zamroczony stanąłem przed lustrem obok jednego z łóżek. Zobaczyłem, że wciąż mam na sobie płaszcz Brada Jacksona w jodełkę. Był potwornie ciężki nie tylko ze względu na wilgotność oraz błoto, ale także kieszenie wypełnione różnymi przedmiotami. Jednego z nich – stwierdziłem, wyjmując go z obrzydzeniem – w ogóle nawet nie poznawałem, nie mówiąc o tym, że nie pamiętałem, bym go brał.

A potem ujrzałem swoją twarz. Zrozumiałem przerażenie nastolatków, a także zmartwione spojrzenia Nory i Hoppera.

Wyglądałem jak szaleniec. Nie dało się tego opisać inaczej.

W łazience zmyłem z siebie rozmazane błoto. Patrzyłem, jak gęsta maź wiruje w odpływie umywalki.

Prędko opuściliśmy motel. Za kierownicą usiadł Hopper.

Mieli jeepa, ale nie mieli łódki. Chciałem ich o to zapytać, ale nagle poczułem się tak bardzo zmęczony, że nie miałem siły. Hopper jechał w taki sposób, jakby ktoś nas śledził, gnał wyludnionymi drogami, zerkając w lusterko wsteczne. Za oknami przemykały sosny, klony i puste pola. Nora siedziała spokojnie obok niego z dłońmi złożonymi na kolanach.

– Widziałeś tego pontiaca? – szepnęła.

Pokręcił głową.

Mniej więcej po trzech godzinach jazdy Nora wskazała palcem biały domek przycupnięty na poboczu – DIXIE’S DINER,

DOMOWE JEDZENIE PYSZNE SZALENIE! Parking był pełen aut. Dopiero wtedy poczułem, że chyba wracam do normalności. Moja prawa ręka zaczęła wykazywać znaki życia. Mrowiła, jakby była pełna igieł. Znowu mogłem poruszać palcami, ale dłoń, tak długo ściskająca kompas, pozostała spuchnięta. Koszmar Szczytu przysychał niczym czarna woda, w której tam pływałem, a teraz parowała z mojej skóry, pozostawiając cieniutką powłokę.

Wszyscy troje weszliśmy do restauracji. Hopper poprosił kelnerkę o boks na tyłach lokalu.

– Co ci się stało w ręce? – wypaliła Nora po drodze do stolika.

Nie wiedziałem, co ma na myśli. Już wcześniej zdjąłem płaszcz i podwinąłem rękawy, a teraz zobaczyłem, że moje przedramiona pokrywa potworna wysypka. Gdy siadaliśmy w boksie, Nora powiedziała:

– Czekaliście na ciebie przez trzy dni.

– Chryste – jęknął Hopper. – Daj mu zjeść.

Zamówiliśmy posiłek. Z ich chaotycznej, nerwowej opowieści zdołałem wywnioskować, że przez trzy dni mojej nieobecności przeszukali tylko kilka dróg wokół Szczytu, poza tym jednak byli zbyt przerażeni i za bardzo martwili się o mnie, by ruszać się z motelu. Nie wrócili razem. Nora dotarła do pokoju jako pierwsza, o piątej rano po tej nocy, gdy włamaliśmy się na teren posiadłości. Hopper pojawił się dopiero wieczorem, po osiemnastej. Przyjechał jeepem.

– Już myślałam, że będę musiała iść na policję – opowiadała Nora. – Nie miałam pojęcia, co im powiem. „Włamaliśmy się bezprawnie na teren takiej jednej posiadłości i moi wspólnicy dostali się tam do niewoli”? Miałam numer do tej twojej znajomej policjantki, Sharon Falcone. Nie odbierała.

– Mają państwo ochotę na deser? – zapytała kelnerka, która nagle pojawiła się przy naszym stoliku.

– Poproszę jabłecznik – odparłem ochryple.

– Coś jeszcze?

Nora i Hopper spojrzeli na mnie z zaskoczeniem. Sam byłem zdziwiony. Po raz pierwszy zdołałem powiedzieć coś normalnym

głosem.

Zamówili jabłecznik i kawę, a potem, gdy kelnerka je przyniosła, Nora, podczas posiłku taka ożywiona i gadatliwa, zupełnie zamilkła. Dotykała zadrapań na policzku, jakby chciała się upewnić, że wciąż tam są. Hopper zdawał się pogrążony w myślach. Wtedy nie miałem już wątpliwości: nie byli tak po prostu zaniepokojeni moją trzydniową nieobecnością. Sami również przeżyli coś dziwnego.

Rozglądając się dokoła, zauważyłem też z niepokojem, że Dixie's Diner, jeszcze kilka minut temu tak gwarny i wesoły, niespodziewanie się wyludnił.

Zostaliśmy tam tylko my troje oraz starszy zgarbiony mężczyzna przy barze ubrany we flanelową koszulę w zielono-czarną kratę, równie chudy i poskręcany jak jego laska oparta tuż obok. To było zupełnie tak, jakby to, co zaraz mieliśmy sobie powiedzieć, szepty o Szczycie, już teraz wypełniły powietrze, już teraz poniosły się z naszych ust, pogrążając lokal w mroku, więc każda niewinna, beztroska osoba podświadomie wyczuła, że pora stąd wyjść.

– Zacznijmy od łódki – powiedziałem.

– Nie wiemy, co się z nią stało – odparła Nora. – Chyba oni ją zabrali.

– Oni?

– Ci ludzie, którzy tam mieszkają.

Niepewnie zerknęła na Hoppera. Nic nie dodał, przełożył tylko palec wskazujący przez ucho kubka z kawą i zmarszczył czoło.

– Prosiłem, żebyś poczekała na mnie nad wodą – powiedziałem do Nory.

– Taki miałam zamiar. Ale gdy zbiegałam ze wzgórza, zgubiłam drogę i zboczyłam za bardzo na północ. Kiedy zawróciłam w stronę łódki, ktoś złapał mnie za ramię od tyłu. Wrzasnęłam, spryskałam go gazem pieprzowym i po prostu uciekłam.

– Czy widziałaś jego twarz? – A więc ten krzyk, który słyszałem, to była Nora.

Pokręciła głową.

– Miał latarkę. Oślepił mnie nią. Biegłam i biegłam, aż wreszcie zorientowałam się, że nikt mnie nie goni. Po godzinie dotarłam do drogi gruntowej, która wiła się przez las. Ruszyłam nią, bo miałam nadzieję, że zaprowadzi mnie poza teren posiadłości i będę mogła pójść po pomoc.

Nora gwałtownie zamilkła i znów z niepokojem zerknęła na Hoppera.

– I zaprowadziła? – zapytałem. Zaprzeczyła ruchem głowy. – A dokąd? – ponagliłem, gdy nic nie mówiła.

– Na betonowy plac. Stał tam stary pick-up. Pośrodku znajdowały się gigantyczne metalowe skrzynie. Pięć w jednym rzędzie. Najpierw myślałam, że to elektrosiłownia, która wytwarza prąd dla całej posiadłości. Albo może jakieś pułapki na dzikie zwierzęta. Wyglądały okropnie. Ale potem poczułam dym. Podeszłam bliżej i poświeciłam latarką. Wszystkie miały zardzewiałe drzwiczki i sterczące kominy. Na ziemi wszędzie leżał bladoszary pył. Dopiero deptając po nim, zrozumiałam, że to popiół. Te skrzynie to były piece do spalania. Ktoś niedawno ich używał, bo czułam od nich ciepło.

Piece do spalania.

Nagle przypomniałem sobie tunele odbijające się od podziemnej wnęki, osmalone wejścia i niezgrabne napisy nagryzmołone nad nimi białą farbą. Nie mogłem w to uwierzyć i nie wiedziałem, jak to możliwe, ale pamiętałem je wszystkie – niczym refren piosenki śpiewanej w dzieciństwie, której słowa wyryły się w głowie na zawsze.

Stróżówka. Rezydencja. Jezioro. Stajnie. Punkt obserwacyjny. Trofeum. Pincoya Negro. Cmentarz. Pani Peabody. Laboratorium. Z. Rozstaje.

Nora zmarszczyła brwi.

– Pamiętam, że Nelson Garcia, ten sąsiad z przyczepy, z którym rozmawiałeś, opowiadał, że Cordovowie palą wszystkie śmieci. Podeszłam do jednego z pieców, otworzyłam drzwiczki. Zobaczyłam tylko czarne ściany i całe stosy popiołu. Zapach był obrzydliwy. Syntetyczny, ale słodki. Otworzyłam pozostałe, rozgrzebałam popiół patykami, żeby sprawdzić, czy coś zostało. Nic, absolutnie. Potem rozejrzałam się po ziemi. Szukałam śladu tego, co tam niszczyli, zadając sobie tyle trudu. Dopiero w pick-upie coś znalazłam.

– Co?

– Szklaną fiolkę jak do pobierania krwi u lekarza. Była wetknięta z boku skrzyni. Wyglądała na pustą, ale miała małą różową naklejkę z symbolem zagrożenia biologicznego. Pewnie tym pick-upem zwozili skądś na Szczycie odpady medyczne albo toksyczne śmieci do pieców. Fiolka musiała wypaść przypadkiem. – Nora odetchnęła. – Przyszło mi do głowy, że może cała okolica jest skażona. Zrobiło mi się niedobrze, więc uciekłam. – Wpatrywała się w blat stolika. – Miałam poczucie, że ktoś mnie śledzi, ale gdy się odwracałam, za każdym razem nikogo nie było. Kiedy doszłam do płotu, w ogóle się nie zastanawiałam, tylko zaczęłam się wspinać. Nic mnie nie obchodziło, czy zginę, potnę się albo porazi mnie prąd. Przelazłam przez drut ostrzowy, w ogóle nic nie poczułam.

Chciałam się stamtąd wydostać i nie było takiej siły, która by mnie powstrzymała.

– Jak dotarłaś do motelu?

– Doszłam do asfaltowej drogi. To było koło czwartej nad ranem. Zatrzymało się przy mnie czerwone kombi, prowadziła je drobniutka starsza pani. zaproponowała, że mnie podwiezie. Byłam przerażona. Myślałam, że to na pewno ktoś z tych miejscowych. Nawet wyglądała jak wiedźma, miała zieloną bluzkę i mnóstwo pierścionków. Ale byłam taka zmęczona, a ona wydawała się taka słaba, że wsiadłam. Przywiozła mnie do motelu, powiedziała: „Uważaj na siebie, dziewczyno” i tyle. Nic się nie stało. Dowlokłam się do pokoju, a potem spałam przez trzynaście godzin.

Wpatrywałam się w Norę. Czuję, jak nadciąga kolejny ból głowy, lecz usiłowałam się skupić, myśleć. Fiolka do pobierania krwi? Odpady medyczne? Skąd u Cordovy takie rzeczy – do kolejnego filmu?

Wzmianka o Nelsonie Garcii przypomniła mi o jeszcze jednym zdarzeniu: pomyłkowej dostawie sprzętu medycznego do jego przyczepy. Przez całe śledztwo nie dowiedzieliśmy się niczego, co potwierdziłoby tę jego opowieść oraz przypuszczenie, że na Szczycie znajduje się ktoś chory lub ranny – być może aż do tej pory, kiedy Nora natrafiła na piece.

Hopper słuchał poirytowany i nieobecny, czasem tylko wbijał w nią wzrok, kiedy podawała jakieś szczegóły – gdy użyła określenia „piece do spalania”, gdy wspomniała o naklejce „zagrożenie biologiczne”.

– A ty? – zwróciłem się do niego. – Co się działo z tobą?

– Hopper dostał się do rezydencji – wypaliła Nora z podnieceniem. – Znalazł pokój Ashley...

– Nie wiem, czy to na pewno był jej pokój – zaprotestował Hopper.

– Ależ oczywiście, że wiesz. – Wyraźnie zaskoczona tą jego nagłą powściągliwością nachyliła się do mnie. – Znalazł listy, które do niej pisał. Te, na które nigdy nie odpowiedziała. Były

bezpieczne, uporządkowane, trzymała je tuż obok łóżka. Pewnie czytała z milion razy. A na biurku stały ich wspólne zdjęcia. Potem Hopper znalazł jej pokój do ćwiczeń...

– Nie wiem, czy to był jej pokój do ćwiczeń...

– Ale na fortepianie znalazłeś skomponowany przez nią utwór pod tytułem *Tygrysia Stopa*.

– *Tygrysia Stopa*? – powtórzyłem zdziwiony.

– To imię plemienne Hoppera znad Sześciu Srebrnych Jezior.

Hopper był wściekły.

– Nie wiem, co tam znalazłem, rozumiesz? Nie wiem.

– Jak się dostałeś do środka? – zapytałem.

– Wspiąłem się na dach. Znalazłem niezamknięte okno.

– Jak było w środku? Dom wyglądał na opuszczony?

– Nie. Było... ładnie. – Odgarnął włosy z oczu i chyba nie chciał mówić dalej, ale przyglądałem mu się wyczekująco, więc westchnął. – Dom był jak zamek. Gigantyczny. Ponury w chuj. Ściany obłożone mahoniem. Gobeliny z jednorożcami. Łby niedźwiedzi szczerzących kły. Obrazy przedstawiające powódź, zamęt i cierpiących ludzi. Drewniane krzesła wielkie jak trony. Miecze rycerskie na ścianach, żelazny żyrandol z wypalonymi białymi świecami oblepiony woskiem. Nie żebym miał czas się rozejrzeć. Ktoś wpuścił psy z powrotem do środka. Znalazłem schody na tyłach domu, uciekłem do piwnicy i wpadłem do pierwszego niezamkniętego pokoju. Chowałem się tam godzinami.

– Był pełen tysięcy szaf na akta – dodała Nora.

– Szaf na akta? – powtórzyłem. – Co w nich było?

– Fotosy aktorów. Miliony zdjęć i życiorysów z dziwnymi notatkami na odwrocie. – Czekala, aż Hopper mi to wyjaśni, ale i tym razem wydawał się rozwścieczony jej otwartością.

– Co to były za notatki? – naciskałem, gdy oboje milczeli.

– Szczegóły osobiste.

– To znaczy?

– Przeszłość. Fobie. Sekrety.

– To na pewno aktorzy, których Cordova rozważał do ról – powiedziała Nora. – Przypomniało mi się przesłuchanie, które opisała Olivia Endicott. Pamiętacie, jak zadawał jej dziwne, osobiste pytania? – Zerknęła na Hoppera. – Jak się nazywała ta aktorka, o której mi mówiłeś? Shell Baker?

– Jej zdjęcie pochodziło chyba z lat siedemdziesiątych. Na odwrocie ktoś napisał: „Brak rodziny oprócz brata w marynarce wojennej, nie cierpi kotów, ma cukrzycę, nie lubi być sama, niedoświadczona seksualnie”. A na innym coś w stylu: „Wychowana w Teksasie, wypadek samochodowy w wieku pięciu lat, potem przez rok w gorsecie, boleśnie nieśmiała”.

– Wzięłeś coś ze sobą? – zapytałem.

To pytanie chyba go zirytowało.

– Po co?

– Jako dowód.

– Nie. Odłożyłem na miejsce i zwiąłem.

– A potem Hopper znalazł salę tortur – palnęła Nora.

– To nie była sala tortur – sprostował ze złością. – Po prostu w następnym pomieszczeniu w piwnicy była kupa drewnianych ram i desek, metalowych uzd, antyków... Nawet nie mam pojęcia, do czego połowa tego cholerstwa mogła służyć. Wymknąłem się stamtąd i zakradłem po schodach na drugie piętro. Znalazłem pokój, który chyba należał do Ashley, a kiedy się tam rozglądałem, niechcący przewróciłem lampę. Ktoś to musiał usłyszeć, bo wszedł po schodach. Schowałem się w szafie, a ten ktoś, chyba kobieta, krążył po pokoju. Postawiła lampę i wyszła. Tylko że zamknęła mnie w środku. Nie mogłem otworzyć drzwi od wewnątrz. Zamierzałem odkręcić klamkę, a wtedy po drugiej stronie usłyszałem psa. Na pewno wiedział, że tam jestem. Ale nie czekał. Pokój miał ogromne okna wykuszowe z widokiem na wzgórze i Staw Gravesa, kiedy jednak wyszedłem na parapet, pode mną był pionowy spadek. Spędziłem w tym pokoju całą noc, siedziałem cicho i czekałem, aż pies sobie pójdzie. Około piątej rano ktoś na niego zagwizdał, więc zbiegł na dół. Odkręciłem klamkę, a potem udało mi się

wyść z domu, nie spotykając nikogo po drodze. Dotarłem najkrótszą drogą do łódki, lecz oczywiście jej nie było. Wobec tego ruszyłem wzdłuż tego samego strumienia, którym wpłynęliśmy na posiadłość. Zgubiłem się. Wlazłem głęboko na bagna, w końcu brnąłem po pierś w błocie. Trafiłem na jakieś obozowisko. Patrzyli tam na mnie, jakby zobaczyli potwora z Loch Ness. Powiedzieli, że jestem nad Stawem Hitchinsa, który znajduje się na wschód od jeziora Lows. Do jeepa dotarłem około szóstej wieczorem.

– Czy sądzisz, że w domu mieszka ktoś z Cordovów? – zapytałem.

– Nie. Sypialnie rodziny były na górnym piętrze. W nocy nikt tam nie spał. Ci ludzie z psami to chyba dozorczy. Zresztą nie widziałem ich z bliska.

– Nie wchodziłeś do innych pomieszczeń w piwnicy?

– Nie. Były zamknięte.

– A na górze? Widziałeś coś niezwykłego?

Skinął głową z posępną miną.

– Natrafiłem na zamknięte skrzydło na tyłach domu. Krętymi schodami wchodziło się do apartamentu w wieży. W połowie był całkiem nowy. Zupełnie świeże deski w podłodze. Widziałem, w którym miejscu nowe stykają się ze starymi. Zastanawiałem się, czy odnowiono go po pożarze. Może to tam mieszkał Pająk. Ale w środku nic nie było. Ani fotografii, ani koloratki. Nic.

– A ten pontiac, którego widziałeś na parkingu motelu?

– Chyba należał do któregoś z dozorców. Klamkę w pokoju Ashley musiałem zostawić odkręconą, więc już wiedzą, że ktoś tam był.

– Czy coś wskazywało na to, że Ashley przebywała tam przed śmiercią?

– Tak – przyznał cicho Hopper. – Nie wiem jak, ale... – Na jego twarzy pojawił się uśmiech i zaraz zgasł. – Wciąż była w powietrzu.

Wyraźnie unikając kontaktu wzrokowego, wypił łyk kawy.

– Teraz twoja kolej – szepnęła zaciekawiona Nora, nachylając się do mnie.

Co się ze mną działo? Czy w ogóle to wiedziałem?

Przekazałem im wszystko, co pamiętałem, począwszy od ucieczki przed psami aż do powrotu do motelu Evening View. Wcale nie zamierzałem opowiadać w takich szczegółach – Nora była przerażona, a Hopper dość rozwścieczony, co kazało mi się zastanowić, czy mądrze zrobiłem, niczego nie ukrywając – ale każde moje słowo zdawało się uwalniać kolejne, aż w końcu lawiną wylały się ze mnie cały strach i cała dezorientacja.

Kiedy skończyłem, przez moment milczeli oniemiała. A ja czułem ulgę. Chyba jeszcze nigdy w całej swej dziennikarskiej karierze nie miałem aż takiej potrzeby, żeby dokładnie powiedzieć komuś, co się stało, jak gdybym dzięki temu wreszcie mógł stamtąd wyjść, raz na zawsze wyrwać się z tamtych tuneli i cieni.

– Jak to nie pamiętasz, że wziąłeś coś, co znalazłeś w kieszeni?
– szepnęła Nora.

Zanim odpowiedziałem, rozejrzałem się, żeby mieć pewność, że kelnerka nadal jest w kuchni. W restauracji zostaliśmy sami. Nawet starszy mężczyzna, który dotąd siedział przy barze, właśnie kuśtykał do drzwi, mocno podpierając się laską. Każdy krok przychodził mu z wysiłkiem.

Zabłocony płaszcz Brada Jacksona leżał złożony na siedzeniu obok mnie.

Przyciągnąłem go do siebie, a potem opróżniłem kieszenie przedmiot po przedmiocie, układając je przed nami na blacie stołu. Kompas Popcorna. Zakrwawiona dziecięca koszula. Dziwnie wyglądały tutaj, w świetle jarzeniówek – nie na miejscu, jak pamiątki z koszmaru.

– Te rzeczy pamiętam – powiedziałem. – Ale tego nie.

Wyjąłem z kieszeni ostatni przedmiot, leżący na samym dnie. Były to kości z trzema przegubami, zniszczone i brudne, miały około dwunastu centymetrów długości.

– Co to jest? – zapytała Nora.

– Wygląda jak fragment dziecięcej stopy. Ale nie jestem pewien.

– Skąd to się wzięło?

– Pewnie gdzieś się na nie natknąłem, więc zabrałem, sądząc, że to jakiś dowód. Ale naprawdę nie pamiętam.

Nora oderwała zaniepokojone spojrzenie od kości i skierowała je na mnie.

– Nie pamiętasz, czy ci ludzie coś ci zrobili albo...

– Nie.

– I nie wiesz, jak trafiłeś do sześcioboku?

Pokręciłem głową.

– Musieli ci coś wstrzyknąć – stwierdził Hopper.

Nora nerwowo przygryzła wargę.

– Co teraz zrobimy?

– Oddamy te rzeczy do analizy – powiedziałem. – Sprawdzimy, czy to ludzkie kości i czy na koszuli jest ludzka krew. Jeśli tak, musimy się dowiedzieć, do kogo należą. Czy podejrzenia Pajaka były słuszne? Czy jakaś matka czeka gdzieś na wiadomość o zaginionym dziecku? Nie potrafię udowodnić, że to, co tam widziałem, było prawdziwe, ale mogę dowieść, że Cordova wierzył w klątwę. Jak daleko posunął się w swoich praktykach, usiłując ratować Ashley? Ten człowiek mieszał prawdę i fikcję. Jego życie i sztuka to jedno i to samo.

– Nie tak się umawialiśmy – mruknął Hopper. – Zanim włamaliśmy się na Szczyt, postanowiliśmy, że we troje zdecydujemy, co zrobić z informacjami. A nie ty sam.

– Przecież sami jeszcze nie wiemy, co mamy.

– Co chcesz tym wszystkim osiągnąć? – Wbił we mnie oskarżycielskie spojrzenie. – Masz ochotę trafić na pierwsze strony gazet? Marzy ci się chwała człowieka, który rozebrał wielkiego Cordovę do naga i wyprowadził na smyczy przed całym światem, żeby każdy mógł go sobie obejrzeć? Będziesz się chełpił pokazywaniem, jaki jest naprawdę? Że wcale nie jest taki wielki? Myślisz, że tego chciałaby Ashley?

– Nie wiem, czego by chciała.

– To nie jest twój los na loterii. To jej życie. Nie pozwolę ci go zmienić w tanią historię z brukowca...

– Nikt nie sugeruje, że...

– Wiemy, przez co przeszła – mówił dalej ze złością. – Wiemy, w jakim domu wariatów się wychowywała, jaką miała rodzinę. Jak przeżyła swoje życie. Wiemy, dlaczego sama w środku nocy wspięła się na szczyt szybu windy i skoczyła. Żeby położyć temu kres. Wiemy. Ty widziałeś nawet ten rów z bucikami i rękawiczkami. To kiedy będziesz miał dość? Ile prawdy musisz, kurwa, wessać, zanim się nią napchasz?

Z wściekłością odsunął talerz. Widelec z brzękiem spadł na ziemię. Hopper wstał i wyszedł z restauracji, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

– On coś tam zobaczył – szepnęła Nora. – Nie wiem co. Pewnie nigdy nikomu nie powie.

Zaczęło padać. Hopper zaciągnął suwak kurtki, a potem odszedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, znikając nam z oczu.

– Czegokolwiek szukał – powiedziała Nora – czegokolwiek chciał od Ashley, znalazł to.

Droga powrotna do Nowego Jorku upłynęła w napięciu i niemal zupełnym milczeniu. Zatrzymałem się przed siedzibą River Rentals Inc. w Pine Lake, żeby pokryć pełen koszt zaginionej łódki. Chłopakowi z dredami, który stał za ladą, wyjaśniłem, że uległa zniszczeniu.

– Serio?! Człowieku, co się stało?

Wręczyłem mu tylko kartę kredytową. Naprawdę nie chciałem wiedzieć.

Gdy wjechaliśmy na autostradę, Nora, siedząca obok mnie, natychmiast smacznie zasnęła. Sądziłem, że Hopper również, lecz ilekroć zerkąłem w lusterko, wyglądał przez okno z nieodgadnioną miną. Myślni pewnie wciąż był gdzieś na Szczycie.

Nora miała całkowitą rację. Hopper spędził noc w pokoju Ashley i podejrzewałem, że coś, co tam zobaczył lub czego doświadczył, sprawiło, że teraz inaczej postrzegał ich wspólną przeszłość. W jakiś sposób go to wyzwoliło. Pozwolił odlecieć owemu pięknemu czarnemu ptakowi miłości, którego trzymał w klatce. Co czuł, każdego dnia stojąc na wietrze i deszczu, wpatrując się w ocean i wyczekując jakiegoś jej śladu, nigdy nie tracąc nadziei? Może na Szczycie wreszcie ją dostrzegł: statek, który nie płynął ku niemu ani się nie oddalał, ale sunął po idealnej linii między niebem a ziemią na tyle długo, żeby Hopper zrozumiał, że Ashley go kochała, że to, co ich łączyło, było prawdziwe – a potem zniknął mu z oczu, pewnie już na zawsze.

Naprawdę rozumiałem jego wrogość wobec mnie, podobnie jak potrzebę ochrony Ashley. Nawet to przewidziałem, domyśliłem się, że kiedy zagłębimy się w śledztwo, kiedy odkryjemy niepokojącą prawdę o jej rodzinie, Hopper i ja nie unikniemy sporu o to, co zrobić z taką wiedzą. Ale dla mnie pozostawienie sprawy w ten sposób, niepociągnięcie jej do końca, nie wchodziło w grę.

Ileś godzin później, o zmierzchu, byliśmy znów na Manhattanie, jechaliśmy jego zniszczonymi ulicami pełnymi pieszych i kolein. Hopper poprosił o podwiezienie do jego

mieszkania przy Ludlow Street. To były jedyne słowa, jakie wypowiedział przez całą drogę.

Wysiadł z jeepa i zarzucił plecak na ramię.

– Do zobaczenia – burknął krótko i zatrzasnął drzwi.

– Zaczekaj! – zawołała Nora.

W pośpiechu wykaraskała się z auta i rzuciła mu się na szyję, uściskała go na środku chodnika. Hopper czule poklepał ją po policzku, a potem wszedł po schodach do swojego budynku. Kiedy z powrotem wsiadła do samochodu, zobaczyłem ze zdziwieniem, że płacze.

– Ej, Bernsteinie, co jest?

– Nic nie rozumiesz. – Otarła oczy. – Już więcej go nie zobaczymy.

– Co? Nie bądź niemądra.

Pokręciła głową, patrząc, jak Hopper znika w drzwiach.

Jej słowa, delikatnie mówiąc, mnie zaskoczyły. Byłem pewien, że nie ma racji. To nie mogło się tak skończyć, nie w tym miejscu, gdy nie znaliśmy jeszcze tylu odpowiedzi. Potem jednak przypomniałem sobie mieszkanie Hoppera, gołe ściany, plecak z Dakoty Południowej, cytaty z *Ramble On*. Znalazł wszystkie odpowiedzi, których szukał, więc przestaliśmy być mu potrzebni – prawda?

Nie wiedziałem, co powiedzieć, ponieważ nagle Nora była zrozpaczona. Chlipała po cichu przez całą drogę z Lower East Side przez Houston Street i aż do West Village. Próbowałem ją pocieszać, lecz koniec końców byłem zbyt wyczerpany, żeby skoncentrować się na czymś poza prostym zadaniem odwiezienia wynajętego jeepa do Hertza.

Wokół nas eksplodowała gorąca sobotnia noc w Greenwich Village. Gdy wracaliśmy pieszo na Perry Street, klucząc w gęstym tłumie i wśród trąbiących samochodów, Nora nie odzywała się ani słowem. Kiedy otworzyłem drzwi mieszkania, zignorowała moje pytanie, czy chce zjeść kolację, i uciekła na górę, do pokoju Sam.

Udałem się do swojego gabinetu. Był ponury, nietknięty. Spoglądając na okna, w noc, zacząłem żałować, że na parapecie nie wita mnie już Septimus. Przydałoby mi się jego towarzystwo. To tylko papuga, ale za to rozumna. Oddaliśmy go jednak pod opiekę do schroniska. Teraz nie było tu nikogo i niczego.

Próbowałem dodzwonić się do Cynthii – tak bardzo chciałem usłyszeć cichy głosik Sam, usłyszeć, że dobrze się czuje – ale nie odbierała. Zostawiłem jej wiadomość. Poszedłem na górę, wziąłem prysznic, zamknąłem w sejfie wszystko, co zabrałem ze Szczytu, a potem położyłem się do łóżka. Płaszcz Brada Jacksona powiesiłem na wieszaku po wewnętrznej stronie drzwi szafy. Wydawał się dziwnie sflaczały, dziwnie pozbawiony życia. Czy na Szczycie zaszedłem dostatecznie daleko? Czy widziałem tam wystarczająco dużo, żeby dotrzeć do sedna?

Obudziłem się z krzykiem i gwałtownie się zerwałem, spodziewając się uderzyć głową w sufit kolejnego sześcioboku, ale zrozumiałem, że naprawdę jestem w domu. Na skraju mojego łóżka przycupnęła Nora.

– Chryste! Wystraszyłaś mnie.

– Przepraszam – powiedziała.

– Wszystko w porządku? – Usiadłem i podparłem się poduszkami. Ulżyło mi, że już nie płakała. – Martwisz się tym, co się stało? Jestem pewien, że nie masz racji co do Hoppera.

– Nie. Tak. Po prostu...

– Co?

– Wcześniej, gdy tropiliśmy Ashley, była... żywa. Teraz czuję, że już jej nie ma. A kiedy Hopper się pożegnał, przypomniała mi się Terra Hermosa. Tam zakończenia mocno uderzają, bo są nagłe. Jednego dnia Amelia, która kocha kwiaty, przychodzi do stołówki ze swoją butlą z tlenem i zamawia talerz owoców, a następnego? Nie ma jej nigdzie. Wystawiają tylko pamiątkę, i to inną w zależności od tego, w którym korytarzu mieszkałeś. To znaczy jeśli na parterze, to stawiają sztalugi z twoim laminowanym zdjęciem, na którym się uśmiechasz i dziergasz na drutach z okularami na szyi. Ale jeżeli na trzecim piętrze, to wykładają księgę pamiątkową, a obok kwiaty i jakiś wiersz o stracie wydrukowany z internetu. I tyle. Po dwóch tygodniach wszystko zabierają, tę fotografię i księgę, i jest tak, jak gdyby nigdy cię tam nie było. Nienawidzę tego.

– Ja też.

– To nie fair.

– Nie. Ale na tym polega gra. Dzięki temu życie jest świetne. Właśnie dlatego, że kończy się, kiedy tego nie chcemy. Zakończenie nadaje mu sens. A skoro już o tym wspomniałaś, to czy obiecasz mi, że mnie załatwisz, jeśli dożyję dziewięćdziesiątki i nie będę mógł wyjść z domu bez butli z tlenem? Poświęć temu cały dzień. Zrzuć mnie razem z wózkiem z mostu Waszyngtona i taki będzie koniec mojego życia. Umowa stoi?

Moja prośba wywołała uśmiech na jej twarzy.

– Stoi.

– Na serio powinni to dopisać do przysięgi małżeńskiej: „Czy ślubujesz mi miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że mnie zabijesz, kiedy już nie dam rady stanąć pod prysznicem?”.

– Naprawdę cię kocham, Scott.

Wypaliła to tak niespodziewanie, że całkiem zbiła mnie z tropu i nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem, potem jednak w ciemności przesunęła się do przodu, pocałowała mnie w usta, a następnie znowu się cofnęła i przypatrywała mi się uważnie, jakby właśnie dodała kluczowy składnik do nowego eksperymentu naukowego.

– Co to miało być?

– Już ci powiedziałam. Kocham cię. I to nie jako przyjaciela albo szefa. To prawdziwa miłość. Wiem o tym od dwudziestu czterech godzin.

– Brzmi jak wirus żołądkowy, który minie.

– Mówię poważnie.

Dziewczyna wdrapała się na mnie, usiadła mi po turecku na łydkach, a potem, zanim zdążyłem ją powstrzymać, pochyliła się i znowu mnie pocałowała, łapiąc mnie przy tym za głowę. Byłem niemalże zbyt zmęczony, żeby zareagować, ale zdołałem chwycić ją za ramiona i odciągnąć.

– Wracaj do łóżka.

– Nie podobam ci się?

– Jesteś śliczna.

Była centymetry od mojej twarzy, bardzo mrużyła oczy, jakby miała przed sobą fragment globusa, któremu nigdy wcześniej się nie przyglądała, ocean pełen łańcuchów nienazwanych wysp.

– Więc o co chodzi?

– O ile mi wiadomo, Woodward i Bernstein nigdy nie posunęli się tak daleko. Wolałbym, żebyśmy poszli za ich przykładem.

– Robisz sobie żarty?

– Masz przed sobą całe życie. Jesteś młoda, a ja... ja jestem stary rower.

Nie mam pojęcia, skąd się wzięła ta niefortunna metafora – może nie do końca się obudziłem – ale nagle stanęła mi przed oczami bardzo nieprzyjemna wizja siebie samego jako zardzewiałego rzęcha z dziesięcioma przerzutkami, który leży na wysypisku bez przedniego koła, a z rozerwanego siodełka sypie się wyściółka.

– Nieprawda. Jesteś niesamowity.

– To ty jesteś niesamowita.

– No więc dwoje ludzi, którzy tak o sobie myślą, powinno być razem natychmiast, w tej sekundzie, i dłużej się nie zastanawiać.

Ochoczo położyła się obok mnie, jakbyśmy znajdowali się w ciasnym namiocie. Była koścista i leciutka, a kiedy przetoczyła się po mnie, jej włosy i zapach mydła zalały mnie jak wodospad.

– Nora. Proszę cię. Wracaj do łóżka. – Odepchnąłem ją, tym razem nieco silniej. – Ja też cię kocham. Wiesz o tym. Tylko że nie w ten sposób.

Zdawałem sobie sprawę z tego, jak marnie skleciłem te słowa – nagle znów byłem chłopakiem na szkolnym korytarzu, który zaraz musi iść na matkę. Ale tak to czasem bywa: język, kiedy się go naprawdę potrzebuje, kruszy się w ustach jak glina. To właśnie wtedy mówi się prawdziwe rzeczy.

– Dlaczego traktujesz mnie tak, jakbym nie znała własnych uczuć?

– Doświadczenie. Mam czterdzieści trzy lata. Może nawet czterdzieści cztery.

– W dawnych czasach ludzie żyli tylko do trzydziestki, więc byłabym już wiekowa.

– A ja martwy.

– Dlaczego musisz żartować? Nie możesz po prostu być?

Nie odpowiedziałem. Wyciągnąłem tylko rękę, żeby ją chwycić.

– Wiesz, że zawsze będę stał z boku i cię dopingował – powiedziałem. – Jesteś silną kobietą. I nadal nią będziesz. Przez długie lata. Zajdziesz daleko. Tylko bym cię spowalniał.

– A może ja właśnie chcę być powolna. Dlaczego ludzie ciągle muszą się od siebie oddalać? – Znowu była na skraju łez. Wyszarpnęła dłoń. – Hopper ma rację. Ty do nikogo nie jesteś przywiązany. Kochasz tylko siebie. – Czekala, aż zaprzeczę, ale tego nie zrobiłem. Może to skutek tych trzech ostatnich dni. Byłem wyczerpany, nie miałem siły dłużej wpływać na swoje życie. Teraz mogłem tylko oglądać je w całej krwawej chwale, patrzeć, jak wije się przede mną i szarpie. – Wszystko zepsujesz. Tak jak mówił Hopper. W ogóle ci na mnie nie zależy. Ani na Ashley. Ona nic dla ciebie nie znaczy. Nawet teraz. Interesuje cię tylko polowanie.

Zwlokła się z łóżka. Przemknęła przez pokój jak biała kometa.

– Nora! – zawołałem.

Ale już jej nie było.

Mój budzik zadzwonił o siódmej. Już o wpół do ósmej wyszedłem z domu.

Linią metra numer 1 udałem się na West Side do Barneya Greengrassa – słynnych żydowskich delikatesów ze stuletnią tradycją – dotarłem tam tuż przed otwarciem, a potem, z torbami pełnymi świeżych bajgli i wędzonego łososia, pojechałem linią M aż na ostatnią stację: Metropolitan Avenue w Middle Village w Queens. Skoro miałem złożyć Sharon Falcone niezapowiedzianą wizytę w niedzielny poranek, to musiałem przybyć z darami. Sharon miała słabość do bajgli z makiem, łososia z Nowej Szkocji oraz tłustego śledzia po żydowsku, marynowanej ryby, która moim zdaniem smakowała jak kawał skóry pokryty skorupą soli. Dla Sharon było to niebo w gębie.

Mieszkała w budynku z czerwonej cegły, który wyglądał jak zdjęcie z listu gończego: poważny, kanciasty, z zapuchniętymi oczami. Ponad dziesięć lat temu podwiozłem ją tam, gdy pracowaliśmy do późna nad wspólną sprawą – nieco wcześniej zmarł jej ojciec, zostawiając dom w spadku. Dyskretnie zanotowałem adres na wypadek, gdybym kiedyś potrzebował ją znaleźć.

Kiedy zadzwoniłem do drzwi, nikt mi nie otworzył, więc usiadłem na zasypanych liśćmi schodach i czekałem. Zastanawiałem się, czy może zdążyła już pojechać do miasta na komisariat albo się wyprowadziła. Potem zauważyłem pustą miskę na wodę dla psa oraz łysą piłkę tenisową pod jedynym krzakiem w ogródku. Po kwadransie nadeszła Sharon, uprawiając szybki chód. Miała na sobie kasztanową kurtkę North Face, a w dłoniach trzymała dwie duże kawy. Jak na nią przystało, w ogóle nie zdziwiła się na mój widok.

– Jeśli sprzedajesz Biblie, to mam już dwanaście – powiedziała, wbiegając obok mnie po schodkach.

– Propaguję inną potężną religię: Barneya Greengrassa.

Na szczęście nie mogła się powstrzymać i z zaciekawieniem zerknęła na moje reklamówki. Nic jednak nie powiedziała, tylko zwinnie postawiła jeden kubek na drugim, odchyliła drzwi

z siatką, otworzyła zamek, a potem zniknęła w środku, błyskawicznie jak kret ryjący w ziemi. Była wściekła, że przyjechałem, to nie ulegało wątpliwości, ale nie zatrzasnęła drzwi i nie zamknęła ich na zasuwę.

– Parę dni temu jakaś dziewczyna zostawiła mi wiadomość na poczcie głosowej. Twierdziła, że grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo. – Ściągnęła kurtkę i powiesiła ją na kołku.

– To moja asystentka, Nora. Czasami trochę dramatyzuje...

– Nie wiem, dlaczego nie przyszło jej do głowy, że to wspaniała wiadomość.

– Przepraszam – powiedziałem przez siatkę. Sharon prędko zniknęła w korytarzu. – Przepraszam, że tu jestem. Ale potrzebuję twojej rady. Nie zawracałbym ci głowy, gdybym nie sądził, że to cię zainteresuje. Tylko mnie wysłuchaj. Potem możesz mnie wyrzucić. I od tej pory będzie tak, jakbyśmy nigdy się nie znali.

Taka perspektywa musiała się zapowiadać obiecująco, bo po niecałej minucie Sharon prowadziła mnie do swojej jadalni albo może salonu. Tak czy owak pokój był pusty, znajdowały się tam tylko żółty dywan, chybotliwy składany stół i dwa krzesła, a w kącie łóżko z poduszek pokryte psią sierścią.

Rozpiąłem kieszenie i wyjąłem dwie plastikowe torby. W jednej była zakrwawiona dziecięca koszula, a w drugiej kości. Oczywiście nie zdradziłem, gdzie je znalazłem, ale sądząc po milczeniu i gniewnej minie Sharon, miała pewne podejrzenia. Ale gdy tylko zobaczyła koszulę, jej wyraz twarzy natychmiast uległ zmianie. Wtedy zrozumiałem, że wcale nie błędzę ani nie oszalałem, bo skoro koszula zaskoczyła Sharon Falcone, to znaczy, że nawet jeśli to tylko rekwizyt filmowy, to bardzo realistyczny. Nie odrywając wzroku, Sharon odstawiła kubki z kawą – najwyraźniej oba były jej – i zaczęła badać materiał przez plastik. Skupiła się na koszuli, jakby patrzyła przez mikroskop, znieruchomiała i oglądała ją uważnie.

– Czy to krew? – zapytałem.

– Trudno powiedzieć. Jeśli tak, to stara. Ma co najmniej dziesięć lat. Koszulę trzymano w suchym miejscu, bo inaczej

włókna bawełniane uległyby rozkładowi. Albo materiał ma sztuczną domieszkę. Przy czym plama zachowuje się jak krew, jest sztywna. Inna substancja nie wywołałaby takiego efektu.

– A kości?

Wyjęła je z plastikowej torby i zważyła w dłoniach.

– Nie mam pojęcia. Musiałby na nie zerknąć antropolog.

– Czy to może być fragment dziecięcej stopy?

– Ludzka stopa jest długa i wąska, większość ciężaru spoczywa na pięcie. Stopy innych stworzeń są szersze, ciężar przekłada się na palce. Ale im młodsze kości, tym trudniej się zorientować, bo nie do końca się rozwinęły. Żebra noworodka przypominają żebra małego zwierzęcia nawet na poziomie makrostrukturalnym. Kości dziecięcej czaszki często wyglądają jak skorupa żółwia. – Nie powiedziała nic więcej, odłożyła torbę, a potem sięgnęła po jeden z kubków i wypła łyk kawy, bacznie mi się przypatrując. – Na marginesie: w związku z tym samobójstwem, które tak cię interesowało, spadło parę głów.

Miała na myśli śmierć Ashley.

– Czyich?

– Pamiętasz, że prawnik rodziny nie chciał pozwolić na autopsję? Powoływał się na zakaz profanacji zwłok w judaizmie i tak dalej. Lekarz sądowy może odrzucić taki sprzeciw. I zamierzał to zrobić. Tylko że w nocy ciało zniknęło. Dlatego też wyparowały te zdjęcia. Ktoś dostał w łapę.

– Zdjęcia? – powtórzyłem, nie kojarząc, co ma na myśli.

– Mówiłam ci. W teczce brakowało kilku zdjęć jej zwłok. W ogóle nie figurują w rejestrze. W policji trwa polowanie na czarownice, próbują to wszystko wytłumaczyć. Niezły bałagan. Dam głowę, że nic nie znajdą. Zwykle tego typu ślady znikają, zanim jeszcze ktoś je zostawi. Rodzina dziewczyny ma wpływy.

Przypomniałem sobie. Sharon wspomniała o brakujących fotografiach przodu i tyłu tułowia Ashley.

– Ostatnio, kiedy rozmawialiśmy o tej sprawie dla opieki społecznej – powiedziałem po chwili – strasznie przerywało...

– Dom nie miał zgody na zasiedlenie. Nic nie wskazuje, żeby ktoś tam mieszkał.

– Wiadomo, kto jest właścicielem?

– Budynek jest zarejestrowany na jakąś chińską spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Nazwę mam gdzieś w notatkach. Podam ci przez telefon. I po cichu zajmę się tym – podniosła ze stołu plastikowe torby i rzuciła mi świdrujące spojrzenie – chociaż powinnam cię aresztować za uporczywe trucie mi dupy. Analiza będzie najwcześniej za miesiąc. Laboratorium jest zawałone robotą. Nigdy więcej tu nie przychodź. Nawiasem mówiąc, fatalnie wyglądasz.

Wyszła z pokoju, zabierając torby.

– Dziękuję! – zawołałem za nią.

– Z tą prawą ręką powinieneś iść do lekarza – rzuciła z głębi domu. – Coś ci tam utkwilo, będziesz miał zakażenie.

Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi, dopóki nie spojrzałem na swoją dłoń. Sharon miała rację. Obrzęk i zaczerwienienie się powiększyły. To, co wziąłem za zaschnięty brud, okazało się drzazgą wbity głęboko w kciuk. Na jej widok ogarnęła mnie paranoja. Czy ci ludzie w czarnych szatach mnie naznaczyli? Rzucili na mnie kolejną klątwę? Czy to zatruta strzałka? Zardzewiały gwóźdź, od którego dostanę tężca?

Musiałem wrócić do domu.

– Jak mam ci się odwdzięczyć? – odezwałem się po minucie, gdy zorientowałem się, że Sharon, zajęta już czymś innym, nie zamierza wrócić do salonu. – Czy mogę ci kupić drugiego owczarka niemieckiego, jacht, wyspę na Pacyfiku?

– Możesz się wynieść z mojego domu – zawołała skądś.

Po powrocie na Manhattan udałem się na ostry dyżur przy Trzynastej Ulicy. W poczekalni było tak tłoczno, że lekarz przyjął mnie dopiero po niemal trzech godzinach.

Wyjaśniłem, że właśnie wracam z biwaku.

– Widać – odparł wesoło, zaciągając zasłonę. Był pogodnym młodym człowiekiem, który mówił bardzo szybko i miał tyle energii, jakby wypił za dużo kawy. Do białego kitla przylepił mu się z tyłu kawałek taśmy klejącej. – Ma pan kontaktowe zapalenie skóry. Czy dużo pan chodził przez gęste zarośla? Wygląda na to, że zetknął się pan z czymś, na co jest pan uczulony.

Już miałem sprecyzować, że byłem w górach Adirondack, kiedy zrozumiałem, że to nie do końca prawda. A basen? Jakies zwierzę mogło rozkładać się w tej wodzie od miesiący. A rodzinna szklarnia Reinhartów?

– Jakie rośliny były w tej szklarni? – zapytał lekarz, gdy bardzo pobieżnie o tym opowiedziałem.

– Jedna z nich nazywała się czarcie ziele. Innych nie pamiętam.

– Czarcie ziele – powtórzył, przekrzywiając głowę. Zdawał się myśleć: „I to nie wystarczyło, żebyś uciekł z krzykiem?”.

– Poza tym wbiła mi się jakaś paskudna drzazga.

Pokazałem mu ją. Już po kilku minutach pielęgniarka przemywała mi dłoń wodą i środkiem odkażającym, a potem lekarz za pomocą skalpela rozciął mi dłoń. Z rany połała się biała ropa, a wtedy sięgnął po długą pęsetę i wyjął coś, co utkwilo mi w ciele. Kiedy zobaczyłem, co to takiego, byłem zbyt zszokowany, żeby się odezwać. Wyrzucił tę rzecz na stół ze stali nierdzewnej.

– To musiał być niezły biwak – stwierdził z uśmiechem. – Może następnym razem niech pan jedzie na plażę.

Na blacie leżał czarny cień jakiejś rośliny, ale mnie w pierwszej chwili przypominał raczej ostry pięciocentymetrowy paznokieć, wygięty i poskręcany.

Kiedy dotarłem z powrotem na Perry Street, było już po czwartej.

Bardzo chciałem zobaczyć się z Norą, opowiedzieć jej o spotkaniu z Sharon, pokazać czarny kolec, który właśnie wyjęto mi z dłoni. Mogliśmy wracać do pracy. Jednak gdy tylko wszedłem do mieszkania, usłyszałem z góry dziwny łomot.

Kiedy wbiegłem na piętro do pokoju Sam, miałem wrażenie, że na dywan eksplodowała cała szafa Moego Gulazara – a może i sam Moe. Wszędzie wisiały jedwabne bluzki, krawaty w prążki, złote legginsy z cekinami czy etola z norek (cierpiąca na świerzb). Nora, ubrana w czarne bryczesy i koszulę smokingową z podwiniętymi rękawami, właśnie pakowała ubrania. Zauważyłem, że ze ściany zniknęli Jezus i Judy Garland.

– Co tu się dzieje? – zapytałem.

Zerknęła na mnie przez ramię, po czym znowu się odwróciła. Złożyła fioletowe szorty i wepchnęła je do jednej z siatek z apteki Duane Reade.

– Wyprowadzam się.

– Co?

– Wyprowadzam się. Znalazłam świetny pokój do wynajęcia.

– Kiedy?!

– Właśnie teraz.

– Dobra. Po pierwsze w Nowym Jorku „właśnie teraz” nie znajduje się świetnych pokoi do wynajęcia. Potrzeba miesięcy. Czasem lat.

– Nie w moim przypadku.

– I skąd niby masz to świetne mieszkanie? Od archaniola Gabriela?

– Z internetu. Znalazłam na Craigslist.

– Słuchaj. Coś ci wyjaśnię. Ogłoszenia na Craglist zamieszczają prostytutki, mordercy i masażystki oferujące zabiegi z happy endem.

– Już to mieszkanie sprawdziłam.

– Kiedy?

– Dzisiaj rano. Dostanę olbrzymi pokój z oknem wykuszowym w bocznej części kamienicy w East Village. Bardzo jasny. Kosztuje tylko pięćset dolarów miesięcznie, a łazienkę muszę dzielić z bardzo fajną starą hipiską.

Odetchnąłem głęboko.

– Coś ci powiem o bardzo fajnych starych hipisach z East Village. To świry. Stawiają tarota i jedzą soję. A czasami jedzą tarota i stawiają soję. Większość nie ruszyła się z tej wyspy od czasów, kiedy prezydentem był Nixon. Pod paznokciami u nóg mają rozpoznawalne gatunki flory. Możesz mi wierzyć.

– Właśnie zjadłyśmy lunch. Jest supermiła.

– Supermiła?!

Nora kiwnęła głową.

– Hoduje organiczne pomidory.

– W ziemi użyźnionej zwłokami jej trzydziestu kotów.

– Przez wiele lat była asystentką Avedona.

– Wszyscy tak mówią.

– Miała romans z Axlem Rose'em. Napisał o niej piosenkę.

– Pewnie *Welcome to the Jungle*.

– Nie rozumiem, dlaczego tak świrujesz. Będzie spoko.

„Będzie spoko”. Czuję się tak, jakby wyciągnięto mi dywan spod nóg, chociaż stałem boso na drewnianej podłodze.

– Tu chodzi o wczorajszy wieczór – stwierdziłem. Nora tylko uniosła brodę, sięgnęła po swoją księgę pamiątkową z Harmony i zaczęła ją kartkować, dramatycznie marszcząc czoło. – Jesteś zła, bo postąpiłem jak dżentelmen? Bo uszanowałem granice naszych relacji zawodowych?

Zatrzasnęła księgę i wetknęła ją do torby.

– Nie.

– Nie?

– Nie. Chodzi o przesłuchania do *Hamletty* we Flea Theater.

– Przesłuchania do *Hamletty* we Flea Theater.

Przytaknęła triumfalnie.

– Odwrócili płęć wszystkich postaci, więc wreszcie są dobre role dla kobiet. Będę się starać o rolę *Hamletty*, więc dzień i noc

muszę ćwiczyć monologi. Dostałbyś szału, bo nie cierpisz mojej gry aktorskiej.

– To nieprawda. Zdążyłem ją polubić.

Nora właśnie składała stary szary kardigan. Na ramieniu miał lecącego ptaka z cekinów, a na lewym łokciu wielką dziurę przypominającą kształtem usta rozwarte w niemym krzyku.

– Wczoraj wieczorem sam powiedziałeś, że muszę iść naprzód, a ty będziesz moją cheerleaderką. Więc właśnie to robię.

– Dlaczego miałabyś słuchać moich rad?

– Przecież ci mówiłam, że nasz układ jest tymczasowy. Dopóki nie poznamy prawdy o Ashley. I poznaliśmy. A teraz mam pieniądze. – Zapłaciłem Norze przed wyjazdem na Szczyt. Dodałem też całkiem sporą premię, czego właśnie zaczynałem żałować. – Poza tym na pewno będziesz zajęty publikowaniem tego wszystkiego i zarabianiem na Ashley dla własnej korzyści, tak jak mówił Hopper.

Pozwoliłem, żeby ta ostatnia uwaga minęła mnie niczym granat eksplodujący centymetry od mojej twarzy. Nora nie przestawała śmigać po pokoju jak jakiś owad o tysiącu oczu. Wszystko składała, pakowała, upychała.

– To nie koniec śledztwa – powiedziałem. – Poddajesz się przed decydującym zagranem na pięć sekund przed końcem czwartej kwarty.

Wbiła we mnie wzrok.

– Ty ciągle nic nie rozumiesz.

– Czego nie rozumiem? Bardzo chętnie się dowiem.

– Nie pojmujesz, że gdyby Cordova miał kiedykolwiek zrobić komuś krzywdę, to Ashley by na to nie pozwoliła. Ufam jej. Hopper też. Ty najwyraźniej nie ufasz nikomu. Weź sobie swój płaszcz. – Gwałtownie ściągnęła z wieszaka czarny płaszcz Cynthii i cisnęła go na łóżko. Zsunął się na podłogę. Dostała go ode mnie parę tygodni temu, żeby miała na wizytę u Olivii Endicott coś bez piór. Była nim zachwycona. Oznajmiła z niepohamowaną

radością, że czuje się w nim „jak osoba z Francji”, cokolwiek to miało znaczyć.

– Przecież ci go dałem – odparłem.

Włożyła płaszcz, stanęła przed lustrem Sam w kształcie Wielkiego Ptaka i bardzo długo wiązała sobie pod szyją jasnozieloną chustkę. Potem ze słupka łóżka wzięła czarną fedorę i delikatnie umieściła ją na głowie niczym zaginiona królowa koronująca samą siebie. Oszołomiony zszedłem za nią na dół. Postawiła siatki na ziemi i udała się do mojego gabinetu. Już wcześniej odebrała Septimusa ze schroniska. Teraz przykucnęła przy jego klatce.

– Razem z Septimusem babcia Eli dała mi parę wskazówek – powiedziała. – Należy go oddać komuś, kto go potrzebuje. To część jego magii. Trzeba się zorientować, kiedy przyszedł właściwy moment. Wtedy, gdy najbardziej boli. Teraz Septimus jest twój.

– Ja wcale nie chcę mieć ptaka.

– Ty potrzebujesz ptaka.

Otworzyła drzwiczki, a wtedy niebieska papużka wyfrunęła jej na dłoń. Nora szepnęła coś do niewidocznego ucha Septimusa, postawiła go z powrotem na huśtawce, a zaraz potem znowu była w ruchu. Przemknęła obok mnie korytarzem. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy staliśmy na schodkach przed moim domem.

– Pójdę z tobą. Porozmawiam z tą hipiską. Upewnię się, że nie należała do Symbiotycznej Armii Wyzwolenia...

– Nie. Sama sobie poradzę.

– Więc to koniec? Już cię więcej nie zobaczę?

Nora zmarszczyła nos, jakbym powiedział coś idiotycznego.

– Oczywiście, że mnie zobaczysz.

Wspięła się na palce i mnie przytuliła. Ta dziewczyna naprawdę tuliła na całego – chude ramiona zamykały się człowiekowi na szyi jak opaska zaciskowa, o kolana uderzały jej kościste kolana. Zupełnie jakby chciała zdjąć trwałe odciski i zabrać go ze sobą na zawsze.

Chwyciła swoje torby i zbiegła po schodkach.

Poczekalem, az skreci za rog, a potem ruszyłem za nią. Wiedzialem, ze zabilaby mnie, gdyby zobaczyła, ze ją sledzę, ale na szczescie chodniki byly pełne ludzi robiących zakupy, więc mogłem się ukryć. Poszedłem za nią na stację metra, gdzie wsiadła do pociągu linii numer 1, potem przesiadła się na linię L, następnie na szóstkę, a w końcu dotarła do Astor Place.

Wychodząc z zatłoczonej stacji, straciłem ją z oczu. Rozglądałem się wszędzie, wpadłem nawet w panikę, bałem się, że to naprawdę koniec i nigdy nie dowiem się, co się z nią stało, czy jest bezpieczna – Bernstein, bezcenna złota moneta, która wyslizgnęła mi się z niezdarnej dłoni i zniknęła wśród milionów nowojorczyków.

A potem ją dostrzegłem. Przecięła Saint Mark's Place i maszerowała tym swoim korkociągowym krokiem obok pizzerii, obok stojaków z gazetami. Poszedłem za nią Wschodnią Dziewiątą aż do niewielkiego trójkątnego ogrodu, gdzie ulica krzyżowała się z Dziesiątą Ulicą. Nora wbiegła po schodkach odrapanej kamienicy z piaskowca. Zatrzymałem się w bezpiecznej odległości i skryłem się w wejściu jakiegoś domu.

Postawiła torby na ziemi i zadzwoniła do drzwi.

Śledząc ją, rozważałem różne scenariusze ratunkowe. Wyobrażałem sobie, że wpadnę przez drzwi frontowe, odtrączę nogami dziewięć kotów, szopa pracza i stos numerów „Village Voice” z ostatnich czterdziestu lat, minę upaloną parę całującą się na kanapie i psychodeliczny plakat reklamujący Human Be-In, a potem wbiegnę po schodach do pokoju Nory: przyjaznego dla szczurów, cuchnącego starą gąbką. Nora, przycupnięta na skraju materaca, zerwie się na równe nogi i rzuci mi się na szyję.

„Woodwardzie? Popełniłam wielki błąd”.

A jednak... Chociaż dom zdecydowanie był podejrzany – zardzewiałe klimatyzatory, w oknach skrzynki z zeschniętymi kwiatami – to na parterze i pierwszym piętrze zauważyłem nie jedno, ale dwa okna wykuszowe. Pokoje chyba rzeczywiście były bardzo jasne.

Ale nikt nie otworzył drzwi. Nora zadzwoniła ponownie.

Niech nikogo nie będzie w domu. Może ta supermiła hipiska wyjechała do Woodstock w ważnej sprawie rodzinnej. Albo jeśli ktoś jednak otworzy, to niech to będzie półnagi pieśniarz z wytatuowanym napisem „Witaj pod tęczę” na piersi. Niech mi będzie wolno jeszcze raz ją uratować.

Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich pulchna kobieta z kręconymi siwymi włosami ubrana w pasiasty fartuch umazany ziemią z rabatki albo gliną z koła garncarskiego. Nie ulegało wątpliwości, że należy do tych, co interesują się tarotem i soją, ale co do całej reszty mogłem się mylić. Nora coś do niej powiedziała, kobieta się uśmiechnęła, wzięła siatki i obie zniknęły we wnętrzu. Drzwi się zamknęły.

Czekałem, aż coś się stanie – zabrzmie muzyka, zapali się światło. Ale nie było nic. Nic tu po mnie, już nie. Ulicą wiał tylko lekki wietrzyk, niosąc zbłąkane żółte liście oraz śmieci, które utknęły przy krawężniku.

Wróciłem do domu.

Postanowiłem, że mądrze będzie zrobić sobie kilka dni odpoczynku i przewietrzyć głowę, zanim zbiorę myśli i zakończę śledztwo. Znowu gnębiło mnie to dojmujące poczucie, że płynę przez bezmiar czarnej wody z wnętrzościami ciężkimi jak ołów, z umysłem wciąż oblepionym błotem.

Ale zwyczajne życie wzywało. Miałem niezapłacone rachunki, nieodsłuchane wiadomości, e-maile, których nie otwierałem przez miesiąc, w tym niejeden od przyjaciół, którzy pisali w tematach: *Martwię się, Wszystko OK?* i *WTF???* Odpowiedziałem wszystkim – tydzień przed wyjazdem na Szczyt kupiłem nowego laptopa HP – ale nawet ta prosta czynność wydała mi się bezcelowa i irytująca.

Zaczynałem uświadamiać sobie z pewną niezdrową fascynacją, że wcale nie wróciłem ze Szczytu – nie do końca. Bo kiedy kładłem się do łóżka i gasiłem światło, wystarczyło, żebym zamknął oczy, a znowu tam byłem. Może pobyt na włościach Cordovy stał się czymś, do czego już zawsze będę wracał, tak jak inni wracają do wspaniałych zabaw z dzieciństwa, na pola bitew albo do weekendów w domku nad jeziorem z jakąś dziewczyną w czerwonym bikini. W północy ponownie zanurzałem się w tę posiadłość, brnąłem wśród ciemnych ogrodów i posągów porąbanych na kawałki, wymykałem się psom i oślepiającym latarkom obsługiwanym przez cienie. Cofałem się tunelami, nie szukając już dowodów obciążających Cordovę, ale jakiejś kluczowej części siebie samego, którą przypadkiem tam straciłem – jak kończynę albo duszę.

A ów strach, który wtedy czułem, owa odcieleśniająca dezorientacja okazały się narkotykiem, od którego byłem teraz uzależniony, bo poruszanie się przez zwyczajny świat – oglądanie CNN, czytanie „Timesa”, spacer na kawę do Sant Ambroeus – wyczerpywały mnie, wręcz przygnębiały. Może cierpiałem na to samo co człowiek, który opłynął kulę ziemską, a potem, na lądzie, widząc swój dom na farmie, swoją żonę i dzieci, pojął, że rutyna życia domowego, jawiąca mu się niczym suche, płaskie

pole, jest nieskończenie bardziej przerażająca niż najgorszy szkwał z dziesięciometrowymi falami.

Dlaczego myślałem, że wszystko będzie dobrze, że otrząsnę się po wyprawie na Szczyt jak po wycieczce do Egiptu lub pobycie w Mitú, gdzie przez jedenaście dni przetrzymywano mnie w celi więziennej – koszmarnym przeżyciu, które musiałem przetrwać i zostawić za sobą? Teraz nie mogłem. Nie, Szczyt i prawda o czynach tego człowieka nadal tkwiły mi w trzewiach, ciągle żywe, pulsujące, toczące żółć i nienaruszone, pogarszały moją chorobę, może mnie nawet zabijały.

Cały ten niepokój był tym gorszy, że zostałem sam. Wszyscy odeszli. Nora miała rację. Hopper odzegnał się od wszystkiego tak samo jak ona. Dzwoniłem do niego dwukrotnie, bez skutku. Nie potrafiłem tego pojąć – że oboje tak po prostu mogli skończyć z tą sprawą oraz ze mną, z zupełną ignorancją stwierdzić, że jest już po wszystkim. Nie chcieli wiedzieć, czy znalazłem prawdziwe ludzkie kości ani czy Cordova w szalonych próbach ratowania Ashley nie skrzywdził innych dzieci? Nie ciekawiła ich odpowiedź na najbardziej oczywiste pytanie – gdzie on teraz jest?

Wyciągałem z tego przeróżne pogardliwe wnioski – że wreszcie pokazali, jacy są naprawdę, młodzi i płytki, że to symptom szerszych problemów z dzisiejszą młodzieżą, która, wychowana przez internet, skacze z tematu na temat z całą powagą wkładaną w klikanie myszą – lecz prawda była taka, że za nimi tęskniłem. I byłem wściekły, że tak się tym przejmuję.

Przypomniały mi się słowa Cleo, gdy wiele tygodni temu znalazła na naszych butach ślady zabójczej klątwy.

„Rozdziela najserdeczniejszych przyjaciół, izoluje, konfrontuje z całym światem, przez co człowiek trafia na margines życia. Doprowadza do szaleństwa, co w pewnym sensie jest gorsze od śmierci”.

Wtedy nie traktowałem tego poważnie. Teraz jednak nie mogłem nie dostrzec trafności tamtej przepowiedni o samotności i zniszczonej przyjaźni, o poczuciu zepchnięcia na margines życia.

Chyba że to po prostu Cordova. Może był jak wirus: zaraźliwy, niszczyielski, stale mutujący, tak że nigdy nie wiesz, z czym się zmagasz, gdy wpisuje się po cichu w twoje DNA. Każdy, kto miał z nim choć najmniejszy kontakt, nabawiał się fascynacji i strachu, które replikowały i w końcu przejmowały kontrolę nad całym życiem.

Nie istniało żadne lekarstwo. Można było tylko nauczyć się z tym żyć.

Po trzech dniach włóczenia się po mieszkaniu, unikania pudełka z materiałami o Cordovie, które jeszcze mi zostały, oraz brania antybiotyków i sterydów na ranną dłoń i wysypkę, zrozumiałem, że usiłując się odprężyć, czuję się tak nieswojo, że nie mam wyboru: muszę pozostać w mroku.

W sobotę o jedenastej wieczorem wezwałem taksówkę i kazałem kierowcy zawieźć się na Henry Street 83. Jak należało się spodziewać, Falcone miała rację. Gdy przeszedłem przez ulicę i spojrzałem na obskurną kamienicę przycupniętą przy moście Manhattańskim, okazało się, że z jakiegoś powodu wszyscy lokatorzy najwyraźniej opuścili budynek. W każdym oknie było ciemno, ale na czwartym piętrze wciąż wisiły te marszczone różowe firanki. Podeszedłem do głównych drzwi. Oczywiście były zamknięte, a przez okienko zobaczyłem, że ze skrzynek pocztowych usunięto nazwiska.

Ruszyłem w kierunku Market Street. Dwie przecznice dalej minąłem salon fryzjerski Hao, gdzie przed tyłoma tygodniami zostawiłem w oknie plakat ze zdjęciem Ashley. Ku mojemu zdziwieniu wciąż tam wisiał, tyle że wyblakł w słońcu.

Twarz Ashley była teraz jak zjawą, napis CZY WIDZIELIŚCIE TĘ DZIEWCZYNĘ ledwie dawał się odczytać. Miałem przykre poczucie, że czas się kończy – albo po prostu płynie swoim tokiem.

Hoppera i Nory już nie było, a teraz nie było i Ashley.



PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

WYNIKI WYSZUKIWANIA „LEIGH” „LA DOULEUR”

Wynik 1 z 643

THE NATURAL HUNTSMAN

AMERYKAŃSKIE WIADOMOŚCI ŁOWIECKIE

VOL. 102 NO. 1223 MAJ 2007

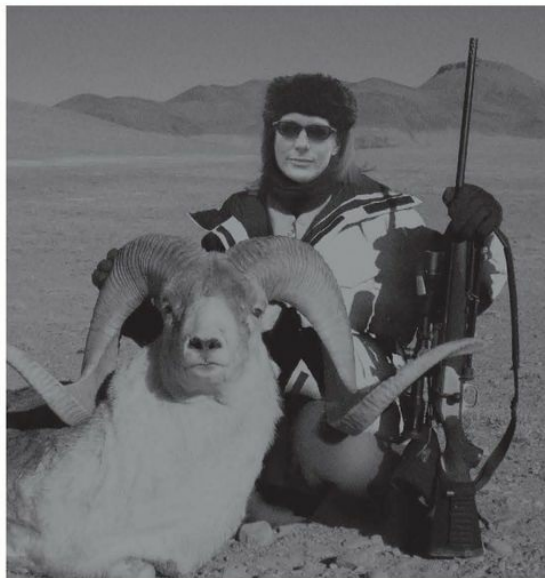
**SŁYNNNA ŁOWCZYNI
ZAGINIONA W NEPALU****ZAGINEŁA RACHEL DEMPSEY (L. 41)**

DOLPA, Nepal – W zeszłym miesiącu w Obwodzie Lowieckim Dhorpatan na zachodzie Nepalu zaginęła amerykańska łowczyni. Władze szukają informacji na temat miejsca jej pobytu.

41-letnia Rachel Dempsey z Woonsocket w Rhode Island przyjechała do Nepalu 30 marca na 10-dniową wyprawę łowiecką na nachury i dziki. 2 kwietnia jako ostatni widział ją Szerpa z jej grupy, kiedy nagle opuściła obóz we wczesnych godzinach porannych. Jej sprzęt i radio znalezione parę kilometrów dalej, lecz po Dempsey nie było śladu.

11 kwietnia jej telefon satelitarny został włączony w stolicy Chile, Santiago. Przeprowadzono z niego 15-sekundową rozmowę z portowym miastem Puerto Montt. Od tamtej pory urządzenie nie wykazywało już aktywności. Dempsey była uzdolnioną tropicielką znaną z umiejętności odnajdywania nawet najbardziej nieuchwytnych zwierząt w różnych trudnych terenach wysokogórskich. W 2005 roku była finalistką Nagrody Carla Caldesiego za trofeum kaszmirskiej kozy śruborogiej zdobyte w Pakistanie z wynikiem 113 pkt SCI.

Dempsey rozpoczęła karierę łowiecką dość późno. Wcześniej była aktorką. Występowała w serialu policyjnym *Reasonable Do-*



DEMPSEY Z UPOLOWANYM ARCHAREM PODCZAS WYPRAWY DO TADŻYKISTANU 2005 R.

ubts, grała też rolę Leigh w kultowym thrillerze *La Douleur*.

Dempsey ma 175 cm wzrostu, brązowe włosy do brody oraz znamię wielkości dziesięciocentówki na lewej łopacie. Ostatnio widziano ją w białej kurtce z gore-texu, szarych spodniach przeciwwietrznych i futrzanej czapce. Miała przy so-

bie lornetkę, nóż do skórowania oraz karabin kalibru .300 Winchester Short Magnum.

Osoby dysponujące informacjami są proszone o kontakt z komendą policji w Woonsocket albo SAFARI BONGO DENMARK EXPEDITIONS pod adresem mads@safari-bongoexpeditions.dk.



PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

WYNIKI WYSZUKIWANIA „POPCORN”

Wynik 5 233 z 14 392



WYSŁANE PRZEZ: Rozwinięty Argument

15.05.1996 2:26

Popcorn w *Tu na mnie czekaj* grał Kubańczyk Fernando Ponti. Na początku 1996 roku przyjechałem do Crowthorpe Falls z Kolonii w Niemczech, gdzie mieszkam na co dzień, z nadzieją zobaczenia Cordovy. Po sześciu bezowocnych dniach natknąłem się na pewnego mężczyznę, który snuł się przez miasteczko. To był Popcorn. Ruszyłem za nim. Zauważył mnie i schował się w tym sklepie z pralkami Trofeum. Kiedy tam wszedłem kilka sekund później - to sklep, w którym można kupić pralkę, ale także wypożyczyć stroje formalne - nigdzie go nie było. Uznałem, że wymknął się tylnymi drzwiami, ale gdy to sprawdziłem, okazało się, że wychodzą na długi zaułek. Po Popcornie nie było ani śladu, a w samym sklepie nie miał gdzie się schować. Zupełnie jakby rozpląnął się w powietrzu.

NASTĘPNE >>

Dobijałem się do Cynthii mnóstwo razy, chcąc dowiedzieć się czegoś o Sam, ale wciąż nie odbierała. Chociaż ten jej upór doprowadzał mnie do szału, wyczuwałem, że Sam jest cała i zdrowa. Gdyby stało się coś poważnego, Cynthia by do mnie zadzwoniła. A przynajmniej tak sobie mówiłem.

Jak wyjaśniła Sharon Falcone, musiał minąć co najmniej miesiąc, zanim laboratorium ustali, czy kości, które znalazłem na Szczycie, są ludzkie. Uznałem, że w tym czasie powinienem zająć się kilkoma ważnymi poszlakami.

Zalogowałem się na Blackboardsach, żeby poszukać pogłosek o prawdziwych losach Rachel Dempsey i Fernanda Pontiego, aktorów, którzy grali Leigh i Popcorną w filmach Cordovy. Weryfikując znalezione informacje, ze zdziwieniem stwierdziłem, że „Natural Huntsman” – jakiś maczystowski biuletyn łowiecki zwolenników dostępu do broni – miał rację co do Rachel Dempsey.

Odkąd Dempsey, która w wieku zaledwie dwudziestu lat zagrała Leigh w *La Douleur*, przepadła w Nepalu 2 kwietnia 2007 roku, wszelki śluch po niej zaginął. Gazeta z jej rodzinnego miasta opublikowała dwa artykuły na temat jej zniknięcia, ale sprawa nie miała dalszego ciągu, nic też nie świadczyło o tym, by zaginiona zostawiła męża czy dzieci. W internecie znalazłem za to wzmiankę o niejkiej Marion Dempsey mieszkającej w Woonsocket – miałem nadzieję, że to matka albo siostra Rachel. Połączyłem się z biurem numerów i dostałem namiar. Telefon dzwonił bardzo długo, aż wreszcie odebrała zdenerwowana kobieta, która przedstawiła się jako „pielęgniarka pani Dempsey”. Kiedy spytałem, czy jej pracodawczyni ma córkę o imieniu Rachel, usłyszałem, że „pani Dempsey już tym sobie nie zaprzęta głowy” – co uznałem za odpowiedź twierdzącą – po czym pielęgniarka się rozłączyła.

Z kolei Fernanda Pontiego – charyzmatycznego starszego Kubańczyka, który zagrał Popcorną – trzy różne osoby widziały trzykrotnie w okolicach Crowthorpe Falls między

październikiem 1994 (czyli rok po premierze *Tu na mnie czekaj*) a sierpniem 1999 roku. W szklarni odniosłem dojmujące wrażenie, że Popcorn wciąż tam jest, że opiekuje się rybami i roślinami, a te doniesienia zdawały się potwierdzać, że miałem rację.

Czyżby nigdy stamtąd nie wyjechał? Czy tak bardzo spodobał mu się pobyt na Szcycie – albo tak bardzo wyprano mu mózg – że postanowił zostać tam jako Popcorn, wolał żywot filmowej postaci od prawdziwego życia? Czy teraz już nie żył i leżał pochowany w swym fikcyjnym ogrodzie? Nie znalazłem żadnych informacji o rodzinie Pontiego ani o tym, skąd pochodził – oprócz tego, że z Kuby, o czym wspomiano wyłącznie na Blackboardsach. Jeszcze bardziej zadziwił mnie jednak opis jego zniknięcia w sklepie z pralkami Trofeum na obrzeżach Crowthorpe Falls.

Ze słowem „Trofeum” zetknąłem się na Szcycie. Nagryzmołono je nad jednym z wejść do podziemnych tuneli.

Czyżby tamten korytarz prowadził do sklepu z pralkami, potajemnie łącząc Crowthorpe Falls z posiadłością? To zbyt szczególne słowo, żeby w grę wchodził zbieg okoliczności. Poza tym wyjaśniłoby się, w jaki sposób Popcorn rozpułnął się w powietrzu. Zniknął pod klapą ukrytą w sklepie i wrócił do domu tunelem.

Na Blackboardsach sprawdziłem też wielu innych aktorów, zwłaszcza tych, którzy mieli duże role i podczas zdjęć przypuszczalnie mieszkali na Szcycie. Odkryłem tylko jeden naprawdę wspólny element: po pracy z Cordovą wszyscy wkroczyli w nowy etap życia, często taki, który rzucał ich w najdalsze zakątki Ziemi.

Nie było ani jednego przypadku, żeby ktoś pozostał taki jak dawniej, wrócił do tego samego miejsca, gdzie zaczął.

Rachel Dempsey, która wcieliła się w Leigh, została światowej sławy myśliwym, co o dziwo naprawdę miało sens: kiedy po zagranii wrażliwej, łatwowiernej Leigh, zakneblowanej i związanej w tym starym autobusie, opuściła Szczyt, z ofiary

zmieniła się w drapieżnika. Lulu Swallow, odtwórczyni Emily Jackson w *Zgniataczu kciuków*, podobno wylądowała na odludziu Nowej Szkocji, gdzie pisała mroczne książki dla dzieci – cykl o sierocie Lucy Straye – pod pseudonimem E.Q. Nightingale. Czarujący mężczyzna grający w *La Douleur* Axela – tajemniczego męża Diane, w którym zakochuje się Leigh, gdy go śledzi – poszedł na weterynarię i został wybitnym lekarzem koni czystej krwi. To on uśpił Eight Belles podczas Kentucky Derby w 2008 roku. Pochodzący z Anglii odtwórca roli Brada Jacksona przeprowadził się ponoć do Tajlandii. W 2002 roku pewien cordovita widział go tam na ulicy czerwonych latarni Soi Cowboy jadącego na motorze z jakąś nastolatką.

Wiatr poniósł tych ludzi po całym świecie niczym prochy rzucone w powietrze – ktoś trafił aż na Tristan da Cunha na południowym Atlantyku. Nie potrafiłem stwierdzić, czy znikając w swoim nowym życiu, przed czymś uciekali. Czy odkryli prawdę o Cordovie, zobaczyli go z bliska i to dlatego zbiegli z przerażeniem? A może wręcz przeciwnie – zostali wyzwoleni? Czy „zabili owieczkę”, jak nazywano to na Blackboardsach – nic ich już nie ograniczało, więc po pracy z Cordovą ułożyli sobie najdziksze życie, jakie potrafili wymyślić, a potem z pasją zaczęli nim żyć?

Z mojej perspektywy nie dało się stwierdzić, czy napędzało ich poczucie wolności, czy strach – a może ani jedno, ani drugie, może w świat wysłał ich Cordova jako swoich wiernych uczniów, aby wykonywali jego polecenia, realizowali jego dzieło, czyli Bóg wie co.

Bez względu na ich motywacje byłem ciekaw, czy odczuwali coś podobnego jak ja – wyczerpanie, koszmary, poczucie wyobcowania – zupełnie jakbym spęczniał tak bardzo, że nie mieściłem się już w zwykłym życiu.

Postanowiłem to sprawdzić i wcale nie dla żartu przeszukiwałem Blackboardsy pod kątem haseł takich jak „skutki Cordovy” i „znane symptomy”, kiedy nagle wyrzuciło mnie ze strony.

Ile razy nie odłączałem laptopa od prądu, logowałem się z nowego adresu IP i próbowałem innej nazwy użytkownika, zawsze trafiałem na tę samą stronę wyjścia. Czyżby mnie zablokowano, odcięto – a może rozszyfrowano?

Witaj na Blackboards



[http://schodywtunelu8903-5493r89jdfj9w0129e61??\)*#\(\(\(suwerennyzabojczyperfekcyjny.blackboards.onion/intruz](http://schodywtunelu8903-5493r89jdfj9w0129e61??)*#(((suwerennyzabojczyperfekcyjny.blackboards.onion/intruz)

PARKING

CORDOVA

FILMY

WYSTRASZ

ZAKAZANE

OBCY

WDRAP SIĘ

KIMKOLWIEK JESTEŚ,
NIE POWINNO CIĘ TU BYĆ.
PRECZ.

PRECZ
PRECZ



WEJŚCIE >

Skupiłem się na roślinach, przez które przedzierałem się w szklarni Reinhartów. Lekarz na ostrym dyżurze powiedział na pożegnanie, że miałem styczość z silnym czynnikiem drażniącym, więc warto by się dowiedzieć, co to takiego, na wypadek gdyby nie nastąpiła poprawa. Co prawda poprawa nastąpiła, wysypka praktycznie zniknęła w ciągu doby od przyjęcia leku sterydowego, ale wystarczyło raz wpisać do Google'a „czarcie ziele”, żeby w głowie zapaliła mi się lampka alarmowa.

Czarcie ziele to jedna z wielu potocznych nazw *Datura stramonium*, czyli bielunia dziędzierzawy, rośliny tak trującej, że jedna filiżanka wywaru może zabić dorosłego człowieka. Według Wikipedii wyssanie soku lub spożycie nasion powoduje „niezdolność odróżnienia rzeczywistości od fantazji, majaczenie i halucynacje, dziwaczne, nieraz agresywne zachowanie, poważne *mydriasis* (rozszerzenie źrenic) powodujące bolesną fotofobię (nadwrażliwość na światło) trwającą do kilku dni”. Bielun wywołuje poczucie nadciągającej śmierci, zmienia zwykłych ludzi w „naturalnych głupców”.

Możliwe, że kiedy pocilem się jak ruda mysz w żarze tych okropnych świateł, oblepił mnie pyłek i nieświadomie trochę połknąłem.

Wyszukałem wszystkie inne nazwy, które zapamiętałem: kolijęzyk, wilcza jagoda, mordownik, oczokolec. Kolijęzyka i oczokolca nigdzie nie mogłem znaleźć, natomiast mordownik to inne określenie tojadu, jednej z najbardziej zabójczych roślin na ziemi. Truciznę można „wchłonać przez skórę, co powoduje konwulsje, a w ciągu godziny długą i bolesną śmierć podobną do zatrucia strychniną”. Wilcza jagoda to belladonna, również zabójcza, znana z niezwykłych właściwości halucynogennych. Źródłem złudzeń są często nadzieje i pragnienia danej osoby, które przeradzają się w szaloną rzeczywistość.

Wówczas o tym nie wiedziałem, lecz kiedy nieświadomie zabłądziłem do szklarni Reinhartów, to było jak wejście do elektrowni atomowej, w której w jednym z reaktorów nastąpił

drobny wyciek, albo pływanie na oślep w pobliżu rafy nawiedzanej przez żarłaczce ludojady. To cud, że jeszcze żyłem, nie padłem nieprzytomny gdzieś na terenie posiadłości, nie wpadłem w wąwóz – albo wręcz nie skoczyłem z diabelskiego mostu, sądząc, że potrafię latać. Oprócz przerażającej myśli o grożącym mi wtedy niebezpieczeństwie takie odkrycie nakazywało podać w wątpliwość wszystko, co tam widziałem i czego doświadczyłem. Nie mogłem ufać ani jednemu wspomnieniu od czasu wejścia do szklarni.

Czy naprawdę widziałem tego patyczaka i czy rzeczywiście uwięziono mnie w sześciobokach? Czy widziałem głęboki rów w ziemi, czy też źródłem tego obrazu była wszechogarniająca nadzieja na odnalezienie namacalnych dowodów? I czy ci ludzie w czarnych szatach, którzy się na mnie rzucili – a jeden czał się w konfesjonale – byli prawdziwi? Czy to tylko narkotyczna projekcja mojego strachu?

Teraz nie miałem dowodu na żadną z tych wersji. Równie dobrze mógłbym palić crack. To odkrycie, delikatnie mówiąc, doprowadzało mnie do szału.

Zdegustowany, poniekąd wściekły na siebie, że nie zachowałem większej ostrożności, postanowiłem skupić uwagę na czymś konkretnym, czymś bezwzględnie prawdziwym – zbadaniu doniesień o osobach zaginionych w rejonie gór Adirondack.

W ciągu kilku godzin, posługując się bazą danych Krajowego Centrum do spraw Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych, sporządziłem listę osób, które zagięły w promieniu pięciuset kilometrów od Szczytu pomiędzy 1976 rokiem – kiedy wprowadził się tam Cordova – a chwilą obecną.

Liczba zniknięć wyraźnie wzrosła po 1992 roku, kiedy to Ashley przeszła przez diabelski most.

Był też przypadek małego chłopca, który zagiął w Rome w stanie Nowy Jork (sto osiemdziesiąt trzy kilometry od Szczytu) 19 maja 1978 roku, to znaczy kiedy na terenie posiadłości kręcono *Zgniatacz kciuków*. Czwooro dzieci, o których śmierci

mówi się w filmie, miało od sześciu do dziewięciu lat. Marna poszła, ale jeśli Falcone potwierdzi, że krew była ludzka, to warto zacząć od Briana Burtona. Gdy miał sześć lat, jego matka, kelnerka w motelu i restauracji Yoder, nieprzepisowo zaparkowała samochód przy krawężniku i skoczyła do restauracji po czek z wypłatą, zostawiając synka samego na tylnym siedzeniu. Zamknęła auto na klucz, ale lekko uchyliła okna z tyłu. Kiedy wróciła po dziesięciu minutach, drzwi były otwarte, a chłopiec zniknął. Nigdy więcej go nie widziano.

S. McGrath

*Osoby zaginione
w promieniu 500 km od Szczęśli i Crowthorpe Falls
1976 do dziś*

<u>NAZWISKO</u>	<u>WIEK</u>	<u>STATUS</u>	<u>OSTATNIO WIDZIANO</u>
Kate Gonzalez	28	Ucieczka z domu (podw. ryzyko)	8.08.1977
Brian Burton	6	Porwanie przez os. trzecie	19.05.1978
Madonna Glyde	15	Ucieczka z domu (podw. ryzyko)	3.12.1981
Lacey Robertson	17	Ucieczka z domu (podw. ryzyko)	1.10.1990
Kevin Tsui	9	Porwanie przez czł. rodziny	21.11.1997
Vincent Giovanelli	24	Zaginiony	30.09.2000
Laura Belle Helmsley	15	Ucieczka z domu	13.03.2001
Valerie Lorraine-Luca	3	Porwanie	3.03.2004
Sophie Hecta	8	Ucieczka z domu (podw. ryzyko)	13.03.2005
Vanessa Mills	52	Ucieczka z domu	16.07.2005
Kurt Sullivan	9	Ucieczka z domu (podw. ryzyko)	13.09.2009
Jessica Ann Carr	5	Porwanie przez os. trzecie	13.08.2011

Po "diabelskiej klatwie"

*W tym czasie na Szczęśli kreślił
Związek Kinksw.*

Chronologia życia Ashley Cordovy

Urodzona: 30.12.1986
Incydent na diabelskim moście: 1992 rok

Pozostałe incydenty były równie upiorne – tak wiele ostatnio widziano opisów i symbolicznych szczegółów: wisiorek Sophie Hecty z zamykanym medalionem, czarna ryba narysowana kredką świecową przez Jessicę Carr, znaleziona w jej łóżku, gdy rodzice zorientowali się, że córka zniknęła. Niestety (choć nie powinno to dziwić, bo Cordova zapewne umiał zacierać ślady) żaden detal bezpośrednio nie łączył tych przypadków z reżyserem – nie było żadnych analogii do jego filmów, nikt też nie zauważył tajemniczego mężczyzny w czarnych okularach, które przesłaniały mu oczy.

Nic – a potem jedna wąła wskazówka.

Zanim Laura Helmsley uciekła z domu, tydzień wcześniej ktoś przetrząsnął jej szkolną szafkę. Dziewczyna zgłosiła w sekretariacie kradzież pamiętnika. Ten szczegół kojarzył się z wydarzeniami, które opisywał John, mój anonimowy rozmówca. Czy Cordova ukradł pamiętnik, licząc na to, że Laura jest godna wymiany za Ashley? Policja sądziła, że dziewczyna po prostu uciekła ze swoim starszym chłopakiem. Dwa dni po jej zniknięciu zarejestrowała ich kamera baru dla zmotoryzowanych sieci White Castle.

Laura nie dała jednak znaku życia od ponad dziesięciu lat.

Zanim przeczytałem o roślinach halucynogennych, mógłbym uwierzyć w jeszcze inną ewentualność: że po prostu otworzyła się ziemia i połknęła ich w całości. Wydawało się to jedynym logicznym wytłumaczeniem w przypadku Kurta Sullivana, który zniknął na trzydziestometrowym odcinku prostego szlaku w lesie Moose River Plains (sto pięćdziesiąt jeden kilometrów od Szczytu). Zostawił rodziców i wrócił za zakręt do obozowiska, żeby włożyć dłuższe skarpetki – i właśnie wtedy widziano go po raz ostatni. Akcja poszukiwawcza, w której wzięło udział sześćset osób, wspierana przez siły powietrzne Stanów Zjednoczonych, nie przyniosła ani jednej wskazówki na temat losu chłopca.

Cienie obdarzone własną wolą, zabójcze uroki i diabelskie klątwy, czarne rzeki i bestie z korą zamiast skóry, świat pełen niewidzialnych rozpadlin, w które każdy może w dowolnej chwili

wpaść przez przypadek – po tym, co spotkało mnie na Szczycie, naprawdę wziąłbym to pod uwagę. Czyż całe śledztwo w sprawie Cordovy nie kierowało właśnie ku obrzeżom takiej rzeczywistości – świata nieskończenie tajemniczego, spowitego w pytania, na które nie ma odpowiedzi? Bardzo możliwe, że Cordova to szaleniec, że w swoim życiu i twórczości tragicznie zatarł wszelkie granice między prawdą a fantazją, ale czy nie był zdolny przywołać w swej posiadłości jakichś mocy? Czy tak właśnie nie było? Czyż nie widziałem tego na własne oczy?

Teraz jednak nie wiedziałem, w co wierzyć. Logika kazała sądzić, że po prostu miałem kontakt z dużą ilością czarnego ziela. A tak w ogóle to dlaczego Cordova – albo Popcorn – utrzymywał szklarnię pełną tyłu toksycznych roślin, że można by nimi wybić całą armię?

Im więcej czytałem raportów o osobach zaginionych, tym bardziej te wszystkie tajemnice strzępiły się na milion wątków. Mimo to notowałem różne szczegóły, ogólnikowe fakty opisywane w lokalnych gazetach i na blogach poświęconych osobom zaginionym. Potem poczułem przeciążenie w mózgu, oderwałem się od komputera i postanowiłem udać się do Klavierhausu.

Skoro, jak powiedział Hopper, Ashley bywała tam w dzieciństwie, to chciałem pomówić z kimś, kto pamiętał ją z tamtych czasów. Może kogoś takiego potrafił wskazać Peter Schmid, kierownik, z którym rozmawialiśmy.

Kiedy jednak przybyłem na miejsce, odkryłem z przerażeniem, że stało się coś dziwnego – albo wręcz przeciwnie, wcale nie było to dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, co badałem przez ostatnie trzy dni.

Peter Schmid zniknął.

– Jak to? – zapytałem.

– Odszedł z pracy – odparł młody człowiek za ladą Klavierhausu.

– Kiedy?!

– Dwa tygodnie temu.

– I dokąd poszedł?

– Nie mam pojęcia. To wszystko stało się dość nagle. Nasz właściciel, pan Reisinger, był wkurzony, bo mamy niedobory kadrowe. Ja tu jestem tylko na stażu. Ale Peter miał trochę problemów, więc...

– Ma pan do niego telefon?

Chłopak odszukał numer, więc wybrałem go i wyszedłem przed sklep. Na wystawie wciąż stał fortepian Fazioli, na którym grała Ashley.

Stałem na chodniku jak wryty. Nagranie oznajmiło, że numer odłączono.

Nie wiedziałem, co to oznacza – ale na pewno coś złego.

Przywołałem taksówkę i już po kilku minutach wkroczyłem do holu budynku Campanile, w którym mieszkała Marlowe Hughes. Rozpoznałem pyzatego portiera: to był ten drugi na służbie w dniu, kiedy zagadaliśmy do Harolda.

– Szukam Harolda – powiedziałem, podchodząc do mężczyzny.

– Już tu nie pracuje. Znalazł nową fuchę w jakimś wytwornym budynku przy Piątej Alei. Białe rękawiczki i tak dalej...

– W którym? Potrzebny mi adres.

– Nie mówił.

– Muszę wejść na górę i porozmawiać z Marlowe. – Podąłem mu swoją wizytówkę. – Jestem znajomym Olivii Endicott.

– Z Marlowe?!

– Marlowe Hughes. Apartament dziesięć zero dwa.

Portier wydawał się skrzepowany.

– No właśnie, panny Hughes tak jakby... nie ma w domu.

– Gdzie jest?

– Nie mogę zdradzić szczegółów.

Ogarnęła mnie panika. Wcisnąłem mu do ręki sto dolarów, które z radością schował do kieszeni.

– Zabrali ją na odwyk – powiedział cicho. – Miała incydent. Ale nic jej nie jest.

– Czy mimo wszystko wpuściłby mnie pan do jej mieszkania?
Pokręcił głową.

– Nie, przykro mi. Nikt tam nie był, odkąd...

– Wiem, że Olivii nie ma w kraju, ale niech pan zadzwoni do jej asystentki. Wyrazi zgodę.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem. Mimo to czekał cierpliwie, gdy szukałem numeru.

– Dzień dobry – odezwał się do słuchawki, kiedy go połączyłem. – Z tej strony Campanile. Mam tu pewnego pana. – Zerknął na moją wizytówkę. – Scott McGrath. – Następnie opisał sytuację i zamilkł. A potem jego twarz, jeszcze przed chwilą taka przyjazna, nagle spoważniała. Spojrzał na mnie wyraźnie zaskoczony, a potem rozłączył się bez słowa. Wstał, wyszedł zza biurka i wyciągnął rękę, żeby wskazać mi drzwi. – Niech się pan stąd zmywa, kolego.

– Chcę wiedzieć, co powiedziała.

– Jeżeli znowu będzie tu pan nachodził ludzi, to zadzwonię na policję. Nic pana nie łączy z Olivią Endicott.

Na dworze obejrzałem się za siebie oniemiały, ale portier stanowczo stanął w drzwiach i piorunował mnie wzrokiem.

Prędko ruszyłem ulicą. Za rogiem sam wybrałem numer asystentki Olivii. Odebrała natychmiast.

– Mówi Scott McGrath. Co to miało być, do cholery?

– Słucham? Nie wiem, o czym pan mówi...

– Dość chrzanienia. Co pani powiedziała portierowi?

Milczała, najwyraźniej próbując zdecydować, czy udawać niewiedzę. Potem odezwała się suchym, chłodnym tonem:

– Pani du Pont wolałaby, żeby nie kontaktował się pan z nią ani z innymi członkami jej rodziny.

– Pani du Pont i ja współpracujemy.

– Już nie. Nie życzy sobie dalszych powiązań z pańskimi poczynaniami.

Rozłączyłem się z wściekłością, a następnie zadzwoniłem do kierownictwa Campanile, żeby poprosić o numer domowy Harolda.

Był odłączony.

Po powrocie na Perry Street podjąłem systematyczne próby skontaktowania się z każdym świadkiem, z którym zetknęliśmy się podczas śledztwa.

Zacząłem od Iony, specjalistki od „atrakcji na wieczorach kawalerskich”, która poinformowała nas o wyprawie Ashley do Oubliette. Gdy połączyłem się z numerem na jej wizytówce, usłyszałem automatyczną wiadomość, że skrzynka głosowa jest pełna.

Nie zmieniło się to nawet po czterech dniach.

Zadzwoiłem też do Morgana Devolda. Nie miałem już strony wyrwanej z książki telefonicznej – skradziono mi ją podczas włamania do gabinetu – ale kontakt podało biuro numerów dla Livingston Manor.

Odzywał się tylko sygnał zajętości. Dzwoniłem co godzinę przez kolejne sześć godzin. Wciąż było zajęte.

Kiedy od kierownika służby pięt w Waldorf Towers dowiedziałem się, że Guadalupe Sanchez już tam nie pracuje, postanowiłem odnaleźć młodą rudowłosą pielęgniarkę, która w Briarwood wybiegła przed nasz samochód. Pamiętałem, że nazywa się Genevieve Wilson. Wspomniał o tym Morgan Devold.

– Genevieve Wilson jako studentka pielęgniarstwa pracowała u nas na stażu przez trzy miesiące – wyjaśnił mężczyzna z działu pielęgniarstwa.

– Czy mogę z nią porozmawiać?

– Skończyła staż trzeciego listopada.

To było ponad trzy tygodnie temu.

– Czy zastanę ją pod jakimś numerem telefonu? Ma pan jej adres domowy?

– Takie informacje nie są dostępne.

Czy jakimś cudem to ja do tego doprowadziłem? Czyżbym postradał zmysły? Pierwszy objaw szaleństwa to niemal ciągle zaskoczenie światem oraz podejrzliwość wobec wszystkich ludzi, od obcych aż po rodzinę i przyjaciół. Oba te symptomy występowały u mnie wręcz w nadmiarze. I cóż w tym dziwnego? Każdy świadek, każdy nieznajomy i każdy przypadkowy

człowiek, który zetknął się z Ashley, zaginął. Rozmyli się po cichu niczym mgła, która podnosi się powoli, a ja zauważam to dopiero, gdy jej nie ma. To samo spotkało przed laty mojego anonimowego rozmówcę Johna.

A może wszystko zrozumiałem opacznie? Może ci ludzie zbiegli, zaginęli, schowali się w najdalszych zakątkach Ziemi – tak jak Rachel Dempsey i wielu innych aktorów, którzy pracowali i mieszkali u Cordovy – ponieważ przed czymś uciekali? Czy bali się jego, Cordovy, bo rozmawiali ze mną o jego córce? Wraz z kradzieżą moich notatek zniknął zapis wszystkiego, co powiedzieli mi o Ashley. Ich świadectwo istniało już tylko w mojej głowie – oraz w głowach Hoppera i Nory.

Ale teraz ich również nie było.

A zatem tylko w mojej.

Zdjęty nagłym niepokojem, że Nora i Hopper zniknęli tak jak pozostali, zatelefonowałem do nich i zostawiłem im wiadomości z prośbą, żeby oddzwonili. Potem wybrałem numer Cynthii, bo nagle zapragnąłem usłyszeć głos Sam. Irracjonalnie bałem się, że jej także już nie ma. Włączyła się poczta głosowa. Nagrałem lakoniczną wiadomość, włożyłem płaszcz i wyszedłem z mieszkania.

W gasnącym świetle dnia podjazd Morgana Devolda wyglądał zupełnie inaczej niż tamtej nocy, gdy dotarliśmy tu we trójkę. Prawie go nie poznałem. Zatrzymałem się na poboczu, zgasilem silnik i wysiadłem.

Natychmiast uderzył mnie silny zapach: dym.

Ruszyłem podjazdem. Część rosnących nad nim gałęzi była odgięta do tyłu i złamana na pół – jakby przejechała tamtędy duża ciężarówka. Woń spalenizny się nasilała, a kiedy wspiąłem się na szczyt pagórka, stanąłem i spojrzałem na rozciągający się przede mną trawnik.

Walący się dom Morgana Devolda doszczętnie spłonął.

Podszedłem bliżej. Z szoku kręciło mi się w głowie. Obu samochodów nie było. Został tylko opalony klimatyzator i pół złamanej huśtawki.

Domyślałem się, że pożar miał miejsce przed tygodniem i nie wybuchł przypadkowo. Przedzierałem się przez zgliszcza, szukając jakichś śladów, ale jedynymi rozpoznawalnymi przedmiotami, na jakie natrafiłem, były osmalona ceramiczna wanna, spalona podstawa rozkładanego fotela oraz plastikowa rączka lalki stercząca spod rumowiska. Zastanawiałem się, czy to ramię Małej, którą Morgan wyłowił z dziecięcego basenu. Natychmiast ruszyłem przez trawiaste chaszczki w stronę najdalszego kąta ogrodu.

Basenik był dokładnie tam, gdzie wcześniej, wciąż częściowo nadmuchany, ale przewrócony do góry nogami. Gdy go odwróciłem, okazało się, że na dnie oprócz przyschniętych liści znajduje się spora czarna plama.

To na pewno tam Ashley ukryła lalkę, żeby zadziałał czar zamknięty w figurce lewiatana. Widok ten był dziwnie przytłaczający – jakby ów czarny ślad stanowił ostateczne potwierdzenie, że to, czego dowiedziałem się o jej życiu i śmierci, jest prawdą.

Kto podpalił dom? Czy Morgan z rodziną byli wtedy w środku, czy może dawno już zniknęli jak każdy inny świadek, którego spotkała Ashley?

Włóczyłem się tam przez pół godziny, szukając odpowiedzi. Ostateczność tego pogorzelniska wprawiła mnie zarazem w niedowierzanie i gniew. Miałem wrażenie, że to nie tylko ruina domu Devolda, ale i całego śledztwa. Nic tu nie zostało, wszystko uległo zniszczeniu, a ja, ostatni człowiek, przybyłem za późno i grzebałem w zgliszczach, szukając fundamentalnej prawdy, której już nie było.

Kiedy ruszyłem z powrotem do samochodu, w wysokiej trawie zauważyłem coś małego i białego.

Niedopałek papierosa.

Były tam cztery. Podniosłem jeden z nich. Tuż przy filtrze dostrzegłem dziwną nazwę marki wydrukowaną małykami literami. Zakręciło mi się w głowie. Pospiesznie zebrałem wszystkie niedopałki, a potem rzuciłem się pędem przez podjazd.

Murad.

Beckman, ubrany w czarne sztruksy i flanelową koszulę w niebieską kratę, przemawiał przed wypełnioną salą wykładową. Było tam co najmniej trzystu studentów, a wszyscy chłonęli każde jego słowo.

– Film utrzymuje nieznośne napięcie aż do ostatnich minut – mówił – kiedy Mills dowiaduje się, co jest w pudełku dostarczonym przez FedEx: obcięta głowa jego żony. Otwarte zakończenie każe się nam zastanawiać nad dalszym losem biednego detektywa. Kiedyś był taki arogancki, taki pewny siebie. Teraz musi stanąć twarzą w twarz z koszmarami, które ścigał. Sam może stać się jednym z nich. Czy Mills zostanie pogwałcony, czy zbawiony? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy ocenić moralne uniwersum tego filmu, rozważyć wszystko, co zdarzyło się wcześniej. Czy Mills przeżyje?

Beckman dość dramatycznie obrócił się na pięcie i uniósł pilota – tak jak czarodziej unosi magiczną różdżkę – a wtedy na olbrzymim ekranie za jego plecami pojawił się obraz. Były to ostatnie minuty filmu *Siedem* z Morganem Freemanem i Bradem Pittem w rolach Somerseta i Millsa oraz Kevinem Spaceyem jako Johnem Doe na tylnym siedzeniu radiowozu.

Zapukałem w szybę po raz drugi i tym razem Beckman to usłyszał. Wzdrygnął się wyraźnie zaskoczony, zerknął na swoich studentów, a potem podbiegł do drzwi.

- McGrath, co do cholery? – syknął, uchylając je odrobinę.
- Muszę z tobą porozmawiać.
- Nie widzisz, że jestem zajęty?
- To wyjątkowa sytuacja.

Zamrugał ciemnymi oczami zza okularów. Studenci zafascynowani wpatrywali się w ekran, więc pośpiesznie wymknął się na korytarz i cicho zamknął za sobą drzwi.

– Co jest, na Boga? Przecież wiesz, że nie lubię, jak mi się przerywa, kiedy uczę. Jest taki drobiazg jak ciąg twórczy...

- Potrzebuję imion twoich kotów.
- Słucham?

– Twoich kotów. Twoich zasranych kotów. Jak one się nazywają?

Przechodząca obok studentka obróciła się i nieufnie zmierzyła mnie wzrokiem.

– Moich zasranych kotów? – powtórzył Beckman, rzucając mi piorunujące spojrzenie. – Właśnie dlatego nigdy cię nie lubiłem, McGrath. Nie dość, że jesteś grubiański i roszczeniowy, to nawet nie starałeś się zapamiętać imion tych kotów, jakby nie dorastały ci do pięt. Przecież przedstawiałem ci je piętnaście albo szesnaście razy. – Otworzył usta, żeby jeszcze bardziej mnie zbesztać, ale musiał dostrzec, że jestem rozgorączkowany, bo poprawił okulary na nosie. – Pełne imiona czy przezwiska?

– Pełne imiona. Zaczynaj od tego, o którym mówiłeś mi ostatnio. Coś z tureckimi papierosami Murad.

Beckman odchrząknął.

– Papieros Murad. Borys Syn Włamywacza. Jednooki Pontiac. Ujęcie Podglądacza. Nie Wiedzą Co. Befsztyk Tatarski. – Zmarszczył brwi. – Ile to było?

– Sześć. – Wszystkie zapisywałem.

– Zły Król. Phil Lumen. No i wreszcie Cień. Proszę bardzo. Do usług. – Wykonał ruch matadora, po czym ruszył do drzwi.

– I to są znaki rozpoznawcze Cordovy, tak?

Beckman westchnął.

– McGrath, tyle razy ci tłumaczyłem...

– Jak one konkretnie działają? Kiedy się pojawiają?

Zamknął oczy.

– Choćby nie wiem co, w każdej historii, którą skonstruował Cordova, występuje co najmniej jeden, czasem dwa, a czasem nawet pięć takich znaków firmowych, swoistych podpisów. Pojawiają się niezapowiedziane jak zagubieni członkowie rodziny na Wigilii. Oczywiście wywołują mnóstwo problemów. – Zerknął na mnie, patrząc, jak notuję. – A o co ci tak w ogóle chodzi?

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem niedopałki papierosów. Beckman zmarszczył czoło, wziął jeden z nich, przyjrzał mu się

uważnie, a potem, zapewne na widok nazwy wydrukowanej obok filtra, spojrzął na mnie z niepokojem.

– Na Boga, gdzieś ty to znalazł?

– Na prowincji. Na miejscu pożaru domu.

– Przecież te papierosy istnieją tylko w filmach Cordovy.

– Żyję w takim filmie.

– Słucham?

– Wydaje mi się, że jestem w filmie Cordovy. W jednej z jego historii. I jeszcze się nie skończyła.

– O czym ty...

– On mnie zrobił. Cordova. Może Ashley też. Nie wiem jak ani dlaczego. Wiem tylko tyle, że próbowałem rozwikłać okoliczności śmierci Ashley, a teraz zniknął każdy, kto ją spotkał. Cordova potrafił sterować rzeczywistością, manipulować swoimi aktorami, popychać ich na krawędź. Teraz to samo zrobił ze mną.

Beckman rozdziawił usta. Z niedowierzaniem wybałuszył oczy. Wyglądał, jakby wpadł w jakiś stupor.

– Gadaj o tych papierosach – powiedziałem.

Odetchnął głęboko.

– McGrath, to naprawdę nic dobrego.

– A konkretniej?

– Czy ja ci nie mówiłem, żebyś zostawił go w spo...

– Papierosy!

Spróbował się uspokoić.

– Jeżeli jesteś pierwszą postacią, która pojawia się w scenie po wypaleniu muradów, to znaczy, że jesteś naznaczony. Skazany na zgubę.

– Ale jest jakieś wyjście...

– Nie. – Uniósł brew. – Owszem, istnieje bardzo niewielka szansa, że przeżyjesz, o ile zdobędziesz się na jakiś olbrzymi, nieprawdopodobny akt wiary. Ale to musi być coś takiego, jakbyś skoczył z wieżowca na wieżowiec. To niemal zawsze skutkuje rozmaśleniem na chodniku: albo śmiercią, albo zamknięciem na zawsze w lepkiem piekle, szarpaniem się w kokonie jak Leigh na końcu *La Douleur*.

Zanotowałem to.

– A Borys Syn Włamywacza?

– Wieloletni kaskader Cordovy. Jego pełne imię i nazwisko to Borys Dragomirow. Niewysoki, acz krzepki Rosjanin. Jego ojciec był okrytym złą sławą gangsterem, znanym w ojczyźnie po prostu jako Czarne Oko. Udało mu się uciec z każdego łagru, w którym go zamknięto, a potem nauczył wszystkiego, co umiał, swego jedyne go syna Borysa. Cordova korzystał z Borysa w każdym filmie. To on odwalał całą brudną robotę, wszystkie oszustwa, pobicia, włamania, kraksy samochodowe, skoki ze skał. Jego największa rola to ta w *Szparze w oknie*, gdzie zagrał szantażystę, który pojawił się po drugiej stronie konfesjonau i wystraszył na śmierć Jinleya. Biega szybko jak maserati z turbodoładowaniem, potrafi uciec zawsze i przed wszystkim.

Potrzebowałem tylko sekundy, żeby zrozumieć, gdzie się z nim zetknąłem.

– Gonilem go – powiedziałem. – Rozmawiałem z nim.

– Rozmawiałeś z Borysem Synem Włamywacza?

Napędce opowiedziałem, jak włamał się do mojego mieszkania, zwiął przez West Side Highway na molo, udawał geja, który szuka towarzystwa, a potem rozpląnął się w mgnieniu oka.

– McGrath, jak mogłeś to przegapić? Załatwił cię na „napalonego starucha”, to jedno z jego najsłynniejszych oszustw.

– A Jednooki Pontiac?

Beckman splótł palce w zamyśleniu.

– Zawsze jest jakiś ciemny pontiac z jednym światłem, czarny, granatowy lub brązowy. Przedmiot albo człowiek oświetlony jego jaskrawym reflektorem zostanie unicestwiony.

Natychmiast sobie przypomniałem: Hopper twierdził, że widział taki samochód na parkingu motelu Evening View, kiedy czekali, aż wrócę ze Szczytu. Pospiesznie to zanotowałem. Beckman zerknął na moje gryzmoły.

– Widziałeś Jednookiego Pontiaca?! – wydyszał. – Nie mów, że cię oświat...

– Nie. Widział go ktoś inny. A Ujęcie Podglądacza?

Zdenerwowany Beckman zamrugał oczami.

– To firmowe ujęcie Cordovy. Tak jak widok z bagażnika u Tarantino. Podglądacz to długie ujęcie innej osoby, która nie wie, że jest bacznie obserwowana. Kadr jest zawsze obramowany przez odsuniętą zasłonę, żaluzje, zabłoconą szybę samochodu albo uchylone drzwi.

Zastanowiłem się nad tą informacją, ale nie rzucała światła na moje doświadczenia w trakcie śledztwa.

– A Nie Wiedzą Co? – ciągnąłem.

Beckman wzruszył ramionami.

– To pomagier, prawa ręka, wysłannik, sługus. Pojawia się wtedy, kiedy nie ma jego szefa, biernie, bez własnej oceny wykonuje polecenia, w ten sposób wypuszczając w świat mroczną, złowrogą moc. Samo określenie pochodzi oczywiście z Biblii, z dwudziestego trzeciego rozdziału Ewangelii według świętego Łukasza: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią”.

Musiałem się chwilę pogłowić, a potem mnie olśniło. Odpowiedź była tak oczywista, że niemal parsknąłem śmiechem. Zapisałem to nazwisko.

– Theo Cordova? – spytał Beckman, czytając mi przez ramię. – Czego chcesz od Theo Cordovy?

– On mnie śledzi.

– Syn Cordovy? Ale skąd wiesz, że to on?

– Nie ma trzech palców lewej ręki.

Beckman był zaskoczony.

– Rzeczywiście. Theo zawsze był dziwnym, milczącym młodym człowiekiem. Zadręczanym przez ojca, od lat nieszczęśliwie zakochanym w tej samej starszej kobiecie.

Pospiesznie to zapisałem.

– A Stek Tatarski?

Beckman skwapliwie oblizał usta.

– W każdym filmie Cordovy ktoś, często statysta, je drobno posiekane surowe mięso. No i posłuchaj: następna osoba pokazana po tej konsumpcji na średnim planie albo w zbliżeniu

okaże się zła. Potajemnie, zazwyczaj poza kadrem, została zdrajcą, dziwką, renegatem i nie można jej już ufać. W ten sposób Cordova przypomina nam, że w każdym drzemie kanibal, że w ostateczności jesteśmy żarłocznymi bestiami, które w odpowiedniej chwili zaspokoją swe najszeptniejsze pragnienia. Podobno tatar to jego ulubione danie.

Nie byłem pewien, czy widziałem, żeby ktoś go jadł. Przy tym punkcie postawiłem znak zapytania.

– Zły Król?

– Zły Król – oznajmił Beckman oficjalnie i odchrząknął – to czarny charakter. Postać powszechnie przerażająca, zarówno w mitach, jak i w świecie rzeczywistym. Może mieć odrzucającą powierzchowność albo wyglądać całkiem nieszkodliwie. Zazwyczaj to ktoś dysponujący ogromną władzą. Im sprytniejszy i bardziej podstępny jest Zły Król, tym bardziej gwałtowną i satysfakcjonującą burzę wywołuje.

To proste. Cordova.

– Phil Lumen?

Beckman kiwnął głową.

– Drobnny szczegół. Phil Lumen Company to producent wszelkiego oświetlenia w filmach Cordovy. Żarówki, latarki, reflektory, stroboskopy, latarnie i lampy lawowe, wszystko to pochodzi z Phil Lumen, co po łacinie oznacza „umiłowanie światła”. Czasem to nazwisko pada z głośników na lotniskach albo w sklepach. „Pan Phil Lumen proszony jest o zgłoszenie się do terminalu B United Airlines”.

Nie przypomniałem sobie nic takiego – choć pewnie i tak nie zwróciłbym uwagi.

– A Cień?

Beckman milczał przez chwilę ze smutnym uśmiechem.

– To mój ulubiony element. Cień jest tym, za czym gonią ludzie w trakcie całej historii. Ewentualnie prześladowuje on bohatera, nie dając mu spokoju. Potężna siła, która dręczy, ale i oczarowuje. Prowadzi do piekła albo do nieba. To ta pustka wewnątrz nas, której nigdy nie da się zapełnić. Wszystko to,

czego w życiu nie możemy dotknąć, uchwycić, tak ulotne i bolesne, że aż chcemy krzyczeć. Czasem nawet dostrzegamy to przez kilka sekund, a potem znika. Ale obraz żyje w nas. Nie zapomnimy go nigdy, do końca życia. Cień jest tym, co nas przeraża, lecz paradoksalnie tego szukamy. Bez naszych cieni jesteśmy niczym. To one określają nasz świat, poza tym błady i oślepiający. Pozwalają nam widzieć to, co mamy przed sobą. A jednak prześladują nas aż do śmierci.

To Ashley. Beckman idealnie opisał moje zetknięcie z nią nad Zbiornikiem. Patrzył tymi swoimi czarnymi oczkami, jak zapisuję jej imię, i zerkał to na kartkę, to na mnie.

– Co jeszcze? – zapytałem.

– Na jaki temat?

– Umysłu Cordovy. Tych jego historii.

Po chwili Beckman wzruszył ramionami ze smętną miną.

– Te kilka stałych elementów jątrzących się w jego mózgu to wszystko, co zdołałem rozpoznać. Reszta, jak mówią, jest... nie historią, nigdy nie lubiłem tego wyrażenia, ale: rewolucją. Stałym zamętem. Przekształceniem. Rotacją. Ojejku. – Wyprostował się gwałtownie, gdy coś przyszło mu do głowy. – Jeszcze coś, McGrath.

– Co?

– Często na jakimś etapie fabuły bohater napotyka postać, która reprezentuje życie i śmierć. Lub też zajmuje miejsce na ich przecięciu, tam gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. – Beckman gwałtownie nabrał powietrza i wycelował we mnie palec. – Jest atrapą mającą zapewnić wolność temu, co prawdziwe. To ulubiona postać Cordovy. Jest obecna zawsze, gdy działa jego umysł, bez względu na wszystko, rozumiesz?

Nie byłem pewien, czy rozumiem, ale pospiesznie zanotowałem.

– A jego zakończenia?

– Zakończenia? – Beckman zdawał się zaskoczony.

– Jak to wszystko się kończy?

Nerwowo podrapał się w brodę zbyt zdenerwowany, żeby mówić dalej.

– Wiesz to równie dobrze jak ja, McGrath. Jego zakończenia to sejsmiczne wstrząsy psychiki. Ostatnie ujęcia nie pozwalają ci zasnąć i zmuszają do rozmyślań przez wiele dni, do końca życia. Z Cordovą nigdy nie wiadomo. Zakończenie może być u niego pełne zbawczej nadziei jak biało-zielony pączek nowego kwiatu. Albo druzgoczące jak osmalone pola bitew pełne obciętych nóg i języków.

Zanotowałem to wszystko, czując narastającą falę podstępного lęku. Potem złożyłem kartkę i schowałem ją do kieszeni.

– Dziękuję – powiedziałem do Beckmana, który nagle wydał się zbyt zamyślony, żeby się odezwać. – Wyjaśnię ci to, kiedy będę miał więcej czasu – dodałem, po czym ruszyłem przed siebie korytarzem.

– McGrath! – Zatrzymałem się i odwróciłem. Beckman patrzył za mną. – Muszę dać ci jeszcze jedną radę, na wypadek gdyby ta dość niezwykła, godna pozazdroszczenia sytuacja, w której się znalazłeś, okazała się prawdziwa, gdybyś rzeczywiście jakimś cudem znalazł się w samym środku historii Cordovy. – Patrzyłem na niego bez słowa. – Bądź tym dobrym – powiedział.

– Skąd mogę wiedzieć, czy nim jestem?

Wycelował we mnie palec i pokiwał głową.

– Bardzo mądre pytanie. Nie możesz. Większość tych złych myśli, że są dobrzy. Ale istnieje kilka wskazówek. Będziesz nieszczęśliwy. Będziesz znienawidzony. Będziesz błędził w ciemnościach, samotny i zdezorientowany. Niewiele zrozumiesz z prawdziwej natury rzeczy aż do ostatniej chwili i poznasz ją tylko pod warunkiem, że starczy ci siły i szaleństwa, żeby dotrzeć do samiutkiego końca. Ale najważniejsze, absolutnie kluczowe, jest to, że będziesz działał, nie zważając na siebie samego. Motywacją będzie coś, co nie ma żadnego związku z twoim ego. Zrobisz to w imię sprawiedliwości. Dobra. Miłości. Tylko ci dobrzy mają dość siły, żeby udźwignąć na swych

ramionach te wielkie heroiczne cechy. I będziesz słuchał. – Znow obliżał wargi i zmarszczył czoło. – Jeżeli jesteś tym dobrym, McGrath, to może masz szansę przeżyć. Chociaż u Cordovy oczywiście nie ma żadnych gwarancji.

– Rozumiem.

– Powodzenia – powiedział, a potem prędko obrócił się na pięcie i nie oglądając się już na mnie, zniknął w sali wykładowej.

Obserwowałem rezydencję przy Wschodniej Siedemdziesiątej Pierwszej – tę, do której włamał się Hopper – przez następne jedenaście dni. Oczywiście wracałem do domu, żeby dobrze się wyspać, a u podstawy drzwi ukrywałem krótki kawałek nitki przyklejony małymi kawałkami plasteliny, żeby wiedzieć, czy pod moją nieobecność ktoś wchodził do budynku.

Nitka pozostawała jednak na swoim miejscu.

W tym momencie przyjmowałem jako prawdę wyłącznie to, że w jakiś sposób zostałem po mistrzowsku wrobiony, począwszy, jak sądziłem, od zetknięcia z Ashley owej nocy nad Zbiornikiem. Ale po co to zaplanowano i wykonano? W jaki sposób? Czy świadkowie, których odszukaliśmy, w ogóle mówili prawdę o zachowaniu Ashley? Co jest rzeczywiste, a co nie? Tego już nie wiedziałem. Czy coś może być rzeczywiste, kiedy znikną wszystkie ślady? Czy coś jest kategorycznie prawdziwe, jeśli żyje wyłącznie w naszej głowie, tak samo jak sny?

Cordova w życiu i w sztuce mieszał fantazję z rzeczywistością, teraz więc, ku mojemu rozgoryczeniu, zdawał się ostentacyjnie demonstrować mi takie właśnie pomieszanie prawdy i fikcji. Może w ten sposób chciał podkreślić nie tylko swoją wyższość – to, że nie da się go zdemaskować i że nigdy nie wpadnie w moje ręce – ale także to, że czasem najpełniejszą prawdą o rodzinie, o czymś życiu, jest właśnie fantazja, i tylko człowiek o bardzo prostym umyśle może pragnąć starannie odróżniać jedno od drugiego.

Wkrótce po tym jak przerwałem wykład Beckmanowi, w odstępie kilku godzin zadzwonili do mnie Hopper i Nora. Z niepokojem dopytywali się, czy u mnie wszystko w porządku. Najwidoczniej więc ci dwoje nie zniknęli tak jak pozostali, a jedynie byli zajęci powrotem do zwykłego życia. Nora właśnie ćwiczyła początkowy monolog Ala Pacino z *Glengarry Glen Ross*, z którym zamierzała wystąpić na przesłuchaniu do *Hamletty* we Flea Theater. Moja konwersacja z Hopperem, choć uprzejma, była dość sztywna, również dlatego, że stale przerywały nam jego

rozmowy przychodzące, a poza tym wciąż mi raczej nie wybaczył, że postanowiłem dalej drążyć prawdę o Ashley. Oboje zapytali, czy kontynuuję śledztwo, ale chyba nie interesowała ich odpowiedź. Wyczułem, że Ashley jest teraz czymś, co zostawili w przeszłości, pięknym pochmurnym dniem, któremu towarzyszyły określone nastrojowe światło i określona przejmująca piosenka przewodnia, i tak właśnie pragnęli ją zapamiętać. Nie chcieli więc słyszeć o żadnym doświadczeniu, które zmąciłoby ten obraz. Rozłączyłem się z obojgiem, nie wspominając ani słowem o zniknięciu wszystkich świadków ani o papierosach Murad, znakach firmowych Cordovy, które przeniknęły do prawdziwego śledztwa.

Była natomiast jedna ważna osoba, która pozostała dokładnie tam, gdzie zastałem ją po raz pierwszy.

Znowu pojechałem do Zakłęb i niezapowiedziany wszedłem przez czarną kotarę do pokoju na zapleczu, spodziewając się zobaczyć przy stole kogoś nowego, kto oznajmi, że Cleo przeprowadziła się na bagna Luizjany.

Lecz ku mojemu zaskoczeniu – i uldze – była tam. Zdziwiła się na mój widok, a po niezdarnej wymianie uprzejmości, na którą złożyły się między innymi pytania, czy zna Cordovę („Tego reżysera? Nie” – odparła wyraźnie zdezorientowana) i czy jada befsztyk tatarski („Jestem weganką” – powiedziała bez wyrazu), oraz po sprawdzeniu, czy czerwonej żarówki nad stolikiem nie wyprodukował czasem Phil Lumen (wyprodukowało ją General Electric), podziękowałem i prędko wyszedłem, obsesyjnie odgrywając w myślach nasze ostatnie spotkanie, kiedy pokazała mi, jak cień ogona lewiatana porusza się wbrew prawom fizyki.

To było prawdziwe.

Nie dało się tego wytłumaczyć działaniem czarnego ziela. To wskazówka istnienia czarnej magii, mrocznych, niewidzialnych pęknięć, które przecinają nasz zwyczajny świat.

Prawda? Rozmyślałem o tym całymi dniami, aż wreszcie otrzymałem telefon, na który czekałem.

– McGrath, tu Sharon Falcone. – Na dźwięk jej głosu poczułem niepokój. Coś mi mówiło, że nie spodoba mi się to, co powie o kościach i zaplamionej koszuli. – Obejrzelśmy to, co mi dałeś.

– I?

– Nic tam nie ma. – Zawiesiła głos, jakby wyczuwała, że zdenerwuje mnie ta wiadomość. – W próbce nie ma krwi, ani zwierzęcej, ani innej. Laboratorium znalazło ślady glukozy, maltozy i trochę oligosacharydów.

– Co to takiego?

– Syrop kukurydziany. Możliwe, że na materiał wylał się napój gazowany w puszcze lub butelce. Widocznie to sposób przechowywania koszuli przez lata spowodował sztywność. Ale próbka jest tak niskiej jakości, że trudno to stwierdzić.

– Nie ma absolutnie żadnej możliwości, że to ludzka krew?

– Nie.

Zamknąłem oczy. Syrop kukurydziany.

– A kości? – zapytałem.

– Należą do ssaka z rodziny *Ursidae*, prawdopodobnie *Ursus americanus*.

– Co to jest?

– Niedźwiedź czarny. To zapewne łapa młodego osobnika.

Niedźwiedź czarny.

– Potrzebujesz urlopu – powiedziała Sharon. – Wyjedź na parę tygodni. To miasto potrafi człowiekowi nachrzanić w głowie. Tak jak w przypadku każdego toksycznego romansu trzeba sobie zrobić przerwę, zanim wróci się po nową porcję bólu i zgryzoty.

Nic nie powiedziałem, bo to nie mogła być prawda. Przecież byłem tak pewien, pewien, że w tamte plany filmowe wsiąkło autentyczne ludzkie cierpienie. To nie mogło się tak skończyć.

– Jesteś tam jeszcze? – zapytała Sharon.

– Przepraszam, że zawracałem ci tym głowę – zdołałem wydusić.

Odchrząknęła.

– Musisz to zostawić. Uwierz mi, świetnie rozumiem, jak takie sprawy gryzą człowieka. Nie ma wtedy nic ważniejszego niż

odnalezienie tych ukrytych drzwi podziemnego bunkra, gdzie za kratami siedzi prawda. Ale czasem tej prawdy po prostu tam nie ma. Nawet jeśli ją słyszysz i czujesz jej zapach. Albo już nie ma wejścia. Zarosło. Kamienie się osunęły. Korytarz się zawalił. Nikt się tam nie dostanie i nie pomoże nawet cały dynamit świata. Więc trzeba to tak zostawić. I żyć dalej. – Kiedy to powiedziała, po jej stronie zaczął brzęczeć telefon, lecz go zignorowała. – Ciemna strona życia ma to do siebie, że i tak nas w końcu znajdzie, więc przestań za nią gonić.

– Dziękuję, Sharon. Za wszystko.

– Nie ma sprawy. A teraz jedź na plażę, znajdź sobie dziewczynę, opal się, zrób coś ze sobą, dobrze?

– Jasne.

– Trzymaj się.

– Ty też.

Rozłączyła się. Łapa niedźwiedzia czarnego!

Przez resztę dnia zajmowałem się zwykłymi sprawami, usiłując zapomnieć o rozczarowaniu. Powtarzałem sobie, że muszę to zaakceptować – że Hopper i Nora mieli rację. Znalazłem się na końcu drogi. W niepodważalnie ślepym zaułku. Nie było dowodów żadnej zbrodni.

A potem zrozumiałem, że jest jeszcze jeden kamień, pod który nie zajrzałem. Została jeszcze jedna osoba mogąca rzucić światło na tę sytuację, osobiście wyjaśnić, co to wszystko znaczy – wieloletnia asystentka Cordovy Inez Gallo.

Wystarczyło poczekać, aż wróci do miejskiej rezydencji. Zamierzałem czekać, ile tylko będzie trzeba. I kiedy się w końcu pojawi – nieważne, czy jutro, czy za trzy lata – będę gotów.

Stało się to dwunastego dnia obserwacji. Tuż po siedemnastej wracałem właśnie z delikatesów przy Lexington Avenue, gdy dostrzegłem drobną kobietę w czarnym płaszczu idącą szybkim krokiem pół kwartału przede mną.

To była Inez Gallo. Poznałem ją natychmiast: te w pośpiechu przycięte siwe włosy, ta zgarbiona, zawzięta sylwetka malutkiego byka gotowego do szarży. Jakby nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył, wbiegła po schodkach i zniknęła w środku.

Odczekałem kilka minut – ulica wciąż była pusta – a potem chwyciłem się żelaznej kraty okna na parterze i zacząłem się wspinać. Musiałem wziąć Gallo przez zaskoczenie. Pamiętałem, jak robił to Hopper: wciskał stopy między pręty, aż oparł prawą nogę o staromodną lampę nad drzwiami. Złapałem się balustrady biegnącej wysoko nade mną wzdłuż pierwszego piętra, podciągnąłem się do balkonu, przerzuciłem prawą nogę przez barierkę, wdrapałem się, a potem padłem na zasypany liśćmi taras. Podszedłem do okna po prawej stronie, tego, które Ashley odłączyła od systemu alarmowego.

Gallo musiała zapalić sporo lamp w holu na dole, ponieważ światło sączyło się przez drzwi naprzeciwko mnie, pozwalając mi zajrzeć przez okno. Zobaczyłem zdobną bibliotekę wyłożoną boazerią. Każdy mebel zasłaniała biała płachta. Pomieszczenie było puste.

Wyjąłem kartę kredytową, wetknąłem pod ramę okna i uniosłem ją na tyle, żeby wsunąć tam palce, a następnie otworzyłem okno i wszedłem do środka.

Hopper mówił, że kiedy się tu włamał, cała rezydencja wyglądała jak zamrożona w czasie. Każdy przedmiot zastał dokładnie tam, gdzie znajdował się przed siedmioma laty – w dniu, gdy razem z Ashley mieli wyjechać do Brazylii, ale nie przyszła na spotkanie. „Te same płachty niedbale rzucone na meble – powiedział. – Na fortepianie Ashley z otwartą klapą te same nuty Chopina”. Teraz wszystko starannie przykryto i schowano. Kiedy uniosłem płachtę z masywnego steinwaya,

który stał w kącie obok regałów, nie było tam nut. Odniosłem wrażenie, że ktoś – może Inez Gallo – staranniej uprzątnął dom, może z powodu włamania Hoppera. Albo poprosiła ją o to rodzina po odnalezieniu ciała Ashley.

W bibliotece stał fotel zwrócony w stronę drzwi. Widać było stamtąd oświetlony podest i kręcone schody. Usiadłem na nim i czekałem. Już po kilku minutach usłyszałem szybkie kroki na stopniach.

I nagle ją zobaczyłem – Inez Gallo w workowatych spodniach z szarej wełny oraz białej bluzce. Przemknęła przez podest ku kolejnemu biegowi schodów.

– Pani Gallo. – Zastygła oszołomiona, odwróciła się i wbiła we mnie wzrok, choć pewnie widziała tylko moją sylwetkę. – A może woli pani, żeby mówić do niej per „Kojocie”?

Z furią rzuciła się ku drzwiom i przesunęła dłonią po włączniku światła. Nagle bibliotekę zalał wątkły złotawy blask lampy pod sufitem.

Zmierzyła mnie wzrokiem z wystarczającą pogardą, żebym miał pewność, że dokładnie wie, kim jestem.

– Przepraszam, że nachodzę panią w ten sposób.

– Do was nic nie dociera. Mam nadzieję, że lubi pan nocować w areszcie.

Jej głęboki, gardłowy głos bardziej pasowałby do kierowcy ciężarówki albo rosnącego wykidajły niż do takiej krzepkiej, lecz niedużej kobiety. Miała ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu, lecz przy tym posturę betonowego klocka. Wmaszerowała do biblioteki, chwyciła z blatu telefon bezprzewodowy i zaczęła wybierać numer.

– Nie robiłbym tego.

– Nie?

– Kojot to intrygujące przezwisko. Osobiście wolałbym, żeby czule zwracano się do mnie nieco mniej obciążającym określeniem. Handel ludźmi do robót przymusowych? Znajomy z urzędu imigracyjnego mówił, że w pani rodzinnym mieście odchodziły niezłe interesy. Pani jest z Puebli, prawda? Ponoć raz

w roku pojawiała się tam tajemnicza kobieta w furgonetce. Furgonetka przyjeżdżała pusta, a wyjeżdżała wyładowana ludźmi upchanymi jak drewno na opał. Opis kobiety za kierownicą był bardzo intrygujący. Kara za takie przestępstwo to minimum trzy do siedmiu lat. Ile tam kręciliście filmów? Dziesięć? Czyli trzydzieści do siedemdziesięciu lat. Domyślam się, że kogoś przyzwyczajonego do życia na Szczycie czeka w więzieniu federalnym niezły szok kulturowy.

Mówiąc to, obserwowałem twarz Gallo. Gdy tylko wspomniałem o handlu ludźmi, wiedziałem, że trafiłem w dziesiątkę.

I dzięki Bogu – bo blefowałem. Nie miałem znajomego w urzędzie imigracyjnym ani żadnego świadka. Przez ostatnie kilka dni ślęczałem nad notatkami, które w pośpiechu spisałem ponownie. Szukałem czegoś, czegokolwiek, co mógłbym wykorzystać przeciw Gallo. Ciągle wracałem do przydomka, o którym wspomniały Peg Martin i Marlowe Hughes. Kojot to dziki wilk preriowy, ale także slangowe określenie każdego, kto przemyca nielegalnych imigrantów przez granicę z Meksykiem, czy to w ramach małych przedsięwzięć rodzinnych, czy też takich sponsorowanych przez kartele narkotykowe obracające miliardami dolarów.

Peg Martin wyraźnie zaznaczyła, że przydomki używali członkowie ekipy filmowej. Zacząłem się więc zastanawiać, czy nie dlatego, że to Gallo była ich kojotem. Ta informacja, w powiązaniu z jej miejscem urodzenia w Meksyku oraz słowami Marlowe, że Gallo wykonywała za Cordovę brudną robotę, pozwoliła mi wysnuć teorię, że być może właśnie ona transportowała nielegalnych imigrantów na Szczyt. Przypuszczalnie działało to w ten sposób, że pracowali przy filmie przez trzy miesiące, stając się świadkami potworności, a potem, gdy byli już wystarczająco zastraszeni, żeby nigdy nie puścić pary z ust, zwracano im wolność. Z całą pewnością była to ryzykowna hipoteza i nie sądziłem, że wypali – aż do teraz, kiedy zobaczyłem, jak krew odpływa jej z twarzy.

Przez lata znacznie się zmieniła w porównaniu z tą jasnooką nastolatką z fotografii ślubnej – a nawet od czasu, gdy w imieniu Cordovy przyjmowała Oscara za *Zgniatacz kciuków*. Zupełnie jakby dekady służby reżyserowi, stania tak blisko niego, sprawiły, że skostniała, że jej siwe włosy stały się szorstkie i sztywne, niskie czoło – bardziej srogie, usta – ściągnięte jak naprężony sznur. A może po prostu tak się dzieje, kiedy ktoś postanawia wiecznie orbitować wokół olbrzymiej planety o nieporównywalnie większej masie.

Nie drgnął jej żaden mięsień, tylko bacznie mi się przyglądała. Odłożyła telefon.

– Czego pan chce, panie McGrath?

– Szczerze sobie z panią porozmawiać.

– Nie mamy o czym.

– Jestem innego zdania. Możemy zacząć od śmierci Ashley Cordovy w wieku dwudziestu czterech lat, a potem przejść do kolejnego problemu: że każdy, z kim o niej rozmawiałem, zniknął, a dom jednego z tych ludzi doszczętnie spłonął. Jeśli pani ze mną pomówi, to może mój znajomy z urzędu imigracyjnego przymknie oko na ten przemyt niewolników.

Wyglądała na wściekłą, ale ugryzła się w język, niespiesznie podeszła do barku w kącie pomieszczenia i nalała sobie drinka.

– Jeżeli to był przemyt niewolników, to miliony ludzi byłyby gotowe umrzeć, żeby zostać niewolnikami – mruknęła. – Żyli jak królowie.

– Nie mogli odejść. Czyli w praktyce byli więźniami.

– W ten sposób płacili za przewóz przez granicę. Wszystko było z góry ustalone. Bez przymusu ani kłamstw. Po zakończeniu zdjęć z trudem się ich pozbywaliśmy. Chcieli zostać na zawsze.

– Jak dzieci, które nie chcą opuścić Disneylandu. Wzruszające. Gallo zmrużyła oczy.

– Co pan chce tym zyskać?

– Prawdę.

– Prawdę. – Przez jej twarz przemknął uśmiezek krótki jak iskra z zepsutej zapalniczki. Potem spoważniała. Widziałem, że

moje najście autentycznie ją zszokowało. Tego byłem pewien. Teraz chyba próbowała zdecydować, jak poradzić sobie z tą sytuacją, w jaki sposób najszybciej się mnie pozbyć. Widocznie postanowiła zagrać w moją grę, przynajmniej chwilowo, ponieważ przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się chłodno. – Napije się pan drinka?

– Pod warunkiem, że nie z arsenikiem.

Nalała mi Jamesona z tej samej butelki co sobie, a potem podeszła szybkim krokiem i wcisnęła mi szklankę.

Kiedy usiadła na sąsiedniej kanapie, zauważyłem, że na lewej dłoni rzeczywiście ma wytatuowane nieduże koło – tak jak czytałem na Blackboardsach wiele tygodni temu. Anonimowy autor widział w tym dowód, że Gallo i Cordova to ta sama osoba. Wpatrując się teraz w jej surowy profil, zastanowiłem się, czy to możliwe, że reżyser i jego asystentka to jedno i to samo, że to właśnie jest Cordova. Jednakże w tej kobiecie, w jej sztywnej postawie adiutanta, w jej rozbieganym wzroku było coś uległego i niespełnionego – jakby obiekt jej wiecznej uwagi nie był obecny, lecz stał gdzieś za kulisami.

Nie, ona zdecydowanie nie była Cordovą. Byłem tego pewien. I grała na zwłokę.

– Zanim poprosi pan, by pozwolono mu obejrzeć rusztowanie, panie McGrath – powiedziała, mierząc mnie wzrokiem – niech się pan upewni, czy naprawdę pan tego chce. Zobaczyć korby, sznury, metalowe podpory. Rdzę i ciężkie łańcuchy. Światła starannie umieszczone w górze. To rzeczywistość inna niż na ekranie. Znacznie mniej porywająca. – Przekrzywiła głowę, jakby pod wpływem jakiejś nowej myśli. Bacznie studiowała moją twarz z bladym uśmiechem. – Zabawne. Wydawałoby się, że kto jak kto, ale pan powinien ją przejrzeć. Naprawdę w ogóle pan tego nie zauważył?

– Czego?

– Przecież musiał pan dostrzegać tu i ówdzie jakieś wskazówki, oznaki...

– Oznaki czego?

Nagle poczułem, że w tej sytuacji nie mam już przewagi, że Inez Gallo odzyskała grunt pod nogami – albo może w ogóle nie przyparłem jej do muru.

Uniosła brew.

– Naprawdę pan tego nie rozszyfrował?

– Czego?

– Ashley była chora.

– Z powodu diabelskiej klątwy.

Gallo parsknęła śmiechem.

– Mogę pana zapewnić, podobnie jak cały zastęp lekarzy i specjalistów z całego świata, że Ashley nie była pod wpływem diabelskiej klątwy. Ani żadnej innej. Miała nowotwór. Ostrą białaczkę limfoblastyczną. Cierpiała na nią z przerwami przez całe życie.

Patrzyłem na nią oszołomiony.

W pierwszym odruchu wściekłości chciałem powiedzieć, że wiem, co próbuje zrobić: karmi mnie kolejnym kłamstwem, żebym jej zaufał. To niedorzeczne stwierdzenie i wiedziałem, że nie jest prawdziwe.

Nie mogło być.

Ale potem, niemal równie szybko, zacząłem się zastanawiać, czy czegoś nie przegapiłem – czy nie przegapił czegoś Hopper. Czy właśnie to, prawdziwa choroba, nie było cały czas zapisane w piasku, a my wyteżaliśmy wzrok, wpatrując się w dalekie morze, i ani razu nie spojrzeliśmy pod nogi.

– Jeśli mi pan nie wierzy, to proszę zadzwonić do Centrum Sloan-Kettering – dodała Gallo z rozdrażnieniem. – Niech pan przekupi kogoś w archiwach, to panu powiedzą. Ashley była tam leczona trzykrotnie. Przyjęto ją pod panińskim nazwiskiem matki, Goncourt. Pierwszy raz, kiedy miała pięć lat, potem czternaście, a w końcu siedemnaście. Była też na Uniwersytecie Teksaskim w Houston. – Spojrzała na mnie triumfalnie. – Przekona się pan, że mówię prawdę.

Nic nie powiedziałem, analizując w myślach daty. Kiedy Ashley miała pięć lat, przeszła po diabelskim moście, ściągając na

siebie klątwę. W wieku czternastu lat nagle porzuciła karierę muzyczną, a kiedy miała siedemnaście... Ogarnęło mnie niedowierzanie: kiedy miała siedemnaście lat, zadzwoniła do Hoppera z płaczem. „Była zrozpaczona – powiedział. – Mówiła, że nie może dłużej żyć z rodzicami, że chce pojechać gdzieś, gdzie jej nie znajdą”. Czyżby chciała uciec przed chorobą?

– To nie pańska wina – stwierdziła beznamiętnie Gallo, jakby czytała mi w myślach. – Że uwierzył pan w te wszystkie szalone bzdury, w klątwy, Szatana i złego luda... Chociaż szczerze mówiąc, wydawałoby się, że dorosły człowiek, wytrawny reporter, jest trochę bardziej sceptyczny. Ale niech pan się nie zadręcza. Ashley była charyzmatyczną dziewczyną. Zdziwiłby się pan, co wmówiła ludziom przez lata. Potrafiła sprawić, że wierzyli w rzeczy niemożliwe. Była zupełnie jak jej ojciec. Oboje potrafili wziąć człowieka za rękę i spojrzeć mu głęboko w oczy, a on szedł za nimi w głąb korytarzy tego, co absurdalne i niewiarygodne, gotów zamieszkać tam na zawsze, całkowicie nawrócony. Wiem o tym. Sama tak zrobiłam. Na czterdzieści sześć lat. Wyrzekłam się wszystkiego. Męża. Dzieci. Ale teraz, kiedy to się skończyło, wreszcie rozumiem. Pewnie dlatego, że nie jestem jedną z nich. Nie mam trudności z odróżnieniem fantazji od rzeczywistości. Żyję w prawdziwym świecie. Pan także. – Powiedziała to z naciskiem, wręcz ze złością, krzyżując ręce na piersiach. – Choroba Ashley zniszczyła tę rodzinę. U małych dzieci prognozy zawsze są dobre. Po pierwszej fazie leczenia zwykle następuje remisja, która trwa do końca życia. Ale nie u Ashley. Ilekroć myśleliśmy, że najgorsze ma już za sobą, że wreszcie dostała dar życia bez kolejnych serii zastrzyków, sterydów, punkcji lędźwiowych i przeszczepów komórek macierzystych, mijało kilka lat, szła na badanie i lekarze znów przekazywali nam tę straszną wiadomość. Matylda wróciła.

– Matylda? – powtórzyłem.

Spojrzała na mnie i kiwnęła głową.

– Tak Ashley mówiła o swojej chorobie. Nadała jej imię, tak jak inne dzieci nazywają swoich zmyślonych przyjaciół. To daje

dobrze wyobrażenie o działaniu jej umysłu. Kiedy miała pięć lat, pewnego ranka weszła do kuchni i jedząc płatki z mlekiem, wesoło oznajmiła matce, że ma nową przyjaciółkę. Astrid spytała: „Kto to taki?”. Ashley odpowiedziała: „Matylda”. To takie dziwne imię. Nikt nie wiedział, gdzie je usłyszała. „Matylda mnie zabije”, oznajmiła Ashley. Wszystkich oszołomiła, ale bądź co bądź, była córką swojego ojca. Dramatyzowała. Była obdarzona, albo wręcz przeklęta, nadzwyczaj bujną wyobraźnią. Dosłownie następnego dnia zachorowała i dostała wysokiej gorączki. Na ramionach i plecach pojawiły się czerwone plamki. Astrid zawiozła ją do szpitala, a wtedy lekarze przekazali nam straszną wiadomość.

– Ale *Matylda* to przecież miał być tytuł następnego filmu Cordovy, prawda? Tego, który nigdy nie powstał.

Gallo przytaknęła.

– Chciał o tym napisać. Ale nie potrafił. Pisać wprost o czymś tak porażającym to jak dzień w dzień patrzeć prosto w słońce. Choćby się bardzo starać, nie da się tego wytrzymać. W końcu się oślepie. – Westchnęła. – Nie chciał pracować nad następnym filmem, chciał tylko ratować córkę. Utrata dziecka to dla rodzica coś nie do zniesienia. Ale jeszcze gorsze jest patrzeć, jak codziennie cierpi, jak bez końca balansuje między życiem a śmiercią, żyje życiem, które jest jak śmierć. Trzeba jednak trwać, trzeba walczyć dalej, bo ma się nadzieję, że pewnego dnia będzie inaczej. Życie bywa niezwykle okrutne. Daje tylko tyle nadziei, żeby przetrwać. To jak mały kubek wody i kromka chleba dla kogoś, kto umiera z głodu.

Gallo przerwała, żeby pociągnąć łyk drinka.

– Ashley postanowiła nie mówić o chorobie nikomu spoza rodziny – opowiadała dalej. – Wbrew radom lekarzy. Ale była nieugięta. Nie chciała, żeby ktoś jej współczuł. Powiedziała, a miała wtedy tylko sześć lat, że bardziej niż cierpienie z rąk Matyldy bolałoby ją to, gdyby chodzono wokół niej na paluszkach jak wokół delikatnego motyla z urwanym skrzydełkiem. Wszyscy zawarliśmy z nią pakt, że nikomu nie zdradzimy tajemnicy. A skoro Ashley była zbyt słaba, żeby wyjść

na świat i samodzielnie doświadczyć życia, jej ojciec zadbał o to, żeby wszystko, co w życiu najbardziej fascynujące i niezwykle, przyszło do niej. Między wyprawami do szpitala w Nowym Jorku cztery, czasem pięć razy w tygodniu, pobierała nauki w domu, a Szczyt stał się tłem, hostelem, tajnym miejscem zakwaterowania stale zamieszkiwanym przez filozofów i aktorów, artystów i naukowców, którzy uczyli ją, jak żyć, myśleć i marzyć. Właściwie uczyli nas wszystkich.

Natychmiast przypomniał mi się popołudniowy piknik opisany przez Peg Martin. Ashley miała wtedy sześć lat. To musiało być mniej więcej wtedy, gdy kończyła leczenie – o ile Gallo mówiła prawdę.

„Ashley wzięła mnie za rękę, zaprowadziła nad opustoszały skrawek jeziora, gdzie rosła wierzba i wysoka trawa, a woda była szmaragdowozielona. Zapytała, czy widzę trolle”.

– Astrid zadbała o to, żeby trzy razy w tygodniu z Juilliard przyjeżdżał pianista koncertowy i dawał Ashley lekcje. Lekarze ostrzegali, że niektóre bardzo silne leki stosowane w terapii mogą wywołać długotrwałe skutki w jej systemie nerwowym, osłabić sprawność i zdolności motoryczne, sprawiając, że coś takiego jak gra na pianinie stanie się trudne lub wręcz niemożliwe. Mogły jej drętwieć dłonie i palce, mogła wystąpić zwiększona wrażliwość, zawroty głowy. Ale u Ashley leki przyniosły odwrotny skutek. Potrafiła grać z zadziwiającą prędkością. Jej pamięć pracowała na najwyższych obrotach, zdolność opanowania nawet najbardziej skomplikowanych utworów była wręcz nadludzka. To właśnie przy fortepianie Ashley znów odżyła, uciekała śmierci, żeglowała ponad kontynentami, łańcuchami górskimi i morzami. Kiedy wygrała konkurs w Moskwie, trwała remisja. Ale trzy lata później, gdy Ashley miała czternaście lat, znowu usłyszeliśmy straszliwą diagnozę. Matylda wróciła. Ashley była silna, lecz podróże po świecie z koncertami i jednoczesna terapia były logistycznie niemożliwe. Musiała zrezygnować ze wszystkiego. I zrezygnowała.

Gallo zamilkła.

Kręciło mi się w głowie od symetrii równania, które nagle miałem przed sobą: z jednej strony magia, z drugiej nauka, mroczny, pulsujący mit kontra akceptowalna rzeczywistość. Cordova rozpaczliwie usiłował ratować córkę, jak zrobiłby na jego miejscu każdy ojciec – ale przed diabelską klątwą czy śmiertelnym nowotworem? Nagle objawiony geniusz muzyczny Ashley – był skutkiem przebycia diabelskiego mostu czy efektem ubocznym chemoterapii, którą przeszła w dzieciństwie?

Przypomniałem sobie, jak Beckman opisał koncertującą Ashley. „W jej grze była znajomość mroku w jego najbardziej skrajnej postaci”. Ale jak pozyskała tę wiedzę: patrząc diabłu w twarz ze świadomością, że zabierze jej duszę, czy pokonując kolejne zakręty niekończącej się choroby i zastanawiając się, czy po drugiej stronie już czeka na nią Śmierć?

Te wyjaśnienia były jak dwie strony jednej monety, a wybór którejś z nich miał coś powiedzieć o tym, kim jestem. Przed rozpoczęciem śledztwa bez wahania uwierzyłbym w to samo, w co większość ludzi: w to, co logiczne, racjonalne, precyzyjne. Teraz jednak, ku własnemu zaskoczeniu, tak jakbym nagle przestał poznawać sam siebie, wciąż mocno na mnie działała ta druga, niemożliwa, nielogiczna, obłąkana strona.

Nie chciałem w to wierzyć, nie chciałem zaakceptować, że Ashley – postać tak silna w każdej opowieści na jej temat – mogła zostać pokonana przez prawdziwe życie. Pragnąłem bardziej niezwykłego wyjaśnienia jej śmierci, czegoś bardziej mrocznego, krwawego, szalonego – diabelskiej klątwy.

– Kiedy Ashley rozpoczęła drugą terapię, sprawy bardziej się skomplikowały – ciągnęła chłodno Gallo. – Zawsze miała silną osobowość. Równie silną jak ojciec. Zaczęli się bez przerwy kłócić, to była praktycznie wojna. Lekarze ostrzegali, że przyjmowane przez nią sterydy mogą powodować wybuchowość, eksplozje agresji, a nawet przemocy. Nikt nie mógł zapanować nad Ashley i jej ojcem. Nie potrafiła tego Astrid. Nie potrafiłam ja. Zupełnie jakbyśmy mieszkali z dwojgiem

smoków, a sami byli ptaszkami, które kryją się po szafach i pod schodami, licząc na to, że nie zginą w ogniu krzyżowym.

– O co się kłócili? – spytałem.

Uniosła brew.

– Nie wiem, czy orientuje się pan, jak wygląda temperament geniuszy, ale ich apetyty są niewyobrażalne dla zwykłych ludzi. Wiążąc się z taką osobą, należy to zaakceptować, w przeciwnym razie cierpieniom nie będzie końca. Aby przetrwać przy kimś takim, trzeba się wyginać jak cienki drucik, stale iść na ustępstwa. Ten stan ciągle się zmienia. Zawsze były inne kobiety. Inni mężczyźni. Inne wszystko. Astrid to akceptowała. Ale kiedy Ashley dorosła na tyle, żeby zrozumieć sytuację, uznała to ze strony ojca za coś karygodnego, za rodzaj rozpasania, brak zasad, absolutną zdradę rodziny. Kiedyś wrócił do miasta i ponownie zamieszkał na Szczycie jeden z jego wieloletnich kochanków, człowiek, którego Ashley nie lubiła. Pewnej nocy, gdy akurat wyjechałam, weszła do jego sypialni i podpaliła łóżko, w którym spał. Żeby uniknąć niechlubnego rozgłosu, Astrid wywiozła go z posiadłości wrzeszczącego z bólu. Po drodze miała wypadek. Theo zabrał poparzonego, zanim przyjechała karetka. Udało mu się niepostrzeżenie zawieźć go na ostry dyżur. Ashley postawiła jednak na swoim. Ten człowiek zniknął. – Gallo rzuciła mi spojrzenie. – Domyślam się, że większość z tego już pan wie.

Skinąłem głową.

– Nazywał się Hugo Villarde – powiedziałem. – Pająk. Oszukańczy ksiądz.

– To ja zaproponowałam, żeby wysłać Ashley na obóz – wyznała Gallo.

– Sześć Srebrnych Jezior.

– Wiele osób go rekomendowało. Może pan sobie wyobrazić, jak się czuliśmy, gdy powiadomiono nas, że doszło tam do śmiertelnego wypadku, jakiś chłopiec utonął podczas ulewy. Ale kiedy przyjechałam po Ashley, była... inna. – Gallo wzruszyła ramionami z lekko cyniczną miną. – Poznała chłopaka. Najbardziej samotnego chłopca na świecie, tak o nim mówiła.

Opisała go jako piękny czerwony liść klonu, który zbyt wcześnie oderwał się od drzewa. Sunął na wietrze i deszczu, po polach i przez rynsztoki, zupełnie sam, z niczym niepowiązany. A jednak, jak wierzyła, było w nim coś fundamentalnie dobrego. Wkrótce go namierzyła i zaczęli korespondować. Nie wiem, co sobie pisali i mówili, ale Ashley znów była pełna życia. Jej ojciec odetchnął z ulgą. Tak jak my wszyscy. Ashley chciała opuścić Szczyt, przebywać wśród zwykłych ludzi, wieść zwykłe życie. Ojciec kupił jej ten dom. – Przerwała, żeby znużonym wzrokiem powieść po pomieszczeniu, jakby przypominała sobie, że niegdyś ta rezydencja była ciepła i pełna życia, wypełniona gwarem i muzyką, zanim zakopano ją pod białymi płachtami jak zaginioną cywilizację. – Wydawało się, że to nowy początek. Zapisaliśmy ją tu do szkoły. Modliłam się, żeby wrócił do pracy.

– Nad nowym filmem.

Gallo kiwnęła głową i dopiła drinka.

– Prognozy pogarszają się po każdym nawrocie nowotworu. Gaśnie szansa na długotrwałe przeżycie. Wzrasta toksyczność w organizmie, który niszczone jest od środka. Na początku maja Ashley miała iść na kontrolę. Nie chciała. Bo oczywiście знаła prawdę. Od zawsze. Lekarze zasugerowali leczenie w ramach programu eksperymentalnych badań klinicznych w Houston. Niedługo potem w pokoju Ashley Astrid znalazła spakowaną walizkę. I dwa bilety do Brazylii w jedną stronę. Ashley powiedziała, że ucieka z Hopperem i nikt jej nie powstrzyma. Nie chciała leczenia. Ale oczywiście tu chodziło o jej życie. Była tylko nastolatką. Twierdziła, że ten chłopak, jakiś młodociany przestępca, to miłość jej życia. Nikt z nas nie traktował tego poważnie. Kto naprawdę kocha w takim wieku?

– Romeo i Julia – odparłam.

– Oraz Hopper i Ashley. Potwornie pokłóciła się z ojcem. Wrzucił ją do samochodu, zamknął wszystkie drzwi i powiedział, że pojedzie do Houston, czy jej się to podoba, czy nie. Mogła wyznać chłopakowi prawdę albo nie. Postanowiła tego nie robić. Powiedziała, że kochać kogoś umierającego jest torturą. Wolą, że

żeby ją znienawidził, bo w tej nienawiści powinien znaleźć motywację, żeby żyć dalej, zapomnieć, pokonać żal. To lepsze niż gdyby dręczył go ból straty, gdyby ciągle tęsknił za tym, co niemożliwe. I gdyby ta wielka miłość przerodziła się w coś innego, we współczucie albo obrzydzenie. Tego by nie zniosła. Zerwała z nim wszelkie kontakty. I wyjechała do Houston. O mało tam nie umarła, ale bardziej przez złamane serce niż przez chorobę.

Gallo zamilkła. Jej surowy profil złagodniał odrobinę.

– Polepszyło się jej? – zapytałem po chwili.

– Tak. Zaczęła naukę w Amherst. Na początku semestru letniego musiała wyjechać z powodu zmęczenia i zawrotów głowy, ale po odpoczynku na Szczycie mogła wrócić na drugi rok. I wszystko było w porządku. Skończyła studia. A potem, sześć miesięcy temu, zaczęło się od nowa.

– Matylda.

Gallo kiwnęła głową w zamyśleniu, wpatrzona w stół. W głowie mi wirowało, bo uderzyły mnie dwie rzeczy, o których wspomniała. Po pierwsze to, że Ashley wyjechała w trakcie pierwszego roku studiów w Amherst. Czytałem o tym w artykule w „Vanity Fair”. Zastanawiałem się wtedy, co mogło spowodować to tajemnicze zniknięcie, a teraz uzyskałem wyjaśnienie.

Drugą kwestią było umiejscowienie wydarzeń w czasie.

– Jak długo leczono Ashley na Uniwersytecie Teksaskim? – zapytałem.

– Osiem miesięcy. Dlaczego pan pyta?

– A potem wróciła na Szczyt?

Zdziwiona kiwnęła głową.

– Leczenie podtrzymujące odbywała w Nowym Jorku. A o co chodzi?

– Czy rodzina zamawiała dla niej sprzęt medyczny? Wózek inwalidzki? Albo cokolwiek z firmy Century Scientific?

– Sama wszystko dla niej zamawiałam. Szczyt był wyposażony lepiej niż Mayo Clinic. Wszystko, byle tylko Ashley było

wygodnie, byle nic nie przeszkadzało jej bez potrzeby. Przez całą dobę pilnowały jej pielęgniarki.

– A śmieci palono nocą?

– W Crowthorpe Falls stale roi się od cordovitów. To ich mekka. Przyjeżdżają z całego świata, licząc, że go zobaczą. Tylko tego brakowało, żeby jakiś fan, grzebiąc w śmieciach, trafił na receptę, z której wynikało, że Ashley jest chora, i rozgłosił to w internecie. Musieliśmy ją chronić. Choć ostatecznie ochrona to tylko kolejna klatka.

Wreszcie wszystko ułożyło się w całość. Piece do spalania, które Nora widziała na Szczycie. Fiolka z symbolem zagrożenia biologicznego. Pomyłkowa dostawa do Nelsona Garcii w grudniu 2004 roku – w świetle choroby Ashley teraz miało to sens. Ale gwałtowny przypływ emocji wywołany wyjaśnieniem tych ostatnich kilku tajemnic prędko zastąpiło coś innego, uczucie pustki, wręcz żalu.

Byłem rozczarowany. W pewnym sensie zawsze się tak czułem po zakończeniu śledztwa, kiedy patrząc dokoła, uświadamiałem sobie, że nie ma już ciemnych, niezbadanych kątów.

Tym razem jednak było inaczej. Moje przygnębienie powodowała świadomość, że wszystkie kiriny nie żyją. Że nigdy nie istniały. Bo choć bardzo nie chciałem stawić temu czoła, pragnąc dla Ashley czegoś nadzwyczajnego, jakiejś innej, burzliwej rzeczywistości, która przeczy rozsądkowi, pełnej trolli, diabłów, cieni obdarzonych własną wolą i czarnej magii o sile bomby atomowej – to wiedziałem, że Inez Gallo mówi prawdę.

I ta prawda wszystko wymazała, doszczętnie wycięła ową magiczną, mroczną dżunglę, w którą zapaściłem się śladami Ashley. Pokazała, że tak naprawdę stoję na płaskim, suchym lądzie, jasno oświetlonym, lecz jałowym.

– To zamieszanie z panem zaczęło się dlatego, że znowu była chora – parsknęła Gallo z jawną pogardą.

Dopiłem drinka i poczułem, jak parząca whisky spływa mi do gardła.

– Jak to? – mruknąłem.

Spojrzała na mnie rozdrażniona.

– Już panu mówiłam. Ashley była charyzmatyczną dziewczyną. Wychowanie pełne fantazji, samotne życie na Szczycie, choroba... To sprawiło, że z trudem odróżniała zmyślane historie od prawdziwego życia. Kiedy miała dziesięć lat, Astrid popełniła błąd, dla zabawy zapraszając na cztery miesiące czarownika z Haiti. Nie zdawała sobie sprawy, że to nieodwracalnie zwichruje wyobraźnię dziewczynki, zupełnie jakby ktoś przebiegł brzegiem pełnym spokojnych flamingów i rozgonił je na wszystkie strony. Nagle w jej głowie się zakotłowało, rozszalało, rozskrzeczało, wszędzie tylko różowe pióra, wrzaski i furkoczące skrzydła. Uwierzyła w to wszystko, w voodoo, w czarownictwo. – Gallo pokręciła głową. – We własnym pokoju znajdowałam ślady zaklęć, które na mnie rzucała. Dla ochrony przed złem, a przynajmniej tak twierdziła. Była przekonana, że naznaczyło ją coś złego, że to diabeł wywołał jej chorobę. Serce się krajało. Miała urojenia. Bała się zbliżać do ludzi, na których jej zależało, bo wierzyła, że zrobi im krzywdę. Twierdziła, że ten mrok, który narastał w niej z powodu... nawet nie wiem, jak to ująć: z powodu powolnego przejmowania jej duszy przez diabła... że to on czyni ją niebezpieczną. Zabójczą. Ten pomysł był oczywiście absurdalny. – Gallo westchnęła. – Sześć miesięcy temu, gdy dowiedzieliśmy się, że znowu jest chora, stan jej umysłu stał się wyjątkowo chwiejny. Bywało, że nie wiedziała, gdzie jest. Albo kim jest. Oczywiście to nie jej wina po tym, co przeszła w dzieciństwie, po tych ciągłych pojedynkach na spojrzenia ze Śmiercią. Wyraźnie dała do zrozumienia, że nie chce dłużej leżeć w szpitalnym łóżku, podłączona do rurek i monitorów, osłabiona morfiną. Astrid nie przyjmowała tego do

wiadomości. Zabrała Ashley wbrew jej woli do kliniki, licząc na to, że córka się opamięta i zgodzi na kolejną terapię.

– A tą kliniką było Briarwood Hall.

Gallo skinęła głową.

– Jak pan wie, uciekła dzięki jakiemuś napalonemu półgłówkowi z ochrony. Ashley była mistrzynią manipulacji, zwłaszcza jeśli chodzi o mężczyzn. Roztapiali się przed nią, pocili i słabli jak banda idiotów. Rozpłynęła się w powietrzu. Wszyscy byliśmy przerażeni. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie się podziała. Theo i Borys szukali jej wszędzie, ale była sprytna. Umiała pozostać niewidzialna. Potem się dowiedzieliśmy, że zadekowała się w ruderze na Lower East Side.

– Przy Henry Street osiemdziesiąt trzy.

– Jej matka odchodziła od zmysłów ze zmartwienia. Ashley była już wtedy bardzo chora. Astrid chciała, żeby zmarła w domu, wśród rodziny. Mimo wszystko podejrzewaliśmy, dokąd mogła się udać. Nie było dnia, żeby nie myślała o tym chłopaku. Hopperze. Śledziła go przez lata, wiedziała, że jest na bakier z prawem, że marnuje życie. Czuliśmy, że spróbuje go jakoś odszukać. Drugą opcją oczywiście był pan.

– Ja?!

– Interesowała się panem, odkąd jej ojciec się z panem uporał, kiedy zaczął pan wtykać nos w jego życie. Zrobił to tak, jak umiał: ogień zwalczając ogniem.

– Uporał się ze mną? Tak to nazwał? – Przez twarz Gallo przemknęło coś wyzywającego, ale wciąż milczała. – To była podpucha? Więc kim, do cholery, był ten człowiek, który do mnie dzwonił, ten John?

Wzruszyła ramionami.

– Kimś, komu zapłacono, żeby wprowadził pana w błąd.

– A to, co mi powiedział? Że Cordova jeździł nocami do szkół...

– Soczysta konfabulacja. A przy tym dostatecznie pikantna, żeby powiedział pan o niej głośno i żeby zgubiła pana własna pycha. Z pewnością była to dla pana bolesna nauczka, panie

McGrath, ale żeby działać, artysta taki jak on potrzebuje jednej podstawowej rzeczy. I robi wszystko, żeby ją zachować.

– Co to takiego?

– Ciemność. Wiem, że w dzisiejszych czasach trudno to pojąć, ale żeby tworzyć, prawdziwy artysta potrzebuje ciemności. To ona daje mu moc. Jego niewidzialność. Im mniej o nim wiedzą, o miejscu jego pobytu, pochodzeniu, tajnych metodach, tym większą ma siłę. Im więcej bzdur na jego temat łyka świat, tym bardziej sucha i nikła staje się jego sztuka, aż w końcu się kurczy i zmienia się w kawałek pianki, którą jemy z mlekiem na śniadanie z małej miski. Naprawdę sądził pan, że on do tego dopuści?

Kiedy to mówiła, w jej głosie rozbrzmiała wciąż żywa cześć dla Cordovy. Ten głos, wcześniej tak nijaki, leżący bezwładnie na ziemi, kręcił teraz ósemki w powietrzu, ciągnąc za sobą czerwone wstążki. Zauważyłem również, że przez całą rozmowę Inez Gallo w ogóle, ani razu, nie użyła nazwiska Cordova – mówiła o nim tylko „on” albo „ojciec Ashley”.

To musiał być jej prywatny przesąd lub też może nie lubiła niefrasobliwie przywoływać tego słowa, jakby to było imię boskie.

Kiedy wstała, podeszła do barku i wróciła z butelką, żeby pospiesznie nalać whisky do naszych szklanek, rozmyślałem nad tym, co powiedziała. Skoro nie istniała diabelska klątwa, Cordova nie miał powodu obsesyjnie dążyć do wymiany, odwiedzać szkół po nocy, nie było dołu pełnego dziecięcych rzeczy. Czyżbym jednak miał halucynacje wywołane czarcim zieleciem?

– Żeby pojąć moc, jaką była Ashley – powiedziała Gallo, znów siadając na kanapie i ściskając szklankę – musi pan zrozumieć, że była córką swojego ojca. Ulubioną baśnią całej rodziny był *Rumpelszyk*. To właśnie robili i tym byli: fantastycznymi istotami, które przędą złoto ze zwyczajnej, szarej słomy, która ich otacza. I nie przestaną, póki żyją. Tak oto Ashley siłą wyobraźni przemieniła swoją chorobę w diabelską klątwę.

– Ale nie tylko ona w to wierzyła. Marlowe Hughes i Hugo Villarde również byli o tym przekonani.

Gallo parsknęła.

– Marlowe Hughes to narkomanka. Uwierzyłyby, gdyby jej powiedzieć, że niebo jest w różowe groszki. Zwłaszcza jeśli to napisać w liście od wielbiciela. Spędzała sporo czasu z Ashley. Pochłonęły ją te opowieści. A Villarde? Po tym, co Ashley mu zrobiła? Ten człowiek postradał zmysły. Wierzył, że ona jest czarcią królową, drżał nawet na widok pchły.

Nagle przypomniałem sobie, że Villarde bez cienia wstydu opisał, jak czołgał się na czworakach przez sklep, żeby schować się przed Ashley, a potem skulił się w szafie niczym przerażone dziecko.

– A sposób pracy Cordovy? – zapytałem. – Te koszmary na ekranie były autentyczne, prawda? Aktorzy nie grali.

Zmierzyła mnie wyzywającym wzrokiem.

– Nie spotkało ich nic, o co sami nie prosili.

– Tak samo mówią seryjni zabójcy.

– Każdy, kto mieszkał na Szczycie, wiedział dokładnie, na co się pisze. Ci ludzie oddaliby życie, żeby z nim pracować. Ale jeśli chce mnie pan spytać, czy kiedykolwiek przekroczył granicę czystego szaleństwa, czy skoczył wprost do piekła, to nie. Znał swoje granice.

– Mianowicie jakie?

Zmrużyła oczy.

– Nigdy nie został mordercą. Kocha życie. Ale niech pan wierzy, w co chce. Nie znajdzie pan żadnych dowodów.

„Nie znajdzie pan żadnych dowodów”. Dziwne słowa. Brzmiały prawie jak przyznanie się do winy – prawie. Pomyślałem o tej małej, pomarszczonej chłopięcej koszuli, zdaniem Falcone umazanej nie krwią, lecz syropem kukurydzianym. Słowa Gallo z całą pewnością były potwierdzeniem rezultatów podanych przez Sharon, niezależnie od tego, czy chciałem to zaakceptować.

– Dlaczego zniknęli wszyscy, z którymi rozmawiałem o Ashley?

– Zajęłam się nimi – odparła Inez z nutką dumy w głosie.

– Co to znaczy? Że leżą w nieoznaczonym grobie?

Zignorowała to pytanie i wyprostowała się sztywno.

– Zajęłam się również zdjęciami ciała Ashley wykonanymi przez koronera, a potem samym ciałem, zanim rozkrojono je na oczach obcych ludzi, jakby była szczurem laboratoryjnym. Wszystkim hojnie zapłaciłam i radośnie się zmyli.

– Skąd pani wiedziała, z kim rozmawiałem?

Gallo wyglądała na zdziwioną.

– Ależ oczywiście z pańskich notatek, panie McGrath. Chyba pamięta pan włamanie do pańskiego mieszkania. Te informacje bardzo pomogły mi ze wszystkim się uporać.

No tak: włamanie.

– Byliśmy zdesperowani – mówiła dalej. – Nie mieliśmy pojęcia, gdzie przebywała Ashley, co się z nią działo między zniknięciem z Briarwood a śmiercią w magazynie. Wiedzieliśmy tylko, że pewnej nocy włamała się tutaj i zabrała pieniądze z sejfu. Przypuszczałam, że pan będzie wiedział więcej. Bądź co bądź, dzwonili do nas z Briarwood i powiedzieli, że pan się tam kręcił. Włamaliśmy się, żeby sprawdzić, co pan wie.

– Jest szansa, że dostanę z powrotem laptopa?

– Pozbycie się świadków po śmierci Ashley było kosztownym przedsięwzięciem. Ale dzięki temu dotrzyaliśmy obietnicy, że nikt nie pozna prawdy. Teraz jej historia na zawsze pozostanie tam, gdzie Ashley sobie życzyła, gdzie według niej była zawsze: poza rozsądkiem, między niebem a ziemią, zawieszona znacznie bliżej legendy niż zwyczajnego życia, w którym musimy pozostać my wszyscy, łącznie z panem, panie McGrath.

– Gdzie syreny zwołują się śpiewem – dodałem cicho, przypomniawszy sobie poemat o Prufrocku.

Jak tłumaczył Hopper, syreny były jedynym, czego ta rodzina szukała, do czego zawsze dążyła – do życia na krawędzi. „Gdzie

było tylko niebezpieczeństwo, piękno i światło. Tylko tu i teraz. Ashley mówiła, że tylko tak można żyć”.

Zauważyłem, że Inez Gallo wpatruje się we mnie z otwartymi ustami, najwyraźniej zaskoczona, że znam tak intymny szczegół z życia rodziny. Postanowiła jednak tego nie drażyć i wypłała długi łyk drinka.

– Marlowe Hughes przedawkowała – powiedziałem. – Czy miała z tym pani coś wspólnego?

– Poprosiłam dealera, żeby trochę ją nastraszył. Nie sądziłam, że prawie ją wykończy.

– Pani współczucie jest wzruszające.

Spiorunowała mnie wzrokiem.

– To najlepsze, co mogło ją spotkać. Przynajmniej opuściła to mieszkanie. Teraz siedzi w Promises w apartamencie z widokiem na ocean w Malibu i wdrapuje się na ów pierwszy, bardzo wysoki, bardzo wyrobiony stopień każdego programu dwunastu kroków.

– A co pani powiedziała Olivii Endicott?

Gallo wzruszyła ramionami.

– Nic. Wyjechała z kraju. Rozmawiałam za to z jej asystentką. Zapłaciłam jej małą fortunę, żeby unikała pana jak zarazy i nie przekazywała pańskich wiadomości szefowej.

– A Morgan Devold? Dlaczego jego dom spłonął?

– Potrzebował pieniędzy z ubezpieczenia. Miał ogromne kłopoty finansowe. Dwoje dzieci, brak pracy. Kiedy wyjaśniłam, kim jestem i że chcę mu pomóc, okazał się bardzo otwarty. Jeśli znów się pan do niego zbliży, będzie się upierał, że nigdy w życiu nie widział ani pana, ani Ashley. – Z zadowoleniem uniosła głowę. – Każdy na tym świecie ma swoją cenę, panie McGrath. Nawet pan.

– Nieprawda. Niektórzy z nas nie są na sprzedaż. Kto podpalił dom?

– Theo i Borys. Borys to wieloletni przyjaciel rodziny.

– Kto pali papierosy Murad?

Wyraźnie poirytowało ją to pytanie.

– Theo. To była ulubiona marka jego ojca.

Znowu świadomie powiedziała „jego ojca” zamiast po prostu „Cordovy”. Okrężną drogą omijała pewien niebezpieczny odcinek trasy.

– Wiele lat temu – ciągnęła – wykupił światowy zapas muradów. Produkcji zaprzestano w połowie lat trzydziestych. Są bardzo rzadkie. Ale on nabył każdą paczkę od każdego kolekcjonera tytoniu na świecie. Lubił ich karmelowy zapach, przepiękne opakowanie, a także to, że były dla niego jedynym wspomnieniem ojca Hiszpana, którego po raz ostatni widział, kiedy miał trzy lata. Najbardziej jednak lubił to, jak się palą. Niepowtarzalny widok. W jego filmach są setki takich ujęć. Dym wije się spiralami jak żywy. „Jak rój białych węży, które usiłują się wyzwolić”, tak mi raz powiedział. – Mówiła to z dziwnym, nieokiełznanym zapalem, unosiła rozpalony wzrok ku sufitowi, jej usta drgały w podnieceniu. Potem jednak, kiedy przypomniała sobie o mnie, przerwała. – Nie rozumiem, dlaczego to dla pana takie ważne. Te szczegóły – mruknęła poirytowana.

– To w nich tkwi diabeł. Nie słyszała pani?

Spojrzała na mnie pogardliwie.

– Dość już się pan nafedrował, panie McGrath. Może pora wrócić na powierzchnię i iść do domu z bryłami węgla, które zdołał pan wydobyć.

– I radośnie się zmyć. Tak jak pozostali.

Obojętnie wzruszyła ramionami.

– Niech pan robi z tą wiedzą, co pan chce. Oczywiście teraz już nikt na świecie nie potwierdzi pańskiej wersji. Jest pan sam ze swoimi niedorzecznymi teoriami.

Wpatrując się w tę kobietę, nie mogłem nie docenić jej przebiegłej drobiazgowości, tego, jak pozbyła się wszystkich świadków, jednego po drugim.

– Co się stało z matką Ashley? Z Astrid.

– Wyjechała. Gdzieś do Europy. Po śmierci ukochanego dziecka nic jej tu już nie trzymało. Za dużo mrocznych wspomnień.

– Ale pani one nie przeszkadzają.

Uśmiechnęła się.

– Moje wspomnienia to wszystko, co mi zostało. Co będzie, gdy mnie zabraknie? Przepadną.

Zmarszczyłem czoło. Nagle znów powątpiewałem w to, co mi mówiła. Nagle coś mnie tknęło. Może to była ostatnia, gasnąca iskierka magii – kirinów i diabłów, nadprzyrodzonych mocy jednej niezwyklej kobiety – zanim nad wszystkim zalegnie milczenie.

– Ale ja pojechałem na Szczyt – powiedziałem. – Włamałem się...

– Naprawdę? – przerwała mi z podnieceniem. – Co pan tam znalazł?

Jej reakcja, delikatnie mówiąc, mnie zaskoczyła. Gallo wydawała się autentycznie podekscytowana moim wyznaniem.

– Idealnie okrągłą polanę, na której nic nie rośnie. Labirynt podziemnych tuneli. Hale zdjęciowe. Zupełnie nienaruszone plany filmowe. Wszystko jest czarne i zarośnięte. Przeszedłem diabelskim mostem. I zobaczyłem...

Gallo tak łapczywie spijała słowa z mych ust, wyczekując dalszego ciągu, że zamilkłem oszołomiony.

– Kto tam mieszka? – zapytałem po chwili. – Kim są ci strażnicy z psami?

Pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia.

– Słucham? Pani... pani już nie pracuje dla rodziny?

– Pan naprawdę nic nie rozumie. Szczyt został pozostawiony fanom.

– Co?

– Cordovitom. Teraz należy do nich. Przejęli posiadłość. Spora grupa mieszka tam przez cały rok. Szczyt stał się niebezpiecznym parkiem rozrywki przekazanym bezpłatnie najbardziej oddanym wielbicielom. To tajny rytuał inicjacji, kultowa wyprawa: pojechać tam, wędrować przez jego dzieło albo dać mu się pochłonąć. Mogą walczyć o Szczyt, pielęgnować go, zniszczyć,

rządzić się tak, jak chcą. Jego noga nie pozostała tam od lat. Dla niego sprawa jest zamknięta. Dzieło skończone.

Zastanawiałem się, czy to może być prawda – ci ludzie, którzy mnie gonili, te kundle, te czerwone ptaki namalowane sprejem? Czy naprawdę zastraszyli mnie fani? Ledwie potrafiłem ogarnąć to umysłem, a tymczasem nie miałem wyboru: musiałem zadać kolejne pytanie, którym właśnie zadyndała mi przed nosem.

– Gdzie on jest?

– Byłam ciekawa, kiedy pan mnie o to zapyta.

Odwróciła głowę i spojrzała gdzieś przed siebie. Wyglądała jak kierowca ciężarówki wpatrzony w pustą drogę, która wije się przed nim bez końca.

Raptem stanął mi przed oczami tamten pijany dziennikarz z RPA, który ostrzegał mnie przed laty, że niektóre tematy są zatrute, że są jak tasiemiec. „Tasiemiec, który połknął własny ogon. Bez sensu za nim gonić, bo on nie ma końca. Wreszcie oplecie się człowiekowi wokół serca i wycisnie całą krew”.

Po raz pierwszy, odkąd poznałem Inez Gallo, uśmiechnęła się do mnie życzliwie. I wtedy zrozumiałem, że nie miałem racji. Bo oto on. Koniec. Ogon.

Jednak go znalazłem.

Byłem zszokowany, że nie ma żadnej ochrony.

Spodziewałem się zobaczyć coś żalosego. Jakże mogło być inaczej? Miejsce, w którym umieszcza się ludzi u kresu życia, żeby tłukli się tam przez resztę swych dni – miejsce takie jak Terra Hermosa. Właśnie dlatego przyszło mi na myśl, żeby zadzwonić do Nory i wziąć ją ze sobą, ale wyczułem, że się nie zgodzi, więc zrezygnowałem. Kiedy jednak opuściłem szosę i wybrukowanym podjazdem dotarłem na miejsce, do kremowych tabliczek i otynkowanych domków z czerwonymi dachówkami, odkryłem, że Osiedle Spokojnej Starości Enderlin Estates stara się przywodzić na myśl hiszpańską hacjendę podczas bardzo długiej sjesty. Były tam sadzonki, podwórka i świergot ptaków, a także kręta kamienna ścieżka, która biegła obiecująco ku głównemu budynkowi usadowionemu za bramą z kutego żelaza.

Zerknąłem na kartkę, na której zapisałem adres podany przez Gallo.

„Enderlin Estates. Pokój 210”.

Wszedłem do opustoszałego holu i wjechałem windą na pierwsze piętro. Za ladą w recepcji zastałem rudowłosą pielęgniarkę.

– Szukam pokoju dwieście dziesięć.

– Ostatnie drzwi na końcu korytarza.

Ruszyłem po podłodze przykrytej wykładziną. Minąłem młodą pielęgniarkę, która pomagała starszej pani z balkonikiem. Drzwi oznaczone numerem 210 były zamknięte, a na malutkiej niebieskiej tabliczce obok nich widniało cudownie proste nazwisko: Bill Smith.

Zapukałem, a gdy nikt nie odpowiadał, obróciłem gałkę. Drzwi się otworzyły, ukazując duży, skąpo umeblowany salon zalany słońcem. Po lewej stronie znajdowała się sypialnia z pojedynczym łóżkiem, komodą oraz szafką nocną – zupełnie pustą z wyjątkiem lampki oraz figurki Matki Boskiej z dłońmi złożonymi w modlitwie. Żadnych fotografii, żadnych rzeczy osobistych, ale z pewnością zadbała o to Gallo, aby zapewnić

całkowitą anonimowość albo, jak to ujęła, brak mrocznych wspomnień. „Tym, czego mu teraz potrzeba, jest spokój” – powiedziała, zerkając na mnie ostrzegawczo.

– Szuka pan Billa? – odezwał się za mną wesoły głos. Odwróciłem się. W otwartych drzwiach stała pielęgniarka. – Właśnie zabrałam go do pokoju porannego.

Wyjaśniła mi, jak tam trafić. Wróciłem windą na dół i ruszyłem głównym korytarzem. Minąłem harmonogramy zajęć oraz plakat reklamujący wieczorek filmowy – *Bogart i Bacall znowu razem!* – po czym wszedłem przez podwójne drewniane drzwi do staromodnej oszklonej werandy. Była jasna i pogodna, pełna palm i kwiatów w doniczkach oraz białych wiklinowych krzeseł. Miała szarą podłogę z kamienia. Skądś płynęła cicha muzyka fortepianowa – ze starej wieży stereo, która stała obok regału nabitego książkami w miękkich okładkach.

W pomieszczeniu było tłoczno. Starsi ludzie z włosami jak wiotkie smużki chmur, poruszający się tak, jakby znajdowali się pod wodą, siedzieli przy stolikach z puzzlami i planszami do warcabów. Wśród nich było kilka pielęgniarek, czytały im na głos, któraś właśnie wpinała różowy goździk w klapę jakiegoś staruszka.

Nie zważałem jednak na cały ten ruch, ponieważ moje spojrzenie przyciągnął jeden człowiek.

Siedział samotnie w najdalszym kącie pomieszczenia odwrócony do mnie plecami. Wyglądał przez okno. Choć znajdował się na wózku inwalidzkim, miał na sobie wiekowy szary sweter oraz buty typowe dla starców, było w nim coś krzepkiego, coś osobliwie nieruchomego.

Ruszyłem w jego stronę.

Wydawał się nieświadomy, że się zbliżam. W zasadzie w ogóle wydawał się nieświadomy wszystkiego, co go otaczało. Jego spojrzenie – odarte z owych okrągłych szkieł czarnych jak atrament, które nosił ponoć przez całe życie – pozostawało utkwione w oknie, za którym rozciągał się rozległy trawnik okolony lasem, przypominający jezioro o zbitej powierzchni,

złoto-zielonej w blasku popołudniowego słońca. Miał gęste srebrzystobiałe włosy, które chyba nie zamierzały zrzednąć, oraz okazały brzuch, który wydawał się raczej dostojny, wręcz groźny, niż tusty – jak gdyby ten mężczyzna, niczym grecki bóg o wybuchowym nastroju i apetycie, połknął głąz i wcale go to nie zabiło, a jedynie brutalnie przygwoździło do ziemi. Siedział na wózku swobodnie. Jego ręce – masywne ręce robotnika – luźno zwisały z oparcia jak ręce zmęczonego króla odpoczywającego na tronie. Jego twarz była inna, niż sobie wyobrażałem, jakoś mniej pewna siebie, nieco bardziej obwisła i pospolita.

Byłem jednak pewien, że to on.

Cordova.

Widziałem wyblakły tatuaż koła na lewej dłoni, dokładnie w tym samym miejscu, co tatuaż Gallo. Jego spojrzenie wciąż tkwiło gdzieś na trawniku niczym zarzucona kotwica. Zupełnie jakby coś sobie wyobrażał, ostatnią scenę filmu, którego nigdy nie nakręcił – albo scenę, która miała się znaleźć w jego życiu. Może widział siebie idącego po trawie z blaskiem słońca na plecach, z wiatrem napierającym na twarz. Może myślał o swojej rodzinie, o Ashley, gdziekolwiek i wszędzie, gdzie była.

Gallo ostrzegła, że nie będzie niczego świadom.

– Dzień czy dwa po tym, jak córka znów zachorowała, już po raz ostatni, wcześniej położył się spać – powiedziała. – Zawsze wstawał o czwartej nad ranem, brał się do pracy, do życia. Ale tym razem nie schodził. Zaniepokojona poszłam na górę. Zastałam go w łóżku podpartego poduszkami, jakby w środku nocy odwiedził go duch, żeby o czymś pomówić. Oczy miał szeroko otwarte i wpatrywał się w nicość. Był w katatonii jak telewizor, który jest włączony, ale nastawiony na jeden kanał, taki z samym szumem.

Ku mojemu zaskoczeniu Gallo następnie opisała to bardzo szczegółowo: lekarze, przekonani, że miał udar, przenieśli go do ośrodka opieki dla osób starszych Enderlin Estates niedaleko Dobbs Ferry w hrabstwie Westchester. Postanowiono posłużyć

się pseudonimem Bill Smith, żeby nie był nękanym i mógł przeżyć swe ostatnie dni w spokoju.

Powiedziałem Gallo, że to niesamowity zbieg okoliczności, ta wszechobecność śmierci: bujne życie dwóch osób zakończyło się tak gwałtownie – najpierw Ashley, a teraz Cordovy. Oczywiście formalnie nie był martwy, lecz zważywszy na to, jak zawsze żył, to owszem – nie reagował na otoczenie, duch na zawsze zamknął się w jego wnętrzu albo może już uleciał.

– To nie jest „zbieg okoliczności” – parsknęła Gallo, jakby uznała to określenie za obraźliwe. – On już skończył, nie rozumie pan? Ludzie, którzy wypełnili to, co zamierzali, którzy znaleźli odpowiedzi na kilka najważniejszych pytań, nie na wszystkie, ale na kilka, kończą życie wtedy, kiedy zechcą. Są gotowi. Tak jak on. Żył dokładnie tak, jak chciał, dziko, szaleńczo, a teraz był gotów na to, co potem. Wycisnął z siebie każdą kroplę życia, pozostawiając tylko suchą stertę kości i nerwów. Nie mam cienia wątpliwości, że umrze w ciągu paru miesięcy.

Postawa Gallo wydała mi się zaskakująco rzeczowa i pogodna, jak na kogoś, kto właśnie stracił sens egzystencji, słońce, które porządkowało jej dni. Potem jednak uniosła głowę i zobaczyłem, że w oczach ma łzy – czeka, aż wyjdę, zanim pozwoli spłynąć im swobodnie po zapadniętych policzkach. W milczeniu sprowadziła mnie na dół do drzwi frontowych, podała mi rękę i szorstko mruknęła: „Do zobaczenia” – chociaż oboje wiedzieliśmy, że widzimy się po raz ostatni. Mimo że nieszczególnie polubiłem Inez Gallo, a i ona raczej nie nabrała do mnie sympatii, osiągnęliśmy swego rodzaju niewypowiedziane porozumienie: dwoje widzów porwanych przez szalony szkwał, jakim był Cordova.

A teraz siedział tutaj, niecałe pół metra ode mnie.

Stary, kruchy człowiek.

Nie walczyłem z nikim. Te zbrodnie, te okropności, o które chciałem obwinić Cordovę, wydawały się teraz śmieszne, skoro przez cały ten czas, kiedy byłem pewien, że stale mnie

przechytrza, on był właśnie tutaj – pewnie siedział spokojnie przed tym samym oknem.

To było tak szokujące, że aż budziło podziw.

Nawet w ten sposób to on miał ostatnie słowo.

Raptem za gardło ścisnęły mnie dziwne emocje. Równie dobrze mógł to być śmiech albo płacz. Patrząc na tego człowieka, zrozumiałem, że tak naprawdę patrzę na siebie samego, na to, czym stanę się znacznie szybciej i znacznie gwałtowniej, niż mi się wydaje. Życie to pociąg towarowy, który pędzi ku jednej tylko stacji, a nasi bliscy przemykają za oknami jako smugi światła i barw. Nie da się go zatrzymać ani nawet spowolnić.

Stojąc obok Cordovy, czułem się taki spokojny, taki samotny. Mogłem przysiąc, że słyszę, jak oddycha, jak pożyczka od świata każdy dech, by zaraz go uwolnić. To nie była po prostu praca płuc zwyczajnego człowieka, ale cichy skowyt wiatru, który porywa kamienie z odległego klifu nad morzem. Zastanawiałem się – kolejna niepowstrzymana fala emocji nabrzmiała mi w piersi – co ja, u diabła, powiem mu po tym wszystkim, po tym, co zrobiłem i co przyjechałem zobaczyć. O ile w ogóle odważę się coś powiedzieć.

A może, niczym dziecko na widok zrekonstruowanych kości groźnego dinozaura, o którym śniło, o którym dniami i nocami czytało pod kołdrą z latarką w ręce, może tylko wyciągnę dłoń i dotknę jego ramienia, zastanawiając się, czy ten dotyk pozwoli mi poczuć, jaki on był za życia, w pełni sił, gdy nieokiełznany stąpał po świecie, kiedy nie był milczącym szarym szkieletem w muzeum, lecz wspaniałym zjawiskiem.

W końcu po prostu przysunąłem sobie krzesło i usiadłem obok niego.

I wspólnie, zdałoby się, że godzinami, patrzyliśmy tylko na ten pusty trawnik mieszczący w ścisłych granicach nieskazitelnej zieleni pustą przestrzeń, w której mogliśmy złożyć nasze wspomnienia i pytania, to, co kiedyś kochaliśmy, lecz wypuściliśmy z rąk, i w milczeniu to wszystko zewidencjonować. Kiedy znów zacząłem słyszeć muzykę, dźwięki fortepianu, bladą,

beznamiętną atrapę tego, co grałaby Ashley, zrozumiałem, że jedynym, co mu powiem, jest „Dziękuję”.

Zrobiłem to. Potem wstałem i wyszedłem, nie oglądając się za siebie.

Cóż mogę powiedzieć o kolejnych tygodniach?

Marlowe Hughes wyraziła to najlepiej: „Kiedy po współpracy z Cordovą wracało się do zwykłego życia, miało się wrażenie, że nagle ktoś ostro podkręcił jaskrawość kolorów. Czerwień była czerwiejsza. Czerń bardziej czarna. Czułeś wszystko dogłębniej, jakbyś serce miał teraz olbrzymie, nabrzmiałe i wrażliwe. Śniłeś. I cóż to były za sny!”.

Wróciłem z Enderlin Estates do domu, zaciągnąłem zasłony i spałem przez dwadzieścia godzin snem tak nieprzytomnym i głębokim jak śmierć. Obudziłem się nazajutrz o zmroku, cienie sunęły po suficie, gasnące światło za oknem sprawiało, że ulica rumieniła się z wdziękiem wspomnienia.

Przygarnęło mnie dawne życie, to stare, wierne psisko.

Z niejakim zaskoczeniem stwierdziłem, że jest grudzień. Spędziłem kilka wieczorów na kolacjach z przyjaciółmi, z których większość sądziła, że wyjechałem w podróż. Pozwoliłem im w to wierzyć. W pewnym sensie była to prawda.

„Dobrze wyglądasz” – mówiło wielu z nich, lecz ich przeciągłe spojrzenia zdawały się sugerować, że nie jest to do końca prawda, że zmieniło się we mnie coś jeszcze, ale wyczuwają, że lepiej tego nie tykać. Zastanawiałem się na wpół serio, czy to nie pozostałość diabelskiej klątwy – chociaż okazała się fałszem, to może już nigdy nie dochodzi do siebie ten, kto raz w nią uwierzył. Może nastąpiło brutalne włamanie do odległych pomieszczeń na poddaszu umysłu – drzwi są wyważone, lampy potłuczone, stoły powywracane, zasłony dziwnie tańczą w szeroko otwartych oknach – pomieszczeń, do których już nigdy nie da się dotrzeć ani w nich posprzątać.

Byłem jednak wdzięczny za towarzystwo, za przyjaciół, za błahe rozmowy, o których zapominało się, gdy tylko się rozpoczęły. Śmiałem się, zamawiałem wino, kaczkę i deser, a ludzie klepali mnie po plecach i mówili, że cieszą się, że mnie widzą, bo tak długo mnie nie było. Ale czasem wymykałem się niezauważony poza całą tę rozmowę, przyglądałem się jej i zachodziłem w głowę, czy aby przez pomyłkę nie wróciłem do

niewłaściwego stolika, niewłaściwego życia. Byłem wypoczęty, czułem ulgę, że śledztwo się skończyło, lecz zarazem i niejasny żal, a nawet przytłumione pragnienie, żeby wrócić do czegoś, czego nie umiałem określić – do kobiety, która mnie zaczarowała, a ja zorientowałem się dopiero wtedy, gdy już jej nie było.

Zmarszczki śmiechu na czyjejs twarży, nieuprzejme kelnerki o kościstych ramionach, ciemne postaci mknące po chodnikach, żeby dotrzeć gdzieś jak najprędzej, pobliskie głosy pełne mroku, taksówki i żebracy, i pijana dziewczyna piszcząca jak zraniony ptak – wszystko to oblewało się ciepłem i smutnym pięknem, którego wcześniej nie zauważałem.

Może to skutek dotarcia na sam koniec końca, odkrycia, że ta mroczna, szalona, promienista historia ma jedyny możliwy w prawdziwym świecie finał – w którym śmiertelni ludzie robią śmiertelne rzeczy, ojciec i córka stają naprzeciw swojej śmierci.

Nie było bowiem wątpliwości, że Gallo powiedziała prawdę: zadzwoniłem do Centrum Sloan-Kettering, podając się za agenta ubezpieczeń zdrowotnych ze źle zorganizowanego działu kadr. Po tym, jak powiedziałem parę półprawd trzem różnym zastępcom szefa oddziału i podałem numer ubezpieczenia społecznego Ashley wzięty z raportu o zaginięciu – jednego z nielicznych dokumentów, których nie zabrano – te trzy różne osoby potwierdziły informację. Ashley Goncourt leczono na oddziale onkologii dziecięcej w latach 1992–1993, potem 2001–2002, a wreszcie w roku 2004 we współpracy z Uniwersytetem Teksaskim w Houston, dokładnie tak jak mówiła Gallo.

Nocą szedłem do domu nierównymi chodnikami, mijając milczące kamienice o rozświetlonych oknach pełnych życia. Brzęczały kieliszki, ulice krztusiły się śmiechem, kiedy ktoś pchnął drzwi baru – zdawało mi się, że te dźwięki podążają za mną dłużej niż kiedykolwiek.

Nie byłem nad Zbiornikiem od spotkania z Ashley, ale wróciłem tam, gdy dowiedziałem się o jej chorobie.

Nie znalazłem żadnego jej śladu – czy to w wodzie, czy w zielonym świetle lamp, czy w przenikliwym wietrze albo cieniach, które rzucały mi się pod nogi. Biegając, okrążenie za okrążeniem, potrafiłem myśleć tylko o tym, jak szła do tamtego magazynu i jak samotny musiał to być marsz, po schodach na skraj szybu windy, który był skrajem jej życia, i jak patrzyła nań z góry.

Kiedy się tu pojawiła, była umierająca. To miało sens, gdy wspomniałem, jakim szła krokiem. Była słaba, „w wyjątkowo chwiejnym stanie umysłu”, według słów Inez Gallo.

Choć się z tym pogodziłem, coś wciąż mnie dręczyło. Nabrałem przekonania, że Ashley odszukała mnie, bo chciała mi coś powiedzieć – coś ważnego i prawdziwego – ale okoliczności nie pozwalały jej zwrócić się do mnie bezpośrednio. Teraz nawet to miało swoje wyjaśnienie: Gallo wspomniała o strachu Ashley, że mogłaby zrobić fizyczną krzywdę każdemu, do kogo się zbliży – strachu, który mógł mieć swój początek, kiedy dowiedziała się, co spotkało Olivię Endicott albo tatuażystę Larry’ego, którzy przebywali w jej obecności.

To na pewno dlatego trzymała się ode mnie z daleka.

We wszystkich opowieściach, jakie o niej słyszałem, Ashley stała po stronie prawdy. Była zaprzeczeniem słabości. Nawet kiedy polowała na Pajaka, to tylko po to, żeby mu przebaczyć. Akceptacja faktu, że sprowadziło ją tu urojenie – tę Ashley, która „przędła złoto ze słomy”, „mistrzynię manipulacji”, jak wyraziła się Gallo – wydawała się nie w porządku.

Co Ashley chciała mi powiedzieć?

Zrobiłem tyle okrążeń wokół parku, że straciłem już rachubę, a potem wyczerpany, z ogniem w płucach, ruszyłem Wschodnią Osiemdziesiątą Szóstą w stronę stacji metra i wsiadłem do pociągu dokładnie tak jak tamtej nocy, gdy ją zobaczyłem.

Spoglądając w poprzek peronu oświetlonego jasnym, płaskim światłem jarzeniówek, zastanawiałem się, czy samą siłą woli zdołam przywołać jej buty, jej czerwono-czarny płaszcz, czy wróci tu jeszcze ten jeden, ostatni raz, abym wyraźnie zobaczył

jej twarz – i raz na zawsze rozszyfrował prawdę, która się za nią kryje.

Ale nie było nikogo.

Zniknął nawet plakat filmu science fiction, który wtedy tam wisiał – biegnący mężczyzna z zamazanymi oczami – zastąpiony zapowiedzią komedii romantycznej z Cameron Diaz.

„Do niej nic nie dociera” – brzmiał slogan reklamowy.

Może powinienem wziąć to do siebie.

Wiele dni później spakowałem materiały o Cordovie – a przynajmniej to, co z nich zostało – wepchnąłem je do kartonowego pudła, pudło zaś do szafy. Przyglądał mi się Septimus.

Zaniosłem stos brudnych ubrań do pralni, w tym płaszcz Brada Jacksona w jodełkę. Potem jednak, gdy zobaczyłem to nieszczęsne odzienie przewieszane przez blat pod stertą koszul na guziki, przyszła mi do głowy paranoiczna myśl, że to mój ostatni strzępek dowodów, ostatnie, co łączy mnie z szaleństwem Szczytu, więc jeśli płaszcz Brada zostanie wyprany, wyprasowany na parze, zawinięty w folię i ozdobiony kartką z napisem „Kochamy naszych klientów!” – znikną wszystkie moje wspomnienia. Niezdarnie więc wyszarpnąłem brudny ciuch z samego spodu, a kiedy wróciłem do domu, wepchnąłem go do szafy za czerwonym płaszczem Ashley i zamknąłem drzwi.

Chciałem zobaczyć Sam. Chciałem usłyszeć jej głos, chciałem, żeby uwiesiła mi się na ręce i popatrzyła na mnie z dołu, mrużąc oczy – ale Cynthia w ogóle nie odbierała telefonu, nie zrobiła tego choćby jeden raz. Zastanawiałem się, że czy jej milczenie oznacza, że pracuje z prawnikami nad nowymi zasadami opieki, tak jak groziła mi w szpitalu. W końcu mój dawny adwokat rozwodowy zadzwonił z tą właśnie wiadomością.

- Ustalono datę rozprawy. Cynthia chce ograniczyć widzenia.
- Co tylko sobie życzy.

To go chyba zaskoczyło, bo proste akty dobroci często zaskakują prawników.

- Ale może pan już nigdy nie zobaczyć córki.
- Chcę, żeby Sam była bezpieczna i szczęśliwa. Na tym poprzestańmy.

Pod koniec grudnia pojechałem natomiast potajemnie ją zobaczyć. Było popołudnie. Dzień szarzał od mrozu, olbrzymie płatki śniegu oszołomione sunęły w powietrzu i zapominały spaść. Nie chciałem, żeby Sam mnie zauważyła, więc schowałem się za kilkoma zaparkowanymi autami i ciężarówką dostawczą. Patrzyłem, jak otwierają się lśniące czarne drzwi jej szkoły

i dzieci okutane w kurtki wylewają się na ulicę. O dziwo czekała na nią Cynthia. Włożyła Samancie czarne rękawiczki z jednym palcem, a potem ruszyły przed siebie.

Sam była ubrana w nowy niebieski płaszcz. Włosy miała dłuższe, niż zapamiętałem, związane w kucyk wetknięty pod aksamitną czarną czapkę. Wyglądała też bardziej dojrzała. Poważnie informowała Cynthię o czymś, co pewnie dotyczyło jej dnia. Byłem porażony. Nagle bowiem zobaczyłem, co czeka mnie już zawsze: życie Sam będzie się przede mną wyświetlać jak slajdy w starym projektorze – będę przeskakiwał między nimi w ciemności wyznaczającej kolejne skoki w czasie – ale nigdy już nie będzie jak niepocięty film.

Była jednak szczęśliwa. Widziałem to. Była idealna.

Kiedy przeszły przez ulicę, dostrzegłem tylko ich płaszcze, niebieski i czarny. Powódź żółtych taksówek i autobusów zalała Piątą Aleję, a potem już ich nie widziałem.

Dostałem go 4 stycznia: mejl od Nory z zaproszeniem do Flea Theater na jej debiut teatralny w kontestującej roli płciowej off-off-broadwayowej inscenizacji *Hamletty*. Nora dobrze poradziła sobie na przesłuchaniu i wygrała na loterii, na której grają wszyscy nowojorscy aktorzy – dostała rolę dającą autentyczny zarobek. Oczywiście wcieliła się tylko w Bernardę, jedną z dwóch elsynorskich strażniczek (w oryginale postać nosi imię Bernardo), która pojawia się wyłącznie w pierwszej scenie pierwszego aktu, a za występ otrzymywała zaledwie trzydzieści dolarów – ale jednak.

„Teraz jestem prawdziwą aktorką” – napisała.

Poszedłem do tego niewielkiego teatru na premierę. Gdy tylko zgasły światła i głośno odciągnięto na bok ciężką czarną kurtynę, niebieskie światło padło na Norę z włosami splecionymi w dwa długie blond warkocze. Wspinała się na koślawą wieżę obserwacyjną zamku zbudowaną ze sklejki. Była zaskakująco dobra – wypełniała swoje kwestie tą komiczną naiwną prostodusznością, którą tak dobrze znałem. Kiedy napotkała ducha matki Hamletty (osobliwie ubranej w pas do pończoch i białe body na ramiączkach, przez co wypadła jak wycieńczona zjawka, która przywędrowała nie z czyścica, ale z kabaretu Crazy Horse w Las Vegas), potknęła się i zatoczyła do tyłu, oznajmiając rozbrajająco: „Tu jest!” i „Chciał coś podobno mówić, gdy kur zapiał”⁶, zachwycona publiczność ryknęła śmiechem.

Przedstawienie nie miało antraktu. Kiedy wreszcie dobiegło końca – po tym, jak Ofelio załatwił się, łykając za dużo xanaxu, Hamletta wreszcie zebrała się na odwagę i wykończyła jędzowatą macochę, a Fortynbrasa ze swoją armią kumpelek w końcu, elegancko spóźniona, przybyła do Elsynoru ubrana w nylonowe minispódniczki prosto z rewii na lodzie – zostałem na swoim miejscu.

Gdy teatr opustoszał, zobaczyłem ze zdziwieniem, że został tam ktoś jeszcze.

Hopper. Oczywiście.

Siedział na samym końcu, w ostatnim rzędzie. Pewnie po cichu wszedł na salę już po zgaszeniu świateł.

– McGrath.

Tak jak ja kupił Norze bukiet kwiatów, czerwonych róż. Ściął włosy. Chociaż wciąż miał na sobie swój szary wełniany płaszcz i trampki Converse’a, to ubrał się w białą koszulę na guziki, która bynajmniej nie wyglądała, jakby znalazł ją na podłodze swego mieszkania. Pod oczami nie miał już takich sińców jak kiedyś.

– Jak się masz? – zapytałem.

Uśmiechnął się.

– Całkiem nieźle.

– Dobrze wyglądasz. Rzuciłeś palenie?

– Jeszcze nie.

Już miał dodać coś jeszcze, ale jego wzrok zatrzymał się za moimi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem Norę wychodzącą zza kurtyny. Z ulgą stwierdziłem, że wciąż ubiera się jak transwestyta – miała na sobie czarne legginsy i jedną z fioletowych koszul smokingowych Moego – że wciąż się nie zmieniła. Bo Nowy Jork potrafi zrobić to błyskawicznie: oszlifować cię, wypolerować i wygładzić, przerobić na coś, co wygląda dobrze, ale dokładnie tak samo jak wszyscy.

Nora uściskała nas najmocniej, jak się dało, a potem pomachała na do widzenia reszcie obsady.

– Na razie, Riley! Byłaś dziś świetna! – Riley, ładna tleniona blondynka, grała Hamlettę. Wygłosiła monolog „być albo nie być” z powagą godną rozważań: „esemesować czy nie esemesować”. – Drew, zostawiłeś kapelusz na stole z rekwizytami.

Rozpromieniona, naładowana energią teatru, Nora włożyła płaszcz i zaproponowała, żebyśmy poszli coś przekąsić. Kiedy wyszliśmy na ulicę, wzięła nas pod ręce i w ten sposób maszerowaliśmy chodnikiem – Dorotka znowu razem ze Strachem na Wróble i Blaszanym Drwalem.

– Woodwardzie, jak się miewasz? Stęskniłam się za tobą. Czeka! Jak Septimus?

– Jak zwykle nieśmiertelny.

– Obaj kupiliście kwiaty?! Nagle zrobiliście się rycerzcy?

Poszliśmy do Odeonu, małej francuskiej knajpki przy West Broadway otwartej do późna. Gdy usadowiliśmy się w boksie, Nora wpatrywała się w nasze twarze, jakby w końcu dostała w swoje ręce zagraniczne gazety pełne najnowszych wieści z rodzinnych stron.

– Obaj dobrze wyglądacie. Czekaście! – Ściągnęła rękawiczkę, żeby pokazać nam umieszczony po wewnętrznej stronie prawego nadgarstka niewielki tatuaż złożony z czterech słów.

Czy ja się OŚMIEŁĘ?

– Żebym nigdy o niej nie zapomniała. – Nora przygryzła dolą wargę i nerwowo zerknęła na Hoppera. – Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Pokręcił głową.

– Ash byłaby zachwycona.

– Zrobiłam go sobie w Rising Dragon. Niestety, Tommy, ten facet, z którym gadaliśmy, wrócił do Vancouver, więc tatuował mnie kto inny. Bolało jak diabli. Ale było warto.

Zupełnie zapomniałem o tatuażycie Tommym. A więc Gallo zadbała o to, żeby i on radośnie się zmył.

Nora uznała moje zaskoczone spojrzenie za wyraz dezaprobaty.

– Wiedziałam, że ci się nie spodoba. Ale jest malutki. Da się go przykryć podkładem. A przed ślubem zawsze mogę go usunąć laserowo.

– Jakim ślubem? – zapytałem.

– Pewnego dnia. O ile kiedyś w ogóle wezmę ślub. Woodwardzie, poprowadzisz mnie do ołtarza? Tak sobie pomyślałam, że nie mam nikogo, kto by to zrobił.

– Tak. Pod warunkiem że to będzie za dwadzieścia lat.

Skończyło się na tym, że włączyliśmy się po mieście do piątej nad ranem, coraz bardziej pijani i głośni. Z Odeonu przenieśliśmy

się do nieoznaczonej meliny w jakiejś pralni w Chinatown, gdzie częstym gościem bywał Hopper, stamtąd do klubu po godzinach, gdzie kelnerką była koleżanka Nory Maxine, a stamtąd do pubu przy Essex Street, żeby grać w bilard, przejąć kontrolę nad szafą grającą i puszczać *Love Will Tear Us Apart* Joy Division. („To nasz hymn” – powiedziała Nora, kiedy Hopper, popisując się niezwykłym talentem tanecznym, kręcił nią po całej sali). Opowiedzieli mi, co wydarzyło się w ich życiu od czasu owych dwóch miesięcy, które razem spędziliśmy, goniąc prawdę o Ashley – i o Cordovie.

Nora na całego poświęciła się podbojowi off-off-Broadwayu. Godziła przesłuchania anonsowane w tygodniku „Backstage” z pełnym etatem w Healthy Bakes (Healthy Bakes – pomysł Josephine, hipiski, u której mieszkała – to sklepik w East Village z niezwykle apetycznymi wegańskimi babeczkami bez glutenu i cukru). Pokazała swoje nowe fotosy, na których zerkała na nas przez ramię z wyprostowanymi włosami spadającymi kaskadą na ramiona. „Nora Edge Halliday” – głosił napis wymyślnym, pochyłym pismem. Gdyby ta fotografia miała głos, byłby to niski szept z brytyjskim akcentem w teatrze telewizji.

– Naprawdę potrzebne ci to Edge? – spytałem. – „Nora Halliday” w zupełności wystarczy.

– Edge, czyli „krawędź”. Dodaje pazura – stwierdził Hopper.
Nora uniosła głowę.

– Jesteś w mniejszości, Woodwardzie. Jak zawsze. – Pochyliła się, skupiona zmrużyła oczy i uderzyła w białą bilę. Trzy pełne wpadły do przeciwległych łuz. Najwyraźniej w Terra Hermosa był pokój bilardowy, o którym nigdy mi nie wspomniała. – Myślę, że dam sobie dobre dziesięć lat na zrobienie kariery – powiedziała, obchodząc stół, żeby przygotować kolejne uderzenie. – Potem wycofam się, póki jeszcze będę mogła. Kupię farmę ze wzgórzami i osłami. Urodzę dzieci. Będziecie do mnie przyjeżdżać w odwiedziny. Możemy sobie urządzić zjazdy. Gdziekolwiek się akurat znajdziemy, spotkamy się wszyscy jednego wspaniałego dnia.

– Chętnie – zgodził się Hopper.
– Mam chłopaka, nazywa się Jasper – dodała.
– Jasper? – powtórzyłem. – Brzmi jak ktoś, kto rozjaśnia sobie włosy.

– To pierwszorzędnny człowiek. Polubiłbyś go.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia dwa.

– Ale dojrzałe dwadzieścia dwa?

Kiwnęła głową i odwróciła wzrok nagle zawstydzona. Obeszła stół, żebym nie widział jej twarzy.

Jak się okazało, gdy Hopper otrzymał mejla od Nory, właśnie zamierzał na dobre opuścić Nowy Jork. Odłożył więc plany o tydzień, żeby jeszcze się z nami zobaczyć. Pozbył się mieszkania. Wyjeżdżał do Ameryki Południowej.

– Do Ameryki Południowej?! – powtórzyła Nora takim tonem, jakby oznajmił, że leci na Księżyc.

– Tak. Chcę odnaleźć mamę.

W typowym dla siebie stylu postanowił nie rozwijać tej intrygującej myśli. Pamiętałem jednak z naszej pierwszej rozmowy, że jego matka była zaangażowana w jakąś dziwną działalność misjonarską.

Nora przysiadła na rogu stołu bilardowego i zaczęła obgryzać paznokiec.

– A co zrobisz potem? – zapytała.

– Potem... – Uśmiechnął się. – Coś naprawdę dobrego.

Zamawialiśmy kolejki tequili Patrón, tańczyliśmy i puszczaaliśmy muzykę z szafy grającej – klasyki starego faceta, jak to nazwała Nora: Doorsów, *Everybody's Talkin'* Harry'ego Nilssona i *Beyond Belief* Elvisa Costello, przemieszane z modniejszymi kawałkami Hoppera w stylu *Real Live Beach House* i *Skin of the Night* M83.

Przez cały czas czułem, że jest z nami Ashley, niewidzialny czwarty uczestnik naszej małej imprezy. Wyczuwałem, że wszyscy jesteśmy bardzo świadomi jej obecności, choć nie musieliśmy wspominać jej imienia. Nie ulegało wątpliwości, że

Nora i Hopper ułożyli sobie w głowach jej życie i śmierć. Wierzyli w Ashley bez wahania, bez wątpliwości. Sprawiała, że świat był dla nich w porządku, a nawet jeszcze lepszy. Wciąż wierzyli w mit – rozumowałem – w mit diabelskiej klątwy. Ciągłe żyli w zaczarowanym świecie, w którym Ashley nie umiera na raka, lecz jest dzikim aniołem zemsty, a Cordova to nie katatonik zamknięty w domu opieki, ale zły król, który zbiegł w nieznane. Do końca życia będą mieli tę magiczną rzeczywistość, żeby odwołać się do niej, kiedy kluczyki samochodu w niewyjaśniony sposób przemieszczą się w pokoju, kiedy przeczytają o dzieciach, które zaginęły bez śladu, lub gdy ktoś bez wyraźnego powodu włamie się do ich serca.

Ależ oczywiście, pomyślą. To magia.

Czułem się tak, jakbyśmy byli razem na wojnie. Sam, w głębi dżungli, polegałem na nich, na tych obcych mi osobach. Podtrzymali mnie tak, jak tylko ludzie potrafią. Kiedy było po wszystkim, kiedy nadszedł koniec, który nie wydawał się końcem, ale wyczerpującym remisem, każde z nas poszło swoją drogą. Ale ta historia na zawsze nas związała, ten prosty fakt, że poznali surową stronę mojej natury – i vice versa – stronę, której nie widział nikt inny, nawet rodzina czy najlepsi przyjaciele, i pewnie nigdy nie zobaczą.

Pomiędzy tym śmiechem, żartami i muzyką zapadła między nami długa cisza. Siedzieliśmy obok siebie na drewnianej ławce pod tarczą do rzutek i neonową reklamą piwa Coors Light. Wiedziałem, co to za moment – okazja, żeby powiedzieć im prawdę.

Patrzyłem na profil Hoppera, jego odchyloną głowę opartą o ścianę, na złote kosmyki Nory przyklepione do zarumienionego policzka, i w głowie słyszałem swój krzyk.

„Nie wyobrażacie sobie, co przed nami ukrywała. To był ostateczny triumf życia nad śmiercią – nigdy nie poddać się chorobie, nigdy nie przestać żyć”.

Nagle przyszło mi do głowy, że może w ostatnich dniach życia wcale nie była tak bardzo pogrążona w ułudzie, mimo że Inez

Gallo zależało, żebym w to uwierzył. Może dzięki tej swojej przenikliwej intuicji, którą się kierowała, oceniając ludzi, dzięki sercu, którego nawet Gallo nie mogła jej odebrać, Ashley jakimś cudem zaplanowała ten moment. Może przewidziała, że dzięki jej śmierci odnajdziemy się we troje. To dlatego wybrała magazyn. Wiedziała, że będę tam szukał wskazówek – i napotkam Hoppera, który pójdzie sprawdzić adres zwrotny na kopercie. No i właśnie po to zostawiła Norze swój płaszcz.

Zorientowałem się, że moment minął. Hopper podniósł się z ławki i człapał przez bar, żeby włączyć kolejną piosenkę z szafy grającej, która zdążyła zamilknąć. Nora poszła poszukać łazienki.

Ja zostałem na miejscu. To już chyba wszystko.

Pewnego dnia powiem im prawdę. Ale teraz, dzisiaj, niech zachowają swój mit.

Minęło parę godzin. Zamykano bar, zapalano jaskrawe światła, wymazywano złudzenie wieczności. Pora iść. Byłem narąbany. Na ulicy przytuliłem ich i oznajmiłem pustemu miastu – Nowy Jork nareszcie był trochę senny i brakowało mu słów – że są dwojgiem najlepszych ludzi, jakich w życiu poznałem.

– Jesteśmy rodziną! – wrzasnąłem w stronę kamienic, a opustoszała ulica na wpół stłumiła mój głos.

– Jasne, Aretho Franklin – odparł Hopper.

– Ale to prawda – stwierdziła Nora. – I zawsze będziemy.

– Jak długo wy dwoje po nim chodzicie – ciągnąłem – ten świat nie ma się o co martwić. Słyszycie?

Nora, chichocząc, objęła mnie ramieniem i spróbowała oderwać od słupa telefonicznego, do którego przytuliłem się jak Gene Kelly w *Deszczowej piosence*.

– Jesteś nawalony – powiedziała.

– Oczywiście, że jestem.

– Pora wracać do domu.

– Woodward nigdy nie wraca do domu.

Wlokąc się gęsiego po chodniku, zamilkliśmy, wiedząc, że już za parę minut nadejdzie czas rozstania, że pewnie długo się nie zobaczymy.

Przywołaliśmy taksówkę. Tak się właśnie robi w Nowym Jorku, kiedy kończy się noc: wpycha się razem do brudnego żółtego dylizansu z szoferem bez twarzy, który dowozi wszystkich kolejno, relatywnie bez szwanku, na ciche ulice. Noc zostanie gdzieś odłożona, po to, by pewnego dnia wyjąć ją i odkurzyć, wspominać jako jedną z najlepszych chwil. Wsiadliśmy do auta: Nora pośrodku, z wymęczonymi już różami na kolanach. Hopper waletował na kanapie u znajomego przy Delancey Street.

– To tutaj – powiedział do kierowcy, stukając w szybę. Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Hopper odwrócił się do mnie i podał mi dłoń. – Nie przestawaj szukać syren – powiedział schrypniętym głosem. Opuścił głowę, żebym nie widział jego łez. – Nie przestawaj o nie walczyć.

Kiwnąłem głową i uściskałem go najmocniej, jak mogłem. Delikatnie pocałował Norę w czoło, po czym wysiadł. Nie wszedł od razu do środka, tylko stał na chodniku i patrzył, jak odjeżdżamy, był ciemną sylwetką skąpaną w pomarańczowym blasku latarni. Nora i ja spoglądaliśmy przez tylną szybę na ten ruchomy obraz, na którym musieliśmy skupić wzrok, baliśmy się mrugać czy oddychać, bo za kilka sekund będzie tylko wspomnieniem.

Hopper uniósł lewą rękę, pomachał i nas pozdrowił. Potem taksówka skręciła za róg.

– Teraz jedziemy na Stuyvesant, skrzyżowanie ze Wschodnią Dziewiątą – wyjaśniłem kierowcy. – Niedaleko Saint Mark's.

Nora spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Mówiłaś mi, gdzie mieszkasz – powiedziałem.

– Nie mówiłam. Celowo nie mówiłam.

– Ależ mówiłaś, Bernie. Na starość robisz się roztargniona.

Fuknęła, krzyżując ramiona na piersiach.

– Szpiegowałeś mnie.

– Wcale nie.

– Szpiegowałeś. Przecież widzę.

– Litości. Mam lepsze rzeczy do roboty niż szpiegować Bernsteinów.

Zrobiła gniewną minę, ale gdy samochód zatrzymał się przed jej kamienicą, nie drgnęła, tylko patrzyła przed siebie.

– Nie zapomnisz o mnie? – szepnęła.

– To byłoby fizycznie niemożliwe.

– Obiecujesz?

– Powinnaś przyczepić sobie takie ostrzeżenie: „Proszę nie usuwać tej metki! Zadzurysz się w tej dziewczynie wbrew własnej woli, czy ci się to podoba, czy nie”.

– Dasz sobie radę? – zapytała zaniepokojona. To było poważne pytanie.

– Oczywiście. I ty też.

Kiwnęła głową, jakby sama siebie chciała przekonać, że to prawda, po czym nagle się uśmiechnęła, jak gdyby przypomniała sobie dowcip, który opowiedziałem dawno temu, ale dopiero teraz ją rozbawił. Nachyliła się i pocałowała mnie w policzek. A potem, jakby zaraz miał prysnąć czar, wyskoczyła z taksówki, trzasnęła drzwiami i wbiegła po schodach kamienicy z torebką ciężką jak ołów oraz naręczem róż.

Otworzyła zamek i weszła do środka. Po chwili jednak odwróciła się powoli. Jakieś niewidoczne światło za jej plecami ozłociło jej włosy.

Uśmiechnęła się po raz ostatni. Drzwi się zamknęły i na ulicy znów był spokój.

– To wszystko – szepnąłem bardziej do siebie niż do taksówkarza.

Odwróciłem się i oparłem o siedzenie. Gdy odjeżdżaliśmy, oblało mnie bladożółte światło.

To był fuks. Ale właśnie takie jest życie.

Minęło kilka dni od nocy z Hopperem i Norą, zaczynałem dochodzić do siebie po kacu. Właśnie sprzątałem gabinet. Wypuściłem Septimusa z klatki, żeby polatał sobie po pokoju i miał trochę ruchu. Odciągnąwszy od ściany skórzaną kanapę, zauważyłem na podłodze trzy świece odwracania, które dostaliśmy od Cleo.

Zupełnie o nich zapomniałem. Musiały spaść tam niezauważone, kiedy plądrowano gabinet.

Tak bardzo byliśmy zajęci wszystkim innym, że ledwie je napoczęliśmy. Czemu więc ich nie dokończyć? Postawiłem je na talerzu i zapaliłem wszystkie trzy. Po wielu godzinach, gdy siedziałem na kanapie ze szkocką i „Wall Street Journal”, podniosłem wzrok i zobaczyłem, że praktycznie nic już z nich nie zostało, tylko resztką białego wosku. Zgasła pierwsza, a potem druga świeca, jakby czekały, aż poświęcę im pełną uwagę. Knoty na moment rozbłysły pomarańczowym blaskiem, po czym się wypaliły. Trzecia nie gasła, płomień skręcał się, jakby nie chciał odejść, nie chciał zginąć, ale w końcu i on zniknął.

Zorientowałem się, że dzwoni moja komórka.

– Halo? – Odebrałem, nie zawracając sobie głowy sprawdzaniem kto to.

Czekałem na telefon od księgowej, która miała mnie powiadomić, że moje oszczędności są na wyczerpaniu i przyszła pora albo postarać się o nową posadę na uczelni, albo pomyśleć o kolejnym śledztwie, takim, z którego będą jakieś pieniądze.

– Scott? Mówi Cynthia.

Natychmiast poczułem ukłucie strachu.

– Czy z Sam wszystko w porządku?

– Tak. Doskonale. To znaczy nie, w zasadzie to nieprawda. – Głęboko odetchnęła. – Możesz rozmawiać?

– O co chodzi?

Cynthia wydawała się zdenerwowana.

– Przepraszam. Że nie oddzwaniałam. Myślałam, że postępuję właściwie. Ale ona jest niepokieszona. Scott to, Scott tamto. Ciągłe

płacze. Nie zniosę tego. – Sama była chyba bliska łez. – Pasuje ci sobota? Spędziłbyś z nią trochę czasu?

– Pasuje.

Pociągnęła nosem.

– Może by u ciebie przenocowała.

– Chętnie.

– Dobrze. Jak się masz, tak na marginesie?

– Teraz świetnie. A ty?

– Dobrze. – Zaśmiała się cicho. – No to sobota? Jeannie wróciła. Doszła do siebie po mononukleozie.

– Sobota.

Rozłączyliśmy się. Nie mogłem oderwać wzroku od tych świec.

Dymiły dość niewinnie, trzy długie szare nitki haftujące powietrze.

Kiedy w sobotę na moim progu pojawiła się Sam w towarzystwie Jeannie, towarzyszyło mi wyraźne poczucie, że stał się cud.

Był jasny zimowy dzień, rześki i żwawy jak nastolatek, niebo było niebieskie, słońce oślepiało, dwudniowy śnieg chrupał pod nogami jak lukier na cieście. Prowadziłem do kolejnych przystanków na trasie: naleśniki z cytryną i ricottą w Sarabeth's, a potem ekspedycja do sklepu z zabawkami FAO Schwarz, gdzie Sam zachwyciła się naturalnych rozmiarów słoniem afrykańskim z Safari Collection za tysiąc dwieście dolarów („Ręcznie wykonana skóra, pieczołowicie krojona przez doświadczonych rzemieślników” – jak przeczytałem na metce), którego zakup Jeannie prędko wybiła mi z głowy. Odpadła po lodach w hotelu Plaza. Dochodząc do siebie po zbyt dużej dawce cukru, postanowiła zrezygnować z klejnotu koronnego: wypadu na łyżwy na Wollman Rink w Central Parku. Ustaliliśmy, że spotkamy się u mnie.

– Niech pan uważa – powiedziała, rzucając mi surowe, znaczące spojrzenie, a potem wsiadła do taksówki.

Wszystko jednak szło jak z płatka, z jednym tylko wyjątkiem: lewego buta łyżwiarskiego Sam. Skrzywiła się, nie mogąc przepchnąć kostki, więc ściągnąłem go i rozchyliłem szeroko, udając, że muszę się wyteńczyć, jakbym startował w konkursie Mister Universe. Sam zachichotała, a potem ruszyliśmy na lód, trzymając się za ręce jak ojciec i córka. Lodowisko było pełne turystów – ci ludzie byli zbyt roześmiani jak na nowojorczyków – ale kiedy wchłonął nas tłum, czuliśmy się tak, jakbyśmy pływali w morzu radości. Wszędzie kolorowe kurtki, śmiechy i skwierczące świsty. Nad nami górowały Central Park South i Piąta Aleja.

To, co dobre, nastąpiło, gdy szliśmy brukowanym chodnikiem wzdłuż Piątej Alei. Sam wyjawiała mi imię najlepszej przyjaciółki: Delphine. Wyglądało na to, że urodzona w Paryżu sześciolatka jest szykowna jak diabli.

– Delphine przyjeżdża do szkoły limuzyną – oznajmiła Sam.

– Fajnie ma. A ty?

– Chodzę z mamusią.

Dzięki Bogu Bruce trzymał Bentleya w garażu. Odnotowałem w pamięci, że muszę mieć oko na drogą Delphine. Nie zdziwiłbym się, gdyby za chwilę zaczęła wyłazić przez okno sypialni.

Sam chciała mi pokazać swoje piłkarskie nagolenniki i korki. Ostatnio dowiedziała się, czym się różnią stopnie Celsjusza i Fahrenheita. Poza tym bardzo lubiła nową nauczycielkę WF-u, młodą kobietę o imieniu Lucy, szczęśliwą żonę pana Lucasa, który uczył przyrody. O każdym z tych tematów Sam mówiła cicho i rzeczowo, wyjaśniała wszystko z powagą wysokiego urzędnika, a ja byłem wesołym, niezorientowanym podwładnym. Przywołała także kilka imion i nazw – Clara, pies (albo może bardzo nieszczęśliwy chłopiec) Maestro, pan Frank oraz jakieś Kółko Nieprawdopodobnych Historii – jakbym dokładnie wiedział, o czym mowa. Byłem wzruszony, bo to oznaczało, że Sam nie wyobraża sobie, żeby kiedyś mnie przy niej nie było, żebym nie widział tego, co ona.

Po przywitaniu się z dwoma jamnikami, które nas mijaly, oznajmiła, że może już wracać do domu. W taksówce zapytałem, czy dobrze się bawiła. Pokiwała głową.

– Aha, kochanie... – Sam właśnie ziewała. – Pamiętasz tę zabawkę, którą mama znalazła w kieszeni twojego płaszczyka? – Pytanie było na tyle intrygujące, że na mnie spojrzała. – Takiego, hm, czarnego węża – sprecyzowałem niby od niechcienia.

– Tego smoka, o którego mamusia się złościła?

– Tak, właśnie tego. Skąd go miałaś?

– Od Ashley.

Starąłem się zachować obojętną minę.

– A gdzie poznałaś Ashley?

– Na placu zabaw z Jeannie.

Na placu zabaw z Jeannie.

– Kiedy to było?

– Dawno temu.

Sam znowu ziewnęła. Komicznie zamykały jej się oczy.

– Rozmawiałaś z nią?

Pokręciła głową.

– Była za daleko.

– Jak daleko?

– Przy samochodach, a ja byłam na huśtawce.

– To jak ci dała smoka?

– Zostawiła go. – Powiedziała to tonem poirytowanej nauczycielki, jakby tłumaczyła mi to już mnóstwo razy.

– Kiedy? Następnego dnia? – Sam niewyraźnie kiwnęła głową.

– Dobrze. Znasz się na ludziach jak nikt inny i bardzo sobie cenię twoje zdanie. Co o niej pomyślałaś? O Ashley?

Uśmiechnęła się lekko na dźwięk tego imienia. Ale oczy jej się zamykały.

– Była magiczną... – wyszeptała.

– Czym? Sam?

Ale ona już zasnęła, głowę oparła na moim ramieniu, a dłonie na kolanach, jakby trzymała niewidzialny bukiet fiołków. Przy Perry Street zaniósłem ją na górę, starając się jej nie obudzić, ale Jeannie i tak zrobiła to o siódmej i przebrała Sam w piżamkę w chmurki. Obejrzeliśmy *Gdzie jest Nemo?* Usmażyłem omlet z białek. Kiedy Jeannie poszła na górę, żeby wyjąć szkła kontaktowe, co najwyraźniej było kryptonimem telefonu do chłopaka, Sam cicho jadła kolację przy stole w kuchni.

To była szansa, żeby wypytać ją o Ashley, pojąć, jak to się w ogóle stało. Kiedy jednak usiadłem obok niej, spojrzała na mnie, przeżuwając omlet z zamkniętymi ustami, jakby dokładnie wiedziała, o co chcę zapytać, i jakby ją smuciło, że wciąż nic nie rozumiem. Przełknęła, odłożyła widelec, a potem chwyciła moją prawą rękę i pogłaskała ją jak samotnego królika w sklepie zoologicznym. Następnie sięgnęła po szklankę z mlekiem.

I pojąłem, że Sam – oczywiście – powiedziała mi wszystko.

Była magiczna.

Kiedy nazajutrz żegnałem się z Sam, uściskałem ją bardzo mocno, pocałowałem w policzek, a potem w rozgrzaną głowę.

– Kocham cię bardziej niż... właściwie to jak bardzo? – zapytałem.

– Niż słońce plus księżyc.

Objąłem Cynthię. Nie spodziewała się tego.

– Jesteś cudowna – szepnąłem jej we włosy. – I zawsze byłaś. Przepraszam, że nigdy tego nie powiedziałem. – Patrzyła za mną zszokowana, kiedy wychodziłem z holu, uśmiechając się do dwóch portierów, którzy ewidentnie podsłuchiwali. – Słyszeliście? Ta kobieta jest cudowna.

Gdy tylko wróciłem do domu, znów wyciągnąłem to stare, powgniatane kartonowe pudło i rozłożyłem na ziemi nieliczne papiery.

Czego się dowiedziałem, będąc zamknięty w sześciennej skrzyni – o sobie samym? „Nawet nie widziałeś, gdzie się ją otwiera”. To była sugestia, że nie dostrzegłem wszystkiego, pełnego obrazu.

Może wciąż rozumiałem sprawy na opak. Może wciąż nie widziałem czegoś, co zauważyła nawet Sam. I Nora. I Hopper.

Wszyscy troje wierzyli w Ashley. A ja nie.

Co by było, gdybym uwierzył równie ślepo jak Hopper, Nora – i Sam? Czy to ślepotą, czy może wszyscy oni patrzyli w sposób, w jaki ja nie potrafiłem? A gdybym tak puścił z wiatrem rozum i zdrowy rozsądek, pozwolił im odfrunąć w dal, uwierzył w czarownictwo, w czarną magię, w Ashley? Spalenie świec odwracania przywróciło Sam do mojego życia. Owszem, można by to po prostu uznać za zbieg okoliczności, że kiedy zgasły, po kilku sekundach zadzwoniła Cynthia – ale jeśli nie? Może to czarna magia znów podniosła głowę i upierała się, że istnieje.

A gdybym zdobył się na akt wiary i po prostu przyjął za źródło prawdy o tym całym śledztwie nie Inez Gallo, ale Ashley? Może wcale nie była w wyjątkowo chwiejnym stanie umysłu? Prawda

o jej chorobie nic nie znaczyła. Dlaczego nowotwór nie mógł być po prostu kolejnym objawem diabelskiej klątwy, w co sama wierzyła? Może na Szczycie nie zebrałem wystarczających dowodów – jedynie poplamioną chłopięcą koszulę i te zwierzęce kości – ale to nie oczyszczało Cordovy z moich podejrzeń, że praktykował czarną magię z mieszkańcami miasteczka, że jego nocne filmy nie były fikcją, lecz koszmarami na żywo, że wykorzystywał dzieci, usiłując uwolnić córkę od klątwy, być może posunął się nawet do skrzywdzenia któregoś z nich, jak sugerował Pająk.

„Nie ma takiej rzeczy, której Gallo nie zrobiłaby, żeby go chronić” – przeczytałem na Blackboardsach. Tymczasem, o dziwo, postanowiła nie chronić go przede mną. Skierowała mnie wprost ku niemu.

A może wcale nie?

Beckman ostrzegł, że mogę napotkać postać zajmującą miejsce na przecięciu życia i śmierci. „Jest atrapą mającą zapewnić wolność temu, co prawdziwe. To ulubiona postać Cordovy. Jest obecna zawsze, gdy działa jego umysł, bez względu na wszystko”.

Tą postacią mógł być mężczyzna w domu opieki, ten obcy człowiek, przy którym usiadłem.

Bill Smith.

Mógł być każdym – każdym o wystarczająco masywnej posturze, dostatecznie zniedołężniałym i otepiałym, żeby nie wiedzieć, że uchodzi za Cordovę. To koło na dłoni to żaden dowód, mogło zostać narysowane – albo nawet wytatuowane przez Gallo w środku nocy, gdy nie widziała tego żadna pielęgniarka. W Enderlin Estates nie było ochrony, więc nic nie powstrzymałoby jej przed zrobieniem z dowolnym staruszkiem, czego tylko chciała, tak by uczynić go wiarygodnym dublerem swojego pana i władcy – w ten sposób zapewniając wolność temu, co prawdziwe.

Chciała, żeby uszedł wolno.

Może Gallo była opłaconym przez Cordovę katem, czekającym na każdego, kto za bardzo się zbliży, za dużo się dowie. Może czekała, aż wgramolę się na tę ostatnią drewnianą platformę, a wówczas jej zadaniem było zarzucić mi worek na głowę i pętlę na szyję, po czym wytrącić ziemię spod moich stóp, posłać mnie w powietrze, dławiącego się, wierzgającego, z powrotem do rzeczywistości, mając pewność, że już tam pozostanę.

„Żyję w prawdziwym świecie – oznajmiła chłodno. – Pan także”.

To miał być rozkaz, polecenie. Udzielała mi wskazówek, przekonana, że zastosuję się do nich z własnej woli, ponieważ jestem realistą, sceptykiem, człowiekiem praktycznym. Zwróciłem jednak uwagę, że w tym, jak powiedziała „prawdziwy świat”, było coś pogardliwego, jakby chodziło o najżałośniejszy wyrok dożywocia.

„Teraz jej historia na zawsze pozostanie tam, gdzie Ashley sobie życzyła, gdzie według niej była zawsze: poza rozsądkiem, między niebem a ziemią, zawieszona znacznie bliżej legendy niż zwyczajnego życia, w którym musimy pozostać my wszyscy, łącznie z panem, panie McGrath”.

„Gdzie syreny zwołują się śpiewem” – mruknąłem wtedy.

Syreny. Coś w tym słowie zaniepokoiło Gallo. A skoro tak, mogło to oznaczać tylko jedno: zbyt blisko ocierało się o prawdziwego Cordovę.

Potrzebowałem całej nocy, całego dnia i kolejnej nocy, żeby dostrzec powiązanie. Nie spałem. Mogłem obyć się bez snu. Wklepałem do nowego komputera informacje, które były w skradzionych notatkach, szczegółowo opisując każdego odnalezionego przez nas świadka, który zetknął się z Ashley, wszystko, z czym sam zetknąłem się na Szczycie, każdy szept o Cordovie, jaki usłyszałem.

A gdy wreszcie zobaczyłem związek, zrozumiałem, że cały czas miałem go przed oczami.

Stróżówka. Rezydencja. Jezioro. Stajnie. Punkt obserwacyjny. Trofeum. Pincoya Negro. Cementarz. Pani Peabody. Laboratorium. Z. Rozstaje.

To słowo nagryzmołono nad jednym z trzynastu osmalonych wejść do podziemnych tuneli na Szczycie.

Pincoya. To rodzaj syreny.

„Długie blond włosy, niezrównanej urody, zmysłowa i pociągająca, wynurza się z morskich głębin – przeczytałem w Wikipedii. – Rozdaje bogactwa albo dotkliwy niedostatek, a wszyscy śmiertelnicy na lądzie żyją według jej kaprysu”. Istotę widziano w jednym, jedynym miejscu na ziemi – na odległej wyspie Chiloé u wybrzeży Ameryki Południowej.

La Pincoya była tylko jednym z rzeszy mitycznych stworzeń nawiedzających tę wyspę, spowitą przez jedenaście miesięcy w roku gęstą mgłą i deszczem. To ponure, niegościnne miejsce, jedna z najodludniejszych wysp na świecie, pełna legend o czarownictwie.

Nagle przypomniałem sobie pewien szczegół, coś, o czym wspomniała Cleo, kiedy odwiedziliśmy ją po raz pierwszy, żeby zbadała składniki klątwy Czarnej Kości rzuconej przez Ashley.

„Widzę tu ciemnobrązowy piasek oraz wodorosty. Musiała zdobyć tę mieszankę w jakimś egzotycznym miejscu”.

O wyspie Chiloé było niewiele informacji, ale czytając bloga pewnego hiszpańskiego podróżnika, natrafiłem na kolejny punkt zaczepienia.

Puerto Montt.

Ostatnie chilijskie miasto na stałym lądzie, zanim kraj rozsypie się niczym herbatnik na setki pokruszonych wysp. Podróżnik przejechał z Puerto Montt do innej miejscowości, Parguy, a stamtąd promem udał się na Chiloé. Jeśli nie liczyć kilku prowizorycznych lądowisk, na wyspę można się dostać tylko drogą morską.

Pamiętałem, że niedawno czytałem o Puerto Montt i po godzinie poszukiwań już wiedziałem gdzie: w umieszczonym na Blackboardsach artykule z „Natural Huntsman” o zaginięciu

Rachel Dempsey w Nepalu – Rachel Dempsey, która grała Leigh w *La Douleur*. Chociaż nie widziano jej od czasu zniknięcia podczas wyprawy łowieckiej, to dziewięć dni później jej telefon satelitarny został włączony w Santiago de Chile. Nawiązała krótkie połączenie z numerem w Puerto Montt.

Przepisałem do komputera rozmowę z Peg Martin w parku Washington Square. Przypomniałem sobie, że opowiadała o długotrwałym romansie Theo Cordovy z kobietą dziesięć lat starszą od niego, która miała na imię Rachel i grała w jednym z filmów jego ojca.

Sprawdziłem daty. Wiosną 1993 roku, kiedy Peg Martin uczestniczyła w pikniku, Rachel Dempsey miała dwadzieścia siedem lat. Theo – szesnaście, co dawało różnicę jedenastu lat.

Pasuje. Zatem najwidoczniej Rachel i Theo byli parą. Ale co w zasadzie zamierzała zrobić podczas wyprawy łowieckiej do Nepalu – zmyć się z powierzchni ziemi? Zniknąć bez śladu i pojawić się na wyspie, żeby... no właśnie, co? Połączyć się w raj z swym kochankiem Theo? Co było na tej wyspie?

Tamtejsze domy, nazywane *palafitos*, miały specyficzną architekturę. Były to skromne chatki na rozchwianych palach pomalowane na jaskrawe kolory, róże, błękity i czerwienie, przez co przypominały długonogie owady wodne stłoczone na wybrzeżu wcale nieprzypominającym tropikalnego raj, szarym i ciernistym, z ostrymi skałami i ciemną wodą, która przelewała się przez plażę.

Te domy na palach już kiedyś widziałem.

To było na planie *Tu na mnie czekaj*, w rodzinnej szklarni Reinhartów, w szopie Popcorna. Zauważyłem tam pocztówkę przyklepioną do tablicy korkowej – przedstawiała takie właśnie domki. Na szczęście przyszło mi do głowy, żeby ją zdjąć i zajrzeć na drugą stronę, gdzie ktoś nabazgrał cztery słowa.

„Już wkrótce tu przyjedziesz”.

To nie wszystko: kościołów takich jak na Chiloé próżno szukać w innych miejscach świata. Stanowiły połączenie europejskiej kultury jezuitów z tradycjami rdzennych mieszkańców wyspy.

Były surowe, pokryte drewnianymi gontami podobnymi do obłazących smoczych łusek i miały sterczące wieżyczki zwieńczone długim krzyżem. Podobnie jak *palafitos*, je również malowano w szalone kolory, ale ta barwność nie kojarzyła się bynajmniej z radością, lecz ze złowieszczym uśmiechem klauna.

Już gdzieś widziałem taki kościół. Czym prędzej wróciłem na podłogę i zacząłem grzebać wśród papierów, aż wreszcie znalazłem.

W artykule z „Vanity Fair” współlokatorka z pierwszego roku studiów wspomniała, że kiedy Ashley wyprowadziła się bez słowa, zostały po niej tylko trzy zdjęcia z polaroidu, które niezauważenie zsunęły się za szafkę. Zdjęcia dołączono do artykułu – artefakty zaginionej egzystencji Ashley, okienka do jej świata. Wtedy ledwie na nie zerknąłem.

Teraz, gdy przyglądałem się temu pierwszemu, z osłupienia aż zakręciło mi się w głowie.

Widniał na nim mały, posępny kościółek. Nie był identyczny, ale przypominał architekturą pozostałe kościoły na wyspie.

Druga fotografia przedstawiała masywny czarny głaz na plaży, nad którym krążyły mewy. Znajdował się w nim tajemniczy otwór, jakby Bóg po łobuzersku wetknął tam kciuk, zostawiając pustkę w świetle. Nie rozpoznawałem go.

Na trzecim zdjęciu było natomiast stado łabędzi o czarnych szyjach. Jeden z nich niósł na grzbiecie młode. Łabędzie czarnoszyje, jak przeczytałem w Wikipedii, licznie występują w Ameryce Południowej. Rozmnażają się jednak i składają jaja tylko w kilku określonych regionach, między innymi w chilijskiej Zona Sur obejmującej także Chiloé.

Ashley mogła odwiedzić tę wyspę. To chyba tam zrobiła te fotografie.

Otworzyłem Google Earth i wpatrywałem się w widok satelitarny. Fragmenty głównej wyspy, Isla Grande, oraz niemal wszystkie mniejsze wysepki otaczające ją niczym piegi przesłaniały srebrzyste chmury.

Czy wszystkie ślady dyskretnie prowadziły mnie właśnie tam?

Gallo tak bardzo dbała o to, żebym zakotwiczył w prawdziwym świecie, w zwyczajnym życiu, pilnowała, bym nie pogonił za Cordovą – dokąd?

W mojej głowie donośnie rozbrzmiały ostrzegawcze głosy, a najgłośniejszym był ten siwego reportera alkoholika z Nairobi. Zgarbiony nad drinkiem, ubrany w poplamioną kurtkę i spodnie khaki, przestrzegł mnie przed losem trzech innych dziennikarzy zajmujących się owym przeklętym tematem, sprawą bez końca, tasiemcem.

Jeden zwariował. Drugi rzucił pracę, a tydzień później powiesił się w pokoju hotelowym w Mombasie. Trzeci zapadł się pod ziemię, porzucając rodzinę oraz posadę we włoskim dzienniku.

„On jest zatruty – wymamrotał wtedy dziennikarz. – Ten temat. Niektóre takie są”. W zamyśleniu oparłem się o krzesło przy biurku. Zauważyłem z niedowierzaniem, że Septimus postanowił polatać tak, jak nigdy nie latał. Jak pijany uderzał w sufit i w okna, w plakat *Samuraja*, podniecony łopotał skrzydłami o szkło – czyżby przestrzegał mnie przed tym, co zamierzałem zrobić, dokąd zamierzałem jechać?

Zauważyłem bowiem, że los tych trzech reporterów przypominał los aktorów pracujących u boku Cordovy, którzy po opuszczeniu Szczytu nie wrócili do zwykłego życia, ale rozpiechli się po najodleglejszych zakątkach globu, stali się nieuchwytni i niewidoczni, nieosiągalni.

Teraz to samo działo się ze mną.

Czyż nie? Ruszałem ich śladem, wyprawiałem się w najdalsze krańce świata. Czy przed czymś uciekałem, czy też zostałem wyzwolony?

Nie mogłem się o tym przekonać, dopóki nie zobaczę, co tam jest, jeśli w ogóle cokolwiek.

Cztery dni później poleciałem do Santiago de Chile, a stamtąd do Puerto Montt.

Szedłem przez port lotniczy El Tepual do stanowiska odbioru bagażu. Lotnisko pełne było dzieci, ściskających się rodzin, drogowskazów do INFORMACIÓN i do biura Europcaru. Moja wojskowa torba leżała samotnie na obrotowym taśmociągu, jakby czekała tam na mnie od miesiący.

Udałem się taksówką na dworzec autobusowy i wsiadłem w pierwszy autobus do Parguy. Był pełen ludzi. Połowę miejsc zajmowali hałaśliwi chłopcy w białych podkolanówkach wchodzący w skład jakiejś grupy śpiewającej madrygały. Opiekował się nimi dyrektor o spoconej twarzy, który, sądząc po minie, był gotów rzucić to wszystko. Obok mnie usiadła stara kobieta, zerknęła na mnie nieufnie, lecz kiedy się zdrzemnęła, jej głowa odbijała się łagodnie od mojego ramienia niczym boja na wzburzonym morzu. Nasz autobus, stara, pożółkła bestia z brudnymi tęczami wymalowanymi na bokach, brnął ulicami, trzęsąc się i podskakując, mijał bawarskie chatki o stromych dachach i gwarne kawiarnie, a potem wyjechał poza miasto.

Prom na wyspę Chiloé odpływał co dwadzieścia minut. Przeprawa kosztowała dolara. Gdy ruszyliśmy przez szarpane wiatrem morze, na górnym pokładzie otoczyła mnie duża i głośna grupa turystów. Jakaś Włoszka usiłowała odgarnąć z twarzy trzepoczące włosy, żeby jej chłopak mógł ją sfotografować. Kiedy mnie zauważył, uśmiechnął się, prosząc gestem, żebym zrobił im zdjęcie we dwoje. Zgodziłem się i zacząłem się zastanawiać, czy pewnego dnia ktoś ich odszuka i pokaże im moją fotografię, tak jak ja pokazywałem ludziom fotografię Ashley.

„Poznajecie go? Czy z nim rozmawialiście? Jak był ubrany? Jak się zachowywał? Czy wydał wam się dziwny?”

Stojąc przy relingu i spoglądając przed siebie, w oddali widziałem wyspę. Objawiała się jak kobieta wychodząca zza kotary, powoli i niespiesznie: faliste ciemnozielone wzgórza, pasma białej mgły wzdłuż brzegu, łagodne światła migoczące

wśród roślinności, słupy telefoniczne z posplatanyimi przewodami, przytulna plaża. Przez moment duży czarno-biały ptak, jakiś burzyk, leciał niedaleko mnie równo z promem, nurkował i wzbijał się wyżej, zaskrzeczał rozdzierająco, a potem skręcił niesiony nowym podmuchem wiatru i połknęło go niebo.

Wyszliśmy na ląd w Chacao, zaniedbanej, wpółmartwej miejscowości, jednej z tych, z których ciągle wyjeżdżają ludzie. Tam, wraz z wieloma osobami, z którymi przypłynąłem promem, wsiadłem do autobusu do Castro, największego miasta na wyspie. Na miejscu zatrzymałem się w hotelu Unicornio Azul. Trudno go było przegapić: jasnoróżowy budynek na mokrej, szarej ulicy. Czytałem, że jest pełen życia, popularny wśród miejscowych i turystów ze skromnym budżetem, znany z tego, że można tam dobrze zjeść i porozmawiać po angielsku. W moim pokoju była wyblakła niebieska tapeta oraz prycza tylko odrobinę większa od masywnej książki telefonicznej z Santiago umieszczonej na szafce nocnej. Wziąłem prysznic, stojąc obok sedesu (łazienka miała rozmiar budki telefonicznej), a potem ogolony zszedłem poszukać jadalni. Zamówiłem *pisco sour*, czyli miejscowego drinka, jak wyjaśniła kelnerka. Kiedy została przy moim stoliku i spytała, czy jestem z Australii, wyjąłem artykuł z „Vanity Fair”, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie poznaje miejsc na zdjęciach.

Moje pytanie wywołało spore poruszenie.

Po niecałej minucie dwóch innych gości restauracji oraz holenderski barman zgromadzili się przy moim stoliku, by dyskutować po hiszpańsku o polaroidach – i zapewne o mnie. Konsensus był taki, że choć nikt nie kojarzył kościółka, to jeden z miejscowych – naburmuszony ciemnowłosy człowieczek, który, przywołany przez kelnerkę, przyczłapał do nas niezdarnie, jakby sprawniej poruszał się w wodzie – twierdził, że w dzieciństwie widział ten ciemny głąz z dziurą gdzieś na wybrzeżu na południe od Quicaví (Należy przy tym zaznaczyć, że wyglądał na prawie osiemdziesiąt lat).

– Quicaví? Jak tam dojechać? – zapytałem.

Ale on tylko wysunął brodę i skrzywił się, jakbym go obraził, a potem wrócił do swojego stolika, szurając nogami.

Kelnerka nachyliła się do mnie z przeproszającą miną.

– My, *Chilote*, to znaczy miejscowi, jesteśmy bardzo przesądni, jeśli chodzi o Quicaví. To na północy wyspy. Godzinę drogi stąd.

– Dlaczego jesteście przesądni?

– To tam pojawia się ten człowiek.

– Jaki człowiek?

Szeroko otworzyła oczy, jakby nie bardzo wiedziała, od czego zacząć odpowiedź, a potem szybko odeszła od stolika.

– Niech pan tylko nie jedzie tam w nocy – rzuciła przez ramię.

Holenderski barman zasugerował, że jeśli wynajmę samochód od jego znajomego przy szosie, to dotrę do Quicaví przed zmrokiem – właśnie „przed zmrokiem” wydawało się najważniejszym punktem udzielonych mi wskazówek – toteż po niecałej godzinie siedziałem za kierownicą pamiętającego lata osiemdziesiąte zielonego suzuki samurai z napędem na cztery koła. Jechałem krętą drogą pozbawioną pobocza, tak wąską, że ledwo mogły się tam minąć dwa auta. Miałem przy sobie paszport, wszystkie pieniądze, zarówno dolary, jak i chilijskie pesos, komórkę, nóż sprężynowy oraz kompas Popcorna.

Po drodze zerkalem na mapę i kompas, z których wynikało, że jadę na północny wschód. Wokół mnie wyspa jakby się osypywała. Falujące wzgórza, konie samotnie galopujące po polach – minąłem procesję kóz bez opiekuna oraz dwóch młodych chłopców prowadzących owce. Wciąż miałem przed oczami mój opuszczony pokój w Unicornio Azul, jakby to była świeża fotografia z miejsca zbrodni: na łóżku moja otwarta wojskowa torba pełna pospiesznie wrzuconych ubrań, w wewnętrznej kieszeni plan podróży z Expedii, na skraju umywalki czerwona szczoteczka do zębów oraz tubka pasty Colgate Total wgnieciona moją dłonią, a wreszcie brudne lustro, które jako ostatnie widziało moją twarz. Nagle przyszło mi do głowy, że może powinienem był zostawić jakiś list, coś dla Sam, drobną wskazówkę – na wszelki wypadek. Oddałem jej w opiekę

Septimusa, zapewniwszy Cynthię, że wyjeżdżam tylko na parę tygodni, żeby Sam wiedziała, że wrócę.

Bo wrócę.

Suzuki zaczynało się skarżyć na niektóre pagórki, a kiedy znaleźliśmy się przed wyjątkowo stromym – asfalt skończył się już dawno, teraz jechałem po gruntowej drodze pełnej kamieni – włączyłem napęd na cztery koła i wcisnąłem gaz do dechy. W ten oto sposób wykończyłem silnik. Zepchnąłem auto na pobocze i zacząłem iść przed siebie.

Jakby zrzędzeniem czarnej magii minął mnie jakiś chłopak w pick-upie. Cofnął się i zaproponował mi podwózkę. Nie mówił po angielsku. W radiu śpiewał Rod Stewart. Kiedy dojechaliśmy na skraj Quicaví, do wąskiej, pochyłej drogi obrośniętej ciemnymi domami – pochylonymi ku dołowi, jakby bardzo chciały dotrzeć do oceanu widocznego w dole – chłopak wysadził mnie i dalej ruszyłem pieszo.

Rzeczywiście zaczynało się robić ciemno, siąpił lekki deszcz. Skręciłem w prawo w kolejną drogę, którą dotarłem do serca Quicaví. Miasteczko nie miało w sobie nic jawnie złowieszczonego – szyldy kawiarni reklamowały darmowy internet i Pepsi, przed sklepem spożywczym pała się duża świnia. A jednak dziesięć minut po szóstej wszystkie sklepy miały ciemne okna, na drzwiach widniały tabliczki CERRADO. Wyglądało na to, że otwarta jest tylko restauracja Café Romeo, gdzie przy stolikach siedziało kilka zgarbionych osób, oraz – kiedy dotarłem na plażę – chałupa na samym jej końcu, chyba jakaś *cantina*, ze stromym dachem oświetlonym lampkami.

Ruszyłem ku niej po piasku, który był czarny i kamienisty. Woda leniwie chlupała o brzeg. Stwierdziłem z zaskoczeniem, że jestem tu sam. Odtworzyłem w głowie ostatnie czterdzieści godzin i zrozumiałem, że począwszy od terminalu na lotnisku JFK o piątej rano dwa dni temu aż do teraz liczba ludzi wokół mnie stopniowo malała – jakbym wszedł na gwarną imprezę, a teraz, rozejrzawszy się, pojął, że jestem ostatnim gościem.

Dojeżdżam do chałupy, a kiedy podniecałem głowę, żeby

Doszedłem do chłupy, a kiedy podniosłem głowę, żeby przeczytać sfatygowany szyld nad ciemnymi drzwiami, stanąłem jak wryty.

La Pincoya Negro. Czarna syrena. Dokładnie te słowa widniały nad jednym z wejść do podziemnych tuneli na Szczycie. Czy gdybym tam wszedł, trafiłbym tutaj?

– *Quiere barquito?*

Odwróciłem się. Daleko za mną zobaczyłem wychudzonego starca. Stał nad brzegiem wody obok białego w piasek kołka, do którego przywiązano trzy podniszczone łodzie. Oprócz mnie był tu tylko on.

Ruszył w moją stronę. Miał serdeczny uśmiech, w którym brakowało kilku zębów, pochłapane smarem spodnie podwinięte ponad łydki oraz siwe kosmyki rozciągnięte na opalonej czaszce, jakby przylgnęły do niej kawałki morskiej piany.

Rozwinąłem artykuł z „Vanity Fair” i pokazałem mu fotografię.

Na widok kościoła mężczyzna pokiwał głową. Wyraźnie go poznawał. Powiedział coś, czego nie zrozumiałem, ale brzmiało jak „*Buta Chauques. Isla Buta Chauques*”. Kiedy zobaczył głaz z dziurą, uśmiechnął się szeroko.

– *Sí, sí, sí. La trampa de sirena.*

Powtórzył tę frazę. Jego spierzchnięte usta drgały z podniecenia. Przetłumaczyłem ją sobie w myślach. Pułapka syren? Pułapka na syreny? Zdezorientowany pokiwałem głową, a on wziął to za wyraz zgody, uśmiechnął się, po czym pognął do swoich łodzi. Odwiązał tę największą i zaczął ją ciągnąć ku morzu.

– Nie! – zawołałem za nim. – Źle mnie pan zrozumiał. – Ale on szarpał dziób łodzi z zaskakującą siłą. Śruba zagłębiała się w piasek, jakby się opierała. – Nieważne! *Mañana*.

Mężczyzna zdawał się mnie nie słyszeć. Stał teraz po kolana w wodzie, pochylał się nad łódką i szarpał za linkę rozruchową.

Zamilkłem, obserwując go, a potem się odwróciłem i spojrzałem tam, skąd przyszedłem.

Na końcu tamtej drogi była kilka świąteł. Wydawały się

Na końcu tamtej ulogi było kilka światła. wyuawary się łagodne i pełne życia. Nagle przepełniła mnie tęsknota, jakbym za rogiem któregoś z tych ciemnych domów mógł znaleźć Perry Street i swoje dawne życie, wszystko, co dla mnie znajome i swojskie, wszystko, co kochałem – gdybym tylko znalazł w sobie chęć, żeby z powrotem tam pójść. Jednakże choć wydawały się bliskie, to jednocześnie jak gdyby bledły, ciepłe pokoje, przez które już przeszedłem, drzwi, których już nie było.

Mężczyzna zdołał zapalić silnik, gęsty dym wznosił się w powietrze, głęboki terkot przebijał szum wiatru, który stukotał po dachach sklepów za moimi plecami.

Podszedłem i wsiadłem do łódki. Wewnątrz kadłuba chlupotały ze dwa centymetry morskiej wody, ale starzec się tym nie przejmował. Zajął miejsce przy motorze, z kieszeni koszuli wyjął niebieską czapkę, mocno naciągnął ją na oczy, a potem skinął mi głową z wyraźną dumą i odbiliśmy od brzegu.

Nie minęły nawet dwie minuty, kiedy dostrzegłem ciemnozielone, chyba niezamieszkane wyspy wyłaniające się po mojej lewej ręce niczym olbrzymie wieloryby. Sądziłem, że do jakiejś dobijemy, ale mężczyzna parł naprzód, mijał jedną za drugą, aż w końcu przed nami nie było już nic, żadnego lądu – tylko wzburzony czarny ocean oraz niebo, równie puste jak on.

– Daleko jeszcze?! – krzyknąłem, odwracając się do starca.

Ten jednak zaledwie uniósł pomarszczoną dłoń i mruknął coś, co zagłuszył wiatr, który szarpał jego brudną szarą koszulę, jakby płynął przez nią prąd, odsłaniając ciało tak uschnięte jak stare drzewo.

Może ten człowiek był Charonem, przewoźnikiem przez Styks transportującym w zaświaty dusze ledwo co zmarłych ludzi.

Znowu się odwróciłem i patrzyłem przed siebie uwięziony między poczuciem, że zaraz coś się pojawi, a strachem, że nie pojawi się już nic. Płynęliśmy dalej, sam nie wiem jak długo. Nie mogłem puścić burt, żeby spojrzeć na zegarek lub kompas, bo fale były coraz silniejsze, morska mgiełka oblewała mnie, kiedy się zderzały i biły o łódź. Powoli zaczynałem się godzić z myślą, że może będziemy tak brnąć naprzód, aż skończy się paliwo.

Wtedy silnik zakaszle jak wyczerpany śpiewak operowy schodzący ze sceny, a gdy się obróczę, zobaczę, że nawet starzec zniknął.

Ale kiedy rzeczywiście się obróciłem, on wciąż tam był, zgarbiony i wpatrzony gdzieś daleko na lewo. Kierował nas ku kolejnej masywnej zielono-czarnej wyspie, która rosła na horyzoncie. Miała wąską plażę okoloną przez roślinność, a nieco dalej olbrzymie skały wznosiły się z morza jak muskularne ramiona. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, jakby rozpoznał starego przyjaciela, a gdy znajdowaliśmy się jakieś dwadzieścia metrów od brzegu, raptem zgasił silnik i spojrzał na mnie wyczekująco. Łódka trzęsła się i podskakiwała. Kiedy nie przestając się uśmiechać, wyciągnął w kierunku wody czarny od smaru palec, zrozumiałem, że każe mi skakać.

Pokręciłem głową.

– Co?

Starzec kiwnął tylko palcem w stronę morza, a gdy machnąłem ręką, usiłując mu powiedzieć, że może o tym zapomnieć, w łódkę uderzyła silna fala. Zanim zdążyłem się przytrzymać, gwałtownie poleciałem do przodu.

Wirowałem do góry nogami w lodowatych falach. Wynurzyłem się na powierzchnię, łapczywie łykając powietrze. Morska woda wypełniała mi usta. Potem jednak znalazłem grunt pod stopami i stwierdziłem, że jest płytko. Dobrnąłem do brzegu, z trudem stanąłem na nogach, zgiąłem się wpół, zakasłałem. Ale już po chwili odwróciłem się przerażony. Przecież nie zapłaciłem starcowi ani nie umówiłem się z nim na powrót.

Zdażył znów włączyć motor i właśnie zawracał.

– Hej! – krzyknąłem, lecz i tym razem zagłuszył mnie wiatr. – Zaczekaj! Wracaj tu!

Nie zareagował, nawet mnie nie usłyszał. Nachylony, kuląc się przed wiatrem, mknął przez wodę z warkotem silnika i już po kilku minutach był tylko czarną plamką na morzu.

Rozejrzałem się wkoło. Wciąż jeszcze było na tyle jasno, żeby nieco dalej na plaży – gdzie pas piasku się zwężył jakby brutalnie

zepchnięty na bok przez skały – dostrzec olbrzymi głaz. Miał w środku dziurę.

Pułapka syren.

Zataczając się, oszołomiony ruszyłem w tamtą stronę i wkrótce zrozumiałem, że olbrzymie stado mew zagłuszane przez huk oceanu gromadzi się nie tylko wokół głazu, lecz na całym brzegu. Karmiły się czymś rozsypanym wśród skał. Deszcz się nasilił, więc schroniłem się w zaroślach okalających plażę.

Kilka metrów dalej spostrzegłem deskę wystającą z piasku.

Kolejne przerzucono przez błotnistą ścieżkę wiodącą wprost do lasu. Zerknąłem na kompas, który stanowczo wskazywał wschód, a potem wszedłem na drewniany chodnik. Błoto chlupotało pod moim ciężarem. Ruszyłem przed siebie, natychmiast uderzyło mnie zastałe powietrze, gęste i wilgotne, ale i coś jeszcze – jakiś pęd, poczucie, że sunę ku czemuś, że wciąga mnie jakaś dziura, z której nie zdołam się wydostać i nie powinienem nawet próbować. Poskręcane gałęzie oplatały się nawzajem, rosły tak gęsto, że po deszczu został tylko dźwięk, jakby nade mną szeptał tłum. Zacząłem iść szybciej, marsz zmienił się w bieg, bieg w sprint, uderzałem stopami w nierówne deski, niektóre pękały na pół i grzęzłem po kolana w mule. Nie zatrzymywałem się, mijałem paprocie, kołyszące się kwiaty i korzenie o grubości ludzkiej talii wznoszące się po obu stronach ścieżki, jak gdyby próbowały uciec. Towarzyszył mi tylko pojedynczy ptak, który frunął za mną, jakby to było ostatnie ostrzeżenie, trzepotał skrzydłami, ćwierkał wśród zarośli, a w końcu poleciał wprost na mnie, czarnymi piórami otarł mi się o policzek i ostro zaskrzeczał, po czym znowu zanurkował w mrok. Droga wiodła teraz pod górę, coraz bardziej stromo, jakby chciała mnie zrzucić, ale nie przystawałem, piąłem się tak szybko, że po chwili nie czułem gruntu pod stopami.

Przede mną był dom. Stał wtulony między drzewa, wyglądał jak wiele innych, które widziałem na głównej wyspie: zniszczony, kryty gontem, z okna zwisała pęknięta okiennica.

Z trudem łapiąc oddech, wdrapałem się na werandę, chwyciłem zardzewiałą gałkę i otworzyłem drzwi.

Zobaczyłem pusty pokój – surowe drewniane meble, słabe światło, pod sufitem obracał się stary wiatrak.

Wprost przede mną na ścianie wisiał duży obraz olejny. Był to portret mężczyzny. Jego zniekształcona, kredowa twarz pogrążała się w czarnym tle, jakby się roztopiała. Wszedłem do środka i znieruchomiałem. Moje spojrzenie przyciągnął jakiś ruch w najdalszym kącie. Właśnie tam, pod ścianą z ciemnymi oknami, stały dwa skórzane fotele niczym czekające trony. Na stoliku obok jednego z nich palił się papieros – ani chybi murad. Wiły się z niego białe wstążki dymu.

Ruszyłem w tamtą stronę. Zauważyłem złożone okulary w drucianej oprawce o szklach okrągłych i czarnych jak smoła. Obok nich stała butelka szkockiej whisky Macallan – mojej whisky, odnotowałem ze zdumieniem – oraz dwie puste szklanki.

Obróciłem się, czując, że ktoś mnie obserwuje.

On tam był, ciemna, tęga sylwetka w drzwiach.

Cordova.

W tym momencie sto różnych myśli przeszło mi przez głowę. Myśliwi patrzą w oczy swej zwierzynie i co widzą? Nie sądziłem, że kiedyś go znajdę, a jeśli jednak, to nie wiedziałem, czy odruch każe mi go zabić, potępić, czy się rozpłakać. Może go pożałuję, rzucony na kolana przez wrażliwe dziecko, które kryje się w każdym człowieku. Miałem jednak wrażenie, że się mnie spodziewał i że tylko usiadziemy w tych pustych fotelach jak ojciec z ojcem, a potem, przy padającym deszczu, spowici dymem, z którego plótno się kolejny hipnotyczny czar, on mi wszystko opowie. W tej jego opowieści pojawią się niewyobrażalny mrok oraz strugi krwi, w opowieści, która będzie pewnie trwać całymi dniami, pełna krzyków, jaskrawoczerwonych ptaków, a także oszałamiających przeblysków nadziei, bo słońce w jednej chwili potrafi ochrzcić najczarniejsze z mórz. O tym, jak daleko potrafią posunąć się

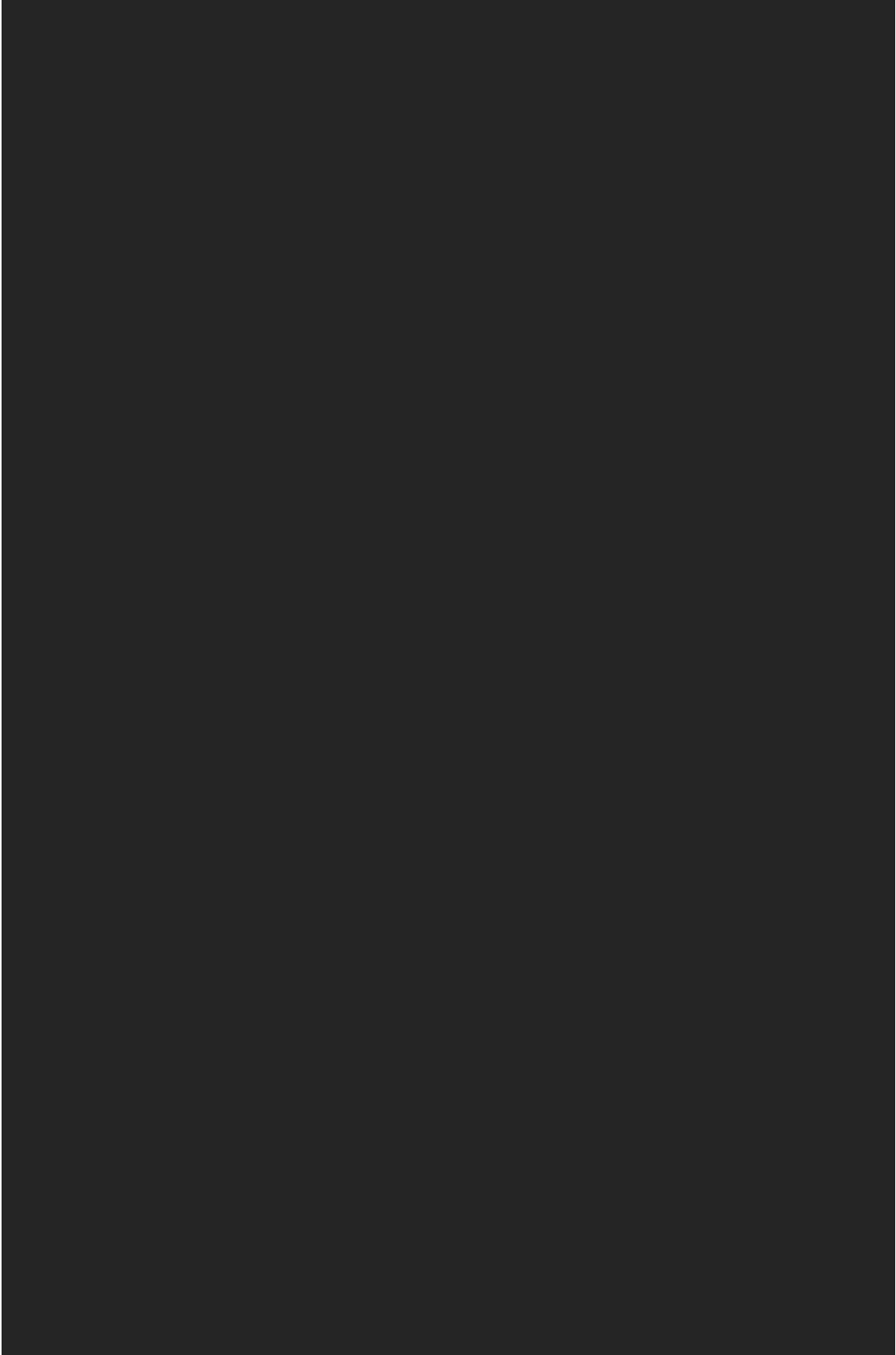
ludzie, żeby coś poczuć, dowiem się więcej, niż mógłbym sobie wyobrazić, i usłyszę śmiech Sam w śmiechu Ashley.

Nie znałem zakończenia ani nie wiedziałem, co odkryję, kiedy będzie już po wszystkim – czy patrząc na zgliszcza, uznam jego historię za historię zła czy też upadku dobrego człowieka, a może dojrzę samego siebie w rzeczach, które zrobił, usiłując uratować córkę, w jego nienasyconej potrzebie nagięcia życia do granic możliwości, z ryzykiem, że pęknie.

Jakoś też wyczuwałem, że gdy tylko mi to powie, znajdzie sposób, żeby zniknąć prędzej niż wiatr na polu. Obudzę się gdzieś daleko i będę się zastanawiał, czy to wszystko mi się przywidziało, czy w ogóle tu był, w tym cichym domu na krawędzi świata.

Jedynym, co wiedziałem, ruszając ku niemu, było to, że usiądzie obok mnie i powie mi prawdę.

A ja będę słuchał.



NUMER 255

29 GRUDNIA 1977

\$1,00

Rollina Stone

STANISLAS CORDOVA

Nad krawędź
i z powrotem

R.S. Miles

PROJEKT MKULTRA

CIA i tajne
próby kontroli
umysłu

Susannah Steinberg

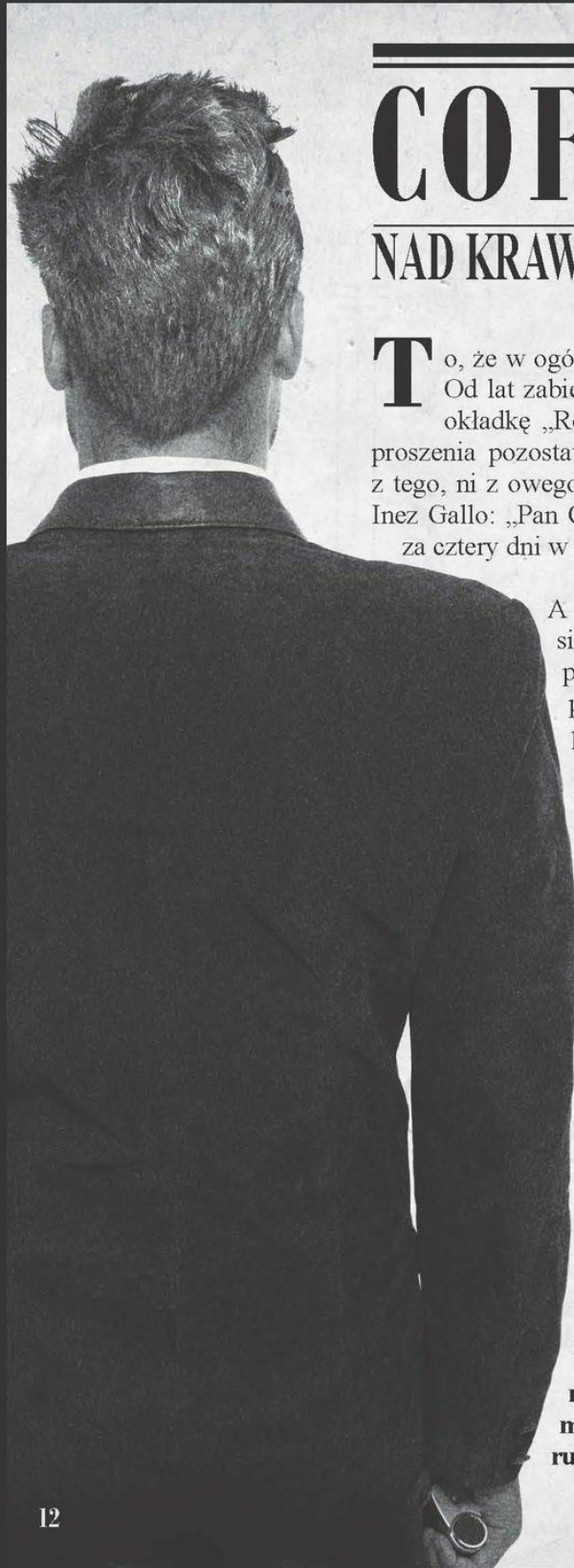
APPLE II

Pierwszy na świecie
komputer osobisty.
Czy zmieni nasze życie?

George R. Harvey

MIEJSCE, KTÓRE ZWIE SIĘ STUDIO 54

Matthew Nash



CORDOVA

NAD KRAWĘDZ I Z POWROTEM

R.S. MILES

To, że w ogóle doszło do tego spotkania, to cud. Od lat zabiegałem o to, żeby Cordova trafił na okładkę „Rolling Stone”. Wszystkie nasze zaproszenia pozostawały bez odzewu. Aż tu nagle, ni z tego, ni z owego, dostaliśmy list od jego asystentki Inez Gallo: „Pan Cordova chciałby udzielić wywiadu za cztery dni w hotelu Ritz-Carlton”.

A teraz on sam we własnej osobie siedział przede mną w apartamencie prezydenckim i czekał, aż zadam mu pytanie. Był wysoki, miał czarny płaszcz oraz okrągłe okulary o czarnych szklach, przez co odnosiło się niepokojące wrażenie, że w jego głowie wywiercono dwa otwory.

Co pana inspiruje?

S.C.: Oddech kobiety na moim ramieniu, wschód na ośnieżonej górze różowy niczym róża, mój syn.

Wszystkie artykuły na pański temat, jakie czytałem, sugerują, że musi pan być wymagającym ekscentrykiem, zajadłym dyktatorem, nawet sadystą. W recenzji *Gdzieś w pustym pokoju* w „Time-sie” napisano, że zakończenie – w którym nie mamy pojęcia, czy bohater uszedł z życiem – to dowód tak przerażającego poglądu na ludzkość, że pańskie dzieciństwo musiało być żywcem wzięte z horroru. Jakie ono było?

S.C.: Wychowywała mnie matka na Bronksie. Byliśmy ubodzy. Często uciekałem ze szkoły i jechałem metrem na Manhattan, gdzie przesiadywałem w kawiarniach, na przystankach autobusowych i w klubach ze striptizem. Właśnie wtedy przekonałem się, że ludzki umysł to miejsce poczerniałe i zachwaszczone. Społeczeństwo usiłuje skosić trawnik i przystrzyc rośliny, ale od dzikiej dżungli dzieli każdego z nas tylko dni. To ta dżungla mnie interesuje.

Nad krawędź końca? To brzmi trochę niebezpiecznie.

S.C.: Śmiertelny strach jest w naszym życiu równie ważny jak miłość. Dociera do sedna naszego jestestwa i pokazuje nas takimi, jakimi jesteśmy. Czy zrobisz krok wstecz i zasłonisz oczy? Czy może starczy ci siły, żeby stanąć nad przepaścią i spojrzeć przed siebie? Czy chcesz wiedzieć, co tam jest, czy też żyć w mrocznej iluzji, w której ten skomercjalizowany

„LUDZKI UMYSŁ TO MIEJSCE POCZERNIAŁE I ZACHWASZCZONE”

Ilekoć ktoś chce się dowiedzieć, jak wyglądało granie w pańskim filmie, otacza pana nieprzeniknione pole silowe. Dlaczego?

S.C.: Czy pary małżeńskie opowiadają, co się dzieje, kiedy goście pójdą do domu, naczynia zostaną zmyte, zamkną się drzwi sypialni i zgaśnie światło? To, co odbywa się pomiędzy ludźmi, których wybrałem do opowiedzenia danej historii, pozostaje między mną a nimi. Oddają się pracy, ponieważ wiedzą, że będę ostrożny, że zaprowadzę ich, czasem wbrew ich woli, nad krawędź końca. Ale to od nich będzie zależało, czy dotarłszy tam, zamkną oczy i uciekną – czy będą patrzeć dalej.



„Suwerenny, zabójczy i perfekcyjny”

świat pragnie nas zamknąć jak ślepe gąsienice w wiecznym kokonie? Czy zwinięsz się w kłębek, zamkniesz oczy i umrzesz? Czy może potrafisz wywalczyć sobie wolność i odfrunąć?

Który kadr ze wszystkich pańskich filmów jest pana ulubionym?

S.C.: Zbliżenie na oko w *Postaciach*. To zresztą moje oko. Jest suwerenny, zabójczy i perfekcyjny.

Czego pan żaluje?

S.C.: Że potrafimy zniszczyć to, co kochamy.

Dlaczego tematyka pana filmów jest tak niepokojąca?

S.C.: Trzeba przez jakiś czas iść zaciemnioną stroną ulicy, żeby poczuć, kiedy promienie słońca padną nam na ramiona.

Kilka miesięcy temu pańska żona Genevra przypadkowo utonęła w państwa posiadłości.

S.C.: Tak.

Jak wpłynęła na pana ta straszna tragedia?

S.C.: Mogę to opisać jedynie obrazem – konia wyścigowego z roztrzaskaną przednią nogą, niemogącego się podnieść. W końcu koń się orientuje, że nie będzie już inaczej, że musi zostać na ziemi i cierpieć z powodu tego, co zrobił. Biegł za ostro, nie powstrzymując się przed niczym, niczego nie zostawiając na później, na powrót do domu. To cena, jaką płacimy za takie życie. Nasze życie jest kwiatem, który pięknie kwitnie, a zaraz potem już go nie ma. Moje filmy są tylko historiami. Ale to wszystko, co mamy. Historie, które opowiadamy innym, i te, które opowiadamy sobie samym. Gdy rozmawia się ze starszymi ludźmi u kresu życia, widać, że właśnie one pozostają, kiedy ciało ulega dezintegracji. Nasze historie. Nasze dzieci zdecydują, czy opowiadać je dalej.

Co teraz pana czeka – w życiu, w pracy, w miłości?

S.C.: Wyjdę na chwilę, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Oczywiście.

Wylączyłem dyktafon, dostrzegłem jeszcze sylwetkę Cordovy znikającego za drzwiami – a potem nastąpiła cisza. Siedziałem, przeglądając

**„NASZE ŻYCIE JEST
KWIATEM, KTÓRY
PIĘKNIE KWITNIE,
A ZARAZ POTEM
JUŻ GO NIE MA”**



Jedyny upubliczniony fotos z planu Treblinki.

notatki, postanowiłem, że zapytam go jeszcze o fascynację dżunglami umysłu – i o to, kim tak właściwie jest. Po piętnastu minutach zjechałem windą do holu, szukałem go w restauracji, w tłumie na ulicy, ale nie było go, zniknął jak cień w świetle dnia.

Kolejne telefony do jego asystentki pozostały bez odpowiedzi, podobnie jak przesłanie tego wywiadu do autoryzacji na tydzień przed publikacją. Czy powiedziałem coś, co go uraziło? Dlaczego uciekł?

Chwilowo Cordova pozostaje tajemnicą – aż do swego kolejnego filmu, kolejnego chwytliwego cytatu, kolejnego występu w *60 Minutes* albo *Mike Douglas Show*. Do tego czasu będziemy się zastanawiać. Może niektórzy z nas natrafią nawet na ową tajemniczą krawędź końca, o której mówił, podniosą wzrok i spojrzą przed siebie. Czy zobaczymy tam piekło, czy niebo? A może po prostu nieskończony spektakl życia.

Gdziekolwiek to może być, jest tam Cordova.

Uwagi na temat interaktywnych elementów Nocnego filmu

Drogi Czytelniku!

Jeśli chcesz kontynuować doświadczenie z *Nocnym filmem*, w całym tekście rozmieszczono interaktywne punkty, które można odblokować przy użyciu smartfona lub tabletu. Ukrytymi dodatkami są kolejne obrazy oraz nagrania audio⁷. Jeśli posiadasz urządzenie z tylną kamerą (połączone z siecią komórkową lub WiFi), postępuj zgodnie z następującymi wskazówkami, aby uzyskać dostęp do dodatkowych treści:

1. Wejdź na stronę NightFimDecoder.com, żeby dowiedzieć się, jak pobrać darmową aplikację.
2. Zainstaluj dekodery *Nocnego filmu* w swoim urządzeniu.
3. Odszukaj poniższy rysunek ptaka na niektórych ilustracjach w książce. Gdy go znajdziesz, uruchom aplikację w swoim urządzeniu i zeskanuj ilustrację przy użyciu kamery, by na ekranie pojawił się przycisk PLAY. *Uwaga:* Nie każda ilustracja kryje tajemnicę.



4. Naciśnij przycisk PLAY.

W przypadku jakichkolwiek problemów z aplikacją dekodera *Nocnego filmu* prosimy o kontakt pod adresem support@randomhousedigital.com.

PODZIĘKOWANIA

Nocny film nie powstałby, gdyby nie rady i wsparcie grupy osób światowej klasy.

Binky Urban: Twoja rzeczywistość jest jeszcze lepsza niż twój mit. Dziękuję ci za mądre rady, przyjaźń, wielkie serce oraz za to, że zawsze mówisz prosto z mostu. Wielkie dzięki dla ludzi z zespołu ICM, którzy są najlepsi w swoim fachu: Margaret Southard, Molly Atlas, Daisy Meyrick, Karolina Sutton, Rachel Clements i Ron Bernstein.

Kate Medina: Twoja redaktorska przenikliwość oraz pasja do historii Ashley były dla mnie stałym źródłem pisarskiego wyzwania i wyniosły tę książkę na nowe wyżyny, nadały jej nową głębię. Dziękuję ci za to, że dałaś mi odwagę, bym zapuściła się jeszcze dalej w te mroczne korytarze (oraz za Alexandra McQueenę).

Lindsey Schwoeri: Twoja dokładna i wnikliwa lektura tamtego wczesnego szkicu zwróciła mnie w całkiem nowym kierunku, uchyliła przede mną nowe, nieoczekiwane drzwi. Dziękuję, że mi je wskazałaś, inaczej może nigdy nie zorientowałabym się, że istnieją.

Anna Pitoniak: Twój entuzjazm i twórcze propozycje były jak powiew świeżego powietrza. To, jak z gracją Ginger Rogers żonglowałaś tyloma różnymi elementami, żeby zmontować tę książkę, zasługuje na podziw. Dziękuję, że nigdy nawet nie drgnęła ci powieka.

Mojemu Dream Teamowi z Random House, który z taką pasją pracował na okrągło w moim imieniu:

Gina Centrello, dziękuję ci za to, że byłaś moją nieustraszoną orędowniczką.

Sally Marvin i Karen Fink – dziękuję za wasz zapał, nieszablonowe pomysły i za to, że jesteście totalnie *cool*.

Bardzo dziękuję Debbie Aroff za to, że wyśniła tak wiele sposobów na połączenie uniwersum *Nocnego filmu* ze światem rzeczywistym. Dziękuję również Maggie Oberrender za jej zakulisowy wkład.

Paolo Pepe, Barbara Bachman i Simon M. Sullivan – jestem wam ogromnie wdzięczna za gotowość, żeby pchnąć design książek w całkiem nowym kierunku. Stworzyliście oszałamiające dzieło, które pochwaliby nawet Cordova.

Wielkie dzięki dla mojego zespołu cyfrowego, dla technoproroków Kena Wohlroba i Matta Schwartza – pomogliście mi przełamywać bariery i wyznaczyć nowe granice tego, co możliwe.

Laura Goldin – dziękuję, że w swym napiętym harmonogramie znalazłaś czas, żeby stanąć po mojej stronie.

Dziękuję Richardowi Elmanowi, Benjaminowi Dreyerowi i Lisie Feuer, którzy sprawili, że produkcja tej książki jakimś cudem przebiegła zgodnie z planem i zakończyła się przed czasem.

Jestem wdzięczna wyśmienitej redaktorce Amy Brosey, a także ogromnie dziękuję Loren Noveck, której dar dedukcji godny Sherlocka Holmesa i członkostwa w Mensie był niesamowity i nieoceniony (Przydałaby się w CIA).

Dziękuję Jocaście Hamilton i całemu zespołowi Hutchinson w Londynie za wsparcie, entuzjazm i za House of Wolf.

Świat Cordovy nigdy nie ożyłby z tak mroczną żywiołowością, gdyby nie niezrównany Tristan Woods-Scawen. Jego entuzjazm, szalona inwencja oraz nadzwyczajne kierownictwo artystyczne nad ilustracjami przekraczało strefy czasowe i wszelkie oczekiwania. Bez ciebie Cordova nigdy nie wyszedłby z cienia. Mam dług wobec całego zespołu wizjonerów z Kennedy Monk: Stuarta Monka, Bruce'a Kennedy'ego, Jolyona Meldruma, Stevena Harrisona, Colina Taylora, Charlotte Kelly i Michelle Thomas. Praca z wami była przyjemnością.

Dziękuję moim pięknym bohaterom o twarzach, które szepczą od pytań, i spojrzeniach, które świdrują umysł: Sophie

Blackbrough, Sebowi Castangowi, Veronie Edo, Samancie Englebrecht i Stevenowi Harrisonowi. Nie mogłam zamarzyć o lepszej obsadzie, nawet gdybym wymyśliła was sama.

Dziękuję fotografowi Paulowi Archerowi, który zmienił dowody w sztukę. Jestem bardzo wdzięczna Lucy Flower, Davidowi Wadlowowi i Lisie Jahovic. Dzięki ich dbałości o szczegóły każde zdjęcie jest bogate, autentyczne i wpisane w swój czas.

Eksperci w dziedzinie medycyny mimo mnóstwa zajęć znaleźli czas, by odpowiedzieć na moje pytania: dr Lawrence Levin, jeden z najbardziej troskliwych i wnikliwych lekarzy w Nowym Jorku, oraz dr Leonard H. Wexler, który edukował mnie i nauczył pokory wobec cudownej pracy, jaką wykonuje z dziećmi.

Nieskończone podziękowania należą się mojemu asystentowi i prawej ręce Sethowi D. Rabinowitzowi. Jesteś moim zaufanym powiernikiem i współnikiem w zbrodni.

Dziękuję mojej kochanej rodzinie, przyjaciółom i kolegom, którzy mieli w tę książkę wkład wielki albo jeszcze większy: Jamesowi Rosowowi, Robertowi Strentowi, Nicole Caruso, Adamowi Weberowi (dzięki twojemu dwudziestodwugodzinnemu pobytowi w areszcie na Brooklynie mogłam napisać o Tombs), Nicowi Caiano, Norielowi Abdonowi, Joshowi Thomasowi, Elke Pessl i Donowi Marvelowi.

Jestem dozgonnie wdzięczna Anne, mojej mamie i pierwszej czytelnicy, która uczy mnie, że prawdziwy sukces osiąga ten, kto zostawia za sobą mnóstwo miłości i światła. Tak często wiesz, co chcę powiedzieć, prędzej niż ja sama.

Dziękuję wreszcie mojej zmarłej babci Ruth, która żyła z prawdziwym wdziękiem. Jej ulubiony cytat brzmi: „Nim dzień zaświta, już będę na nogach / Aby doświadczyć jutrzejszego szczęścia”⁸.

Żyjmy nim dalej.

PRAWA DO GRAFIKI

Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie obrazy © Marisha Pessl

[1]: Adaptacja obrazu oryginalnego © SuperStock/Corbis

[2]: Adaptacja obrazu oryginalnego © Getty Images

[3]: Adaptacja obrazu oryginalnego © Photonet.de/Lehnartz

[4]: © Joel Gillespie

[5]: Adaptacja obrazu oryginalnego © Getty Images

[6]: Adaptacja obrazu oryginalnego © Masterfile

[7]: © Tristan Savatier

[8]: © Stephen Alvarez/National Geographic Stock

[9]: © Getty Images

[10]: © The Estate of Francis Bacon. Wszystkie prawa zastrzeżone.
/ ARS, New York / DACS 2013

[11]: Wykorzystanie obrazu © Anke Van Wyk / Dreamstime.com

[12]: Wykorzystanie obrazu © Andreiuc88 / Dreamstime.com

[13]: Wykorzystanie obrazu © Parkinsonsniper /
Dreamstime.com

[14]: © Hakan Karlsson / Dreamstime.com

[15]: Adaptacja obrazu oryginalnego © Jen Hamilton-Emery

[16]: © Punchan / Dreamstime.com

[17]: © Daniel Sanchez Blasco / Dreamstime.com

[18]: © Tverkhovinets / Dreamstime.com

[19]: Adaptacja obrazu oryginalnego © Bettmann/CORBIS

[20]: © Diane Scheuermann

[21]: © Debbie Grant

[22]: Wykorzystanie obrazu © Joel Gillespie

[23]: © Michael Mellinger

[24]: Adaptacja obrazu oryginalnego © David Curtis

[25]: Adaptacja obrazu oryginalnego © Martin Grace
Photography

[26]: © Elke Meitzel / cultura / Corbis

[27]: © Alexey Stiop / Dreamstime.com

[28]: Adaptacja obrazu oryginalnego © Melanie Pepper

[29]: Wykorzystanie obrazu © Andriscam / Dreamstime.com

Przypisy

- 1 „Lecz teraz czuję zapach deszczu, a wraz z nim ból, i zbliża się w moją stronę. Czasem jestem bardzo zmęczony, ale wiem, że muszę zrobić jeszcze jedno. Wędrować dalej”.
- 2 Hoodoo to występujący głównie na południu Stanów Zjednoczonych zbiór wierzeń ludowych związany z praktykami magicznymi, zapoczątkowany w czasach niewolnictwa przez ludność afrykańską.
- 3 Ten i inne fragmenty na podstawie przekładu Adama Pomorskiego (w: T.S. Eliot, *W moim początku jest mój kres*, Świat Książki, Warszawa 2007).
- 4 Friedrich Nietzsche, *Ludzkie, arcyłudzkie*, t. I, przeł. Konrad Drzewiecki, wyd. J. Mortkowicz, Warszawa 1908.
- 5 T.S. Eliot, *Jałowa ziemia*, przeł. Czesław Miłosz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989.
- 6 William Shakespeare, *Hamlet*, przeł. Józef Paszkowski, Wydawnictwo Ibis, Poznań 2010.
- 7 Materiały w języku angielskim.
- 8 William Shakespeare, *Życie i śmierć króla Jana*, przeł. Stanisław Koźmian, w: tegoż, *Dzieła dramatyczne*, tom III. *Kroniki*, t. I, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1981.